

J . D . B A R K E R

W JEJ SERCU  
CZAI SIĘ  
MROK



CZARNA OWCA

J . D .  
B A R K E R

---

W JEJ SERCU  
CZAI SIĘ  
MROK

Przekład AGATA OSTROWSKA

WYDAWNICTWO  
CZARNA OWCA

# Spis treści

Strona tytułowa

Spis treści

Strona redakcyjna

Część 1

1

2

3

1

2

3

1

2

3

4

5

1

2

3

4

5

1

2

3

1

2

Część 2

1  
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8  
9  
10  
11  
12  
13  
1  
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8  
9  
10  
11  
12  
13  
14  
15  
16  
17

18

19

20

21

22

23

24

### Część 3

1

2

3

4

5

### Część 4

1

2

3

4

5

6

7

1

2

3

4

5

6

7

8

9

- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16
- 17
- 18
- 19
- 20
- 21
- 22
- 23
- 24
- 25
- 26
- 27
- 28

Część 5

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

Część 6

1

2

1

Od autora

Przypisy końcowe

Tytuł oryginału: *She Has a Broken Thing Where Her Heart Should Be*

Redakcja: Jacek Ring

Korekta: Maciej Korbasiński, Joanna Kłós

Projekt okładki: Dark Crayon

Copyright © 2019 by Jonathan Dylan Barker

All rights reserved, including the right of reproduction in whole or in part in any form Published by agreement with Hampton Creek Press, registered Trademark of Hampton Creek Publishing, LLC

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2022

Copyright © for the Polish translation by Agata Ostrowska, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8143-973-2

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, [www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.



*Dla mojej córeczki.  
Najjaśniejszej iskiarki.*

Miała na imię Stella i pokochałem ją od pierwszego wejrzenia. Nawet kiedy na moich oczach zabiła człowieka, który był do mnie bardzo podobny, nie mogłem przestać jej kochać.

Nie wiedziałem, że go zabiła – w tamtej chwili nie mogłem tego wiedzieć. Widziałem tylko, jak się całują, ale ten moment przepowiedział kres jego życia z taką pewnością, z jaką woda spływa po zboczu wzgórza.

Później mieliśmy razem ukryć ciało przy akompaniamencie jej przeprosin za to, co uczyniła.

A potem odeszła, zniknęła w mroku nocy.

Ja zaś nie miałem wyboru – musiałem ruszyć za nią, choć serce przepełniał mi ból, ale jej zapach ciągnął mnie z całej siły.

Jack Thatch

22 lata

# Część 1

*Pomyśl o długim łańcuchu złotych czy żelaznych ogni, cierni czy kwiatów, które by nigdy ciebie nie oplątały, gdyby nie było jednego jakiegoś ważnego i pamiętnego dnia w twoim życiu.*

Charles Dickens, *Wielkie nadzieje* <sup>1</sup>

8 sierpnia 1984 roku

*Osiem lat*

Dn. 8.08.1984:

Pacjent „D” - parametry w normie.

ZESPÓŁ OBSERWACYJNY CHARTER - 309

# 1

– Czas.

– Cicho, smarkaczu. Rozmawiam z siostrą.

Patrzyłem, jak ciocia Jo wyciąga kolejnego papierosa z paczki czerwonych marlboro setek, która leżała na jej szmacianej torbie w kratę, wkłada go do ust, zapala srebrną zippo i posyła w niebo kłęb szarego dymu.

– Powiedziałaś, że za godzinę. To było o piątej. Teraz jest szósta. Czas minął – stwierdziłem. W ogóle nie miała poczucia czasu. Gdyby tylko mogła, cały dzień siedziałaby na tym cmentarzu i gadała do nagrobków. Czy raczej do nagrobka mojej mamy. Z tatą nie rozmawiała. Nigdy za nim nie przepadała.

– Za dwie godziny leci *Nieustraszony*.

– Nie przegapisz *Nieustraszonego*.

– Ostatnio przegapiłem – przypominałem. – Wyszliśmy stąd o szóstej trzydzieści, w domu byliśmy o siódmej, zjedliśmy kolację, zmusiłaś mnie do kąpieli, a jak już siadłem przed telewizorem, to minęło pół odcinka. Takiego serialu nie można oglądać od środka. Trzeba zacząć od początku.

Ciocia Jo zaciągnęła się papierosem.

– Masz niesamowitą pamięć jak na ośmiolatka, wiesz?

– Możemy już iść?

– Jeszcze nie.

Westchnąłem i sięgnąłem po radio.

Ciocia Jo rozłożyła koc na grobach rodziców, żebyśmy nie siedzieli w mokrej trawie. Przez całe rano padał deszcz, a słońce w Pittsburghu, nawet sierpniowe, niezbyt skutecznie suszyło. Ziemia nadal kłaskała błotem.

– Cztery lata, Katy – przemówiła ciocia Jo do nagrobka mamy. – Cztery lata temu ten drań cię zabrał. Odebrał cię nam, mnie i twojemu malutkiemu Jackowi.

– Tatuś nie zabił mamusi.

– Przecież to on prowadził, nie?

– To był wypadek.

– Był pijany.

– Mama wypila dwa kieliszki wina, a tata colę. Tak powiedział kelner. Wszystko jest w raporcie policji.

Ciocia Jo poprawiła przekrzywione kwiaty w wazonie mamusi. Paznokcie miała poźółkłe. Sam wybrałem te kwiatki, stokrotki, w supermarkecie w drodze na cmentarz. W wazonie tatusia nie było żadnych kwiatków, tylko zatechła deszczówka i chwasty. Ciocia Jo nie pozwalała mi go wyczyścić.

– Upił się jeszcze przed wyjściem.

Pokręciłem głową.

– W domu pił herbatę mrożoną, mama też, a potem podrzucili mnie do ciebie.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Sama mówiłaś, że mam samowitą pamięć.

– Miałaś cztery latka.

– Piłem mleko czekoladowe. Mama przelała mi je do butelki z dzióbkiem, żebym mógł je ze sobą zabrać. Siedzieliśmy u ciebie na kanapie, obejrzelśmy *Magnum*, a potem od razu położyłaś mnie spać. Wtedy nie kazałaś mi się kąpać.

– Hm.

– Radio nie działa. – Obróciłem pokrętko dookoła, ale z głośnika dobywały się tylko trzaski.

– Działa, tylko trudno tutaj złapać sygnał.

– To po co je przyniosłaś?

– Bo czasem się udaje, a twoja mama lubiła muzykę.

Stacja Bob FM nadawała na 96,9. Ustawiłem pokrętko ciut na lewo od 97. Huey Lewis zaśpiewał coś o jakimś nowym leku, ale po chwili wokół znów utonął w szumie.

Rzuciłem radio na koc obok torby cioci.

– Może odpuszczę dziś sobie kąpiel.

– Nic z tego.

– Jeśli nie będę się kąpał, będziemy mogli zostać aż do siódmej, a i tak nie przegapię *Nieustraszonego* – tłumaczyłem.

Ciocia Jo zdusiła niedopałek na krawędzi nagrobka taty, po czym schowała go do niedużej puszeki, którą trzymała w kieszeni fartuszka spłowiałego, niegdyś różowego stroju kelnerki. Zwykle rzucała pety na ziemię, ale nie tutaj, na cmentarzu, a zwłaszcza w pobliżu grobu mamusi. Zapaliła kolejnego i zaciągnęła się głęboko.

– No dobrze, dzisiaj bez mycia, ale jutro koniecznie masz się wykąpać. Zgoda?

– Zgoda.

– No to jeszcze godzinę. Co tu jest napisane, Jack? Umiesz przeczytać?

– Przecież wiesz, że umiem.

– No to co jest napisane?

– Co roku każesz mi to czytać.

– Co jest napisane, Jack? – Postukała w bok nagrobka mamy dłonią, w której trzymała zapalniczkę. – Przeczytaj.

Przewróciłem oczami.

– Kaitlyn Gargery Thatch. Szesnasty lutego tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt osiem, ósmy sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt. Kochająca żona, matka i siostra.

– Moja kochana siostrzyczka. Powinni jeszcze napisać: „Zamordowana przez potwora, który piciem wpędził się do grobu obok, a ją zaciągnął ze sobą siłą, bo nie chciał być sam”.

– Tatuś nie pił.

– Pił jak smok.

Ciocia Jo lubiła się napić, głównie wina. Zakładała, że wszyscy inni też piją. Nigdy nie widziałem, żeby tata pił. Mama owszem, ale niedużo, nie tak jak jej siostra.

Na nagrobku tatusia widniały tylko imię i nazwisko, data urodzenia i data śmierci. Ta sama co u mamusi. Gdyby ciocia Jo postawiła na swoim, w ogóle nie miałby nagrobka. Na szczęście decyzja nie należała do niej – koledzy taty ze sklepu z narzędziami zrobili zrzutkę i zapłacili za obie tablice, bo rodzice nie mieli odłożonych żadnych oszczędności na pogrzeb. Nagrobki wyciosano z jednej czarnej granitowej płyty. Kamień mamy lśnił, zaraz po przyjsciu ciocia starannie go wypolerowała. Ten taty pokrywała warstwa pyłu i brudu, a sam kamień pod spodem zmatowiał. Wrócę później, żeby go wyczyścić, żeby lśnił tak jak ten mamusi.

Kiedy zginęli, miałem cztery lata, więc zaokrąglone szczyty nagrobków nade mną górowały. Jednak od tego czasu urosłem już prawie pół metra. Teraz wstałem i wygładziłem dzinsy na guzowatych kolanach.

– A ty dokąd?

– Przejdę się trochę.

– Powinieneś zostać i porozmawiać z matką – zachnęła się ciocia. – Na pewno jest bardzo ciekawa, co się u ciebie wydarzyło przez ten ostatni rok.

Znowu przewróciłem oczami i położyłem dłoń na nagrobku mamy.

– Mam osiem lat, mamu. Nie mam kolegów, bo dzieciaki są głupie. Ciocia Jo nie pozwala mi jeść ciastek czekoladowych na śniadanie, a w szkole jest nudno. Kolejny raport za rok, może wcześniej, jeśli coś się zmieni w sprawie ciastek.

Ciotka machnęła ręką z papierosem.

– Idź. Tylko nie odchodź za daleko.

Zerknąłem na nagrobek taty. Wiedziałem, że wrócę i z nim porozmawiam. Ale nie chciałem, żeby ciocia Jo słuchała.



Wziąłem radio z koca, maksymalnie wyciągnąłem antenę, pogłośniłem i trzymając nieduży odbiornik przed sobą, ruszyłem w górę zboczem niewysokiego pagórka w kierunku reszty cmentarza.

Rodziców pochowano na południowym krańcu pod klonem czerwonym. O tej porze roku liście płonęły jaskrawą barwą.

Szum na chwilę ustał i wydawało mi się, że słyszę Eltona Johna, ale zaraz znowu przepadł. Na szczycie wzgórza skręciłem ostro w lewo, pilnując, żeby trzymać się kamiennej ścieżki i nie deptać po grobach.

Zatrzymałem się przy mauzoleach stojących w dwóch równych rzędach po obu stronach ścieżki.

W Pittsburghu było wiele cmentarzy. Ten, All Saints Hollow, należał do największych.

Mauzolea.

Nie przepadałem za nimi.

Ciocia Jo mówiła, że kiedy przejeżdża się obok cmentarza, trzeba wstrzymać oddech, żeby dusze zmarłych nas nie znalazły. Nie wiem, dlaczego ta zasada nie obowiązywała na terenie cmentarza, ale jeśli gdziekolwiek powinna mieć rację bytu, to właśnie przy mauzoleach. Powietrze było tu nieruchome. Wyobrażałem sobie nieboszczyków wyglądających przez szczeliny w kamiennych ścianach, wyciągających kościste dłonie gotowe w każdej chwili łapać niczego niepodjęzawających chłopców i wciągać ich do tych przysadzistych budowli, tak żeby zaginał po nich wszelki słuch.

Nabrałem dużo powietrza w płuca, przycisnąłem radio do piersi i rzuciłem się biegiem między mauzoleami. Prawie się potknąłem, kiedy z głośnika ryknął nagle Steve Perry.

Kiedy dotarłem do końca szeregu mauzoleów i wypuściłem powietrze, z radia znów rozległ się szum. Nie miałem pojęcia, dlaczego radio zadziało między grobowcami, i nie zastanawiałem się nad tym. Mogłem znaleźć inne miejsce. Na pewno tam nie wrócę.

Rozejrzałem się wokół, po ponadstuhektarowym pagórkowatym terenie, ale nie dostrzegąłem już cioci Jo ani klonu czerwonego.

Cmentarz kończył się gęstą linią drzew. Stała tam czarna metalowa ławeczka, omiatana gałęziami wierzby płaczącej – baldachim z wąskich liści i mchu unosił się ciężko w ciemności. Na ławce siedziała dziewczyna. Jakies trzydzieści metrów dalej, przy białym SUV-ie na jednej z dróg dojazdowych, stała kobieta z rękami w kieszeniach długiego białego płaszcza.

Nie było upału, ale chłodu też nie, za ciepło na taki strój. Jej to chyba nie przeszkadzało. Płaszcz miała zapięty pod szyję. Kiedy zauważyła, że zbliżam się z za wzgórza, obróciła się w moją stronę. Oczy miała czarne, jastrzębie. Włosy,

białe tak jak płaszcz, powiewały na delikatnym wietrze. Na mój widok zeszywniała, wyprostowała plecy. Dłonie zacisnęły się w pięści i zniknęły w fałdach płaszcza. Stała tak jeszcze przez chwilę, nie odrywając ode mnie czujnych, dziwnych oczu, a potem przeniosła wzrok znowu na dziewczynę na ławce.

Dziewczyna miała na sobie białą marszczoną bluzeczkę, również zapiętą od góry do dołu i schludnie wsuniętą w czarną spódnicę za kolano. Długie brązowe włosy, żywiłowo pofalowane i pokręcone, spływały jej na ramiona i plecy. Z jednej strony częściowo zasłaniały jej twarz, z drugiej były założone za ucho. Nie odrywała ciemnych oczu od książki, którą trzymała na kolanach dłońmi w rękawiczkach.

Trudno powiedzieć, jak długo tam stałem.

Trudno powiedzieć, dlaczego tam stałem.

Ale stałem i patrzyłem na nią, jak przewraca strony z łagodną determinacją, lekko rozchylonymi ustami bezgłośnie odczytując kolejne słowa dla zafascynowanej jednoosobowej publiczności.

Moje radio ryknęło nagle *Jessie's Girl* i dziewczyna poderwała gwałtownie głowę, spojrzała na mnie, jedną ręką rozważnie zaznaczając miejsce w książce.

Zacząłem niezdarnie kręcić gałkami radia i w końcu udało mi się ściszyć.

Nie pamiętam, żebym podchodził do ławki, ale w jakiś sposób do niej dotarłem i zatrzymałem się tuż obok.

Dziewczyna zmarszczyła czoło i z zaciekawieniem przekrzywiła głowę.

– Ojejku, ale z ciebie brzydka.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, więc milczałem. Wiedziałem, że nie jestem brzydki. Ciocia Jo powtarzała, że na szczęście wrodziłem się w mamę, bo wygląd po ojcu byłby prawdziwym przekleństwem. Ale miałem zdjęcie tatusia, jedyne, które udało mi się ukryć przed ciocią. Wyglądał jak gwiazdor filmowy, stał obok porzewiałego forda, tego samego, który prowadził, kiedy...

– Ubrania też masz złachane. – Mówiła z dziwnym akcentem, trochę jak James Bond, ale nie do końca.

Radio zapiszczało głośno, zagłuszając Ricka Springfieldda i wszystko inne. Wyłączyłem odbiornik, złożyłem antenę i nagle wdrapywałem się na ławkę, żeby sięść na przeciwnym końcu. Znowu nie wiedziałem dlaczego. Mój mózg krzyczał, żebym uciekał. Przecież to dziewczyna. Nie interesowały mnie dziewczyny, zwłaszcza takie sztywne porządnie pachnące kwiatkami. Ale nie uciekłem. Usiadłem na tej samej ławce co ona, ignorując dziwne łaskotanie w brzuchu.

Pokazałem głową na kobietę stojącą przy SUV-ie.

– To twoja mama?

– Nie, to nie jest moja matka.

- To dlaczego na ciebie patrzy?
- Taka jej rola.
- Trochę to dziwne.

Dziewczyna się uśmiechnęła, ale po chwili spoważniała, jakby nie chciała, żebym to zauważył, jakby nie rozdawała uśmiechów tak swobodnie.

– Co z ciebie za chłopak, że sam włóczysz się po cmentarzu? Gdzie twoi rodzice?

- Nie żyją.
- Naprawdę? Kto ich zabił?

Nie „na co umarli?” albo „co się stało?”, ale kto ich zabił. Jakby śmierć z rąk drugiej osoby była czymś zupełnie logicznym.

– Co czytasz? – spytałem, żeby zmienić temat. Nie chciałem teraz rozmawiać o mamie i tacie. Na dziś miałem dość.

Podniosła książkę, pokazując mi okładkę – *Wielkie nadzieje* Charlesa Dickensa. Grzbiet miękkiej oprawy był niemal biały od zagięć, egzemplarz otwierano i zamykano tyle razy, że kolor wyblakł, a papier popękał. Okładka prezentowała się niewiele lepiej. Książka miała na oko tak z tysiąc lat, wyglądała na uratowaną z dna kartonu w jakiejś piwnicy.

- To ta o chłopaku z tratwą?
- Hmm. Brzydal, a do tego nieoczytany.
- Co to niby ma znaczyć?

– Chodzi ci o *Przygody Hucka Finna*. Tamtej książki nawet nie napisał Dickens, tylko Twain. Twain to marny pismak. To nawet nie jest jego prawdziwe nazwisko. Zwykły kapitan łódek, któremu udawało się naskrobać parę linijek w przerwach od picia i hazardu.

Nie czytałem niczego Dickensa ani Twaina. Na mojej półce z książkami stała połowa serii o braciach Hardyach i kilkadziesiąt komiksów. Nie znałem nikogo, kto czytałby Twaina czy Dickensa, nawet moi rodzice czy ciocia Jo.

- O czym są *Wielkie nadzieje*?

Kobieta od SUV-a znalazła się bliżej nas. Nie zauważyłem, żeby się przemieszczała, ale teraz stała już tylko w odległości kilku metrów, obserwowała nas kątem oka i niewątpliwie nasłuchiwała każdego słowa.

Dziewczyna spojrzała na książkę trzymaną w rękach.

- O wszystkim, co naprawdę się liczy.
- Nie rozumiem.
- Nic dziwnego.

– Mogę zobaczyć? – Sięgnąłem po książkę, ale dziewczyna odsunęła się dalej na swój koniec ławki. Kobieta zaczęła się zbliżać, lecz stanęła, kiedy dziewczyna na nią spojrzała.

Położyła książkę na ławce i czubkami palców przesunęła ją w moją stronę. To wyraźnie uspokoiło kobietę.

Wzięłem tomik do ręki i przeczytałem opis na tylnej okładce.

– Mam na imię Stella – powiedziała dziewczyna. – Na cześć bohaterki tej książki, tyle że ona nazywała się Estella.

Podąłem jej książkę. Spodziewałem się, że każe mi przesunąć ją z powrotem po ławce, ale nie. Chwyciła ją i znów położyła sobie na kolanach.

– Kiedy dziewczyna ci się przedstawia, wypada się odwzajemnić.

– Odwzajemnić?

Westchnęła.

– Zrobić to samo, odpowiedzieć.

– Aaa, nazywam się Jack, Jack Thatch.

– Pospolite imię dla pospolitego chłopaka. A jak naprawdę masz na imię? Nikt tak naprawdę nie nazywa się Jack, zwykle to zdrobnienie od Johna, zresztą nigdy tego nie rozumiałam. Nie jak Mike od Michaela, bardziej jak Bill od Williama, tylko jeszcze dziwniej.

– Oficjalnie nazywam się John Edward Thatch – odparłem. – Ale wszyscy wołają na mnie Jack.

– Oczywiście. A kim jest ten Edward? To zapewne jakiś krewny.

– Mój tata miał na imię Edward. Wszyscy mówili mu Eddie. Ile masz lat? Dziwnie mówisz.

Jej wzrok powędrował do starszej kobiety, a potem spoczął na okładce książki. Zaczęła skubać kartki.

– Osiem.

– Nie mówisz, jakbyś miała osiem lat. Ja też mam osiem.

– Cóż, ty też nie mówisz jak ośmiolatek.

– Stello? – powiedziała kobieta półgłosem, jakby z przyganą, przeciągając imię. – Musimy już iść.

Stella westchnęła i przymknęła oczy. Powiedziała coś szeptem tak cichym, że nie dosłyszałem słów, ale kobieta najwyraźniej zrozumiała, choć stała dalej.

Pokręciła głową, a Stella zmarszczyła brwi, zeskoczyła z ławki i ręką wygładziła spódnicę. Ruszyła ku kobiecie przez trawę.

– To cześć – powiedziałem, podnosząc rękę.

Zatrzymała się i zwróciła w moją stronę.

– Niezwykle miło było mi cię poznać, Johnie Edwardzie Jacku Thatchu.

Po tych słowach pomaszerowała pod górę do czekającego samochodu. Kobieta podążyła za nią. Kiedy się odwracała, wiatr poderwał połę jej płaszcza i zobaczyłem coś pod spodem, obraz, który wciąż widzę tak wyraźnie, jakby to było wczoraj: lufę strzelby opartą o jej nogę.

Patrzyłem, jak Stella wsiada do tyłu auta. Kobieta zamknęła za nią drzwiczki i oto zniknęła, ukryta za przyciemnianymi szybami, coraz mniejszymi, w miarę jak samochód się oddalał.

## 2

– Zostawiłam w kuchni dziesięć dolarów na pizzę. Już zamówiłam. Jak przywiozą, daj dostawcy całą dychę: osiem za pizzę i dwa napiwku, jasne?

– Jasne – odpowiedziałem, nie odrywając wzroku od telewizora. W zeszłym roku ciocia Jo upolowała atari 2600 na jakiejś wyprzedaży garażowej, a do konsoli dorzucili całe pudełko gier. Najchętniej grałem w *Pac-Mana* i całkiem nieźle mi szło. Jeszcze lepiej radziłem sobie z *Ms. Pac-Man*, ale to już w salonie gier. *Pitfall!* też był fajny.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Pizza, kasa, napiwek, jasne – mruknąłem.

– Dobrze, a czego masz nie robić?

– Nikomu otwierać.

– Z wyjątkiem dostawcy pizzy.

– Z wyjątkiem dostawcy pizzy.

Ciocia Jo schyliła się i pocałowała mnie w czubek głowy. Jej kelnerski mundurek pachniał naleśnikami i przypalonymi grzankami.

– Dzisiaj zamykam, ale powinnam wrócić około północy. Może nawet wcześniej, jeśli mi się uda.

– A co, jak facet z pizzą będzie miał siekiere i porąbie mnie na kawałeczki?

– To nie dasz mu napiwku. Muszę lecieć. – Po chwili już była za progiem, została po niej tylko smużka dymu z papierosa.

Duch Blinky złapał mnie w rogu planszy i straciłem trzecie życie, *game over*.

– Kurna.

Dawniej ciocia zostawiała mnie z kolejnymi opiekunkami, aż do ubiegłego roku, kiedy skończyłem siedem lat. Teraz nie mogła sobie na to pozwolić. Stwierdziła, że taniej by jej wychodziło w ogóle nie pracować, niż zatrudniać kogoś, żeby mnie pilnował. Zresztą i tak nie potrzebowałem opiekunki. Większość z nich tylko siedziała i gadała z chłopakami przez telefon (niektórzy nawet tu przychodzili), a wszystkie całkowicie mnie ignorowały.

Zawarliśmy więc umowę. Koniec z opiekunkami, ja dostaję dolara, żeby grzecznie siedzieć w domu, a do tego mogę wybrać, co chcę na kolację. Zawsze chciałem pizzę. Nie było dla mnie nic lepszego. Część nowo zdobytego majątku

przeznaczałem na zakup komiksów. Reszta trafiała do słoika schowanego pod łóżkiem. Kiedy ostatnio sprawdzałem, miałem już odłożone trzydzieści dwa dolary.

Wstałem, przeciągnąłem się i podszedłem do okna.

Ciocia Jo szła po drugiej stronie ulicy, mniej więcej przecnicę od domu. Zaczekałem, aż wejdzie do jadłodajni Krendal's, gdzie pracowała, odliczyłem do dziesięciu, włożyłem buty i wyslizgnąłem się z mieszkania.

Zapukałem do drzwi z numerem 304. Nikt nie odpowiedział, więc zapukałem jeszcze raz, głośniejsze. Już miałem załomotać po raz trzeci, gdy drzwi uchyliły się na szerokość kilku centymetrów, zabezpieczone metalowym łańcuchem.

W szczelinie ukazały się paciorkowate oczy. Patrzyły zza grubych szkieł okularów, sklejonych na środku taśmą i tkwiących na starej, pomarszczonej twarzy zwieńczonej szopą siwych włosów. Pani Leech.

– Czego?

– Ma pani książki, prawda?

– „Ma pani książki”? To ma być eleganckie powitanie starszej osoby?

Wiedziałem, że pani Leech ma książki, bo pilnowała mnie przez ten krótki okres pomiędzy opiekunkami a decyzją cioci, żebym zostawał w domu sam. Miała całe półki książek, gazet zresztą też. Ciocia Jo mówiła, że sąsiadka gromadzi śmieci.

– Szukam *Wielkich nadziei* Charlesa Dickensa.

– Dickensa?

– Zgadza się. Ma pani?

Pani Leech spojrzała ponad moim ramieniem na otwarte drzwi naszego mieszkania.

– Gdzie jest ciocia?

– W pracy.

– Nie wolno ci wychodzić z domu, kiedy jej nie ma.

– Nie wyszedłem. Przecież jestem zaraz obok. – Pokazałem na drzwi. – Jeśli pożyczycie mi pani książkę, podzielę się pizzą.

Zobaczyłem błysk w jej oku.

– Masz pizzę?

– Jeszcze nie, ale niedługo przywiozę.

Pani Leech miała słabość do pizzy, zwłaszcza pepperoni. Czasami jadła nawet pizzę z ananasem. Ciocia Jo twierdziła, że sąsiadce na starość miesza się w głowie. Coś chyba było na rzeczy – nikt przy zdrowych zmysłach nie kładłby ananasa na pizzę.

Zamknęła drzwi, zdjęła łańcuch i wpuściła mnie do środka.

– Zgadza się, mam książki. Całą masę książek. Tamta też chyba gdzieś tu jest.

Chciała zamknąć drzwi, ale przypomniałem jej, że musimy nasłuchiwać dostawcy pizzy. Zostawiła wąską szparę, ale niechętnie. Dwa razy przyłapałem ją, jak oglądała się niespokojnie. Ciocia mówiła mi, że do pani Leech było kiedyś włamanie, jakieś dziesięć lat temu. Wyważyli drzwi, weszli do środka i zrobili złe rzeczy. Nikt mi nie powiedział, co to były za złe rzeczy, ale od tej pory rzadko wychodziła. Mówiła, że wtedy poszli za nią do domu, więc jeśli nie będzie wychodziła, już nikt nie będzie mógł jej śledzić. Ciocia Jo robiła jej zakupy przy okazji, kiedy i tak była w spożywczym po rzeczy dla nas. Chyba nigdy nie widziałem pani Leech poza budynkiem.

– Przypilnuję drzwi – zaoferowałem. – A pani niech poszuka książki.

To ją wyraźnie uspokoiło.

Skinęła głową i zaczęła przedzierać się przez salon, ostrożnie, żeby nie poprzewracać stosów gazet.

– Dobrze, że interesujesz się klasyką, ale nie wydaje ci się, że powinieneś zacząć od czegoś w rodzaju *Hucka Finna*? Mark Twain jest znacznie lepszy od tamtego Brytola. Dickens okropnie leje wodę. Czasem myślę, że musiał sprawdzać okładkę, żeby sobie przypomnieć, jaką książkę właściwie bazgroli, tak bardzo się zapędza w te swoje opisy. Twain jest przystępny i bezpośredni, konkretny, znacznie zwięźlejszy.

– To do szkoły – skłamałem.

– A to już zaczęła się szkoła? – dobiegł mnie jej przytłumiony głos. Straciłem ją z oczu, była gdzieś na drugim końcu pokoju.

– Dopiero za dwa tygodnie, ale pani Thomas kazała nam przeczytać przez wakacje.

– Trudna lektura jak na trzecią klasę.

– Idę już do czwartej.

– No, chyba że tak...

Nie miałem pojęcia, w której klasie omawia się tę książkę, jeśli w ogóle jest lekturą.

– Mam! – zawołała. W tej samej chwili rozległ się huk.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tak. To tylko encyklopedie. Powinny stać na półce, ale zajmują tyle miejsca...

Kiedy znów znalazła się w moim polu widzenia, włosy miała jeszcze bardziej rozczochrane niż wcześniej, a w rękę trzymała książkę w miękkiej oprawie.

– Z tą książką wiąże się dla mnie wiele miłych wspomnień. Chyba będę musiała przeczytać ją jeszcze raz, kiedy skończysz. Oddasz, prawda?

Przytaknąłem i sięgnąłem po książkę.



– Widzę, że ciocia wychowuje cię „własnoręcznie”, że tak powiem. – Zamyśliła się na chwilę. – Właściwie to wiele cię łączy z małym Pipem.

– Co to znaczy „własnoręcznie”?

– Nie chcę ci zbyt wiele zdradzać – odparła z uśmiechem. – Sam się przekonasz.

Ilustracja na okładce przedstawiała chłopca i dziewczynkę, oboje byli dziwnie ubrani. Chłopiec się uśmiechał, dziewczynka nie.

Razem zaczekaliśmy na dostawcę pizzy. Nie miał przy sobie siekiery.

### 3

Siedemnastego sierpnia zepsuła nam się klimatyzacja.

Nie mieliśmy drogiego systemu chłodzenia, tylko klimatyzator okienny w salonie, duże beżowe pudło, które gulgotało i z którego kapało na podłogę, ale schładzało mieszkanie przez te kilka dni w roku, kiedy w Pittsburghu przygrzewało słońce.

Siedemnasty sierpnia był właśnie jednym z takich dni – 34 stopnie przed południem, a z każdą minutą temperatura rosła.

– Nie zapłacę czynszu, jeśli Triano nie raczy przywlec tu swoich czterech liter w ciągu najbliższej godziny – oznajmiła ciocia Jo. Przepchnęła sfatygowany skórzany fotel pod drugie okno, to bez zepsutego klimatyzatora wepchniętego we framugi, i teraz leżała na nim z mokrą ścierką na czole. W ciągu ostatnich dwudziestu minut musiała zdjąć bluzkę, bo teraz miała na sobie tylko bładzi biustonosz i niebieskie szorty, a jej bosa stopy dyndały z poręczy. – Ten szmelc zawsze się psuje, kiedy go najbardziej potrzeba – dodała.

Chciałem jej powiedzieć, że raczej mało prawdopodobne, żeby klimatyzator zepsuł się w środku zimy, ale zmieniłem zdanie.

– Napijesz się lemoniady?

– Chętnie, poproszę.

Wyciągnąłem szklankę ze sterty brudnych naczyń w kuchni, umyłem ją i nalałem lemoniady z dzbanka. Sam ją przyrządziłem. Kiedy podałem szklankę cioci, pociągnęła niepewny łyk, a potem wychyliła jednym haustem.

– Następnym razem możesz dać więcej cukru, ale dobrze ci idzie.

Jeszcze nigdy nie udało mi się zrobić idealnej lemoniady.

Zamknęła oczy i zaczęła turlać pustą szklanką po policzkach.

– Idź się pobawić na dworze. W tym wieku dzieciak nie powinien siedzieć cały dzień w czterech ścianach. Powinieneś bawić się z kolegami.

– Nie mam żadnych kolegów. W całym budynku nie ma nikogo w moim wieku.

Machnęła słabo ręką.

– Może w takim razie powinniśmy się przeprowadzić do pałacu na przedmieściach, kupić wielką rezydencję z basenem... rozległą posiadłość, żeby wszystkie dzieci z sąsiedztwa musiały się ustawiać w kolejce i składać podania

o zostanie twoim kolegą albo koleżanką. Wtedy mógłbyś wybrać najlepszych, a resztę pogonić. To na pewno znacznie łatwiejsze, niż gdybyś po prostu wyszedł z domu i zaryzykował, że spotkasz kogoś w swoim wieku i nawiądziesz znajomości taką staroświecką metodą. – Ciocia Jo obróciła głowę i zmrużyła oczy w blasku słońca, które kładło się jasną smugą na jej twarzy. – Kocham cię, młody, ale naprawdę nie powinieneś spędzać ostatnich dwóch tygodni wakacji ze mną w domu. Zdarza mi się być upierdliwym babskiem i teraz właśnie jest taki dzień. Rozkazuję ci wyjść na dwór i się dobrze bawić.

– Ale...

– Już – ucięła. – I masz mi nie wracać przed szóstą.

Nie próbowałem się kłócić. Wziąłem komiks ze stołu w kuchni i czmychnąłem za drzwi.

Znalazłem się na cmentarzu.

Nie podjąłem świadomej decyzji, żeby pójść na cmentarz, ale tam właśnie wylądowałem – może dlatego, że była to jedyna otwarta przestrzeń w okolicy naszego mieszkania, no i panował tam spokój. Odwiedziłem groby rodziców: włożyłem do wazonów mleczko, których nazrywałem po drodze przy Greenlee Road, i własną koszulką wyczyściłem nagrobek taty. Jeśli ciocia zapyta, gdzie się tak uświłem, to jej odpowiem, że chłopackie zabawy to brudna sprawa.

Z poczuciem dobrze wykonanej pracy wspiałem się na wzgórze i biegiem minąłem mauzolea, przezornie wstrzymując oddech.

Spodziewałem się, że zobaczę dziewczynę tam, gdzie poprzednio, ale ławka była pusta, jeśli nie liczyć kilku czerwonych liści klonu, które utkwily między metalowymi elementami. Odgarnąłem je, usiadłem i otworzyłem komiks, w którego środku ukrywałem książkę z uśmiechniętym chłopcem i poważną dziewczynką na okładce. Przewróciłem na pierwszą stronę i zacząłem czytać.

Dwa dni później wróciłem na cmentarz. Kolejnego dnia również. Ławka zawsze była pusta. Przychodziłem codziennie przez resztę wakacji i jeszcze długo po rozpoczęciu lekcji, ale tamtą dziewczynę zobaczyłem dopiero blisko rok później.

Nie zauważyłem też mężczyzny obserwującego mnie spomiędzy drzew – czasem tam stał, czasami nie.

8 sierpnia 1985

*Dziewięć lat*

Dn. 08.08.1985:

Pacjent „D” – parametry w normie.

Nagranie audio/wideo.

- Wszystko się nagrywa?
- Nie wszystko. Ale prawie. Skup się. Drugi raz nie będę tłumaczyć.
- Przepraszam.
- Czyste kasety są w tych pudłach pod biurkiem. Jeśli ktoś tam jest, zawsze nagrywaj. Jeśli on coś mówi, nawet jeśli jest sam, koniecznie nagrywaj. To jest złoto, na tym właśnie najbardziej im zależy. Uważaj, co mówisz tutaj, w budce. Mikrofony to też złapią i zostanie oficjalnie zarejestrowane. Jeśli robi się gorąco, trzymaj gębę na kłódkę. Cokolwiek by się działo. Trzymaj gębę na kłódkę i rób, co do ciebie należy.
- Czyli zmieniać kasety.
- Tak.
- Mogę o coś spytać?
- Tylko żeby to nie było głupie pytanie.
- Powiedzieli mi, że mam go nie słuchać. Nie rozmawiać z nim.
- Rozwiązali ten problem już parę lat temu. Prosta sprawa. Włączyli opóźnienie. Wszystko, co słyhać i widać na tych monitorach, wydarzyło się pół minuty wcześniej. Tak jest bezpiecznie.
- W takim razie dlaczego on ma na twarzy maskę?

# 1

– Pomóż mi to wyrwać – powiedziała ciocia Jo, odgarniając pnącze, które jakimś cudem zdołało opleść nagrobek mamy w ciągu dwóch dni od mojej ostatniej wizyty.

Pociągnąłem u podstawy i wyszarpnąłem roślinę z korzeniami i pecyną ziemi.

Zauważyłem, że przygląda się nagrobkowi taty – oczyszczonemu z kurzu i mchu porastającego wykute litery.

– W głowie mi się nie mieści, że możesz żywić jakiegokolwiek ciepłe uczucia do człowieka, który zabił twoją matkę.

Wiedziałem, że lepiej nic nie mówić. Gdybym ją poprawił, zrobiłaby się awantura, a chciałem sprawdzić, co z ławką.

Nie licząc kilku zimowych dni, chodziłem tam prawie codziennie i za każdym razem ławka była pusta. Zacząłem nawet próbować różnych pór dnia, na wypadek gdybyśmy po prostu się mijali, ale niezależnie od godziny nigdy jej nie było.

W szkole też jej nie spotkałem. Mówiła, że jest w moim wieku, a wszystkie dzieciaki z okolicy chodziły do Lincolna. To oznaczało, że mieszka gdzie indziej, ale w takim razie co robiła tamtego dnia na cmentarzu? Kogo odwiedzała? Nie mogłem przestać myśleć o towarzyszącej jej kobiecie. Dlaczego miała strzelbę? Może porwała dziewczynę i przyjechała z nią na cmentarz, żeby... żeby co? To nie miało sensu. Całe to spotkanie było niepojęte i pewnie dlatego nie mogłem przestać o niej myśleć.

Ciocia Jo rozłożyła koc na grobach i podała mi kanapkę – biały chleb z szynką i serem. Jakiś tydzień temu zauważyłem, że przestała kupować Wonder Bread i przerzuciła się na markę własną supermarketu. Masło orzechowe też nie miało już na słoiku logo Jiffy, tylko prostą etykietkę z napisem „Masło orzechowe”. Kiedy ją o to zagadnąłem, powiedziała, że jadłodajnia gorzej sobie radzi i obcięli jej godziny. Jeśli sytuacja wkrótce się nie poprawi, pewnie będzie musiała poszukać drugiej pracy. Zaoferowałem jej swoje oszczędności, wynoszące już sto dwadzieścia trzy dolary, ale nie chciała wziąć ode mnie pieniędzy.

– Czytaj – powiedziała, gestem głowy wskazując nagrobek mamy.

– Serio? Znowu?

– Czytaj.

– Kaitlyn Gargery Thatch. Szesnasty lutego tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt osiem, ósmy sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt. Kochająca żona, matka i siostra. – Nie musiałem patrzeć na tablicę. Już dawno nauczyłem się na pamięć tekstu wyrytego na obu nagrobkach.

– Pięć lat – powiedziała ciocia cicho. Dym z papierosa tkwiącego między jej palcami wił się smuzką do nieba. Nie pamiętałem czasów, kiedy nie paliła, ale wydawało mi się, że ostatnio pali więcej. Zdarzało jej się przypalać papierosa niedopałkiem poprzedniego. Zaciągnęła się, wypuściła dym. Miała żółte zęby.

Dziesięć minut później, z kanapką w brzuchu, a radiem tranzystorowym i komiksem pod pachą, wspinałem się po wzgórzu w stronę mauzoleów.

W tym roku wczesnie zrobiło się chłodno, właśnie zerwał się wiatr i świszczwał pomiędzy kamiennymi budowlami.

Ławka była pusta.

Nie ma jej.

Westchnąłem, usiadłem i położyłem obok komiks – wsunąłem róg okładki pod nogę, żeby wiatr go nie porwał, i włączyłem radio.

Szum. Trochę Phila Collinsa. Znowu szum.

Wyciągnąłem antenę na pełną długość i zacząłem powoli obracać ją w różnych kierunkach.

Poryw wiatru.

Szum i trzaski.

I znowu Phil Collins, głośno i wyraźnie: „Suss, suss, sudio”.

– Siedzisz na mojej ławce.

Nie słyszałem, jak podchodziła, ale oto stała kilka kroków ode mnie w długim czarnym płaszczu.

– Idź stąd.

Zacząłem się podnosić. Serce tak mocno waliło mi w piersi, że nie mogłem zebrać myśli. Twarz oblał mi rumieniec. A jednak usiadłem prosto i wydałem usta, przybierając najbardziej stanowczą pozę, na jaką udało mi się zdobyć.

– Nie.

Wzruszyła ramionami i usiadła na drugim końcu ławki, wyglądając spodnicę wystającą spod grubego płaszcza.

SUV stał na drugim końcu drogi dojazdowej, dalej niż poprzednio. Koło samochodu stała tamta kobieta w długim białym płaszczu i z jeszcze bielszymi włosami. Obok niej stała druga w takim samym stroju. Obie nam się przyglądały, patrzyły na mnie.

– Jak się miewasz, Johnie Edwardzie Jacku Thatchu?

– Chyba w porządku.

– Nie jesteś pewny, czy miewasz się dobrze czy nie? Wydawałoby się, że ocena własnego stanu ducha powinna być tak łatwa jak stwierdzenie stanu pogody.

– W porządku.

– A twoi rodzice? Nadal nie żyją, jak mniemam?

– Przeczytałem.

– Co przeczytałeś?

Wyciągnąłem komiks spod nogi i przesunąłem po ławce w jej stronę.

Przesunęła po okładce dłonią w rękawiczce i zmarszczyła czoło.

– Ma mi zaimponować, że przeczytałeś jakiś chłam pod tytułem *Wojownicze żółwie ninja*? I to numer pierwszy. Strach pomyśleć, że jest tego więcej.

Kiedy sięgnąłem do komiksu, żeby go otworzyć, dziewczyna odsunęła dłoń z taką prędkością, że ruch rozmywał się w oczach. Przez jej twarz przemknął cień zawstydzenia. Otworzyłem komiks na środku, pokazując mój egzemplarz *Wielkich nadziei*. A raczej nie mój, tylko pani Leech, której nadal go nie oddałem.

Na ten widok w jej oczach rozbłysły iskierki.

Kobiety w białych płaszczach powoli się przysuwały. Kiedy podniosłem głowę i na nie spojrzałem, zatrzymały się w miejscu. Mój wzrok powędrował do rąbków ich płaszczy, próbowałem dojrzeć zarys broni, jak poprzednio, ale niczego nie zauważyłem. Nawet przy kolejnych porywistych podmuchach wiatru – nic. Może wyobraziłem sobie tamtą strzelbę.

– Zrozumiałeś? – spytała dziewczyna, nie odrywając wzroku od mojej książki.

– Musiałem przeczytać dwa razy – przyznałem. – Za pierwszym razem musiałem sprawdzać znaczenie różnych słów i niektóre dialogi były trudne. Za drugim czytało mi się łatwiej.

Oparła się i spojrzała na swoją książkę – również *Wielkie nadzieje*.

– Czytałam ją już dwanaście razy. Kiedy jutro skończę, to będzie trzynasty.

– Czemu nie przeczytasz czegoś innego?

– A po co? Nie ma lepszych książek.

– Czy ja wiem? Czytałem dużo książek. Niektóre znacznie bardziej mi się podobają.

– Cóż, jesteś głupim chłopakiem.

– Jesteś dla mnie niemiła, bo w książce Estella była niemiła dla Pipa?

Zachichotała.

– Panie Johnie Edwardzie Jacku Thatchu, żaden z ciebie Pip. Jestem dla ciebie niemiła, bo jesteś głupim chłopakiem, który nie zasługuje na nic innego.

– Dlaczego nie widziałem cię w szkole?

– Nie chodzę do szkoły, nauczyciele przychodzą do mnie. W sumie sześcioro, z każdego przedmiotu, jaki tylko możesz sobie wyobrazić. Mówi się, że jestem



bardzo mądra, być może genialna, więc uczęszczanie do publicznej szkoły mogłoby mi zaszkodzić.

– Jesteś bogata?

– Mieszkam we wspinałym domu, niemal pałacu. Służba jest do naszej dyspozycji przez całą dobę, niczego mi nie brakuje. W wolnym czasie podróżuję po całym świecie, odwiedzam kolejne egzotyczne miejsca, uczę się o ich mieszkańcach i kulturze. To chciałbyś usłyszeć?

Wzruszyłem ramionami.

– Jeśli to prawda.

– To prawda.

– Okej.

Zaczęła skubać rękawiczkę, ciągnąć za koniuszek.

– Dlaczego je nosisz?

– Jest zimno.

– Nie aż tak. Zresztą ostatnio było ciepło, a też je miałaś.

– Może mi się podobają. – Wsunęła palec pod prawą rękawiczkę i zdjęła ją.

Dłonie miała długie i wąskie.

– Stello. – Kobieta z białymi włosami łypnęła na nią i podeszła bliżej.

Stella szybko włożyła rękawiczkę z powrotem.

– Po prostu je lubię. – Wsunęła dłonie pod uda.

– Dlaczego dzisiaj? Dlaczego akurat ta ławka?

– Ile pytań...

– Byłem tutaj parę razy i cię nie spotkałem. A dzisiaj znów jesteś. Dokładnie rok od poprzedniego razu. Ósmego sierpnia. Dlaczego?

Prawie się uśmiechnęła.

– Szukałeś mnie?

– Nie. Po prostu... Blisko mieszkam. Często odwiedzam rodziców. To wszystko.

– Sprawiasz wrażenie zdenerwowanego, Jack. Ja cię tak stresuję?

– Nie – odparłem z nadzieją, że nie mam już wypieków na twarzy.

Podniosła wzrok i spojrzała na mnie intensywnie brązowymi oczami.

– Twoi rodzice zmarli ósmego sierpnia?

Przytaknąłem.

Znowu odchyliła się na oparcie ławki i uniosła oczy do nieba.

– Dziwne zbiegi okoliczności są na tym świecie.

– Moja ciocia Jo twierdzi, że nic nie dzieje się przypadkiem.

– Ciocia jest tutaj z tobą?

– Przy grobach rodziców. Przychodzimy co roku.

– No to może się jeszcze spotkamy.

– Już idziesz? Ale dopiero...

– Stello. – Znowu ta białowłosa kobieta.

Stella zmrużyła oczy i rozsiadła się wygodniej.

– Jeszcze nie. Mam godzinę. – Odniosłem wrażenie, że mówi to nie do mnie, lecz do tamtych kobiet, bo powiedziała to znacznie głośniej, niż byłoby konieczne, gdyby mówiła tylko do mnie.

Nagle zauważyłem jakiś ruch na tylnym siedzeniu SUV-a.

Jakiś mężczyzna. Nie, chłopak.

– Kto tam jest?

Stella powiodła wzrokiem za moim spojrzeniem i spochmurniała.

– David Pickford.

– Kto to jest?

– Nikt.

– Ile ma lat?

– A jakie to ma znaczenie?

– Tak się zastanawiam.

Wzruszyła ramionami.

– Dziewięć czy dziesięć, zdaje się. Tyle co my.

– Ma na twarzy maskę?

Dłoń w rękawiczce powędrowała do mojego komiksu i przeczuciła strony.

– Zapomnij o nim. Opowiedz mi o tych swoich żółwiach.

Uśmiechnąłem się i to właśnie zrobiłem. Chłopak obserwował nas z samochodu, kobiety w bieli z mniejszej odległości.

Następnym razem miałem zobaczyć go trzynaście lat później, a i tak okazało się to za szybko.

## 2

– To wcale nie jest All-American Slam – zaprotestowałem, patrząc na talerz, który postawił przede mną pan Krendal. Do Święta Dziękczynienia zostało dziesięć dni i ciocia Jo pracowała na dwie zmiany, kiedy tylko się dało, żeby zbierać na porządny obiad z indykiem. To oznaczało, że przez jakiś czas nie było pizzy. Zawiesiła mi też kieszonkowe. Nie przeszkadzało mi to. Odłożyłem już sto czterdzieści jeden dolarów. Skoro ciocia Jo nie chciała ode mnie pieniędzy, dałem je panu Triano, gospodarzowi budynku, żeby kupił indyka i zrobił jej niespodziankę.

Elden Krendal, właściciel i jedyny kucharz w jadłodajni, miał taką zasadę, że pracownicy mogą jeść za darmo, ale tylko jeśli nie zamawiają z karty, a zjadają nadwyżki, zanim jedzenie się przeterminuje.

Kilka tygodni temu, kiedy ciocia Jo zapytała, czy może się ze mną podzielić darmowym posiłkiem, Krendal wytarł te swoje łapska z palcami jak serdelki o biały niegdyś fartuch i przyklęknął przede mną.

– Ale mały ten chłopak! Za mały jak na swój wiek. Ile, mówiłaś? Osiem lat?

Był niewysoki, parę centymetrów wyższy od cioci Jo, ale potężny. Podejrzywałem, że osiągnął takie rozmiary, bo przez cały dzień podjadał w kuchni. Musiał ważyć przynajmniej ze sto pięćdziesiąt kilo, przypominał mi sflaczałego Mr. Cleana, tego z reklam środków czystości, tyle że starszego o dwadzieścia lat. Nie miał ani jednego włosa na głowie. Kiedyś podsłuchałem, że miał już dość zakładania siatki na włosy, więc je zgolił. Ciocia Jo twierdziła, że to jego włosy miały go dość i same go opuściły. Miał też zaraźliwy uśmiech. Nie mogłem sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek się nie uśmiechał. Nawet kiedy wykrzykiwał coś z kuchni, uśmiech nie znikał mu z twarzy.

– Dziewięć – poprawiłem go.

Pokręcił głową.

– Skóra i kości. Nie wyrośniesz na silnego mężczyznę, jak będziesz podjadał z talerza ciotki. Powinieneś dostawać własny posiłek.

– Nie stać mnie... – zaczęła ciocia Jo, ale pan Krendal tylko machnął ręką.

– Będziemy karmić tego chłopaka, aż pęknie. Może kiedyś zechce u mnie pracować.

– Pójdę na studia i zostanę astronautą albo reporterem w „Daily Planet” – oznajmiłem.

– A może reporterem w kosmosie? Na pewno by się nam taki przydał – stwierdził Krendal. – Siądź sobie gdzieś, a ja załatwię ci coś do jedzenia.

Ciocia Jo wskazała na stołki przy barze, ale wybrałem boks, mały, dwuosobowy, na samym końcu, tuż przy łazienkach. W następnych tygodniach stał się moim boksem. Pan Krendal wypisał dużymi literami karteczkę o treści: REZERWACJA DLA JACKA THATCHA – ASTRONAUTY-REPORTERA i codziennie przed zmianą cioci Jo kładł ją na stoliku, bo wiedział, że pewnie też wtedy przyjdę.

Kiedy dzisiaj zapytał, co chcę na kolację, powiedziałem, że zestaw All-American Slam, jak w Denny’s, a do tego shake’a czekoladowego. Tymczasem dostałem kanapkę z chleba żytniego z kurczakiem, frytki i szklankę wody.

– To All-American Slam w wersji Krendala. Być może nieco się różni od posiłku o tej samej nazwie u konkurencji – oznajmił kucharz. – Kiedy ci sympatyczni ludzie z Denny’s ukradli tę nazwę z mojej karty, nie przeczytali opisu dania. Mam ten sam problem z ludźmi z McDonalda. Przez rok im tłumaczyłem, że Big Mac to miska makaronu z serem i bekonem na wierzchu, ale w ogóle nie słuchali. Za moich czasów kradzież własności intelektualnej to było coś. Dzisiaj złodzieje w ogóle się nie szanują.

Zwichrzył mi włosy i wrócił do kuchni. Zawsze prosiłem o czekoladowego shake’a. Nigdy go nie dostałem. Krendal upierał się, że ludzi nie stworzono do pochłaniania takich ilości cukru, a woda jest zdrowsza, zwłaszcza dla moich zębów. On sam przez pięćdziesiąt osiem lat nigdy nie miał próchnicy. Od razu nadmienił też, że nigdy nie pił shake’ów.

Szybko uporałem się z kanapką i frytkami. Były przepyszne.

Podczas gdy jadłem, ciocia Jo uwijała się na sali. Ona też się uśmiechała. Widziałem, jak przed każdym klientem przywołuje na twarz swój najlepszy uśmiech. Widziałem też, że gdy tylko odwraca się do klienta plecami, uśmiech znika z jej twarzy. Nie chciała tu być.

Już miałem wracać do domu, kiedy rzuciła mi na stół cztery dolary.

– Obsłużyłam trzy stoliki i ledwie uzbierałam na fajki. Fatalne dziś napiwki. Niech to się lepiej szybko poprawi. Będiesz tak miły i skoczysz obok po dwie paczki czerwonych setek? Reszta dla ciebie.

Chciałem odmówić. Ciocia za dużo paliła. Tego ranka kasłała bez przerwy prawie pięć minut, zanim w ogóle wstała z łóżka.

Ale jak nie pójdę, to i tak kupi sobie papierosy na przerwie, a potem jeszcze będzie mnie obwiniała, że w tym czasie przepadły jej napiwki.

Wziąłem pieniądze i ruszyłem do drzwi.

– Zaraz wracam.

### 3

Na niebie kotłowały się szare chmury o białych krawędziach, w powietrzu wyczuwało się wilgoć. Jeszcze dziś nie padało, ale mogłem się założyć, że będzie. W Pittsburghu w listopadzie nie był to ryzykowny zakład, nikt z miejscowych nie obstawiłby innej wersji. Dochodziło południe, słońce powinno stać wysoko na niebie. Tymczasem udało się chyba na Florydę, zostawiwszy na zastępstwo słabą żarówkę.

Corner Mart znajdował się dwa lokale od Krendal's, więc nawet nie musiałem przechodzić przez ulicę. Sklepek zajmował parter budynku w kształcie klina – wąskiego z przodu i rozszerzającego się ku tyłowi, zbudowanego zapewne z uwagi na dziwny kąt ulicy i całego wzgórza, na którym stał ten kwartał. Pittsburgh nie charakteryzuje się rozległymi równinami, a właśnie dziwnymi kątami. Nawet podłoga w naszym mieszkaniu była tak nierówna, że matchboxy przejeżdżały z jednego końca kuchni na drugi bez mojej pomocy.

Kiedy otworzyłem drzwi, rozległ się elektroniczny dzwonek anonsujący klientów. Chociaż sklep miał przy drzwiach dwie duże witryny, każdy skrawek szyby pokrywały plakaty, ogłoszenia i reklamy najróżniejszych towarów – od mleka przez piwo po papierosy – a każdy napis kończył się wykrzyknikiem, bo przecież tabliczka o treści PAPIEROSY 1,25 \$! wygląda znacznie lepiej niż PAPIEROSY 1,25 \$. W tym mieście na każdym rogu stał taki sklepek, a przetrwać mogły tylko te z największym wyborem wykrzykników.

Za ladą siedział łysiejący brunet we flanelowej koszuli w kratę, za małej o jakieś dwa rozmiary. Nie znałem go. Skinął mi głową na powitanie i opuścił niżej czytany egzemplarz „Pittsburgh Post-Gazette”. Steelersi pokonali wczoraj Oilersów trzydzieści do siedmiu – siódme zwycięstwo z rzędu.

– Co podać, młody?

Lada była dla mnie trochę za wysoko, ale wydawało mi się, że jakby się obniżyła od mojej ostatniej wizyty. Wyciągnąłem rękę w górę i podsunąłem cztery banknoty jednodolarowe tak blisko sprzedawcy, jak tylko mogłem.

– Dwie paczki czerwonych marlboro setek poproszę.

Zmarszczył czoło i wrócił do lektury gazety, kręcąc głową.

– Przecież wiesz, że ci nie sprzedam.

– Dlaczego?

Przewrócił oczami, wskazując na tabliczkę: ZAKAZ SPRZEDAŻY WYROBÓW TYTONIOWYCH OSOBOM PONIŻEJ 18. ROKU ŻYCIA. Ten napis nie kończył się wykrzyknikiem.

– To nie dla mnie, tylko dla cioci.

– Która to twoja ciocia?

– Josephine Gargery. Jest w pracy i nie mogła sama przyjść.

– Jo... Od Krendala?

Przytaknąłem.

– To na pewno nie dla ciebie? Nie pójdziesz za róg palić z kumplami?

– Papierochy są paskudne. W życiu bym nie chciał palić. Pan Cougin mnie zna. Często tu przychodzę.

– Pan Cougin ma dziś wolne.

– Ale jest właścicielem, prawda? Skoro jemu nie przeszkadza, że sprzedaje mi papierosy, to pan chyba też może? Inaczej ciocia Jo będzie musiała wyjść z pracy, a wtedy będzie zła, pan Krendal zresztą pewnie też. Potem poskarżą się panu Couginowi, a on się wyżyje na panu. Tego wszystkiego da się uniknąć, jeśli po prostu sprzeda mi pan te papierosy. Nie lubię awantur i podejrzewam, że pan też. Poza tym nie jestem donosicielem. Porządny ze mnie chłopak.

Sprzedawca przygryzł policzek od środka, zerknął na gazetę, jakby właściwą odpowiedź wydrukowano pod informacją o wygranej Steelersów, i w końcu wyjął dwie paczki papierosów z półki nad głową.

– Nikt nie lubi awantur.

– To prawda – przyznałem. – Nikt.

Wydał mi dolara i trzydzieści osiem centów reszty.

– Dziękuję. – Z drobnymi i papierosami w ręku ruszyłem do stojaka z komiksami na tyłach sklepu. Miałem już większość najlepszych, ale czaiłem się na jeden konkretny: jedenasty zeszyt pierwszego tomu „Superman Annual”. Upolowałem go już we wtorek, ale miałem przy sobie tylko siedemdziesiąt trzy centy, za mało, bo miał zaporową cenę dolar dwadzieścia pięć, więc schowałem gazetkę za czwartym numerem „Strawberry Shortcake” na górnej półce, gdzie nie zajrzałyby żaden szanujący się wielbiciel komiksów, i miałem nadzieję, że będzie na mnie czekał. Teraz znalazłem go na miejscu i ściągnąłem z półki. Kiedy kartkowałem komiks, rozległ się dzwonek przy wejściu. Usłyszałem stłumiony szum samochodów i szuranie butów, a po chwili drzwi się zatrzasnęły.

– Dawaj wszystko z kasy, ale już!

Donośny, szorstki głos dobiegł mnie z przedniej części sklepu, zza moich pleców.

– Dobrze, w porządku, spokojnie. – To głos sprzedawcy. – Bierz wszystko, nie będę...

Huk wystrzału wstrząsnął obklejonymi szybami.

Upuściłem papierosa.

Potem wszystko wydarzyło się bardzo szybko.

Obróciłem się w tej samej chwili co strzelający. Widziałem jakby w zwolnionym tempie, jak falują za nim długie, przetłuszczone, rude włosy, wpadają do kaptura brudnej granatowej bluzy, on podnosi rękę, celując z broni w moją stronę, z lufy nadal unosi się dym.

Nacisnął spust, i to dwa razy.

Serce waliło mi boleśnie, nigdy wcześniej nie czułem tak silnego łomotania w piersi.

Poczułem wilgoć na udzie, ciepła plama rozlewała się na nogę.

Pistolet trzasnął.

Dwa głucho trzaski.

Zero wystrzału. Zero kuli. Jakaś usterka.

Napastnik zerknął na broń z wyrzutem, prawie nią we mnie rzucił, po czym odwrócił się do kasy, zaczął wybierać gotówkę i upychać banknoty po kieszeniach. Kiedy ją opróżnił, podszedł do mnie z dzikim wzrokiem.

– Wiem, jak wyglądasz, gówniarzu. Nigdy nie zapomnę twarzy. Piśnij chociaż słowo, to cię dojadę. Wypatroszę cię i powieszę, kurwa, na latarni.

Chwilę później już go nie było. Zostałem sam.

Spojrzałem na nogę. Zmoczyłem się. Nie obchodziło mnie to.

Sam nie wiem, jak długo tak stałem. Nie mogłem się ruszyć.

W końcu poczułem się na siłach, żeby wrócić do Krendal's i wezwać pomoc.



8 sierpnia 1986 roku

*Dziesięć lat*

Dn. 08.08.1986:

Rozmowa z dr Helen Durgin. Pacjent „D” sprawia wrażenie niespokojnego.

Nagranie audio/wideo.

- Chciałabym porozmawiać o twoich rodzicach.
- Nie chcę.
- Musisz. Musimy wszyscy zrozumieć, co się stało.
- Nie pamiętam. Byłem wtedy mały.
- Pamiętasz. Myślę, że pamiętasz wszystko, co wydarzyło się tamtego dnia.

Cisza.

- To nie twoja wina, Davidzie. Miałeś zaledwie dwa latka. Nie mogłeś wiedzieć, co się stanie.
- Nie chcę.

Doktor Durgin westchnęła.

- A o czym ty chciałbyś porozmawiać?
- Dlaczego nikt inny mnie nie odwiedza?
- Wiesz dlaczego.
- Ale ty się nie boisz. Przychodzisz.
- Jestem głucha, Davidzie. Nie słyszę cię. Tylko czytam z ruchu twoich warg.
- I dlatego się nie boisz?
- Dlatego mogę cię odwiedzać.
- Czyli gdybyś zaczęła słyszeć, nie mogłabyś mnie już odwiedzać?
- Chciałabym, ale raczej by mi nie pozwolili.
- Ale rozmawiałabyś ze mną przez głośniki, tak? Tak jak wszyscy inni?
- Gdyby mi pozwolili.
- Dawniej odwiedzał mnie doktor Peavy. On nie był głuchy.
- Ale już nie przychodzi, prawda? Pamiętasz, co się stało z doktorem, Davidzie?
- Tak. Doktor Peavy był dla mnie niedobry. Kazałem mu przestać.
- To było dwa tygodnie po twoich rodzicach. Skoro pamiętasz, co się stało z doktorem Peavym, to na pewno pamiętasz, jak to było z nimi.

Cisza.

- Davidzie?
  - Jestem zmęczony. Możemy już przestać?
  - Czy rodzice byli dla ciebie niedobrzy? Tak jak doktor Peavy?
  - Mój tatuś.
  - I kazałeś mu przestać?
- Cisza.
- Davidzie, musisz odpowiadać na głos, do akt. Kazałeś tacie przestać?
  - Tak.
  - Jak to zrobiłeś?
  - Nie pamiętam.
  - Chyba jednak pamiętasz.
  - Nie miał zrobić krzywdy mamusi.
  - To nie była twoja wina.
- David nie odpowiedział.

# 1

– Czytaj.

– No weź.

Ciocia Jo świdrowała mnie wzrokiem, jej wargi zaciskały się mocno na niemal wypalonym papierosie dyndającym z kącika ust.

– Czytaj.

Przewróciłem oczami.

– Kaitlyn Gargery Thatch. Szesnasty lutego tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt osiem, ósmy sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt. Kochająca żona, matka i siostra. Mogę już iść?

Ciotka przymrużyła oczy i zapaliła następnego.

– A dokąd ty tak uciekasz?

Złapałem komiks z koca.

– Tam za górką jest ławka, chodzę tam poczytać.

– Możesz czytać tutaj. Mógłbyś poczytać na głos mamie i mnie. Na pewno byłoby jej miło.

– Myślę, że raczej ma w dupie *Wojownicze żółwie ninja*.

Trzepnęła mnie w głowę.

– Wyrażaj się! Może i robisz się już duży, ale nie myśl sobie, że nie mogę cię przełożyć przez kolano.

– Tak jest. Przepraszam.

Ciotka burknęła i zaciągnęła się nowym papierosem. Niedopałek poprzedniego wrzuciła do wazonu na grobie taty. Zakonotowałem sobie, żeby go później wyłować.

„Mieć w dupie” było ostatnio moim ulubionym słowem – czy właściwie wyrażeniem. Jakiś miesiąc przed końcem roku szkolnego do Lincoln przeniósł się Duncan Bellino. Jego ojciec był kierownikiem fabryki, przeprowadzili się z Chicago. Mówiliśmy na niego Dunk. Palił i wszystko „miał w dupie”. Miał też największą kolekcję komiksów, jaką widziałem w życiu, nie licząc sklepów – całe pudła. Większość lata spędziłem na przekopywaniu się przez te pudła.

Kiedy w szkole rozeszły się wieści o tym, co się stało w sklepie, nagle wspiąłem się na wyżyny popularności i utrzymywałem na nich przez jakieś dwa

tygodnie, zanim dzieciaki się zorientowały, że jestem tym samym frajerem, którego do tej pory ignorowały. Wtedy sytuacja wróciła do normy, ale Dunk przy mnie został. Kiedy usłyszał o mojej przygodzie, wzruszył ramionami i stwierdził, że w Chicago napada się na sklepy dwa, czasem trzy razy dziennie. Trzeba mieć dużo szczęścia, żeby podczas zakupów nie trafić na jakiegoś zbira, normalka.

Jego ojciec miał broń, bo służył kiedyś w rangerach. Trzymał ją w pudełku po butach na górnej półce szafy. Musieliśmy przytargać krzesło z kuchni, żeby się do niej dostać. Była tam też amunicja. Dunk pozwolił mi zabrać jeden nabój. Powiedział, że jeśli tamten złodziej kiedyś po mnie wróci, pożycz mi rewolwer, żebym mógł rozwalić mu łeb. Jako że broń leżała w pudełku na najwyższej półce w szafie jego ojca, mogłem się założyć, że raczej nie dosięgniemy jej na czas. Musieliśmy jeszcze dopracować logistykę. „Logistyka” była drugim moim ulubionym słowem.

– Widziałaś mojego walkmana?

Ciocia Jo wyłowiła odtwarzacz ze swojej torby. Przeznaczyłem na jego zakup większość oszczędności, ale było warto. Nie dość, że miał wbudowane radio, to jeszcze mogłem słuchać kaset. No i żadnej anteny. Dużo lepsze niż nasze stare radio.

Ruszyłem pod górkę.

– Godzinę! – zawołała ciotka. – Zaczynam dzisiaj o czwartej, Krendal mówi, że możesz sprzątać ze stolików do ósmej, potem przychodzi Carter. Potrzebujemy tej forsy!

Machnąłem potakująco.

Zaczęła kaszeć i słyszałem ją przez całą drogę do mauzoleów. Ostatnio coraz więcej kasłała.

Ławka była pusta. Spodziewałem się tego. Przyszedłem wcześniej. Ostatnio pojawiła się dopiero po czwartej. Usiadłem, założyłem słuchawki i włączyłem walkmana.

Szum.

Tego też się spodziewałem. Przyciszyłem.

W zeszłym roku dałem Stelli pierwszy numer *Wojowniczych żółwi ninja*. Teraz przyniosłem drugi zeszyt, a do tego trzy *Wonder Woman*, które pożyczyłem z osobistych zapasów Dunka. Z początku trochę się zdziwiłem, że ma wszystkie numery *Wonder Woman*, ale zwrócił mi uwagę, że pełno w nich półnagich kobiet. Od tamtej pory też stałem się ich fanem.

Gdyby Dunk wiedział, że zamierzam podzielić się częścią jego bezcennej kolekcji z jakąś dziewczyną, chyba mnie zamordował.

Minęło dwadzieścia minut.

Pół godziny.

Zaczynałem się martwić, że już nie przyjedzie, ale wtedy zauważyłem na drodze dojazdowej białego SUV-a, a za nim drugi samochód, tej samej marki, modelu i koloru. Oba pojazdy zatrzymały się jakieś dziesięć metrów od ławki.

Wytarłem mokre od potu dłonie o dżinsy. Otworzyły się drzwi po stronie kierowcy, wysiadła starsza kobieta i wygładziła długi biały płaszcz. Świeciło słońce, temperatura sięgała trzydziestu stopni, to nie była pogoda na płaszcz. Nie mogłem przestać myśleć o broni, nie o takim rewolwerze, jak miał ojciec Dunka, ale o czymś większym, strzelbie czy karabinie, ukrytym pod tym płaszczem.

Potem otworzyły się tylne drzwi samochodu i spodziewałem się, że wysiadzie z niego Stella, ale zamiast niej pojawił się mężczyzna, szatyn w okularach przeciwsłonecznych i takim samym białym płaszczu. Od strony pasażera wysiedli kolejni ludzie, mężczyzna i kobieta. Z drugiego SUV-a wyłoniły się jeszcze cztery osoby, wszyscy dorośli, ani śladu Stelli. Wszyscy ubrani tak samo. Kobieta, która kierowała pierwszym samochodem i którą kojarzyłem z poprzednich spotkań ze Stellą, podeszła do ławki i zajęła jej miejsce.

Szumy z radia trzeszczały mi w uszach, więc wyłączyłem walkmana i zdjąłem słuchawki.

– Gdzie Stella?

Kobieta odpowiedziała uśmiechem – zimnym jak u kota witającego się z myszą, zanim pożre małe stworzonko w całości, razem z ogonem. Ten uśmiech był maską, za którą nie chciałbym zaglądać.

– Stella dziś do nas nie dołączy.

– A gdzie jest?

Kobieta założyła nogę na nogę. Nawet na mnie nie spojrzała. Patrzyła prosto przed siebie, nie odrywając wzroku od SUV-ów i swoich towarzyszy i towarzyszek.

– Panna Nettleton przebywa gdzie indziej. Miejsce jej pobytu nie jest pańską sprawą.

– Wszystko z nią w porządku?

Pomyślałem, że Stelli stało się coś złego, może przytrafił jej się jakiś straszliwy wypadek. Bo niby dlaczego nie mogła przyjechać?

Długie białe włosy kobiety były ściągnięte w koński ogon zwisający na kołnierzu płaszcza. Zadbane paznokcie miała również długie i białe, pomalowane pod kolor płaszcza. Splotła ręce na podołku.

– Nazywam się Latrese Oliver. Możesz zwracać się do mnie per pani Oliver. W żadnym wypadku nie wolno ci zwracać się do mnie per Latrese. Zajmuję i zawsze będę zajmowała wyższą pozycję społeczną niż ty. Nieważne, jaki sukcesik kiedykolwiek osiągniesz, nawet jeśli przypadkiem uda ci się odnieść

wielki sukces w tym swoim marnym życiu, zawsze będziesz ode mnie gorszy. Rozumiesz? Czy wyrażam się jasno? Kiwnij głową, jeśli rozumiesz.

Bezwiednie zacząłem kiwać głową. Kiedy do mnie dotarło, co robię, zmusiłem się, żeby przestać.

– Dobrze – mruknęła. – Nie żebym wiele się po tobie spodziewała. Obawiam się, że osiągnąłeś już szczyt swoich możliwości, pracując jako knajpiany pomagier, który sprząta śmieci i brudy innych ludzi. Zmywanie plam moczu z uświnionych kafelków na podłodze łazienki, zdrapywanie zaschniętego gówna nieznanym z kibla, to właśnie twoje miejsce.

– Gdzie... gdzie jest Stella? – Starłem się, żeby mój głos brzmiał stanowczo, może nawet groźnie. Ale nie udało mi się. Z moich ust wydobył się pisk, jakby mówił chłopak o połowę młodszy, ten chłopiec, który dziewięć miesięcy temu posikał się w sklepie.

– Podoba ci się nasza mała Stella?

Nie odpowiedziałem. Wbijalem wzrok w stertę komiksów leżącą na ławce.

– Nigdy nie będziesz jej miał – ciągnęła kobieta. – Choćbyś pragnął jej kiedyś z całych sił, nigdy nie będzie twoja. Nie przeszkadza ci to?

– Nie... nie lubię dziewczyn. Nie w takim sensie.

– Czyżby? Ach, ale kiedyś będziesz. Sądzę, że któregoś dnia to się zmieni. Przyjdzie taki dzień, kiedy będziesz pragnął jej tak rozpaczliwie, że stanąłbyś na drodze rozpędzonego samochodu, jeśli dzięki temu mógłbyś jej choćby dotknąć, poczuć ciepło jej ciała, spróbować jej pocałunku. Wszystko dla naszej Stelli.

– Chcę z nią tylko porozmawiać, to wszystko.

Pani Oliver parsknęła, wyraźnie pochłonięta własnym monologiem.

– Założę się, że po tych spotkaniach wracasz do domu, wyciągasz siusiaka i dotykasz się na najbardziej obrzydliwe sposoby, myśląc o niej, o zapachu jej włosów, o tej gładkiej skórze. Widziałeś już kiedyś nagą dziewczynę? Pewno nie. Za młody jesteś. Ale przypuszczalnie i tak o tym myślisz, przez tę twoją główkę przepływają najbardziej zbereźne myśli. Jesteś taki sam jak inni chłopcy, wszyscy jesteście tacy sami. Żaden z was nie zasługuje na naszą Stellę, robi mi się niedobrze na myśl, że miałyby z tobą choćby porozmawiać, nie wspominając o...

– Urwała i pokręciła głową. Potem odwróciła się i w końcu na mnie spojrzała, ciemnoszare oczy wierciły we mnie dziurę, płonęły nienawiścią tak zajadłą, że niemal czułem jej smak. – Będzie dla ciebie wszystkim. Każdy oddech, który wyrwiesz światu, będzie do niej należał, wszystko, co będziesz robił, będzie dla niej, a w zamian nie będziesz dla niej znaczył absolutnie nic. Będziesz jakimś paskudztwem, które zdrapie z buta i zostawi na drodze, gdzie rozszarpia je sępy, zjedzą i wysrają. Jesteś i zawsze będziesz odrzutem, śmieciem, elementem

wszechświata, z którego powinno być się zbudować coś lepszego, wypadkiem przy pracy.

Potem wstała, wygładziła długi biały płaszcz i już bez słowa wróciła do samochodu, a za nią pozostali. Patrzyłem, jak odjeżdżają, a cisza i spokój panujące na cmentarzu zdawały się mnie dusić.



## 2

Preacher wszedł do mieszkania i przycisnął obie dłonie do drzwi, zamykając je z cichutkim stukiem. Wiedział, że nikogo nie ma w domu, był tego pewny, ale nie chciał informować sąsiadów o swojej obecności, tak samo jak nie chciałby wystraszyć domowników, gdyby akurat spali albo oglądali telewizję, a nie odwiedzali gnijące zwłoki dawno zmarłych krewnych na cmentarzu za budynkiem.

W takich blokach mieszkańcy zwykle trzymali się razem. Jak na gust Preachera trochę za często mieszało się do spraw sąsiadów. Nie mógłby mieszkać w takim miejscu i nie rozumiał, dlaczego ktokolwiek z własnej woli się na to decydował.

To jest pudło.

Pudło ustawione na innych pudłach, obok następnych pudeł i pod jeszcze kolejnymi. To nie dom, tylko cela. W takich właśnie miejscach zamyka człowieka społeczeństwo.

Josephine Gargery nie miała wysokich dochodów. Zanim tu przyjechał, przejrzał jej trzy ostatnie zeznania podatkowe. Jako kelnerka zarabiała 2,01 dolara za godzinę plus napiwki, średnio od dziesięciu do piętnastu procent. Preacher oczywiście zawsze zostawiał dwadzieścia procent, niezależnie od jakości obsługi, i zawsze traktował personel kelnerski z najwyższym szacunkiem. Nie dlatego, żeby uważał, że mają trudną pracę albo że zasługują na więcej niż przeciętnie, bo bywał uciążliwym klientem, ale dlatego że mieli do czynienia z jego jedzeniem, często poza zasięgiem wzroku. Nie wyobrażał sobie, żeby potraktować taką osobę jak śmieć, a potem wysłać ją do kuchni po swoje danie. Słyszał raz historię, jak jeden kucharz zamoczył kanapkę z kurczakiem w wodzie po brudnych naczyniach, bo zamówiła ją jego nauczycielka historii z liceum, która trzy lata wcześniej postawiła mu czwórkę z minusem. Można sobie tylko wyobrazić, co taki człowiek by zrobił, gdyby nagle poczuł niechęć do stałego klienta, tylko dlatego, że zachował się nieuprzejmie albo podczas poprzedniej wizyty zostawił marny napiwek.

Preacher zawsze zostawiał więc dwadzieścia procent i tak samo uczynił tego ranka, kiedy jadł śniadanie w Krendal's. Z przychodu deklarowanego przez Josephine Gargery w zeznaniach podatkowych wynikało, że inni klienci nie byli tak hojni. W ubiegłym roku zarobiła 7840 dolarów. Wychodziło 150 dolarów i 77

centów tygodniowo – niewiele ponad krajowym progiem ubóstwa, wynoszącym 7240 dolarów rocznie. Biorąc pod uwagę, że miała jeszcze na utrzymaniu chłopca, nie wiodło jej się najlepiej. Potwierdzał to widok, który ukazał się oczom Preachera, kiedy zaczął się rozglądać po mieszkaniu.

W klitce cuchnęło dymem tytoniowym, mimo że w salonie oba okna były otwarte i wpadał przez nie lekki wietrzyk. Ściany były pokryte tłustymi, żółtawymi zaciekami. Wolał nie myśleć, w jakim stopniu te wstrętne opary przesiąkły meble, pościel, odzież. Miał na dłoniach grube skórzane rękawiczki. Nie mógł, nie chciał dotykać niczego gołymi rękami.

Preacher nie palił i nie tolerował palenia w swojej obecności. Wstrętny, bezsensowny nałóg.

Kiedy stanął plecami do drzwi wejściowych, po lewej miał niedużą kuchnię. Sprzęty miały na oko jakieś dziesięć lat, zaczynały rdzewieć na brzegach i w załamaniach. W lodówce nie było nic oprócz keczupu i tym podobnych, amerykańskiego sera w plasterkach i pół litra mleka, które zaczynało już kwaśnieć.

Przed sobą miał wąski przedpokój prowadzący do salonu, a na ścianie po prawej dwoje drzwi, prawdopodobnie do sypialni. W kuchni nie znalazł nic ciekawego, ani jednej karteczki przyklejonej do lodówki – pomieszczenie wyglądało na rzadko używane, więc przeniósł się do salonu. W kącie po lewej stał stół jadalny, zarzucony stertami korespondencji, otwartej i nie. Preacher sięgnął po najbliższy stosik i przejrzał nadawców: rachunki i Publishers Clearing House. Rachunków nikt nawet nie otworzył, za to formularz zgłoszeniowy do loterii został wypełniony i przygotowany do odesłania w kopercie zwrotnej. Chociaż wpisano dane Josephine Gargery, uczyniono to dziecinnym pismem, niewątpliwie należącym do chłopca.

Preacher odłożył listy na stół, pilnując, żeby wszystko zostawiać dokładnie w tym samym miejscu, po czym rozejrzał się po salonie. Przed niedużym, dwunastocalowym telewizorem stały kanapa i rozkładany fotel. W środku tego trójkąta znajdował się stolik kawowy. Spodziewał się grubej warstwy kurzu, ale blat okazał się czysty, podobnie jak wierzch telewizora. Najwyraźniej dym papierosowy stanowił jedyne źródło brudu. Ktoś regularnie sprzątał w mieszkaniu, co bardzo go zaskoczyło. Najprawdopodobniej to również zasługa chłopaka. Preacher wiedział, że ciotka pracuje na kilka zmian i rzadko bywa w domu, pewnie wracała tylko się przespać i wziąć prysznic. Chłopiec musiał sam sobie radzić. Jak w takim razie udawało jej się palić tak dużo, żeby zadymić całe mieszkanie? Musiała chyba odpalać jednego od drugiego. Preacher wiedział, że chłopak nie pali, przynajmniej na razie. Obserwowali go uważnie, ktoś zauważyłby tak odrażające zachowanie. Obwąchawszy kanapę i fotel, ustalił, że to

na tym drugim fotelu przesiadywała palaczka. Co dziwne, nie znalazł żadnej popielniczki. W oknie przy fotelu nie było moskitiery, więc być może to przez nie strzepywała papierosy, ale wydawało mu się to mało prawdopodobne.

Pierwsza z dwóch niewielkich sypialni sąsiadowała z salonem, ewidentnie ta należąca do chłopaka – ściany były pokryte plakatami superbohaterów i stronami wydartymi z komiksów. Na komodzie znalazł sterty książek, klasyki, takiej jak *Wyspa skarbów* i *Władca much*, oraz kilkanaście tomów przygód braci Hardy'ch. Obok leżały równe stosiki komiksów. W szufladach nie było nic oprócz odzieży, ładnie poskładanej i posortowanej. Skarpetki dobrano w pary i zwinięto w schludne kulki. Spodziewał się, że znajdzie między ubraniami jakąś skrytkę, ale nie. Pod łóżkiem też nic nie było, nawet kotów z kurzu.

W szafie ubrania wisiały idealnie równo, ułożone od jasnych do ciemnych. Na podłodze stało kartonowe pudło. W środku znalazł dwanaście popielniczek ukrytych pod stertą książek – zagadka się wyjaśniła. Widocznie chłopak uznał, że jeśli schowa popielniczki, przekona ciotkę do rzucenia palenia. Sprytne. Naiwne, ale sprytne.

Preacher odłożył wszystko na swoje miejsce i zamknął szafę.

Powiódł wzrokiem po pokoju, idealnie czystym i schludnym. Wszystko leżało na swoim miejscu.

On też był kiedyś chłopcem.

Chłopcy chowają rzeczy.

Wrócił do łóżka, podniósł materac i aż błysnęło mu w oku na widok znaleziska.

Między materacem a sprężynami leżał jakiś zeszyt. Wyjął go i przekartkował. To nie był zwykły notes, lecz szkicownik zawierający dziesiątki rysunków – portretów Stelli.

Opuścił materac z powrotem.

Obrazki były dość prymitywne, ale lepsze niż przeciętne. Znacznie lepsze od tego, co mógłby stworzyć Preacher. Nieporównywalnie lepsze niż to, czego można się spodziewać po dzieciach. Zwłaszcza ostatni szkic, na którym Stella się uśmiecha, a oczy błyszczą jej słońcem, był niezły. Ten był naprawdę dobry. Co więcej, chłopak narysował go czarnym długopisem, techniką niedopuszczającą błędów i poprawek.

Trzeba było to zakończyć. Sprawy wymykały się spod kontroli.

Preacher przysiadł na brzegu łóżka, upuszczając szkicownik.

Co ta dziewczyna w nim widziała?

Dlaczego akurat ten chłopak?

Był nikim, kolejnym szczurem w labiryncie. Jego życie przemknie w mgnieniu oka. Pewnie nie pójdzie na studia, nie osiągnie nawet przeciętnego sukcesu.

Pisane mu było życie pełne fizycznej harówki i zakończone wczesną śmiercią, więc dlaczego on?

Preacher dobył walthera PPK/S kalibru .380 z kabury na lewym ramieniu i przez chwilę trzymał broń w ręku, bezwiednie zdejmując tłumik i przykręcając go z powrotem. Ciężar pistoletu, zapach smaru – to pomagało mu się skoncentrować, zebrać myśli.

Mógłby chłopaka zabić. Prędzej czy później pewnie i tak będzie musiał, nie miał co do tego wątpliwości. Czemu nie teraz?

Mógł po prostu poczekać na ich powrót z cmentarza i wpakować chłopakowi kulkę w łeb, ciotce też. Preacher nie miał oporów przed zabijaniem dzieciaków. Sporo ich już załatwił. Jedyna różnica między dzieckiem a dorosłym to czas. Mieliby to już z głowy. Cały ten bajzel zostałby posprzątnany i mogliby o nim zapomnieć.

Byłyby reperkusje.

Preacher podrapał się lufą pistoletu po brodzie.

### 3

Spóźnił się na swoją zmianę.

Przeze mnie.

Po odjeździe kobiety długo siedziałem na ławce kompletnie oszołomiony. Myśli kotłowały mi się w głowie, nie mogłem przestać się trząść. Każdy oddech utykał mi w gardle i trzymał się mocno, jakby nie chciał przejść dalej.

Nawet teraz, kiedy próbowałem nadażyć za ciocią Jo, serce waliło mi tak wściekle, jakby miało wyrwać się z klatki żeber i wylądować z hukiem przed nami na dziurawym chodniku.

– Coś cię bierze? Nie wyglądasz za dobrze.

Chętnie odpowiedziałbym, że jej głos nie brzmi za dobrze – z płuc cioci wydobywał się dziwny świst, jakby powietrze przelatywało po woskowanym papierze. Co kilka kroków dochodził do tego mokry kaszel. Mimo to nie przestawała palić.

– Może powinienem skoczyć do domu, zostawić rzeczy i zażyć witaminę C.

– Mam listek w szafce w pracy – odparła. – Nie możemy sobie teraz pozwolić na chorobę.

Chociaż nic mi nie powiedziała, wiedziałem, że nie zapłaciła jeszcze czynszu za sierpień. Osiem dni po terminie. Po piątym dniu miesiąca dochodziły odsetki za spóźnienie. Nie potrafiłem powiedzieć, ile to dokładnie będzie, ale na pewno więcej, niż mieliśmy. Mogłem spróbować zwrócić walkmana. Albo znów zaoferować swoje oszczędności, chociaż nigdy nie chciała ich przyjąć.

Wpadliśmy do jadłodajni dwadzieścia minut spóźnieni. Lokal pękał w szwach. Pan Krendal stał nad kuchenką i świdrował nas wzrokiem przez okienko do wydawania posiłków za kontuarem.

– Josie! Wkładaj fartuch, mamy urwanie głowy!

Nie było jeszcze nawet piątej, a już ludzie pozajmowali wszystkie boksy, krzesła i stołki. Przy drzwiach grupka klientów czekała na wolny stolik. Za kontuarem Lurline Waldrip wycierała jakąś plamę, chyba wylała się kawa. Spojrzała na nas, pokręciła głową i wróciła do pracy.

Najpierw zauważyłem płaszcz tej kobiety.

Kiedy sprząta się ze stolików, szybko zaczyna się zauważać brudne talerze i szklanki, już od progu przyciągają wzrok. Bezwiednie zacząłem wodzić oczami po sali, kiedy tylko weszliśmy, w drugiej kolejności zwracając uwagę na ludzi, a w pierwszej – na sztuce, talerze i miski. Pełne czy puste, do połowy opróżnione szklanki z wodą domagające się dolewki. A jednak wpadł mi w oko ten płaszcz.

Zobaczyłem biały płaszcz na jednym ze stołków przy kontuarze i nagle przestałem widzieć i słyszeć cokolwiek innego, moje oczy podążyły w górę i spoczęły na kobiecie siedzącej plecami do mnie, na białych włosach opadających na ramiona. Obok jej lewej ręki leżała równo złożona gazeta, prawą podnosiła właśnie do ust filiżankę z kawą.

Musiała wyczuć moje spojrzenie, bo odwróciła się powoli na stołku. Gapiłem się na nią chyba z dziesięć sekund, zanim się zorientowałem, że to wcale nie ta kobieta z cementarza, pani Latrese Oliver, jak mi się przedstawiła, a ktoś zupełnie inny, kogo nigdy wcześniej nie widziałem.

Przecisnąłem się obok cioci Jo i popędziłem do łazienki. Jakimś cudem udało mi się zamknąć za sobą drzwi, zanim zwróciłem skromne śniadanie i obiad.

Zostałem nie tylko na swoją zmianę, ale też do końca ciocinej. Pan Krendal co chwila mi powtarzał, żebym poszedł do domu, ale nie mogłem się do tego zmusić. Nie chciałem być sam. Wzmógłony ruch skończył się dopiero po dziewiątej wieczorem. Lurline stwierdziła, że to piątek, większość ludzi dostała wypłatę i uznała, że nie chce im się gotować. Mówiła, że gotówka w kieszeni oznacza stałą trójkę – gorący posiłek, bar i klub ze striptizem – dla każdego kawalera w mieście, a tych nie brakowało. Wiedziałem, co to jest bar, w każdym kwartale ulic były ze trzy. Miałem też swoje domysły co do klubów ze striptizem, szcążkową wiedzę zawdzięczałem nieco mniej szcążkowej wiedzy Dunka. Ciocia Jo próbowała nadażyć za tłumem klientów, ale pracowała zbyt wolno, więc Lurline została ponad godzinę po końcu swojej zmiany, żeby pomóc.

Zostawiliśmy otwarte okna w mieszkaniu, wiatr zwiął trochę papierów ze stołu i rozrzucił je po podłodze. Pozbierałem kartki, a ciocia w tym czasie pozapalała światła, zamknęła okna i padła na fotel.

– Za stara na to jestem. – Ściągnęła buty i zaczęła rozcierać spuchnięte stopy. Potem przeliczyła napiwki i zaklęła pod nosem.

– Co się stało?

– Ciągle brakuje nam trzydzieści osiem do czynszu. Myślałam, że dziś na pewno... – Umilkła, zamknęła oczy i przycisnęła do skroni spracowane dłonie.

Zarobiłem sześć dolarów z napiwków. Podałem jej pieniądze. Już otwierała usta, żeby zaprotestować, ale w końcu uśmiechnęła się blado.

– Dobry z ciebie chłopak. Oddam ci co do centa, obiecuję.

– Zaczekaj. – Pobiegłem do pokoju po resztę oszczędności. Teraz wreszcie weźmie ode mnie pieniądze, a ja chciałem je jej dać. Też tu mieszkałem. Chciałem pomóc.

Kiedy zapaliłem światło, zobaczyłem na łóżku kopertę.

Leżała na moim szkiecowniku, który nie znajdował się tam, gdzie go zostawiłem.

Obejrzałem się na ciocię, która nadal siedziała w fotelu, po czym wszedłem ostrożnie do pokoju, rozglądając się czujnie po kątach, badając każdy cień.

Koperta była biała, rozmiarów zwykłego listu, gruba mniej więcej na centymetr. Na wierzchu widniało jedno jedyne słowo, skreślone eleganckim charakterem pisma:

„Pip”.

W środku znajdowało się pięćset dolarów gotówką.

## 4

Tamtej nocy miałem zły sen. Prawdziwy koszmar.

Miałem cztery lata.

Tataś zapinał mnie w foteliku.

– Zwarty i gotowy, kapitanie Jack?

– Tak.

– Mama zrobiła ci dobre pićko na drogę.

Wzięłem kubek z dzióbkiem i podniosłem do ust, ostrożnie, żeby nie wylać. Mleko czekoladowe, moje ulubione.

Mamusia wsiadła do samochodu.

Pamiętałem tamtą podróż.

Pamiętałem każdą sekundę, od chwili wyjścia z domu do przyjazdu pod blok cioci Jo, ten sam, w którym teraz mieszkaliśmy.

Kiedy zaparkowaliśmy pod budynkiem z czerwonej cegły, wyszła do nas ciocia, jak zawsze z papierosem w lewej dłoni.

Wiedziałem, co będzie dalej.

Mama otworzyła drzwiczki i siostry się uściśniły. Ciocia wsadziła głowę do auta i uśmiechnęła się do mnie.

– Josephine – warknął tata.

Nie odpowiedziała.

Od tej chwili sytuacja toczyła się inaczej.

W tym momencie wszystko się zmieniło.

Pamiętałem, jak tataś wyjął mnie z fotelika i postawił na ziemi. Pamiętałem, jak razem z mamusią wsiedli z powrotem do auta i ruszyli przed siebie, jak patrzyłem za nimi, dopóki nie zniknęli za górką, a potem wziąłem ciocię za rękę i wszedłem z nią do bloku.

Pamiętałem to wszystko, jakby wydarzyło się wczoraj.

Ale teraz to wszystko nie nastąpiło.

W tym śnie wydarzyło się coś zupełnie innego.

Tata otworzył drzwiczki, wziął coś z fotela obok mnie i zamknął je z powrotem. Widziałem, jak niesie to coś i podaje cioci Jo.

Rodzice wsiedli do auta i znowu jechaliśmy.



Tata zaklął na widok czerwonych świateł stopu przed nami. Skręcił gwałtownie w prawo, nawet nie zwolniwszy. Siła odśrodkowa wcisnęła mnie w bok fotelika.

Żadne z nich się na mnie nie obejrzało, co mnie zdziwiło. W takich sytuacjach zwykle przynajmniej jedno z rodziców się obracało.

Przejechaliśmy przez most, potem przez tunel, ciągle przyśpieszając.

Czułem, że poruszamy się coraz szybciej, samochód nabierał prędkości, silnik pracował coraz głośniej.

Wtedy tatuś podniósł wzrok. Zobaczyłem jego oczy w lusterku, ale nie patrzył na mnie. Patrzył na coś dalej, coś za nami. Mama zerknęła na niego i zobaczyłem, że ona też patrzy w lusterko, tyle że boczne, po swojej stronie.

Tata skręcił, wymijając samochód jadący znacznie wolniej od naszego. Nasz jechał coraz szybciej i coraz głośniej.

– Niedługo będzie siedemdziesiątkadziewiątka – powiedziała mama.

Znowu wzrok ojca w lusterku.

– Za daleko.

Wtedy jego oczy w lusterku na ułamek sekundy spotkały się z moimi. Zobaczyłem, jak z bocznej ulicy wyjeżdża biały SUV, prosto przed nas. On go nie zauważył.

Mamusia też nie zauważyła. Nie zdążyła nawet krzyknąć.

Kiedy po raz trzeci wybudziłem się z tego koszmaru, nie odważyłem się już iść spać. Leżałem i gapiłem się w sufit, dopóki światło poranka nie zajrzało przez okno, próbując złapać mnie pod stosem koców.

## 5

Dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem nagle się ociepliło. Zeszłotygodniowy śnieg stopniał, odsłaniając rozmokłą brązową ziemię i matową trawę, która drzemała sobie smacznie pod pierzynką. Patrząc na niebo, trudno byłoby stwierdzić, że jest dzień – kłębiły się na nim gęste czarne chmury, jakby już nie mogły się doczekać powrotu zimy. Ciotka Jo uparła się, żebym chodził w zimowym płaszczu, wełnianym monstrem chroniącym przed mrozem dochodzącym do minus dwudziestu stopni. Rozpiąłem go zaraz po wyjściu z mieszkania i zastanawiałem się, czy w ogóle nie zdjąć tego absurdalnego stroju. Temperatura wynosiła prawie pięć stopni powyżej zera i nadal rosła, kiedy dotarłem do żelaznej bramy cementarza.

Po tej pierwszej kopercie pojawiły się jeszcze cztery, zawsze ósmego dnia miesiąca, zawsze zaadresowane do „Pipa” i zawsze na moim łóżku, zostawiane tam pod naszą nieobecność. Ostatnią znalazłem w poniedziałek, zaledwie dwa dni temu. Rozwazałem wagi i ukrycie się gdzieś w mieszkaniu, ale moja wychowawczyni, pani Thomas, była klientką jadłodajni i na pewno zapytałaby ciocię, co się ze mną dzieje. Brałem też pod uwagę symulowanie choroby i już prawie wcieliłem ten plan w życie, ale nagle uświadomiłem sobie, że chyba jednak nie chcę zostać sam na sam z tym kimś, kto podrzucał te koperty. Na pewno nie robiła tego Stella. Podejrzywałem, że mogła za tym stać pani Oliver, i już ta myśl wystarczyła, żebym porzucił plan.

W każdej kopercie znajdowało się dokładnie pięćset dolarów.

Wiedziałem, że nie mogę dawać tych pieniędzy bezpośrednio cioci Jo. Zapytałaby, skąd je wziąłem, a nie mogłem powiedzieć, że znalazłem na łóżku. Nie mogłem jej też wmawiać, że to z moich oszczędności. Wiedziała, ile miałem odłożone. Tym bardziej nie mogła zobaczyć koperty z napisem „Pip”, bo to spowodowałoby jeszcze więcej pytań. W końcu wyjąłem pieniądze z koperty, zawiązałem w gazetę i podrzuciłem cioci Jo do szafki w pracy. Następnego dnia znalazła paczkę po swojej zmianie, ale nic nie powiedziała, dopóki nie wróciliśmy do domu. Wtedy wyjęła pieniądze z torebki i mi pokazała. Sądziła, że to pan Krendal je zostawił. Gdyby nawet zasugerowała, że to kosmici przesłali te pieniądze na odległość z latającego spodka okrążającego Ziemię, nie

podważałbym jej słów, byle tylko nie zaczęła podejrzewać, że to ja byłem odpowiedzialny za ten niespodziewany prezent. Podobno zwierzyła się panu Krendalowi, że zalega z czynszem i potrzebuje zaliczki na pensję. Odparł, że nie uznaje zaliczek ani pożyczania. Gdyby jej pomógł, musiałby pomagać wszystkim, a czasy są ciężkie. Uznała, że zostawił pieniądze anonimowo, żeby uniknąć potencjalnych problemów z resztą pracowników. Kiedy podziękowała mu za pieniądze, spytał tylko: „Jakie pieniądze?”, i wrócił do rusztu. Czasem niewypowiedziane słowa znaczą więcej niż długa rozmowa.

Kiedy pojawiła się kolejna koperta, znowu zawiązałem pieniądze w gazetę i wsadziłem do jej szafki. Tak jak za pierwszym razem sądziła, że to od pana Krendala. Nie zalegaliśmy już z czynszem, więc chciała mu je oddać, ale powiedziałem, że lepiej zatrzymać je na czarną godzinę. Schowała pieniądze na samym dnie zamrażarki, w folii aluminiowej z podpisem JAKIEŚ MIĘSO.

Zawartość kolejnych kopert ukrywałem w szufladzie z bielizną. Wolałem nie ryzykować, że ciotka znów będzie próbowała zwrócić je panu Krendalowi, co niewątpliwie by zrobiła. Miała swoje wady, ale też dumę, a z jej punktu widzenia przyjmowanie jałmużny za bardzo przypominało żebranie. Jeśli znowu pojawią się problemy finansowe, poszukam innego sposobu, żeby podrzucić jej pieniądze.

Teraz zajmowałem stanowisko przy dużym granitowym obelisku. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, jak zza zakrętu wyjeżdża Dunk na swoim BMX-ie. Nie miał na sobie kurtki, tylko bluzę z logo Run DMC i dżinsy. Kiedy przejechał przez bramę, nacisnął pedały do tyłu, blokując tylne koło i wpadając w kontrolowany poślizg, aż wyhamował parę centymetrów od moich stóp.

– Co my tu właściwie robimy? – Rzucił rower na trawę i oparł się o wysoki czarny nagrobek, zorientował się, o co się opiera, i cofnął o kilka kroków, wciskając ręce głęboko w kieszenie. – Wiesz, że nie cierpię tu przyłazić. Cmentarze są upiorne. Nie oglądałeś *Nocy żywych trupów*? Romero mieszka niedaleko stąd. Możliwe, że wpadł na pomysł tego filmu, kiedy jeden z tych truposzów próbował go złapać dokładnie w tym miejscu, w którym my teraz stoimy.

– No ale najwyraźniej przeżył.

Dunk zmrużył oczy.

– Na pewno? Widziałeś go kiedyś? Wygląda jak zombi.

– Zombi nie istnieją.

– Jeśli gdziekolwiek miałyby istnieć zombi, to w Pittsburghu. To straszne zadupie – stwierdził. – W Chicago było wesoło. Sam zobacz, jakie filmy tam nakręcili: *Klub winowajców*, *Szesnaście świeczek*. Molly Ringwald mieszkała w Evanston, zaraz pod miastem. W takim Evanston nigdy nie wydarzyłoby się nic złego.

– Anthony Michael Hall spokojnie mógłby być zombi. Ten cały Duckie też. Dałem mu do myślenia.

– Dobra, masz rację. Ci goście rzeczywiście wyglądają podejrzanie. Ale Molly to świetna laska. Z łóżka bym jej nie wyrzucił.

– Nawet nie wiesz, co to znaczy.

– Pewnie, że wiem. Ale dżentelmen nie opowiada o takich prywatnych sprawach. Sam będzie pan musiał zgłębiać tajniki sztuki miłości, panie Thatch, skoro ma pan narzeczoną.

Powiedziałem Dunkowi o wszystkim.

Wiedział o moich spotkaniach ze Stellą i o incydencie z białowłosą kobietą. Nie wiedziałem, jak inaczej to ująć. „Incydent” brzmiał odpowiednio. Wiedział też o pieniądzach.

– To nie jest moja narzeczona.

– Jak tam sobie chcesz, Romeo. A jest tutaj?

Nie musiałem sprawdzać, żeby wiedzieć, że nie ma jej na ławce i nie będzie, przynajmniej do następnego sierpnia. Zrezygnowałem z prób szukania jej w inne dni roku niż ósmy sierpnia, a ten dzień był jeszcze bardzo odległy.

– Nie, nikogo nie widziałem.

– To czemu tu jesteśmy?

Musiałem dowiedzieć się o niej więcej. Dowiedzieć się o niej czegokolwiek. Odniosłem wrażenie, że ostatnio zajmowała wszystkie moje myśli, pewnie dlatego, że miałem tyle pytań. Jeśli uda mi się na nie odpowiedzieć, jeśli ustalę, kim ona jest, może uda mi się od tego uwolnić i nie będę tak bardzo chciał się z nią spotkać. Może w sierpniu w ogóle nie będę sobie zawracał głowy jakimiś ławkami.

– Nazywa się Stella Nettleton. Chcę sprawdzić wszystkie nagrobki na cmentarzu, żeby się dowiedzieć, kogo tu odwiedza.

Dunk rozdziawił usta, jego krzaczaste brwi prawie połączyły się w jedną kreskę.

– To chyba najgłupszy pomysł, jaki w życiu słyszałem. Jak myślisz, ile zdechłaków tu leży? – Oblał się rumieńcem i szybko poprawił: – To znaczy oprócz twoich rodziców, bo oni nie są zdechłakami, oni są... znaczy byli... znaczy...

– Musimy szukać też nagrobków z datą ósmego sierpnia – przerwałem mu. – Na wypadek gdyby ten ktoś miał inaczej na nazwisko.

Wskazał brodą na biały budynek przy parkingu.

– A w kancelarii nie mają jakiegoś rejestru czy coś? Chyba tak będzie łatwiej, niż biegać po poczekalni Szatana i sprawdzać nazwiska. Nie żeby twoi rodzice mieli pójść do... szlag, strasznie drażliwy temat. Nie możemy iść pograć w piłkę

czy coś? Widziałem chłopaków w Carnegie Park. Justin tam był, on nam pozwoli grać.

– Mogę to zrobić sam, jeśli nie chcesz.

Dunk westchnął.

– Nie no, skoro tak właśnie chcesz spędzić wolny wieczór, to ci pomogę. Ale powinniśmy zacząć od kancelarii.

– Próbowałem parę tygodni temu. Nie mają w aktach nikogo o nazwisku Nettleton, znalazłem trzy osoby, które zmarły ósmego sierpnia, a dwie kolejne się wtedy urodziły. – Wyjąłem z kieszeni kartkę i pokazałem ją Dunkowi. – Cała piątka leży w tej nowej części cmentarza. Wczoraj odszukałem wszystkie groby. Ławka stoi w najstarszej części, dokładnie na drugim końcu. Facet w kancelarii powiedział, że dokumenty sprzed dwudziestego szóstego roku się spaliły, więc jedyny sposób, żeby się upewnić, to sprawdzić po kolei każdy nagrobek, jeden po drugim.

Dunk podrapał się po głowie.

– To ile ich jest?

– Sto dwadzieścia cztery tysiące.

Zbladł jak ściana.

– Zdajesz sobie sprawę, że to niewykonalne, prawda? Wiesz, ile czasu by to zajęło? Chyba z tysiąc lat. Może dłużej. Może znacznie dłużej.

– Nie musimy sprawdzać wszystkich. Ten ktoś, kogo odwiedza, musi leżeć blisko tamtej ławki. Zacniemy od najbliższych grobów i będziemy się przemieszczać coraz dalej, aż coś znajdziemy.

Właśnie tak spędziliśmy kolejne trzy godziny, przesuając się od nagrobka do nagrobka, od rzędu do rzędu. Nic nie znaleźliśmy.

8 sierpnia 1987 roku

*Jedenaście lat*

Dn. 08.08.1987:

Pacjent „D” niespokojny.

Nagranie audio/wideo.

- Jest tu kto?
- Co robimy? Mamy mu odpowiedzieć?
- Nie, da sobie spokój za parę minut. Ignorujemy go.
- Miałem zły sen. Możecie zapalić światło?
- Zapalamy?
- Ja tego na pewno nie zrobię, obowiązuje go stały rozkład dnia. Olej go. Twój ruch.
- Nie mogę się skupić na grze, jak on tak jazgocze. Aż mam ciarki.
- Nieważne, i tak dam ci mata w dwóch ruchach.
- Nic z tego, bo teraz zbiję ci... szlag. Kretyn ze mnie.
- No tak.
- Masz na imię Carl, prawda? Skoro nie możesz zapalić światła, to możesz przynajmniej do mnie mówić, dopóki znowu nie usnę? Carl?
- Kurwa! Skąd on wie, jak się nazywam?
- Spokojnie.
- Wal się. Nie chcę słyszeć, jak on wymawia moje imię. Ani teraz, ani nigdy.
- Nie może zrobić ci krzywdy, po to jest to opóźnienie dźwięku.
- Nie możemy go po prostu wyłączyć? Wyciszyć?
- Wtedy nie będzie się nagrywało. A jak przypadnie coś ważnego, to będziemy musieli szukać nowej pracy.
- Jakby to do ciebie mówił po imieniu, już byś wyłączył dźwięk.
- No to miejmy nadzieję, że zafiksuje się na tobie.
- Czy on kiedykolwiek wychodził z tego pudła?
- Nie, przynajmniej odkąd ja tu jestem.
- Czyli od kiedy? Od osiemdziesiątego pierwszego?
- Od jesieni osiemdziesiątego.
- To jakiś obłąd. Ten pokój ma góra trzy metry na trzy.
- Ma tam okno.
- Z widokiem na co? Na parking?

- Słyszałem, że był na zewnątrz zaraz po tym, jak go przywieźli, ale nie trwało to długo. I jeszcze jeden raz dwa lata temu. Dzieciak ma paskudny temperament.

- Masz dzieci, Carl? - spytał David.

- Chryste! Niech on się zamknie.

- Jeszcze jedna partia?

- Nieee, nie mogę się skupić.

- Swoje dzieci też tak ignorujesz, Carl? Nieładnie.

- Ja pierdolę.

- Słyszałem, że to jego ojciec mu to zrobił, to z twarzą.

- Też tak słyszałem.

- Coś w nim wtedy pękło, przeskoczyło mu w głowie. Nie jest normalny.

Carl zachichotał nerwowo.

- No pewnie, że jest nienormalny. Dlatego trzymają go w pudle.

- Ale to przecież tylko dzieciak.

- To znaczy że co? Chcesz z nim pogadać? Podnieść go na duchu?

- Nie no, w życiu.

Carl wcisnął guzik mikrofonu.

- Może chciałbyś, żeby Warren poczytał ci na dobranoc?

Warren zerwał jego rękę z przycisku.

- Pojebało cię? Dlaczego mu powiedziałaś, jak mam na imię?

- Moje już zna, więc teraz jest sprawiedliwie.

- Straszna z ciebie świnią.

Zapadła cisza, a potem...

- Tak, chciałbym. Ale nie Warren. Może ty przeczytasz mi coś, co czytasz swoim dzieciom, Carl? Jaka jest ich ulubiona książka?

- Pierdolony świrus. I jeszcze to dziwne opóźnienie... Trochę jak podczas rozmów astronautów z bazą w Houston.

- Tak, albo jak opóźnienie sygnału z satelity w wiadomościach.

- Cała ta sprawa jest popierdolona.

- Zagramy jeszcze raz?

- W sumie czemu nie. Tylko zmień najpierw taśmę, bo już się kończy.





# 1

– Cześć, tato. – Wyczyściłem mech z liter wykutych na nagrobku, pomagając sobie paznokciem przy najgłębszych szczelinach. – Ciocia Jo musiała iść do pracy, więc pomyślałem, że zacznę od ciebie.

Wyłowiłem niedopałki ciotki z wazonu taty i na ich miejsce włożyłem trzy fioletowe astry. Na początku lata ktoś posadził je na tyłach naszego bloku i rozrosły się na sporą część niedużego ogródka.

– Ale pewnie wpadnie później, więc na wszelki wypadek ostrzegam.

Przez ostatnie osiem miesięcy metodycznie przeczesywałem z Dunkiem cmentarz i nie znaleźliśmy ani jednego nagrobka pasującego do naszych kryteriów, oprócz tych pięciu nazwisk, które zdobyłem wcześniej w kancelarii. Jeszcze w styczniu poszedłem z tymi danymi do biblioteki w Brentwood. Kiedy jako dzieciak chcesz, żeby ktoś szybko ci pomógł, powiedz w bibliotece, że to praca domowa do szkoły. Znaleźliśmy informacje tylko o jednej osobie – Darnellu Jacobsie, zmarłym 8 sierpnia 1802 roku. Okazało się, że był pionierem osadnictwa w tej okolicy, zbudował jeden z pierwszych domów przy Brownsville Road. Miał niewielkie przedsiębiorstwo drzewne. Poza tym nie znaleźliśmy nic więcej. Zresztą nieważne, sam nie wiedziałem, czego właściwie szukam. Chyba spodziewałem się, że coś po prostu rzuci mi się w oczy.

– Nie wiem, czy chcę iść tam na górę – powiedziałem cicho. – Jakaś część mnie chce. Ta część naprawdę chce. Chcę się spotkać ze Stellą. Wiem, że pewnie byś się ze mnie śmiał, bo to przecież dziewczyna, a mama kazałaby mi tam iść, bo sama jest dziewczyną, ale co, jeśli Stelli tam nie będzie? Co, jeśli znowu będzie tylko ta staruszka, pani Oliver? Nie chcę już nigdy jej widzieć. Ale jeśli będzie tam dzisiaj Stella, to muszę iść. Szkoda, że nie możesz mi powiedzieć, co mam zrobić. Żałuję, że już cię tu nie ma.

Poczułem, że do oczu napływają mi łzy, ale powstrzymałem je siłą woli. Tata powiedziała mi pewnie, że bym pomaszerował na tamto wzgórze i stanowczym krokiem minął panią Oliver, i w tamtej chwili wiedziałem, że to właśnie zrobię, że to powinienem zrobić, jakby wypowiedział te słowa na głos.

Przez kolejne pół godziny rozmawiałem z obojgiem rodziców, a kiedy w zegarku włączył mi się alarm ustawiony na osiemnastą, wstałem, zabrałem

walkmana i resztę kwiatków i ruszyłem pod górę.  
Stella siedziała na ławce.

## 2

– Jeszcze kawy?

Preacher zajął do kubka, podniósł wzrok i uśmiechnął się do Josephine Gargery.

– Poproszę.

Obrzuciła spojrzeniem jego dłonie.

– Po co te rękawiczki? Nie za ciepło trochę na takie zimowe dodatki?

Preacher spuścił oczy, napiął palce ukryte pod czarną skórą. Potem znów się uśmiechnął.

– Kłopoty z krążeniem. Bardzo marzną mi ręce.

– Hm. Może powinien się pan przenieść na Florydę. Słyszałam, że tamtejsze słońce czyni cuda.

Gargery straciła na wadze, od kiedy widział ją ostatni raz, a już wtedy była szczupła. Teraz kelnerski mundurek wisiał na niej jak na wieszaku. Skórę miała bladą, niemal przezroczystą. Tusz do rzęs i kredka dodatkowo podkreślały głęboko zapadnięte oczy, smugi różu na policzkach w niczym nie przypominały naturalnych rumieńców. Białka oczu nie były już białe, a matowożółte, pod kolor plam nikotyny na zębach. Preacherowi robiło się niedobrze na sam widok, ale udało mu się z uśmiechem na twarzy pochłonąć kolejny kęs smażonego kurczaka.

– Chyba tu pani mieszka. Widzę panią za każdym razem, kiedy przychodzę.

Dolała mu kawy i odstawiła dzbanek z powrotem na podgrzewacz. Zerknęła w okienko do kuchni i zawołała przez ramię:

– Hej, Elden, ten tutaj mówi, że zmuszasz mnie do ciężkiej harówki i powinnam mieć co najmniej dwa płatne dni wolnego w tygodniu!

Zwalisty mężczyzna machnął na nią łopatką przez opary dymu z kuchni.

– Widocznie nie przyłapał cię nigdy, jak śpisz na zapleczu albo co dziesięć minut łazisz na papierosa, kiedy powinnaś być na sali. Zresztą z tego, co mi wiadomo, zagadywanie klientów też nie należy do twoich obowiązków. Zamówienie! – Walnął mięsistą dłonią w dzwonek przy okienku i postawił talerz ze stekiem i jajkami.

Preacher wiedział, że ten człowiek to Elden Krendal, właściciel tego przybytku od blisko dwudziestu trzech lat. Zaszczycił tę planetę swoją obecnością od równo

sześciu dekad, a ważył przerażające sto czterdzieści kilo. Jego ciśnienie regularnie przekraczało wartość 140 na 110, ale to akurat najmniej martwiło jego lekarza – według akt medycznych ten wątpliwy zaszczyt przypadał cholesterolowi. Poziom cholesterolu całkowitego utrzymywał się około 310, a podczas ostatnich badań trójglicerydy osiągnęły wynik 503. Pan Krendal oczywiście pewnie nie zdawał sobie z tego sprawy, bo ledwie słyszał, a odmawiał noszenia aparatu. Prawdopodobnie kiwał tylko głową, kiedy lekarz wymieniał kolejne potencjalne przyczyny zgonu i niewątpliwie rekomendował natychmiastową zmianę trybu życia, być może nawet hospitalizację. To, że ten człowiek jeszcze żył, pozostawało wielką zagadką medycyny.

Gargery zabrała talerz z okienka i postawiła go przed starszym mężczyzną siedzącym kilkanaście stołków dalej przy przeciwnym końcu kontuaru, po czym wróciła.

– Nie wygląda pan znajomo. Kojarzę naszych stałych klientów.

– Zdecydowanie do nich nie należę. Staram się tu zaglądać, kiedy jestem przejazdem. Najlepsze jedzenie w mieście.

Gargery zachichotała.

– To chyba jada pan w nieodpowiednich miejscach.

Preacher starał się nie patrzeć na jej dłonie, ale jego oczy bezwiednie wędrowały do plam nikotyny na jej palcach. Sam widział, że tylko w ciągu ostatniej godziny przynajmniej trzy razy myła ręce. Jak mocno wżarty musi być taki brud, żeby nie poddawać się regularnemu szorowaniu? Odwzajemnił uśmiech.

– Widuję tu czasem takiego chłopaka, to pani syn?

– Jack? Neeee, siostrzeniec.

– Miło patrzeć, że chłopak w tak młodym wieku poważnie podchodzi do pracy. To uczy dobrych wartości.

– Dzięki temu nie pęta się po ulicy i nie pakuje w kłopoty, to na pewno. W tej okolicy łatwo się w coś wplątać.

– Niewątpliwie. A dzisiaj nie pracuje?

Pokręciła głową.

– Nie, dziś ma wolne.

– Ja sam dorastałem na farmie w Illinois, głównie uprawialiśmy kukurydzę, do tego mieliśmy parę mlecznych krów i stadko kur. Rodzice kazali mi pracować w gospodarstwie, odkąd nauczyłem się chodzić. Wtedy miałem im to za złe, koledzy się bawili, a ja miałem obowiązki. Ale kiedy trochę podrosłem, zrozumiałem, że takie dzieciństwo nauczyło mnie pracować trochę ciężiej niż otoczenie, trochę dłużej, trochę mądrzej. Teraz dziękuję im za to przy każdej okazji.

Oczywiście zmyślił całą tę historię. Nie znał swoich rodziców. Kilka godzin po porodzie podrzucili go do remizy strażackiej w Oklahomie. Kochający rodzice wpakowali go do kartonowego pudełka, okryli gołe ciało gazetą i zostawili na progu jak śmieć. Żadnego listu, jedzenia, nic. Była jesień, nocą temperatury spadały do dziesięciu stopni. Kiedy w końcu go znaleziono, był już porządnie przeziębiony, później dostał zapalenia płuc i kolejny tydzień spędził w szpitalu. Stamtąd trafił do sierocińca Sióstr Miłosierdzia w Lawton, gdzie przez następne osiem lat walczył z innymi niechcianymi dziećmi o nędzne ilości jedzenia, które im przydzielano, podczas gdy potencjalni rodzice przechadzali się po ośrodku w poszukiwaniu dobrego okazu, trochę jak łowcy okazji na wyprzedazach garażowych. Choć większość niemowląt szybko znajduje nowy dom, to jemu akurat rodzice zostawili na pamiątkę wrodzoną wadę serca, więc wybredni klienci omijali go, nie zaszczyciwszy nawet spojrzeniem. Siostry Miłosierdzia chętnie mu przypominały, że takie dolegliwości wynikają zwykle z nieleczonej cukrzycy, nadużywania alkoholu i narkotyków lub kontaktu z chemią przemysłową w okresie ciąży. Najwyraźniej matka nie lubiła go już na długo przed narodzinami. Ojciec zaś niewątpliwie dostarczał jej tego, co przyjmowała w miesiącach po poczęciu.

Gdyby Preacher znalazł kiedyś swoich rodziców, zabrałby ich w jakieś odosobnione miejsce w rodzaju tej farmy z jego zmyślnego dzieciństwa, związał i przekonał, żeby opowiedzieli o swojej plugawej przeszłości. Kiedy już by wiedział, co brała w ciąży jego matka, uraczyłby ich oboje końską dawką tej samej substancji, tak że pożegnaliby się z tym światem. Gdyby to nie zadziało, zostawiłby ich tam, żeby zgnili, zrobiwszy w ich sercach dziury, tak jak on miał dziurę w swoim chorym sercu. Jedna wielka, szczęśliwa rodzina.

Gargery przekrzywiła głowę.

– Jakbym skądś pana kojarzyła, ale nie potrafię stwierdzić skąd.

– Obawiam się, że moja twarz raczej nie zapada w pamięć. – To akurat prawda i bardzo mu to odpowiadało. Zawsze lepiej wmieszać się w tłum.

– Czym się pan zajmuje?

– Niczym ciekawym. Transportuję pojazdy. Ktoś się przeprowadza na drugi koniec kraju i musi przemieścić samochód czy furgonetkę, to ja wsiadam za kierownicę.

– Nie ma specjalnych ciężarówek do tego?

Preacher przytaknął.

– Tak, są też pociągi, ale obie te opcje są raczej drogie w porównaniu z moimi stawkami. Zwykle biorę około dziesięciu procent mniej. To wystarczy, żebym miał co robić.

– To bardzo ciekawe. Na pewno zjeździł pan cały kraj.

– O tak, widziałem każdy zakątek tego kraju przynajmniej kilka razy. Niektóre miejsca częściej, niżbym sobie życzył, inne zbyt rzadko. Pittsburgh często wypada na trasie, więc bywam tu przejazdem.

– I wpada pan tutaj.

– I wpadam tutaj.

To również było kłamstwem. Profesja Prechera nie nadawała się na temat pogawędki ze znajomymi czy z kelnerką w knajpie. Gdyby musiał jednak zmienić zawód, transport pojazdów zajmował wysokie miejsce na liście. Lubił koczowniczy tryb życia – nie potrafiłby pracować w miejscu, gdzie miałby stały grafik i za szefa jakiegoś ćwierćinteligenta, który wydawałby nakazy i zakazy.

Brzęknął dzwonek przy okienku.

– O tym właśnie mówię! – zawołał Krendal znacznie głośniejszym głosem, niż było to konieczne. – Gadasz sobie z klientami, a tymczasem przy trzech stolikach trzeba dolać wody. Do roboty, Jo. – Słuch miał może nie najlepszy, ale wzrok nadal sokoli.

Precher zerknął na zegarek – dwanaście po szóstej.

– Poproszę rachunek, jak będzie pani miała chwilę. Chyba się trochę zasiedziałem.

Gargery wygrzebała rachunek z kieszeni mundurka.

– No to do zobaczenia następnym razem. Niech pan na siebie uważa.

– Pani też – odparł Precher, zerkając na rachunek. Sześć dolarów i dwadzieścia trzy centy. Wyjął z portfela dwudziestkę i włożył ją razem z rachunkiem pod kubek po kawie. Znacznie więcej niż zwyczajowe dwadzieścia procent, ale czuł, że wypada zostawić trochę więcej, dać jej coś w zamian za coś innego, co miał jej właśnie odebrać.

### 3

Zatrzymałem się tuż za ostatnim mauzoleum i po prostu na nią patrzyłem, przyglądałem się dziewczynie, o której nie mogłem przestać myśleć. Chociaż miała na sobie białą marszczoną bluzkę i czarną spódnicę, takie same jak przy naszych poprzednich spotkaniach, to nie mogły być te same ubrania. Była teraz wyższa. Ja też urosłem, ale ona trochę więcej, podejrzewałem, że gdyby stała obok mnie, dorównywałaby mi wzrostem, a może nawet przewyższała mnie o parę centymetrów. Wiatr rozwiewał jej długie brązowe włosy i zobaczyłem, jak przeciąga dłonią przez loki, zakładając je za ucho. Ani na chwilę nie odrywała wzroku od książki, którą trzymała w delikatnych dłoniach. Choć było dziś chłodniej niż przy poprzednich spotkaniach, nie miała rękawiczek. Nie widziałem okładki książki, ale i bez tego wiedziałem, że czyta ten sam egzemplarz *Wielkich nadziei* co zawsze.

Musiała wyczuć mój wzrok, bo podniosła głowę znad książki i spojrzała w moją stronę. Na jej ustach pojawił się cień uśmiechu, ale zaraz zniknął, jakby nie chciała, żebym zauważył.

Pociły mi się dłonie. Wytarłem je o dzinsy, przekładając kwiaty z ręki do ręki. Wyszedłem z bezpiecznej kryjówki.

Na widok kwiatów Stella zmrużyła oczy.

– To dla mnie?

Usiadłem obok niej i spuściłem wzrok.

– Dla moich rodziców... Trochę zostało. Mogą być dla ciebie, jeśli chcesz.

– Chyba jeszcze nigdy nie dostałam od żadnego chłopca resztek kwiatów. To chyba astrowate.

– Tak, astry. – Podąłem jej kwiaty i sądziłem, że je ode mnie weźmie, ale nadal trzymała ręce na książce, którą miała na kolanach. Nachyliła się jednak i je powąchała, zamykając oczy i wdychając zapach.

– To rumianki. Można z nich zrobić pyszną herbatkę.

Cofnęła się, a ja zostałem z kwiatkami w wyciągniętej ręce. Zażenowany położyłem je między nami na ławce.

Pani Oliver stała kawałek od nas, przed pierwszym z tym razem trzech białych SUV-ów, ręce trzymała w kieszeniach długiego białego płaszcza, świdrowała



mnie wzrokiem. W oczach miała jakiś szalony błysk, płonęły nienawiścią i gniewem tak silnymi, że uczucia te pokonywały dzielącą nas odległość i wwierały się w mój kręgosłup jak śruba.

Wzdrygnąłem się.

Naliczyłem jeszcze dziewięć osób zgromadzonych wokół samochodów. Pięć kobiet i czterech mężczyzn. Wszyscy w długich białych płaszczach, identycznych z tym starszej kobiety, wszyscy bacznie przyglądający się mnie i Stelli. Nie dostrzegłem broni, ale wiedziałem, że tam jest.

– W zeszłym roku przyjechali bez ciebie.

Stella westchnęła głęboko.

– Rozmawiałam o tym z panią Oliver. Jest wyjątkowo uparta. Wiedziała, że tego zabroniłam, a mimo to ważyła się tu przyjechać i z tobą porozmawiać, co za tupet! Już nigdy czegoś takiego nie robi, dopilnowałam tego.

Pani Oliver przeniosła ciężar ciała z nogi na nogę, jakby usłyszała słowa Stelli, ale była przecież za daleko.

– A czemu mieliby cię słuchać? Jesteś tylko dzieckiem.

Teraz już naprawdę się uśmiechnęła.

– No tak, jestem dzieckiem, prawda? Dlatego właśnie cię lubię, Johnie Edwardzie Jacku Thatchu. Mówisz oczywiste oczywistości, a jednak w twoich ustach brzmią jak najgłębsze objawienia.

– Powiedziała mi różne paskudne rzeczy. Mówiła ci o tym?

– Czasem jest troskliwą, wspaniałą kobietą, ale jej zachowanie wobec ciebie bywa wprost podłe, rozmawiałam z nią o tym. Jest wobec mnie bardzo opiekuńcza, zawsze tak było, znacznie bardziej niż pozostali.

– Gdzie byłaś w zeszłym roku?

Tym razem to Stella spojrzała na staruszkę. Bezwiednie przekartkowała książkę.

– Gdzie indziej.

– Dlaczego nie spotykam cię w żaden inny dzień roku?

– Bo spotykasz mnie dzisiaj.

– Kogo odwiedzasz?

– Ciebie.

– Nie o to mi chodzi. – Jęknąłem. – W ogóle nie odpowiadasz na moje pytania.

– Może powinieneś przestać ich tyle zadawać.

– Może powinienem po prostu sobie iść.

– A chcesz iść?

Westchnąłem bezsilnie.

– Nie.

Obróciła się w moją stronę. Spódnica podjechała jej tuż nad kolana.

Oblałem się rumieńcem i odwróciłem wzrok. Wyraźnie ją to rozbawiło.

– Dlaczego chcesz się ze mną spotykać? Dlaczego wracasz co roku, a czasem też częściej, żeby mnie znaleźć? Dziewczyne, którą widziałeś parę razy? W sumie spędziliśmy razem pewnie nie więcej niż godzinę, ale mogłabym się założyć, że ty rozmyślałeś o mnie przez niezliczenie więcej godzin, pewnie wręcz obsesyjnie. Na widok mojego kolana prawie dostałeś zawału. A to niewinne kolano. Co by było ze stopą albo, broń Boże, kawałkiem uda? – Zniżyła głos niemal do szeptu. – A gdybym pozwoliła ci się pocałować, Jack? Jak zareagowałbyś na taką zwykłą rzecz?

Powoli nachyliła się w moją stronę, zbliżyła tak bardzo, że czułem na policzku jej oddech.

– Stello.

Pani Oliver. Powiedziała to łagodnie, ale coś zazgrzytało, jakby złowieszczo, ostrzegawczo. Oczy Stelli zwęziły się i posłały kobiecie nienawistne spojrzenie, które dziewczyna natychmiast zmyła uśmiechem, wróciła na swoją stronę ławki i odrzuciła długie włosy na plecy.

Oddech uwiązał mi w gardle, zmusiłem się do wydechu, wziąłem kolejny wdech. Zmieniłem temat.

– Dlaczego podrzucasz mi pieniądze?

Stella wybuchnęła śmiechem, a dźwięk ten był z jednej strony najśłodszym, jaki w życiu słyszałem, a z drugiej najbardziej irytującym. Nie obchodziło mnie to. Jeśli tylko mogłem słuchać jej śmiechu, nic mnie nie obchodziło. Wiedziałem też, że to nie pytanie tak ją rozśmieszyło, ale moja niezdarna próba skłonienia jej do rozmowy na jakikolwiek inny temat.

– Nie mam pieniędzy, Jack. Jak mogłabym zostawiać ci jakieś pieniądze? Co miałyby to na celu?

– Wszystkie koperty zaadresowano do Pipa, jak w twojej książce. Wiem, że to od ciebie.

– Skoro taki jesteś pewny, to po co pytasz?

– Chcę to usłyszeć od ciebie. Chcę, żebyś wytłumaczyła dlaczego.

– Mam wrażenie, że chce pan bardzo wielu rzeczy, panie Thatch. A co ja dostanę w zamian za zaspokojenie jednej lub kilku z tych zachcianek?

– Jeśli mi nie odpowiesz, przestanę przychodzić.

– Oboje wiemy, że to nieprawda.

– Świetnie sobie radzimy z ciocią Jo. Nie potrzebujemy twojej pomocy. Nie chcemy.

– Jeśli nie chcesz pieniędzy, które ktoś ci podrzuca, to po prostu je rozdaj. Znajdź kogoś, komu się przydadzą. Podejrzewam, że nietrudno będzie znaleźć chętnego. Jeśli szkoda ci twojego cennego czasu, to po prostu je spal. Pozbądź się

tego ciężkiego brzemienia bogactwa za pomocą jednego pstryknięcia zapalką. Nie obchodzi mnie to. Cała ta bzdurna sprawa nie interesuje mnie w najmniejszym stopniu.

– Jeśli to nie ty zostawiasz mi te pieniądze, to kto?

Stella wzruszyła ramionami.

– Nie orientuję się, w jakim towarzystwie się obracasz.

W oddali zawarczał silnik jednego z SUV-ów. Po chwili dołączył do niego drugi. Patrzyłem, jak ludzie w długich białych płaszczach wsiadają do samochodów – wszyscy z wyjątkiem pani Oliver. Ona stała bez ruchu.

– Obawiam się, że na mnie już czas.

– Zaczekaj! – Nie chciałem powiedzieć tego tak głośno ani tak rozpaczliwie. Wyciągnąłem rękę, chciałem ją złapać za ramię, ale się cofnęła. Odsunęła się na sam skraj ławki, wciskając się w metalową poręcz, twarz zbladła jej jak u ducha. Niespokojnie przenosiła wzrok ze mnie na panią Oliver i z powrotem, zaczęła chyba żałować tak gwałtownego ruchu. Nagle, w jednej chwili, jakby się rozluźniła, wróciły jej kolorki, uśmiechnęła się. Za tym uśmiechem coś się jednak kryło, coś, czego jeszcze nie dostrzegałem, a wtedy ujawnił się tylko jego przeblysk – strach.

Przysunęła się bliżej, wracając na swoje wcześniejsze miejsce.

– Chcesz, żebym została?

– Tak.

Kącik jej ust powędrował nieznacznie w górę.

– Dobrze.

Zeskoczyła z ławki i ruszyła ku pani Oliver, w stronę najbliższego SUV-a. Staruszka pokazała palcem na ławkę.

– Zapomniałaś kwiatów, panienko.

– Nie chcę ich.

– Kiedy chłopiec daje ci kwiaty, nie wolno ich zostawić. Należy przyjąć je z radością i o nie dbać. Dar życia jest cenny i nigdy nie należy go lekceważyć – odparła pani Oliver. – Zabierz je.

– Nie chcę.

– Weź je, Stello.

Stella stała tak, wydawałoby się, że bez końca, mierząc panią Oliver wzrokiem. Ona jednak nawet nie mrugnęła. Toczyła się między nimi jakaś niema rozmowa. Pani Oliver podniosła rękę i znów wskazała na ławkę.

– Weź te kwiaty.

Wtedy Stella się obróciła i podeszła do ławki, nie odrywając ode mnie dużych brązowych oczu, kiedy sięgała po leżące obok mnie rumianki. Złapała bukiet, oplatając palcami długie łodyżki, podniosła go i trzymała przy swoim boku. Kiedy

ruszyła z powrotem do samochodu, pod czujnym spojrzeniem pani Oliver, białe płatki zaczęły kurczyć się i marnieć, żółte środki zbrązowiały, lodygi zrobiły się czarne. W połowie drogi do SUV-a kwiaty już całkiem zwiędły i opadły, aż w końcu wyschły na proch. Wiatr jeszcze rozwiewał ich resztki, kiedy pani Oliver otworzyła tylne drzwiczki i kazała jej wsiadać. Stella ani razu nie spojrzała w moją stronę.

Ruszyły i po chwili zniknęły.

Siedziałem w całkowitym bezruchu, próbując zrozumieć, co właśnie zobaczyłem.

Nie usłyszałem, jak za plecami podkradł się do mnie tamten mężczyzna.

Wokół mojej szyi owinęło się silne ramię.

– Ten nacisk, który czujesz w dole pleców, to bardzo ostry nóż. Szczerze radzę, żebyś się za bardzo nie rzucał.

Chwył poluzował się na tyle, żeby dłoń należąca do tego samego ramienia mogła zasłonić mi usta i nos jakąś szmatą. Poczułem słodki zapach.

W ostatniej chwili, zanim straciłem przytomność, mój wzrok powędrował na drugi koniec ławki, gdzie Stella siedziała zaledwie kilka minut wcześniej, i zauważyłem napis świeżo wydrapany w metalu.

„Pomóż mi”.

## 4

Ten sen.

Tataś zapinał mnie w foteliku.  
Mleko czekoladowe.  
Pod blokiem cioci Jo.  
Tataś otworzył drzwiczki od mojej strony.  
Wziął coś z fotela obok mnie, dał to cioci.  
Coś.  
Nie wiadomo co.  
Znowu jedziemy.  
Biały SUV na naszej drodze.  
Biały SUV blokuje przejazd.  
Straszliwy pisk opon.

Obudziłem się w jakimś zaułku.

Kiedy otworzyłem oczy, nie miałem pojęcia, gdzie jestem.

Bolała mnie głowa. Pulsujący ból za oczami promieniował na boki, niczym imadło ścisnął mi skronie. Zmrużyłem oczy w matowym pomarańczowym świetle sączącym się z góry. Słońce już zaszło, światło dochodziło z lampy sodowej zamontowanej na ceglanej ścianie budynku za moimi plecami. Padało w dół, oświetlając kąt z kontenerem na śmieci, drewnianymi skrzynkami i wyrzuconymi kartonami. Lampa bzyczała jak wielotysięczny rój pszczół uwięzionych w blasku.

Próbowałem wstać, ale się przewróciłem, nogi pode mną się trzęsły.

Miałem coś w dłoni.

Podniosłem zaciśniętą pięść do światła i zmusiłem palce, żeby się otworzyły, ciało działało z opóźnieniem. Na środku mojej dłoni leżał kawałeczek papieru złożony w kwadracik.

Pokręciłem głową, próbując odgonić senność, i natychmiast tego pożałowałem, bo nasilił się ból.

Wolną ręką rozwinąłem paperek.

Pięć słów skreślonych zgrabnym pismem:

„To sprawka tej twojej dziewczyny”.

Byłem na cmentarzu ze Stellą. Wróciła około siódmej.

Spojrzałem na niebo widoczne między budynkami, zupełnie czarne. O tej porze roku słońce zachodziło około wpół do dziewiątej. Musiałem stracić przytomność co najmniej na półtorej godziny, może dłużej.

Nagle przypomniał mi się męski głos, który szepnął do mojego ucha: „Ten nacisk, który czujesz w dole pleców, to bardzo ostry nóż. Szczerze radzę, żebyś się za bardzo nie rzucał”.

Tym razem udało mi się wstać. Zerwałem się na równe nogi i obróciłem się najpierw w jedną, potem w drugą stronę, rozglądając się dookoła. Byłem sam.

Potem wróciły pozostałe wspomnienia, niewyraźne obrazy powoli zyskujące ostrość. Szmata na twarzy, szybkie odpływanie, słowa wydrapane na ławce...

„Pomóż mi”.

Czy ja to sobie wyobraziłem?

Spojrzałem znów na liścik w mojej dłoni.

„To sprawka tej twojej dziewczyny”.

Wtedy zauważyłem stopę.

Wcześniej nie zwróciłem na nią uwagi, bo była wciśnięta z drugiej strony za kontener, widać było tylko czubek czarnego buta, sam nosek.

*W nogi, Jack.*

Mózg wrzeszczał rozkaz do ucieczki.

*Znikaj stąd.*

Jednak podszedłem do tego buta. Powoli wchodziłem w zaułek, zbliżając się do kontenera.

Spodziewałem się chyba zobaczyć jakiegoś włóczęgę, pijaka odsypiającego w spokojnym miejscu, ukołysanego do snu przez buczenie latarni sodowej.

Ciało wyglądało na spalone.

Sucha, czarna skóra.

Włosy na głowie mężczyzny były sztywne, białe, kruche. Część mu powypadała, kępki włosów tańczyły w podmuchach lekkiego wiatru gładzącego ziemię, powiewały na brudnym asfalcie.

Miał otwarte oczy, a raczej to, co z nich zostało. W ich miejscu widniały wyschnięte, żółtawo-białe kule zapadnięte w czaszkę. Wpatrywał się we mnie niewidzącym wzrokiem, usta miał lekko uchylone.

Wyglądał staro.

Starzej niż jakikolwiek człowiek, jakiego w życiu widziałem. Jak tysiącletnia mumia rozwinięta z bandażu.

Ciało sprawiało wrażenie spalonego, ale ubrania, o dziwo, nie. Miał na sobie niebieskie dżinsy, koszulkę z logo Styx i polar drużyny Pittsburgh Pirates. Ubrania

były brudne, ale całe, jakby został ubrany już po tym, gdy spotkał go jakiś okrutny los. Jakby ktoś oblał go benzyną, podpalił, a potem ubrał, kiedy płomieniom skończyło się paliwo.

„To sprawa tej twojej dziewczyny”.

Potwornie cuchnął.

Starąłem się o tym nie myśleć.

Przyklęknąłem obok.

Kiedy w komiksie superbohater (albo zółw ninja) znajdował zwłoki, najpierw próbował ustalić tożsamość nieboszczyka.

Pewnie ma jakiś portfel.

Nie chciałem go dotykać, wiedziałem, że nie powinienem, ale to nie powstrzymało mojej dłoni, która sięgnęła do tylnej kieszeni jego dżinsów. Nie powstrzymało mnie to przed obróceniem ciała na tyle, żeby ten portfel wydobyć.

Według danych z prawa jazdy nazywał się Andy Flack i mieszkał w Bethel Park. Miał trzydzieści trzy lata. Wyglądał zupełnie inaczej niż na zdjęciu.

Andy Flack zakasłał.

Wtedy rzuciłem się do ucieczki.

Wypadłem z uliczki jak pocisk, ślizgając się na mokrych kartonach przy końcu zaułka. Dopiero na chodniku zorientowałem się, że po drugiej stronie ulicy mieści się jadłodajnia Krendala i jestem jakąś przecnicą od domu.

Popędziłem znajomym chodnikiem, odpychając ludzi zastawiających mi drogę, przeskakując nad dziurami i pęknięciami. Kiedy dotarłem na miejsce, pobiegłem na górę, pokonując po kilka stopni naraz, drżącymi rękami otworzyłem drzwi, wpadłem do środka i z hukiem zatrzasnąłem za sobą drzwi. Osunąłem się na podłogę, dysząc ciężko i sapiąc, z trudem próbując nabrać wystarczająco dużo powietrza. Jednak prawdziwa panika ogarnęła mnie dopiero wtedy, kiedy zorientowałem się, że po drodze zgubiłem tamten portfel, a także liścik.

## 5

– Stary, co za popieprzona sprawa. Musisz zadzwonić na gliny – powiedział Dunk w słuchawce stłumionym głosem. Nie chciał obudzić taty, który przysnął przed telewizorem.

Nasz telefon wisiał w kuchni, ale kabel miał z kilometr długości, więc podciągnąłem słuchawkę aż do okna, żeby widzieć, co się dzieje.

– Już tu są. Ulicę blokują cztery radiowozy, odgradzili wejście do tej uliczki pomarańczowymi słupkami i żółtą taśmą. Kręci się tu chyba ze stu policjantów. Jest też karetka.

– Staaary. Zaraz będę – rzucił Dunk i się rozłączył.

Pięć minut później stał już ze mną przy oknie.

– Powinniśmy iść na dach.

– Nie wolno mi tam wylazić. Zresztą będzie nas widać.

– Tutaj też nas widać.

– Nie, bo pogasiłem światła.

– Ja cię widziałem.

– O nie, serio?

Dunk uśmiechnął się uspokajająco.

– Nie pękaj, wszyscy sąsiedzi też stoją w oknach. To lepsze niż *Prawnicy z Miasta Aniołów*. Nie mogę uwierzyć, że pogubiłeś te rzeczy. Równie dobrze mógłbyś się podpisać na ścianie i dołożyć: „Aresztujcie mnie”. Już nie żyjesz.

– Nie pomagasz.

– Na twoim miejscu od razu zacząłbym robić pompki, do tego wyciskać sztangę czy coś. Musisz trochę przypakować. Taki chudzielec nie przetrwa nawet jednej nocy w pierdlu.

– Nadal nie pomagasz.

– Mogłem zwinąć lornetkę taty. Ma taką wypasioną, jeszcze z wojny. Nie pamiętam, jakiej to firmy, coś na S. Widać przez nią drugi koniec miasta.

Wypuściłem powietrze z płuc.

– On był żywy. Nie wiem, jak to możliwe, ale żył.

– No, ale teraz to już raczej nie żyje, chyba że sanitariusze grają tam z nim w pokera. Kiedy przyjechali? Dziesięć minut temu?



- Dwadzieścia trzy.
- No to truposz jak nic.

Kiedy zadzwonił telefon, prawie wypadłem przez okno. Dunk wytrzeszczył oczy.

– To pewnie gliny. Chcą ci dać szansę, żebyś sam się poddał, zanim przypuszczą szturm na budynek.

- Raczej by nie dzwoniли.

Nie chciałem odchodzić od okna, ale przy trzecim dzwonku w końcu odebrałem. Ciocia Jo.

- Widzisz to na ulicy?
- Tak. Dunk do mnie przyszedł, oglądamy przez okno.
- Wiesz, co tam się dzieje?
- Nie – skłamałem.

– Mamy teraz dzikie tłumy. Policjanci ciągle przychodzą po kawę, mamy też sporo dziennikarzy. Jeden detektyw powiedział Krendalowi, że nikt z nas nie może wyjść z pracy, dopóki z wszystkimi nie porozmawiają. Może nam zejść jeszcze parę godzin. Krendal stwierdził, że skoro i tak musimy tu siedzieć, to wykorzystajmy sytuację i zaróbmy parę groszy. Od godziny wszystkie stoliki są pełne, a pod drzwiami stoi kolejka. Jeden reporter dał mi właśnie dwie dychy, żebym go posadziła przy oknie. Zdaje się, że kogoś zabili po drugiej stronie ulicy, w tym zaułku przy True Value.

- Zabili? Naprawdę? – powtórzyłem cicho.

Dunk odwrócił się do mnie i zapytał bezgłośnie:

- Kto tam?
- Ciocia Jo – odparłem.
- Co? – spytała ciotka.
- Sorry, to nie do ciebie. Dunk pytał, z kim gadam.

Krendal coś zawołał w tle. Ciocia Jo zasłoniła mikrofon ręką, odpowiedziała, po czym wróciła do rozmowy.

– Chyba lepiej, żebyś teraz nie siedział sam, więc powiedz Dunkowi, że może zostać, ile chce. Masz mi nie wychodzić z mieszkania. I nikomu nie otwieraj. Jak ktoś zapuka, to zadzwoń po mnie i przyjdę. Jeśli nie będziesz się mógł do mnie dodzwonić, to wezwij policję. Dotarło?

- Tak, ciociu.
- Muszę lecieć.

Rozłączyła się, więc odłożyłem słuchawkę.

Dunk ciągle wyglądał przez okno.

- Wychodzą!

Podbiegłem z powrotem i uklęknąłem obok niego.

Dwóch ratowników medycznych ciągnęło nosze na kółkach, na których leżała duża plastikowa torba. Wyglądała trochę jak gigantyczny worek na śmieci.

– Ojacie... – szepnął Dunk. – Tam w środku jest ciało.

– W środku jest Andy Flack.

Podnieśli wózek nad krawężnikiem i podjechali do czekającej karetki. Złożyli podwozie i wsunęli nosze do pojazdu. Pięć minut później jeden z radiowozów zjechał na bok i karetka ruszyła. Patrzyliśmy, jak znika w dole Brownsville Road, migając niebieskimi i czerwonymi światłami. Ale bez syreny.

Policja spędziła tam jeszcze trzy godziny.

Ciocia Jo wróciła do domu prawie o drugiej w nocy.

Dunk spał w śpiworze na podłodze w moim pokoju.

Ja nie zmrużyłem oka.

Rano sprawdziliśmy gazetę, ale nie było żadnej wzmianki o zwłokach w zaułku. Artykuł pojawił się dopiero następnego dnia.

## **CIAŁO W BOCZNEJ ULICZCE W BRENTWOOD. TAJEMNICZA SPRAWA**

PITTSBURGH, 10 sierpnia 1987. W sobotę późnym wieczorem w uliczce przy Brownsville Road 1825, między sklepem z narzędziami True Value a monopolowym Carmine's, znaleziono zmasakrowane zwłoki. Denata zidentyfikowano jako 33-letniego Andrew Olina Flacka z Bethel Park, górnika zatrudnionego w Nowicki Mining and Excavation. Ostatnio widziano go w piątek o 17.30, kiedy wychodził z pracy, odebrawszy czek z wypłatą w biurze kopalni w West Mifflin. – Miał dobry humor, cieszył się na weekend – mówi Gwenn Easler, kierowniczka biura. – Mówił, że nie ma żadnych planów, zamierzał trochę odsapnąć i zregenerować siły. Miał w tym tygodniu dwie podwójne zmiany, więc był wykończony. Nie mogę uwierzyć, że nie żyje. Taki sympatyczny człowiek. –

Jak na ten moment nie wiadomo, dokąd denat udał się po pracy. Nie poszedł zrealizować czeku w swoim banku, First Bank of Mifflin, ani nie wrócił do domu przy Monroe Road 83 w Bethel Park. – Na pierwszy rzut oka ciało wydawało się poważnie poparzone – mówi przedstawiciel biura koronera. – Ale to musi być coś innego. Zwęglenia skóry i odsłoniętej tkanki nie odpowiadają poparzeniom spowodowanym przez nagłe wystawienie na działanie płomieni czy wysokich temperatur, nie pasują też do powolniejszego spalania, jak w przypadku pożaru budynku czy samochodu. Nie znalazłem śladów żadnych substancji palnych, chociaż jak na tę chwilę nie wykluczamy wykorzystania substancji tego typu. Zmarłego ewidentnie ktoś przebrał. Na odzieży nie ma żadnych śladów ognia. –

Na miejscu zdarzenia słyszano, jak jeden z policjantów omawiał z drugim hipotezę samozapłonu. Żaden z nich nie chciał jednak podzielić się z nami swoimi przypuszczeniami. Lokalna policja pod wodzą detektywa Faustina Briera, weterana wydziału zabójstw, spędziła wczoraj większość dnia w kopalni Flacka. Brier nie chciał komentować sprawy, powołując się na tajemnicę śledztwa, ale wiele wskazuje na to, że zdaniem organów ścigania mamy do czynienia z wypadkiem przy pracy. Jeśli jednak Flack rzeczywiście został ranny (lub zabity) w wypadku w kopalni w West Mifflin, to dlaczego go przebrano? Kto go przebrał? Dlaczego jego ciało znalazło się w zaułku sześć kilometrów dalej? Jeśli zaś Flacka spalono w tym zaułku, to dlaczego nie znaleziono śladów żadnej substancji palnej? Te pytania zapewne nie dają dziś spokoju detektywowi Brierowi.

Sama uliczka nie jest uczęszczana przez pieszych, służy głównie za śmietnik dla sąsiednich lokali. Ponieważ jest dość odosobniona, często sypiają tam bezdomni. Ciało Flacka odnalazł 43-letni Orville Clemens, który zamierzał spędzić noc w tym cichym miejscu, gdyż nie udało mu się znaleźć miejsca w schronisku. –

Najpierw myślałem, że po prostu śpi, ale potem podszedłem bliżej i zobaczyłem, że coś jest nie tak – relacjonuje. Natychmiast zadzwonił pod numer alarmowy z pobliskiej budki telefonicznej i wkrótce przybył zespół ratunkowy.

Z OSTATNIEJ CHWILI. Udało nam się ustalić, że w miejscu zamieszkania Flacka znaleziono materiały pornograficzne z udziałem dzieci – magazyny, obrazki i zdjęcia, a także bieliznę należącą najprawdopodobniej do dzieci obu płci. Nie wiadomo, czy znalezisko to ma jakiś związek ze śmiercią Flacka. Detektyw Brier odmówił udzielenia komentarza w tej sprawie.

– To on był jakimś zwyrolem? – spytał Dunk, czytając gazetę. Siedział po drugiej stronie stolika w Krendal's. Poranny ruch powoli się uspokajał. Ciocia Jo była jeszcze w domu, spała. Zaczynała dopiero od zmiany obiadowej. Ja też miałem później pracować.

– Nie piszą nic o liściku.

– To dobrze, nie? Może nikt go nie znalazł. Wiatr mógł go porwać i zanieść prawie do Filadelfii.

– Ale z portfela na pewno ściągną odciski. – Westchnąłem. – Dlaczego nie schowałem mu go z powrotem do kieszeni? Debil ze mnie.

– Nie schowałeś portfela z powrotem, bo facet właśnie zaczął odstawiać zombi i musiałeś się ratować – wyjaśnił Dunk. – Jak przyjdą gliny, to powiesz, że znalazłeś ciało, myślałeś, że to trup, i wyjąłeś portfel, żeby sprawdzić, kto to jest, żeby powiedzieć policji, kiedy to zgłosisz, taki z ciebie dobry Spartanin.

– Dobry samarytanin. Spartanin to mieszkaniec starożytnego greckiego miasta.  
– Dobra, dobra, mądralo.  
– Poza tym przecież nie wezwałem policji. Uciekłem. A jak uciekałem, to jeszcze żył.

– No to tego im przecież nie mów, głupku, tylko to, co ci powiedziałem. Jeśli będą próbowali wyciągnąć z ciebie coś więcej, to zacznij ryczeć, ja bym tak zrobił. Jesteś dzieciakiem. Nikt nie chce użerać się z płaczącym bachorem, wykorzystaj to. Jeszcze tylko przez parę lat będziemy mogli z tego korzystać, więc szkoda by było zmarnować okazję. – Dunk głośno wysiorbał przez słomkę resztkę shake'a truskawkowego.

Spojrzałem na zaułek po drugiej stronie ulicy – ciemną paszczę między budynkami.

– Zdjęli taśmę.

Dunk odsunął pustą szklankę.

– Tak, wczoraj, około południa.

– Nie mogę uwierzyć, że siedziałeś tu wczoraj przez cały dzień.

– Było nas parunastu. Wtopiłem się w tłum, musiałem zrobić rekonesans. Ty przecież nie mogłeś, masz współudział i w ogóle. Musisz trzymać się na uboczu, zejść do podziemia. A właśnie, bym zapomniał, musimy ci załatwić fałszywe dokumenty, przydadzą się, gdy będziesz uciekał. Jak stoisz z forszą? Dostałeś znowu kopertę?

– Tak, kolejne pięć stów. Jak zwykle leżały na łóżku.

– Jezu, to ile już masz?

– Sześć i pół tysiąca. W sumie trzynaście kopert.

– Sześć i pół tysiąca dolarów?!

– Ćśś! – szepnąłem, rozglądając się po sąsiednich stolikach. Na szczęście nikt go nie usłyszał.

– Sorry. Ale Jezu, Thatch, co ty zrobisz z tą forszą? Mógłbyś kupić samochód i serio gdzieś uciec. Albo kupić dom na Florydzie czy coś. Nad morzem, z łódką, żebyś mógł uciekać na Kubę, jakby ten detektyw Brier cię ścignął. A może w Londynie.

Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, co zrobić z tymi pieniędzmi. Nie mogłem ich wydać. Gdybym wydał choć trochę, musiałbym się wytłumaczyć, skąd się wzięły. Nawet przekazywanie ich cioci Jo okazało się przecież problematyczne. Na szczęście pracowaliśmy dość ciężko, żeby jakoś wiązać koniec z końcem, więc nie musiałem znowu się do tego uciekać. Bardzo chciałem kupić sobie nowy rower. Miałem BMX-a skywaya ze srebrną ramą i niebieskimi akcentami. To był świetny rower... dziesięć lat temu, kiedy wyjechał z fabryki. Teraz cała rama pordzewiała, srebrna farba w większości poodłaziła, a siodełko było tak

podziurawione, że musiałem je owinąć starą koszulką i obkleić całość srebrną taśmą. Pracowałem u Krendala cztery wieczory w tygodniu, po trzy godziny, za minimalną stawkę. Wyciągałem z tego zawrotną kwotę trzydziestu dziewięciu dolarów tygodniowo, wypłacaną pod stołem. Kupno roweru nie wchodziło w grę

– To fundusz na czarną godzinę – odparłem w końcu. – Na razie muszę tylko pilnować, żeby nic się z nimi nie stało. Coś wymyślę.

– Lada dzień pójdziesz do więzienia za morderstwo. Jak dla mnie to całkiem ciemna ta godzina. Mam nadzieję, że przynajmniej trzymasz je w bezpiecznym miejscu. W zeszłym tygodniu włamali się do Harwooda spod sto siedem. Zabrali wieżę i telewizor, zdemolowali całe mieszkanie. Powyrzucali wszystko z szafek i szuflad, wypatroszyli materace, kompletne pobojojisko. Wywalili nawet żwirek z kociej kuwety. Kto robi takie rzeczy? Może powinieneś przenieść kasę w bezpieczniejsze miejsce albo rozłożyć do kilku kryjówek, żeby ewentualni włamywacze nie zabrali wszystkiego.

Dunk miał rację. Ta kwestia już od dłuższego czasu spędzała mi sen z powiek. Parę miesięcy temu dobrałem się z nożem do mojego egzemplarza *Iliady*, potężnego tomiszcza, którego nie zamierzałem już nigdy czytać ponownie. Wydrążyłem środek i włożyłem pieniądze, a książkę schowałem do kartonu w szafie z kilkunastoma innymi książkami. Całkiem niezła skrytka, ale żadna nie jest idealna. No ale przynajmniej lepsza niż szuflada ze skarpetkami, a tam pieniądze przeleżały większość minionego roku.

– Ktoś przyszedł – zauważył Dunk półgłosem. Przysunął sobie z powrotem szklanekę i udawał, że pije, kątem oka obserwując uliczkę. – Wygląda na detektywa.

Facet rzeczywiście wyglądał jak detektyw. Miał na sobie pognieciony ciemnoszary garnitur i czerwony krawat. Był mniej więcej w wieku cioci Jo, przed czterdziestką albo tuż po. Włosy miał brązowe, krótko przystrzyżone po bokach i nieco dłuższe na górze. Wiatr mu je mierzwił, ale on nie zwracał na to uwagi.

– Co on tam robi?

– Stoi tylko i się gapi.

– Przyszedł sam?

– Chyba tak. Wczoraj też tu był, poznaję go. To pewnie ten detektyw z gazety.

– Może. – Przejrzałem artykuł i namierzyłem jego nazwisko. – Faustino Brier.

– Co to w ogóle za imię? – parsknął Dunk. – Nie da się nawet zrobić z niego porządnej ksywy. Może Tino?

– Za bardzo się kojarzy z Dinem z *Flintstonów*. Może Faust, ale chyba nie byłby zachwycony.

– Czemu?

– Faust to był taki stary Niemiec, który zawarł pakt z diabłem. Oddał duszę w zamian za nieograniczoną wiedzę i różne rzeczy – wyjaśniłem. Pani Orgler od angielskiego dała mi tę książkę na wakacje. Przeczytałem ją w tydzień, a potem zacząłem od początku. Uwielbiałem wątki magiczne.

– Totalnie zrobię to samo, jak skończę szesnaście lat i będę potrzebował auta – stwierdził Dunk.

– Faust kiepsko na tym wyszedł. Okazało się, że dusza jest potrzebna znacznie bardziej niż różne inne rzeczy.

– Wiśniowy mustang, rocznik sześć sześć albo sześć siedem, kabrio, osiem cylindrów pod maską – rozmarzył się Dunk. – Myślisz, że mógłbym dostać jeszcze z milion dolarów i zajebistą chatę? Będę potrzebował garażu i forsy na benzynę.

– Myślę, że za swoją duszę to przy dobrych wiatrach dostaniesz najwyżej forda pinto z dziurawą podłogą i trochę bonów na jedzenie, żebyś nie umarł z głodu przez zimę. Diabeł też zna się na interesach i wie, kiedy nie ma sensu przepłacać.

– To nie musiałyby być mustang w idealnym stanie. Mógłbym go podrasować. Trochę się na tym znam.

Wyprostowałem się na krześle, żeby lepiej widzieć, co się dzieje po drugiej stronie ulicy.

– Gdzie on polazł? Nie widzę go. – Duży biały dostawczak z wielkim logo Budweisera zatrzymał się na Brownsville Road i zaparkował na drugiego przed Carmine's. Nie widziałem, co się dzieje za nim.

– Ja mam tu taki sam widok, ten gość z browarami wszystko zasłania. Może powinniśmy tam pójść.

– W życiu.

Pięć minut później ciężarówka odjechała. Po detektywie nie było ani śladu.

– Może wszedł w tę uliczkę. Jego auto ciągle tu stoi.

– Wszyscy gliniarze jeżdżą crown vicami? – spytałem.

– Jak szatan nie będzie chciał mi dać mustanga, to nie pogardzę crown vikiem. Nie jestem wybredny. Byle miał wbudowane te takie zajebiste reflektory po stronie kierowcy.

Obaj gapiliśmy się przez okno i żaden z nas nie zwrócił uwagi, że detektyw właśnie wszedł do jadłodajni.

Dunk pierwszy go zauważył i kopnął mnie pod stolikiem.

Detektyw Faustino Brier stał zaraz za progiem i powoli wodził wzrokiem od prawej do lewej, badając wnętrze i twarze obecnych.

– Szlag – szepnął Dunk. – Schowaj się pod stół czy coś.

– Nie będę się chował pod stołem. To na pewno zwróci jego uwagę. Przecież on nie wie, kim jestem. Zachowuj się naturalnie, wyluzuj.

– Jasne – odparł Dunk, rozwalając się na siedzeniu i kładąc splecione dłonie na stole.

– Nie aż tak luźno.

– Tak jest. – Usiadł prosto i zaczął się bawić pustą szklanką po shake'u, wbijając wzrok w blat z laminatu, jakby na pracę domową kazali mu policzyć każdą kolorową plamkę deseni.

– Niech pan siada, gdzie chce! – zawołał Krendal z kuchni. – Ktoś zaraz podejdzie. Lurline, klient!

Wyjąłem portfel i położyłem pięć dolarów pod szklanką.

– Idziemy.

– Właśnie się nad tym zastanawiałem – powiedział Dunk cicho, nie poruszając wargami. – Zrobię jakieś zamieszanie, może zrzucę ze stołu szklankę albo widelec, cokolwiek. Jak już wszyscy będą na mnie patrzeć, to ty śmigniesz do wyjścia. Jakby gość zaczął cię gonić, to podstawię mu nogę, żebyś miał więcej czasu. Duży jest, ale mogę go trochę spowolnić.

– Możemy też po prostu wstać i wyjść jak normalni ludzie.

– Nie możemy ryzykować twojej wolności.

– Dlaczego tak dziwnie mówisz?

– Jak?

– Nie ruszasz ustami.

– Nie chcę, żeby ktoś wiedział, o czym rozmawiamy.

– Nikogo to nie obchodzi. Liczę do trzech i wychodzimy.

Policzyłem, wstałem i ruszyłem do drzwi. Dunk przez chwilę się wahał, ale ruszył za mną. Już myślałem, że nam się udało. Czuję powiew wiatru, moja dłoń zaciskała się na metalowej klamce i już zaczynała pchać.

– Hej, młody...

Obaj zamarliśmy. Przechodnie omijali uchylone drzwi i szli dalej w swoją stronę. Moglibyśmy uciekać. Może Dunk miał rację. Jednocześnie obróciliśmy głowy, spoglądając na detektywa.

Odwrócił się na stołku i patrzył teraz na nas. Jego wzrok wylądował na Dunku.

– Byłeś tam wczoraj, prawda? Koło tej uliczki naprzeciwko?

– Tak, proszę pana – odparł Dunk. W jego głosie nie pobrzmiwała już nawet nutka basu, którego dorobił się w tym roku. Brzmiał jak u znacznie młodszego chłopaka.

– Pewnie się ekscytujesz, co? To jak w telewizji.

– Tak, proszę pana.

– Jak się nazywasz?

– Duncan Napoleon Bellino – wyrecytował bez zająknięcia. – Mieszkam przy Brownsville Road osiemnaście dwadzieścia dwa, mieszkania dwieście siedem.

Mam jedenaście lat.

Detektyw uniósł brew, sięgnął po swój notatnik i coś zapisał. Nachylił się do przodu i świdrował Dunka wzrokiem.

– A przedwczoraj? Albo jeszcze wcześniej? Zauważyłeś tam coś dziwnego? Kręcili się tam jacyś dziwni ludzie?

– Nie, proszę pana.

– A kiedy ostatnio tam byłeś? Bawisz się tam czasem?

– Nie, proszę pana.

– Nie, nie bawisz się tam? Czy nie, nigdy tam nie byłeś?

– Jedno i drugie. Znaczy... Nigdy tam nie byłem. I nie bawię się tam.

Lurline Waldrip wyszła z kuchni i rzuciła białą ścierkę na kontuar.

– Przepraszam, byłam na zapleczu. Podać kartę?

Kiedy detektyw się do niej odwrócił, wyrwaliśmy z Dunkiem do drzwi, złapaliśmy rowery zaparkowane pod latarnią przed knajpą i popędziliśmy pod górę. Ani razu nie obejrzeliśmy się za siebie. Chyba nigdy w życiu szybciej nie pedałowaliśmy.

Przejechaliśmy na drugą stronę wzgórza, skręciliśmy w lewo z Maytide Street, po dwóch przecznicach daliśmy w prawo w Claus Avenue, potem w lewo w Newburn, łańcuch w moim rowerze pisał z każdym obrotem. Przez dwadzieścia minut dwukrotnie objechaliśmy całą okolicę, przekonani, że crown vic detektywa lada chwila nas dogoni albo wyjedzie gdzieś z przodu. Samochód jednak się nie pojawiał. Na szczycie Gorman's Hill wcisnąłem hamulce i zatrzymałem się z poślizgiem. Dunk zahamował w żwirze koło mnie i opuścił nogi na ziemię, sapiąc tak głośno, że ledwie słyszałem własne dyszenie. Pot sływał mi po skroniach, plecy koszulki miałem przesiąknięte.

– Musimy trzymać się z dala od drogi – wydusiłem w końcu.

– Czyli gdzie?

Dobrze wiedziałem gdzie. Unikałem tego miejsca od soboty.

– Chodź.

Niespełna dziesięć minut później dotarliśmy pod cmentarz. Brama była otwarta, więc jechaliśmy dalej, aż dotarliśmy do mauzoleów. Tam zwolniłem i zatrzymałem się między dwoma z największych: rodzin Polanski i Nowy. Zeskoczyłem z roweru, oparłem go o ścianę i próbowałem złapać oddech, podczas gdy Dunk podprowadzał swój rower na miejsce obok mojego.

– Ten facet jest jak pies gończy – wydyszał w końcu Dunk. – Rzucił się na mnie u Krendala, widziałeś?

– Wątpię, żeby cokolwiek wiedział.

– Może to ja powinienem uciekać. W razie czego będę musiał pożyczyć od ciebie trochę kasy.



– Przecież nic nie zrobiłeś.

– Cele są pełne niewinnych ludzi, Thatch. Nie ja pierwszy. Nie oglądałeś tego starego serialu na TBS, *Ściganego*? To o takim lekarzu, nazywa się Richard Kimble i skazują go za zabójstwo żony, chociaż wcale tego nie zrobił. Idzie do więzienia, ucieka i próbuje znaleźć prawdziwego zabójcę. – Dunk urwał, oglądając się niespokojnie przez ramię. – Nie mogę iść do więzienia, Thatch. Nie uda mi się uciec, nie ma szans, a nawet jakby mi się udało, to nie mam czasu szukać prawdziwego mordercy. Mam inne rzeczy do roboty w życiu, a nie ten szajs.

Przewróciłem oczami.

– Ten gliniarz zauważył cię wczoraj w tłumie i chciał zadać parę pytań. Nie ma nic konkretnego.

Przez następne dziesięć minut odpoczywaliśmy, na zmianę wyglądając za róg, czy przypadkiem nie jedzie detektyw.

– To ta? – spytał nagle Dunk, przerywając milczenie.

Podążyłem za jego spojrzeniem do czarnej metalowej ławki, która stała jakies dziesięć metrów dalej, przycupnięta na szczycie pagórka i pusta.

– Tak.

– Nikogo nie ma.

– Bo dziś nie jest ósmy sierpnia. A ona przychodzi tylko wtedy.

Dunk walnął mnie w ramię.

– Załapałem, głupku. Chodzi mi o to, że nikt tam nie siedzi, więc możemy obejrzeć. Mówiłeś, że coś tam napisała.

„Pomóż mi”.

Nie byłem pewny, czy chcę znowu zobaczyć te słowa. Ich widok uczyniłby je prawdziwymi. Oznaczałoby to, że Stella dwa dni temu błagała mnie o pomoc, a ja robiłem wszystko, żeby o tym zapomnieć.

– Columbo nas nie goni – stwierdził Dunk, ostatni raz sprawdzając, czy nie jedzie samochód detektywa. – Chodź. – Ruszył w stronę ławki.

Mieliśmy stąd widok na większość cmentarza, gdyby detektyw jednak przyjechał, mielibyśmy czas uciec. Ale tak jak powiedziałem Dunkowi, nie sądziłem, żeby nas ścigał. Gdyby chciał, mógł zatrzymać nas w jadłodajni.

Pobiegłem za Dunkiem.

Siedzenie było wilgotne od porannej mgły. Cmentarz był opustoszały, ani żywej duszy w zasięgu wzroku, panowała niesamowita cisza, dźwięk naszych kroków brzmiał ogłuszająco.

Dunk stał pochylony nad ławką i oglądał ją uważnie.

– Tutaj to było?

– Tak, w tym miejscu.

– Ktoś zdrapał.

Rzeczywiście, ktoś zdrapał nie tylko napis, lecz cały fragment czarnej farby, tak że w miejscu, gdzie znajdowały się słowa, został tylko owal srebrzystego metalu.

– Pewnie ci ludzie, którzy z nią byli.

Dunk zmarszczył czoło.

– Ale mówiłeś, że oni byli raczej jak ochroniarze. Jakby to ona nimi rządziła, nie na odwrót.

– Może nie miałem racji.

Przyklęknąłem w trawie obok Dunka i przyjrzałem się bliżej.

– To nie jest zdrapane. Ktoś usunął farbę. Widzisz ten metal? Jaki jest gładki? Gdyby ktoś zdrapał napis, zostałyby ślady narzędzi, okruszki farby. – Nachyliłem się. – Czuć rozpuszczalnikiem.

– Jak ktoś nas zobaczy, to pomyśli, że się modlimy do tej ławki.

– To cmentarz. Wszyscy zachowują się dziwnie, a wszyscy inni nie przeszkadzają tym, co się dziwnie zachowują. Jak tutaj ktoś zacznie gadać do kamienia, to ludzie uznają, że to z emocji, w parku za to samo mogą człowieka aresztować. Jest taka niepisana zasada czy coś – skwitowałem.

– Ciekawe, czemu nie odmalowali ławki – zauważył Dunk. – Natrudzili się, żeby ukryć tę wiadomość. Można by się spodziewać, że pójdą na całość i zetrą wszystkie ślady, jakby to się nigdy nie wydarzyło.

– Może chcieli, żebym zobaczył, co zrobili, żebym zrozumiał, że oni wiedzą, co ja wiem. Gdyby całkiem się tego pozbyli, mógłbym uznać, że mi się przywidziało. To wszystko działo się bardzo szybko. – Wstałem i spojrzałem na drzewa za ławką, fragment lasku na granicy cmentarza. – Ten facet zakradł się od tyłu i mnie uspił. Tylko mi mignęło, co napisała.

– Zabawię się w adwokata diabła, ale skąd w ogóle masz pewność, że to ona napisała? Może ktoś inny to zrobił. To może nie mieć z nią nic wspólnego – zasugerował Dunk.

– To czemu napis zniknął?

– Może konserwator z cmentarza posprzątał, tak jak zamalowują graffiti na ścianach.

– Konserwator zamalowałby napis. Nie bawiłby się w zdrapywanie. Na pewno nie zostawiłby takiej dziury.

– Może jeszcze nie skończył, tylko akurat nie miał czarnej farby.

Ja jednak wiedziałem. Byłem pewny.

– Stella napisała „pomóż mi”, a ci jej ludzie to usunęli. – Obszedłem ławkę dookoła, nie odrywając wzroku od drzew. – Przyszedł stamtąd, na pewno... Chodź.

Za ławką z bocze wzgórze opadało ku gęstej linii drzew na skraju cmentarza, kilka kroków dalej zaczynał się dziki las. Kiedy dotarłem do drzew, obejrzałem się i popatrzyłem w górę na ławkę.

– Dopadł mnie zaraz po ich odjeździe, więc musiał nas obserwować. Widzę stąd ławkę, ale przez górkę nie widać miejsca, w którym stały SUV-y.

– Może słyszał samochody? – rzucił Dunk. – Strasznie tu cicho.

– No, może.

– Przypomnij mi, co on ci powiedział?

– „Ten nacisk, który czujesz w dole pleców, to bardzo ostry nóż. Szczerze radzę, żebyś się za bardzo nie rzucał”. Potem przycisnął mi coś do ust. Pachniało słodko i zaraz zemdlałem.

– Pewnie chloroform, używaliśmy go na przyrodzie z panią Lidden, na myszach.

– Właśnie tak pachniało.

– Widziałeś nóż?

Pokręciłem głową.

– Czyli nie wiesz na pewno, że miał jakiś nóż?

– No nie wiem.

Przeczesałem drzewa, trawę, krzaki, wszędzie szukaliśmy jakiegokolwiek śladu tego człowieka, aż do Nobles Lane, gdzie kończył się lasek, i nic nie znaleźliśmy. Doszliśmy do wniosku, że pewnie miał tam jakiś samochód, do którego mnie zaniósł, ale jeśli tak było, to nie zostały żadne ślady. Dwie godziny później, uświnieni od stóp do głów, znowu staliśmy przy ławce.

– Musimy pogadać o tych kwiatkach – stwierdził Dunk, drapiąc ugryzienie komara na lewej ręce.

– Co z kwiatkami?

– Mówiłeś, że jak Stella je wzięła, to na twoich oczach zwiędły jej w rękę w parę sekund. Musisz się chyba pogodzić z myślą, że nzbierałeś jakichś zwiędłych chwastów i zobaczyłeś coś, co się nie wydarzyło. Jediną inną opcją jest jakaś akcja rodem z X-Menów, a chociaż uwielbiam ten komiks, to jednak tylko komiks. Takie rzeczy nie dzieją się naprawdę.

Spuściłem wzrok na dłonie i wykręciłem palce.

– Wstała i zostawiła je na ławce. Ta staruszka...

– Pani Oliver?

– Pani Oliver kazała jej po nie wrócić. Stella nie chciała. Pani Oliver ją zmusiła. Stella wzięła kwiaty i widziałem, jak zwiędły i całkiem się rozpadły, zanim doszła do SUV-a.

– Gdzie stał samochód?

Pokazałem na drogę.

- Tam.
- To tylko z dziesięć metrów.
- No.
- Czyli jakimś cudem zamordowała kwiatki w pół minuty?
- Nawet szybciej.
- A potem wsiadła do auta i odjechała ku zachodzącemu słońcu?

Zamknąłem oczy i potarłem skronie.

- Niepotrzebnie ci cokolwiek mówiłem.

Przez dłuższą chwilę oboje milczeliśmy. Dunk odezwał się pierwszy, ostrożnie dobierając słowa.

- Wierzę, że ty wierzysz, że widziałeś, jak zabiła te kwiaty. Może na razie na tym stanąć?

- Nie miała rękawiczek – powiedziałem półgłosem.

- Jak to?

– Wcześniej zawsze miała rękawiczki. Nawet jak było gorąco. Ale nie tym razem. Myślę, że pani Oliver chciała, żebym to zobaczył. Na pewno to ona nie pozwoliła jej włożyć rękawiczek, żebym to zobaczył.

- Ale skąd by wiedziała, że przyniesiesz kwiatki?

- Nie wiem.

Przez myśl przemknęła mi wizja mężczyzny leżącego za śmietnikiem. Próbowałem wyrzucić ją z głowy, ale obraz stawał się coraz wyraźniejszy – sucha, czarna, jakby spalona skóra, puste oczy tkwiące w czaszce.

„To sprawka tej twojej dziewczyny”.

- Mówiłeś, że co roku przyjeżdża tu tego samego dnia, tak?

- Tak, ósmego sierpnia – przytaknąłem.

Dunk zmrużył oczy, widziałem, że intensywnie nad czymś rozmyśla.

- No to mamy rok na obmyślenie planu.

- Jakiego planu?

- Jak ich śledzić. Musimy ustalić, dokąd te SUV-y jadą z cmentarza.

8 sierpnia 1988 roku

*Dwanaście lat*

Dn. 08.08.1988:

Pacjent „D” - parametry w normie.

Nagranie audio/wideo.

- Dali mu dzisiaj porozmawiać przez telefon.
  - Serio? I jak poszło?
  - Ja tam bym nie chciał odebrać takiego telefonu.
  - Bez dwóch zdań. Do kogo zadzwonił?
  - Oni wybrali numer. Robili tak dawno temu, kiedy był mały, ale wtedy chyba za bardzo nie rozumiał, co się właściwie dzieje.
  - A teraz rozumie?
  - Zdecydowanie.
  - A i tak to zrobił?
  - Tak. A wiesz, co jest najgorsze?
  - Co?
  - Myślę, że on chciał to zrobić. Kiedy skończyli i się rozłączył, gnojek się uśmiechał. Ewidentnie go to kręci.
  - Ktoś z nim powinien skończyć.
  - A gdzie, w życiu. Jest zbyt cenny.
  - Tak myślisz? A ja się założę, że gdzieś tam leży gruby czerwony segregator, w którym wyszczególniono kilka sposobów, żeby zakończyć jego nędzny żywot. Jak to zrobili?
  - Co?
  - No z tym telefonem.
  - Lou mówił, że lekarka zaniósła tam aparat, potem ktoś wybrał numer tutaj w kanciapie i przełączył do nich. Na telefonie zaświeciła lampka, chłopak wziął słuchawkę i zrobił swoje.
  - Sprawna metoda.
  - No, nie da się ukryć.
  - Dziwne, jak to działa, przez telefon i osobiście, ale pod warunkiem że to rozmowa na żywo.
  - Jedna z wielkich zagadek tego świata.
- Cisza.
- Zrobiłbyś to?
  - Co?
  - Przecież wiesz.

- Czybym go wykończył? Zaciukał? Posłał na łono Abrahama? Kazał wachać kwiatki od spodu? Spuścił do piachu? Wyprawił na tamten świat? Uciszył na zawsze?
  - No tak.
  - Owszem.
  - Wiesz, że nas nagrywają, prawda?
  - Nikt nie słucha tego syfu.
  - Ale i tak nie powinno się mówić takich rzeczy na głos.
  - Tylko myśleć po cichu?
  - Tak.
  - Czyli myślisz o zabiciu go, ale nie chcesz o tym mówić?
  - Wkładasz mi słowa w usta. Niczego takiego nie powiedziałem.
  - Nie powinno się go tak tu zostawiać, skazywać na życie w czterech ścianach. Nikt nie powinien tak żyć, nawet on.
  - A odkąd to masz sumienie?
  - A będzie jeszcze gorzej, jeśli stąd kiedyś ucieknie.
  - Nie dopuszczą do tego. Nie uda mu się wydostać z budynku.
  - Tak sądzisz? Przecież wiemy, co potrafi.
  - Są różne zabezpieczenia, protokoły, pewnie z milion różnych procedur, żeby do tego nie dopuścić.
  - A miałeś kiedyś szkolenie z takiej procedury?
- Cisza.

# 1

Lato 1988 roku należało do najbardziej deszczowych w historii Pittsburgha, a ósmy sierpnia nie stanowił wyjątku. O siedemnastej na terenie większości miasta obowiązywały ostrzeżenia przed podtopieniami.

Ciocia Jo stwierdziła, że mama zrozumie, jeśli przełoży doroczną wizytę na cmentarzu na później, kiedy skończy się pora deszczowa. Miała też nadzieję, że woda zaleje grób ojca, który popłynie gdzieś i zniknie w jednej z trzech okolicznych rzek, żeby matka wreszcie mogła spoczywać w pokoju bez tego „nic niewartego śmiecia, zapijaczonego drania” u boku. Zauważyłem, że ciocia Jo wygłosiła tę tyradę rozwalona w fotelu przy oknie, dopijając trzeci kieliszek wina i zaciągając się pierwszym papierosem z drugiej tego dnia paczki.

Przez ostatni rok detektyw Faustino Brier nie kontaktował się ani ze mną, ani z Dunkiem. Po tych pierwszych artykułach i materiałach telewizyjnych niewiele też mówiło się w mediach o Andym Olinie Flacku. Okazało się, że nikt nie chciał słuchać o „zwyrołu”. Większość zapewne uznała, że dostał to, na co zasłużył.

Wyszedłem z mieszkania punktualnie o piątej, doceniając upór cioci Jo, żebym zabrał parasol i kurtkę przeciwdeszczową, a już o wpół do szóstej (po odwiedzinach na grobie rodziców) wspiałem się w błocie na wzgórze, minąłem lśniące od deszczu mauzolea i usiadłem na ławce, natychmiast pożałowawszy, że nie wziąłem jakiegoś ręcznika, żeby wytrzeć siedzenie. Po kilku sekundach miałem przemoczone džinsy, mokry tyłek i poważne wątpliwości co do słuszności całego przedsięwzięcia.

– „Czerwony Wódz do Czerwonego Jeden, zgłoś się, odbiór”.

Dunk mnie przekonał, żebyśmy przeznaczyci część moich pieniędzy na zakup krótkofalówek, a chociaż z początku nie byłem przekonany, to rzeczywiście jego plan nie mógł się bez tego powieść. W Radio Shack przy Brownsville Road mieli spory wybór i po szczegółowym porównaniu specyfikacji rozmaitych modeli zdecydowaliśmy się na cztery nadajniki Wouxun KG-UV899 z podwójnym pasmem 136-174MHz 400-520MHz FM. Miały zasięg około trzech kilometrów i w porównaniu z innymi modelami były niewielkie, łatwe do ukrycia.

Sięgnąłem za pazuchę kurtki i wcisnąłem guzik transmisji nadajnika ukrytego w wewnętrznej kieszeni.



- Czerwony Jeden na pozycji, odbiór.
  - „Przyjąłem. Czerwony Dwa, zgłoś się”.
- W głośniku zatrzeszczało, po czym odezwał się głos:
- „Czerwony Dwa na pozycji. Zimno tu w chuj, odbiór”.
  - „Przyjąłem, odbiór”.

Pod kryptonimem Czerwony Dwa krył się Willy Trudeau, który na co dzień kazał się nazywać „Tru Dat” i twierdził, że będzie następnym wielkim białym raperem. Zapowiedzi te brzmiały dość dziwnie, ponieważ dotychczas nie było jeszcze ani jednego dobrego białego rapera. Rude włosy i blada cera pokryta nieprzyzwoicie licznymi piegami nie pomagały mu w budowie wizerunku, który próbował stworzyć za pomocą za dużych adidasów i całej kolekcji dresów noszonych przy każdej okazji. Plany na świetlistą karierę mógł mu pokrzyżować także ten drobny szczegół, że nie potrafił rapować – miał zerowe wyczucie rytmu, a tańczył jak muppet podłączony do prądu. Mógł jedynie liczyć na to, że ustawi się w kolejce za Dunkiem, kiedy ten będzie układał się z diabłem, i podpisze z nim umowę na boku. Bez interwencji sił ciemności Willy’emu pisana była raczej kariera księgowego w dresie i wypasionych adidasach.

Dunk zapłacił Willy’emu dwadzieścia dolarów z moich pieniędzy. W zamian Willy „Tru Dat” zgodził się nam dziś pomóc i nie zadawać pytań.

- „Czerwony Jeden, tu Czerwony Wódz. Mógłbyś jeszcze raz opisać pojazdy?”  
Już to przerabialiśmy. Wcisnąłem guzik transmisji.
  - Białe SUV-y, pewnie trzy. Może więcej, może mniej. Identyczne, prawdopodobnie przyjadą razem. Odbiór.
  - „Tu Czerwony Dwa. Znamy markę i model? Odbiór”.
- Willy wiedział, że nie znamy. Od samego początku przez to się ze mnie nabijał.
- Nie.
  - „Czerwony Wodzu, tu Czerwony Dwa. Po powrocie do bazy proponuję przeprowadzić głosowanie nad odebraniem Czerwonemu Jeden legitymacji mężczyzny. Chłopak, który nie potrafi rozpoznać marki i modelu pojazdu po dźwięku silnika, powinien za karę przez resztę życia myć różową corvette Barbie, odbiór”.
  - „Tu Czerwony Wódz, zgadzam się. Odbiór”.
  - Walcie się obaj.
  - „Zapomniałeś powiedzieć »odbiór«, odbiór”.
  - Walcie się obaj, odbiór.
  - „Dziękuję, nie skorzystam, odbiór – odparł Willy. – Nadal zimno w chuj, odbiór”.

Przeszedł mnie dreszcz. Zamarzałem. Trzeba było włożyć cieplejszą kurtkę. Deszcz walił w wierzch parasolki i spływał kaskadami po bokach, rozbryzgując

się dookoła mnie. Dżinsy i buty miałem przemoczone, a chociaż do zachodu zostały jeszcze trzy godziny, zza ciemnych burzowych chmur nie wyglądał ani skrawek słońca.

Roztarłem zziębnięte dłonie i zauważyłem, że wreszcie zamalowano miejsce na końcu ławki, w którym Stella zostawiła dla mnie wiadomość – czarny metal lśnił w strumieniach wody.

Krótkofalówka zapiszczała. Długi, przenikliwy wizg sprzężenia zwrotnego.

Wtedy zauważyłem reflektory trzech – nie, czterech – nadjeżdżających pojazdów. Wdusiłem przycisk transmisji.

– Cztery pojazdy jadą w moją stronę alejką Tranquility Lane. To chyba oni.

– „Obserwowałem drogę. Nie mijali mnie. A ty ich widziałeś, Czerwony Dwa?”

– „Nie”.

Szum.

Wcisnąłem guzik.

– Któregoś z was musieli mijać. Nie ma innej drogi. Odbiór.

Szum.

Samochody zatrzymały się w rzędzie na środku drogi. Snopy światła z reflektorów, włączonych z uwagi na deszcz, przecinały półmrok, oświetlając asfaltową nawierzchnię i nagrobki po obu stronach. Wycieraczki pierwszego SUV-a przesuwają się tam i z powrotem, odgarniając wodę z rytmicznym „łup, łup”.

Znowu sięgnąłem za pazuchę, tym razem powoli, żeby nie zwracać na siebie uwagi, i wcisnąłem guzik.

– To oni. Cztery SUV-y, wszystkie białe.

Krótkofalówka znowu zapiszczała, po czym umilkła.

Zero odpowiedzi od Dunka i Willy’ego.

Nie mogłem zajrzeć do środka pojazdów. W ich wnętrzach panowała ciemność, skryta za ścianą deszczu.

Znowu spróbowałem się połączyć.

– Jesteście tam? Słyszycie mnie?

Czekałem, żeby otworzyły się drzwiczki SUV-ów, żeby wysiadła pani Oliver i cała reszta. Samochody jednak po prostu stały – reflektory mnie obserwowały, wycieraczki ciągnęły swój taniec.

„Łup, łup”.

Minęło pięć minut.

Dziesięć.

Coś jest nie tak.

Kolejny pisk z nadajnika, potem szum, a później cisza.

Wstałem.

Silnik pierwszego SUV-a zaryczał, opony zakreśliły się w powietrzu, dotknęły mokrej nawierzchni i biały samochód przeleciał obok mnie jak rakietą, a pozostałe tuż za nim. Uskoczyłem im z drogi i opadłem z powrotem na ławkę, parasolka wyleciała mi z ręki. Wiatr natychmiast ją porwał i poniosł w dół wzgórza, miotając nią na wszystkie strony i odbijając jak piłeczkę od kolejnych nagrobków.

Utkwiłem wzrok w przejeżdżających obok pojazdach. Przez ułamek sekundy zdawało mi się, że widzę Stellę przyklejoną do szyby w trzecim samochodzie. Po chwili samochody zniknęły.

Zerwałem się na nogi, wyszarpnąłem z kieszeni krótkofalówkę i popędziłem w stronę lasu, ślizgając się na mokrej trawie.

– Odjeżdżają! Odjeżdżają! Słyszycie mnie?

Dunk pierwszy przebił się przez szumy i trzaski.

– „Na chwilę gdzieś nam uciekłeś. Możesz powtórzyć?”

– Coś jest nie tak. Zatrzymali się i tylko tak stali, a potem nagle wszyscy odjechali. Jadą Tranquility wzdłuż granic cmentarza. Lada chwila powinni dojeżdżać do bramy!

Znowu szum.

– „Czerwony Dwa, tu Czerwony Wódz. Zbliź się, żeby widzieć wejście. Ja też tak zrobię, musimy ustalić, z którego kierunku...”

Uciekli mi, kiedy wkroczyłem między drzewa.

Potężny baldachim z liści dębów osłaniał przed deszczem, więc pobiegłem szybciej, klucząc między drzewami i leśnym runem, poruszając mokre liście przyklejone do podłoża. Potknąłem się i prawie przewróciłem na powaloną gałąź grubości mojej nogi. Zdołałem jednak jakoś odzyskać równowagę, nie zatrzymując się, machałem rękami w powietrzu, żeby utrzymać się w pionie.

Wypadłem z lasu po drugiej stronie.

– „Na razie nic nie widzę. Ten deszcz jest do dupy. Jestem... – szum – ... cmentarz po lewej” – wrzeszczał Willy z głośnika, ciężko dysząc.

Jakieś trzydzieści metrów dalej zauważyłem mój rower, leżał na boku w rowie na skraju lasu. Pobiegłem do niego.

– Jestem przy swoim rowerze! Podjadę Nobles do Brownsville!

– „Widzę ich! Widzę! Cztery białe chevysy! Skręciły właśnie w lewo z cmentarza, jadą Brownsville na północ. Właśnie mijają Birmingham!” – krzyczał Dunk.

Wyciągnąłem rower z rowu, prawie upuściłem radio, wdrapałem się na mokre siodełko i pedałowaliśmy ile sił w nogach, kierując się na wschód Nobles Lane, choć ciężkie krople deszczu i lodowaty wiatr smagały mnie w twarz.

– „Wi... widzę cię, Dunk! – zatrzeszczał zdyszany Willy. – Właśnie minąłem cmentarz. Gdzie są...” – Znowu szum.

– „...w lewo w Nobles! Powtarzam, skręcili w lewo w Nobles! Thatch, jadą w twoją stronę! – wrzeszczał Dunk. – Prawie ich miałem. Utknęli w korku. Właśnie skręciłem w Nobles, są jakieś sto metrów przede mną, przyśpieszają. Widzisz ich, Thatch?”

Nobles Lane była pusta. Wcisnąłem guzik transmisji.

– Nie, na razie nic. Może skręcili w boczną uliczkę.

– „Nie, to bez sensu – odparł Dunk. – To wszystko ślepe zaułki”.

Pedałowałem mocniej, czując pulsowanie w nogach.

– Może pojechali do jakiegoś domu.

Radio zapuszczало głośno i nagle zauważyłem reflektory wylaniające się zza zakrętu.

– Widzę ich! Widzę!

Szum.

– Dunk!

Pierwszy samochód miał włączone długie światła, grube białe snopy przecinały ścianę deszczu. Rozpryskiwały się kałuże, pióropusze wody unosiły się na wysokość niemal dwukrotnie przewyższającą samochody. Na Nobles Lane obowiązywało ograniczenie do pięćdziesięciu na godzinę. Oni jechali przynajmniej dwa razy szybciej i jeszcze zwiększali prędkość. Trzy pozostałe SUV-y podążały za pierwszym, odstępy między pojazdami wynosiły po parę metrów.

– Dunk! – krzyknąłem znowu do nadajnika.

Nic.

Wbiłem nogi w ziemię i jednym szarpnięciem błyskawicznie obróciłem rower w przeciwnym kierunku, po czym zacząłem z całych sił pedałowac w stronę, z której przyjechałem.

Silniki coraz głośniej ryczały za moimi plecami.

Ogarnąłem wzrokiem drogę, barierki po obu stronach asfaltu, drzewa za nimi. Znałem ten odcinek. Nie miałem dokąd uciec aż do skrzyżowania z Denise Street i Colerain, a do tego miejsca brakowało mi jeszcze ponad pół kilometra. Nie miałem szansy zdążyć.

Długie światła sunęły po asfalcie, najpierw za mną, potem się ze mną zrównały, a w końcu rozświetliły drogę przede mną, zmieniając deszcz w białą ścianę.

SUV dodał gazu, brzmiało to tak, jakby był tuż za mną, bałem się obejrzeć.

Kierowca zatrąbił, wcisnął do oporu klakson, który zaryczał ogłuszająco.

A potem we mnie uderzyli.

Mocno.

SUV walnął w tylne koło mojego roweru i szarpnął w lewo z taką siłą, że wyleciałem z drogi ponad metalową barierką. Zrobiło się śmiertelnie cicho i kolejne sekundy ciągnęły się jak godziny.

W chwili uderzenia zgubiłem krótkofalówkę i wypuściłem kierownicę z rąk. Siodełko pode mną gdzieś zniknęło. Uderzyłem w ziemię, z obrzydliwym trzaskiem lądując na prawym ramieniu. Noga się pode mną złożyła, a później wyprostowała gwałtownie, kiedy zacząłem się toczyć. Nie wiem, co działo się po tym, jak wyrznąłem głową w ziemię. Zapadła absolutna cisza.

## 2

Ten sen.

Tataś zapinał mnie w foteliku.

Mleko czekoladowe.

Pod blokiem cioci Jo.

Tataś otworzył drzwiczki od mojej strony.

Wziął coś z fotela obok mnie, dał to cioci.

Coś.

Nie wiadomo co.

Znowu jedziemy.

– Tatusiu?

– Tak, synku?

– Co było w tym pudełku?

– W jakim pudełku?

– Tym, które dałeś cioci.

– Ach, w tym – odparł tata. – Nic, Jack. Zupełnie nic.

Biały SUV na naszej drodze.

Biały SUV blokuje przejazd.

– Po co dałeś cioci pudełko z niczym?

Straszliwy pisk opon.

– Nie teraz, synku. Tata jest zajęty.

### 3

– Thatch?

– Thatch, słyszysz mnie?

Kiedy otworzyłem oczy, wisiał nade mną ogromny nietoperz. Łopotał szeroko rozłożonymi, gigantycznymi skrzydłami. Byliśmy pod wodą, nietoperz się na mnie gapił, powtarzał moje imię, przekrzykując ogłuszający łoskot fal na powierzchni.

– Thatch!

Zamrugąłem.

To nie nietoperz.

Dunk.

Stał nade mną z rozpiętą kurtką, rozpościerał ją na boki, żeby osłonić mnie przed deszczem.

– Nie ruszaj się, Jack.

– Walnęli...

– Widziałem.

– Musimy wezwać pomoc! – powiedział Willy gdzieś za mną. – Trzeba go wsadzić do karetki!

Dunk nachylił się niżej.

– Słyszysz mnie, Jack?

Skinąłem głową.

– Wiesz, jak się nazywam?

– Tak.

– To powiedz.

– Czemu?

Dunk walnął mnie w policzek otwartą dłonią.

– Powiedz!

– Duncan Bellino.

– Który mamy rok?

– Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty ósmy.

– Kto jest prezydentem?

– No weź.

– Słucham?

– Ronald Reagan.

Próbowałem usiąść, ale zaraz opadłem z powrotem na plecy, głową rozbryzgując błoto.

– Nie powinien się ruszać. Pilnuj, żeby leżał spokojnie, póki tu kogoś nie ściągniemy – zarządził Willy. – Wróć rowerem na Brownsville i spróbuję sprowadzić pomoc.

– Gdzie oni są? – spytałem cicho.

– Pojechali. Potrącili cię i nawet nie zwolnili. Zniknęli mi z oczu za tamtym zakrętem.

– Gdzie mój but?

– Cholera, patrz na tę nogę. Jaka skrzywiona – powiedział Willy.

Dunk odwrócił się do niego.

– Kurwa, jak masz wzywać pomoc, to jedź i wzywaj! A w przeciwnym razie się zamknij!

– Co jest z moją nogą?

Willy się wycofał, deszcz spływał mu po głowie i przemoczonych ciuchach, zbierał się w kałużę pod nogami. Wskoczył na rower i popedałował.

– On ma rację, nie ruszaj się.

Mimo to usiadłem. Dunk położył mi dłoń na piersi.

– Chyba masz paskudnie złamaną nogę. Lepiej na nią nie patrz.

Ale ja chciałem popatrzeć, więc nachyliłem się do przodu. Na sekundę wszystko zrobiło się białe, bo krew gwałtownie napłynęła mi do mózgu, ale po chwili zacząłem widzieć normalnie. Prawą nogę miałem wygiętą pod dziwacznym kątem, pod którym zdecydowanie nie powinna się wyginać. Siedziałem na własnej stopie. Badałem moje powykręcane ciało, jakbym oglądał to w telewizji, z dystansem, obojętnie.

– Dziwne. W ogóle nie boli.

– Może jesteś w szoku?

– Chyba nie jestem w...

– Przestań!

Podpierając się rękami i przenosząc ciężar ciała na lewą nogę, podciągnąłem się do pozycji stojącej. Dunk próbował mnie powstrzymać, ale był chyba zbyt zdziwiony, że w ogóle się ruszam. Kiedy moja wykrzywiona prawa noga wyprostowała się i odzyskała zwykłą pozycję, to on prawie się przewrócił.

– Potrzebuję buta.

Dunk otrząsnął się ze stuporu i rozejrzał dookoła.

– Tam jest, zaczekaj...

Przebiegł jakieś trzydzieści metrów wzdłuż drogi, wyłowił mojego nike'a z rowu melioracyjnego, wytrząsnął wodę i przyniósł mi go.



– Masz.

Oderwana podeszwa klapała. Opierając się na ramieniu Dunka, ostrożnie podniosłem prawą stopę i wsunąłem but, po czym opuściłem nogę, sprawdzając, czy wytrzyma nacisk.

– Chyba nie jest złamana – stwierdziłem. Przeniosłem nieco ciężaru na prawą stopę, potem trochę więcej. – Wydaje się cała i zdrowa. – Powoli podniosłem prawą nogę, stojąc tylko na lewej, i wyciągnąłem ją przed siebie, zgiąłem w kolanie i wyprostowałem, potem jeszcze raz i jeszcze, z początku powoli, potem coraz szybciej. – Wszystko w porządku.

Przeszedłem parę kroków, potem jeszcze kilka. Pokonałem około trzech metrów wzdłuż drogi, rozchlapując kałuże, obróciłem się i wróciłem do Dunka. Stał z rozdziawionymi ustami.

– Widziałem, jak cię walnęli. Myślałem, że cię zabili. Przeleciałeś chyba z pół kilometra.

Byłem cały ubłocony po prawej stronie, w dżinsach miałem dziurę długości piętnastu centymetrów, ale kiedy zajrzałem pod spód, okazało się, że skóra jest cała. Kurtka też była w opłakanym stanie. Zdjąłem ją, a Dunk obejrzał mi ramię, plecy i prawy bok głowy.

– Ujebany jesteś jak nieszczęście, ale nie masz chyba ani jednego zadrapania. Pewnie się poobijałeś, ale siniaki mogą się pokazać dopiero za parę godzin.

Docierała do mnie mniej więcej połowa jego wypowiedzi.

Znalazłem wzrokiem to, co zostało z mojego roweru. Rama była wykręcona w nierozpoznawalny kształt, tylne koło jakimś sposobem zaklinowane w przednim. Ani kierownica, ani siodełko zdecydowanie nie znajdowały się w pozycji rekomendowanej przez producenta. Łańcucha w ogóle nie było. Nie ulegało wątpliwości, że ten rower już nigdy nie będzie jeździł.

– Ja pierdołę.

– Nooo – przyznał Dunk. – Ja pierdołę.

Nie czekaliśmy na powrót Willy'ego z pomocą. Byłem trochę roztrzęsiony, ale poza tym nic mi nie dolegało. Gdyby Willy ściągnął karetkę, albo – co gorsza – policję, musielibyśmy tłumaczyć, co tu zaszło. Stamtąd już blisko było do pytań, co tam robiliśmy i czemu w ogóle się tam znaleźliśmy, a żaden z nas nie czuł się gotowy na nie odpowiadać.

Zaciągnęliśmy resztki mojego roweru do lasu między Nobles Lane a cmentarzem i wsiedliśmy na BMX-a Dunka (ja na kierownicę). Dunk pedałowal szybko, napędzany adrenaliną, więc powrót do domu zajął nam niecałe dziesięć minut. Poszliśmy do mieszkania Dunka. Wiedziałem, że ciocia Jo pewnie jest w pracy, ale na wypadek gdyby było inaczej, wolałem nie ryzykować, że zobaczy mnie w takim stanie.

Kiedy wchodziliśmy do mieszkania, Dunk zawołał, że jesteśmy, ale u niego też nikogo nie było. Nie miał pojęcia, gdzie może być jego ojciec.

Od razu poszedłem do łazienki, rozebrałem się i wlałem pod prysznic. Spodziewałem się, że zaczną mi się już robić paskudne sińce, ale nie, ani jednego zadrapania, rany czy stłuczenia.

Po kąpieli włożyłem ubrania, które Dunk mi podrzucił: o rozmiar za duże dzinsy i koszulkę z cytatem z Bobby'ego McFerrina – napisem *Don't worry, be happy* umieszczonym pod wielką żółtą uśmiechniętą buźką z przymrużonym okiem.

Zastałem Dunka w kuchni z puszką piwa.

Willy siedział obok przy stole, również z piwem w ręku.

– Co to, kurwa, było, Thatch?

Wyjąłem z lodówki colę, otworzyłem i opadłem na wolne krzesło. Zielona winylowa tapicerka wypuściła trochę powietrza przez dziurę z boku siedzenia.

– Może ty też powinienes się napić piwa – stwierdził Dunk. – Chyba sobie na nie zasłużyłeś. Jak minie ci szok, to wszystko zacznie cię boleć. Piwo dobrze ci robi.

Od kiedy to Dunk pił piwo?

– Nic mi nie jest, serio. Zdaje się, że najbardziej ucierpiał rower, a ja miałem fart, bo ziemia jest mokra i miękka. Złagodziła upadek.

Dunk nachylił się do przodu.

– Ty nie upadłeś, tylko leciałeś. Wystrzeliłeś w powietrze jak jakiś nedorobiony Superman, ręce ci latały na wszystkie strony... – Zaczął machać rękami w powietrzu i robić takie głupie miny, że aż się roześmiałem.

Dunk wstał, podszedł do lodówki, wyjął piwo, odciągnął zawleczkę i postawił przede mną puszkę, po czym wrócił na swoje miejsce. W kuchni czuć było pleśnią. W zlewie zalegała sterta brudnych garów. Na blacie stał pusty słoik po maśle orzechowym, ucztowała na nim mucha.

– Naprawdę nie chcę piwa.

– Będziesz chciał. – Sięgnął na środek stołu i odsunął na bok egzemplarz „Boy's Life”. Pod spodem leżał rewolwer jego taty.

Przeniosłem wzrok z Dunka na Willy'ego i z powrotem. Do tej pory nie pokazywał tej broni nikomu poza mną.

– O co chodzi?

– Potrzebny nam nowy plan.

– Ale nie potrzebujemy do tego broni.

– Próbowali cię zabić.

– Chcieli mnie tylko nastraszyć.

– Gdyby chcieli cię nastraszyć, to siedzieliby ci na błotniku, może najwyżej zepchnęli cię na pobocze – zaoponował Dunk. – A oni wcisnęli gaz do dechy

i wjechali w tylne koło. Totalnie rozwalilo ci rower, a jakbyś nie był takim cholernym farciarzem, to już byś nie żył. Aż się dziwię, że nie wrzucili wstecznego i nie przejechali cię jeszcze raz, żeby cię dobić. Założę się, że tak właśnie by zrobili, gdyby nie to, że przeleciałeś przez barierkę.

– Chcieli mnie tylko nastraszyć – powtórzyłem. Dunk nachylił się bliżej.

– Osoba za kierownicą nawet nie musnęła hamulca. Wciskała gaz do dechy. Po zderzeniu nie zwolnili, nawet jeszcze przyśpieszyli i odjechali. Kiedy potrącasz kogoś przypadkiem, to zwalniasz, choćby po to, żeby sprawdzić, czy nie rozjechałeś sobie auta. A oni nawet nie tknęli hamulca. Próbowali cię zabić.

Willy pociągnął łyk piwa i oczy zaczęły mu łzawić.

– Widziałeś, co zostało z twojego roweru?

Przytaknąłem.

– Widziałeś, jaki był zmasakrowany? Kiedy podjechałem, to ty tak wyglądałeś, cały powykręcany, ręka, noga, mózg na ścianie. Myślałem, że na bank nie żyjesz.

Dunk też napił się piwa, ale u niego nie wywołało to łez.

– Willy zatrzymał na Brownsville jakąś staruszkę w kombi i powiedział jej, że ktoś przejechał jego kolegę i uciekł z miejsca wypadku. Kiedy nas nie znalazł, przez kolejne dziesięć minut musiał ją przekonywać, że widocznie nie było tak źle, jak mu się wydawało.

Willy pokiwał głową.

– Chciała wzywać policję. Musiałem ją uspokoić. Z początku myślała, że jakiś pólżywy dzieciak ciągnie do domu rower. Kiedy nie mogliśmy znaleźć żadnego pólżywego dzieciaka, wkurzyła się i stwierdziła, że pewnie ją wkęcą, wtedy serio chciała wzywać gliny. Złapała mnie za koszulkę i próbowała wsadzić do swojego auta. Wyrwałem się jej, wsiałem na rower i pojechałem w las, potem przez cmentarz, żeby ją zgubić. Ale ta babka miała płuca! Przez pół drogi słyszałem, jak się darła. Domyśliłem się, że tutaj przyjdziecie.

W głowie mi się kotłowało.

– Wiedzieli, że coś jest nie tak. Nie wiem jak, ale musieli się dowiedzieć albo domyślić, że nie jestem sam. Nie wysiedli z samochodów. Tak jakby przyjechali tylko po to, żeby dać mi znać, że wiedzą, że coś kombinuję, a potem sobie pojechali. Kiedy się zorientowali, że próbuję ich śledzić, to mnie powstrzymali. Jakbym złamał jakieś zasady czy coś.

– Nie wiemy, jakie są te zasady – zauważył Willy.

– Dlatego potrzebny nam nowy plan – skwitował Dunk.

– Ile mu powiedziałeś? – spytałem Dunka, wskazując głową na Willy'ego.

Dunk wzruszył ramionami i napił się jeszcze piwa.

– Wszystko mu powiedziałem, jak byłeś w łazience. Potrzebujemy go, musi się orientować.

Nie znałem Willy'ego zbyt dobrze i nie miałem pojęcia, czy można mu zaufać.

– Nie możesz nikomu powiedzieć.

– Obiecuję – odpowiedział z ręką na sercu. – Zresztą i tak nikt by mi nie uwierzył.

Wysączyłem łyk coli, pełna puszka piwa stała obok i zaczynała się pocić.

– Skąd wiedzieli, że coś jest inaczej? – spytał Dunk. – Co zwróciło ich uwagę?

– Może zobaczyli nas na rowerach – zasugerował Willy. Dunk pokręcił głową.

– Nikt nie zwraca uwagi na dzieciaki na rowerach.

– Myślę, że to krótkofalówki – stwierdziłem.

– Widzieli, że masz radio? – zdziwił się Dunk.

– Nie, myślę, że raczej słyszeli. Zawsze jak podjeżdżają te ich SUV-y, radia zaczynają wariować. Kiedyś zauważyłem, że sygnał w walkmanie nagle się wzmacniał. Dzisiaj straciliśmy kontakt, chociaż byliśmy w polu zasięgu. Tak jakby coś o silniejszym sygnale wywołało zakłócenia.

– Ale co? Jakiś nadajnik w którymś z samochodów?

Obracałem w dłoniach puszkę z colą.

– Nie wiem. Nadajnik, odbiornik, jakieś radiowe coś.

– Czyli w przyszłym roku nie używamy krótkofalówek – stwierdził Willy.

– W przyszłym roku powinienem chyba znowu iść sam – odparłem, patrząc mu w oczy. – Zorientują się, jeśli będę z kimś.

– To prawda. Dlatego powinienes to wziąć. – Dunk podsunął mi rewolwer.

– Nie będę do nikogo strzelać.

– Dla obrony własnej – ciągnął Dunk. – Musisz go mieć przy sobie, na wypadek gdyby chcieli skończyć to, co dzisiaj zaczęli. Schowasz w kieszeni i będziesz na nich czekał na ławce. – Pociągnął kolejny łyk piwa. – Jeśli będziesz musiał, zagroziś bronią Stelli. Tym razem uzyskasz odpowiedzi. Nie pozwolisz im odjechać. Ty będziesz kontrolował sytuację.

– Oni też mają broń, i to znacznie większą.

– Nieważne. Jeśli wycelujesz do Stelli, nie będą ryzykowali ze strzelaniem do ciebie. – Dunk dopił piwo i zgniół puszkę. Wyrzucił ją do przepełnionego kosza w kącie. – Tym razem będą musieli odpowiedzieć na twoje pytania.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w rewolwer. Potem sięgnąłem po piwo. Bąbelki zapiekły mnie w nosie. Wcale mi nie smakowało. Przynajmniej za pierwszym razem.

8 sierpnia 1989 roku

*Trzydzieści lat*

Dn. 08.08.1989:

Pacjent „D” - parametry w normie.

Nagranie audio/wideo.

- Która godzina?

- Eee, dwanaście po trzeciej.

- Dzieciak śpi?

Warren opuścił czytany egzemplarz „Rolling Stone”.

- Wiedziałeś, że Madonna nie goli pach?

- Ja też nie.

- Ty jesteś owłosionym małpiszonem. Ona jest niezłą laską. Dziwne, jak babka się nie goli.

- W Europie to normalka.

- Dlatego mieszkam w starym dobrym USA.

- Jak dla mnie to podwójne standardy.

Warren wrócił do gazety.

- Ciekawe, czy goli nogi.

- No pewnie, że goli nogi. Żyjemy w cywilizowanym społeczeństwie. Jeśli Madonna nie goli nóg, to równie dobrze możemy wrócić do spania w jaskiniach i ubijania bizonów kijami.

Warren znowu opuścił gazetę.

- Teraz zrobiłem się głodny.

- Dzieciak śpi? - powtórzył Carl.

- Trudno powiedzieć. Za ciemno tam jest. A co?

- Chcesz zobaczyć coś strasznego? - Carl sięgnął do panelu kontrolnego i przesunął dźwignię podpisaną „opóźnienie” w pozycję OFF.

Warren wypuścił czasopismo z rąk i prawie spadł z krzesła, podskoczył i gwałtownym ciosem z powrotem włączył opóźnienie.

- Co ty odpierdalasz, Carl?!

- Przecież jak śpi, to nieważne.

- W dupie mam, czy śpi, jest związany sznurem i taśmą, skuty kajdankami i w tej swojej masce: nigdy się nie baw tym przełącznikiem!

Carl wyciągnął rękę i znowu wyłączył.

Warren z hukiem przestawił dźwignię z powrotem.

- Spróbuj to zrobić jeszcze raz, to ci przypierdolę!

Carl podniósł ręce.

- Okej, okej! Poddaję się. Próbowałem znaleźć nam jakąś rozrywkę. Zdycham tu z nudów.

- To może spróbuj poszukać sobie jakiegoś hobby, które nie doprowadzi do naszej śmierci?

- Myślisz, że ktoś by zauważył, gdyby ten przełącznik się zepsuł?

- Na pewno to sprawdzają - odparł Warren.

- Taa, tak jak te wszystkie procedury bezpieczeństwa, których na oczy nie widzieliśmy? Jasne, na pewno ktoś to sprawdza. Założę się, że oddelegowali do tego specjalnego pracownika.

Warren odwrócił się do grubej szyby.

- Nie widzę go, a ty?

- Dlatego pytałem, czy śpi. Wydaje mi się, że nie ma go w łóżku.

- Ciemno tam jak w dupie. Powinni znowu zapalać to czerwone światło nocne.

- Dzieciak powiedział lekarce, że nie może spać przy tym świetle. Kazała je wyłączyć.

- Tak czy inaczej, chyba nie ma go w łóżku.

- Może jest w sraczu.

- Może. Na podczerwieni też nic nie widać.

- No, na spacer to on sobie nie poszedł. Zapal na chwilę światło.

- Nie ma mowy. Nie chcę dostać upomnienia.

Carl zmarszczył czoło.

- Nie spisz nas przecież za to, że sprawdzamy, co się z nim dzieje. Jak nie chcą, żebyśmy zapalali światło, żeby robić, co do nas należy, to mogli się postawić doktorce w sprawie tej lampki nocnej. Zapalimy tylko na chwilę, sprawdzimy, co robi, i znowu wyłączymy. Nic wielkiego.

Warren westchnął.

- No dobra, ale szybko. Nie chcemy go obudzić, jeśli śpi.

Carl sięgnął do panelu kontrolnego i włączył oświetlenie.

Warren nachylił się nad panelem, zbliżając się do okna obserwacyjnego.

- Nie widzę go, a ty?

Carl wstał i też się nachylił.

- Widzisz go?

Carl pokręcił głową i wcisnął guzik mikrofonu.

- Hej, młody, gdzie jesteś?

Warren trzepnął go w rękę.

- Nie rób tak!

David nagle podskoczył za szybą i walnął obiema rękami w szkło. Ruch był bezgłośny, stłumiony przez grubą taflę, ale obaj mężczyźni odskoczyli gwałtownie.

Carl zaczepił nogą o krzesło i upadł na podłogę, cały powykęcany.

- Ja pierdolę! - wrzasnął Warren.

David wyszczerzył się za szybą. Śmiał się bezgłośnie, jeszcze kiedy Warren namierzył wyłącznik światła i pokój znów pogrążył się w ciemności.



# 1

Rzeczywiście wziąłem ten rewolwer i oto 8 sierpnia 1989 roku, już jako trzynastolatek, posadziłem tyłek na ławce na cmentarzu i czekałem. Tego dnia było wyjątkowo ciepło i czułem się jak kretyn w kurtce, ale inaczej nie mógłbym ukryć broni. Próbowałem wcisnąć ją za pasek dżinsów (i z przodu, i z tyłu), tak jak robią w filmach, ale po paru krokach rewolwer wypadał na ziemię. Poza tym robiło mi się w spodniach dziwne wybrzuszenie, które trudno byłoby wytłumaczyć – nawet kiedy obciągałem koszulkę, broń rzucała się w oczy. Urosłem przez ostatni rok – od metra czterdziestu pięciu do metra sześćdziesięciu w zaledwie dziewięć miesięcy – ale ważyłem raptem czterdzieści sześć kilogramów. Wyglądałem jak słup telefoniczny wystrojony w ciuchy modne w zeszłym roku. Moje chude ciało nie nadawało się do ukrywania broni – i miało tak być jeszcze przez kilka lat.

Ojciec Dunka miał kaburę na łydkę, ale moja noga była trochę za chuda, a rewolwer trochę za duży, więc została mi tylko kurtka. Dostałem ją od pana Krendala, skórzaną brązową bomberkę po jego synu. Dopiero potem dowiedziałem się, że chłopak zginął na wojnie. Kurtka miała dwie wewnętrzne kieszenie, świetnie nadające się do schowania rewolweru. Jako że była obszerna i za duża na mnie, zarys broni ginął wśród fałd, zagnieceń i wolnych przestrzeni, których moje ciało jeszcze nie wypełniło.

Byłaby idealna, gdyby nie ten upał.

Trzydzieści stopni, kiedy wychodziłem od Dunka, i nie zanosило się na ochłodzenie, przynajmniej do zachodu słońca.

Nie chciałem brać broni, ale Dunk miał mocne argumenty, które zresztą powtarzał mi do znudzenia niemal codziennie przez ostatni rok. Kiedy się w końcu zgodziłem, wyraźnie mu ulżyło.

– To Rossi, model trzysta pięćdziesiąt dwa, z dwucalową lufą, kalibru .38. Pięciostrzałowy... – Strzepnął nadgarstkiem i bębenek wyskoczył, odsłaniając końcówki pięciu złotych łusek. Wprawił bębenek w ruch obrotowy, po czym szarpnięciem umieścił go z powrotem na miejscu. – Możesz odciągnąć kurek kciukiem, jeśli chcesz ich nastraszyć, ale bez tego broń też wystrzeli, tylko będziesz musiał trochę dłużej naciskać spust. – Dokonywał tej prezentacji

z wprawą weterana. Jego ojciec uznał, że lepiej, żeby chłopak był zaznajomiony z bronią, wiedział, jak jej używać i jakie są ewentualne zagrożenia. – Celowniki są ustawione – ciągnął Dunk. – Musisz tylko ustawić broń tak, żeby przedni i tylny znajdowały się w tej samej linii, a potem nacisnąć spust. Przed naciśnięciem zrób wydech albo po prostu wstrzymaj oddech. Jeśli będziesz oddychał w chwili strzału, ruch może zmniejszyć celność. – Pokazał na dolną część rewolweru. – To tutaj to kabłąk, taka jakby osłona spustu. Zawsze trzymaj na nim palec, dopóki nie będziesz gotowy do strzału. Jak będziesz trzymał palec na spuście, to możesz niechcący strzelić sobie w stopę czy coś.

Dunk podał mi broń, lufą do dołu.

– Schowaj do kieszeni i nie wyjmuj, o ile nie będziesz musiał jej użyć. Ojciec zawsze mówi, że nie powinno się wyciągać broni, jeśli nie jest się gotowym kogoś zabić. Jak już pokażesz, że masz broń, to nie ma odwrotu. Gotowy?

Wyciągnąłem rękę i wziąłem od niego rewolwer. Okazał się cięższy, niż pamiętałem – kiedy ćwiczyliśmy, był nienabity. Trzęsły mi się ręce, ale Dunk nic nie powiedział. Wsunąłem broń do kieszeni kurtki.

Dunk wygładził skórę, a potem znów pogniótł kurtkę.

– Na pewno nie chcesz, żebyśmy z tobą poszli?

Willy powinien być z nami, ale się spóźnił. Tego lata zaczął pracę w myjni samochodowej Magic Mike's na Valladium Drive, a w takie dni jak dziś zwykle kazali pracownikom robić nadgodziny.

Pokręciłem głową.

– Będą wiedzieli.

Wciąż dręczyły mnie koszmary o tym, co się stało rok temu.

Ryk silnika.

Uderzenie.

Powiedzieliśmy cioci Jo, że ukradli mi rower spod szkoły. Odkupiłem starego BMX-a od Willy'ego, czarnego w srebrne paski. Nie był taki fajny jak Dunka, ale i tak znacznie lepszy od mojego poprzedniego. Mógłbym kupić nowy rower. Koperty pojawiały się co miesiąc, miałem już odłożone ponad szesnaście tysięcy dolarów, ale nie kupiłem. Stary rower Willy'ego w zupełności mi wystarczał.

Tak więc we wtorek 8 sierpnia 1989 roku, w wieczornym upale, podjechałem moim nowym używanym rowerem pod górę do bramy cmentarza i rzuciłem go na trawę za mauzoleami, a następnie podszedłem do ławki i usiadłem, zlewając się potem pod grubą skórzaną kurtką z rewolwerem ukrytym w kieszeni. Siadłem i czekałem. Kiedy minęła szósta, czekałem dalej. Kiedy wybiła siódma, zacząłem podejrzewać, że Dunk i Willy pojechali za mną, schowali się w lasku i spłoszyli Stellę i resztę, ale kiedy się obróciłem, nie dostrzegłem nikogo między drzewami. Do ósmej zobaczyłem zaledwie dwie inne osoby, starszą parę kilkadziesiąt

metrów dalej, składali kwiaty na grobie w dole wzgórza. Kiedy nadeszła dziewiąta, a słońca nie było już od ponad pół godziny, wstałem z ławki, zabrałem rower i pojechałem do domu, gdzie Willy i Dunk czekali na mnie niecierpliwie przez cały ten czas.

## 2

W roku 1990 Nelson Mandela wyszedł z więzienia, wypuszczono na rynek Furby'ego oraz odkryto najkompletniejszy dotychczas szkielet tyranozaura w Dakocie Południowej. Paleontolodzy nazwali go Sue. Całymi dniami myślałem o Stelli. Wypełniałem jej portretami kolejne szkicowniki, bo rysowanie okazało się jedynym sposobem, żeby choć na chwilę wymazać ją z myśli. Z kolei nocami prześladował mnie tamten koszmar, zacząłem obsesyjnie rozmyślać o pudełku, które mój ojciec podał cioci Jo. Całe mieszkanie wywróciłem do góry nogami, próbując je znaleźć. W końcu nawet zapytałem o to ciocię, na co ona odparła, cytując: „Twój ojciec był takim samolubnym dupkiem, że w życiu niczego by mi nie dał. Nic mi nie wiadomo o żadnym pudełku”.

W tym roku Stella również nie pojawiła się na cmentarzu. Postanowiłem następnym razem zostawić broń w domu. Może jednak jakoś się o niej dowiedzieli.

Rok 1991 przyniósł śmierć Freddiego Mercury'ego, inwazję na Kuwejt, która zapoczątkowała operację Pustynna Burza, oraz wybór Borysa Jelcyna na pierwszego prezydenta Rosji po rozpadzie ZSRR. Pojawiło się też coś zwanego Internetem – ludzie mówili, że ma to zmienić świat. Ciocia Jo stwierdziła, że będzie to po prostu nowe źródło pornosów dla zboczeńców.

W tym roku też zero Stelli.

Kolejny raz miałem zobaczyć Stellę Nettleton dopiero w sierpniu 1992 roku.

## Część 2

*Słowem, nie sposób mi było ani w przeszłości, ani w teraźniejszości oddzielić jej od najbardziej wewnętrznego nurtu mego życia.*

Charles Dickens, *Wielkie nadzieje*

8 sierpnia 1992 roku

*Szesnaście lat*

Dn. 08.08.1992:

Rozmowa z dr Helen Durgin. Pacjent „D” nieco poirytowany, ale panuje nad emocjami.

Nagranie audio/wideo.

- Chcę się z nią zobaczyć.
  - Wiesz, jaki jest układ. Jak robisz to, o co prosimy, to możesz się z nią spotkać. Taka jest zasada.
  - Znowu telefon?
  - Znowu telefon.
  - Połączenie telefoniczne można namierzyć, doktoroko. Może tym razem powinniście mnie tam zabrać.
  - Wiesz, że nie możemy tego zrobić.
  - No to przyprowadźcie tę osobę tutaj. Chcę widzieć jej twarz, kiedy to zrobię. Teraz to kobieta czy mężczyzna?
  - A ma to jakieś znaczenie?
  - Nie, pytam z ciekawości.
  - Mężczyzna.
  - Czemu akurat on? Co zrobił?
- Lekarka nie odpowiedziała.
- A potem pozwolicie mi się z nią zobaczyć?
  - Takie są zasady.
  - Jak długo?
  - Godzinę.
  - Chcę dwie.
  - Godzinę, a jeśli będziesz znowu się targować, to dopilnuję, żeby spędziła tu najwyżej pół godziny.
  - Przepraszam, doktoroko.
  - Pani doktor.
  - Przepraszam, pani doktor. Po prostu z nikim się nie widuję. Tylko z panią i z nią. Zawsze cieszę mnie jej wizyty.
  - A moje nie?
  - Wie pani, o co mi chodzi.
  - Nie wiem, Davidzie. Może mi to wyjaśnij.
  - Pani ze mną rozmawia, bo pani musi, to pani praca. Ona rozmawia ze mną dlatego, że chce.
  - I nie zrobiłbyś jej krzywdy? Jak swoim rodzicom? Jak innym?

- Jak przez telefon?
- Tak, jak przez telefon.
- Nie, nigdy bym jej nie skrzywdził.
- Kochasz ją?

Cisza.

- Davidzie?
- Nie jestem pewny, czy wiem, co to miłość. Znam ją tylko z książek.
- Kochać to troszczyć się o kogoś bardziej niż o siebie samego. Pomyśl na przykład tak: czy gdyby zabicie mnie oznaczało dla ciebie wolność, zrobiłbyś to?

Cisza.

- Możesz odpowiedzieć, Davidzie. Nie będziesz miał żadnych przykrości. Zabiłbyś mnie, żeby się stąd wydostać?
- Jest pani głucha. Nie mogę pani zabić.
- Ale gdybyś mógł, gdybym cię słyszała, to zabiłbyś mnie?
- Za wolność?
- Tak, za całkowitą wolność.
- Tak.
- Ani chwili wahania? Żadnego żalu? Znamy się już od dłuższego czasu.
- Trzyma mnie pani w klatce. Mogę z niej wyjść tylko w masce. Jestem więźniem, a pani moją strażniczką. Jestem dla pani szczurem laboratoryjnym.
- A Stella? Ją byś zabił? Gdyby odebranie jej życia oznaczało, że możesz posmakować wolności?
- Nie wiem.
- Oj, myślę, że wiesz. Spędziłeś z nią niezliczone godziny, ona cię słyszy, a ty nigdy nie zrobiłeś jej krzywdy. Nigdy nie próbowałeś, nawet w dzieciństwie.
- I to znaczy, że ją kocham?
- Sądzę, że tak.

David nie odpowiedział.

- Pójdźmy o krok dalej. Gdybym kazała ci ją zabić, wydała ci takie polecenie i powiedziała, że jeśli to zrobisz, zagwarantuję ci pełną, nieskrępowaną wolność, to zrobiłbyś to?
- Nie.
- Dlaczego?



- Bo to by było kłamstwo. Nigdy by mnie pani nie wypuściła.
- Na potrzeby tej dyskusji załóżmy, że jednak bym wypuściła.
- Nie sądzę, że mógłbym ją skrzywdzić.
- Ponieważ ją kochasz.
- Może i tak, jeśli to właśnie jest miłość.
- Bardziej, niż kochałeś swoich rodziców, kiedy ich zabiłeś?
- Byłem dzieckiem, przesadziłem.
- A gdyby to samo wydarzyło się dzisiaj, nie zabiłbyś ich?
- Nie, teraz potrafię to kontrolować. Rozumiem, jak to działa. Panuję nad swoimi emocjami, nie pozwalam im panować nade mną.
- To dobrze, Davidzie. Bardzo przenikliwa analiza.
- No to mogę się z nią zobaczyć?
- Po telefonie.
- Okej.

# 1

– Byłeś tu całą noc?

Detektyw Faustino Brier musiał przysnąć. Nie słyszał, że Joy Fogel weszła i zrobiła sobie kawę, nie zauważył, kiedy usiadła przy biurku naprzeciwko. Siedziała tam teraz z parującym kubkiem kawy w dłoniach, rozparta wygodnie w fotelu, z głową lekko przechyloną w lewo. Zwykle tak robiła, kiedy zadawała jakieś pytanie. Faustino nauczył się z czasem, że przechylała głowę w lewo, kiedy znała odpowiedź na zadane pytanie, a w przeciwnym wypadku – w prawo.

Usiadł prosto, spojrzał na pusty kubek po kawie na swoim biurku i oblizał suche wargi.

– Która godzina?

– Czwarta dwadzieścia trzy – odparła bez chwili zawahania.

– Niezła sztuczka. Tak po prostu to wiesz?

– Widzę stąd zegar w dwójce.

Faustino obrócił głowę i zerknął za siebie, do pokoju przesłuchań numer dwa. Kości karku zatrzeszczały głośno. Dostrzegął niewyraźne białe kółko na ścianie salki, ale nic więcej. Przez ostatnią dekadę stopniowo pogarszał mu się wzrok. Miał czterdzieści trzy lata, jedenaście więcej niż jego partnerka. Czasem miało to znaczenie, choć rzadko. Teraz jednak akurat miało. Wzrok pogarsza się z wiekiem, a on nie młodnieje.

Jak na tak barbarzyńską godzinę Fogel sprawiała wrażenie obudzonej i zupełnie przytomnej. Miała nawet lekki makijaż, trochę eyelinera. Blond włosy, nadal wilgotne, ściągnęła jak zwykle w koński ogon.

Nie odznaczała się potężną budową ciała. Przeciwnie, była malutka, miała ledwie metr pięćdziesiąt osiem wzrostu, ale większość wolnego czasu spędzała na służbowej siłowni. Byli partnerami od trzech lat i przez ten czas Faustino co najmniej pięć razy widział, jak inni funkcjonariusze komentowali jej drobną budowę, a w ciągu kolejnych kilku godzin byli przez nią pokonywani. „Widzimy się na siłowni po twojej zmianie” – nikt nie chciał tego od niej usłyszeć, z czasem stało się to rutynowym żartem w wydziale. Regularnie przybywało nowych funkcjonariuszy, więc to tylko kwestia czasu, kiedy ktoś skomentował jej niski wzrost albo wygląd – i wkrótce ten sam dowcipniś leżał na macie w siłowni, nad

głową latały mu kreskówkowe ptaszki, patrzył w górę na Fogel i zastanawiał się, co tu właśnie zaszło. Od ósmego roku życia była posyłana przez ojca na taekwondo i miała już trzeci czarny pas. Trenowała też jujitsu i jogę (dla odprężenia, jak mówiła).

Na początku Faustino przez chwilę sądził, że mogliby spróbować się umawiać na randki, ale szybko im przeszło. Uważał ją za atrakcyjną, tak jak inni faceci. Ona też w nim coś widziała, ale spędzali razem tyle czasu, że wzajemny pociąg wkrótce przekształcił się w coś na kształt więzi między rodzeństwem. Przy okazji nielicznych randek, na które Faustinowi udawało się umówić (zwykle przez serwisy randkowe – detektywi z wydziału zabójstw rzadko spotykali w pracy żywe kobiety), Fogel analizowała każdą kandydatkę i przedstawiała swoją „obiektywną” opinię – żadna nie była dla niego idealna, ale na chwilę obecną mogła wystarczyć. Nie wiedział, czy ona też randkuje, bo o tym nie mówiła, przynajmniej nie jemu. Nie przeszkadzało mu to.

– Przyszedłem jakoś po północy – odpowiedział w końcu. – Nie mogłem spać. A ty? Co tu robisz tak wcześnie?

Spojrzała na wielką tablicę na kółkach obok biurka Faustina.

– Dziś ósmy sierpnia. Wiedziałam, że ją wyciągniesz. Nie chciałam tego przegapić.

Przez większość roku tablica zbierała kurz w najdalszym kącie wydziału zabójstw policji w Pittsburghu – stroną z wycinkami, zdjęciami i notatkami zwróconą do ściany, czystą stroną na zewnątrz. Większość detektywów miała zbyt krótki staż, żeby się orientować, o co chodzi, więc nie zwracali na nią uwagi. Starsi funkcjonariusze już dawno uznali to za osobisty projekt Faustina i też trzymali się z daleka. Ktoś kiedyś napisał na górze czerwoną kredą TABLICA OSOBLIWOŚCI FAUSTA, ale napis stopniowo wyblakł.

– To co, opowiesz mi wszystko po kolei?

– Serio chce ci się tego znowu słuchać?

Fogel przytaknęła.

– Przyda mi się odświeżenie. Minął już rok.

Faustino wstał, wziął z biurka kubek i podszedł do stojącego przy drzwiach ekspresu po dolewkę. Kawa była letnia i smakowała jak pomyje, ale poczuł działanie kofeiny w organizmie, zanim nawet zdążył wrócić do biurka. Postawił kubek w rogu blatu i podszedł do tablicy – szesnaście trupów w szesnaście lat.

– Mam zacząć od najświeższych i cofać się w czasie czy na odwrót?

– Twój wybór.

Faustino zwrócił się znów przodem do tablicy.

– No to się cofamy.

Przy każdej z szesnastu ofiar widniała fotografia zwłok, a w wielu wypadkach także zdjęcie zrobione za życia, co było konieczne z uwagi na stan, w jakim znajdowano ciała. Nad każdą fotografią przyklejono kawałek taśmy z datą. Na najwcześniejszych widniał pełny zapis – 8 sierpnia 1978 roku i tak dalej przy kolejnych sześciu pozycjach, ale od 1984 pojawiał się już tylko rok. Do wszystkich zabójstw dochodziło ósmego sierpnia, więc bez sensu było się powtarzać.

Faustino, a także wszyscy, którzy nie nazywali tej sprawy jego dziwactwem, nazywali te tajemnicze zgony morderstwami Ósmego Sierpnia. Oprócz daty łączył je także stan, w jakim znajdowano ciała.

Faustino zaczął od prawego dolnego rogu tablicy, czyli najświeższego zabójstwa.

– Arden Royal, mężczyzna, dwadzieścia siedem lat, znaleziony za śmietnikiem w Upper Saint Claire dokładnie rok temu, ósmego sierpnia dziewięćdziesiątego pierwszego. W takim samym stanie jak pozostali. Żadnego motywu, żadnego materiału dowodowego na miejscu zbrodni. Tak jak w przypadku innych, jesteśmy praktycznie pewni, że zabito go gdzie indziej, a tam tylko podrzucono zwłoki. –

Przeszedł do kolejnej pozycji. – Dziewięć zero, Tama Krieg. Szesnastolatka, członkini South Side Bandits. Kilka aresztowań na koncie, głównie wykroczenia. Jak dla mnie to po prostu dziewczyna próbowała się dostosować do nieciekawego otoczenia. Według matki uczyła się nieźle, zanim rzuciła szkołę. Sprawdzalem, leciała głównie na trójkach, ale zdawała z klasy do klasy. Znaleziono ją za Burger Kingiem w centrum. – Zatrzymał się przy zdjęciu z miejsca zbrodni. Zwłoki leżały na ziemi, zupełnie nierozpoznawalne. Przeszedł do następnych dwóch ofiar. –

Osiem dziewięć i osiem osiem, mężczyźni, obaj niezidentyfikowani. Tego z osiemdziesiątego dziewiątego znaleziono za halą magazynową, tego wcześniejszego na chodniku przy stadionie Three River, pod kocem. Dopiero po dwóch dniach ktoś się zorientował, że to nie jakiś śpiący bezdomny.

– Okradziono ich? – spytała Fogel.

Faustino pokręcił głową.

– Raczej nie. Chociaż nie znaleźliśmy portfeli, o ile w ogóle jakieś mieli. Ale inne ofiary miały portfele, z gotówką w środku. Można wykluczyć motyw rabunkowy. Być może portfele ukradziono już później, kiedy ciała leżały porzucone, ale nie sądzę, żeby ktokolwiek był tak bezczelny. Jeden rzut oka na stan zwłok powinien odstraszyć każdego amatora nielegalnego zarobku.

– Opowiedz mi o przyczynie śmierci.

Faustino westchnął, tocząc wzrokiem po fotografiach.

– Na pierwszy rzut oka wygląda to na poparzenia. Jakby ktoś oblał ich jakąś substancją i podpalił.

– Ale to nie ogień, prawda?

– Nie. Tak to wygląda, ale koroner jest przekonany, że nie to było przyczyną śmierci. Ślady przypominające spaleniznę pokrywają każdy skrawek ich ciała, nawet przestrzenie między palcami, języki, narządy wewnętrzne... Każda komórka została identycznie zniszczona. Ubrania były nietknięte.

Fogel pociągnęła łyk kawy.

– Przebrani po śmierci?

Faustino znowu pokręcił głową.

– Dotykałem tych ciał. Skóra całkowicie wysuszona, prawie na proszek, zero wilgoci. Kruszyła się przy najlżejszym dotyku, wiatr porywał te płatki. Poważnie uszkodziliśmy zwłoki przy wkładaniu ich do worków. Niemożliwe, żeby ktoś po fakcie przebrał je w nowe ubrania. Zmarli w tych ubraniach. To, co ich spotkało, jakimś sposobem zaczęło się od wewnątrz, na poziomie komórkowym.

– Słyszałam, że niektórzy mówili o samozapłonie.

Faustino podszedł do swojego biurka, napił się kawy, skrzywił i odstawił kubek.

– Rozwazałem to na początku, zbadałem temat na wszystkie strony. Na początku nie wierzyłem w te bzdury, ale znalazłem sporo dowodów, że to prawdziwe zjawisko. Są nawet nagrania wideo, ludzie nagrzewają się od środka, pocą, a potem stają w płomieniach. Zawsze zaczyna się od ust, wydobywa się z nich dym, potem z nosa i uszu. Pojebana sprawa, ale to nie z tym mamy tu do czynienia.

– Skąd wiesz?

– W tamtych wypadkach ogień się rozprzestrzeniał. Paliły się ubrania, często też dochodziło do pożarów. Wszystko dzieje się tak szybko, że zwykle udaje się opanować ogień, ale dochodzi do jakiegoś rodzaju zniszczeń zewnętrznych. Tutaj ani razu tego nie mamy.

Fogel wskazała głową na tablicę.

– Osiemdziesiąty siódmy. Andy Olin Flack. Tego akurat pamiętam, przez parę dni mówili o nim w wiadomościach.

Faustino wrócił do tablicy i popukał w zdjęcia Flacka, przed i po.

– Trzydzieści trzy lata, mieszkał w Bethel Park. Straszny zboczeniec. Znaleźliśmy u niego tonę pornografii dziecięcej. Zwłoki leżały kilka kilometrów od domu, w bocznej uliczce przy Brownsville. To jeden z niewielu przypadków, kiedy znaleźliśmy coś na miejscu zbrodni.

– Co?

Faustino podszedł znów do biurka, wysunął górną metalową szufladę po lewej i przekopał się przez jej zawartość. Znalazł brązową teczkę i otworzył ją na blacie. Niewiele się w niej znajdowało – jakieś dziesięć stron maszynopisu

i kilka zdjęć przyczepionych do wewnętrznej strony okładki. Przyglądał się im przez chwilę, po czym podsunął akta partnerce.

– Ten facet miał przy sobie portfel i zdjęliśmy z niego odciski należące do kogoś innego.

– Domyślam się, że nie mieliśmy ich w systemie?

– Nie. Podejrzewamy, że sprawca chciał sprawdzić dokumenty. Nie tknął, albo nie tknęła, gotówki ani kart kredytowych. Wszystko wskazuje na to, że nic nie ukradziono.

– Odważnie, tak bez rękawiczek.

– To mogła być panika albo po prostu głupota. Kto to wie?

Fogel przestudiowała wszystkie trzy fotografie. Pierwsza przedstawiała portfel, czarny, skórzany, otwarty na środku – prawo jazdy po lewej stronie, Visa i kilka innych kart po prawej, wszystko pokryte białym proszkiem daktyloskopijnym. Zmarszczyła czoło.

– Flack miał nietypowo małe dłonie?

– Zauważyłaś, co? – Stuknął w zdjęcie. – Te większe odciski to Flacka, mniejszych nie zidentyfikowaliśmy.

Fogel zastanowiła się chwilę, po czym spojrzała na pozostałe zdjęcia – oba przedstawiały odciski butów na brudnej nawierzchni.

– Sądzymy, że to ślady dziecka. Rozmiar trzydzieści pięć.

– Może kobieta.

– No, może.

– Dzieciak tego nie zrobił. Rozmiar trzydzieści pięć, to ile to lat? Dziesięć, jedenaście? Za mały, żeby przenieść takie ciało. Ile ważył Flack?

– Siedemdziesiąt osiem.

– No to na pewno nie dzieciak. Nie wiem, czy sama dałabym radę go przenieść. – Fogel przekartkowała maszynopis. Na sześciu stronach znajdowały się kopie paragonów. – Co to za rachunki?

– Często jadał w knajpie naprzeciwko. Jadłodajnia Krendal's. Bywał tam parę razy w tygodniu. Jedna z kelnerek poznała go na zdjęciu, ale nie miała wiele do powiedzenia na jego temat. Cichy, spokojny, siedział sam. Zawsze zamawiał tosty z serem i szynką, frytki i colę.

Faustino przysunął sobie teczkę.

– Spotkałem w tej knajpie jednego dzieciaka, nazywał się Duncan Bellino. Wcześniej widziałem go w tłumie na miejscu zbrodni. Strasznie się zdenerwował, jak zacząłem go wypytywać. Podejrzewam, że może znalazł ciało, próbował świsnąć portfel, ale spietrał. Próbowałem uzyskać nakaz, żeby wziąć od niego odciski, ale sędzia nie chciał się zgodzić, za słabe dowody. Ale wiek by się zgadzał, no i rozmiar buta.

Fogel opadła na oparcie fotela.

– To się nazywa martwy trop, przyjacielu.

– Pewnie tak, ale nie lubię takich niedokończonych spraw. Jeśli on pierwszy widział ciało, mógł zobaczyć też, kto je tam podrzucił. Parę lat temu złapali go za jakąś pierdołę, więc jest już w systemie, ale akta są zastrzeżone. Próbowałem się do nich dostać, żeby dopasować odciski palców, ale nic z tego. Inny sędzia, ale ten sam problem, za mało dowodów. Nie sądzę, żeby dzieciak to zrobił, ale instynkt mi mówi, że coś wie o sprawie.

– No dobra, czyli Flack to też ślepa uliczka, żadnych konkretnych dowodów – skwitowała Fogel. – Opowiedz mi o osiemdziesiątym szóstym.

Faustino wrócił do tablicy i wskazał na fotografię przy roku 1986.

– To jak dotychczas najstarsza ofiara: czterdzieści siedem lat, kobieta, czarna. Nienotowana. Kasjerka w Kmarcie. Mieszkała sama. Wyszła z pracy szóstego sierpnia, zwykle pieszo wracała do domu. Wtedy widziano ją po raz ostatni. Znaleźliśmy ją w Baptist Park ósmego sierpnia.

– Znasz datę albo godzinę śmierci?

Faustino pokręcił głową.

– Koroner nie potrafił ustalić. Powiedział mi wprost, że z uwagi na stan zwłok może tylko spekulować. Nie da się zastosować typowych metod.

– To znaczy, że nie wiadomo, co się z nią działo przez dwa dni. Sprawca może nie zabijać ofiar od razu. Ślady przemocy seksualnej?

– Koroner nie był przekonany, ale pewności nie miał. Mamy tu jednak najróżniejsze ofiary, w każdym wieku, obu płci, różnych ras. Przestępcy seksualni zwykle mają określony typ, a z tego, co się orientuję, Flack był jedynym zwyrodnialcem powiązany z sprawą.

– No i jest ofiarą.

– Zgadza się.

Faustino wskazał kolejne trzy fotografie na tablicy.

– Osiem pięć, osiem cztery, osiem trzy. W osiemdziesiątym piątym i trzecim faceci, w czwartym kobieta. Żadnej z tych osób nie udało nam się zidentyfikować. Wszystkie wyłowiono z rzeki Ohio w promieniu od trzech do piętnastu kilometrów od miasta. Wszystkie były nagie. Ze sprawą łączy je tylko stan zwłok.

– Ta z osiemdziesiątego drugiego wygląda młodo – zauważyła Fogel.

Faustino zerknął na zdjęcie małego ciała – czarnego, wyschniętego, skurczonego – obok uśmiechniętej dziewczynki.

– Najmłodsza ofiara. Sześciolatka Rebecca Pohlman. Porwana z centrum handlowego Monroeville Mall drugiego sierpnia, znaleziona na śmietniku za Eat'n Park w West Mifflin ósmego.

– To nie ta galeria, w której kręcili *Świt żywych trupów*?

– Zgadza się.

– Makabra.

– Matka robiła zakupy u Searsa, przeglądała ubrania, a Rebecca chciała popatrzeć na zabawki po drugiej stronie alejki, ale w zasięgu wzroku – relacjonował Faustino. – Zniknęła na jakieś dziesięć minut, więc w tym czasie musiała zostać porwana. W większości sklepów dział z zabawkami znajduje się jak najbliżej środka, z dwóch powodów: po pierwsze, dzieciaki zwykle zaciągają tam rodziców, więc jeśli będą musieli przejść przez dużo innych działów, to może kupią coś po drodze. Po drugie, zabawki mają znajdować się jak najdalej od wyjścia, bo to właśnie z tego działu najczęściej uprowadza się dzieci. Dzięki temu ochrona ma szansę zatrzymać kidnapera, zanim wyjdzie ze sklepu. Ale porwania Rebekki nikt nie zauważył. Po prostu zniknęła.

Znowu sięgnął do szuflady, wyciągnął kolejną teczkę i otworzył. W środku znajdowała się niewyraźna fotografia, dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Podał ją partnerce.

– W środku monitoring nic nie zarejestrował, ale mamy to jedno zdjęcie z parkingu.

Fogel przyglądała się fotografii ze zmarszczonymi brwiami.

– Co my tu widzimy?

– Cztery dorosłe osoby w ujęciu od tyłu. Chyba kobiety, bo mają długie włosy. Ale nie mamy pewności.

– To jest przecież w sierpniu, nie? Dlaczego mają na sobie płaszcze?

– My też od razu zwróciliśmy na to uwagę. Cztery identyczne płaszcze. Białe trencze. – Nachylił się nad zdjęciem i położył palec blisko środka. – Co tu widzisz?

Fogel też zbliżyła się do fotografii. Potrzebowała chwili.

– Wygląda, jakby szło między nimi jakieś dziecko.

– Matka rozpoznała koszulkę. To Rebecca.

– Jak masz sześć lat i czwórka dorosłych każe ci gdzieś iść, to po prostu idziesz, prawda? Pewnie nawet nie protestowała.

– Nawet jeśli, to nikt nie zauważył. Ale tak, pewnie powiedzieli, że mama jej szuka, zabiorą ją do niej, i po prostu z nią wyszli.

– Kamery nie uchwyciły ich samochodu? – spytała Fogel.

– Mam tylko to jedno zdjęcie. Kiedy zaczynałem składać te wszystkie sprawy do kupy, próbowałem wyciągnąć taśmy z magazynu dowodów, ale przepadły. Miałem nadzieję, że inna kamera nagrała samochód albo jest wcześniejsze ujęcie, jak ta ekipa wchodziła, ale bez taśm nigdy się tego nie dowiemy.

Fogel przesunęła palcem po uchwyconych na zdjęciu osobach.



– Jeśli wszystkie te zabójstwa są powiązane, to najwyraźniej mamy przynajmniej czworo sprawców. Identyczne płaszcze mogą świadczyć o jakimś kulcie czy czymś w tym rodzaju. Biorąc pod uwagę stan zwłok, trudno nie brać pod uwagę takiej opcji. Poza tym morderstwa obejmują bardzo długi przedział czasowy. To też sugerowałoby jakiś kult, może różnych sprawców działających w tym samym celu.

Faustino pokiwał głową. Od lat podejrzewał, że w grę wchodzi jakiś kult.

– Rebecę znaleziono na śmietniku ósmego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku.

Po tych słowach zapadła cisza, oboje pogrążyli się w rozmyślaniach. Tyle ofiar, ale śmierć tej dziewczynki chyba najbardziej bolała Faustina. Sądząc po minie Fogel, nie był w tym osamotniony.

Po dłuższej chwili odchrząknął i wrócił do tablicy.

– Osiem jeden, nieznany mężczyzna. Osiemdziesiąty, nieznany mężczyzna. Siedem dziewięć, nieznana kobieta. – Wszystkie ciała na zdjęciach wyglądały tak samo: czarna, sucha skóra, spalona niemal na proch, nietknięta odzież. – Biorąc pod uwagę upływ czasu, raczej nigdy ich nie zidentyfikujemy, jeśli nie złapiemy sprawców.

Fogel wstała zza biurka i podeszła do tablicy.

– A co się stało w siedemdziesiątym ósmym?

– Z tego, co mi wiadomo, to był pierwszy rok i zdecydowanie najgorszy. Trzy ciała, sami mężczyźni. – Wskazał na zdjęcie na środku. – Ten facet miał w głowie metalową płytkę, pozostałość po urazie w Wietnamie. Koroner zidentyfikował go na podstawie numeru seryjnego. Calvin Gurney, dwadzieścia cztery lata. W siedemdziesiątym piątym wrócił z wojny, parę razy złapali go za jakieś drobiazgi: włóczęgostwo, drobne kradzieże w sklepach. Poza tym niewiele o nim mamy. Pozostałych nie udało się zidentyfikować. Ale miejsce zbrodni to była jatka, zupełnie inaczej niż w pozostałych przypadkach. To chyba nasza strefa zero.

– Co wyróżniało ten przypadek?

Faustino wyjął z szuflady jeszcze jedną teczkę, tym razem bardziej opasłą, grubości około centymetra. W środku znajdowało się kilkanaście fotografii i liczne raporty.

– Znaleziono ich w domu w Mount Washington. Trzy sypialnie, ładny widok na miasto. Nieruchomość oficjalnie była niezamieszкана, chyba ktoś tam squatował. Na parterze znaleziono ciała dwóch zastrzelonych dorosłych osób. Ci trzej leżeli w sypialni na piętrze. Stan ich zwłok odpowiada pozostałym. Prowadzący śledztwo uznał to za włamanie z bronią w rękę.

Podsunał jej teczkę.

– Przeczytaj. Mamy czas. A ja muszę coś załatwić.

– Co?

– Zamierzam przez cały dzień trzymać się tego Bellina.

– Serio? Flacka zamordowali pięć lat temu. W najlepszym razie chłopak przypadkiem trafił na zwłoki.

– Nie mam innego punktu zaczepienia. – Wygrzebał z kieszeni kluczyki od auta i postukał w teczkę. – Przeczytaj. Chcę wiedzieć, co twoim zdaniem to wszystko znaczy.

– Co konkretnie?

– Sama się przekonasz. Ta sprawa jest inna.

W czasie ich rozmowy na komendę przyszło kilku innych detektywów. Kiedy Faustino ruszył do drzwi, wszyscy odwracali się od niego i jego tablicy, szemrali między sobą. Tablica Osobliwości znów ujrzała światło dzienne. Zapowiadał się ciekawy dzień.

## 2

O dziwo, rak u cioci Jo nie zaczął się w płucach, ale w krwi. Nie pamiętałem, żeby ciocia kiedykolwiek nie była zmęczona, ale wiosną 1992 roku zaczęła naprawdę się męczyć. Wracała do domu ze zmiany w jadłodajni, padała na fotel i czasami nie wstawała aż do rana. Straciła apetyt i zauważyłem, że liczne siniaki, których nie udało się uniknąć w kelnerskim fachu, przestały znikać z jej ramion, a zamiast tego ciemniały, przybierając paskudny fioletowy odcień, i utrzymywały się na skórze długimi tygodniami. Potem zaczęła regularnie gorączkować. W kwietniu namówiłem ją na wizytę w przychodni i morfologia wykryła wysoki poziom krwinek białych.

W przychodni skierowali ją do innej lekarki, a ta z kolei wysłała nas do specjalisty, który przyjmował niedaleko szpitala West Penn. Doktor Pavia nazwał te nadmiarowe leukocyty „blastami” i powiedział, że nie są w pełni rozwinięte. W odróżnieniu od normalnych krwinek białych blasty nie mogły zwalczać infekcji. Pochodziły ze szpiku kostnego.

Moja ciocia Jo miała białaczkę.

Konkretnie ostrą białaczkę szpikową.

Lekarz od razu zwrócił uwagę, że palenie prawdopodobnie przyczyniło się do rozwoju choroby, ale nie było jej jedynym powodem. Mimo wszystko radził jej rzucić. Powiedziała, że tak robi, ale zapaliła papierosa zaraz za progiem gabinetu i od tego czasu nie zauważyłem, żeby próbowała zejść poniżej paczki dziennie.

Doktor Pavia wspominał o przeszczepie szpiku. Zapisał ciocię na chemioterapię i naświetlania, ignorując jej narzekania na brak czasu i pieniędzy. Nie miała ubezpieczenia zdrowotnego, a w tej sytuacji trudno będzie je zdobyć. Lekarz już to wszystko słyszał. Odniosłem wrażenie, że wysłuchiwał takich obiekcji parę razy dziennie, bo udzielał jasnych, zwięzłych i wyraźnie przygotowanych odpowiedzi. Nowotwór nie zna litości. Nie interesują go nasze grafiki, a leczenia nie można odłożyć na później. Już i tak straciliśmy cenny czas.

Ciocia spytała doktora, ile czasu jej zostało.

Rozłożył ręce – kilka miesięcy, pięć lat, dłużej... trudno powiedzieć. Kolejna przeciwczona odpowiedź na najczęściej zadawane pytanie.

Chociaż kazałem jej odpoczywać, ciocia pracowała przez cały pierwszy tydzień leczenia. Wcisnęła nawet kilka podwójnych zmian, żeby więcej zarobić, ale od drugiego tygodnia zaczęła ograniczać pracę, a w trzecim ciągle nudności i brak energii nie pozwalały jej nawet wyjść z domu.

Mniej więcej wtedy zaczęły przychodzić rachunki. Najpierw przychodnia, potem lekarka, później specjalista, w końcu leczenie i kolejne terapie. Do tego dochodziły czynsz, rachunki, jedzenie. Comiesięczne koperty z pieniędzmi przychodziły przez cały ten czas, a ja większość odkładałem. W dniu diagnozy miałem trzydzieści cztery tysiące sto osiem dolarów (policzyłem pieniądze zaraz po powrocie od doktora Pavii), ale teraz prawie codziennie wystawiałem przekazy pieniężne – przez ostatnie kilka miesięcy wydałem prawie dziesięć tysięcy, a końca nie było widać.

Pilnowałem, żeby ciocia nie widziała rachunków, a tym bardziej płatności – tylko by się zmartwiła, a dość już miała trosk. W czasie gdy dwie ostatnie koperty pojawiły się w stałym miejscu na środku mojego łóżka, ciocia była w domu – leżała w łóżku albo na fotelu – ale kiedy wracałem wieczorem ze zmiany u Krendala, nie wspominała o żadnym intruzie. W ogóle nic nie mówiła na ten temat. Drzwi były zamknięte na klucz, a jednak ktoś zdołał niepostrzeżenie wejść i wyjść.

Większość czasu spędzałem w jadłodajni, na pewno więcej niż w domu. Ciocia Jo nadal się upierała, że dzięki temu nie włóczę się po ulicach i nie pakuję w kłopoty, a Krendal bez problemu wynajdywał dla mnie zajęcia. W styczniu, kiedy skończyłem szesnaście lat, zaczął mnie nawet uczyć obsługi grilla. Rok temu pokazał mi frytkownicę, a jeszcze wcześniej dowiedziałem się, jak przyrządzać świeże warzywa i owoce. Cieszyłem się, gdy tylko miałem okazję uniknąć sprzątanania ze stolików i zmywania naczyń, ale jeśli chodzi o smażenie burgerów, to było mi jeszcze daleko do poziomu Krendala. „Za czerwony, za gruby, za cienki, za brązowy!”, wrzeszczał na mnie, bo już kompletnie ogłuchł. Mimo że rok temu zaczął nosić dwa monstrualne aparaty słuchowe, docierały do niego wyłącznie najgłośniejsze dźwięki.

Przy kontuarze siedziały cztery osoby, kolejne sześć w boksach, stoliki obsługiwała dziś Gerdy.

Gerdy McCowen rok temu przeprowadziła się do Pittsburgha z rodzicami. Była o rok niżej ode mnie w liceum Brentwood, w pierwszej klasie. Ładna i towarzyska dziewczyna bez trudu znalazła nowych znajomych, a u Krendala pracowała, żeby odłożyć na studia – chciała iść na Brown. Lurline wspominała o przejściu na emeryturę z powodu chorych kolan. Gerdy była niezła, choć nie tak jak Lurline, nie sięgała też do pięt cioci Jo w czasach jej świetności. Miała jednak ładny uśmiech i jeszcze ładniejsze nogi. Dunk nazywał ją brzydulą, ale i tak

zawsze się na nią gapił, kiedy przychodził, żeby mnie prześladować. Krendal też parę razy mnie przyłapał, jak na nią patrzyłem. Zwykle posyłał mi wtedy ten swój uśmiech, a potem warczał i wrzeszczał: „Do garów!” albo w inny sposób zaganiał mnie do roboty.

Gerdy czekała, żebym zaprosił ją na randkę, i wiedziałem, że powinienem to zrobić, ale ciągle nie było okazji (choć ona pewnie by powiedziała, że było ich wiele, ale ja po prostu tchórzyłem). Może wezmę ją na bal z okazji zjazdu absolwentów, to niedługo.

Z całych sił starałem się zapomnieć o Stelli, ale zawsze była obecna w moich myślach – zwłaszcza dzisiaj, ósmego sierpnia.

– Marnujesz wodę! Zakręć! – krzyknął Krendal, przeciskając się przez kuchnię do biura na zapleczu. Przez ostatnie lata mocno przytył. Stałem przy wielkim trzykomorowym zlewie, zmywając naczynia po pierwszej fali klientów w porze obiadowej. Zegar na ścianie wskazywał 17.31.

Musiałem się zbierać.

Wziąłem ostatni talerz i zanurzyłem w gorącej wodzie. Kiedy spłukiwałem mydliny, Gerdy przyniosła kolejne cztery, do tego sześć szklanek i garść sztucców. Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i zostawiła naczynia, po czym wróciła na salę. Zapatrzyłem się na jej tyłek i musiałem się zmusić do odwrócenia wzroku. Pomyślałem o cioci Jo w tym samym mundurku. Pomogło.

– Szefie! Muszę zaraz kończyć. Idę do domu sprawdzić, jak tam ciocia! – zawołałem, wrzucając naczynia do aluminiowego zlewu.

Krendal wystawił głowę przez uchylone drzwi do biura.

– Jak się miewa Jo?

Zacząłem odpowiadać i dopiero po chwili zorientowałem się, że mnie usłyszał. Spojrzałem na jego lewe ucho i zauważyłem, że miejsce topornego beżowego aparatu zajął mniejszy, biały.

– Nowy model. Zalecenie lekarza. Ale sam nie wiem, czy mi się to podoba. Większości rozmów, które dziś przeprowadziłem, nie warto było słuchać. Polityka, wojny, głód na świecie i filmy z Arnoldem Schwarzeneggerem. Czasem lepiej nie słyszeć, co się dzieje na świecie.

Zacząłem wyciągać naczynia z wody z mydlinami i płukać przed odłożeniem na suszarkę.

– Chyba jej gorzej. Ale nic nie mówi, więc trudno powiedzieć. Ledwie się rusza. Lekarz mówił, że zwiększył dawkę chemii, więc można się spodziewać spadku energii. Poza tym ciągle jej niedobrze. Próbuję w nią wmuszać wodę, nie chce pić, ale musi, żeby się nie odwodnić. Mam nadzieję, że wieczorem coś zje. Od dwóch dni wszystko zwracała.

– Może przydałaby się jakaś pielęgniarka?

A ile to będzie kosztować? – pomyślałem.

– Może, jeśli jej się nie poprawi.

Znów zerknąłem na zegar – 17.42.

– Leć – powiedział Krendal. – Poradzę tu sobie. Pozdrów ode mnie Jo. Przekaż jej, że za nią tęsknimy.

– Dziękuję. – Złapałem ręcznik, pośpiesznie wytarłem ręce, klepnąłem go w plecy i popędziłem do tylnego wejścia.

Najpierw musiałem zajrzeć do domu i sprawdzić, co z ciocią.

Po drodze prawie przewróciłem dwie osoby, gdy tak biegłem chodnikiem wzdłuż Brownsville Road. Już na klatce schodowej przeskakiwałem po dwa, trzy stopnie. Kiedy niezdarnie próbowałem trafić kluczem w zamek, Dunk otworzył mi drzwi.

– Coraz z nią gorzej, stary.

Wpadłem do mieszkania.

– Pootwieraj okna. Duchota tu jak w piecu.

– Chciałem, ale twoja wspaniała cioteczka próbowała wstać, żeby je pozamykać, i spadła z fotela. Mówiła, że jej zimno. Cała się trzęsła. I to bardzo. Usadziłem ją z powrotem i przykryłem kocem. Przestało nią telepać, ale za to zaczęła się pocić. Kiedy próbowałem zabrać koc i trochę ją ochłodzić, posłała mi zabójcze spojrzenie. Jak babka tak patrzy, to ja już wiem, że trzeba się wycofać. Teraz śpi.

Ciocia leżała na rozłożonym fotelu pod zamkniętym oknem, opatulona po szyję grubą kołdrą. Gałki oczne latały jej pod powiekami, widocznie coś jej się śniło. Na głowie miała jasnozieloną wełnianą czapkę.

Ciocia Jo nosiła teraz czapki.

Zawsze.

Wiedziałem, że wypadły jej włosy, ale nie chciała mi się pokazać. Duma jej na to nie pozwalała. Zastanawiałem się, czy nie kupić jej peruki, ale nie wiedziałem, jak się do tego zabrać, żeby nie wyszło dziwnie.

Obok, na podrapanym drewnianym stoliku, stała puszka po coli, z której się dymiło.

– Ile dzisiaj?

Dunk wzruszył ramionami.

– Ja widziałem co najmniej pięć, ale chyba wypaliła jeszcze jednego cichaczem w łazience. Siedziała tam ze czterdzieści minut i nawet nie spuściła wody dla zachowania pozorów. Wyszła dopiero, gdy jej powiedziałem, że zaraz tam wejdę.

Znalazłem paczkę marlboro wciśniętą między nogę ciotki a poręcz fotela. Z dwudziestu papierosów zostało sześć.

Zaraz po diagnozie próbowałem ją skłonić, żeby zupełnie przestała palić. Chowanie popielniczek nie działało – próbowałem tego już lata temu, ale ona zawsze znajdowała jakiś sposób, żeby pozbyć się popiołu (puszkę po coli, otwarte okno, mój but). Po rozpoczęciu chemio- i radioterapii zabierałem jej papierosy, ale tajemniczo zaczęły się pojawiać nowe paczki. Nie miałem pojęcia, skąd je bierze. Rozebrałem mieszkanie na kawałeczki, szukając jej zapasów. Nie wychodziła z domu. Musiały gdzieś tu być.

Podczas trzeciej czy czwartej wizyty doktor Pavia powiedział mi na stronie, że biorąc pod uwagę, od jak dawna paliła, skłonienie jej do rzucenia może być niemożliwe. Na tym etapie mogłoby jej to wręcz bardziej zaszkodzić, niż pomóc. Podobno u niektórych pacjentów po rzuceniu palenia występowała nadwaga i nadciśnienie. Przytycie dobrze by jej zrobiło (schudła jakieś piętnaście kilo), ale wzrost ciśnienia już niekoniecznie. Ryzyko związane z rzuceniem palenia pod wieloma względami przewyższało ewentualne korzyści. Radził mi dalej próbować, ale nie przejmować się za bardzo, jeśli mi się nie uda.

Mieliśmy poważniejsze problemy.

Pojawiły się przerzuty z krwi do węzłów chłonnych, śledziona, wątroby, rak zaczął wpływać na ośrodkowy układ nerwowy. Chemia i naświetlania spowalniały postęp choroby, ale nieznacznie.

Ciocia Jo przegrywała walkę.

No i do tego dochodził ból.

– Wzięła leki?

– Tak, ale dają jej tramadol. Na razie działa, ale coraz słabiej. Organizm zaczyna się przyzwyczajać. Musisz mi pozwolić załatwić jej coś mocniejszego.

Dunk nie powiedział tego wprost, ale miał na myśli heroinę. Wspominał już o tym kilka razy. Twierdził, że kiedy jego wujek umierał na raka, heroina i marihuana działały znacznie lepiej niż przepisany przez lekarza oksykodon. Lepiej nawet niż morfina, którą dostawał pod koniec.

– Nie możemy jej dawać heroiny.

– Czemu nie?

– Bo to heroina.

Sam nie wiedziałem, co mnie bardziej martwi – to, że mój przyjaciel chciał podawać cioci twarde narkotyki, czy że mógł bez najmniejszego problemu je zdobyć i jej podać. Bo wiedziałem, że potrafi to zrobić. Pewnie nawet teraz miał coś przy sobie. Sam nigdy nie brał, ale handel to inna sprawa, a był w tym niezły. Zaczął od drobnych rzeczy, głównie zioła, ale szybko się zorientował, ile może zarobić na pośredniczeniu między kupcami a handlarzami. Jego ojciec już ponad rok nie miał pracy i nie interesowało go nic poza pić. Dunk musiał jakoś zarabiać na życie. Niestety, wybrał akurat taki sposób. Kiedy dwa lata temu

aresztowali go za kradzież w sklepie, miałem nadzieję, że się wystraszy i wróci na dobrą drogę. Jednak to doświadczenie nauczyło go tylko większej ostrożności.

– Jak na takiego bystrzaka kiepsko ci idzie z argumentacją. „Bo tak” to żaden powód – odparł Dunk. – Chcesz, żeby było jej dobrze, prawda?

– Heroina uzależnia.

– Tak samo jak oksy, morfina, tramadol, kodeina i cały ten syf, który jej przepisują. – Zniżył głos. – Możliwe, że nie zostało jej dużo czasu, a jeśli będzie tak jak z moim wujkiem, to sprawy mogą szybko się pogorszyć. Pogadaj z lekarzem. Powiedz, że mógłbyś trochę skołować. Zobaczysz, co powie.

– Nie mogę rozmawiać z lekarzem o narkotykach.

– On nie może o tym nikomu powiedzieć. Jest ta cała tajemnica lekarska. Obowiązuje go przysięga.

– To chyba nie do końca tak działa.

– Zapytaj – upierał się Dunk. – Jego reakcja może cię zdziwić. – Spojrzał na zegar. – Chryste, już cztery po szóstej, musisz lecieć!

– Szlag – zachnąłem się. – Chciałem się umyć i przebrać.

– Nie ma na to czasu, Romeo.

– Pewnie i tak jej nie będzie.

– Pewnie nie – przyznał Dunk. – Ale i tak musisz sprawdzić, prawda? Rozumiem.

Wyciągnął zza pleców rewolwer z bardzo krótką lufą, kalibru .38, posrebrzany z czarną rękojeścią. Nosił tę broń mniej więcej od roku. Stara trzydziestkaósemka jego ojca dawno przepadła. Dunk obstawiał, że stary ją zastawił, tak jak wieżę stereo, ale pewności nie miał. Nie pytałem, skąd wziął ten nowy rewolwer.

Pokręciłem głową.

– Nie tym razem.

– Ostatnio też nie wzięłeś, a i tak się nie pojawiła. Czyli to nie o gnata chodzi.

– Nie dałbym rady tego użyć. Gdybym wyciągnął broń, od razu by mnie przejrzeni. Stella pewnie by mnie wyśmiała.

– Śmiałyby się z lufą rewolweru przy głowie? Bardzo chcę poznać tę laskę.

Ciocia Jo jęknęła przez sen.

– Na pewno możesz jej popilnować jeszcze przez parę godzin?

Dunk zerknął na pacjentkę.

– A co mam lepszego do roboty? Ciotka nie sprawia kłopotów. Za godzinę jesteśmy umówieni na randkę, będziemy oglądali *Hangin' with Mr. Cooper*, zgadza się, ciociu?

– Żadnej heroiny.

– Tak jest. To nie taka impreza. Ale zioło może być, co nie? Cooper jest całkiem zabawny, ale z maryską to zupełnie inna historia.



Przewróciłem oczami.

– Nie rozumiem, czemu nie boję się jej z tobą zostawić.

Dunk wsunął rewolwer z powrotem za pasek. U niego jakimś trafem to działało.

– Przecież wiesz, że się wygłupiam. Leć, zanim przegapisz tę swoją laskę, która znowu cię spławi.

– Otwórz okno – rzuciłem już z progu.

– Przedstawię ten wniosek komisji i zobaczymy.

Kiedy usłyszałem, że Dunk zamyka za mną drzwi, byłem już prawie dwa piętra niżej.

Dwanaście po szóstej przeskoczyłem przez płot z boku cmentarza i ruszyłem pod górę. Obejrzałem się w stronę grobów rodziców. Poczulem wyrzuty sumienia, że się przy nich nie zatrzymałem, ale nie miałem teraz czasu.

Kiedy dotarłem na szczyt wzgórza, nogi mnie bolały, a w płucach piekło. Zatrzymałem się przy mauzoleach, żeby złapać oddech. Schyliłem się, rozmasowałem łydki i wciągałem hausty powietrza. Zegarek na nadgarstku wskazywał już osiemnastą czternaście.

Wstałem i ruszyłem ścieżką między mauzoleami. Kiedy moim oczom ukazała się pusta ławka, poczułem bolesne rozczarowanie. Nie spodziewałem się, że ją tam zastanę. Chciałem, żeby tam była, miałem nadzieję, ale w głębi serca wiedziałem, że to się nie stanie. Najprawdopodobniej już nigdy jej nie spotkam.

Dunk powiedział, że rozumie, dlaczego co roku musiałem tu przychodzić. Że rozumie, dlaczego chcę ją znowu zobaczyć. Twierdził, że to dla niego jasne. Chciałem mu wierzyć, ale chyba tak naprawdę nie wierzyłem, bo sam tego nie rozumiałem.

Powinienem jej nienawidzić. Właściwie podczas każdego naszego spotkania była dla mnie wredna. Jej „ludzie” – nie przychodziło mi do głowy żadne inne określenie – próbowali mnie zabić, a przynajmniej porządnie nastraszyć.

Powinienem jej nienawidzić.

Ale nie.

Nie potrafiłem.

Nie chciałem.

„Pomóż mi”.

Jej słowa.

Jej słowa skierowane do mnie tyle lat temu. Niespełniona prośba.

Klapnąłem na pustej ławce, zamknąłem oczy i oparłem głowę na rękach.

Pięć minut później usłyszałem warkot silnika, chrzęst opon na zwirowanej drodze.

Podniosłem wzrok.

Nadjeżdżał biały SUV, przyciemniane okna zdawały się niemal czarne, świeciły reflektory, choć było jeszcze jasno.

Wyprostowałem się.

Samochód zatrzymał się jakieś dziesięć metrów od ławki, przodem do mnie – przez ciemną szybę dostrzegałem niewyraźny zarys kierowcy.

Nie wiedziałem, co zrobić z rękami. Trzymałem je niezgrabnie na kolanach. Chciałem sprawiać wrażenie pewnego siebie, nieustraszonego. Wiedziałem, że nie prezentuję sobą żadnej z tych cech. Przeniosłem ręce na boki, złapałem się ławki, potem założyłem je na piersi i ześlizgnąłem się nieco, licząc na to, że uda mi się przynajmniej przyjąć nonszalancką pozę. Czułem się jak pajac.

Otworzyły się tylne drzwi i wysiadła z nich Latrese Oliver w długim białym płaszczu.

Nachyliła się do wnętrza samochodu, coś do kogoś powiedziała, a potem ruszyła w moją stronę. Jej krok i mowa ciała reprezentowały wszystko, czego mi brakowało. Elitarność, wyższość, dominację.

Zatrzymała się kilka kroków ode mnie i nic nie powiedziała, patrzyła tylko z mocno zaciśniętymi ustami.

Krępująca cisza zrobiła się nie do zniesienia.

– Dzień dobry – odezwałem się w końcu.

– Nie ma jej tu. Jeśli chcesz się z nią spotkać, musisz jechać z nami.

Spojrzałem na SUV-a za jej plecami.

– Dokąd?

Pani Oliver nie odpowiedziała. Odwróciła się tylko i ruszyła z powrotem do auta.

Są takie chwile w życiu, kiedy stajemy na rozdrożu. Jako szesnastolatek jeszcze tego nie rozumiałem. Dopiero wiele lat później miałem się o tym dowiedzieć. Decyzja podjęta na takim rozdrożu to punkt zwrotny w naszym życiu.

Dla mnie takim punktem była śmierć rodziców, choć na nią akurat nie miałem żadnego wpływu. Kolejny to zaprzyjaźnienie się z Dunkiem. Wkrótce czekały mnie liczne decyzje związane z ciocią Jo. Życie to seria rozdroży, z których zwykle odchodzą wyłącznie drogi jednokierunkowe.

W tamtej chwili nie wiedziałem, że stoję właśnie na takim rozdrożu. Myślałem, że to po prostu decyzja. Mogłem zostać, siedzieć na tej ławce i prawdopodobnie już nigdy nie zobaczyć Stelli Nettleton. Albo pojechać z tymi ludźmi, od których nie zaznałem niczego prócz bólu i złej woli.

Wstałem.

Poszedłem za nią.

Wsiadłem do samochodu.

Latrese Oliver przytrzymała mi tylne drzwiczki, wdrapałem się do środka i przesunąłem na miejsce za fotelem pasażera. Za kierownicą siedział mężczyzna około trzydziestki, krótko ostrzyżony szatyn w okularach słonecznych typu pilotki. Fotel pasażera zajmowała jakaś kobieta. Miała długi blond warkocz, którego końcówka ginęła gdzieś pod białym płaszczem – identycznym z tymi, które nosił kierowca i pani Oliver.

Żadna z tych osób nie zareagowała na moje pojawienie się w SUV-ie (chevym suburbanie, jak słusznie zauważył Dunk cztery lata wcześniej). Oboje patrzyli przed siebie, wbijając wzrok w jakiś odległy punkt.

Oliver siadła obok mnie i zatrzasnęła drzwi.

– Jesteś uzbrojony?

– A pani?

Uśmiechnęła się krótko, wyraźnie rozbawiona.

– Masz przy sobie rewolwer swojego kolegi?

„Wiedzieli o broni”.

– Nie.

– Jakąś inną broń?

– Nie.

Oliver wyjęła czarną tkaninę z kieszeni na tyle fotela kierowcy, rozłożyła i podała mi gruby kaptur.

– Włóż.

Rozważałem protest, ale wiedziałem, że nic to nie da, więc naciągnąłem go na głowę.

Zrobiło się ciemno.

Suburban ruszył.

### 3

Preacher zapukał do drzwi mieszkania.

Tak wypadło, a Preacher zawsze starał się okazywać dobre maniery. Nie spodziewał się, że ktoś mu otworzy. Czujnie obserwował panią Gargery i wiedział, że sama jest teraz zajęta pukaniem do drzwi, tyle że ona stoi na progu Śmierci.

Widział, że chłopak pobiegł na cmentarz – specjalnie czekał, aż wyjdzie, czając się po drugiej stronie ulicy, zanim tu przyszedł.

Obstawiał, że została sama.

Będzie drzemała w swoim fotelu, tak jak przy kilku poprzednich wizytach.

Kiedy usłyszał, że ktoś otwiera zasuwkę, nieco go to zaskoczyło. Nie bardzo. Nic nie było w stanie naprawdę zaskoczyć Preachera. Chlubił się, że jest przygotowany na każdą sytuację. Tyle że nie spodziewał się, żeby ta kobieta miała się dźwignąć z fotela.

Drzwi się otworzyły i pojawił się za nimi przysadzisty nastolatek.

– Dzień dobry, pan do kogo?

Preacher przechylił głowę.

– Hm, nie znam cię.

– Słucham?

Preacher kopnął w dolną część drzwi, tak że drewniane skrzydło walnęło chłopaka w czoło. Ten zatoczył się do tyłu, drzwi otworzyły się szerzej i Preacher znowu je kopnął – odbiły się od ściany i zatrzasnęły za nim.

Dopadł do oszołomionego chłopaka, uniósł prawą pięść i uderzył go prosto w nos. Poczul, jak miękka kość i chrząstki pękają pod ciosem. Głowa poleciała do tyłu od siły uderzenia i nastolatek osunął się nieprzytomny na podłogę.

Cała akcja trwała jakieś trzy sekundy, ale narobił hałasu, więc po wszystkim Preacher zastygł w całkowitym bezruchu z zamkniętymi oczami, nasłuchując otwieranych drzwi czy głosów sąsiadów na korytarzu. Nie usłyszał jednak nic oprócz miarowego chrapania z fotela pod oknem i świszczącego oddechu chłopaka, który próbował zaczerpnąć powietrza przez brutalnie przebudowaną jamę nosową.

Znalazł portfel dzieciaka w tylnej kieszeni spodni i wyjął legitymację z plastikowej przegródki – Duncan Bellino z mieszkania 207 w tym samym budynku. Schował dokument do własnej kieszeni, a portfel rzucił na pierś leżącego. Nie miał powodów robić mu już żadnej krzywdy. Chłopak po prostu wszedł mu w drogę, zdarza się. Preacher był jednak dobry w swoim fachu i już dawno się nauczył, że drobny gest, taki jak zabranie komuś dowodu tożsamości, potrafi wiele zdziałać. Taki ktoś snuł potem paskudne wizje tego, co go czeka, zwykle znacznie paskudniejsze niż trzeba, a wizje te okazywały się lepiej dyscyplinować niż groźby czy rzeczywista przemoc. Preacher nie był do końca pewny, jaką rolę odgrywa Bellino w całej tej historii, ale wolał się zabezpieczyć. Może jeszcze kiedyś mu się przydać, a może nie. Ale dziś nie ma potrzeby go zabijać.

Przeszedł nad nieprzytomnym ciałem i ruszył w głąb mieszkania.

Było duszno, ledwie dało się oddychać. Kiepskie warunki dla pacjentki. Otworzył oba okna w salonie i dopiero wtedy poszedł do sypialni chłopaka.

Choć ich jedyne jak dotąd spotkanie przebiegło raczej jednostronnie, Preacher miał wrażenie, że zdołał już nieźle poznać Jacka Thatcha. Był świadkiem dorastania chłopaka. Widział, jak z biegiem lat ze ścian jego pokoju znikają plakaty z superbohaterami, zastępowane przez grupy muzyczne. Rosnące stosy książek zaczęły osiągać alarmujące rozmiary i pokrywały już niemal każdy skrawek powierzchni. Nie pojmował, jak chłopak daje radę się tutaj poruszać. Przestał już też ukrywać swoje szkicowniki – walały się dziesiątkami na komodzie i stoliku nocnym. Niektóre rysunki powiesił nawet na ścianach. Chłopak miał wybitny talent. Potrafił idealnie oddać na papierze swoją małą sympatię. Preacherowi się zdawało, że oczy dziewczyny go śledzą, że wciąż podąża za nim jej ukradkowe spojrzenie.

Nie podobało mu się to.

Ani trochę.

Nigdy nie lubił być obserwowany, widziany, a właśnie tak się teraz czuł.

Wyjął kopertę z gotówką z kieszeni marynarki i zostawił ją na łóżku Jacka.

Z drugiej kieszeni wydobył karton marlboro setek i zaczął ukrywać papierosy w różnych punktach mieszkania, tam gdzie zawsze – pani Jo Gargery nie była w stanie prowadzić skomplikowanych poszukiwań. Kiedy schował ostatnią paczkę w bezpiecznym miejscu, poszedł do kuchni i otworzył lodówkę. Umierał z głodu.

## 4

Jazda samochodem trwała około pół godziny.

W Pittsburghu niewiele to mówiło. Niezależnie od tego, czy cel podróży był oddalony o kilometr czy o piętnaście, zawsze jechało się przynajmniej trzydzieści minut. Drogi nieustannie wymagały remontu. Bez żadnego powodu zamykano całe pasy jezdni. W jeden dzień skuwano chodniki i kładziono nowe, a ruch kierowano objazdami, jakby miastu zależało na tym, żeby wszyscy przemieszczali się jak najwolniej.

Próbowałem ustalić, gdzie jesteśmy. Kiedy na mojej głowie wylądował czarny kaptur i samochód ruszył, w myślach podążałem wąską drogą wyjazdową z cmentarza, wyobrażając sobie skręt w lewo w Brownsville Road, tak jak przed czterema laty, a potem kolejny w Nobles.

Po skręcie w Nobles naliczyłem jeszcze dwa skręty w prawo, potem jeden w lewo i kolejny w prawo. W końcu straciłem rachubę. Zgubiłem się. Nagle samochód gwałtownie zahamował. Usłyszałem stukot kół przejeżdżającego pociągu, po czym znów pojechaliśmy przed siebie.

Jakieś dwadzieścia minut później SUV wreszcie się zatrzymał i zgaszono silnik. Usłyszałem odgłos otwierania i zamykania obojga przednich drzwi.

Pani Oliver otworzyła swoje drzwiczki.

– Zaczekaj tutaj.

Potem i jej drzwi się zatrzasnęły i zostałem sam.

Kusiło mnie, żeby choć na chwilę zdjąć kaptur, ale się rozmyśliłem. Jakimś sposobem na pewno by się o tym dowiedziała. Może nawet stoi tuż za szybą i czeka, żebym to zrobił, dał jej jakiś pretekst.

Ktoś otworzył moje drzwi.

Czyjaś ręka złapała mnie za ramię i pociągnęła.

– Wsiadka.

Męski głos.

Przysunąłem się do wyjścia i ostrożnie wystawiłem stopę. Kiedy wymacałem ziemię, dołączyłem drugą nogę i wysiadłem z samochodu. Uścisk na moim ramieniu się wzmocnił, a potem zdjęto mi z głowy kaptur.

Na horyzoncie zachodziło słońce. Gęste chmury przybrały niecodzienne odcienie czerwieni i pomarańczy.

Zaparkowaliśmy na okrągłym, wybetonowanym podjeździe. Przed nami stały jeszcze trzy białe SUV-y, a kolejne cztery na niedużym parkingu po prawej. Kręta droga dojazdowa niknęła w drzewach za mną.

Przede mną stał najpotężniejszy dom, jaki w życiu widziałem. Większy od naszego bloku, może nawet dwukrotnie. Trzy kondygnacje wyniosłych kamiennych ścian. Z prawej strony budynek wieńczyło coś w rodzaju wieżyczki, na drugim końcu znajdowało się przeszklone atrium. We wszystkich oknach, a tylko od frontu było ich przynajmniej kilkanaście, zamontowano czarne kraty z kutego żelaza.

Dom i tereny wokół niego okalał mur wysokości co najmniej trzech metrów, zbudowany z tego samego kamienia co budynek i najeżony czarnymi metalowymi kolcami. Pieczołowicie zadbany trawnik od frontu miał prawie hektar. Na środku okrągłego podjazdu szumiała fontanna, tryskająca białą, spienioną wodą.

Rozejrzałem się za panią Oliver i dostrzegłem ją w końcu przy drzwiach frontowych, gdzie rozmawiała z kimś znajdującym się wewnątrz. Trwało to dobre kilka minut. W końcu drzwi się zamknęły, a ona wróciła do samochodu.

– Stella zaraz do ciebie przyjdzie. Możesz poczekać w holu.

Obróciła się i ruszyła z powrotem w stronę domu.

Mężczyzna puścił moje ramię.

Zerknąłem na niego, a on głową wskazał Oliver. Popędziłem za nią.

Kiedy zbliżyliśmy się do wielkich, podwójnych dębowych drzwi, jakaś kobieta w znanym mi już białym płaszczu otworzyła ich prawe skrzydło. Spojrzała mi w oczy, ale nie odezwała się ani słowem.

Poszedłem za Oliver w głąb domu.

Sufit okrągłego holu majaczył na wysokości drugiego piętra, ze środka zwieszał się gigantyczny kryształowy żyrandol. Podeszwy moich schodzonych adidasów piszczały na marmurowej posadzce, kiedy podziwiałem luksusowe ciemne dębowe panele na ścianach. Na środku pomieszczenia stał stół z pojedynczą białą lilią w wazonie.

Zerknąłem na zegarek i okazało się, że zatrzymał się na 18.42. Nie miałem pojęcia, ile czasu upłynęło od tej godziny. Cholera, koszulka mi śmierdziała. Mój zmysł węchu został zaatakowany przez smród jadłodajni – utrzymujące się długo połączenie woni jedzenia i wody ze zmywania. Na środku klatki piersiowej miałem plamę tłuszczu, pewnie od obsługi różna w czasie obiadowego szczytu. Kolejna tajemnicza plama widniała na moich dżinsach – czerwona i pokryta zaschniętą skorupą, pewnie keczup albo dżem truskawkowy. Zacząłem zdrapywać ją paznokciem, płatki brudu spadały na marmur.

– Mój Boże, jaki z ciebie paskudny brudas. Czas wiele zmienia, ale obawiam się, że to akurat pozostało bez zmian.

Kiedy podniosłem oczy i ujrzałem Stellę, stojącą na końcu długiego korytarza, oddech uwiązał mi w gardle. Zanim zdołałem się powstrzymać, głośno nabrałem powietrza, a gdybym się nie opanował, na pewno opadłaby mi szczęka, uchyliłaby się z czystego zachwyty.

Była przepiękna.

Więcej niż przepiękna.

Była prawdopodobnie najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Jej włosy wyglądały dokładnie tak, jak je zapamiętałem: długie, brązowe, opadające falami i kędziorami na ramiona i plecy, okalające twarz o porcelanowo gładkiej cerze, nieskazitelną pod każdym względem. Jej kasztanowe oczy lśniły w przygasającym świetle dnia, pełne fascynacji i zaciekawienia. Miała pełne wargi, w najgłębszym odcieniu czerwieni. Czarna sukienka odsłaniała nagie ramiona i opadała do pół uda. Stała tak nonszalancko elegancka, w czarnych szpilkach dopasowanych do stroju, swobodna i zupełnie nieskrępowana.

To była dziewczyna, którą zapamiętałem, którą setki razy rysowałem, ale przez lata od naszego ostatniego spotkania dojrzała, stała się młodą kobietą.

Kiedy wreszcie przypomniało mi się, że powinienem oddychać, poczułem w powietrzu nutkę wanilii i wiedziałem, że to jej zapach. Nigdy w życiu tak bardzo nie wstydziłem się własnego wyglądu.

Zrobiła krok w moją stronę, jej długie nogi poruszały się z wdziękiem osoby tak przyzwyczajonej do wysokich obcasów, że stały się dla niej drugą naturą. Przypomniała mi się Gerdy z jadłodajni, ten jeden raz, kiedy widziałem ją w takich butach – niezgrabne ruchy, grymas cierpienia na twarzy przy każdym kroku, jak u wszystkich dziewczyn znanych mi ze szkoły czy z pracy. Tak rozpaczliwie pragnęły dorosnąć.

Stella była jednak inna.

Zupełnie inna.

Ona już dorosła – była tą dziewczyną, a raczej kobietą, którą one wszystkie chciały się stać.

Kiedy do mnie podeszła, zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, a ja zapragnąłem uciec. Chciałem wypaść przez te wielkie drzwi i pobiec jak najdalej, żeby nie oglądała mnie w moim obecnym stanie – tanie, uświnione ubrania, kuchenny tłuszcz ciężący na włosach. Nie mogłem się jednak ruszyć. Byłem sparaliżowany, bałem się, że drżące nogi się pode mną załamią, jeśli spróbuję je zmusić do jakiegokolwiek aktywności.

Spłonąłem rumieńcem wstydu.



Stella przeczesła moje włosy dłonią w rękawiczce – czarnej, skórzanej, identycznej z tymi, które nosiła podczas naszych poprzednich spotkań. Przechyliła głowę lekko w lewo i spojrzała mi w oczy.

– Wydaje mi się, że przy naszym pierwszym spotkaniu nazwałam cię brzydkim, ale o ile twoja higiena pozostawia wiele do życzenia, o tyle przynajmniej wyrosłeś z brzydoty. Być może nie osiągnąłeś jeszcze pełni swojego potencjału, ale widać już mężczyznę, którym się staniesz, a znacznie mniej tego małego chłopaka, który przysiadł się do mnie nieproszony.

– Przy... przyszedłem prosto z pracy. Chciałem się przebrać i umyć, ale nie zdążyłem – wyjąkałem głosem wyższym niż zwykle.

– Prawdziwy dżentelmen zawsze znajdzie czas, żeby zaprezentować się z jak najlepszej strony. Schludny, wytworny i ubrany jak spod igły. Tymczasem ty wyglądasz, jakbyś w wolnym czasie tarzał się w rynsztoku. Twój zapach przynosi hańbę cywilizowanemu światu. Twoja postura zaś idealnie obrazuje ideę porażki. Stań prosto, Pip. Potrafisz się bardziej postarać.

– Jack.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

– Dla mnie Pip. Zawsze będziesz dla mnie Pipem.

– Jesteśmy chyba trochę za starzy, żeby żyć w bajce, nie uważasz?

– Czyżby? Ja wolę myśleć inaczej. Nie potrafię sobie wyobrazić życia gdziekolwiek poza bajką. Prawdziwy świat bywa wstrętnym miejscem.

– Stello? Może oprowadzisz młodego Jacka? Widziałaś, w jakiej norze mieszka na co dzień.

Nie słyszałem, kiedy pani Oliver wróciła. Stała teraz na końcu korytarza ze splecionymi dłońmi.

– To piękny dom – powiedziałem.

Stella znów się uśmiechnęła.

– Prawda? – Zwróciła się do starszej kobiety. – Oczywiście, proszę pani. Z przyjemnością.

Podowała mi rękę. Dotyk jej długich, szczupłych palców sprawił, że przebiegła przeze mnie fala ciepła, mimo bariery miękkich skórzanych rękawiczek.

Stella poprowadziła mnie długim korytarzem za holem, minęliśmy duży salon po prawej i bibliotekę po lewej. Spodziewałem się, że Oliver pójdzie za nami, ale nie. Kiedy przechodziliśmy obok niej, cofnęła się o krok. Nasze spojrzenia się spotkały, a choć uśmiechnęła się uprzejmie, oczy miała lodowate, malowała się w nich głęboka nienawiść, na którą moim zdaniem niczym sobie nie zasłużyłem i której zupełnie nie rozumiałem. Mocniej złapałem Stellę za rękę i kobieta to też zauważyła, jej wzrok błyskawicznie powędrował do naszych dłoni, po czym wrócił do moich oczu.

Latrese Oliver za nami nie poszła, ale gdy tylko ją minęliśmy, z bocznego korytarza po lewej wyszły dwie osoby i ruszyły za nami w odległości około trzech metrów. Kobieta i mężczyzna, oboje pod trzydziestkę, w identycznych długich białych płaszczach. Mieli krótko obcięte blond włosy i wyglądali, jakby byli spokrewnieni, może rodzeństwo? Nie powiedzieli ani słowa, tylko ruszyli naszym śladem. Kiedy Stella stanęła przy wielkim zegarze stojącym z ciemnego drewna kasztanowca, oni też się zatrzymali. Utrzymywali stałą odległość od nas.

– Kiedy byłam mała, mniej więcej rok przed tym, jak się poznaliśmy, powiedziano mi, że ten zegar steruje czasem na całym świecie. Gdyby przestał tykać, świat by się zatrzymał, po prostu przestałby istnieć. Budziłam się w środku nocy i biegłam na dół sprawdzić, czy nie stanął. Czasem przynosiłam sobie koc i spałam tu, na podłodze. Zawsze uspokajał mnie jego dźwięk, to miarowe tykanie.

– Kto ci to powiedział? Pani Oliver?

– Tak.

– Jest twoją opiekunką czy coś takiego?

– Coś takiego.

– Nie powiedziałaś mi, co się stało z twoimi rodzicami.

– Nie powiedziałam.

– Ja ci powiedziałem o swoich.

Obróciła się i ruszyła dalej korytarzem, miękka czarna tkanina sukienki gładziła tył jej nóg.

– Tędy, Pip. Masz dużo do zobaczenia.

Ruszyłem za nią. Wiedziałem, że powinienem, ale zaczynałem mieć tego dość – dość jednostronnej rozmowy z dziewczyną, której nie znałem, a jednocześnie znałem niemal najdłużej spośród wszystkich osób w moim życiu.

Zmusiłem nogi, żeby się zatrzymały.

Postawiłem się.

Cykanie zegara zagłuszył głośny łomot mojego serca.

Stella musiała to jakoś wyczuć, bo zatrzymała się na końcu korytarza, nawet się nie odwróciwszy.

– Już nie jesteś posłusznym szczeniakiem?

– Nigdy nim nie byłem.

Stella westchnęła. Sprawiało to wrażenie nie tyle przyznania się do porażki, ile pogodzenia się, akceptacji. Nie odwróciła się. A kiedy się odezwała, jej głos nie brzmiał już tak ostro.

– To był letni dzień, taki jak dziś. Słońce zaczęło zachodzić, matka ułożyła mnie w łóżku do snu. Choć miałam zaledwie dwa lata, pamiętam ten wieczór

w każdym szczególe. Równie dobrze mogłoby się to wydarzyć tydzień temu. Matka pachniała wanilią, używam teraz tego zapachu ku jej czci.

Cień Stelli pełznął powoli po podłodze wraz z ruchem zachodzącego słońca.

– Matka właśnie przewróciła stronę książeczki, kiedy z parteru dobiegł głośny dźwięk, jakiś huk, a zaraz potem trzask pękającego drewna. Odgłosy towarzyszące wyważeniu drzwi i wdarciu się do domu trzech uzbrojonych mężczyzn. Matka zmartwiała, choć próbowała to ukryć. Wstała i odłożyła egzemplarz *Pajęczyny Charlotty* na siedzenie krzesła. Potem pocałowała mnie w czoło i wyszła z pokoju.

Postąpiłem o krok w jej stronę. Za moimi plecami ludzie w bieli zrobili to samo.

– Wtargnięcie?

– W policyjnym raporcie nazwano to „włamaniem rabunkowym z bronią w rękę”. Pamiętam krzyk ojca, potem kolejny huk. Ale ten brzmiał inaczej, nie jak wyważania drzwi. Bardziej jak „pif”, a zaraz potem „paf”. Głos ojca ucichł, gwałtownie ucięty. Wtedy rozległ się głośny wrzask matki. Pamiętam, że bardzo chciało mi się płakać, ale byłam zbyt przerażona. Mogłam tylko schować się pod kołdrę. Ojciec powiedział mi kiedyś, że pościel jest magiczna i ochroni mnie przed wszystkimi stworzeniami żyjącymi w ciemności, zwłaszcza tymi, które zadomowiły się w mojej szafie. Wyobraziłam sobie, że w takim razie ochroni mnie także przed tym, co dzieje się na dole. Matka znowu krzyknęła. Potem rozległ się tupot biegnących ludzi, nie tylko matki, lecz także tamtych mężczyzn. Podeszwy ich butów stukały obco o naszą drewnianą podłogę. W dzieciństwie często leżałam w łóżku, nasłuchując kroków na parterze. Bez trudu odróżniałam te matki od tych ojca, a ich oboje od nieznanym. Teraz wyraźnie wyróżniałam trzech nieznanym, a wszyscy gonili moją matkę.

Stella znowu urwała, ale tym razem nic nie powiedziałem. Kiedy podjęła wątek, nie przerywałem jej.

– Dotarła do schodów. Podest u ich podnóża zatrzeszczał. Wiedziałam, że po mnie idzie. Czekałam niecierpliwie. Nagle jednak rozległ się głośny łomot i matka znów krzyknęła. Jeden z mężczyzn coś do niej powiedział, ale nie dosłyszałam słów. Zagrzebałam się głęboko pod kołdrę i zwinęłam w maleńki kłębek. Pamiętam, że zaczęłam ssać kciuk, dziwne, bo już ponad rok wcześniej oduczyłam się tego nawyku. Było w tym jednak coś kojącego, znajomego. Odgłos mlaskania pomógł zagłuszyć to, co wydarzyło się później.

Chciałem do niej podejść, przemierzyć korytarz, stanąć obok niej i powiedzieć, że nie musi mówić już nic więcej, ale nie mogłem się ruszyć. Nogi wrosły mi w ziemię. Próbowałem się odezwać, ale straciłem głos.

– Jeden z nich ją zgwałcił, może nawet dwóch. Na tamtych schodach. Chciałabym myśleć, że walczyła, ale sama w to nie wierzę. Zapewne uznała, że poddając się, dając im to, czego chcą, zatrzyma ich na dole, nie dopuści, żeby znaleźli mnie na piętrze. Robiło się coraz ciszej, niewiarygodnie cicho. Chyba dlatego późniejszy huk wystrzału wydawał się taki głośny. W domu panowała absolutna cisza. Potem huk wystrzału wstrząsnął nim do fundamentów. Później nie słyszałam już matki.

Tym razem zrobiłem krok w jej stronę na miękkich nogach, ale kiedy pokonałem połowę dystansu, powiedziała:

– Stop. Nie ruszaj się. Daj mi skończyć. Muszę... skończyć.

Wzięła głęboki wdech, zatrzymała powietrze w płucach i po dłuższej chwili je wypuściła.

– Po wystrzale słyszałam, jak wszyscy trzej wspinają się po schodach na piętro. Potwornie hałasowali: wywracali materace do góry nogami, wyciągali szuflady i wysypywali ich zawartość. Żaden skrawek powierzchni nie został nietknięty. Nie mam pojęcia, co zabrali, czy w ogóle zabrali cokolwiek. Wiele lat później, kiedy wreszcie przeczytałam protokół ze zdarzenia, przekonałam się, że policja nie wykryła, by zginęło cokolwiek wartościowego. Telewizor, sprzęt grający, biżuteria matki, często bardzo cenna... Wszystko znaleziono stosunkowo blisko miejsca, gdzie te przedmioty pierwotnie się znajdowały. Do dziś nie wiem, czego mogli szukać, ale najwyraźniej znaleźli to w głównej sypialni, bo tam zakończyli poszukiwania i jeszcze tylko szybko przejrżeli pokój gościnny. Do łazienki chyba nawet nie zaglądali. Usłyszałam, że wchodzi do mojego pokoju. Pierwszy z trójki stał w progu i oddychał ze świstem, jakby dokuczało mu przeziębienie. Otoczyli moje łóżko. Nie wiem, który z nich złapał za kołdrę i odrzucił ją na bok. Pamiętam tylko, że całkowita ciemność ustąpiła oślepiającemu światłu. Pamiętam też, że nagle poczułam zimno, bo w jednej chwili zniknęła otaczająca mnie kieszonka ciepłego powietrza. Zaciskałam mocno powieki, nie chciałam patrzeć. Jeden z nich powiedział: „Sam nie wiem. Nie mogę zrobić krzywdy dzieciakowi”. Drugi na to: „Ja tam chcę dostać wypłatę. Jak mamy ją wepchnąć do torby? Mówili, że nie możemy jej dotykać”. Trzeci odpowiedział: „No bo nie możemy dotykać jej bezpośrednio. Włóż rękawiczki, kretynie. Złap ją przez piżamę”. Kiedy ktoś złapał mnie za nogę, otworzyłam oczy. Pamiętam, że na nich popatrzyłam. Wyjęłam kciuk z ust i zobaczyłam twarze trzech nieznanomych, trzech intruzów, którzy wdarli się do naszego domu, żeby zabrać mnie z łóżka. – Urwała na chwilę. – Wyciągnęłam do nich ręce, złapałam ich palce małymi paluszkami. Miałam chyba nadzieję, że zaniósą mnie do mamy.

Głos jej się załamał, pękł przy ostatnim słowie. Myślałam, że się popłacze, ale nie. W końcu odezwała się znowu, ale wcześniej musiała wziąć kolejny głęboki

oddech.

– Chodź, Jack. Przejdziemy się po ogrodzie – zaproponowała Stella.

Tym razem Jack. Nie Pip.

Poszedłem za nią.

## 5

Detektyw Joy Fogel pokonała trzy betonowe stopnie prowadzące do drzwi dwukondygnacyjnego budynku z cegły przy Greenlee Road i zapukała. Przy wejściu był dzwonek, ale spod plastikowej płytki sterczały dwa kable i wszystko wskazywało na to, że urządzenie nie działa przynajmniej od czasów prezydentury Reagana. Niewielkiego ogródka przed domem nie koszone od wielu tygodni – między wysokimi źdźbłami trawy panoszyły się mlecze i inne chwasty. Kiedy czekała na progu, z kwiatka na kwiatek przeskakiwał gruby trzmiel.

Już miała znowu zapukać, ale drewniane drzwi się otworzyły. Za dodatkowymi, przeszklonymi drzwiami zabezpieczającymi przed wichurą stał mężczyzna pod osiemdziesiątkę. Miał na sobie pożółkły podkoszulek i sprane dżinsy. Resztki siwych włosów ostrzygł krótko, po wojskowemu.

– Co jest?

Fogel przełożyła brązową teczkę z prawej ręki do lewej i uśmiechnęła się na powitanie.

– Detektyw Stack?

– Były detektyw Terrence Stack, teraz po prostu Terry. Czym mogę służyć?

– Detektyw Joy Fogel. Chciałabym z panem porozmawiać, jeśli ma pan wolną chwilę.

Spojrzał na teczkę.

– Faustino cię przysłał?

Nie, Faustino jej nie przysłał. Co więcej, nie miał pojęcia, że w ogóle tu przysła. Woląla jednak nie kłamać. Obawiała się, że facet od razu ją przejrzy i rozmowa bardzo szybko się skończy.

– Rano zapoznał mnie z tematem. Chciałabym z panem porozmawiać o siedemdziesiątym ósmym.

Stack obejrzał się przez ramię, ale zaraz wrócił do niej spojrzeniem. Oczy miał zmęczone, przekrwione. Cuchnął starym piwem.

– Mogę wejść?

– Nie wiem, czy to najlepszy pomysł.

– Tylko na chwilę. Obiecuję.

– Skoro Faustino cię wprowadził w temat, to już wszystko wiesz. Nie mam nic do dodania.

– Badał pan miejsce zbrodni. Pierwszy pan tam się pojawił po zabezpieczeniu domu przez mundurowych. Nie da się wszystkiego przekazać w protokole. Muszę się dowiedzieć, co pan w nim pominął – oznajmiła Fogel.

– Wszystko jest na piśmie. Niczego nie pomijałem.

Fogel nie odpowiedziała. Przełożyła tylko teczkę do drugiej ręki, nie odrywając od niego wzroku.

Stack też nic nie powiedział i odwzajemniał spojrzenie. Domyślała się, że jako detektyw z trzydziestoletnim stażem wygrałby każdy pojedynek na spojrzenia.

– Wiem, że taka nierozwiązana sprawa musi pana gryźć. Mogę pomóc, ale musi pan ze mną porozmawiać.

Stack westchnął i otworzył szklane drzwi, trzymając górną framugę.

– Właż, zanim zmienię zdanie.

Fogel zanurkowała pod jego ręką i weszła do środka.

Znalazła się w niewielkim salonie. W rogu, na dwóch skrzynkach po mleku, tkwił dziewiętnastocalowy telewizor, przed nim – sfatygowany brązowy fotel ze skórzaną tapicerką. Obok stała metalowa tacka z nóżkami, a na niej trzy puste butelki po piwie Iron City i jedna do połowy pełna. W telewizji buczał serwis informacyjny. Stack wyminął ją i wyłączył pudło. Powietrze było zastałe, stęchłe. Chętnie otworzyłaby okno.

– Żona w domu?

Stack parsknął pod nosem.

– Jesteś z zabójstw?

Fogel skinęła głową.

– Dałem sobie spokój z żonami, kiedy żona numer trzy dała sobie spokój ze mną. Wiesz, jak jest: nigdy nie ma nas w domu, nawet myślami zawsze jesteśmy w pracy. Trudno zasnąć, bo kiedy tylko zamkniesz oczy, latają przed nimi trupy. Nauczyłem się nieźle to wszystko blokować przed powrotem do domu, ale nie dość dobrze. Niektóre sprawy nie chcą zostać za progiem, nie zależy im na zaproszeniu. Żona numer trzy ignorowała to wszystko, przynajmniej na początku. Po paru latach nawet najbardziej wyrozumiałe zaczynają czuć, że grają drugie skrzypce. Jak już to do nich dotrze, to tylko kwestia czasu, kiedy spakują manatki.

Podniósł piwo i pociągnął długi łyk, po czym wyciągnął butelkę w jej stronę.

– Napijesz się? Mam zapas w lodówce.

– Nie mogę. Jestem na służbie.

Opróżnił butelkę, odstawił na rozchwierutany stolik z pozostałymi trzema i wyjął nową z lodówki w małej kuchni. Zdjął kapsel, pomagając sobie krawędzią

blatu, napił się i otarł usta grzbietem dłoni, po czym z butelką w ręku oparł się o tył fotela.

– Nie chcesz, żeby ta sprawa utkwiała ci w głowie, młoda.

– Już i tak w niej tkwi. Niech mi pan opowie o ósmym sierpnia siedemdziesiątego ósmego. O pierwszym razie.

Pociągnął haust, butelka była już do połowy pusta.

– Miało mnie nie być w pracy. Skończyłem zmianę o wpół do ósmej wieczorem, ale siedziałem jeszcze z chłopakami i gadaliśmy o pierdołach. Zgłoszenie przyszło piętnaście po dziewiątej. Sąsiad słyszał strzały. Wysłano radiowóz, policjanci znaleźli ciała. Zabezpieczyli dom i wezwali wydział zabójstw. To Morgan powinien jechać. Kończył zmianę dopiero za godzinę, ale jego dzieciak miał urodziny, dwunaste, głupio by było, gdyby przegapił taką okazję. Ja byłem akurat pół roku po pierwszym rozwodzie, nie miałem nic szczególnego do roboty, więc zgodziłem się go zastąpić. Największy, kurwa, błąd w moim życiu. W tamtych czasach nie było obowiązku posiadania partnera, więc pojechałem sam.

Ucichł. Podniósł butelkę do ust, ale zmienił zdanie.

– Dom był w Dormont, kawałek od Beverly Road. Numer dziewięćdziesiąt osiem. Trzy kondygnacje, kamienna fasada, trawnik przystrzyżony jak pod linijkę, zadbane kwiaty w doniczkach na parapetach. Wszystko jakby żywcem wyjęte z jakiegoś magazynu albo obrazu Normana Rockwella. Kiedy przyjechałem, na miejscu były już trzy radiowozy. Mundurowi otoczyli taśmą cały ogródek przed domem, więc wszyscy sąsiedzi zlecieli się oglądać sensację. Wszedłem do środka. Z framugi drzwi wejściowych sterczały wielkie drzazgi. Ktoś chyba kopniakiem wyważył drzwi. Pamiętam, że przy kawałkach drewna na podłodze stał numerek siedem, materiał dowodowy. Jeden z mundurowych mnie rozpoznał, pokazał na pokój po lewej. Na schodach, które znajdowały się w przeciwnym kierunku, błyskały flesze. Ja poszedłem w lewo, do pokoju rodzinnego. Tam znaleźliśmy mężczyznę. Dostał kulkę w łeb, o tutaj. – Stack postukał się po czole. – Idealnie czysty strzał, w samutki środek. Tyłu głowy nie było, a raczej walał się w kawałkach na dywanie i stoliku kawowym. Wszystko wskazywało na to, że siedział na kanapie, czytał „Post-Gazette”, wstał, kiedy sprawcy wyważyli drzwi, przeszedł jakieś dwa kroki i go kropnęli. Pociski kalibru 9 milimetrów, pełnopłaszczkowe. – Znow popukał się w czoło.

– Nie próbowali go obezwładnić?

Stack pokręcił głową.

– To była egzekucja. Weszli do domu, zauważyli go, postali mu kulkę. Egzekucja. Wiesz, skąd to wiem? Miał to wypisane w oczach, na twarzy. Kiedy ktoś ginie w taki sposób, jakby zamarza, utyka w czasie. W jednej chwili żyje,



w następnej już nie. Na jego twarzy malowało się kompletne zdumienie. Sekundę, dwie sekundy później mógłby zarejestrować strach czy gniew, ale zginął, zanim te emocje zdążyły mu zaświtać. Wcześniej mocno padało, znaleźliśmy odciski zabłoconych butów prowadzące od drzwi frontowych do wejścia do tego pokoju, trzy pary nóg, nie wchodzili do środka, zastrzelili go i już. To mi mówi, że przyszli specjalnie po niego. Złodzieje wypatroszyliby pokój, oni tego nie zrobili.

– To dlaczego wpisał pan włamanie w celu rabunkowym?

Stack cmoknął z irytacją i napił się piwa.

– To był pomysł mojego kapitana. Dormont to od zawsze spokojna, bezpieczna okolica. Nie mieliśmy dowodów, że doszło do egzekucji, a szef nie chciał, żeby sprawa wyciekła do prasy. Gdybym nie zakwalifikował tak sprawy, to oddałby ją komuś innemu, a ja chciałem przy niej pracować. – Pokręcił głową. – Byłem wtedy cholernie głupi. Zresztą wcale nie mam pewności, czy od tego czasu zmądrzałem. Tak czy inaczej, twierdził, że jeśli udowodnię egzekucję i złapię sprawców, to poprawimy protokół, powiemy, że nie ujawnialiśmy wszystkich informacji, żeby złapać podejrzanego. Uwierzyłem mu. Nie powinienem, ale uwierzyłem.

Dopił piwo, odstawił butelkę do poprzednich i otworzył sobie kolejną.

– Denatkę znaleźliśmy na schodach. Ładniutka babeczka. Koroner ocenił wiek na dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery lata. Nie więcej.

Fogel zmarszczyła czoło.

– Dlaczego tylko taki przybliżony wiek? Nie zidentyfikowano jej?

– Czytałaś protokół. Wiesz, co znaleźliśmy, a czego nie. – Machnął ręką. – Daj mi opowiedzieć do końca, a potem możemy się zagłębiać w szczegóły. Jeśli teraz nie powiem tego kawałka, to nie wiem, czy w ogóle mi się uda.

– Znaleźliście denatkę na schodach – przypomniała Fogel. Stack przytaknął.

– Ubrania porwane na strzępy, ewidentne ślady gwałtu. Prawdopodobnie wielu gwałtów, skoro sprawców było trzech. Koroner znalazł krew przynajmniej dwóch osób. W siedemdziesiątym ósmym nie mieliśmy takiej techniki jak dziś. Tak jak mężczyznę, ją także postrzelono w głowę. W odróżnieniu od niego jednak jej twarz nie wyrażała zaskoczenia. „Przerażenie” to za mało. Wydała mi się zmartwiona. Nie tym, co się z nią działo w tamtej chwili, ale myślą, co się stanie. Znalazłem... – Urwał na chwilę, odchrząknął. – Znalazłem ślady paznokci na ścianie, na drewnianych schodach. Myślę, że próbowała się dostać na górę. Masz dzieci?

Fogel pokręciła głową.

– Ja też nie, ale znam tę minę. Widywałem ją na twarzach innych ofiar: kiedy rodzice znacznie bardziej boją się o dziecko niż o to, co może spotkać ich samych. Wtedy zostawiłem techników i fotografa i poszedłem prosto na górę. Próbowałem

się przygotować na widok martwego niemowlaka. Widywałem je już wcześniej, to najgorsze, co można sobie wyobrazić. To jeden z obrazów, które zostają w pamięci do samej śmierci, a może nawet dłużej. Niedługo pewnie sam się o tym przekonam – rzucił Stack.

W jego oczach odmalowały się ból i żal. Ukrył je na tyle, na ile potrafił, i mówił dalej.

– W pierwszej chwili uderzył mnie zapach. To nie był smród zwłok ani spalonego ciała, choć tak wyglądali, a raczej sucha woń kurzu, jak kiedy otworzy się drzwi dawno nieodwiedzanego stryżku. Na podłodze leżały trzy ciała. W życiu czegoś takiego nie widziałem. Wyglądali na spalonych, wysuszonych, jakby coś wyciągnęło z nich wodę do ostatniej kropelki. Widziałaś zdjęcia. Jeden z fotografów stwierdził, że wyglądali, jakby wyssano z nich życie, jakby została pusta skorupa. Koronerowi skojarzyli się z kolei z mieszkańcami Pompejów. Widziałaś kiedyś zdjęcia ciał ofiar wybuchu tamtego wulkanu?

Fogel pokręciła głową.

– To sobie poszukaj. Mnie też się tak kojarzyli. Jakby w całości składali się z popiołu. Jakby od mojego dotyku mieli się rozpaść w pył. Wszyscy trzej leżeli na plecach, ale dwóch sprawiało wrażenie, jakby po coś sięgali. Mieli otwarte usta, zastygłe w pół niemego krzyku. Ciała leżały na podłodze, wokół łóżka. A raczej łóżeczka. Dziecięcego.

Fogel znów zmarszczyła brwi.

– W protokole nie ma mowy o dziecku.

– Bo go nie znaleźliśmy. Nie znaleźliśmy też nic, co wskazywałoby, że kiedykolwiek było tam jakieś dziecko. Łóżko było puste. Pokój praktycznie też. Żadnej pościeli w łóżku, ubrań w komodzie, książek, obrazków. Puste łóżko, pusta komoda, krzesło przy łóżku, nic więcej. Instynkt mówił mi, że to pokój dziecięcy, ale nic nie potwierdzało mojego przeczucia. Gołe meble, poza tym pusto. Ale czuć tam było atmosferę pokoju dzieciennego. – Napił się piwa i wskazał butelką na rozmówczynię. – To mi przypomina twoje wcześniejsze pytanie o identyfikację. W domu nic nie znaleźliśmy. Dorosłe ofiary nie miały przy sobie dokumentów, żadnych zdjęć na ścianach, choćby jednego rachunku za prąd. Szafki kuchenne i lodówka puste. Żyli na walizkach, znaleźliśmy dwie w głównej sypialni, mężczyzny i kobiety. W łazience były szczoteczki do zębów i mała kosmetyczka podróżna z przyborami do golenia, szczotką do włosów i tak dalej. W całym domu ani jednego osobistego akcentu. Okazało się, że budynek należał do jakiegoś inwestora z Florydy, a on nie miał pojęcia, że ktokolwiek tam mieszkał. Płacił za media, żeby rury nie popękały. Zlecił jakiejś firmie umeblowanie domu. Zatrudnił ogrodnika, żeby z zewnątrz jakoś to wyglądało. Ofiary mieszkały tam nielegalnie.

– Ale pan myśli, że było tam jakieś dziecko i ktoś je uprowadził – stwierdziła Fogel.

– Jak już mówiłem, nie znaleźliśmy żadnych dowodów, ubrań, zabawek, pokój był wyczyszczony do zera. W łazienkach też nic nie wskazywało na obecność dziecka, ale twarz tej kobiety... – Urwał, podniósł butelkę i napił się piwa.

– Jednak – ciągnął po chwili – na piętrze znaleźliśmy trzech martwych sprawców. Ich buty idealnie pasowały do odcisków z parteru. Jeśli więc było jakieś dziecko, to kto je zabrał?

– Czwarty sprawca?

– Czwarty... – powtórzył. – Szukałem tej czwartej osoby paręnaście lat i nic nie działałem. Kiedy zaczęły się pojawiać nowe ciała, co roku, zawsze tego samego dnia, zacząłem żywić coraz silniejsze przekonanie, że był tam ktoś jeszcze. Uważałem, że ten ktoś zabił tamtych trzech, zabrał dziecko i wszystkie dowody jego istnienia, a od tamtej pory co roku zabija, ale ten człowiek jest duchem, a kiedy trafisz w jego szpony, ta sprawa nie da ci spokoju. – Znowu uniósł butelkę do ust, ale zmienił zdanie i odstawił ją obok pustych. – Musisz to zostawić. Niech ten bajzel skończy się razem z przejściem Faustina na emeryturę. Zaraził się ode mnie, ale jeśli ty też to złapiesz, do końca życia będziesz się uganiała za duchem. Przez cały rok będziesz czekała na ósmego sierpnia. Nie chcesz tego. Nie chcesz tak żyć.

Fogel wiedziała, że detektyw pewnie ma rację. Faustino też dawał jej coś takiego do zrozumienia. Jednak ta sprawa już tkwiła w jej głowie. Zapuściła korzenie. A ona najbardziej na świecie lubiła rozwiązywanie łamigłówek.

– Ile ofiar Faustino ma na tej swojej tablicy? Trzynaście? Czternaście?

– Szesnaście.

Stack powędrował wzrokiem do butelki z piwem, ale jej nie podniósł.

– Czyli wieczorem będzie siedemnaście. Możesz być tego pewna jak tykania zegara.

– Mówił pan, że squatowali w tym mieszkaniu. Znaleźliście samochód? Mogli w nim trzymać wszystkie swoje rzeczy.

Stack pokręcił głową.

– Myśleliśmy o tym. W tamtych czasach porzucone pojazdy zgłaszano bezpośrednio do biura burmistrza, a firma McGann and Chester odholowywała je na miejski parking. Nie wiem, kto się tym teraz zajmuje. Obserwowaliśmy obszar w promieniu pięciu kilometrów od tamtego domu, przez kolejne kilka miesięcy sprawdzaliśmy każdy odholowany samochód. Mieliśmy kilku kandydatów, głównie auta pełne ciuchów, ale odciski nigdy nie pasowały do pary denatów. Nie znaleźliśmy ich też w żadnej bazie danych, lokalnej ani federalnej.

Stack nadal nie odrywał oczu od piwa. W końcu sięgnął po butelkę i osuszył ją do dna.

– Spędziłem dwadzieścia osiem lat w tutejszej policji, z tego dwadzieścia cztery w zabójstwach. Zostawiłem ledwie kilka nierozwiązanych spraw i pewnie już takie zostaną. Wiem, że zrobiłem wszystko, co mogłem. Pracowałem uczciwie, pogodziłem się z tym. To jedyna sprawa, która nie daje mi spokoju. – Zniżył głos, skubiąc etykietę na butelce. – Instynkt mi podpowiada, że wszystko kręci się wokół tego zaginionego dzieciaka, od początku tak było. Te wszystkie ciała... Kumplowałem się z ówczesnym koronerem, po badaniu denatki powiedział mi, że przynajmniej raz rodziła. Nie wpisałem tego do protokołu, ale powinnaś wiedzieć. Faustino wie. Jestem pewny, że to dziecko gdzieś tam jest. Miałoby teraz ze czternaście lat, może więcej. Jeśli naprawdę chcesz rozwiązać tę sprawę, znajdź dzieciaka.

## 6

Sufit długiego holu był wysklepiony – wielki łuk miał u podnóża grubą, misternie zdobioną listwę, a biegnące w górę wygięte linie spotykały się na wysokości co najmniej pięciu metrów. Sklepienie pokrywały ciemne mahoniowe kasetony zamontowane na marmurowych płytach. W eleganckiej stolarce co trzy metry umieszczono kryształowe żyrandole.

Centralny punkt ujścia holu stanowiły schody, szerokie u podstawy i zakręcające w drodze na górę. Zbliżając się do nich, zauważyłem, że stopnie biegną nie tylko przynajmniej dwie kondygnacje w górę, lecz także w dół, na poziom piwnicy.

Po obu stronach tego centralnego ciągu komunikacyjnego odchodziły mniejsze korytarze i rozmaite pomieszczenia. Drzwi do wszystkich pomieszczeń były zamknięte, a w każdym korytarzu stały po dwie osoby ubrane w identyczne białe płaszcze. Podążały za mną wzrokiem, kiedy przechodziłem za Stellą przez środek domu i na zewnątrz, przez jedne z pięciorga przeszklonych drzwi prowadzących na duże, zaokrąglone, brukowane patio.

Stella zatrzymała się tam i czekała na mnie, dłonie w rękawiczkach założyła za plecami, ciemne włosy powiewały jej na wietrze.

– Nie guzdraj się. Nie wypada, żeby gospodyni musiała czekać.

– Przepraszam, podziwiałem dom.

– Nie powinieneś tak często przeproszać, chyba że masz na celu ugruntowanie swojej pozycji społecznej poniżej pozycji osoby, do której kierujesz te przeprosiny. Chociaż przypuszczam, że w tym wypadku rzeczywiście może tak być. Pani Oliver jasno dała ci do zrozumienia, że jesteś niżej ode mnie w hierarchii i zawsze tak będzie. To dlatego idziesz za mną, a nie obok mnie? Fascynują mnie zagadnienia psychologiczne.

Przemierzyłem patio i stanąłem u jej lewego boku.

– Chciałem powiedzieć, że ten dom jest przepiękny, prawie nie mieści się to w głowie. Chcę chłonąć każdy szczegół, a nie oglądać go po łebkach.

– Jeśli to właśnie chciałeś powiedzieć, to trzeba było po prostu to zrobić. Ten dom to po prostu budynek. Ani lepszy, ani gorszy od każdego innego miejsca.

– Dużo ładniejszy niż moje mieszkanie.

– Ładniejszy? Oczywiście. Co do tego nie ma wątpliwości. Ale czy lepszy? To dwie zupełnie inne kwestie i wydaje mi się, że można by znaleźć argumenty dla obu stron.

Przeszła na brzeg patia, mijając białe metalowe meble ogrodowe i białe róże w wysokich wazonach, do krętej brukowanej ścieżki wijącej się przez ogromne błonia przy domu. Bujna trawa porastała wzgórza różnej wysokości, upstrzone drzewami – wysokimi i dobrze utrzymanymi. W zielonym baldachimie pojawiały się ledwie zauważalne akcenty pomarańczowego i brązu – dłoń jesieni zaczynała dotykać liści, jednego po drugim.

Między drzewami stali ludzie w białych płaszczach, nie odrywali od nas wzroku, było ich tak wielu, że nie mogłem zliczyć. Kiedy Stella patrzyła na nich przez połacie trawy, odwracali oczy. Niektórzy nawet chowali się za drzewami, ale nie odchodzili. Przeciwnie, zdawało mi się, że jeszcze ich przybywa, ale nie potrafiłem stwierdzić, skąd się biorą.

Stella ruszyła brukowaną ścieżką, zagłębiając się w tereny wokół domu, a ja szybko ją dogoniłem, pilnując, żeby tym razem nie zostać w tyle.

– Nawet w wielkim lesie można się czuć jak w potrzasku, podczas gdy inni znajdują wolność w więziennej celi.

– Dlatego napisałaś „pomóż mi” na tamtej ławce? Czujesz się jak w potrzasku? Stella się uśmiechnęła.

– Och, to było dawno temu. Skutek wybujałej wyobraźni dziecka. Nie powinieneś się tym przejmować.

– Czyli nie potrzebujesz pomocy?

Kątem oka zauważyłem, że jedna z osób w bieli wślizguje się za pień rosnącego dębu, starając się trzymać naprzeciwko nas, ale poza polem widzenia.

– Niczego mi nie potrzeba – odparła Stella. – Napisałam te słowa w chwili słabości.

Zawiesiła głowę i podeszła do mnie o krok. Wspięła się na palce i nachyliła ku mnie, jej usta zawisły o centymetry od mojego ucha. Kiedy poczułem na szyi jej ciepły oddech, krew zawrzała mi w żyłach.

– Uważaj, co mówisz – szepnęła. – Drzewa mają uszy.

Opadła z powrotem na pięty i zmarszczyła czoło.

– Potwornie cuchniesz, jakbyś spał na śmietniku za tą speluną, w której pracujesz.

– Przepr...

Jej ciemne oczy się zwęziły i już nabierała powietrza, żeby znowu udzielić mi reprimendy.

– Tak pachnie praca – powiedziałem szybko, uprzedzając jej słowa.

– Oj, oj, biedny Jack. Nie pojmuję, dlaczego ktoś mógłby z własnej woli codziennie nurzać się w takim brudzie.

– Pracują tam fajni ludzie. To moi przyjaciele. Pan Krendal się o mnie troszczy. O ciocię Jo też. Są dla mnie jak rodzina – odparłem.

– Zatem twoja ciotka wciąż żyje? – zapytała Stella. Podjęła marsz brukowaną ścieżką.

– No.

– Słucham?

– Moja ciocia Jo żyje.

– Ale nie miewa się najlepiej, jak mniemam?

– Ma raka. W zaawansowanym stadium. Trudno powiedzieć, jak długo jeszcze pociągnie.

– Być może wkrótce dołączy do twoich rodziców. Bo oni nadal nie żyją, jak mniemam?

Nie odpowiedziałem.

Z każdym krokiem czułem woń wanilii i złapałem się na tym, że przysuwam się coraz bliżej do tej dziewczyny. Jej sukienka ocierała się o nogawkę moich spodni. Obejrzałem się do tyłu, w stronę domu, i zauważyłem panią Oliver na tej samej ścieżce, jakieś trzydzieści metrów za nami. Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę i odwróciłem głowę.

– Dlaczego oni wszyscy tak za tobą łążą? Ta cała Oliver jest za nami.

– A co innego mają do roboty?

– Dziwne to.

– Być może dla ciebie, ale dla mnie byłoby dziwne, gdyby za mną nie chodzili. Nie pamiętam chwili, w której pani Oliver nie byłaby na wyciągnięcie ręki.

– A ci wszyscy pozostali ludzie? Czemu tutaj są?

– A gdzie indziej mieliby być?

Zatrzymałem się. Miałem już tego dość.

Stella przeszła jeszcze kilka kroków, ale potem też się zatrzymała i odwróciła do mnie.

– O co chodzi, Jack?

– Co ja tu robię? Próbuję z tobą rozmawiać, a ty odpowiadasz zagadkami. Głowa mnie od tego boli. Znam cię pół życia, a mam wrażenie, że wcale cię nie znam. To ty mnie tu sprowadziłaś. A raczej kazałaś sprowadzić. Ewidentnie chciałaś się ze mną spotkać. Powiedz mi dlaczego. Ta zabawa trwa już osiem lat, a ja nie rozumiem, o co w niej chodzi, o co chodzi w tym wszystkim.

Spuściła wzrok, przestąpiła z nogi na nogę, wydeła wargi.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że stałam się dla ciebie takim obciążeniem.

– Nie jesteś obciążeniem.

– Może powinieneś o mnie zapomnieć.  
– Chyba nie potrafię.  
– W takim razie powinieneś się nauczyć żyć chwilą. Przeszłość minęła, a przyszłość jest zawsze odrobinę poza naszym zasięgiem. Liczy się tylko tu i teraz. – Odwróciła się i ruszyła przed siebie, długie włosy powiewały za nią na wietrze.

– Chodź, Pip! – zawołała. – Chcę ci coś jeszcze pokazać!

Skreśliła i zniknęła mi z oczu.

Stałem tak przez chwilę i już, już miałem się obrócić w stronę domu, ale poczułem na karku wzrok pani Oliver i wiedziałem, że pewnie właśnie tego chce. Chciała, żebym stąd odszedł, żebym zostawił Stellę i nigdy nie wracał. Ta myśl wystarczyła, żebym ruszył za Stellą, podążył za nią tą krętą ścieżką wśród drzew.



## 7

Detektyw Faustino Brier siedział na ławce na chodniku naprzeciwko bloku, w którym mieszkał Duncan Bellino, a w ręku trzymał kieszonkowe wydanie *Szczęk*. Uliczka, w której znaleziono Andy'ego Olina Flacka, znajdowała się niecałą przecznicę w prawo, naprzeciwko jadłodajni, w której denat najprawdopodobniej zjadł ostatni posiłek.

Dzieciak jest w tym budynku, co do tego miał pewność. Jak również co do tego, że nie przebywa w swoim mieszkaniu. W sprawie Bellina toczyło się dochodzenie w związku z handlem narkotykami i jakieś trzy miesiące wcześniej detektyw Horton z antynarkotykowego wystąpił do sądu o zezwolenie na założenie podsłuchu. Wniosek rozpatrzono pozytywnie, więc policja zaczęła podsłuchiwać rozmowy telefoniczne oraz podłożyła pięć pluskiew w całym mieszkaniu – jedną w salonie, jedną w kuchni, po jednej w obu sypialniach i ostatnią w łazience. Detektyw Horton siedział obecnie w czerwonej furgonetce z logo sklepu z dywanami Carmine's Carpet zaparkowanej pół przecznicy dalej, wraz z trzema innymi funkcjonariuszami z wydziału antynarkotykowego, i czekał, aż mikrofony złapią coś ciekawego. Faustino znał Hortona prawie dekadę, więc kiedy zapytał, czy może dziś z nimi posłuchać, kolega wręczył mu przenośny odbiornik i oznajmił, że jest mu winny co najmniej cztery bilety na Steelersów. Mógł słuchać, ale nie z furgonetki. Gdyby nieodpowiednia osoba zauważyła detektywa z wydziału zabójstw w zasadzce na dilera, mogłyby się pojawić niewygodne pytania.

Faustino umieścił odbiornik w wewnętrznej kieszeni kurtki, tak że wystawał tylko kabelek z niedużą słuchawką. Wcisnął ją teraz głębiej do ucha lewą ręką, a prawą przesunął pokrętło przełączające między poszczególnymi mikrofonami. Wszystkie milczały.

Faustino obracał właśnie pokrętło w drugą stronę, kiedy na ławkę przysiadł się Horton i rozłożył gazetę. Faustino zerknął na nagłówek.

– Wiesz, że ta gazeta jest sprzed dwóch tygodni?

– Innej nie mamy w aucie. Znam ją już chyba na pamięć. Żadnych gołych bab, od biedy musi wystarczyć reklama rajstop w Jewel's Groceries na stronie trzeciej. Najgorsza akcja w historii.

Oczy Hortona skrywały się za okularami pilotkami. Prawe ramię miał wytatuowane w smoki, rycerzy i miecze. Jak większość ludzi z antynarkotkowego Horton starał się jak najmniej przypominać gliniarza. Niezbędna strategia przetrwania dla tajniaków.

Horton wyjął z kieszeni paczkę gum do żucia, włożył sobie jedną do ust, po czym poczęstował Faustina, ale ten pokręcił głową.

– To co wiecie o tym dzieciaku?

Horton wzruszył ramionami.

– Na razie niewiele. Trafiliśmy na niego ze dwa lata temu. Pod liceum Brentwood złapaliśmy jednego smarkacza z torebką zioła, jakieś osiemdziesiąt gramów. W trzy minuty wyśpiewał, że kupuje od Bellina. Bellino chodził wtedy jeszcze do gimnazjum, ale jest już wyżej. Piątkowy uczeń. Kilka bójek w szkole, typowe pierdoły, nic poważnego. Parę lat temu złapali go na kradzieży w sklepie, ale sędzia tylko udzielił mu pouczenia z uwagi na dobre stopnie. To nie był żaden rozbój, chłopak gwizdnął zapiekankę makaronową ze spożywczaka. Rozbita rodzina, matki ani śladu, chyba się zawinęła już dawno temu. Ojciec nie za szczególnie. Przeniósł się tutaj z Chicago w osiemdziesiątym szóstym, dostał posadę kierownika kopalni węgla, ale niedługo potem ją zamknęli. Od tamtej pory pracuje dorywczo. Walczył na wojnie w oddziale rangerów i tak jak wielu z tamtych gości wrócił jako inny człowiek. Na początku nieźle się trzymał, ale teraz, bez stałej pracy, coraz bardziej się rozsypuje. W dzień zwykle śpi, wieczorami wychodzi, wraca chwiejnym krokiem o wschodzie słońca. Czynność powtórzyć. Dzieciak praktycznie sam się wychowuje. Jak wziąć to wszystko pod uwagę, to właściwie nie najgorzej sobie radzi.

– To znaczy pomijając dilerkę, tak?

– No tak, z tym jednym wyjątkiem. Kiedy ojca zwolnili, chłopak zajął się drobnym handlem, pewnie głównie po to, żeby mieli co do garnka włożyć. Gdyby trzymał się tylko trawy, pewnie byśmy mu odpuścili, ale, jak już mówiłem, chłopak nieźle się uczy, a mądry diler to groźny diler. Szybko się połapał, że dzięki trawie może sobie zbudować kanał dystrybucji, zatrudnić paru ludzi i uruchomić interes. Dostawy ma od jednego z najpoważniejszych graczy w mieście, niejakiego Henry'ego Croqueta. Mamy go na oku już od dłuższego czasu, ale nie możemy mu nic przykleić. Croquet potrafi zauważyć potencjał i wszystko wskazuje na to, że wziął Bellina pod skrzydła. Taki dzieciak z mentorem to tykająca bomba, więc mamy nadzieję zdusić to w zarodku i może nawet wykorzystać chłopaka, żeby zdjąć Croqueta. Tyle że Bellino ma już szesnaście lat i głowę na karku. Rozszerzył ofertę o twardsze narkotyki: heroinę, crack, koks, leki na receptę, i jakimś cudem udaje mu się unikać złapania. Nie wiemy, gdzie przechowuje towar, kto dla niego pracuje ani jak duży zasięg ma

jego ekipa. Z ukrycia pociąga za sznurki i nie można mu nic zarzucić. Wysyłamy za nim ludzi z aparatami, kiedy tylko gdzieś wychodzi, ale na razie złapaliśmy tylko parę krótkich spotkań z Crocketem i nic poza tym. Jeśli nie interweniujemy, gość dorośnie i przejmie biznes Crocketa. Musimy go powstrzymać, zanim do tego dojdzie.

– Ja w wieku szesnastu lat zbierałem karty bejsbolowe i pracowałem w pizzerii – zauważył Faustino.

– Mówiłem, że dzieciak jest bystry, o tobie nie wspominałem. Czemu myślisz, że ma jakiś związek z twoją Tablicą Osobliwości?

Faustino wskazał brodą na jadłodajnię i opowiedział Hortonowi o ciele Flacka znalezionym w uliczce w 1987 roku.

– Słabe podstawy.

– Sam mówiłeś, że nie jestem za bystry.

– Mają tam mały arsenał – stwierdził Horton, wskazując na blok mieszkalny. – Przynajmniej sześć sztuk broni zarejestrowanych na ojca, pewnie więcej poza systemem. Kiedy złapali Bellina na kradzieży, miał przy sobie nóż sprężynowy.

Słuchawka w uchu Faustina zatrzeszczała, ktoś z furgonetki włączył się do kanału.

– „Znaleźliśmy Bellina, zauważyliśmy go w oknie. Mieszkanie Gargery na drugim piętrze”.

– Kto to Gargery?

Horton przewrócił stronę gazety.

– Kelnerka, czterdzieści jeden lat. Pracowała w tej twojej ulubionej jadłodajni obok, ale dostała jakiegoś raka. Prawie nie wychodzi z domu, tylko do lekarza. Zajmuje się nią siostrzeniec. Wygląda na to, że chłopak współpracuje z dilerem. Bellino chyba się połapał, że obserwujemy mieszkanie, więc prowadzi interes od Gargery, piętro wyżej.

– Jak się nazywa siostrzeniec?

– John Edward Thatch. Bellino mówi do niego Jack. Szesnaście lat, czyste akta.

– Nie mamy podsłuchu u Gargery?

Horton pokręcił głową.

– Sędzia nie chciał się zgodzić. Nie pozwala nam nawet obserwować Thatcha poza budynkiem, bo jest nieletni. Szlag mnie trafia, bo wiemy, że ma z tym jakiś związek. Zanim przyjechałeś, wypadł, jakby ktoś go gonił, z jadłodajni, gdzie pracuje na zmywaku, poleciał na parę minut do bloku i znowu wyszedł. Nie wolno nam, ale wysłałem za nim jednego człowieka. Poszedł na cmentarz, też sobie wybrał miejsce. Musieliśmy odpuścić, za łatwo tam zauważyć, że ktoś cię śledzi.

Faustino zastanowił się przez chwilę.

– Czyli może ten mały Thatch jest pośrednikiem między Bellinem i Crocketem?  
– Taką mamy teorię. Crocket wie, jak nie pobrudzić sobie rąk. Uczy Bellina pięknego dilerskiego fachu, sam trzyma się na dystans, a Thatch dorabia sobie jako pośrednik. – Horton zniżył głos. – Pamiętasz, że jego ciotka ma raka? Nie ma ubezpieczenia, a siostrzeniec płaci wszystkie rachunki za leczenie gotówką. Nie zarabia tyle w kuchni.

Radio znów zatrzeszczało,

– „Wysoki Chudzielec wychodzi od frontu”.

Faustino oparł się chęci spojrzenia na wyjście z bloku i wbił wzrok w książkę. W oko wpadły mu słowa: „Nie ma w morzu niczego, czego te rekiny mogłyby się obawiać. Inne ryby uciekają przed większymi rzeczami. Taki mają instynkt. Ale te nie uciekają przed niczym. Nie boją się”<sup>2</sup>.

Siedzący obok Horton patrzył w gazetę. A właściwie patrzył przez gazetę. Faustino nie zauważył wcześniej dziurki na zgięciu. Horton zaczął mówić ściszym tonem.

– Ten facet pojawił się zaraz po wyjściu Thatcha. Nie mieszka w tym bloku, nie widzieliśmy go nigdzie w okolicy.

– Ktoś nowy z ekipy Crocketa?

– Może.

Faustino nie odrywał wzroku od mężczyzny, który pchnięciem otworzył drzwi bloku i wyszedł na ulicę. Z kieszeni na piersi wyjął okulary przeciwsłoneczne o lustrzanych szklach, założył je, wziął głęboki wdech, uśmiechnął się, skręcił w lewo i pomaszerował chodnikiem.

Zanim Horton zdążył zaprotestować, Faustino wstał i ruszył za mężczyzną, trzymając się jakieś trzy metry za nim po drugiej stronie ulicy.

## 8

Brukowana ścieżka wiała się przez najpiękniejszy ogród, jaki w życiu widziałem.

Stella jakimś sposobem utrzymywała się kilka kroków przede mną. Jej waniliowy zapach unosił się w powietrzu. Idąc, nuciła jakąś melodię, której nie rozpoznawałem, wydawała mi się znajoma, ale tak jak sama dziewczyna pozostawała tuż poza moim zasięgiem. Wysokie obcasy stukały na kamieniach, a kiedy przyłapałem się na gapieniu na jej nogi wystające spod rąbka czarnej sukienki, musiałem odwrócić wzrok. Jej widok doprowadzał mnie do szaleństwa. Kiedy przenosiłem na nią oczy, opuszczały mnie wszelkie racjonalne myśli. Ta dziewczyna, niewiarygodnie piękna dziewczyna. Kiedy skręcała za róg i na chwilę traciłem ją z oczu, powinienem cieszyć się chwilą ulgi. Ale przeciwnie, jeszcze przyśpieszałem, ciągnięty jak na smyczy przez aromat wanilii.

Po obu stronach kolejne dwie postacie w białych płaszczach kluczyły między pniami sykomor, kryjąc się za drzewami.

## 9

Wysoki Chudzielec miał włosy w kolorze brudny blond, lekko zmierzwione, na oko miesiąc od ostatniego strzyżenia. Był ubrany w brązowe mokasyny, ciemne dżinsy i zieloną marynarkę, mimo ciepłej pogody. Nawet z drugiej strony ulicy Faustino rozpoznał wybrzuszenie pod lewą pachą – mężczyzna miał broń. Zawsze zdradzał to sposób, w jaki machali ramionami. Faustino oszacował jego wzrost mniej więcej na metr osiemdziesiąt, wiek na czterdzieści lat do pięćdziesięciu. Trudno było to ocenić dokładnie, bo dostrzegał tylko fragmenty twarzy śledzonego.

Facet był ostrożny: zatrzymywał się mniej więcej co dwie przecznice i zerkał w witryny mijanych sklepów, żeby obejrzeć przechodniów przed i za sobą – zachowanie świadczące o dużym doświadczeniu, braku pośpiechu, cierpliwości. Kiedy skręcił w prawo w Willock Road i zniknął z pola widzenia, Faustino zaklął, przyśpieszył kroku i przebiegł przez Brownsville między jadącymi dość wolno samochodami, o włos unikając zderzenia z dzieciakiem w podrasowanym mustangu, pochłoniętym grającą na cały regulator muzyką.

Willock Road krzyżowała się z Brownsville na szczycie stromego wzgórza i dopiero skręcając za róg, Faustino znów dostrzegł mężczyznę, który właśnie wsiadał za kierownicę czarnego pontiaca GTO zaparkowanego po zachodniej stronie ulicy. Drzwi zatrzasnęły się z wyzywającym hukiem, a po chwili gardłowo zawył silnik.

Nie dbając już o to, czy ktoś go zauważy, Faustino przyśpieszył kroku. Wyminął trzydziestokilkulatka wyprowadzającego na spacer husky syberyjskiego i udało mu się dostrzec tablicę rejestracyjną, zanim samochód włączył się do ruchu i zniknął za wzgórzem, pozostawiając za sobą jedynie chmurę spalin.

## 10

– Pośpiesz się, Pip. Dziewczyna nie może na ciebie czekać!

Podążałem kamienną ścieżką wśród coraz gęściej rosnących drzew – las mieścił się na działce większej od całego kwartału, w którym stał mój blok. W którejś chwili zauważyłem, że zaszło już słońce i drogę oświetlają mi tylko sznury białych lampek zawieszane na gałęziach w górze, sztuczne gwiazdy na nocnym niebie.

Dróżka skończyła się nagle przy wyłożonym płytami placyku, na którego środku tkwił ciemnoniebieski basen. Światelka znad ścieżki wisały też nad wodą – długie sznury układały się w raczej przypadkowe wzory, ciągnące się z jednego końca patia na drugi, tworząc świetlisty baldachim. Woda lśniła w jego blasku, marszcząc się i drżąc w lekkiej bryzie. Sam basen nie wyglądał właściwie jak basen, a raczej jak coś wyrzeźbionego w kamieniu przez samą naturę, nie jak dzieło człowieka.

Po przeciwnej stronie stał domek basenowy, gdzieś w jego wnętrzu paliła się lampa, oświetlając okna.

Obok budynek bez ruchu stali mężczyzna i kobieta odziani na biało. Między drzewami naliczyłem jeszcze cztery osoby.

Stella stała nad wodą, plecami do mnie, jej skóra lśniła blado w sztucznym księżycowym świetle.

– Wydzielasz odrażający odór, mój drogi Pipie. Dokonaj ablucji.

– Że co?

Przeniosła ciężar ciała z lewej stopy na prawą i westchnęła ciężko.

– Wykąp się. Umyj. Wyszoruj. Zrób wszystko, co trzeba, żebyś pozbył się tego smrodu wołającego o pomstę do nieba.

Stella przykucnęła, ściągnęła prawą rękawiczkę i zanurzyła palce w wodzie.

– Całkiem ciepła.

– Nie będę...

– Wstydzisz się, Pip? Czyżbyś nigdy nie rozbierał się przy dziewczynie?

Rzeczywiście nigdy tego nie robiłem. Jakiś rok temu na imprezie w starej hucie stali przy Church Road była taka jedna dziewczyna, Missy Wiedeman. Kojarzyłem ją ze szkoły, ale właściwie nigdy nie rozmawialiśmy. Jakoś tak wyszło, że

wylądowaliśmy razem w ciemnym schowku podczas gry w „sześćdziesiąt sekund”, podczas gdy Dunk próbował zaliczyć Carlę Bieder; w czwórkę piliśmy butelkę Jacka Daniela, którą Dunk odebrał ojcu. To była ulubiona gra Dunka, bo zwykle wystarczało pięć minut, żeby wszyscy się upili i rozeszli po ciemnych kątach. Opisałbym to doświadczenie jako „boleśnie niezręczne”. Próbowałem znaleźć jej usta, ale wylądowałem wargami na jej nosie. Wytoczyliśmy się ze schowka, niczego nie osiągnąwszy, i oboje woleliśmy raczej pić dalej, niż wracać razem do ciemnej klatki. Spektakularny kac w niedzielny poranek dodatkowo nasilił moje poczucie porażki.

Po weekendzie widziałem się z Missy w szkole. Z zażenowaniem skinęliśmy sobie głowami na powitanie. Jakiś miesiąc później przeniosła się z rodziną do Filadelfii.

Stella przechyliła głowę, a przez jej usta przemknął uśmiešek.

– Nawet przy twojej koleżance Gerdy?

– Skąd wiesz o Gerdy?

– Nie przejmuj się, Pip. Widujemy się tylko raz w roku. Możesz oddać jej swoje ciało. Rozumiem, że masz konkretne potrzeby. Chłopcy w twoim wieku aż pękają od tych potrzeb. – Obłożonym rękawiczką palcem bawiła się długimi brązowymi lokami. – Ale twoje serce należy do mnie. Chyba oboje o tym wiemy, prawda, Pip?

– Rozbierałem się przy milionie dziewczyn – wypaliłem, wiedząc, że zabrzmiało to fałszywie.

– Domyślałam się, że przyciąga je wonny aromat jadłodajni. – Zjechała palcem do ust, przesunęła po dolnej wardze. – Proszę, Pip, umyj się.

Spojrzałem za nią, na dwie postacie w bieli stojące przy domku, na pozostałe między drzewami, obserwujące nas w milczeniu. Próbowałem się ruszyć, ale kończyny odmówiły mi posłuszeństwa.

Stella westchnęła i podeszła do leżaka nad brzegiem basenu. Zwróciła się do wody, plecami do mnie.

– Mój mały Pip. Uroczy nieśmiałek.

Sięgnęła do tyłu i pociągnęła za zamek sukienki, odsuwając go aż do dołu pleców. Czarny materiał opadł, zsuwając się z barków przez ramiona aż na kamienną posadzkę. Stała tak przez chwilę w samym komplecie czarnej bielizny, niczym posąg o idealnie gładkiej, białej skórze skąpany w świetle księżyca, podkreśzanym przez łagodne migotanie lampek rozciągniętych w górze. Wyszła z sukienki i podniosła najpierw lewą stopę, a potem prawą, zzuwając szpilki. Zdjęła rękawiczki i nie oglądając się na mnie, zanurkowała, przecinając powierzchnię wody gładko jak nóż wbijający się w masło.



Na tym końcu basen był płytki, Stella z wystudiowaną łatwością dostosowała się do głębokości półtora metra. Skręciła, tak by płynąć równolegle do dna, i wymachami smukłych nóg przemieściła się z jednego końca na drugi. Wypłynęła na przeciwległym brzegu basenu, obróciła się i posłała mi uśmiech.

Zrzuciłem buty i ściągnąłem brudną koszulkę przez głowę, bez grama wdzięku, który zaprezentowała Stella. Zdejmując dzinsy, prawie się przewróciłem. Ona przez cały ten czas śmiała się i chichotała, jedną ręką trzymając się kamiennej krawędzi i machając nogami pod wodą. Zostałem w samych bokserkach, minąłem kupkę jej ubrań i niezgrabnie wskoczyłem do wody. Wpadłem jak kamień, a kiedy stopami dotknąłem dna, odbiłem się i wynurzyłem na powierzchnię. W tym miejscu basenu mogłem bez problemu utrzymać głowę nad taflą. Woda była ciepła, cieplejsza niż nocne powietrze. Nalała mi się do uszu i nosa, więc teraz potrząsałem głową, próbując się jej pozbyć.

Stella przyglądała mi się z zaciekawieniem z drugiego końca basenu, tego głębszego, uśmiechając się, ale nadal nic nie mówiąc.

Spojrzałem na nią. Próbowałem podejść bliżej, ale po kilku krokach głowa ledwo wystawała mi na powierzchnię.

– Nie umiem pływać.

– Nie?

– W któreś wakacje ciocia zapisała mnie na obóz pływacki. Miałem chyba z dziewięć czy dziesięć lat, ale nie załapałem. Poszedłem trzy razy i się poddałem. Zresztą i tak nie muszę pływać. Nie mieszkamy nad morzem ani nic.

– Nie chciałbyś kiedyś pojechać nad ocean?

– Podoba mi się tutaj.

– Nie marzysz o tym, żeby zwiedzać świat? Zobaczyć dalekie kraje? Odkrywać nowe miejsca?

Wzruszyłem ramionami.

– Tutaj mam przyjaciół. Mam tu ciocię, pracę. Może kiedyś. Sam nie wiem.

Naszym wypowiedziom towarzyszył dziwny pogłos od wody, odbijały się echem w dzielącej nas przestrzeni, najcichszy szept wybrzmiewał głośno jak krzyk.

– Pojechałbyś za mną nad ocean? Gdybym się tam wybrała?

– A chciałabyś?

– Pytanie za pytanie, Pip? Ciekawe, od kogo się tego nauczyłeś.

– Chyba tak.

– Co „tak”?

– Pojechałbym za tobą.

– I zostawiłbyś ciotkę? Przyjaciół? Pracę, którą najwyraźniej bardzo kochasz?

– Nie dzisiaj, ale kiedyś – odparłem.

– Można zmarnować całe życie, czekając na takie „kiedyś”. Zapytaj ciotkę, czy ona doczekała się swojego... – Stella odgarnęła mokre włosy z oczu. – Spędzisz całe życie w tym mieście, w tej jadłodajni. Nigdy nie zdobędziesz górskiego szczytu ani nie zagłębisz się w ciemną jaskinię. Nigdy nie przejdiesz się ulicami Paryża ani nawet nie odwiedzisz Nowego Jorku, największej metropolii, oddalonej zaledwie o kilka godzin drogi, ale nieosiągalnej dla takiego chłopaka jak ty. Ani się obejrzysz, jak będziesz siedział w fotelu bujanym w jakimś domu spokojnej starości, tutaj, w Pensylwanii, za sobą będziesz miał całe życie, a to „kiedyś” będzie już tylko odległym mirażem za mgłą. To miasto jest pełne ludzi takich jak ty.

– Skoro jestem taki zwyczajny, to co tu robię?

– To przecież nasz dzień, nieprawdaż? Potrzebujemy innego powodu? – Stella złapała obiema rękami za krawędź basenu, położyła się na wznak i zaczęła się unosić na plecach. Woda lśniła na jej nagiej skórze, czarny materiał migotał, kolana miała lekko ugięte.

Zbliżyłem się jeszcze o krok. Woda sięgała mi już do brody.

– Dlaczego przysyłasz mi pieniądze?

– Chyba już ci mówiłam, że tego nie robię.

– Wiem, że to ty.

– Dlaczego miałabym robić coś takiego?

Rozejrzałem się wokół, patrząc na ogromny ogród, basen, światła domu górującego za drzewami.

– Nie wiem, może w ramach jakiejś akcji charytatywnej.

– Nie jesteś dla mnie akcją charytatywną, Jack.

– Nie? To czym jestem?

Opuściła nogi do wody i uśmiechnęła się szelmowsko.

– Na pewno nie umiesz pływać?

– Przynajmniej trzech instruktorów z tego letniego obozu podpisałoby się pod oświadczeniem, że nie powinienem opuszczać suchego lądu.

– Szkoda. – Jej lewa ręka zniknęła pod wodą i wynurzyła się ze stanikiem w dłoni. Cisnęła nim przez basen, tak że wylądował o centymetry od mojej twarzy. Patrzyłem w osłupieniu, jak znowu sięga pod wodę, zdejmuje majtki i je również rzuca w moją stronę. Zachichotała i zanurzyła się pod powierzchnię.

Woda była niemożliwie czarna.

Nie mogłem oderwać wzroku od miejsca, w którym Stella jeszcze przed chwilą była. Kręgi na wodzie poszerzały się i rozchodziły, aż pierwszy z nich dotarł do mnie i popłynął dalej, jej bielizna unosiła się na wodzie tuż poza moim zasięgiem. Nie widziałem niczego pod taflą wody, zapadła absolutna cisza, w której sekundy wydłużały się do minuty.

Stella wynurzyła się na powierzchnię kilka metrów ode mnie, w pół drogi między końcem basenu a miejscem, w którym stałem. Schyliła głowę z powrotem do wody, odgarniając sobie włosy z twarzy.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale uniosła palec do warg.

Chcąc nie chcąc, spojrzałem na białe sylwetki przy domku basenowym. Nie poruszyły się, tak samo jak te w lesie. Wszystkie jednak wbijały w nas wzrok, zachłanny i milczący. Przypomniała mi się strzelba, którą wiele lat temu zauważyłem pod płaszczem Oliver, i przyjrzałem się okryciom tej dwójki przy domku; nie dało się stwierdzić, czy ukrywali jakąś broń, ale instynkt mówił mi, że owszem, choć jeszcze nie rozumiałem powodu tego przeczucia.

Stella podpłynęła bliżej, dzieliły nas już zaledwie centymetry, a wokół niej jakimś cudem nadal unosił się zapach wanilii. Wdychanie go było odurzające, niczym słuchanie syreniego śpiewu. W jej ciemnych oczach migąły obrazy i chciałem zrozumieć myśli kryjące się za tymi oczami, słyszeć więcej jej głosu, gładkiego, melodyjnego, w letnim nocnym powietrzu.

Chciałem jej dotknąć.

Chciałem sięgnąć przez dzielący nas kawałek wody i przyciągnąć ją do siebie, przywrzeć ciałem do jej ciała. Zarys jej piersi był ledwie widoczny w ciemnej wodzie, ale kiedy przyłapałem się na tym, że na nie patrzę, zmusiłem się, żeby przenieść wzrok na jej twarz.

– Wiem, że cię pociągam, Jack. Możesz patrzeć, wiem, że tego chcesz. Nie mam nic przeciwko. Chcę, żebyś na mnie patrzył – wyszeptała cichutko.

Wyciągnąłem w jej stronę niepewną dłoń, modląc się, żeby nie zauważyła, jak bardzo się trzęsę. Kiedy jednak moje palce się do niej zbliżyły, Stella odpłynęła w tył, tylko kawałeczek na głębszą wodę, gdzie nie mogłem za nią pójść.

– To nie fair – powiedziałem, robiąc krok do przodu, tak że woda sięgała mi już prawie do ust.

– Cóż, Pip, nie wydaje mi się, żebyś zasłużył sobie na dotyk. Jeszcze nie.

– A pocałunek? Pozwól mi się pocałować. – To była prawdopodobnie najodważniejsza prośba, jaką kiedykolwiek wygłosiłem. Nigdy niczego tak bardzo nie pragnąłem. – Myślę o tobie codziennie, od kiedy poznaliśmy się jako ośmiolatki. Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem, byłaś... byłaś częścią mnie. Jesteś częścią mnie, częścią, z której braku nie zdawałem sobie sprawy aż do tamtego dnia, ale teraz czuję ją zawsze, kiedy nie jestem z tobą. Kiedy nie ma cię przy mnie, w moim sercu ziele dziura. Nie chcę już tego czuć, nigdy więcej. Przenigdy.

Potok słów wylał się ze mnie, nie zdołałem go powstrzymać, ale gdy tylko skończyłem, zapragnąłem je cofnąć. Gadałem jak nabuzowany hormonami nastolatek, którym przecież byłem. Ale to nie była wina hormonów. To było coś

innego, coś więcej, i chciałem, żeby to wiedziała, choćbym okropnie niezgrabnie ubierał to uczucie w słowa.

Stella nie odrywała ode mnie wzroku, wargi miała lekko rozchylone. Och, jak bardzo pragnąłem tych ust.

– Powiedz coś, proszę.

Nie odezwała się. Tylko na mnie patrzyła.

Pod powierzchnią wody jej nogi huśtały się delikatnie w przód i w tył, ten prosty ruch jakimś sposobem pozwalał jej nie tonąć.

Stella wyjęła z wody rękę, lśniące krople spływały z czubków jej palców w dół ramienia. Wyciągnęła dłoń ku mojemu policzkowi, a ja tak rozpaczliwie pragnąłem, żeby mnie dotknęła. Wszystko bolało mnie z tęsknoty za tym dotykiem. Ale mnie nie dotknęła. Jej palce zawisły o centymetr od mojej skóry, a kiedy skłoniłem głowę w ich kierunku, cofnęła się, utrzymując między nami stały dystans.

W kąciku jej lewego oka uformowała się łza. Spłynęła po jej pięknej twarzy i wpadła do wody w basenie.

– Nie mogę – powiedziała głosem tak cichym, że z początku nie byłem pewny, czy w ogóle się odezwała.

– Dlaczego?

– Po prostu... Idź już.

– Stella, nie. Ja...

– Wychodzić mi z basenu, jedno i drugie – powiedziała Oliver za moimi plecami. Obróciłem się i zobaczyłem ją na brzegu basenu, stała tam, wbijając wzrok w dziewczynę przede mną, z białym szlafrokiem w rękę. Nie słyszałem, kiedy przyszła. Niewykluczone, że była tam przez cały czas, obserwowała nas, tak jak pozostali. – Już czas, Stello.

Stella nabrała powietrza i odpłynęła ode mnie bezdźwięcznie w stronę głębokiej części basenu, poza mój zasięg. Stałem w tym samym miejscu, nie mogłem się ruszyć. Przez chwilę płynęła tyłem, nie odrywając ode mnie wzroku. Potem się odwróciła i pokonała resztę dystansu do ściany basenu. Złapała za krawędź i wyciągnęła rękę do mężczyzny w bieli stojącego przy drzwiach domku.

– Pomóż mi wyjść.

Mężczyzna nie odpowiedział.

Przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą i zdawał się jakby cofać w stronę budynku za swoimi plecami, nie odrywając jednak wzroku od wyciągniętej ręki Stelli.

– Pomóż mi wyjść z basenu – powtórzyła rozkaz.

Pokręcił głową.

– Nie.

Stella zwróciła się do kobiety obok niego.

– W takim razie ty mi pomóż.

Kobieta pokręciła głową i zrobiła krok w tył.

Stella zmierzyła ich wzrokiem, po czym oparła się obiema rękami o krawędź basenu i podciągnęła się na zewnątrz, aż stanęła naga przed nami wszystkimi.

Słyszałem, że Oliver przechodzi wokół basenu, ale jej nie widziałem. Nie mogłem oderwać oczu od Stelli, od wody spływającej z jej długich, ciemnych włosów, po nagich plecach i nogach, zbierającej się w kałuży u stóp. Oliver minęła dwójkę służących przy domku i zarzuciła Stelli szlafrok na ramiona, po czym przewiązała go w pasie.

– Dosyć tego – powiedziała stanowczo. – Potrzebują cię w domu.

Stella jednak ani drgnęła. Stała nieruchomo jak posąg, twarzą do dwójki w białych płaszczach. Osoby między drzewami otaczającymi basen zaczęły szemrać między sobą. Oliver uciszyła ich wszystkich jednym spojrzeniem i zwróciła się z powrotem do Stelli.

– W tej chwili.

Ruszyła wzdłuż brzegu basenu w stronę domu, po drodze podnosząc rękawiczki Stelli. Ona w końcu za nią poszła, cienki szlafrok oblepiał jej ciało. Kiedy mnie mijala, nasze spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy – nie było już śladu po łzach i po cieple, jej oczy były ciemne, jakby dziewczyna, którą ujrzałem zaledwie chwilę wcześniej, zdołała się głęboko schować.

Oliver skinęła głową w moją stronę.

– Wyjmijcie go z wody. Spalcie te jego wstrętne szmaty i dajcie mu jakieś ubranie, a potem przyprawdźcie do nas. Chcę, żeby to zobaczył.

# 11

Z tablicy rejestracyjnej nic mu nie przyszło. Faustino był pewny, że dobrze zapisał numery, ale kiedy wprowadził je do bazy danych wydziału komunikacji, wyskoczył wynik „numer nieznan”. Siedział jeszcze przed komputerem, kiedy do gabinetu weszła Fogel i rzuciła na biurko akta zabójstwa z 1978 roku.

– Jak się trzyma Stack?

Opadła na krzesło naprzeciwko.

– Nie mówiłeś nic o zaginionym dziecku.

– To tylko teoria. Mamy ich mnóstwo. Akurat teoria Stacka zakłada istnienie jakiegoś dziecka.

– A twoja nie?

– Rozumiem, dlaczego skłania się ku tej hipotezie, i chciałbym się z nim zgodzić, ale przez te lata nauczyłem się, że bycie dobrym policjantem w dużej mierze opiera się na zachowaniu otwartego umysłu. Kiedy mózg zafiksuje się na konkretnej teorii, natychmiast zaczynamy odrzucać wszelkie inne możliwości. Jeśli teoria okaże się błędna, a inne odrzucamy, to mamy zerową szansę na rozwiązanie sprawy – wyjaśnił. – Stack pozamykał wszystkie inne drzwi. Ja zostawiłem je otwarte. Tu właśnie się różnimy.

Fogel otworzyła teczkę, wyjęła fotografie ofiar i ułożyła je obok siebie na biurku.

– Jak wytłumaczysz te różnice? Dlaczego tych trzech pasuje do twojej Tablicy Osobliwości, a kobieta i mężczyzna znaleźni na parterze wyglądają na zwyczajne ofiary zabójstwa?

Faustino spojrział na zdjęcia mężczyzny w bibliotece i kobiety na schodach.

– Zgadzam się ze Stackiem co do tej części jego teorii. Sądzę, że ci trzej znaleźni na piętrze zabili tych dwoje. Nigdy jednak nie mogliśmy się dogadać ze Stackiem co do tego, co nastąpiło później. Kto zabił tych trzech sprawców.

– Czyli nie uważasz, że to sprawka tajemniczego „czwartego”?

Faustino nie odpowiedział od razu, kciukiem gładził krawędź jednego ze zdjęć.

– Moim zdaniem nie było żadnego czwartego czy czwartej.

– No to jak zginęli?

– Sądzę, że zabiło ich coś, co znaleźli w tym pokoju – stwierdził Faustino. –  
A czymkolwiek było, to ci nieszczęśnicy to wyzwolili.

## 12

Stella i pani Oliver odeszły brukowaną ścieżką, a ja zostałem w wodzie, jak sparaliżowany, nie mogłem i nie chciałem się ruszyć. Dopiero teraz zorientowałem się, jaka cisza zapadła. Żadna żywa istota nie wydawała dźwięku. Słudzy spod domku basenowego też patrzyli, jak odchodzą, podobnie jak ci z lasu, ale żadne się nie ruszyło.

– Wyjść z wody – powiedział w końcu służący, przerywając milczenie.

Nie wiem, czy chciał, żebym to zobaczył, ale spod prawej poły jego płaszcza wysunęła się lufa długiej broni, a po chwili znów zniknęła w fałdach okrycia. Kobieta stojąca obok niego nie odrywała wzroku od kamiennej dróżki za moimi plecami.

Obróciłem się, znalazłem schodki i wygramoliłem się z basenu. Ruszyłem w ich stronę, drżąc z zimna, kiedy nocne powietrze zetknęło się z moją moką skórą.

– Wszystko tam jest – powiedział mężczyzna, wskazując na domek basenowy za swoimi plecami. – Masz minutę.

Wnętrze okazało się nieco większe od naszego salonu, mniej więcej rozmiarów niedużego pokoju hotelowego. Jedną ścianę zajmowało podwójne łóżko. Pod pozostałymi stała komoda, niewielkie biurko i jedno krzesło. Drzwi na tyłach prowadziły do łazienki. Gołe ściany pomalowano na odcień przygaszonej bieli, a podłogi były z ciemnego drewna. Na wszystkich oknach wisały ciężkie zasłony. Wziąłem gruby biały ręcznik z półki przy drzwiach i się wytarłem. Na łóżku znalazłem białą koszulę zapinaną na guziki, beżowe spodnie, skarpetki, bieliznę i czarne mokasy – wszystko nowe, z metkami, w oryginalnych opakowaniach i w moim rozmiarze.

– Idziemy! – zawołał mężczyzna zza drzwi.

Ubrałem się pośpiesznie i wyszedłem na zewnątrz.

– Tędy – powiedział, więc ruszyłem za nim, a za mną szła tamta kobieta. Mój wzrok ślizgał się po śladach mokrych stóp Stelli na bruku, lśniących w blasku światełek.

Chociaż w domu paliły się lampy, mroczne cienie wypychały światło ze wszystkich kątów, niczym żywe istoty broniące tego, co słusznie im się należy.



Mężczyzna poprowadził mnie z powrotem przez centralny hol, a potem skręciliśmy w lewo w inny korytarz. Ściany były pokryte obrazami, pejzażami miejsc, w których nigdy nie byłem – lasów i pustyń, jezior i oceanów, olbrzymich sekwoi i trawiastych równin. Wszystkie nosiły podpis Stelli i automatycznie pomyślałem o własnych pracach, o wszystkich szkicach jej postaci – mojej obsesji. Jej obsesją były natomiast te odległe miejsca.

Na końcu kolejnego korytarza skręciliśmy w lewo, aż dotarliśmy do kamiennych schodów prowadzących w dół. Dochodziło tu nieco światła z korytarza, a u podnóża paliła się słaba żarówka, tak że stopnie pomiędzy tonęły w ciemnoszarym cieniu.

Mężczyzna ruszył w dół, a kiedy ja zawahałem się na szczycie, służąca szturchnęła mnie w plecy.

– Schodź.

Temperatura zdawała się obniżać z każdym stopniem, tak że kiedy dotarliśmy na dół, znowu drżałem z zimna. U podnóża schodów znajdowała się nieduża wnęka, kwadrat o powierzchni maksymalnie pięciu metrów kwadratowych o ścianach z warstwowo ułożonego piaskowca. W lewo i w prawo odchodziły z niej korytarze. Skręciliśmy w ten po prawej i dotarliśmy do małego pokoiku z dużymi stalowymi drzwiami w tylnej ścianie. Przy drzwiach stał drewniany stolik z niewielkim telewizorem, kable prowadziły do jakiejś puszeki elektroinstalacyjnej i niknęły w kamiennej ścianie.

Usłyszałem jakieś kroki za plecami, a kiedy się obróciłem, zobaczyłem, że Stella idzie korytarzem w naszą stronę, nadal w cienkim białym szlafroku i bosa, ale w rękawiczkach, a krok w krok podąża za nią pani Oliver. Kiedy Stella mnie zauważyła, zwolniła, aż w końcu całkiem się zatrzymała, a nasze spojrzenia się spotkały.

– Nie chcę, żeby on tu był – powiedziała.

– Decyzja nie należy do ciebie – odparła Oliver.

– Nie możesz mnie zmusić.

– Mogę i zrobię to, jeśli będę musiała. Naprawdę chcesz mnie sprawdzić?

Stella spuściła wzrok, ale po chwili znów spojrzała na mnie. Jej oczy były duże i smutne.

– Nie chcę, żeby to oglądał – powiedziała cicho. – Nie on.

– Właśnie dlatego musi tu być. Jesteś rozkojarzona – stwierdziła pani Oliver. Skinęła głową do stojącego obok mnie mężczyzny w bieli. – Otwórz drzwi.

Mężczyzna wyciągnął rękę w stronę potężnych metalowych wrót, złapał za klamkę i pociągnął. Drzwi musiały mieć z osiem centymetrów grubości, otwierały się ciężko i powoli jak skarbiec w banku, piszcząc starymi zawiasami.

Na środku pokoju znajdującego się za drzwiami stało składane metalowe krzesło. Siedział na nim mężczyzna w czarnej koszulce, skórzanej kurtce i ciemnych dżinsach, twarz zakrywał mu biały kaptur. Na szyi miał sznury złotych łańcuchów. Z najgrubszego z nich zwisał złoty sztylet. Stopy miał przywiązane do nóg krzesła, a ręce skrupowane za oparciem. Na dźwięk otwieranych drzwi zwrócił się mniej więcej w naszą stronę, chociaż trudno powiedzieć, czy widział nas przez kaptur.

– Wypuście mnie stąd, do kurwy nędzy! – wrzasnął.

Zaczął się bujać w przód i w tył, krzesło się zahuściło, metalowe nóżki drapały kamienną posadzkę.

– Wszystkich was pozabijam, skurwiele!

– Już, Stello – powiedziała Oliver.

– Nie.

– Już. Bo inaczej padnie na twojego chłopaka.

Zmusiłem się do oderwania wzroku od tego mężczyzny i obróciłem się do Stelli. Dłońmi w rękawiczkach mocno ścisnęła szlafrok, ugniatała tkaninę z wyraźnym niepokojem, a na jej twarzy równie wyraźnie malowała się mieszanka gniewu i strachu. Łypnęła na Oliver z taką miną, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby w tej chwili zacisnęła jej ręce na gardle i ją udusiła.

Oliver jednak stała niewzruszona.

– Już.

Stella wzięła głęboki wdech, skinęła głową i weszła do pomieszczenia.

Mężczyzna w bieli zamknął za nią drzwi na zamek.

Nie wiedziałem, co się teraz stanie, nie miałem pojęcia, ale chciałem to powstrzymać. Cokolwiek miało się stać.

Pani Oliver przeszła przez pokój i włączyła telewizor na stoliku. Pyknęło i ekran ożył, wypełniając się obrazem pomieszczenia za drzwiami – mężczyzna siedzi na krześle, Stella stoi przed nim, zdejmując rękawiczki.

Ściągnęła najpierw prawą, potem lewą, upuszczając obie na podłogę przy swoich bosych stopach. Zerknęła w kamerę w kącie pod sufitem, a potem zwróciła się do siedzącego mężczyzny. Zdjęła mu z głowy kaptur.

Facet miał około trzydziestki i krótko ostrzyżone włosy. Czarne, może ciemnobrązowe. Lewą stronę twarzy pokrywał mu paskudny siniak i zakrzepła krew z rany nad okiem. Rozejrzał się błyskawicznie po otoczeniu, po czym jego wzrok padł na Stellę.

– Coś ty za jedna?

– To nieważne.

Wierzgnął nogami, ale więzy trzymały się mocno.

– Wypuść mnie stąd, do jasnej cholery.

Stella pokręciła głową.

– Wypuść mnie, zanim tamci wrócą, nic ci nie zrobię, daję słowo. Rozwiąż mnie.

Znowu pokręciła głową.

Twarz mu pociemniała, szarpnął ramionami związanymi za plecami.

– Dziwko jebana! Rozwiążuj mnie w tej chwili!

Stella znów zerknęła w kamerę. Mężczyzna podążył za jej wzrokiem i zmrużył oczy, kiedy zauważył obiektyw.

– Nie wiem, kim jesteście, ale nie macie, kurwa, pojęcia, z kim zadzieracie! Moi ludzie sfajczą tę chałupę. Wszyscy jesteście trupami, co do jednego. Wypuście mnie, to może się dogadamy, jeszcze nie jest za późno. – Potem zwrócił się znowu do Stelli: – Wiesz, kim jestem? Co mogę ci zrobić?

– Świetnie wiem, kim pan jest, panie Visconti. Inaczej czemu by pan tu teraz był?

Dźwięk własnego nazwiska wytrącił go z równowagi. Przestał szarpać się w więzach. Znowu zmrużył podejrzliwie oczy.

– Jesteś jedną z moich dziewczyn? Cortez cię w to wciągnął?

– Jakich dziewczyn?

– Moich dziwek.

– Nie. Nie jestem jedną z pańskich dziewczyn.

– A powinnaś, z takim ciałem... Zarobiłabyś majątek. Umieściłbym cię w jakimś sympatycznym miejscu, na przykład tym nowym hotelu przy centrum kongresowym, Starington czy jakoś tak. Moje dziewczyny mogą liczyć na najlepsze warunki. Przeszkodziłem ci w kąpeli czy coś? Czemu jesteś w szlafroku? – Zwrócił się znów do kamery. – To jakiś dziwny prezent urodzinowy, Cortez? Udajesz, że mnie porwali, przywiązujesz do krzesła w jakimś lochu, a potem przysyłasz dziwkę, żeby zapaliła mi świeczkę? Odpierdalałeś już różne akcje, ale teraz to przeszedłeś samego siebie! Tamten skurwiel nieźle mnie urządził. Dziwka czy nie, kiedy już tu skończę, spuszczę ci wpierdol. Nie mogę puścić czegoś takiego płazem. Jak by to wyglądało? – Wrócił do Stelli. – Skoro nie jesteś ode mnie, to skąd Cortez cię wytrzasnął? Od Cosłowa? Weź już zdejmij ten szlafrok, chcę zobaczyć co i jak. Jak mi się ładnie zaprezentujesz, to może cię od nich podkupię.

Stella okrążyła krzesło, powoli, ostrożnie stawiając kroki.

– Dużo tych dziewczyn dla pana pracuje? Tych dziwek?

– Ciągłe się to zmienia, ale lubię mieć tak między trzydziestoma a pięćdziesięcioma. Ale większość to Latynoski i Europejki, ledwie mówią po angielsku. Laska taka jak ty, z którą można też porozmawiać... która umie się

zachować? – Gwizdnął. – Nie wiem, dla kogo pracujesz, ale się marnujesz. Ja ci załatwię lepszą fuchę.

– Wróćmy do tych dziewczyn sprowadzanych z innych krajów. Im też obiecuje pan różne rzeczy, prawda? Lepsze życie? Dach nad głową? Przyszłość?

Visconti pokręcił głową.

– Gdzie tam, po prostu je kupuję. Czasem w barterze za splawy albo dragi. Wszystko ma swoją cenę, to tylko kwestia negocjacji. Na ile się wyceniasz?

– Prostyucja, narkotyki, broń... Nie wydaje się panu, że niebezpiecznie ze mną rozmawiać o takich sprawach? A jeśli jestem z policji?

– Żadna z ciebie policja, jesteś dziwką. Za młoda na inną robotę. – Znowu zaszarpał się w więzach. – Nie marnuj już więcej mojego czasu. Mam sprawy do załatwienia. Rozwiąż mnie. – Próbował kopnąć, ale sznury mocno trzymały jego nogi.

– Moi ludzie użyli węzłów kołowrotkowych – poinformowała go Stella. – Im bardziej się pan szarpie, tym mocniej się zaciskają.

– Twoi ludzie?

– Nie znam żadnego Corteza ani innego Coslowa. Ludzie, którzy złapali pana pod pańskim domem na Squirrel Hill i przywieźli tutaj, pracują dla mnie. Oni pana do mnie sprowadzili.

– Niemożliwe, żeby udało im się wykiwać moich ludzi. Jakiś zjebany ten żart. – Obrócił głowę do drzwi. – Cortez, wypuść mnie stąd, do chuja!

– Trzej mężczyźni, którzy mieli pana obstawiać, ci, którzy jechali z panem samochodem, wszyscy nie żyją. Domyślam się, że pamięć pana zawodzi z powodu uderzenia w głowę, ale z czasem wszystko pan sobie przypomni. Jeśli nie, będzie mi pan musiał uwierzyć na słowo – stwierdziła Stella. – Moi ludzie ich zabili, porwali pana i sprowadzili tutaj. Do mnie.

Visconti zerknął na kamerę, rozejrzał się po pokoju, w końcu jego wzrok wyłądował na sznurach mocujących go do krzesła.

– „Tutaj”, czyli gdzie?

Stella zignorowała pytanie. Nadal krążyła wokół krzesła.

– Panie Raymondzie Visconti, zamieszkały między innymi przy Nob Hill Road osiemdziesiąt trzy, jest pan jednym z najokrutniejszych handlarzy ludźmi w kraju. Wyłapywał pan na ulicach uciekinierów z domu, porywał, rekrutował lub w inny sposób pozyskiwał siłą setki kobiet i dzieci tylko w ubiegłym roku. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy więcej niż w sumie przez poprzednie trzy lata. Od początku kariery przestępczej odpowiadał pan za śmierć stu sześćdziesięciu trzech osób, które zginęły albo bezpośrednio z pańskiej ręki, albo na pański rozkaz, albo w konsekwencji prowadzenia „interesów”.

Visconti zmarszczył brwi.

- To jesteś jednak z tej policji? Skąd to wszystko wiesz?
- Nie jestem policjantką.
- Chcesz kasy? O to chodzi? Mogę ci zapłacić. Ile tylko chcesz.
- Słyszał pan o Manueli Seiden?

Visconti pokręcił głową.

- Była jedną z pańskich dziewczyn, pańskich... dziwek.
- Nie znam ich z imienia i nazwiska. Od dziewczyn jest Cortez.
- Chciała przyjechać do Stanów, żeby zapewnić lepsze życie sobie i dziecku, które nosiła w brzuchu. Pańscy ludzie w Belize obiecali jej to lepsze życie, jej i jej nienarodzonemu dziecku. Zainkasowali od niej dziesięć tysięcy dolarów w lokalnej walucie, wsadzili ją do skrzyni, bez jedzenia i z trzema butelkami wody, po czym próbowali wysłać do USA na pokładzie kontenerowca.
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Zmarła po niecałych dwóch dniach w drodze. Skończyła jej się woda, przegrzała się i udusiła. Dziecko oczywiście zmarło wraz z nią.
- Nic mi o tym nie wiadomo – powtórzył Visconti. Zza prawego ucha spłynęła mu strużka potu.

Stella westchnęła, nadal chodząc wokół krzesła, zbliżając się do niego.

- Dziewczyny w pozostałych skrzyniach... w pozostałych dziewiętnastu skrzyniach też zmarły. Wszystkie oprócz jednej. Ostatnia straciła życie już w porcie, bo kiedy dowiedział się pan, co się stało, i stwierdził, że nie chce świadków, kazał pan jednemu ze swoich ludzi ją udusić. Błagała o życie, ledwie żywa po tej potwornej przeprawie, a pan kazał ją zabić, żeby się chronić.

Visconti słuchał, ale nic nie mówił. Oczy zwięzły mu się do wąskich szparek, twarz pobladła.

- Wyobraża pan sobie, jaki ból musiały czuć? Niepewność, która towarzyszyła im w każdej chwili po tym, jak skończyła im się woda? Kiedy nikt nie reagował na ich krzyki i zaczynało im brakować powietrza? Zajrzał pan chociaż do tych skrzyń, zanim je spaliliście? Widział pan ślady drapania na drewnie? Krew? Kawałki połamanych paznokci i startej skóry?

- Czego ode mnie chcesz?

Stella przestała krążyć. Przyklękła przed nim.

- Chcę, żeby zrozumiał pan ich ból. Chcę, żeby poczuł pan ból, który zadał pan nie tylko tym dziewczynom, ale też ich rodzinom, bliskim, wszystkim, z którymi zetknęły się w swym krótkim życiu. Życiu, którego pozbawił je pan z łatwością, z jaką dzieciak kradnie słodycze ze sklepu.

Stella wyciągnęła rękę, strzepnęła nadgarstkiem i prawym palcem wskazującym przesunęła po policzku mężczyzny. Szybkie dotknięcie, trwające mgnienie oka.

Visconti stęzał, wytrzeszczył oczy.

– Co jest, kurwa?! – wrzasnął, szarpiąc głową w tył, z dala od jej dłoni.

Zbliżyłem twarz do ekranu telewizora. W miejscu dotknięcia na policzku Viscontiego pojawiła się czarna smuga. Z początku sądziłem, że to wytwór mojej wyobraźni, ale plama zdawała się rosnąć.

Pani Oliver wpatrywała się we mnie z nieznacznym uśmieszkiem na ustach.

Spojrzałem znów na ekran.

Visconti krzywił twarz w grymasie i próbował wytrzeć policzek o ramię, ale sznury mocno trzymały.

Stella odchyliła się na pięty.

Smuga urosła na długość jakichś pięciu centymetrów, skóra w tym miejscu była ciemna i wysuszona. Strugi potu z czoła Viscontiego coraz intensywniej spływały po policzkach.

– Wie pan, czym jest życie?

– Wiem dokładnie, co zrobię z twoim, jak tylko uwolnię się z tych sznurów.

– Życie jest siłą, energią. Nigdy tak naprawdę się nie kończy, nawet kiedy coś umiera. Siła życiowa przenosi się wtedy po prostu z jednego bytu na inny. Kwiat może zwiędnąć, ale w tej samej chwili wyrasta wokół niego kilkanaście takich samych. Rzeka wysycha, ryby umierają, a na drugim końcu świata rodzi się wieloryb. Kiedy umiera człowiek, na przykład matka i jej nienarodzone dziecko, ich połączone siły życiowe powracają do tego miejsca we wszechświecie, gdzie zaczęło się wszelkie życie, gotowe, by je redystrybuować. Siła ta jest skończona, wiecznie się przemieszcza. To starannie opracowana, wymierzona i utrzymywana równowaga. Jedni dają życie, inni je odbierają. Pan, panie Visconti, nie został stworzony do odbierania życia. To nie jest pańskie przeznaczenie. Zadanie to jest przeznaczone innym, a pan przez swoje działania naruszył równowagę.

– Co to ma niby znaczyć, do jasnej cholery? – spytał wściekły Visconti.

Stella podniosła się z ziemi i stanęła za nim. Palcami próbował rozwiązać węzły. Udało mu się poluzować więzy na prawym nadgarstku. Stella złapała go za dłoń, oplatając palce wokół jego palców.

Visconti zrobił się biały jak ściana i wrzasnął. Nigdy w życiu nie słyszałem tak niehumanicznego wrzasku. Dotknęła go jedynie na ułamek sekundy, a teraz z przerażeniem patrzyłem, jak jego palce robią się czarne, potem to samo stało się z grzbietem dłoni. Czerń rozlała się aż do nadgarstka, zatrzymując się tuż przed mankietem skórzanej kurtki. Nie próbował już się wyswobodzić, jego palce w ogóle przestały się ruszać.

Myślałem, że stracił przytomność. Twarz pokrywała mu lśniąca warstewka potu, usta drgały od niekontrolowanych skurczów mięśni, język wysunął się przez

uchylone usta. Klatka piersiowa unosiła się i opadała szybko jak młot pneumatyczny, łapczywie nabierał powietrza i wypuszczał je ze świstem.

Stella spojrzała w kamerę. Jakimś cudem, przez obiektyw i ekran telewizora, nasze spojrzenia się spotkały. „Proszę, Jack, nie patrz. Nie patrz na to”, powiedziała bezgłośnie.

Pani Oliver wcisnęła jakiś guzik na ścianie, coś w rodzaju interkomu.

– Kończ już, Stello.

Głowa Stelli przechyliła się w lewo, w stronę głośnika poza polem mojego widzenia, z którego dobiegł ją skrzekliwy głos Oliver.

– Cokolwiek się tu dzieje – powiedziałem – przerwicie to.

Oliver skinęła głową do mężczyzny w bieli.

– Przytrzymaj go. Dopilnuj, żeby patrzył.

Mężczyzna złapał mnie za ramiona, wykręcił mi je za plecami. Próbowałem się wyrwać, ale kopnął mnie pod kolaniem i osunąłem się na ziemię. Stojąca obok niego kobieta wyjęła karabin spod długiego białego płaszcza i wycelowała we mnie broń.

– Nie próbuj.

– Patrz – powiedziała pani Oliver, wskazując na telewizor.

Stella znów krążyła wokół mężczyzny.

Płakał. Nie chciał, próbował się powstrzymać, ale łzy i tak płynęły z jego oczu. Z każdym oddechem szlochał.

– Przestań, proszę – wyszeptał ledwie słyszalnie.

Stella zatrzymała się przed nim i zbliżyła ręce do jego twarzy, palce unosiły się tuż nad skórą.

Próbował się odsunąć, ale miał ograniczoną swobodę ruchu.

– Nie... Błagam...

– Nikt nie słyszał błagania Manueli Seiden. Umarła sama w tym pudle. Zaslugujesz na coś gorszego niż śmierć, ale tylko tyle mogę ci dać.

Stella nachyliła się i przycisnęła usta do jego ust, jedną ręką trzymając go za tył głowy, przyciągając go blisko, wciągając w pocałunek. Visconti zeszywniał, niewątpliwie wrzasnął jeszcze ostatni raz, ale ja tego nie słyszałem. Natarłem tyłem na mężczyznę, który mnie trzymał, odepchnąłem go z taką siłą, na jaką mogłem się zdobyć. Stojąca obok niego kobieta błyskawicznie obróciła w dłoniach broń. Kolbą karabinu uderzyła mnie w bok głowy i cały świat spowija ciemność.

Ten sen.

Siedzę zapięty w foteliku, nie mogę się ruszyć.

Wszędzie rozlało się mleko czekoladowe, mam nim przesiąknięte ubrania. Lepi się.

Biały SUV tuż przed nami. Fotel kierowcy jest tak blisko, że wygląda jak część siedzenia rodziców.

Nasz samochód i tamten, teraz stają się jednym.

Dym.

Pali się.

– Tatusiu?

Nic.

– Mamusiu?

Nic.

Ciało w białym SUV-ie, wiszące nad kierownicą, częściowo w środku, częściowo na zewnątrz.

Coś martwego.

Obserwuje nas trup w białym płaszczu pokrytym ciemnoczerwonymi plamami.

– Tatusiu?

– Jack? – pada z przedniego siedzenia. – Wszystko w porządku, synku?

Jęk. Mamusia.

– Czuję benzynę. Musimy wysiadać.

– Wszystko w porządku? Proszę, powiedz, że nic ci nie jest.

Drzwi się otwierają.

Zgrzyt metalu o metal.

– Eddie?

– Tak?

– Drugi SUV. Już jadą.

– Zabierz stąd Jacka.

Otworzyłem oczy na klatce schodowej swojego bloku.

Jarzeniówka buczała mi nad głową.

Póležałem na podłodze, plecami oparty o ścianę.

Na podołku miałem kupkę brudnych ubrań z pracy w jadłodajni.

Nade mną stał pan Triano, gospodarz budynku.

– Popiłeś sobie, kolego? – Obok niego stał drugi pan Triano, rozmazany i niewyraźny.

Podniosłem na niego wzrok, próbowałem wyartykułować jakieś słowa. W ustach czułem pustkę i smak brudnej bawełny.

– Z twoją ciocią jest kiepsko. Nie powinieneś się szlajać po imprezach.

Podniosłem rękę i wymacałem na głowie miejsce, w które uderzyła kolba karabinu. Potwornie mnie bolało.



Triano po prawej wyciągnął do mnie pokrytą odciskami dłoń.

– Wstawaj, zanim ktoś cię tak zobaczy.

Wzięłam go za rękę i dałam się podnieść z podłogi.

Świat wokół mnie nieco zawirował, zachybotał się, ale po chwili znalazł środek równowagi.

Zrobiłem głęboki wdech. Obaj Trianowie złali się w jednego.

– Długo tu leżałem? – zdołałem wydusić. Spodziewałem się zobaczyć na palcach krew, ale były czyste.

– A skąd ja mam to wiedzieć? Nie jestem twoją niańką. Ale nie możesz odsypiać imprezy na korytarzu. Wracaj do chałupy. Wypij szklanek wody z lodem, łyknij aspirynę i połóż się wygodnie na kanapie. Mnie to zwykle pomaga. Pomarańcza też dobrze ci robi. Nie pytaj dlaczego.

Rozejrzałem się po korytarzu.

– Widział pan, jak mnie przynieśli?

Triano spojrział na schody na końcu korytarza.

– Salvatore spod sto osiem mówił, że ktoś cię wysadził z białej furgonetki. Doczołgałeś się tutaj. Założył się ze mną o dolca, że w ciągu pół godziny znajdziesz swoje mieszkanie. Powiedział, że nawet najbardziej narąbany pijak trafi do domu. „Nastolatki mają mocną głowę”, tak powiedział. No ale padłeś na korytarzu, parę kroków od finisu. Wisi mi dolca. Chodź, pomogę ci.

Triano objął mnie ramieniem i zaprowadził pod drzwi. Czuję się, jakbym chodził na szrudłach, na cudzych nogach.

Drzwi nie były zamknięte na zamek. Przekręciłem gałkę i weszliśmy do środka.

Ciocia Jo spała twardo w swoim fotelu, chrapiąc tak głośno, że aż drżały szyby.

Rzuciłem brudne ciuchy przy drzwiach. Triano posadził mnie na kanapie i przyniósł z kuchni szklanek wody.

Wypiłem do dna, odstawił szklanek na stolik.

– Wyśpij się, młody, jutro będzie lepiej.

I wyszedł.

Zamknąłem oczy i opadłem na poduchy kanapy. Pulsowanie z boku głowy powoli słabło.

Ktoś spuścił wodę w toalecie.

Dunk wyszedł z łazienki, przyciskając sobie do twarzy torebkę z mrożonym groszkiem.

– Kiedy wróciłeś? I co ty masz na sobie? Ja pierdolę, wyglądasz jak jakiś kelner.

Przez kolejne pół godziny relacjonowałem mu wydarzenia minionego wieczoru. On opowiedział mi o mężczyźnie, który go uderzył.

– Wziął mnie z zaskoczenia – mówił Dunk. – Pół sekundy później sam bym go rozwalił.

– Zostawił pieniądze?

Dunk przytaknął.

– Pięć stów w kopercie na łóżku. Przeliczyłem.

– Chyba złamał ci nos. Ktoś to powinien obejrzeć.

– Wziął mnie z zaskoczenia – powtórzył Dunk. – Ale dorwę go za miesiąc. Przyczaję się za drzwiami z obrzynem, może wezmę paru chłopaków do pomocy. Posadzimy go na tej waszej wygodnej, acz stylowej kanapie i wszystko wyśpiewa. Mam już dość tego syfu.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł.

– Nie masz prawa głosu w tej sprawie.

– To moje mieszkanie. Przychodzi tu do mnie.

– Złamał mi nos. Teraz jest już moim problemem. Ludzie będą pytali, co mi się stało. Nie mogę odpuścić takiej akcji. Tylko słabiak by coś takiego odpuścił. A ja nie jestem słabiak. – Dunk opuścił mrożonkę. – Krew już mi nie leci. Bardzo źle to wygląda?

– Jeśli nie pójdziesz do szpitala, to zrośnie się krzywo. Poza tym robi ci się śliwa pod prawym okiem.

Dunk zaklął i przyłożył sobie groszek z powrotem do twarzy.

Ciocia Jo chrząknęła przez sen, ale po chwili wróciła do rytmicznego pochrapywania.

– Musisz sobie dać spokój z tą panną.

– Nie mogę.

– Mówiłeś, że zabiła człowieka.

– Tego nie powiedziałem. Nie wiem, co właściwie widziałem.

– Mówiłeś, że zabiła człowieka dotykiem, co swoją drogą jest niemożliwe.

– No to nie mogła go zabić. Pierdolę od rzeczy i wszystko jest w najlepszym porządku.

Dunk znowu odsunął groszek i ostrożnie dotknął czubka nosa, skrzywił się, po czym pomacał okolice oka.

– Jak on się nazywał, przypomnij mi?

– Raymond Visconti.

Dunk nic nie powiedział. Nachyliłem się do niego.

– Znasz to nazwisko, prawda?

– No, słyszałem o nim.

– To prawda? Zrobił to, co powiedziała?

Dunk westchnął.

– Jeśli to ten Visconti, o którym myślę, to pewnie tak. Jest niezłym draniem. A raczej był. Czy tam jest, zależy, co ta twoja dziewczyna mu zrobiła. Chryste, ale mnie napierdala. – Z powrotem przyłożył sobie mrożonkę i opadł na oparcie krzesła.

– Myślę, że go zabiła.

– Dotykem?

– Dotykem, a potem pocałunkiem.

– Stary, zdajesz sobie sprawę, jak to brzmi?

– „Zasługujesz na coś gorszego niż śmierć, ale tylko tyle mogę ci dać”. – Zapadłem się w miękkie poduchy. – To było ostatnie, co mu powiedziała.

Dunk odsunął torbę z groszkiem od spuchniętego nosa i położył sobie na kolanach. Kiedy na mnie spojrział, twarz miał bladą jak śmierć.

– Kwiatki.

Mnie też przypomniały się tamte kwiaty.

Nie chciałem o nich myśleć.

– Kiedy to było, pięć, sześć lat temu?

– Pięć.

– Powiedziałaś, że wzięła kwiatki i zwiędły jej w ręku. Skurczyły się, wyschły i rozpadły, kiedy dotknęła ich bez rękawiczek. Mówiłaś, że tamta starucha kazała jej wrócić na ławkę i zmusiła ją, żeby podniosła je gołymi rękami. Stara kazała jej to zrobić i chciała, żebyś patrzył, tak jak dzisiaj. Ta starucha...

– Oliver. Latrese Oliver.

– ...Oliver, niech będzie. Ta cała Oliver chciała, żebyś to wtedy zobaczył, chciała cię nastraszyć. Nie udało się, więc teraz pokazała ci to. Cokolwiek „to” było.

– Kiedy Stella dotknęła Viscontiego w policzek, na początku myślałem, że go poparzyła. Tak to wyglądało, jakby ciemna spalenizna, ale nie wydaje mi się, żeby to właśnie się stało. Gadała coś o sile życiowej, że jest jej skończona ilość, starannie utrzymywana równowaga. Kiedy coś umiera, siła życiowa nie znika, ale przenosi się na coś innego. Przepływy, transfery, jakiś bilans mocy. Wydaje mi się, że jej dłoń w jakiś sposób wyssała życie z dotkniętego miejsca. Ta czarna plama to była śmierć. Trwało to ułamek sekundy.

– Czyli co? Nie panuje nad tą mocą? Dlatego musi nosić rękawiczki? Im dłużej dotyka kogoś albo jakiejś żyjącej rzeczy, tym gorzej...

Pokiwałem głową.

– Kurwa.

– No.

– Nie może nikogo dotknąć.

– Tak mi się wydaje – przytaknąłem. – Bo robi tej osobie krzywdę. Albo i gorzej.

Nie powiedziałem mu o basenie. Nie mogłem. Sam jeszcze sobie tego nie poukładałem.

– Musisz się trzymać od niej z daleka – oświadczył Dunk.

– Ona nie chce tam być. Zmuszają ją do tych rzeczy.

Dunk wypuścił powietrze.

– Jeśli to wszystko prawda, to nikt jej do niczego nie „zmusza”. Mogłaby stamtąd wyjść w każdej chwili. Przecież nikt nawet nie będzie próbował jej zatrzymać.

Nachyliłem się do przodu.

– Myślę, że dlatego właśnie wszyscy mają spluwy. Wcześniej myślałem, że ci ludzie ubrani na białą to jej ochrona. Ale co, jeśli tak naprawdę mają jej pilnować? Jednemu czy dwojgu mogłaby uciec, ale oni są wszędzie. Widziałem ze dwadzieścia parę osób, a pewnie jest ich więcej.

Dunk zmarszczył czoło.

– Myślisz, że strzelaliby do niej, żeby nie uciekła?

– Nie chcą jej wypuścić – odparłem. Wiedziałem, co muszę zrobić. – Znajdę ten dom. Uwolnię ją.

– Pomogę ci – zaoferował Dunk. – Jak tylko nos mi się zrośnie.

## 13

Następnego ranka wszystkie media trąbiły o Raymondzie Viscontim, którego ciało znaleziono niecałą przecznicę od naszego bloku, w dobrze nam znanej uliczce. Po jednym z najbardziej niesławnych handlarzy ludźmi w historii Pensylwanii została skwarka, martwe, pomarszczone coś. Ciało było w takim samym stanie jak poprzednie – czarne i wysuszone, jakby jakiś ogień strawił tego człowieka od środka, nie tykając odzieży. W odróżnieniu od sytuacji z Flackiem lokalna stacja telewizyjna KTOD zdołała nie tylko złapać ujęcie zwłok, lecz także wyemitować je w programie na żywo przynajmniej cztery razy, zanim komendant policji, a w końcu burmistrz wkroczyli do akcji i zakazali dalszego publikowania materiału.

Wiedziałem, jak zginął Raymond Visconti, a więc wiedziałem też, jak zmarł Andy Olin Flack.

Tak jak pięć lat wcześniej w przypadku Flacka, w dniu odnalezienia zwłok Raymonda Viscontiego staliśmy z Dunkiem przy oknie w moim mieszkaniu i patrzyliśmy, jak policjanci rozciągają taśmy i panoszą się w całym kwartale ulic. Widzieliśmy, jak detektyw Faustino Brier przyjeżdża na miejsce, znika w zaułku na blisko pół godziny, wychodzi z powrotem na ulicę i patrzy prosto na nasz budynek. Nie zdziwiłbym się, gdyby do nas pomachał, ale oczywiście tak się nie stało.

– Widzisz tamten furgon? – spytał Dunk, dopijając trzecią colę, po czym zgniótł puszkę. – Carmine’s Carpet?

– No widzę.

– To tajniacy. Obserwują mnie. Próbują się dostać do Crocketa.

– Goście od dywanów to tajniacy?

– Tajniacy udają, że sprzedają dywany.

– Na pewno?

Dunk poszedł do kuchni po kolejną colę i wrócił na swoje stanowisko przy oknie. Przyłożył puszkę do imponującej śliwy pod okiem i spuchniętego fioletowego nosa.

– Zmieniają się. Jednego dnia stoi auto z elektrycznego, następnego hydraulika i sanitariaty, potem ci od dywanów. Przyjeżdżają tutaj tak często, że jakby byli

prawdziwi, to wyłożyliby dywanami już wszystkie chodniki. Nikt nie kupuje aż tylu dywanów.

– Ile to trwa?

Dunk wzruszył ramionami.

– Z pół roku? Może dłużej. Trudno powiedzieć. Założyli mi też pluskwy w mieszkaniu. Znaleźliśmy cztery mikrofony. Nie jest to szczyt techniki, ale niezłe. Obstawiam, że lokalne gliny nie mają takiego sprzętu.

– Musisz przestać pracować dla Croqueta. Wylądujesz w pierdłu.

Dunk odciągnął zawleczkę i pociągnął łyk coli, po czym otarł usta grzbietem dłoni.

– W zeszłym miesiącu zarobiłem prawie trzydzieści tysiący. W tym pewnie uda mi się więcej. Crocket twierdzi, że to dobrze, że wiemy, gdzie są. Jeśli psy siedzą tutaj, to nie śledzą jego. W sumie fajna zabawa. Podrzucamy im fałszywe informacje i patrzymy, jak gonią za własnym ogonem. Nie mają pojęcia, co tak naprawdę robimy.

– On cię wykorzystuje. Jak cię przyskrzynią, to znajdzie innego frajera na twoje miejsce.

– Uczy mnie tego biznesu. Zapoznaje z ludźmi. Jak go kropną, to ja przejmę cały interes.

– Taki masz cel w życiu? Zostać największym dilerem w Pittsburghu, jak twój boss dostanie kulkę?

– Trzydzieści tysięcy miesięcznie – powtórzył. – Gdybym był szefem, zarabiałbym dziesięć razy więcej. Nie będę do końca życia zmywał garów.

– Krendal pozwala mi też gotować.

– Widzisz? Przyszłość nas wszystkich maluje się w jasnych barwach – skwitował Dunk. – No i nie będę musiał spłacać pożyczek studenckich. Idealna sytuacja.

Już praktycznie dałem sobie spokój z próbami wyperswadowania Dunkowi wybranej przez niego ścieżki kariery. Gorzej niż gadanie do ściany. Wiedziałem, że ma dobre serce, i liczyłem, że w końcu dopuści je do głosu. Niewiele więcej mogłem zrobić.

– Co to za kobieta z Faustinem? Znasz ją? – spytałem, zmieniając temat.

– Na pewno z psiarni, ale jej nie kojarzę.

Ciocia Jo zacharczała za naszymi plecami.

– Pogarsza jej się – stwierdził Dunk.

– Wiem.

Następny miesiąc zdawał się dłużyć w nieskończoność – nieustannie spodziewałem się, że policja zapuka do drzwi, ale nic takiego się nie wydarzyło.

Morderstwo Raymonda Viscontiego stopniowo zniknęło z prasy, podobnie jak siniaki z twarzy Dunka.

Zgodnie z obietnicą z ósmego września 1992 roku Dunk stanął na progu mojego mieszkania z sześcioma „współpracownikami”, z których trzech kojarzyłem, a trzech nie. Wszyscy byli uzbrojeni. Dwóch miało oprócz tego duże torby. Nie spytałem o ich zawartość.

– Popilnujemy ciotki Jo, kiedy będziesz w pracy – powiedział Dunk, przeciskając się obok mnie w drzwiach mieszkania. – Jak przyjdzie twój anioł stróż, to przekażę mu pozdrowienia od ciebie. – Pokazał lśniący kastet na prawej dłoni. Potem kazał swojej ekipie „rozstawić się” w mieszkaniu – o to też wolałem nie pytać.

– Spróbuj nakarmić Jo – powiedziałem, wychodząc z domu. – Nie tknęła obiadu.

Tego wieczoru, około wpół do dziesiątej, Gerdy złapała mnie w kuchni jadłodajni. Płukałem właśnie dzbanek do kawy w dużym zlewie.

Podawała mi jakąś kopertę.

– Ktoś to dla ciebie zostawił na bufecie.

Na białej kopercie widniał odręczny napis „John Edward Thatch”. W środku znajdowało się pięćset dolarów w dwudziestkach.

Przez następne miesiące koperty zawsze jakoś do mnie trafiały. Kolejne trzy w jadłodajni, kilka w szafce w szkole, jedna nawet w bibliotece publicznej – znalazłem ją na swoim biurku, kiedy wróciłem po odłożeniu książki na regał. Nowa koperta ósmego dnia każdego miesiąca, jak w zegarku.

Dunk nadal pilnował Jo, ale z czasem przestał zapraszać swoich koleżków.

Przez większość roku szukałem tamtego wielkiego domu, ale bez skutku. Dunk znalazł nawet gościa, który za pięćset dolarów sprawdził Latrese Oliver w różnych krajowych bazach danych, z fiskusem włącznie. Znalazł trzy kobiety o tym imieniu i nazwisku na terenie Stanów Zjednoczonych, ale żadna nie mieszkała w Pensylwanii. Żadne ze zdjęć nie wyglądało też znajomo.

Na wiosnę zacząłem rozwieszać plakaty. Z początku tylko kilka, w najbliższej okolicy, ale wkrótce zacząłem się włóczyć po nieznanomych miejscach, rozklejałem je na budynkach i słupach telefonicznych. Portret Stelli Nettleton z podpisem: „Czy ktoś mnie widział?”.

Dunk miał rację. Powinienem odpuścić.

Ale nie potrafiłem.

Nie mogłem.

23 kwietnia 1993 roku

*Siedemnaście lat*



Dn. 23.04.1993:

Dr Helen Durgin w pokoju obserwacyjnym. Przedstawiciel korporacyjny nr 6491 w pokoju obserwacyjnym. Pacjentka „S” stawiała się na umówioną wizytę. Pacjent „D” - parametry w normie.

### Nagranie audio/wideo

- Na potrzeby nagrania: mówi doktor Helen Durgin. Jestem w pokoju obserwacyjnym. Pacjentka „S” znajduje się pod drzwiami zewnętrznymi. Pacjent „D” znajduje się w swoim pokoju, siedzi na łóżku. Upewniliśmy się, że ma odpowiednio założoną maskę.

- Skoro sam ją sobie zakłada, to skąd możecie wiedzieć, czy jest „odpowiednio założona”? Może robi jakiś przekręt.

Durgin odczytała słowa z ruchu jego warg i zmarszczyła brwi.

- Przepraszam, kim pan jest?

- Nieważne. Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

- Wam na górze się wydaje, że jesteście tu najważniejsi.

- Proszę mi odpowiedzieć - powtórzył mężczyzna.

- Gdyby przybył pan tu punktualnie, a nie pięć minut po czasie, na własne oczy zobaczyłby pan procedury bezpieczeństwa.

- Odpowiedź, pani doktor. Kolejny raz nie będę prosił.

Doktor Durgin westchnęła.

- Paski na górze głowy i po bokach łączą się w zamku na potylicy. Kiedy wszystkie trzy są zapięte, lampka zmienia się z czerwonej na zieloną. Odblokować można je wyłącznie przy użyciu tego pilota. - Na jej palcu dyndał mały pilocik, jak od garażu czy domofonu. - Kiedy dziewczyna znajdzie się w środku i drzwi zostaną zabezpieczone, odblokuję zamek, żeby mógł zdjąć maskę.

- I co, będzie z nią rozmawiał? Nic jej się nie stanie? Robili to już?

- Nie skrzywdzi jej. Nigdy tego nie zrobił. Spotykają się od dzieciństwa.

- Czy ona zdaje sobie sprawę z ryzyka?

- Nie tylko zdaje sobie z niego sprawę, ale moim zdaniem sprawia jej to przyjemność. Jej opiekunka mówi, że po

każdej wizycie mówi o niej całymi dniami. Karmi się adrenaliną.

- Kto jest jej opiekunką?

- Latrese Oliver.

Mężczyzna pokiwał głową.

- W porządku, wpuszczajcie ją.

Doktor Durgin nacisnęła guzik mikrofonu.

- Odblokowuję zamknięcie drzwi. Wpuśćcie ją.

Wdusiła inny przycisk. Z głośników rozległo się „pstryk!” i zapaliła się czerwona lampka nad tablicą rozdzielczą.

Patrzyli przez szybę, jak otwierają się drzwi i do pomieszczenia wchodzi Stella Nettleton. Trzydzieści sekund później to samo pokazały ekrany monitoringu.

Doktor Durgin patrzyła, jak mężczyzna wodzi wzrokiem między szybą a monitorem po swojej lewej.

- Z powodu opóźnienia w transmisji lepiej obserwować wydarzenia na ekranie i zignorować to, co się dzieje w czasie rzeczywistym.

Mężczyzna skinął głową i utkwiał wzrok w monitorze.

Doktor Durgin patrzyła przez szybę, jak strażnik zamyka drzwi za Stellą. Zgasło czerwone światełko. Durgin uniosła pilota.

- Odblokowuję zamek maski.

Pół minuty później mężczyzna z firmy patrzył, jak pacjent „D” zdejmuje z twarzy maskę. Uśmiechnął się do pacjentki „S”.

Mężczyzna nie mógł oderwać oczu od dziewczyny. Rzeczywiście była przepiękna.

# 1

Ciocia Jo zmarła w środę o czternastej trzydzieści siedem, w ostatnim tygodniu kwietnia 1993 roku. Od trzech miesięcy nie wychodziła z domu. Za ostatnie pieniądze kupiłem łóżko szpitalne i zapłaciłem firmie przeprowadzkowej za wtaszczenie go po schodach, przeciśnięcie przez drzwi mieszkania i ustawienie przy ulubionym oknie cioci Jo w salonie. Rozkładany fotel trzeba było odsunąć do kąta, żeby zrobić miejsce.

Kobieta, która w tamtą środę wydała ostatnie tchnienie, nie była już moją ciocią, tylko wrakiem osoby, którą znałem. Chemia już dawno pozbawiła ją włosów. W zależności od dnia albo nie mogła, albo nie chciała jeść, więc chudła w oczach, aż zostały już tylko skóra i kości. Oczy zapadły się głęboko, a spierzchnięte wargi zwężyły się do cieniutkiej kreski. Kiedy otwierała usta, żeby coś powiedzieć, nie wydobywało się z nich nic oprócz nieświeżego powietrza, jakby umierała od środka, zepsuta gdzieś w głębi.

Tamtej środy, o czternastej trzydzieści siedem, na błękitnym wiosennym niebie unosiła się garstka białych puchatych chmurek. Temperatura wynosiła dwadzieścia dwa stopnie, a ludzie przechadzający się chodnikiem przed naszym blokiem nie mieli pojęcia, co się właśnie dzieje w mieszkanku na drugim piętrze. Pamiętam, że myślałem o tym, żywiąc do nich wszystkich głęboką nienawiść, kiedy siedziałem na brzegu stolika kawowego, przy łóżku cioci Jo, i wyglądałem przez okno na ulicę. Niektórzy przechodnie się śmiali, inni byli pogrążeni w myślach, ale wszyscy różnym krokiem przemieszczali się ku jakimś miejscom, na jakieś wydarzenia, które nie miały nic wspólnego z nowotworem i śmiercią.

Trzymałem ciocię za bezwładną dłoń, drobną i niezwykle delikatną. Gdyby nie to, że od czasu do czasu wzdrygała się we śnie, nic nie wskazywałoby na to, że żyje. Żadnego ciepła, żadnego ruchu, ucisku czy poluzowania chwytu. Wątpiłem, żeby zdawała sobie w ogóle sprawę, że tam jestem i trzymam ją za rękę.

Nie chciałem, żeby się budziła. We śnie wydawała się spokojna, zadowolona. Co kilka godzin, kiedy się wybudzała, najpierw tężała jej twarz, następnie zaczynała cicho jęczeć, a w końcu z trudem otwierała oczy, trzepocząc powiekami. Wkrótce potem na jej obliczu malowało się zdziwienie otoczeniem.

A później przychodził ból, zawsze. Pod koniec ból wypełniał każdą jej chwilę na jawie, tak jak z trudem łapane powietrze wypełniało jej zmęczone płuca.

Za każdym razem, gdy nieuchronnie się budziła, gdy pierwsze grymasy wykrzywiały jej twarz, Danny Reams, pielęgniarz przysłany z hospicjum, odkładał zaczytaną książczynę, która absorbowała go od chwili przyjścia, otwierał czarną skórzaną torbę i szykował kolejną strzykawkę z morfiną, ostrożnie odmierzając dawkę ze szklanej ampułki i stukając w igłę, żeby pozbyć się ewentualnych pęcherzyków powietrza. Kiedy zastrzyk był przygotowany, odkładał go na stolik i czekał.

Zawsze ta sama sekwencja zdarzeń – jęk śpiącej cioci Jo, odłożenie książki, wbicie igły w ampułkę, czekanie. Potem następował krótki okres trzeźwości, jasności umysłu, widocznej w oczach cioci, moment ulgi między przebudzeniem a atakiem bólu. Na te kilka chwil wracała moja dawna ciocia – rozmawiała, śmiała się, znajdowała nawet powody, żeby przeklinać mojego ojca. Za każdym razem, kiedy widziałem, że wybudza się z drzemki, że otwiera suche, zapadnięte oczy, korciło mnie, żeby zapytać ją o mój sen, o to pudełko. Ta myśl wydawała mi się tak egoistyczna, że robiło mi się niedobrze i szybko ją od siebie odsuwałem, ale przy kolejnym razie wracała tak niezawodnie jak jej ból.

Danny Reams bacznie przyglądał się pacjentce, mierzył jej ciśnienie i notował parametry życiowe w niewielkim notatniku. Potem czekał na nadejście bólu. Nigdy nie trwało to długo, góra kilka minut. Przemywał skórę na jej kruchym ramieniu, sięgał po strzykawkę i wbijał igłę, właczając lek do krwi.

Wtedy znowu przychodził sen.

Wtedy przychodził spokój.

Danny Reams wracał do lektury, a ja znowu łapałem ciocię za rękę.

Tamtej środy w ostatnim tygodniu kwietnia 1993 roku, o wpół do trzeciej po południu, ciocia Jo zajęczała, Danny Reams sięgnął po strzykawkę i napełnił ją morfiną z ampułki. Tym razem jednak nie nabrał płynu do kreski tuż za swoim kciukiem, a niemal do ostatniej kreski podziałki, po czym odłożył ją na brzeg stolika i wrócił do książki, nawet nie zerknąwszy w moim kierunku.

Nie mogłem oderwać wzroku od strzykawki. Wpatrywałem się w płyn i w zebrane na czubku powietrze, którego tym razem nie usunął.

Ciocia się obudziła i tym razem ból nie dał jej choćby chwili ulgi. Tym razem zaatakował natychmiast z całą siłą, ciocia ścisnęła moją rękę tak mocno, że aż zbieleły mi palce, i przyłapałem się na tym, że płaczę. Próbowałem za wszelką cenę powstrzymać te cholerne łzy, pozorować siłę ducha i stanowczość, jakoś przekazać cioci, że już niedługo wszystko będzie dobrze.

Danny Reams zaznaczył stronę, odłożył książkę i sięgnął po zastrzyk. Wycisnął zgromadzone powietrze, po czym wbił igłę w rękę cioci Jo.

Wypuściła moje palce z silnego uścisku.

Z jej ust dobiegło westchnienie.

Zamknęła oczy.

Jej ciało się rozluźniło.

A potem odeszła.

14.37.

Chodnik pod domem, pełen nieznajomych.

Potem łzy popłynęły strumieniem i nie mogłem ich już powstrzymać.

## 2

Gerdy McGowen uścisnęła moją dłoń.

Zerknąłem na nią – stała obok mnie w długiej czarnej sukni, czarnym kapeluszu i czarnych rękawiczkach. Uśmiechnąłem się wymuszenie.

Po lewej stronie miałem Dunka w ciemnym garniturze, którego jeszcze nigdy na nim nie widziałem i miałem już nigdy nie zobaczyć, i z nisko opuszczoną głową. Obok niego stał pan Krendal – zamknął jadłodajnię już do końca dnia. Mówiłem mu, żeby nie zamykał, że ciocia Jo by tego nie chciała, ale on mnie nie słuchał. Na odwrocie jednej z kart dań naskrobał obwieszczenie, które umieścił w oknie przy wejściu do lokalu:

**W piątek 30 kwietnia o 14.00 na cmentarzu South Side odbędzie się pogrzeb naszej najdroższej Josephine Gargery, kochającej cioci i przyjaciółki.  
Odeszła od nas za wcześnie.**

Na pogrzeb stawili się prawie całe Brentwood, setki ludzi. Niektórych znałem lepiej, innych gorzej, większości wcale. Aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, z iloma osobami ciocia Jo zetknęła się w życiu, i byłem im wdzięczny, że przyszli. Kiedy przybywały nowe osoby, czułem na sobie ich wzrok, wypatrywały mnie wśród żałobników, zanim znalazły sobie miejsce siedzące albo stojące w tłumie. Z początku czułem się nieswojo, ale potem uznałem, że to miłe – skierowane pod jej adresem ciepło, które emanowało na mnie.

Zamknięta trumna stała na materiałowych pasach nad dziurą obok grobu mojej matki, wykopaną ziemię przykryto zieloną płachtą. Myślałem o cioci Jo leżącej tak blisko mojego ojca, od którego miała ją dzielić tylko moja matka. Wyobrażałem sobie, że przy pierwszej nadarzającej się okazji wyciągnie rękę i trzepnie go w łeb.

Na tę myśl zachichotałem pod nosem i Gerdy spojrzała na mnie z konsternacją. Ponownie ścisnęła moją rękę.

Randkowaliśmy od kilku miesięcy – chodziliśmy do kina, restauracji, a nawet byliśmy na imprezie u Willy’ego Trudeau, kiedy jego rodzice pojechali na Bahamy. Alkohol lał się strumieniami, o co zadbał Dunk, który jakimś sposobem skołował keg i cały arsenał butelek. Gerdy wróciła ze mną do domu. Oboje byliśmy mocno podpici, oboje pragnęliśmy czegoś więcej od siebie nawzajem i czuliśmy się na tyle swobodnie, żeby to sobie dać.

To był mój pierwszy raz, a chociaż nic nie powiedziała, wiedziałem, że jej też. Zwinęła z imprezy zero siedem captaina morgana i wyłowiła flaszkę ze swojej wielkiej torebki, kiedy ja gmerałem kluczami w zamku, próbując otworzyć drzwi mieszkania. Pociągnęła długi łyk, wzdrygnęła się, po czym podała mi butelkę, a ja poszedłem w jej ślady – ciepły rum ukoił moje najeżone nerwy.

Kiedy w końcu otworzyłem drzwi, przytknąłem palec do ust i wskazałem głową na ciocię Jo, która spała twardo w fotelu pod oknem, a potem poprowadziłem Gerdy przez ciemne mieszkanie do mojego jeszcze ciemniejszego pokoju i zamknąłem za nami drzwi. Wchodząc do mieszkania, Gerdy miała na sobie różowy sweter i obcisłe džinsy. W sypialni odwróciłem się na chwilę, żeby zdjąć buty, a kiedy znów na nią spojrzałem, stała przede mną tylko w różowym staniku i majtkach do kompletu. Z błyskiem w oku znowu uniosła butelkę do ust, odwracając się przy tym lekko w bok, tak że zorientowałem się, że ma na sobie stringi. Kiedy podała mi rum, wyłopałem wielki haust i odstawiłem flaszkę na komodę, rozbierałem się niezdarnie, podczas gdy ona podeszła tyłem do łóżka i rzuciła się na plecy.

Kiedy obudziłem się rano, Gerdy już nie spała i siedziała w łóżku, zasłaniając pościelą drobne, jędrne piersi i wodząc wzrokiem po ścianach, niemal całkowicie pokrytych podobiznami Stelli.

– Trochę dziwna sytuacja – powiedziała cicho.

Próbowałem się wytłumaczyć.

Odparła, że nie trzeba.

Miło było trzymać Gerdy za rękę, ale jej miękkie czarne rękawiczki przypominały mi o innych dłoniach.

Ojciec Garland Hopps powitał zgromadzonych, a ja z całej siły starałem się słuchać jego słów. Wiedziałem, że są miłe i ciepłe, ale równie dobrze mógłby recytować tekst piosenki Zeppelinów albo preambułę konstytucji. Nic do mnie nie docierało.

Po pogrzebie kilka osób przyszło do mieszkania. Krendal załatwił kanapki. Panował cichy, poważny nastrój.

Dunk zwinął się mniej więcej po półgodzinie – wypadło mu coś pilnego. Jedno z aut Croketa zgarnęło go spod bloku. Gerdy wyszła niedługo później. Pozostali uznali to za sygnał i też się ulotnili.

Kiedy zostałem sam, usiadłem na brzegu łóżka cioci przy oknie i zauważyłem pogniecioną paczkę marlboro setek wciśniętą między zimną metalową ramę a materac.

Zatopiłem głowę w dłoniach i pozwoliłem łzom płynąć.

Chciałbym powiedzieć, że w 1993 roku śmierć spotkała tylko ciocię Jo, ale musiałbym skłamać. Wkrótce miały odejść kolejne osoby – dwie bardzo mi bliskie, jedna mniej, ale przeżyłem to równie mocno.



Dn. 05.03.1993:

Pacjent „D” - parametry w normie.

### Nagranie audio/wideo.

- Dlaczego wszyscy dziś są tacy sztywni, jakby kij połknęli? Ten nygus Cody kazał mi się wylegitymować przy wejściu, przecież zna mnie cztery lata - narzekał Carl. Warren nie podniósł wzroku znad listy procedur na rozpoczęcie zmiany.

- Miał miejsce pewien incydent.

- Incydent?

- Ci na górze chyba nie wiedzą, co z tym fantem zrobić, więc zaostrzyli ochronę i znowu z wszystkimi rozmawiają.

- Serio? Dwa tygodnie temu też robili te wywiady. Nie mam nic do dodania poza tym, że w sobotę strułem się meksykańskim żarciem. Mam takie nudne życie, że matka dzwoni do mnie tylko raz w miesiącu, a i tak słyszę, że krząta się po kuchni, robi pranie i Bóg wie co jeszcze, chociaż udaje, że bardzo ją obchodzę.

- Tak czy siak, przygotuj się, że będziesz musiał szczegółowo opowiedzieć o swoich przygodach z burrito. Byłem tam godzinę temu i kazali mi przerobić ostatnie trzy miesiące, przypomnieć sobie wszystko, co działo się tutaj, w domu, w spożywczaku, łącznie z tym, co każdego wieczoru oglądałem w telewizji. Jakbym miał to niby pamiętać. Losowe pytania o codzienne sprawy. Obłąd.

- Można by się spodziewać, że zapytają cię raczej o wszystkie rzeczy, które stąd ukradłeś.

- Pół roku temu wziąłem do domu jedną rolkę papieru toaletowego - sprostował Warren. - Nie była to zbrodnia stulecia.

- A co się właściwie stało?

Warren westchnął.

- Chłopak coś szepnął.

- Że co?

- Była u niego pacjentka „S” i w którymś momencie nachylił się i coś jej powiedział.

- Co powiedział?

Warren przewrócił oczami.

- W tym sęk. Nikt nie wie. Mikrofony nie zarejestrowały.
- A ta doktorka? Ona czyta z ruchu warg, nie?
- Według niej powiedział pacjentce „S”, że ją kocha.
- To nie najgorzej. Całkiem uroczo. Prędzej czy później chłopaka musiało zacząć świerzbić w majtkach. Pomyśl tylko, nastoletni chłopak, bez przerwy zamknięty, zna tylko jedną dziewczynę, nie licząc doktorki. Hormony pewnie nie dają mu spokoju.
- Nie wierzą jej.
- Kto?
- Firma. Hilbert miał dyżur, mówił, że wpadli w panikę. Wyciągnęli pacjentkę „S” i odizolowali ją w trzystaczwórce, a potem zaciągnęli doktorkę na przesłuchanie. Z tego, co słyszałem, przemaglowali ją na wszystkie strony. No ale nic to nie dało. Upierała się, że powiedział tylko „kocham cię”. Powtarzała, że przesadzają z reakcją.
- Ale dziewczynie nic nie jest, prawda? No bo gdyby powiedział coś innego, chciał jej zrobić krzywdę, toby mu się udało.

Warren wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że wszystko z nią w porządku. Twierdzi to samo, że powiedział „kocham cię”. Ta cała Oliver zgarnęła ją z izolatki jakieś pół godziny później i zabrała do domu.
- Skoro nikomu nic nie dolega, to czemu robią taką aferę? Po co te przesłuchania?

Warren zniżył głos.

- Ludzie mówią, że zdaniem firmy chłopak mógł zaszcześcić jej jakiś rozkaz. Coś z opóźnionym działaniem.
- On może robić takie rzeczy?

Warren znów tylko wzruszył ramionami.

- A kto go tam wie? Nie dołączyli do niego instrukcji obsługi. Uczymy się go na bieżąco. Chyba się boją, że chłopak też się uczy.
- To nadal nie tłumaczy przesłuchań.
- Pewnie się obawiają, że mógł to zrobić też komuś innemu.
- Zaszczepić instrukcje?
- Tak.
- To niemożliwe. Oprócz doktorki i dziewczyny nikt tam nie wchodzi. Nie miał sposobności. A nawet gdyby jakimś cudem

kogoś dorwał, to przecież byłby zapis. Ktoś zawsze go obserwuje.

- Nie jestem pewny, ale może właśnie dlatego pytali głównie o moją codzienną aktywność. Chcieli sprawdzić, co pamiętam, a czego nie.

Wtedy do Carla dotarło.

- Próbują ustalić, czy nie kazał ci o czymś zapomnieć.

- No.

### 3

Poniedziałkowy ranek przyniósł słońce, już o dziesiątej temperatura przekraczała dwadzieścia stopni. Wziąłem prysznic, ogoliłem się i próbowałem przygotować na dzień, który, jak miałem nadzieję, nigdy nie nadejdzie.

Kancelaria adwokacka Matteo, Santillan i Veney mieściła się w nijakim trzykondygnacyjnym budynku z cegły na północno-wschodnim rogu skrzyżowania Brownsville Road z Clairton Boulevard. Pierwsze i drugie piętro zajmowały mieszkania, na parterze zaś znajdowała się kancelaria, nieduży sklep zoologiczny i pralnia samoobsługowa. Naprzeciwko stało centrum handlowe z supermarketem Giant Eagle. Naliczyłem sześć kobiet, które przekraczały ulicę z koszami na pranie (a czasem też obwieszone dzieciakami) – albo zostawiały brudne ubrania przed pójściem do sklepu, albo odbierały je po zakupach – i siedząc tak na niewygodnym krześle z obiciem ze skaju w recepcji prawnika cioci Jo, zastanawiałem się, dlaczego ktoś nie przeniesie pralni na drugą stronę ulicy, do centrum handlowego.

Gerdy siedziała obok mnie na równie niewygodnym krześle, kartkując stary numer „People” ze stolika w poczekalni. Na okładce widniało zdjęcie niejakiego Davida Koresha z nagłówkiem „Mroczny mesjasz: sekta z Waco od podszewki” wydrukowanym jaskrawożółtymi literami. Gerdy miała na sobie różową letnią sukienkę i japonki. Założyła nogę na nogę, tak że lewy kłapek niebezpiecznie dyndał na palcu – myślałem, że spadnie na wyłożoną kafelkami podłogę, ale nie, huśtał się tylko wte i wewte. Dostałem zwolnienie ze szkoły na dwa tygodnie, ale Gerdy po prostu wagarowała.

Recepcjonistka miała pod sześćdziesiątkę, krótko obcięte włosy platynowoblond i duże okulary w czerwonej oprawce. Na jej biurku leżała dzisiejsza gazeta, otwarta na horoskopie i krzyżówce. Przed kwadransem, kiedy przyszliśmy, miała wpisane jedno słowo („chart”) i od tej pory nie tknęła strony ołówkiem.

Telefon na biurku zadzwonił, kobieta podniosła słuchawkę, zerknęła na naszą dwójkę i się rozłączyła.

– Pan Matteo może już państwa przyjąć.

Ruszyliśmy za nią wąskim korytarzem, z dziesiątkami białych kartonów na dokumenty ustawionych pod ścianą po lewej, do salki konferencyjnej, zastawionej kolejnymi pudłami. Recepcjonistka zrobiła nam dwa miejsca przy stole przy drzwiach i gestem zaprosiła, żebyśmy usiedli.

– Proszę chwilę poczekać. Napiją się państwo czegoś? Kawy?

Zgodnie pokręciliśmy głowami i kobieta zostawiła nas samych, znikając w korytarzu prowadzącym do jej biurka.

– Chyba zaraz kichnę – poskarżyła się Gerdy, marszcząc nos. – Strasznie tu zakurzone.

Czytałem niedawno *Firmę* Johna Grishama i chyba się spodziewałem, że prawnik cioci Jo (i w ogóle wszyscy prawnicy) pracuje w przestronnej kancelarii, urządzonej w drogim mahoniowym drewnie, wyposażonej w jeszcze droższe obite skórą meble oraz dywany tak puszyste, że można się w nich utopić. Tymczasem praktycznie słyszałem szum pralek i suszarek przez cienką ścianę salki konferencyjnej, a moją uwagę zwróciła pomarańczowa, lśniąca wilgocią plama na taniej boazerii pod klimatyzatorem w oknie – głośnym urządzeniem zamontowanym na desce podpartej starymi książkami.

Uśmiechnąłem się do Gerdy.

– Dzięki, że ze mną przyszłaś.

– Nie ma za co – odparła.

Prawdę mówiąc, to Dunk miał mi towarzyszyć. Pan Krendal też twierdził, że ze mną pójdzie. Dunk wykręcił się poprzedniego wieczoru, a Krendal zadzwonił pół godziny przed naszym wyjściem z domu. „Lurline właśnie dzwoniła, że się spóźni. Nie mogę się stąd ruszyć. Bardzo cię przepraszam, młody”.

– Dunk w pracy?

Przytaknąłem.

Gerdy być może wiedziała, jak Dunk zarabia na życie, ale nigdy nie suszyła mi o to głowy. Lurline dzwoniła też do Gerdy, że się spóźni – jej synek miał gorączkę, musiała zaczekać na opiekunkę. Gerdy dotarła do mojego mieszkania, stała już w korytarzu i właśnie miała zapukać, kiedy otworzyłem drzwi. Uśmiechnęła się, powiedziała: „Nie powinieneś załatwiać takiej sprawy sam”, wzięła mnie za rękę i wyprowadziła z budynku, zanim zdążyłem zgłosić obiekcje.

Nie żebym jakieś miał.

Cieszyłem się z towarzystwa.

Z korytarza dobiegł łomot, a potem jakiś mężczyzna zaklął pod nosem.

– Tess, może raczyłabyś dzisiaj zająć się tymi pudłami? Przenieś je do magazynu czy coś.

– W magazynie pełno! – odkrzyknęła recepcjonistka.

– No to do piwnicy.

– Ja tam nie zejść. Sam niech pan sobie tam łązi.

Do sali konferencyjnej wszedł otyły mężczyzna w brązowym tweedowym garniturze, marynarka prawie pękała mu na brzuchu. Z nachmurzoną miną patrzył w stronę recepcji, szarpiąc drzwi i starając się zamknąć je za sobą siłą, bo dolna część skrzydła zahaczała o dywan.

Gerdy kichnęła.

– Na zdrowie – powiedzieliśmy chórem.

Mężczyzna wyciągnął do mnie pulchną dłoń.

– Dewitt Matteo, prawnik pańskiej ciotki. Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje. To była wspaniała kobieta. Chodziliśmy razem do liceum. Ale ten czas leci... Odnowiliśmy znajomość, kiedy zacząłem tu pracować, wpadłem na nią w jadalni. Was też tam widuję. W szkole byłem chudy jak patyk. Przekażcie Krendalowi, że to wyłącznie jego вина. – Poklepał się po okrągłym brzuchu, rozpiął marynarkę i usiadł. – Grałem w szkolnej drużynie koszykówki, uwierzycie? Josephine Gargery, wspaniała kobieta – powtórzył.

Miał przy sobie teczkę na dokumenty. Położył ją na stole konferencyjnym, otworzył i przebiegł wzrokiem pierwszą stronę, potem kolejną i następną. Dostrzegłem nagłówek OSTATNIA WOLA I TESTAMENT, ale nic poza tym. Gerdy ścisnęła moją dłoń.

Matteo odchrząknął i zerknął na zegarek.

– Spodziewałem się jeszcze jednej osoby, ale wygląda na to, że się nie pojawi. Ale do tego przejdziemy później. Najpierw odbędziemy formalności. Potem zajmiemy się szczegółami. – Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął okulary, założył je i spojrzał na mnie. – Gotowy?

Skinąłem głową. Prawniki zaczął czytać na głos:

– „Ostatnia wola i testament Josephine Laury Gargery. Ja, Josephine Laura Gargery, osoba pełnoletnia zamieszkała przy Brownsville Road osiemnaście dwadzieścia dwa, mieszkanie trzysta sześć, w Pittsburghu w stanie Pensylwania, kod pocztowy piętnaście dwieście dziesięć, zdrowa na umyśle, oznajmiam, że niniejszy dokument stanowi moją ostatnią wolę i testament. Niniejszym unieważniam wszelkie sporządzone przeze mnie wcześniej akty woli i kodycyli. Artykuł pierwszy. Wyznaczam Dewitta Mattea na mojego przedstawiciela odpowiedzialnego za wykonanie testamentu, wnosząc przy tym, aby mógł działać bez nadzoru sądu i bez konieczności przedstawienia poręczenia. Na wypadek niemożności wywiązania się z tego obowiązku przez Dewitta Mattea wyznaczam Donovaną Santillana lub Emanuela Veneya”... To moi partnerzy – wtrącił Dewitt. – ...„na mojego przedstawiciela, wnosząc przy tym, aby mógł działać bez nadzoru sądu i bez konieczności przedstawienia poręczenia”.

Matteo przewrócił kartkę.

– „Artykuł drugi. Nakazuję mojemu przedstawicielowi pokryć z pozostawionego przeze mnie majątku wszelkie wydatki medyczne, koszty administracyjne, egzekwowalne prawnie roszczenia wierzycieli, federalne podatki spadkowe oraz wszelkie inne opłaty urzędowe wynikające z faktu mojej śmierci, bez ubiegania się o zwrot lub obciążania jakiejkolwiek osoby jakąkolwiek częścią podatków i wniesionych opłat, a w razie potrzeby także uzasadnione koszty pogrzebu, w tym koszt odpowiedniego kamienia nagrobnego, bez konieczności wydania nakazu sądu zatwierdzającego wyżej wymienione wydatki”.

Matteo podniósł wzrok znad testamentu.

– Od razu nadmienię, że już to załatwiliśmy. Nie chcieliśmy obciążać cię kwestiami związanymi z organizacją pogrzebu. Jo też tego nie chciała, więc kancelaria opłaciła już wszystkie rachunki. Tess zajęła się stroną logistyczną, możesz jej podziękować. Odliczymy te wydatki z masy spadkowej.

– Dziękuję – wydusiłem. Nie miałem pojęcia, skąd mogliby wziąć te pieniądze. Rachunek bieżący cioci Jo został wyzerowany i zamknięty już wiele miesięcy temu. Ja miałem jeszcze nieco gotówki, ale niewiele.

Prawnik wrócił do odczytywania ostatniej woli.

– „Artykuł trzeci. Cały posiadany przeze mnie majątek zapisuję mojemu siostrzeńcowi, Johnowi Edwardowi Thatchowi”. – Matteo zawiesił głos, czytając następny fragment po cichu. – „Artykuł czwarty. Jeśli w chwili mojej śmierci John Edward Thatch będzie osobą małoletnią w świetle prawa obowiązującego w stanie Pensylwania, wyznaczam Elfriedę Leech na jego opiekuna prawnego do czasu osiągnięcia przez niego pełnoletności w świetle prawa stanu Pensylwania”.

Gerdy nachyliła się do mnie.

– Kto to jest Elfrieda Leech?

– Miała się tu dziś stawić – wtrącił Matteo.

Nie odpowiedziałem od razu, próbując ogarnąć rozumem treść testamentu.

– To nasza sąsiadka z naprzeciwka, mieszka pod trzystaczwórką. Opiekowała się mną w dzieciństwie. Nie wychodzi z domu. Wiele lat temu było u niej włamanie. Zdaje się, że padła ofiarą pobicia i gwałtu. Podobno zostawili ją na pewną śmierć. Kiedy wyszła ze szpitala, zabarykadowała się w mieszkaniu i nigdy z niego nie wyszła.

– Boże, co za straszna historia! – zawołała Gerdy.

– Ciocia Jo robiła jej zakupy – ciągnąłem. – Potem, kiedy zachorowała, ja się tym zajmowałem. Co czwartek pani Leech przykleja na drzwiach kopertę z listą zakupów i pięćdziesięcioma dolarami. Kupuję, czego potrzebuje, i zostawiam jej torby pod drzwiami. Zawsze pukam, ale nie otwiera. Potem torby znikają, ale od

lat jej nie widziałem. – Spojrzałem na Mattea. – Jest pan pewny, że to aktualny testament?

– Jo przyszła do mnie niedługo po otrzymaniu diagnozy, jakiś rok temu. Osobiście zaniósłem dokumenty pani Leech i podpisała je w mojej obecności.

– Wpuściła pana?

Matteo uciekł wzrokiem. Zaczął się bawić piórem leżącym obok teczki.

– No, niezupełnie. „W mojej obecności” to nie do końca precyzyjne określenie. Wyjaśniłem jej, kim jestem i co tam robię, a ona poprosiła, żebym wsunął dokumenty pod drzwi. Jo uprzedziła ją, że przyjdę, wszystko wytłumaczyła. Pani Leech podpisała dokumenty i oddała mi je tą samą drogą. Poprosiłem o prawo jazdy, żeby sprawdzić podpis. Chwilę jej to zajęło, ale w końcu je znalazła i podała mi pod drzwi. Straciło ważność jakiś czas temu, właściwie prawie dwadzieścia lat, ale podpis się zgadzał. – Postukał w jakiś formularz w teczce. – Tess zostawiła jej wiele wiadomości w związku z dzisiejszym odczytaniem testamentu. Miała przyjść.

– Nie wyszłaby z mieszkania – mruknąłem. – Jak mówiłem, nigdy nie wychodzi.

Matteo położył dłoń płasko na teczce.

– To w zasadzie czysta formalność. Masz prawie osiemnaście lat, zgadza się?

Skinąłem głową.

– Skończę w styczniu.

– Czyli za siedem miesięcy. – Matteo zniżył głos. – Ciotka nie chciała ryzykować, że zabierze cię opieka społeczna, trafisz do rodziny zastępczej czy domu dziecka, więc dogadała się z sąsiadką. Trzeba będzie zmienić ci adres zameldowania na mieszkanie trzysta cztery, u pani Leech, ale jeśli tylko będziesz opłacał czynsz, nie widzę powodu, żebyś musiał się przeprowadzać. Gdyby ktoś pytał, mów, że mieszkasz u pani Leech. Jasne?

Pokiwałem głową, wciąż trawiąc nowe informacje. Matteo tymczasem wrócił do teczki i przewrócił stronę.

– „Artykuł piąty. Jeśli mój spadkobierca nie przeżyje mnie co najmniej o trzydzieści dni, spadek należy podzielić po równo między pozostałych krewnych. Podpisano, Josephine Laura Gargery”.

– Nie mamy innych krewnych – stwierdziłem półgłosem.

– No to nie umieraj, bo wszystko przejdzie na własność skarbu państwa. – Przewrócił kartkę. – Jako że jesteś niepełnoletni, środki z wszystkich polis ubezpieczeniowych trafią do funduszu powierniczego zarządzanego przez naszą kancelarię. Będziemy opłacać wszystkie rachunki, oczywiście za niewielką prowizją, a dodatkowo dostaniesz comiesięczne kieszonkowe. Pozostałe środki zostaną ci przekazane w dniu dwudziestych drugich urodzin, pod warunkiem że



ukończysz studia licencjackie. Josephine bardzo na to nalegała. Opowiadała się za Penn State. Bardzo stanowczo się opowiadała.

– Jakie polisy ubezpieczeniowe? Ciocia Jo nie była ubezpieczona.

Matteo zajrzał do teczki i wyciągnął plik papierów spiętych metalowym klipssem.

– Twoja ciotka miała wykupione trzy polisy na życie. Pierwszą podpisała szóstego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku.

– To dwa dni przed śmiercią moich rodziców.

– Drugą wykupiła w osiemdziesiątym czwartym, a trzecią około dwóch lat temu, zanim otrzymała diagnozę.

– Ale jak mogła sobie na to pozwolić?

Matteo wzruszył ramionami.

– Była stosunkowo młoda i zdrowa. Przypuszczam, że składki nie były zbyt wysokie.

– Czyli starczy na pokrycie kosztów pogrzebu? – Przynajmniej o to nie musiałem się martwić.

Matteo odkleił żółtą karteczkę z bloczku i podsunął mi ją po blacie.

– Po pokryciu opłat spadkowych i naszych dotychczasowych kosztów administracyjnych zostaną ci dwa miliony osiemset dwadzieścia trzy tysiące dolarów i osiemdziesiąt cztery centy. Jak wspominałem, zgodnie z wolą ciotki będziesz mógł wypłacić te pieniądze tylko pod warunkiem ukończenia studiów. Musisz się tym zainteresować, jeśli jeszcze nie zacząłeś. W razie potrzeby mogą ci pomóc ze składaniem podań. Oczywiście odpłatnie. Jakie masz stopnie?

Wyszliśmy z kancelarii, trzymając się za ręce, i przez całą drogę powrotną milczeliśmy.

Być może doznałem szoku.

Na pewno byłem oszołomiony.

Gerdy trzymała się niewiele lepiej.

Matteo mówił dalej, jakby odziedziczenie blisko trzech milionów dolarów po ciotce, którą uważało się za pozbawioną środków do życia, było czymś najzupełniej normalnym. Opowiadał o uczelniach i szkołach z internatem, możliwych ścieżkach kariery i podróżach, kieszonkowym i dniówkach. Jego słowa sływały po mnie jak woda po gładkich kamieniach. Słyszałem, ale nie docierała do mnie treść.

Kiedy dotarliśmy do mojego budynku, zatrzymałem Gerdy przed drzwiami i przerwałem milczenie.

– Nie możemy nikomu powiedzieć.

– Okej.

– Naprawdę nikomu.

– Okej.

– Nawet Krendalowi i ludziom z pracy. Przynajmniej dopóki sam tego wszystkiego nie ogarnę.

– Nawet Dunkowi? – spytała.

– Nawet Dunkowi.

– Okej.

Splotła palce z moimi palcami, a drugą ręką odgarnęła mi włosy z oczu. Znowu mi odrosły. Dawniej strzygła mnie ciocia Jo. Niedługo będę musiał się obciąć. Może Gerdy by...

– Dlaczego? – spytała Gerdy.

Powinienem mieć na to jakąś odpowiedź, ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Chodziło przecież o moich przyjaciół. W dużym stopniu byli dla mnie rodziną. Jedynym, co zostało mi po śmierci cioci. Dlaczego nie chciałem im powiedzieć?

– Ucieszyliby się, że tak ci się poszczęściło.

– Wiem.

– No to czemu nie?

Westchnąłem, wbijając wzrok w nasze stopy skierowane ku sobie na popękany chodniku.

– To wszystko wydaje mi się nierealne. Takie rzeczy się nie dzieją, nie przytrafiają się ludziom takim jak my. Ciągłe próbuję przetrwać śmierć cioci Jo. To dla mnie za dużo. W tej chwili potrzebuję normalności, stabilizacji. Chcę wrócić do jadłodajni, zmywać gary, gotować i udawać, że wszystko jest po staremu. Chcę wrócić do domu i zastać ciocię Jo palącą jednego za drugim pod oknem.

– Ale ona odeszła. Musisz się z tym pogodzić – powiedziała Gerdy łagodnie. – Musisz iść przed siebie.

– Wiem, że muszę, ale nie chcę. Przynajmniej dzisiaj.

– Odeszła, zostawiając ci prezent, najwspanialszy dar, jaki mogła. Coś niezwykłego. Znalazła sposób, żeby zapewnić ci lepsze życie. Najlepsze życie.

– Jeśli przyjmę te pieniądze, powiem o nich innym... Jej śmierć stanie się realna. Chyba nie jestem na to jeszcze gotowy.

– Niemówienie o tym nie wróci jej życia.

– Wiem.

– Zrób coś dobrego z tymi pieniędzmi, idź na studia, jak tego pragnęła, stań się kimś... W ten sposób uczcisz jej pamięć. Będzie żyła w twoich działaniach. – Gerdy uśmiechnęła się do mnie, marszcząc piegowaty nos. – Jesteś dobrym

chłopakiem, Jack. Nie chciała, żebyś spędził całe życie przy garach albo na zmywaku w jakiejś spelunie w Pittsburghu.

– Przez całe życie sądziłem, że tylko to mnie czeka. Nie mogę tego tak po prostu zmienić. Nie przemebluję sobie całkowicie myślenia. Nie mam pojęcia, co innego chciałbym robić.

– Jesteś wspaniałym artystą – stwierdziła Gerdy. – Może powinieneś podążać tą ścieżką. Poza tym nieźle gotujesz, mógłbyś otworzyć własną restaurację. Nie musisz podejmować tej decyzji dzisiaj ani nawet w przyszłym tygodniu.

– Dzisiaj chcę być tylko kuchcikiem.

Gerdy pokiwała głową.

– W takim razie tym dzisiaj będziesz.

– Nie powiesz nikomu?

Przesunęła palcem po ustach.

– Zupełnie nikomu. Dopóki nie będziesz gotowy.

Nachyliłem się i ją pocałowałem. Nie spodziewała się tego. Ja też nie, ale okazało się to bardzo przyjemne. Nagle oczyma wyobraźni zobaczyłem Stellę i siłą wyrzuciłem ją z głowy, czując palące wyrzuty sumienia.

Kiedy się od siebie oderwaliśmy, Gerdy spojrzała na mnie z uśmiechem, a jej oczy lśniły w porannym słońcu.

– Nie przeszkadza mi, że jestem tą drugą – wyszeptała.

Ująłem jej twarz w dłonie.

– Ale mnie przeszkadza. Zasługujesz na więcej.

Miałem jej jeszcze tak dużo do powiedzenia, ale brakowało mi właściwych słów. Otworzyłem więc drzwi do bloku i przytrzymałem przed nią, po czym znowu w milczeniu weszliśmy do środka.

Na drugim piętrze zaprowadziłem ją do mieszkania 304.

– To tutaj.

Po tych słowach stałem jednak bez ruchu, nie zapukałem, więc Gerdy przejęła inicjatywę. Trzy głośnie stuknięcia w drzwi. Po upływie minuty bez żadnej odpowiedzi zapukała znowu.

– Idź sobie – odezwał się stłumiony głos.

– Proszę pani, tu Jack z naprzeciwka. Musimy porozmawiać.

– Nie potrzebuję zakupów. Nie chcę rozmawiać. Idź sobie.

– Wracamy właśnie z kancelarii Dewitta Matea, prawnika cioci Jo. Podobno z panią rozmawiał.

– Mówiłam mu, że nie chcę żadnych bachorów. To nie jest świat dla dzieciaków. – Drzwi nadal tłumiły jej głos, ale teraz odzywał się jakby bliżej. – Zaraz, „wracamy”? Ktoś z tobą jest?

– Nazywam się Gerdy McCowen, proszę pani. Pracuję z Jackiem u Krendala.

Teraz musiała stać już przy samych drzwiach, pewnie się do nich przyciskała.

– Powiedziałam temu prawnikowi, że z Jacka jest złodziej. Ukradł mi książkę. Nie można mu ufać. Panienci też raczej nie powinny się z nim zadawać. Nie będziesz z nim bezpieczna.

Gerdy spojrzała na mnie i bezgłośnie powtórzyła: „Książkę?”.

Zwróciłem się do drzwi.

– Chodzi pani o *Wielkie nadzieje*?

– Pożyczyłeś ją ode mnie, obiecałeś przynieść z powrotem i nie oddałeś. To kradzież, a złodzieje to dranie.

– Mam ją w swoim pokoju, mogę zaraz pani przynieść, ale ciągle ją czytam. To jedna z moich ukochanych książek. Pozaginałem niektóre strony, pozaznaczałem fragmenty. Może lepiej kupię pani nową?

Na chwilę zapadła cisza.

– Uwielbiam nowe książki. Od lat żadnej nie dostałam. Ale może jakąś inną. Nie przepadam za Dickensem.

Oparłem się o drzwi.

– To może zrobimy tak: niech pani zrobi listę swoich ulubionych pisarzy, a ja przyniosę pani dziesięć nowych książek, razem z zakupami w czwartek.

– Dziesięć?

– Dziesięć.

– A może dwanaście?

Przewróciłem oczami.

– Dobrze, dwanaście.

– I nowy egzemplarz *Wielkich nadziei*, żeby zastąpić ten, który ukradłeś. Nie lubię luk w księgozbiornie, a teraz mam na regale zakurzoną dziurę.

– Umowa stoi.

Rozległ się szcęk otwieranego zamka, potem kolejnego i jeszcze jednego. Pani Leech uchyliła drzwi na wąską szparę, zmierzyła nas wzrokiem, a potem rozejrzała się w obie strony po korytarzu, upewniając się, czy jesteśmy sami. Kiedy przekonała się, że nikt nam nie towarzyszy, otworzyła tylko odrobinę szerzej i nerwowo zaprosiła nas do środka.

– Szybciej.

Gerdy pierwsza wcisnęła się do mieszkania, ja za nią. Pani Leech natychmiast zatrzasnęła za nami drzwi, zamknęła na trzy zasuwki i łańcuch.

Od lat nie widziałem mieszkania Elfriedy Leech i rozglądając się teraz wokół, zastanawiałem się, kiedy ostatnio powstała tu czyjakołwiek stopa. Czy wpuszczała tu choćby gospodarza budynku?

Stery gazety, które pamiętałem z dzieciństwa, nadal nade mną górowały – teraz sięgały aż do sufitu, a przy każdej rósł już świeży stosik. Te nowe niemal

dorównywały wysokością starszym i było ich tyle, że pożarły niemal całą powierzchnię. Mieszkanie pani Leech miało taki sam rozkład jak moje, więc wiedziałem, gdzie powinny się znajdować poszczególne pomieszczenia, ale na pierwszy rzut oka wszystko sprawiało wrażenie obcości – labirynt papierowych wież wyrastających z drewnianej podłogi. Wiedziałem, że w tylnej ścianie znajdują się dwa okna, tak jak u mnie, ale zostały zaklejone folią aluminiową, tak by światło próbujące dostać się do środka poszło sobie gdzie indziej.

Pani Leech gapiła się na mnie z rozdziawionymi ustami.

– Kiedy ty tak urosłeś?

Nigdy nie miała telewizora i o ile było mi wiadomo, od wielu lat nie wyszła za próg mieszkania. Jedyne kontakty ze światem zewnętrznym utrzymywała za pośrednictwem gazet dostarczanych pod drzwi. Zastanawiałem się, czy czas płynie dla niej tak samo jak dla reszty z nas – wydawało się, że mieszkanie i lokatorka utknęły gdzieś w przeszłości, w ciemnym punkcie między tyknięciami zegara świata.

Gerdy kichnęła.

– Przepraszam, alergia mnie dziś męczy.

Biorąc pod uwagę stan lokalu, to prawdziwy cud, że wszyscy troje bez przerwy nie kichaliśmy. Wszystko pokrywała tak gruba pierzyna kurzu, że powierzchnie przybrały matowoszary odcień. Przypuszczałem, że gdybym przeciągnął palcem po jakimś sprzęcie, nie zostawiłbym smugi, tylko warstwa kurzu ugięłaby się niczym gruba narzuta.

Pani Leech obeszła dwie sterty gazet i zniknęła nam z oczu w okolicach miejsca, gdzie powinna znajdować się kuchnia.

– Macie ochotę na szklankę mleka, wodę, kawę albo herbatę?

Gerdy szybko pokręciła głową.

– Nie, dziękujemy – odparłem.

– No to herbata! – zawołała w odpowiedzi. – Zawsze o tej porze piję herbatę. Usiądźcie sobie przy kominku, dajcie mi chwilę. Nie spodziewałam się dziś gości. Przepraszam, nie miałam czasu tu ogarnąć.

Spojrzeliliśmy z Gerdy po sobie, a potem po otoczeniu. Ledwie mogliśmy się ruszyć o krok. Skinąłem głową w stronę salonu.

– Pamiętam, że tam gdzieś był kominek. – Wziąłem ją za rękę i poprowadziłem przez labirynt na tyły mieszkania, ku zasłoniętym oknom.

U mnie nie było kominka, a i u pani Leech wszystko wskazywało na to, że bardzo dawno nie płonął w nim ogień. W palenisku leżały trzy polana, trzymające się w kupie na słowo honoru i dzięki pajęczynom tak grubym, że tworzyły stałą, nieprzejrzystą białą masę. Na gzymsie kominka zalegały książki, podobnie jak na regałach wokół, ustawione w podwójnych, a czasem nawet potrójnych rzędach,

a kolejne egzemplarze piętrzyły się na podłodze w stertach nieco mniejszych od tych gazetowych. Stosy na pierwszy rzut oka wydawały się zebrane przypadkowo, ale zauważyłem, że są ustawione w kolejności alfabetycznej według nazwiska autora. Kompletnie zakurzone, jak wszystkie inne powierzchnie. Tutaj jednak kurz nie był taki jednolity – niektórych grzbietów wyraźnie ktoś niedawno dotykał, na innych nie dało się odczytać tytułu.

Przed kominkiem stała kanapa, dwa fotele i stolik kawowy.

Usiedliśmy z Gerdy na kanapie, starając się niczego nie dotykać.

Kiedy pani Leech pojawiła się ze srebrną tacą, stanęła i przez bardzo długą chwilę na nas patrzyła, po czym w końcu powiedziała:

– Obawiam się, że to moje miejsce.

Przesiedliśmy się na fotele.

Pani Leech postawiła tacę na rozchwierutanym stoliku i podała nam po porcelanowej filiżance parującej herbaty na delikatnym spodeczku.

– Mleka, cukru?

Pokręciliśmy głowami. Ona dodała do swojej herbaty jedno i drugie, usiadła na kanapie, pociągnęła łyk i odstawiła filiżankę na stolik.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Próbowałem się napić, ale poparzyłem sobie wargi, więc tylko niezgrabnie trzymałem filiżankę.

– Uznałem, że powinniśmy porozmawiać o cioci Jo. Ustanowiła panią moją opiekunką. Chciałem chyba podziękować.

Pani Leech błyskawicznie przeniosła wzrok ze mnie na Gerdy i z powrotem.

– Będziesz dostawał dwa tysiące dolarów miesięcznie. Ma to pokryć czynsz, rachunki i zakupy spożywcze. Od teraz będziesz też robił dla mnie zakupy.

– Przecież już teraz to robię, co czwartek.

– Od teraz będziesz za nie płacił – uściśliła.

– Aha, dobrze.

– Uznajmy to za koszt moich usług. W zamian, jeśli ktokolwiek spyta, będę mówiła, że jesteś moim podopiecznym, mieszkasz ze mną i przestrzegasz moich zasad, wśród których nie ma nic o kradzieży książek ani innych rzeczy należących do innych. – Zawiesiła głos, po czym dodała: – Powtórzenie „innych” w tym samym zdaniu to kiepski styl. Zwykle wysławiam się znacznie poprawniej, ale jestem nieco skrupowana. Od dawna nie miałam gości. – Napiła się herbaty, filiżanka zadzwieczała na spodku.

– Była pani blisko z Josephine? – spytała Gerdy z uśmiechem.

– Z kim?

– Z ciocią Jo – poprawiłem. – Nikt nie mówił do niej „Josephine”.

– Była pani blisko z ciocią Jacka?

Pani Leech pokiwała głową.

– Kiedyś byliśmy jak siostry, ale potem już nie. Lepiej, że tak było.

– Coś się stało?

Zbladła jak ściana.

– Zawsze coś się dzieje. Jak tam herbatka?

– Przepyszna – odparła Gerdy z uśmiechem, chociaż chyba nie wypła ani kropli. – Posprzeczałyście się?

Gdyby stolik zasłaniał nam nogi, pewnie kopnąłbym Gerdy w kostkę. Niestety, był za mały, więc mogłem tylko łypnąć na nią spode łba. To nie nasza sprawa. Zacząłem się zastanawiać, po co właściwie tam przyszliśmy. Gerdy odpowiedziała mi uśmiechem. Tym razem rzeczywiście napiła się herbaty i znów zwróciła się do pani Leech. – Podjęcie się opieki nad dzieckiem to wielka odpowiedzialność, zwłaszcza jeśli nie jest się najbliższą osobą. Dlatego pytam.

– W jakimś sensie wszyscy opiekujemy się sobą nawzajem.

Gerdy znów kichnęła. Oczy miała czerwone i spuchnięte.

– Alergia.

Pani Leech wyciągnęła chusteczkę z pudełka obok i podała ją Gerdy.

– Miałam kiedyś kota. Uciekł w dniu, w którym przyszli źli ludzie.

Gerdy wytarła nos.

– Ci mężczyźni, którzy zrobili pani krzywdę?

– Tak, ludzie w bieli.

Prawie upuściłem filizankę.

– Ludzie w bieli?

– Oni przynoszą tylko ból. – Spojrzała w bok, pogrążona w myślach. – Kot nazywał się Bumkins. Codziennie wystawiałam mu jedzenie, ale już nie wrócił. To był okropny czas.

– Kim są ludzie w bieli? – spytała Gerdy.

– Nie skusił się nawet na tuńczyka. A to był jego ulubiony przysmak. Mój kochany Bumkins.

Gerdy chciała coś powiedzieć, ale uciszyłem ją wymownym spojrzeniem i odstawiłem spodek z filizanką na stolik.

– Proszę pani? Kim są ci ludzie w bieli?

Pani Leech też odstawiła herbatę i wbiła wzrok w dłonie, mocno splatając palce.

– Mam coś dla ciebie, coś, co powinieneś zobaczyć, coś, o czym powinieneś się dowiedzieć. Coś, co Jo dała mi na przechowanie. – Wygięła palce tak mocno, że nie zdziwiłbym się, gdyby trzasnęła łamana kość. – „Coś”, „coś”, „coś”, w kółko. Powtórzenia. Schemat. Schematy są złe. Przez schematy można wpaść. Niech oni muszą się domyślać. Zawsze zgadywać. Przypadkowo. Inaczej.

Niespodziewanie. – W końcu już tylko mamrotała do siebie, jakby zapomniała o naszym istnieniu.

– Proszę pani? – Klasnąłem głośno, aż się wzdrygnęła, i wreszcie udało jej się skupić wzrok. Spojrzała na mnie, mocno zaciskając usta.

– Nie mówię o ludziach w bieli. Nigdy. Uważam, że najlepiej, żeby nikt z nas o nich nie mówił. Ale rzeczywiście coś dla ciebie mam. Powinnam chyba ci to dać.

Wstała i odeszła, znikając za stertami gazet.

„Pudełko?”

Od razu pomyślałem o pudełku z mojego snu. Tym, które mój ojciec dał cioci Jo.

„Czy schowała je u pani Leech i leżało tu przez wszystkie te lata?”

Szukając go, wypatroszyłem nasze mieszkanie. Rok po roku bezskutecznie próbowałem znaleźć tajemnicze pudełko. Czy to możliwe, że przez cały ten czas leżało w mieszkaniu po drugiej stronie korytarza?

Dłonie zrobiły mi się mokre od potu.

Gerdy popatrywała na mnie nerwowo, sącząc herbatę.

Tłusty pajak wspiał się po drewnie w kominku, znikając za górnym polanem.

Z jednej z sypialni dobiegło jakieś szuranie, potem niewielki łoskot, oczami wyobraźni widziałem, jak kobieta przedziera się przez składowisko gratów, podobne do tego w salonie, ale o wiele lat starsze. Zniknęła na blisko pięć minut, a kiedy w końcu wróciła, w ręku miała poźółkłą ze starości kopertę.

„Nie pudełko”.

– Tego właśnie chcieli tamtego dnia, kiedy mnie napadli – powiedziała pani Leech. – Ale im nie oddałam. To nie należało do nich.

Położyła przede mną kopertę, sięgnąłem, żeby ją otworzyć, ale pani Leech złapała mnie za rękę.

– Nie tutaj. Nie chcę widzieć, co jest w środku. Już nigdy nie chcę tego oglądać. Wiedza prowadzi tylko do kłopotów.

Kopertę zaadresowano do mojego ojca.

Piętą zatrzasnąłem drzwi mojego mieszkania i poszedłem do salonu z Gerdy u boku. Uprzątnąłem kawałek stolika, położyłem kopertę i świdrowałem ją wzrokiem.

– Nie otworzysz? – spytała Gerdy.

Wzięłem głęboki oddech, starając się uspokoić łomoczące serce i przechodzące mnie ciarki.

Wczoraj zabrali szpitalne łóżko.

Pokój wydawał się bez niego jakiś pusty.



Gerdy przysiadła na brzegu stolika i spojrzała mi w oczy.

– Chcesz, żebym ja otworzyła?

Pokręciłem głową, wziąłem kopertę i odchyliłem klapkę. Klej już dawno wysechł, kruszył się twardymi płatkami. Pojedyncza kartka zaszeleściła starym papierem, kiedy rozłożyłem list, który kiedyś trzymał w ręku mój ojciec.

Gerdy stanęła za mną i czytała mi przez ramię.

*Eddie,*

*oni wiedzą o dzidzi. Nie wiem skąd, ale się dowiedzieli. Emma odchodzi od zmysłów. Nie może spać. Ja zresztą też. Chryste, stary, skąd oni się dowiedzieli? Przecież byliśmy ostrożni. Myślałem, że Emma ma paranoję, kiedy w zeszłym tygodniu powiedziała, że widziała jednego z nich, ale potem sam zacząłem ich zauważać. Wszędzie białe płaszcze. Z początku mówiłem sobie, że to nic takiego. Kurde, zobaczyłem raz małą dziewczynkę, mogła mieć góra siedem lat, w białej kurtce zimowej, i ani się obejrzałem, a już łapałem za pistolet. Ja taki nie jestem, Eddie! Mieszkaliśmy wtedy w małym domku w Vermoncie, pod Stowe. Uznaliśmy, że najlepiej ukryć się wśród innych rodzin, nie? Potem zobaczyłem następną osobę. Tym razem faceta, po trzydziestce. Zauważyłem go ze stacji benzynowej, po drugiej stronie ulicy, patrzył na mnie, ale nie patrzył, rozumiesz? Następnego dnia ten sam facet jechał powoli naszą ulicą. Dzień później to samo. Wyjechaliśmy w nocy. Spakowaliśmy się i po prostu pojechaliśmy. Zdecydowaliśmy się na Florydę. Tam nikt nie chodzi w płaszczu, nie? Ha! Myślałem, że jestem taki sprytny. Ale tam było gorzej, bo chyba nadal nas obserwowali, ale trudniej było ich zauważyć w tłumie. Wytrzymałaliśmy w Słonecznym Stanie tydzień i ruszyliśmy z powrotem na północ. Widzieliśmy ich w Georgii, w Karolinach też. Myślałem, że zgubiliśmy ich w Wirginii. Byłem ostrożny, nieraz zjeżdżałem z autostrady na boczne drogi, potem znów wracałem na większe, bez ładu i składu, przez jakiś czas kierowałem się nawet na zachód. Zboczyłem do Tennessee i jakimś cudem znaleźli nas w Kingsford, miasteczku przy drodze 81. Tym razem nawet nie próbowali się kryć. Odśloniłem okno w hotelu i zobaczyłem, że trójka stoi na parkingu i się na mnie gapi.*

*Skąd oni się, kurwa, dowiedzieli o dzidzi?*

*Jak tylko po Emmie zaczęło być coś widać, to pilnowała, żeby wychodzić tylko z kompletnie zasłoniętym brzuchem. Przez ostatnie miesiące w ogóle nie wychodziła. Kurwa, jak?*

*Zabiłem chyba dwoje z nich, może troje, nie jestem pewny. Wszystko działa się tak szybko. Uciekliśmy na zachód. W Kentucky ukradłem nowe auto. Kolejne załatwiłem w Illinois. Pierwsze podpaliłem na tyłach jakiegoś wysypiska.*

*Myślałem, że ich zgubiłem. Prawie rok w Kalifornii, nie pokazywali się. No i wczoraj...*

*Dzidzia nie wychodzi na dwór.*

*Nie możemy na to pozwolić.*

*Rozumiesz dlaczego, prawda?*

*Właściwie to już nie taka mała dzidzia. Zaczęła chodzić! Obłąd, co? Zresztą sam wiesz, masz synka.*

*Mała chce wychodzić, ale jej nie pozwalamy. Nawet sąsiedzi nie wiedzą, że mamy dziecko. Uznaliśmy, że tak będzie bezpieczniej. Nie możemy ryzykować.*

*Wczoraj na podjeździe pustego domu naprzeciwko zaparkowało duże auto. Białe. Z czarnymi szybami. Myślałem sobie, że znowu mam paranoję. Przecież różni ludzie jeżdżą białymi samochodami, nie?*

*Dom już nie jest pusty.*

*Jest ich czworo.*

*Mieszkają naprzeciwko.*

*Zauważyłem, że na zmianę pełnią wartę przy oknie na piętrze, obserwują nas.*

*My z Emmą też zaczęliśmy się zmieniać, patrzemy, jak na nas patrzą. Pracujemy nad planem, żeby się stąd wydostać.*

*Wracamy.*

*Nie wiem, co innego moglibyśmy zrobić.*

*Musimy się zorganizować. Zastanowić, jak wspólnie możemy sobie z tym poradzić. Potrzebujemy przewagi liczebnej. Myślałem, że uda nam się schować, ale to było głupie, oni są wszędzie. Popęlniłem błąd. Kiedy jesteśmy sami, to ułatwiamy im zadanie.*

*Odezwę się, jak będziemy bliżej.*

*Ucałuj Katy i małego.*

*Uważaj na siebie*

*Richard Nettleton*

– Kim jest Richard Nettleton? – spytała Gerdy, opierając brodę na moim ramieniu, tak że czułem w uchu jej oddech. – I Emma? Jacyś znajomi twoich rodziców?

– Nie... – zacząłem odpowiadać, ale urwałem. Jeszcze raz przeczytałem list.

Gerdy sięgnęła po kopertę i przyjrzała się znaczкови.

– Na stemplu jest napisane: Newport Beach, Kalifornia. Szesnasty czerwca siedemdziesiątego ósmego. Adres twojej ciotki. Czyli co, wysłali list tutaj i ona mu go przekazała? Dziwne.

Rzuciła kopertę na stół i zaczęła całować mnie w szyję.

– Coś ci to wszystko mówi?

– Nie – skłamałem.

– Nie kojarzysz tych osób?

– Nie – skłamałem znowu.

Gerdy delikatnie gryzła mnie w ucho.

– Ta twoja nowa opiekunka wygląda na trochę stukniętą. Może to w ogóle nic nie znaczy. Przecież nikt nie przyzna się w liście do zabicia dwóch osób. To by było głupie.

Miałem mętlik w głowie.

Czy Stella mówiła mi kiedykolwiek, jak mieli na imię jej rodzice?

Chyba nie.

Nettleton.

Richard Nettleton.

„Dzidzia. Zaczęła chodzić. 1978”.

Stella miała wtedy dwa latka.

„Ucałuj Katy i małego”.

Małego.

Mnie.

Stella powiedziała mi tylko, jak zginęli jej rodzice.

Gerdy znów całowała mnie w szyję, a do tego wsunęła mi rękę w dżinsy.

– Wiem, że nie chcesz nikomu mówić o spadku, ale myślę, że powinniśmy to jakoś uczcić. Prawdziwy z pana bogacz, panie Thatch.

Nie odrywałem wzroku od listu. Od odręcznego pisma. Od słów.

„Białe auto”.

„Wszędzie białe płaszcze”.

– Myślałem, że masz dzisiaj pracę – wydusiłem w końcu.

– Dopiero o drugiej.

– Jest dwanaście po.

– Co? – Odkleiła się ode mnie. – Szlag, muszę się przebrać. – Pobiegnęła do sypialni.

– Zadzwoń do Krendala i uprzedzę, że się spóźnisz.

– Dzięki! – Jej sukienka wyleciała z drzwi sypialni i wylądowała koło mnie na podłodze. – Wynagrodzę ci to później w jakiś miły sposób.

Wyszczrzyłem zęby w wymuszonym uśmiechu i sięgnąłem po słuchawkę. Krendal odebrał po trzech sygnałach. Powiedziałem, że Gerdy będzie za dziesięć minut, może szybciej.

– Ty też powinieneś przyjść – odparł. Ze względu na słaby słuch zwykle krzyczał podczas rozmów telefonicznych, ale tym razem mówił cicho.

– A co? Duży ruch?

Krendal przez chwilę tylko ciężko oddychał.

– Jest tu twój kumpel Dunk. I to nie sam.

– Ostatnimi czasy Dunk nigdy nie jest sam – odparłem.

– Ale teraz to nie jakaś panienka. Ktoś inny. Nie podoba mi się to. Nie chcę tu takich ludzi.

Szlag.

– Okej, zaraz będę. Zajmę się tym.

Gerdy wyszła z sypialni w uniformie kelnerki, próbując związać niesforne włosy w ciasny kok. Podeszła i pocałowała mnie w usta.

– Chcę ci tylko powiedzieć, że nie mam na sobie majtek. Zamierzam chodzić bez nich, dopóki nie wykorzystasz tego mojego przeoczenia. Za dużo było smutku przez te ostatnie miesiące. Ciocia zrobiła dla ciebie coś wspaniałego, odmieniła twoje życie, a ja oczekuję od ciebie, że będziesz ze mną świętował na najróżniejsze sposoby, najbardziej pomysłowe i dekadencjonalne. Pij dużo płynów, kiedy będę w pracy. Kończę o dziesiątej. Na twoim miejscu rozważyłabym też jakieś ćwiczenia rozciągające na godzinę przed moim powrotem. Nie chciałabym, żebyś coś sobie naciągnął.

– A jeśli się nie podporządkuję, panno McCowen?

Rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Jak już wspominałam, zamierzam chodzić bez majtek, dopóki nie skorzystasz z okazji. Może zbałamucę jakiegoś klienta, który lubi fantazjować o kelnerkach.

– Może cię zawiąć. Zima zbliża się wielkimi krokami, a ta spódniczka nie należy do najdłuższych.

– Jeśli zamarnę na śmierć, to będzie wyłącznie pańska wina, panie Thatch.

– Krendal mówił, że jest tam Dunk. Odprowadzę cię.

Wcisnąłem list razem z kopertą do kieszeni. Musiałem pokazać go Dunkowi.

Kiedy wychodziliśmy, z krzesła stojącego koło kuchni patrzyła na nas cała sterta plakatów z twarzą Stelli.

„Czy ktoś mnie widział?”

Mijając drzwi pani Leech, czułem się obserwowany. Jakby stała tam z okiem przytkniętym do wizjera i śledziła każdy nasz ruch.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, wiedziałem, że ktoś nas obserwuje. Wcześniej w ogóle nie zwracałem uwagi na furgonetki parkujące przy naszej ulicy, ale odkąd Dunk mi je pokazał, zaczęły tak bardzo rzucać mi się w oczy, że z trudem przychodziło mi uwierzyć, że mogłem je przegapić. Tłumaczyłem sobie, że nie były białymi SUV-ami, a ja od dłuższego czasu miałem wiele na głowie.

Dzisiaj mieliśmy furgon hydraulika.

Ten akurat wóz widziałem po raz drugi, ciemnoczerwony z jaskrawym logo po bokach i z tyłu. Za samochodem palił papierosa mężczyzna w wymiętej białej

koszuli i krawacie. Hydraulicy raczej nie chodzą pod krawatem, zwykle nie noszą też broni ukrytej w skórzanej kaburze na nerkach, a u niego wyraźnie widać było zarys pistoletu.

Kiedy mijaliśmy z Gerdy furgonetkę, mężczyzna zdusił niedopałek papierosa i na sekundę zawiesił na mnie wzrok, ale po chwili utkwiał spojrzenie w bliżej nieokreślonym punkcie w przestrzeni.

Mało brakowało, a odruchowo bym mu się uklonił, jak każdej osobie kojarzonej z widzenia, ale zreflektowałem się i nadal patrzyłem przed siebie, zastanawiając się, czy ktoś jeszcze zauważył, że ten sam człowiek pracował nie tylko jako hydraulik, lecz także elektryk oraz dywaniarz. Prawdziwy człowiek orkiestra.

Jakieś sto metrów przed nami niebieski sedan marki BMW zaparkował równolegle na miejscu dla osób niepełnosprawnych przed jadłodajnią Krendal's. Z samochodu wysiadło czterech mężczyzn w ciemnych garniturach, każdy z dużą bronią automatyczną, z której natychmiast zaczęli strzelać w kierunku jadłodajni.

Hałas był ogłuszający.

Witryna jadłodajni eksplodowała deszczem odłamków, a mężczyźni strzelali dalej – stali w wyćwiczonej pozie, na szeroko rozstawionych nogach, pewnie i niewzruszenie. Dwóch miało w uszach zatyczki. Lufy wszystkich czterech automatów poruszały się rytmicznie w przód i w tył, przywodząc na myśl głowice zraszacza.

Na chodniku naliczyłem kilkanaście osób, które zastygły w bezruchu, jak sparaliżowane, jakby oglądały film czy program w telewizji, podczas gdy kule latały ze świstem.

Popchnąłem Gerdy na ziemię, w wąską przerwę między volvo a toyotą sentrą zaparkowanymi przy krawężniku, i upadłem na nią, wgniatając jej ciało między siebie a asfalt. Nie wiem, w którym momencie zaczęła krzyczeć, ale teraz wrzeszczała i wierzgała, kopała mnie, lecz ja jej nie puszczałem. Popchnąłem jej głowę w dół, zatapiając twarz w jej włosach.

Strzelanina wydawała się ciągnąć godzinami, choć potem miałem się dowiedzieć, że wszyscy strzelcy byli uzbrojeni w uzi kalibru 9 milimetrów, model Vector Arms HR4332 SBR, ustawiony na ogień ciągły – przy szybkostrzelności teoretycznej sześćset pięćdziesiąt pocisków na minutę każdy z magazynków zawierających trzydzieści dwa naboje został opróżniony w czasie około trzech sekund. Każdy pistolet miał zapasowe magazynki i został przeładowany ze trzy razy.

Rzeczywisty czas strzelaniny, zgodnie z danymi z furgonetki policyjnej zaparkowanej niecałą przecnicę dalej, wynosił trzydzieści osiem sekund.

Nawet kiedy strzały ucichły, nadal dzwoniło mi w uszach, prawie nie słyszałem żadnych innych dźwięków, stłumionych tak, jakby ktoś owinał mi głowę grubym mokrym kocem.

Usłyszałem dopiero trzask ostatnich zamykanych drzwiczek samochodu, a po chwili pisk opon.

– Nie wstawaj! – wrzasnąłem Gerdy do ucha, po czym zerwałem się na nogi i zacząłem pędzić w stronę jadłodajni. Niebieskie bmw skręciło w prawo w Clairton i zniknęło.

Zdążyłem pokonać połowę dystansu, kiedy nastąpiła eksplozja.

Siła wybuchu powaliła mnie z powrotem na chodnik, potężny huk przebił się nawet przez dzwonienie w uszach. Uderzyłem głową o beton, powietrze wyleciało mi z płuc z takim impetem, jakby napakowany futbolista wyrzucił mnie z bańki w brzuch.

W miejscu, gdzie jeszcze dwie minuty wcześniej znajdowała się szklana witryna jadłodajni, pojawiła się kula ognia, która wypadła na zewnątrz, sięgając do połowy Brownsville Road, po czym wróciła do wewnątrz, niczym potworny, płonący jezor cofający się do paszczy.

Z trudem wstałem i pół biegnąc, pół kulejąc, dotarłem do Krendal's, wdrapałem się przez pustą ramę okienną do jadłodajni, zewsząd dobiegały słabe jęki i krzyki.

Otaczała mnie gęsta chmura czarnego dymu wydobywającego się od strony kuchni i zaplecza. Potknąłem się o przewrócony stół, potem znów prawie się przewróciłem, kiedy stopa utknęła mi między nogami krzesła. Wyszwoleciłem się i właśnie wtedy zauważyłem pierwsze ciało.

Kobieta. Stwierdziłem to wyłącznie po zielonej sukience, bo z włosów i twarzy została spalona, bezkształtna masa.

Naciągnąłem sobie na nos bluzę Steelersów, żeby ochronić się przed dymem, ale niewiele to dało. Gorące, gryzące, gęste powietrze paliło w oczy i płuca. Próbowąłem przebić wzrokiem czarną chmurę, ale nic nie widziałem.

Prawie się poślizgnąłem w kałuży kawy.

Pod moimi nogami leżał roztrzaskany dzbanek, z którego wylała się czarna ciecz.

Tuż obok na podłodze leżała Lurline Waldrip.

Upadłem na kolana i delikatnie obróciłem ją na plecy.

Na klatce piersiowej obleczonej różowym uniformem zobaczyłem sześć czerwonych plam. Szkarłatnych na środku, w miejscach, gdzie pociski weszły w ciało, jaśniejszych na brzegach. Jeden ze śladów znajdował się między piersiami, na sercu. Wiedziałem, że nie oddycha, że kule ją zabiły, ale i tak przycisnąłem dwa palce do jej szyi, próbując wyczuć puls. Bezskutecznie.

Wtedy usłyszałem Dunka.

Nie mam pojęcia, skąd wiedziałem, że to on, ale rozpoznałem jego głos, zduszony krzyk o kilka kroków w lewo. Nie chciałem tak zostawiać Lurline, na podłodze, w brudzie, ale wiedziałem też, że nie mam wyjścia. Z sekundy na sekundę coraz trudniej mi się oddychało. Nie dałbym już rady długo tam wytrzymać.

Wstałem i precisiłem się przez poprzewracane meble i inne przeszkody, których wolałem nie identyfikować, w stronę boksów stojących wzdłuż ściany na drugim końcu, a konkretnie w stronę tego najbliższej drzwi, ulubionego miejsca Dunka.

Leżał na boku na siedzeniu, dolna połowa ciała uwięzła pod stołem, twarz i nogi miał zalane krwią. Naprzeciwko siedział Henry Crocket, plecami do drzwi, z głową na stoliku, wytrzeszczone, nieruchome oczy wbijał w opróżniony do połowy kubek z kawą. Na środku stał talerz z tostami z masłem.

Crocket nie miał tylnej części głowy.

Poszarpana rana zaczynała się na czubku głowy i kończyła u podstawy karku, jakby jakiś olbrzym wyrwał kawał czaszki gigantycznym kciukiem i palcem wskazującym. Plecy miał usiane dziurami po pociskach. Oparcie kanapy między jego plecami a frontem kawiarni było w strzępach, chaos czerwonego skaju, wypełnienia i sklejki, porwane i roztrzaskane w drzazgi.

Dunk znowu jęknął.

Schyliłem się i oplotłem go ramionami w pasie, ciągnąłem jego masywne ciało ku sobie, aż upadliśmy razem do tyłu na kafelki podłogi. Z początku stawiał opór, ciało mu zeszywniało, potem wrzasnął z bólu spowodowanego przez ruch. W końcu zrobił się bezwładny i ucichł.

Podniosłem się i natychmiast zrobiło mi się białe przed oczami. Straciłem czucie w nogach i upadłem. Brakowało mi powietrza, lada chwila mogłem zemdleć. Gdybym stracił tam przytomność, już nigdy bym nie wyszedł.

Zmusiłem się, żeby wstać, za nic mając drżenie nóg.

Złapałem Dunka pod ręce i zacząłem ciągnąć w stronę pozbawionego witryny frontu jadalni, starając się ignorować śliską czerwoną smugę ciągnącą się za jego ciałem.

Późniejsze wydarzenia pamiętam jak przez mgłę. Wydaje się, że znowu prawie zemdlałem. Przypominam sobie spadanie, a może uczucie spadania. Nie jestem pewny. Potem pamiętam dotyk czyichś rąk. Dłonie próbujące złapać, co się dało. Pamiętam, jak ktoś wyciągnął mnie z jadalni na chodnik, a potem na jezdnię Brownsville Road.

– Oddychaj, młody, oddychaj – powiedział ktoś. – Wezwaliśmy pogotowie. Leż spokojnie.

Zobaczyłem nad sobą jakąś twarz. Mężczyzna w średnim wieku w okularach i flanelowej koszuli.

Przekręciłem głowę na bok i zobaczyłem, że Dunk leży obok mnie i się nie rusza.

Zrobiłem głęboki wdech.

Chociaż tutaj też było gęsto od dymu, czyste powietrze przeważało i moje płuca zaczerpnęły go z radością. Czułem, jak ręce i nogi odzyskują siłę, a mgła zasnuwająca mózg zaczyna się rozpraszać.

Wtedy przypomniałem sobie o Krendalu.

Przypomniał mi się Elden Krendal i wiedziałem, że został w środku.

Mężczyzna we flanelowej koszuli próbował mnie powstrzymać. Inni też. Złapał mnie za ramię i próbował zepchnąć z powrotem do parteru, ale siłą woli zmusiłem się, żeby wstać. Wtedy gapie z coraz liczniejszego tłumu też próbowali mnie złapać – najwyraźniej widzieli w moich oczach, co zamierzam.

Mimo wszystko wstałem i wziąłem głęboki oddech.

Odrąciłem mężczyznę w okularach, wyswobodziłem się z uchwytu pozostałych osób i puściłem się pędem w stronę jadłodajni, za plecami słysząc narastający ryk syren.

Z powodu wielkiej dziury ziejącej w miejscu witryny jadłodajni ogień rósł i bez trudu znajdował paliwo, a kiedy po raz kolejny przeszedłem przez dawne okno, poczułem, że powietrze leci do środka, nie na zewnątrz, zasysane przez żarłoczną bestię pochłaniającą restaurację od środka.

Minąłem zdewastowane stoliki, krzesła i boksy, minąłem kontuar, kierując się ku prowadzącym do kuchni drzwiom wahadłowym z boku, a nieznośne gorąco wznagało się z każdym moim krokiem. W okienku, przez które Krendal zwykle wydawał posiłki, zauważyłem kawałek pomieszczenia, ale z powodu ściany czarnego dymu niewiele dało się dostrzec.

Płomienie lizwały ściany przy drzwiach wahadłowych. Kiedy dotknąłem metalowej powierzchni, sparzyłem się w palce.

Wiedziałem, że eksplozję spowodowały butle propanu, które Krendal trzymał na zapleczu na wypadek awarii miejskiej sieci gazowniczej. W przeszłości dwukrotnie zdarzyła się przerwa w dostawie gazu, za każdym razem w porze lunchu, a więc największego ruchu. Na wszelki wypadek Krendal miał więc przygotowane trzy butle z gazem. Nauczył mnie nawet, jak odłączać i przełączać przewód kuchenki z jednego źródła do drugiego, a sam chwalił się, że potrafi to zrobić w niespełna dziesięć sekund.

Spuściłem głowę i pchnąłem przekrzywione drzwi, wiszące już tylko na górnym zawiasie.



Powitały mnie płomienie i jeszcze potężniejsza chmura czarnego dymu. Zmusiłem nogi do kolejnego wysiłku i z impetem skoczyłem na posadzkę kuchni na prawo od wejścia, podczas gdy fala gorąca przemknęła obok, ku świeżemu powietrzu na zewnątrz.

Trzymając twarz jak najbliżej podłogi, otarłem łzy z oczu, piekących od płonącego powietrza.

Miałem wrażenie, że znajduję się w zupełnie obcym miejscu.

Powykręcane resztki jednej z butli zderżyły się z aluminiowym stołem, dawniej zajmującym środek kuchni. Teraz leżał na boku, a dziesiątki garnków, patelni i innych sprzętów wypełniających półki nad stołem wałały się wszędzie w moim ograniczonym polu widzenia. Podłoga była śliska od zupy dnia, gorący płyn przesiąkał mi przez nogawki dżinsów na kolanach.

Kaszlnąłem odruchowo i płuca wypełniły mi się dymem, skażonym powietrzem.

Zawołałem Krendala, ale z moich ust wydobył się tylko chrapliwy szept.

Ruszyłem mniej więcej w kierunku kuchenki, mocno zaciskając powieki i wymacując drogę na oślep, przedzierałem się przez zawaaloną podłogę. Kiedy dotarłem do przewróconego stołu, okrążyłem go po omacku, parząc opuszki palców rozgrzanym aluminium.

Nie mam pojęcia, jakim cudem go znalazłem.

Kuchnia była nieduża, może trzydzieści parę metrów kwadratowych, ale równie dobrze mógłbym być ślepcem brnącym przez piaski ogromnej pustyni. Pełzłem na brzuchu po śliskich kafelkach, machając przed sobą rękami z wyciągniętymi palcami. Usłyszałem, jak gdzieś po prawej zapada się kawałek sufitu – ogień zaniósł się na to tubalnym śmiechem, ale Krendal nie wydawał żadnego dźwięku. Tymczasem wiedziałem, że jeśli mam go znaleźć, to wyłącznie na słuch, bo od chwili wejścia do kuchni praktycznie nic nie widziałem.

Palcami musnąłem jego nogę.

Z początku nie byłem pewny, czy to rzeczywiście noga, i chciałem ruszyć dalej, bo w głowie miałem mętlik z niedotlenienia. Złapałem go za spodnie, a wtedy jego słabe palce owinęły się wokół mojego nadgarstka. Złapałem go za ramię, on mnie też i wiedziałem, że żaden z nas nie puści.

Natychmiast zacząłem się czołgać z powrotem. Korzystając z jednej wolnej ręki i dwóch słabych nóg, pełzłem powoli, ciągnąc go za sobą szarpnięciami. Byliśmy już w połowie zerwanych drzwi wahadłowych, kiedy zawalił się kolejny fragment sufitu, obsypując nas gruzem. Krendalem zatelepało i wiedziałem, że coś musiało na niego spaść, ale nie widziałem co. Nie zatrzymałem się jednak. Przeciągnąłem go przez próg kuchni.

Byliśmy gdzieś w części dla klientów, kiedy eksplodowała druga butla z propanem, a tuż potem trzecia.

Dopiero wtedy organizm odmówił mi posłuszeństwa i zatopiłem się w gęstym, czarnym dymie.

Ten sen.

– Czuję benzynę. Musimy wysiadać.

– Wszystko w porządku? Proszę, powiedz, że nic ci nie jest.

Drzwi się otwierają.

Zgrzyt metalu o metal.

– Eddie?

– Tak?

– Drugi SUV. Już jadą.

– Zabierz stąd Jacka.

– Możesz się ruszać? – spytał tatuś.

– Chy... chyba tak.

Pstryknięcie. Odgłos rozpinanego pasa bezpieczeństwa.

– Eddie? Zaraz tu będą.

– Musimy was stąd wydostać.

– Musisz ich powstrzymać, bo wszyscy zginiemy.

– Chryste... gdzie pistolet?

– Na podłodze. Pod moimi nogami. Chyba mam złamaną rękę. Zaraz chyba... –

Mama urwała.

Mleko czekoladowe w moich oczach, we włosach. Lepkie.

– Nie mogę znaleźć. Nie odpływaj, Katy! Skoncentruj się na moim głosie.

– Jest tam. Trzymałam. Nie mogłam...

Głos mamy przycichł. Brzmiała sennie.

Głośny huk.

Dużo głośnych huków.

– Odzyskuje przytomność. – Usłyszałem jakiś głos, jakby w tunelu, echo odbijające się od gładkich ścian.

– Młody? Słyszysz mnie?

Powietrze było zimne, lodowate.

Wziąłem głęboki oddech.

Odkaszlnąłem.

Próbowałem zasłonić usta dłonią, ale nie mogłem ruszyć ręką ani nogą.

– Oddychaj, młody.

Znowu lodowate powietrze.

Ktoś przetaił mi czymś oczy. Czymś mokrym.

– Daj mi nożyczki. Trzeba go rozebrać z tej bluzy. Z dzinsów też.

Zamrugalem i otworzyłem oczy.

– No, wróciłeś do nas! – Mężczyzna patrzył na mnie z wymuszonym uśmiechem. Wyjął kieszonkową latarkę i zaświecił mi w oczy. Kiedy zacisnąłem powieki, wolną ręką otworzył mi je z powrotem. Prawe oko, lewe oko, potem wyłączył latarkę. – Jak się nazywasz?

Gapiałem się w górę, na niego i na kłębiące się za nim chmury.

– Młody?

– Pip.

– Jak?

– Jack.

– Jack i tyle?

– Jack Thatch. John Edward Thatch.

– Więcej tych imion nie miałeś?

– Wszyscy mówią mi Jack.

– Niezły z ciebie numer, Jack. Możesz mi powiedzieć, kto jest obecnie prezydentem Stanów Zjednoczonych?

– Clinton.

– Szóstka z plusem. – Obrócił się i zawołał przez ramię: – Dajcie mi wóz, chłopaka trzeba zawieźć do Mercy General!

– Już jadą dwie karetki – padła odpowiedź. – Jakieś trzy minuty.

– Krendal – wydusiłem z trudem. Usta odmawiały mi posłuszeństwa.

– Co?

– Próbowałem go wyciągnąć...

Sanitariusz spochmurniał.

– Przykro mi, synu. Nie przeżył.

Ktoś zaczął mnie szarpać za dzinsy. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że jakaś ratowniczka medyczna przecina mi spodnie potężnymi nożycami.

Rozejrzałem się dookoła.

Leżałem na środku Brownsville Road, przypięty pasami do noszy. Z jadalni Krendala po mojej lewej wydobywała się chmura czarnego dymu, strażacy z sikawkami kłębili się wokół dziury w ścianie niczym mrówki, woda zalewała chodnik.

Spojrzałem w drugą stronę, ku mojemu blokowi.

– Gerdy.

Wydusiłem jej imię i zaniósłem się kaszlem. Dopiero teraz się zorientowałem, że mam na twarzy maskę tlenową. Sanitariusz ściągnął mi ją na brodę.

– Co tam?

– Gdzie Gerdy?

– Mamy tu jakąś Gerdy? – zawołał do otaczających nas gapiów.

Z tłumu wystąpiła jakaś starsza kobieta w sukience w kwiatki, o siwych włosach upiętych gładko do tyłu. Twarz i ręce pokrywała jej sadza, rąbek sukienki miała przypalony. Przyklęknęła przy moich noszach.

– To ta dziewczyna, która była z tobą? Widziałam, jak szliście razem chodnikiem, zaraz przed... Trzymaliście się za ręce. O nią pytasz?

Skinąłem głową.

Oczy zaszkły jej łzami. Nachyliła się bliżej.

– Bardzo mi przykro. Próbowałam ją zatrzymać, ale była zbyt silna. Nie dałam rady.

– Zatrzymać... jak to?

– Pobiegła za tobą, prosto w ogień.

Wszystkie mięśnie napięły mi się jak struna. Próbowałem zerwać się z noszy, ale pasy trzymały mnie mocno za nogi, ręce i szyję.

– Hej, kolego, spokojnie. – Ratownik przycisnął mi rękę do klatki piersiowej.

– Wypuście mnie! – Zakolebałem się gwałtownie w przód i w tył. – Gerdy!

Obejrzałem się na zaparkowane samochody. Tłum ludzi stał między volvo a sentrą, gdzie ją zostawiłem, ale jej wśród nich nie dostrzegłem.

– Gerdy!

Zwróciłem się znowu w stronę Krendal's, ku czarnym kłębom wydobywającym się przez zdruzgotaną ścianę. Strażacy znikali wewnątrz, ciągnąc za sobą ciężkie węże gaśnicze.

– Nie ma jej tam! Nie mogła wejść do środka!

Pas na mojej prawej ręce puścił. Zacząłem odpinać ten z lewej.

Kobieta w nadpalonej sukience w kwiaty zaczęła się wycofywać, oczy miała pełne łez.

– Bardzo mi przykro – powiedziała bezgłośnie.

– Dajcie mu dziesięć miligramów haldolu! – zawołał sanitariusz, napierając całym ciężarem na moją klatkę piersiową.

Wyrwałem nogę z zapięcia.

Próbowałem go kopać.

W moje ramię wbiła się igła.

„Nie, błagam. Nie Gerdy. Tylko nie Gerdy”.

Potem zrobiło się ciemno.

## 4

Faustino Brier lubił pizzę.

Uwielbiał pizzę bardziej niż cokolwiek innego na tym cholernym świecie.

Ze wszystkich pizzerii w Pittsburghu najbardziej lubił Mineo's Pizza na Squirrel Hill, kiedy więc John Mineo podszedł do jego stolika ledwie pół minuty po tym, jak na stoliku Briera wylądował placek średnicy czterdziestu centymetrów z pepperoni i serem, i oznajmił, że ktoś do niego dzwoni, detektyw kazał właścicielowi powiedzieć, że go tu nie ma, że w ogóle go dziś nie widział. Kiedy Mineo wrócił z wiadomością, że rozmówca wie, że on tam jest, i że sprawa jest pilna, Faustino podszedł do telefonu z kawałkiem pizzy w ręku, a drugą sięgnął po słuchawkę.

– Mam nadzieję, że to coś ważnego.

– Tu Horton z narkotykowego. Musisz przyjechać na Brownsville Road.

Ekipa Hortona prowadziła ciągłą obserwację Duncana Bellina, licząc na zebranie dowodów obciążających jego i jego bossa, Henry'ego Crocketa. Horton zgodził się zwracać uwagę też na Thatcha i informować Faustina, gdyby wydarzyło się coś niecodziennego. Przysługa dla kolegi po fachu.

– Coś z moim chłopakiem czy z twoim? – spytał Faustino, gryząc pizzę. Pyszności.

– Z jednym i drugim. Bierz dupę w troki i zaraz tu przyjeżdżaj.

Chociaż włączył koguta i syrenę, droga w popołudniowym szczycie zajęła mu blisko pół godziny. Dym zauważył z odległości prawie dwóch kilometrów.

Dwa kwartały ulicy oddzielono żółtą taśmą policyjną. Wszędzie kręciły się służby ratunkowe. Faustino zaparkował za dwoma wozami strażackimi i wysiadł z samochodu. Strażacy zwijali węże, pakowali sprzęt. Przecisnął się przez tłum gapiów i dziennikarzy.

Fogel zauważyła go i podbiegła. Zadzwonił do niej jeszcze z Mineo's.

– Ja pierdolę, czy to Krendal's? – spytał.

Partnerka skinęła głową. Miała lateksowe rękawiczki, a na jej szyi wisiał służbowy nikon.

– Chodź. Horton jest w środku.

Brownsville Road wyglądała jak ulica w strefie wojny, wszędzie walały się nadpalone śmieci – krzesła, stoliki, sztucce, talerze i dachówki. Z okien okolicznych budynków i samochodów wyleciały wszystkie szyby, odłamki szkła chrzęściły pod stopami. Najgorzej ucierpiała jednak jadłodajnia. Po lokalu została czarna, dymiąca pieczara wydrążona w starym budynku z cegły.

Faustino poczuł znajomy zapach, z którym nie spotkał się od czasów wojny i miał nadzieję już nigdy nie mieć z nim do czynienia. Spalone ciała.

Fogel też to poczuła. Wyjęła z kieszeni wazelinę i posmarowała sobie pod nosem, po czym podsunęła mu słoiczek. Pokręcił głową, więc schowała go z powrotem.

– W środku mamy sześć ciał, dwa na ulicy.

Horton stał tuż za dawną witryną jadłodajni, metalową framugą okienną, teraz powykęcana i nierówna, sterczącą nad chodnikiem. Zaczekał, aż Faustino i Fogel przedrą się przez gruzy, po czym wskazał brodą na szczątki człowieka w boksie blisko frontu lokalu.

– Oto pan Henry Crocket.

Crocket nie miał włosów, a jego skóra była czarna i popękana. Leżał twarzą na stole, nie miał kawałka czaszki, a plecy pełne dziur od pocisków.

Faustino rozejrzał się po jadłodajni, zauważył trzy z sześciu ciał, dwa już zapakowane w worki na zwłoki.

Odwrócił się do detektywa z wydziału antynarkotykowego.

– Co tu się odpierdoliło?

Horton zrelacjonował mu wszystko, co udało im się ustalić.

## 5

Obudziłem się w ciemnym pomieszczeniu.

Słyszałem pikanie jakichś urządzeń, dobiegające z oddali głosy i dźwięk mojego własnego oddechu pod plastikową maską.

Bolała mnie głowa.

Oczy próbowały się przyzwyczaić do ciemności.

Sięgnąłem do twarzy i ściągnąłem maskę.

„Krendal’s”.

„Wybuch”.

„Dunk, Krendal, Lurline”.

„Boże drogi, Gerdy”.

Próbowałem usiąść, ale zapadłem się z powrotem w miękką poduszkę, głowa pulsowała mi z bólu.

– Przykro mi z powodu twojej przyjaciółki.

Obróciłem się.

Zarys sylwetki mężczyzny siedzącego na krześle po prawej. To ten detektyw, Faustino Brier.

– Gdzie? – Miałem sucho w ustach, mój głos brzmiał dziwnie.

Znowu spróbowałem usiąść, tym razem przewycięzając mdłości i zawroty głowy.

Detektyw Brier wstał, nalał do kubka płynu z plastikowego dzbanka na stoliku przy łóżku i podsunął mi do ust. Ująłem go w drżące dłonie i zacząłem pić. Woda była ciepła, ale dobrze mi zrobiła. Kiedy wypilem, oddałem mu kubek, a on odstawił go na stół.

– Gdzie ja jestem? – spytałem.

– Ratownicy podali ci środki uspokajające. Wpadłeś... wpadłeś w histerię. Musieli zająć się obrażeniami. Mogłeś zrobić sobie krzywdę. Przywieźli cię do Mercy na leczenie i obserwację.

Brier podszedł do ściany.

– Zapalę teraz światło. Po pożarze, a zwłaszcza po eksplozji, oczy bywają wyjątkowo wrażliwe. Najlepiej zamknij je, a potem powoli otwieraj, daj im czas, żeby się przyzwyczaiły.

Skinąłem głową i zamknąłem oczy. Czerń pod powiekami zastąpiła głęboka czerwień. Podniosłem je, zamrugąłem. Między mną a stojącym przy drzwiach detektywem znajdowało się puste łóżko.

Usiadł z powrotem na krześle.

– Pamiętasz mnie? Minęło sporo czasu.

Pokiwałem głową.

– Był pan na pogrzebie. Z jakąś kobietą.

Wyraźnie się zdziwił, że go zauważyłem.

– To moja partnerka, detektyw Fogel. Ale nie to miałem na myśli. Rozmawiałem z tobą, kiedy byłeś młodszy. O Andym Flacku. Pamiętasz?

Przytaknąłem.

– Detektyw Brier.

– Jak się czujesz? Boli cię coś? Mogę zawołać pielęgniarkę. Dostaniesz jakieś leki.

Nie. Nic mnie nie bolało.

Pokręciłem głową.

Przy krześle detektywa stała papierowa torba. Postawił ją sobie między nogami, otworzył i sięgnął do środka. Wyjął moją bluzę Steelersów. Położył ją na łóżku, wygładził materiał. Potem wyłowił z torby moje dżinsy i ułożył je obok.

Z obu ciuchów niewiele zostało.

Ubrania zostały rozcięte, zniszczone.

Resztki tkaniny były przypalone, upstrzone dziesiątkami dziurek o zwęglonych, stopionych krawędziach.

– Niektóre ciała z tej jadłodajni miały ubrania w lepszym stanie – powiedział detektyw, patrząc na kupkę szmat.

Wsunął palec do dziury w bluzie, o średnicy dobrych kilkunastu centymetrów, wystrzępiony materiał kruszył się na brzegach, drobne płatki sypały się na szpitalną pościel.

– Spaliły ci się ubrania, ale według lekarzy ty sam w ogóle nie ucierpiełeś. Ani zadrapania. Żadnych poparzeń ani siniaków. Świadkowie widzieli, jak tam wbiegałeś, i to dwa razy. Wyciągałeś ludzi. Swojego kumpla Duncana Bellina. I swojego szefa. Byłeś w środku, kiedy wybuchły butle z propanem.

Nic nie powiedziałem.

– Nawet nie masz przypalonych włosów.

Nadal milczałem.

– Powinieneś już nie żyć.

Mój wzrok powędrował do tylnej kieszeni zniszczonych dżinsów.

Detektyw podążył za moim spojrzeniem. Odwróciłem oczy.

Sięgnął znowu do torby, wyjął list w kopercie i położył go na kupce ubrań.



– Ciekawy list. Czy mogę spytać, skąd go masz?

Nie odpowiadałem.

– Wiem, nie powinienem był go czytać. To nie moja sprawa. No ale po tylu latach w zawodzie gliniarze robią się wścibscy. Nie mogłem się powstrzymać, a poza tym był przecież otwarty. Pomyślałem, że może znajdę tam dane kogoś, z kim powinniśmy się skontaktować czy coś.

„Gówna prawda”.

Brier przesunął palcem po krawędzi koperty.

– Eddie i Katy to twoi rodzice, prawda?

– Gdzie jest Gerdy?

Detektyw spochmurniał.

– Nie żyje, chłopcze.

– To wiem. Gdzie jest jej ciało? Chcę ją zobaczyć.

– Sprawdzę, co da się zrobić. – Nie odrywał wzroku od koperty. – Ten list jest stary. Siedemdziesiąty ósmy rok. Szmata czasu.

– A co z Dunkiem?

– Operacja. Dostał kulkę w ramię, drugą w klatkę, złamała mu trzy zębra. Trzecia trafiła w brzuch, dwie kolejne w lewą nogę. Pewnie też powinien nie żyć, ale wygląda na twardego zawodnika, może się wyliże. Jeśli tak, to zawdzięcza ci życie. Chociaż tobie wybuch nic nie zrobił. Może jemu też by nie zaszkodził. – Wciąż wpatrywał się w kopertę. – Kim jest Richard Nettleton?

– Chciałbym jednak wezwać pielęgniarkę – powiedziałem cicho. – Dostać coś przeciwbólowego.

– Nic ci się nie stało.

– Głowa...

– Ani zadraśnięcia.

Rozejrzałem się wokół łóżka i namierzyłem przycisk wzywający pielęgniarkę.

Detektyw Brier podniósł obie ręce.

– Zanim naciśniesz, powiem tylko, że na korytarzu czeka ktoś, kto chciałby z tobą porozmawiać. Myślę, że zainteresuje cię, co ma ci do powiedzenia.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo już podszedł do drzwi, otworzył i wychylił się na korytarz. Zamienił z kimś kilka słów, po czym wpuścił go do środka.

Od razu poznałem tego człowieka.

To był ten sam mężczyzna, którego tyle razy widziałem koło tajniackiej furgonetki pod blokiem. Nadal miał na sobie wymiętą koszulę i czerwony krawat. Teraz jednak biała koszula była czarna od sadzy, górny guzik rozpięty, krawat poluzowany. Kiedy się obrócił, żeby zamknąć drzwi, zobaczyłem wybrzuszenie broni ukrytej za paskiem, wyraźnie widoczne wśród plam brudu i potu.

Uzbrojony hydraulik vel elektryk vel dywanianarz.

– To detektyw Horton z antynarkotykowego – przedstawił go Brier.

– W pewnym sensie już się znamy – stwierdził Horton. – Widziałem, jak wbiegłeś do jadłodajni, i to dwa razy. Jesteś albo niesamowicie dzielny, albo głupi, albo i to, i to.

Znów sięgnąłem do guzika przyzywającego pielęgniarkę.

– Zainteresuje cię to, co mam ci do powiedzenia. Nie spodoba ci się, ale na pewno powinieneś to usłyszeć.

Detektyw Brier wrócił na krzesło, Horton zaś podszedł do okna i wyjrzał w ciemną noc.

– Twój kumpel Duncan Bellino jest zamieszany w ciemne sprawy. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę, nie mam pojęcia, czy orientujesz się w pełni, ale na pewno wiesz, z kim pracuje.

Otworzyłem usta, żeby zaprotestować, ale uciszył mnie, unosząc dłoń.

– Nie musisz nic mówić. Pewnie nawet lepiej, żebyś milczał, przynajmniej na razie, więc tylko posłuchaj. Zauważyłeś, że obserwowaliśmy wasz blok. Zmieniamy się, staramy się nie rzucać w oczy, ale prędzej czy później ktoś nas zawsze zauważy. Mamy zdjęcia, na których patrzycie na naszą furgonetkę. Nagraliśmy nawet, jak rozmawiasz o tym z Bellinem...

– Nagraliście?

– Nic nie mów, tylko słuchaj. Jeszcze powiesz coś, co ci zaszkodzi.

Skinąłem głową.

– Kiedy zaczęliśmy obserwować twojego koleżkę, tak naprawdę to nie on nas interesował. Czailiśmy się na jego bossa, Henry'ego Crocketa. Wiesz, jak to jest, oglądasz telewizję: przyłapałibyśmy na czymś twojego kumpla i skłonilibyśmy, żeby sypnął nam kogoś ważniejszego. – Horton zakręcił dłonią w geście wyliczania. – I tak dalej, i tak dalej, aż dorwalibyśmy bossa, a może nawet jego bossa, we współpracy z innymi agencjami, jak FBI i DEA, spróbowalibyśmy zamknąć cały interes. Mieliśmy Crocketa na radarze prawie dziesięć lat. Zaczynał jak wszyscy, pracował dla kogoś, uczył się fachu, a potem poszedł na swoje. Na takiej sytuacji zwykle kiepsko wychodzi ktoś inny.

Horton urwał, szukając odpowiednich słów.

– Sam oceń, czy brzmi to znajomo. Zaczynał od drobiazgów: trawa, leki na receptę, potem doszło trochę mety i heroiny. Z początku sam dilował, potem zmądrzał i zaczął wykorzystywać dzieciaki. Nawet dziesięciolatki sprzedawały ten syf na ulicach i placach zabaw. Jak ich łapaliśmy, to po paru godzinach wychodzili. Dzieciaki nigdy nie sypią. Wiedzą, że niewiele możemy im zrobić. Crocket wręcz daje im, a raczej dawał, premię, jeśli wpadły i nikogo nie wsypały, parę stów do kieszeni. Niezła fucha dla dzieciaka, jeszcze lepsza dla rodziców, którzy zwykle świetnie wiedzieli, co się dzieje, ale przymykali oko, bo też

potrzebowali paru groszy, żeby mieć co włożyć do garnka i popłacić rachunki. Wielu z nich zresztą również jest uzależnionych, a kiedy dzieciak pracuje dla takiego Crocketa, to można liczyć na zniżkę pracowniczą na herę. Nic nowego. Biznes narkotykowy działa tak na całym świecie, w każdym większym i mniejszym mieście, Pittsburgh nie jest wyjątkiem. Niektórym z tych gości nie zależy na rozwijaniu biznesu, w końcu i tak nieźle zarabiają. Po co być pazernym? Spokojnie zarabiają sześciocyfrowe kwoty w skali roku. Ale inni, jak na przykład Crocket, łapią bakcyła, zależy im na ekspansji, dywersyfikacji, wzroście, rozkręcaniu interesu.

Horton spojrzął na swój brudny krawat, mruknął coś pod nosem, ściągnął go przez głowę i zaczął czyścić nim sadzę z koszuli. Kiedy się zorientował, że plamy tylko się rozmazują, dał sobie spokój, schował krawat do kieszeni i znowu wyrzwał za okno.

– Tylko w zeszłym roku Henry Crocket kontrolował blisko trzydzieści procent rynku narkotykowego w mieście. Dziesięć procent w Filadelfii, bo otworzył filie. Ostatnio zaczął się też interesować Chicago. To w zasadzie nie moja sprawa, ja się martwię o nasze miasto. W zeszłym roku zmarło dwadzieścioro troje jego klientów, przedawkowali. Nie zaszkodziło mu to jednak, bo nie brakowało nowych chętnych. Dokonał „fuzji” przynajmniej z czterema rywalami. A mówiąc „fuzja”, mam na myśli, że ich zabił i przejął terytorium. W sumie to raczej wrogie przejęcie. Jeszcze dziś rano wszystko wskazywało na to, że do końca roku jego udział w rynku handlu narkotykami w Pittsburghu wyniesie czterdzieści procent, dziesięcioprocentowy wzrost w stosunku do ubiegłego roku. Może więcej. Część z jego konkurencji wycofywała się z branży, lepiej tak, niż robić „fuzje”. Wszystko układało się po myśli pana Crocketa aż do dziś, kiedy to z samochodu pod knajpą wysiedli czterej uzbrojeni faceci i nafaszerowali go ołowiem, przy okazji pozbawiając połowy czaszki.

Przypomniiał mi się widok rozwalonej głowy Crocketa i jego zmasakrowanego ciała na stoliku.

– Zwykle w takiej sytuacji wyjąłbym zdjęcia i próbował cię nastraszyć, ale wiem, że go widziałeś, a widok na żywo jest zawsze gorszy niż na obrazku. Dochodzą pozostałe zmysły, węch, dotyk. Twój kumpel Bellino miał kawałki głowy Crocketa na szyi, na koszulce. Zbliżyłeś się do tego paskudztwa bardziej, niż ktokolwiek powinien. Uwierz mi, że to z człowiekiem zostaje. O zdjęciu łatwo zapomnieć, ale będziesz sobie przypominał o Crockecie za każdym razem, kiedy dotkniesz czegoś lepkiego, do końca życia. Zawsze gdy poczujesz zapach smażonego mięsa, wrócisz myślami do tej jadłodajni.

– Jestem podejrzany czy coś? Czemu mi pan to wszystko mówi?

– Od lat śledziłem Henry’ego Crocketa, rejestrowałem każdy jego ruch – odparł Horton. – Wystarczyło, żeby facet podłubał w nosie, a już trafiało to do trzech sprawozdań. Mogę ci powiedzieć, kiedy sra, kiedy wali konia, co lubi oglądać w telewizji... ale przez cały ten czas nigdy nie zrobił jednej rzeczy, wiesz jakiej? Ani razu? Nigdy nie usiadł w knajpie plecami do wejścia, a tym bardziej do okna. Tacy jak on po prostu tego nie robią. Siadają na tyłach, tak żeby móc na wszystko mieć oko. W bardziej... bezpiecznym miejscu.

– Siedzieli w ulubionym boksie Dunka. On zawsze tam siada.

– Zawsze? – powtórzył Horton.

Faustino nachylił się do przodu.

– Nie zawsze. Kiedy pierwszy raz was tam widziałem, siedzieliście w boksie na tyłach, przy łazience. Była tam nawet tabliczka, że to twój stół.

– Byliśmy dziećmi. To nie ma znaczenia.

– Od kiedy ten ulubiony boks Bellina, czy tam Dunka, jest jego ulubionym boksem?

– Nie wiem – odparłem. – Od pół roku? Dziewięciu miesięcy? Po prostu zaczął tam siadać, mówił, że chce widzieć, co się dzieje na ulicy. Poprosił Krendala, żeby trzymał dla niego to miejsce w godzinach szczytu. Je tam wszystkie posiłki, więc Krendal spełnił prośbę.

Faustino i Horton wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Niecały rok temu podsłuchaliśmy rozmowę tego twojego Dunka z innym z ludzi Crocketa, jakimś Alonzem Seppalą, też z niskiego szczebla – ciągnął Horton. – Byli w parku, złapaliśmy ich słowa mikrofonem o dalekim zasięgu. Omawiali sposoby pozbycia się Crocketa i przejęcia interesu. Jednym z pomysłów było zwabienie Crocketa na spotkanie i wystawienie go na strzał.

Kręciłem głową z niedowierzaniem.

– To jakiś absurd. Dunk nigdy by czegoś takiego nie zrobił. On nie jest taki. Jasne, robi niefajne rzeczy, ale nikomu nie zrobiłby krzywdy.

– Bellino zaczął siadać w tamtym boksie dwa dni po rozmowie z Alonzem Seppalą – skwitował Horton. – Przeniósł się ze stolika na tyłach, twojej miejscówki, do tego z przodu. Zawsze siadał po tej samej stronie, przodem do ulicy.

– Żeby mógł widzieć, co się dzieje, żeby mu się nie nudziło przy jedzeniu, to wszystko.

Horton sięgnął do kieszeni i tym razem rzeczywiście wyjął jakąś fotografię, po czym rzucił mi ją na łóżko.

– Zespół obserwacyjny Bellina, w tak dobrze ci znanej furgonetce, złapał to ujęcie.

Spojrzałem na zdjęcie, ale nie wziąłem go do ręki. Niebieskie bmw zaparkowane na miejscu dla osób z niepełnosprawnościami przed jadłodajnią Krendal's, czterej uzbrojeni mężczyźni wysiadający z samochodu. Głowę kierowcy zakreślono czerwonym kółkiem.

– To Alonzo Seppala. Twój kumpel Duncan Bellino to wszystko ukartował.

## 6

Ze szpitala detektyw Faustino Brier pojechał prosto do siedziby wydziału zabójstw. Wyciągnął z kąta Tablicę Osobliwości i przestudiował uważnie zdjęcia, tekst oraz ostatnie kilkanaście lat swojego życia. Potem wyjął z kieszeni kopię listu Jacka Thatcha, który odbił w punkcie ksero przy drodze numer 79, kiedy jechał do Mercy pogadać z nim z Hortonem.

Przypiął list w prawym dolnym rogu tablicy, tuż obok plakatu z odręcznym szkicem dziewczyny i podpisem: „Czy ktoś mnie widział?”. Obok wisiały trzy fotografie przedstawiające Jacka Thatcha, kiedy rozwieszał dziesiątki tychże plakatów przy Brownsville Road i przy drodze numer 51.

Znalazł w biurku teczkę z aktami sprawy zabójstw z 1978 roku – mężczyzna i kobieta brutalnie zamordowani w domu przy Beverly Road 98 w Dormont, trzy ciała znalezione na piętrze w pokoju na pierwszy rzut oka dziecięcym.

Nachylił się nad listem...

„Eddie, oni wiedzą o dzidzi”.

Dzidzia.

Dalej mowa jest o tym, że „zaczęła” chodzić, ona.

Faustino nie miał dzieci, nigdy nawet nie był żonaty, ale miał wielu znajomych z dziećmi i kojarzył, że zaczynały chodzić zwykle w wieku roku, może półtora.

„Chodzić!”, napisano w liście.

Właśnie zaczęła chodzić, w 1978 roku.

To by znaczyło, że teraz ma jakieś szesnaście, siedemnaście lat.

Mniej więcej tyle, co Jack Thatch.

„Zresztą sam wiesz, masz synka”.

Mniej więcej tyle, co dziewczyna na plakacie.

„Ucałuj Katy i małego”.

Na bank chodziło o rodziców Jacka.

„Uważaj na siebie. Richard Nettleton”.

Kim, do cholery, jest Richard Nettleton?

Faustino zaparzył cały dzbanek kawy – zanosilo się, że trochę tu posiedzi.

## 7

Kiedy zrobili nalot na mieszkanie Dunka, leżałem jeszcze w szpitalu, a on miał właśnie trzecią operację. Lekarzom udało się usunąć pociski z klatki piersiowej i brzucha, pozszywać tkanki i mięśnie. Ponastawiali mu połamane żebra. Przez ramię kula przeszła na wylot, to dobrze. Gorzej z tymi, które trafiły w nogę – jedna otarła się niebezpiecznie o tętnicę udową i poważnie uszkodziła nerw, druga roztrzaskała kość udową. Nie groziła mu amputacja, ale miał już nigdy nie odzyskać pełnej sprawności, a może nawet nie chodzić. Dowiedziałem się tego od lekarza, który przyniósł mi najnowsze wieści kilka minut po wyjściu detektywów.

Dotarła do mnie mniej więcej połowa jego wypowiedzi.

Kiedy wychodzili, detektyw Brier zapytał mnie, kim jest mężczyzna w czarnym GTO. Podobno widziano go w moim budynku, był też na pogrzebie.

Odparłem, że nie mam pojęcia.

Brier zostawił mi list. Dzinsy i bluzę zabrał w papierowej torbie. Materiał dowodowy, powiedział.

Nalot na mieszkanie Dunka przeprowadziła Joy Fogel, partnerka detektywa Briera. Policjanci przewrócili dom do góry nogami. Nie znaleźli jednak nic, co obciążałoby Dunka. Wszystko, na podstawie czego można by go powiązać z Crocketem, trzymał poza mieszkaniem.

Znaleźli za to ojca Dunka, martwego na kanapie, z brudną igłą od heroiny w żyle. Leżał tak przynajmniej od doby, może dłużej.

Alonzo Seppala zaprzeczył, jakoby Dunk miał cokolwiek wspólnego z egzekucją Crocketa. Tej samej nocy powiesił się w celi na własnych spodniach.

Trzymali mnie w szpitalu dwa dni, na „leczeniu i obserwacji”, chociaż nie życzyłem sobie tego drugiego, a pierwszego nie potrzebowałem – Brier mówił prawdę: nie miałem ani zadrapania. Nawet jednego guza, siniaka czy męczącego kaszlu.

Przez blisko trzy tygodnie nie miałem okazji porozmawiać o tym wszystkim z Dunkiem. Z dnia na dzień czułem coraz silniejszy ucisk w brzuchu.

Dn. 20.05.1993:

Pacjent „D” - parametry w normie.

Nagranie audio/wideo.

- Nie ma dziś Warrena, Carl?

Carl spojrział na monitor, na patrzącego na niego chłopaka. Sięgnął do przycisku mikrofonu, zawahał się i cofnął rękę.

- Rzadko zdarza nam się spędzać czas sam na sam, Carl. Mamy sporo do nadrobienia. Warren jest na chorobowym czy wreszcie go przyskrzynili za Wielki Skok na Srajtaśmę?

Carl wcisnął guzik.

- Zamknij ryj, gównojadzie.

Minęło trzydzieści sekund.

- Jak ostatnio byliśmy sami z Warrenem, był uprzejmy przeczytać mi wszystkie nagłówki, a nawet parę artykułów. Mógłbyś to dla mnie zrobić? Naprawdę czas wtedy szybciej leci. Bo masz przy sobie gazetę, prawda?

Carl zerknął na egzemplarz „Pittsburgh Post-Gazette” leżący na konsoli. Opadł na oparcie fotela i powiedział w przestrzeń:

- Uroczyście oznajmiam, że nie mam pojęcia, jak ten gówniarz to robi, ale przechodzą mnie ciarki. Jakby miał tu oczy i uszy. A do szanownego państwa z firmy: może by tak dorzucić parę groszy do budżetu, żebyśmy mogli mieć rezerwowego na wypadek czyjejś choroby? Warren już trzeci raz w tym roku jest na zwolnieniu, nie żebym mu żałował. Nie powinienem siedzieć tu sam z naszym rozkosznym kolegą. Nikt nie powinien. Gdybyśmy mieli związek zawodowy, zaraz by się tym zajęli.

Pacjent „D” wstał z łóżka, podszedł do kamery i spojrział prosto w obiektyw.

- Nic w tym złego, że chcę się orientować w bieżących wydarzeniach, prawda? Może przeczytasz mi chociaż pierwszą stronę?

Carl wcisnął guzik mikrofonu.

- Musiało boleć jak sam skurwysyn, kiedy ojciec ci to zrobił z twarzą. Żałuję, że mnie przy tym nie było, gnojku. Założę się, że kwiczałeś jak zarzynane prosię. Nie mogę sobie wyobrazić, co musiałeś mu powiedzieć, żeby tak go



sprowokować, żeby ojciec zrobił coś takiego własnemu dziecku, a matka mu na to pozwoliła.

Przerwa spowodowana opóźnieniem w transmisji, a potem:

- Powiedziałem mu to, co powinien usłyszeć.

- Ostatnio często to robisz, co? Założę się, że pacjentka „S” chciała stąd spierdalać, kiedy jej powiedziałeś, że ją kochasz. Nikt nie chce być w pobliżu potwora Frankensteina, kiedy zbiera mu się na czułości. Zdajesz sobie sprawę, że jak tylko przestaniesz im być potrzebny, to uśpią cię jak wściekłego psa, co nie? Pacjentka „S” będzie pewnie wtedy ujeżdżała jakiegoś gościa na tylnym siedzeniu fordą. Myśl o tobie nawet jej nie przemknie przez tę śliczną główkę. Czego się niby spodziewałeś? Że polecą z tobą w ślinę? Upadnie na kolana i ci obciągnie? Pewnie mógłbyś jej kazać to zrobić, ale to by nie było to samo, gdyby sama tego nie chciała, co nie? No ale dla kogoś takiego jak ty to chyba jedyny sposób, żeby zaliczyć.

- Nie jesteś zbyt miły, Carl.

- Goń się.

Carl wstał i zaciągnął roletę na szybie. Wyłączył po kolei wszystkie monitory w sali obserwacyjnej, po czym zwrócił się do śledzącej każdy jego krok kamery:

- Jak chcecie, to możecie mnie spisać, proszę bardzo, urzędasy pierdolone.

## 8

Minął ósmy dzień maja i po raz pierwszy od 1986 roku nie pojawiła się tajemnicza koperta z pięciuset dolarami. Siedziałem tego dnia w domu, jak zwykle ostatnimi czasy, i co chwila sprawdzałem drzwi, okna, sypialnię, spodziewając się przesyłki, ale się nie doczekałem.

Zrozumiałem, że ten etap mojego życia dobiegł końca, a tożsamość dobroczyńcy pozostawała dla mnie zagadką w takim samym stopniu jak wtedy, kiedy pojawiały się pierwsze koperty.

Nie potrzebowałem tych pieniędzy.

Zgodnie z zapowiedzią pan Matteo pilnował opłacania rachunków. Założył rachunek bieżący na moje nazwisko i wyrobił mi kartę debetową. Pierwsza wpłata na konto wyniosła dwa tysiące dolarów i zapowiedział mi, że taka sama kwota będzie wpływała pierwszego dnia każdego kolejnego miesiąca. Dodał też, że jeśli ta suma okaże się niewystarczająca, może ją zwiększyć, muszę tylko poprosić. Mieliśmy spotykać się co trzy miesiące, żeby na bieżąco omawiać moją sytuację i wprowadzać ewentualne zmiany. Częściej, gdyby pogorszyły mi się stopnie i pójsie na studia stanęłoby pod znakiem zapytania.

Biorąc pod uwagę, że to on opłacał rachunki, a kieszonkowe miało pokrywać codzienne wydatki, takie jak zakupy spożywcze i ubrania, nie umiałem sobie wyobrazić wydawania tak astronomicznej kwoty miesiąc w miesiąc. Nie wyobrażałem sobie wydawania choćby połowy tej sumy, więc po prostu podziękowałem i schowałem kartę.

Po ostatniej, szóstej już operacji lekarze wprowadzili Dunka w stan śpiączki farmakologicznej. Twierdzili, że każdy ruch stanowi wielkie ryzyko. Pierwszego dnia ciśnienie dwukrotnie spadło mu do niebezpiecznie niskiego poziomu, kolejny raz trzy dni później. Akcja serca ustała na blisko minutę. Obawiano się, że mogło dojść do uszkodzenia mózgu. Kolejne cztery dni spędził pod respiratorem. Przez ostatni tydzień oddychał już jednak o własnych siłach i wszystko wskazywało na to, że tak zostanie.

Wszystkiego dowiadywałem się z tego samego źródła co reszta miasta – z łamów „Pittsburgh Post-Gazette”. Ponieważ Dunk jako jedyny przeżył Masakrę w Jadłodajni Krendal’s, jak zdarzenie nazywała prasa, reporterzy oblegali szpital

dzień i noc, przekupując pracowników, żeby wycisnąć z nich nawet najdrobniejszą informację. Przez pierwsze trzy dni sprawa utrzymywała się na pierwszej stronie, potem spadła na drugą i trzecią. Dwa tygodnie później Duncan Bellino zasługiwał już ledwie na krótkie wzmianki w dziale lokalnym.

W artykule na pierwszej stronie, opublikowanym czwartego maja, a więc dzień po masakrze, umieszczono fotografie wszystkich siedmiu ofiar. Zdjęcie Gerdy wydrukowano jako trzecie w pierwszym rzędzie, Lurline Waldrip – pierwsze w rzędzie drugim. Największa była ostatnia, stara fotografia Krendala – bez aparatu słuchowego, z bujną czupryną i jakieś piętnaście kilogramów temu. Autor artykułu zamieścił jego krótki biogram, a także kilka akapitów o historii jadłodajni. Próbowano zebrać środki na odbudowę lokalu, ważnego z punktu widzenia historii miasta. Miałem nadzieję, że wysiłki spełzną na niczym. Nie mógłbym chyba już nigdy spojrzeć na to miejsce.

Nie znałem pozostałych ofiar, przynajmniej nie z imienia i nazwiska. Niektórych kojarzyłem z widzenia, pewnie z jadłodajni. Przeczytałem wszystkie biografie. Chciałem ich poznać, czułem, że powinienem.

W kilku pierwszych relacjach wspomniano o chłopaku, który wbiegł do płonącego budynku, wyciągnął Duncana Bellina i próbował uratować Eldena Krendala. Jedni twierdzili, że zginął w wyniku eksplozji, inni – że udało mu się ująć z życiem. Nikt nie znał jego tożsamości. Policja odmawiała komentarza. Cieszyłem się, że mój udział w całej historii jakimś cudem zatarł się w pamięci.

Szóstego maja odbył się pogrzeb Gerdy. Siedziałem w drugim rzędzie, za jej rodzicami. Widziałem ich pierwszy raz w życiu. Powinienem się im przedstawić, ale tego nie zrobiłem. W tym samym czasie odbywały się trzy inne pogrzeby. Padało, więc mogłem policzyć brezentowe wiaty na cmentarzu.

W moim mieszkaniu wciąż walały się ubrania Gerdy, jej szczoteczka do zębów tkwiła w szklance w łazience razem z moją i cioci Jo. Nie mogłem się zmusić, żeby pozbierać jej rzeczy.

Wypłakałem już wszystkie łzy.

Szedłem przez życie jak zombi, ruszałem się, ale bezmyślnie. Nie chciałem myśleć o wydarzeniach ostatnich tygodni. Jeszcze trudniej przychodziło mi jednak zastanawianie się nad przyszłością.

W sypialni cioci Jo znalazłem butelkę korzennego rumu Captain Morgan. Opróżniłem ją w ciągu dwóch dni i dwóch nocy, wdzięczny za grubą warstwę mgły, którą rozciągał między mną a światem zewnętrznym.

Czasem zastanawiam się, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym wtedy nie sięgnął po butelkę, gdyby nie przypadł mi do gustu smak i uczucie odrętwienia. Polubiłem je jednak, nieco za bardzo.

Do szpitala Mercy General wróciłem dopiero dwudziestego maja.

Nie miałem powodu wierzyć w słowa detektywa Hortona. Dunkowi nie postawiono żadnych zarzutów, w mediach nie wspomniano o jego zamieszczeniu w strzelaninę, w pożar, w śmierć tych wszystkich osób w Krendal's. Był moim przyjacielem od zawsze. Powinienem był go odwiedzić tego pierwszego dnia i wracać tam codziennie, ale nie mogłem.

Nie potrafiłem.

Powtarzałem sobie, że policjanci manipulują faktami, dorzucają kilka od siebie, próbują znaleźć kozła ofiarnego. Chcieli zwalić winę na Dunka, żeby wyciągnąć od niego informacje na temat organizacji Crocketa, rozmontować biznes, zanim hydrze wyrośnie kolejna głowa.

Dunk nie był zabójcą.

Dunk nikogo by nie skrzywdził.

Dunk był moim przyjacielem.

Dunk był moim najlepszym przyjacielem.

„Dlaczego Dunk zmienił swoje stałe miejsce w jadłodajni?”

To pytanie najbardziej nie dawało mi spokoju, nie tylko z powodu tego, co powiedzieli detektywi, ale z powodu słów samego Dunka, przed laty, kiedy siedzieliśmy w moim boksie na tyłach sali. „Widać stąd całą knajpę. Nikt nie chce siedzieć koło łazienki, ale to najlepsza miejscówka w lokalu”.

Dunk nie został aresztowany, ale kiedy zadzwoniłem do Mercy General dowiedzieć się o godziny odwiedzin, powiedziano mi, że policja musi wyrazić zgodę na moją wizytę.

Zostawiłem nazwisko i numer telefonu.

Pół godziny później zadzwonił do mnie detektyw Horton. Chciał, żebym założył podsłuch i skłonił Dunka do zwierzeń.

Odmówiłem.

Mimo to pozwolił mi go odwiedzić.

Pielęgniarka w recepcji dla odwiedzających powiedziała mi, że Dunk leży w sali 307 – fioletową windą na drugie piętro i skręcić w prawo.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, od razu zauważyłem salę Dunka. Po jednej stronie korytarza siedziało dwóch mundurowych, po drugiej dwóch ludzi Dunka – obaj wyglądali znajomo, ale nie wiedziałem, jak się nazywają.

Cała czwórka zmierzyła mnie wzrokiem, kiedy ruszyłem korytarzem. Jeden z policjantów kazał mi podpisać jakąś listę przed wejściem do sali.

Nabazgrałem swoje nazwisko i pchnąłem ciężkie drzwi wahadłowe.

Była dopiero szesnasta dwadzieścia, ale w sali panowała ciemność. Zasłony szczelnie zaciągnięto, światła pogaszono, jedyne źródło światła stanowił

telewizor zamontowany w rogu pod sufitem – na ekranie migąła właśnie *Dobra cena* z wyłączonym dźwiękiem.

Sama sala wyglądała dokładnie tak jak ta, w której leżałem przed dwoma tygodniami – ta sama powierzchnia, kształt, też dwa łóżka. Pierwsze było puste, Dunk leżał w drugim. Nogę miał na wyciągu. Spodziewałem się gipsu, ale zamiast tego wzdłuż nogi biegły mu cienkie metalowe pręty, jedną stroną połączone z czymś w rodzaju plastikowego egzoszkieletu, drugą zatopione pod skórą. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem.

Podszedłem bliżej, podeszwy zapiszczały mi na wypucowanych kafelkach.

– Paskudne, co? – zagadnął Dunk. – Nazywa się to stabilizator Hoffmana czy jakoś tak. Mam to powkręcane w kości. – Dunk nie otwierał oczu i nie podnosił głowy z poduszek. – Leżę tu trzy tygodnie, a ty dopiero teraz raczysz mnie odwiedzić?

Chciałem przeprosić. Już prawie powiedziałem, że chciałem przyjść wcześniej, ale nie mogłem, że coś mi wypadło. Prawie powiedziałem, że lekarze nie pozwalali mi go odwiedzić, że nikomu nie pozwalali na odwiedziny. Wiedziałyby, że to nieprawda.

Dlatego nic nie powiedziałem.

Wciąż z zamkniętymi oczami wyciągnął słabo rękę w moją stronę.

– Dzięki, że mnie stamtąd wyciągnąłeś.

Złapałem go za dłoń, ale po chwili ją puściłem. Miał wilgotną skórę.

– Nie wiem, jak to zrobiłeś, ważę z piętnaście kilo więcej, ale dziękuję ci, naprawdę, stary.

– Co to za ludzie tam w korytarzu?

– Gliny? Chyba się boją, że ucieknę. Może i słusznie, nawet z jedną nogą jestem pewnie szybszy niż ten gruby.

– Nie gliny, ci drudzy.

– Mają gliniarzy na oku.

– Oni uważają, że to ty zrobiłeś. Znaczą policja.

Dunk odwrócił głowę do okna.

– Nie obchodzi mnie, co oni uważają.

– Podejrzewają, że zleciłeś zabójstwo Crocketa, żeby przejąć jego biznes.

– A co ty myślisz?

– Przez ostatnie tygodnie w ogóle niewiele myślałem – odparłem cicho.

– Crocketa zabił Alonzo Seppala. – Dunk poruszył się w łóżku. – Chujek sam się przyznał, zanim się powiesił. – Ręka drgnęła mu pod kołdrą. Skrzywił twarz w grymasie. – Wszystko mnie boli. A jak nie boli, to swędzi. Dają mi morfinę, niby świetnie, tyle że nie bardzo. Po pierwszych paru dniach zaczęła mnie swędzieć skóra od środka, jakby mrówki biegały mi po kościach. Nawet jakbym

mógł się podrapać, to nie wolno mi się ruszać. Lekarz mówi, że gdy przesunę się chociaż kawałek w złą stronę, to kości mi się krzywo zrosną. A jak za bardzo się przemieszcza, to może nawet będą musieli mi je od nowa łamać. Z nogą jest słabo, ale najgorzej z żebrami. Przy każdym wdechu czuję się tak, jakby ktoś mnie dźgał tępym nożem. Jedna kula zmasakrowała mi flaki, więc nie mogę normalnie jeść. Karmią mnie przez rurkę. Wolę sobie nie wyobrażać, czym właściwie mnie karmią. A wiesz, co jest najdziwniejsze? Nie srałem ani razu, odkąd tu jestem. Czyli nie mogą we mnie wpychać niczego dobrego.

– Przykro mi z powodu twojego taty – powiedziałem.

– Był sukinsynem.

– Ale też twoim tatą.

– Od lat nie był moim ojcem. – Dunk zakasłał i jeszcze mocniej zacisnął powieki. Z czoła spłynęła mu strużka potu. Oblizwał suche, spierzchnięte wargi. – Jest jakieś picie na stoliku?

Na blacie stał plastikowy kubek ze słomką. Napełniłem go wodą z niedużego dzbanka i podniosłem Dunkowi do ust, celując słomką w usta. Pił z nadal zamkniętymi oczami.

– Dlaczego na mnie nie patrzysz?

Dunk skończył pić, odstawiłem kubek na miejsce.

– Sorry, oczy mnie bolą od światła. To chyba wina leków.

Otworzył oczy, spojrzał na mnie. Zamrugał.

– Byłeś już w szkole?

I już wiedziałem.

Nie chciałem tego, ale byłem pewny.

Cofnąłem się niezgrabnie, aż poczułem pod kolanami drugie łóżko. Próbowałem coś powiedzieć, ale brakowało mi słów. Odwróciłem się i ruszyłem do drzwi.

– Jack? – powiedział Dunk. – Jack, czekaj. Wy tłumaczę...

Zanim dokończył zdanie, byłem już w pół drogi do windy.

Chciałbym móc powiedzieć, że byłem silny.

Że wykorzystałem to, co wydarzyło się w Krendal's, i odrodziłem się z tego bólu, wziąłem dla siebie wszystko, co było dobre w cioci Jo, w Gerdy i wszystkich innych, których tego dnia straciłem.

Po rozmowie z Dunkiem wyszedłem ze szpitala i przez blisko pięć godzin włóczyłem się ulicami Pittsburgha.

Szedłem przed siebie.

Bez żadnego konkretnego celu, po prostu szedłem.

Dobre dzielnice, złe dzielnice, było mi to obojętne. Coś chyba wręcz ciągnęło mnie ku tym szemranym okolicom, jakbym liczył na to, że napytam sobie biedy. Aż

mnie świerbiło, żeby się z kimś pobić. Z każdym krokiem wrzał we mnie gniew, podsycał sam siebie, aż nie zostało już nic innego. Kiedy z rykiem silnika przejechał obok mnie autobus, za blisko krawężnika, plułem sobie w brodę, że nie skoczyłem pod koła. Mijając ulicznych dilerów, mierzyłem ich wzrokiem i zastanawiałem się, którzy pracowali dla Crocketa, którzy pracują dla Dunka, a którzy sami nie wiedzą, ale i tak sprzedają, bo wiedzą, że ktoś przyjdzie uzupełnić zapasy i odebrać utarg. Jakimś sposobem dostrzegali we mnie zagrożenie. Co najmniej kilku odchyliło połę bluzy czy kurtki, żeby zaprezentować nóż albo kolbę pistoletu. Złapałem się na tym, że się do nich uśmiecham, liczę na to, że dobędą broni, że strzelą, zastanawiałem się, czy mogliby mnie w ten sposób zabić.

Kiedy dotarłem z powrotem na Brownsville Road, słońce już dawno zaszło. Nie poszedłem jednak prosto do domu. Pchnąłem drzwi monopolowego Mike's Package Liquor i kupiłem butelkę czegoś o nazwie Jameson. Kasjer nie chciał sprzedać alkoholu nieletniemu, ale szybko się nauczyłem, że w tym akurat sklepie wystarczy sto dolarów, żeby kupić dowolną flaszkę, niezależnie od wieku.

Po powrocie do mieszkania nie zapaliłem światła, nie zdjąłem butów. Rzuciłem się na ulubiony fotel cioci Jo, odkręciłem butelkę i zacząłem pić. Piłem tak długo, aż przestałem dostrzegać zarys sukienki Gerdy porzuconej na podłodze tuż przy drzwiach mojego pokoju.

Jameson z początku mi nie smakował, ale z czasem można go polubić. Otula człowieka jak ciepły koc w najzimniejszą noc w roku.

Przez cały tydzień wydzwaniali do mnie ze szkoły, ale nie odbierałem. Kiedy nie mogli się dodzwonić do mojego mieszkania, zaczęli kontaktować się z panią Leech. Powiedziała im, że poszedłem do szkoły, spakowała mi kanapki na drugie śniadanie – chleb pełnoziarnisty z szynką i serem. Stwierdziła, że pewnie gdzieś tam jestem, a jakiś nauczyciel źle sprawdził obecność, banda matołów. W końcu zadzwonili do Dewitta Mattea, który powiedział, że nie będę chodził do szkoły przez ostatnie tygodnie roku szkolnego, ale wrócę w następnym półroczu. Obiecał, że przez ten czas nadrobię cały materiał. Telefony wreszcie umilkły.

Gdzieś na początku lipca ktoś zapukał do drzwi.

Dunk.

Nie otworzyłem.

Matteo powiedział mi, że nie postawiono mu żadnych zarzutów. Ani jednego, ani pół. Dunk przeniósł się ze szpitalnego łóżka na wózek, a jeśli dobrze pójdzie, będzie mógł go zamienić na kule. Nie wrócił do swojego starego mieszkania ani do szkoły. Nie wiedziałem, co się z nim dzieje, i nic mnie to nie obchodziło.

Kolejny raz pukanie do drzwi rozległo się prawie miesiąc później, dwudziestego dziewiątego lipca. Wtedy chyba też nie powinienem był otwierać.



Dn. 29.07.1993:

Pacjent „D” - parametry w normie.

Nagranie audio/wideo.

- Co tam robi ten telefon?

Warren podniósł wzrok znad podkładki z klipsem i wzruszył ramionami.

- Widocznie ktoś uznał, że łatwiej go tam zostawić. On i tak nie może sam zadzwonić. Linia jest nieaktywna, dopóki jej nie włączymy.

- Miał dziś jakieś rozmowy?

- Dwie, rano.

- Planują więcej? - spytał Carl.

- Nie wiem. Pewnie tak.

- Ma tam też gazetę.

- Ostatnio ciągle prosił o gazety. Doktorka chyba się ugięła. Przeczytał wszystkie książki świata, telewizji nie wolno mu oglądać, nie widzę nic złego w tym, żeby sobie przeczytał gazetę - stwierdził Warren.

- I to ona mu ją zaniósła?

- Tak, doktorka.

- Nie ty?

- W życiu bym tam nie wszedł. Nie jestem nienormalny.

## 9

Leżałem w łóżku, kiedy zaczęło się uporczywe walenie w drzwi.

Z początku tylko delikatne stuknięcia.

Uprzejme.

Nienarzucające się.

Przypuszczam, że pukanie zaczęło się na długo przedtem, zanim dźwięk przebił się przez mój pijacki letarg i poduszkę położoną na głowie. Kiedy wreszcie dotarł do mnie ten hałas, pukający zdążył już wpaść w rytm, który mógł podtrzymywać przez dłuższy czas.

Jakieś trzy tygodnie wcześniej za przykładem Elfriedy Leech pozaklejałem okna w sypialni folią aluminiową, ale światło jakimś sposobem i tak wdzierało się przez szczeliny na brzegach z taką siłą, że paliło mnie w oczy. Skrzywiłem się i z powrotem zacisnąłem powieki.

– Otwieraj, Jack!

Dodatkowy bodziec w postaci słów, wśród których znalazło się moje imię, pchnął mnie trochę mocniej w kierunku jawy. Spróbowałem zidentyfikować ten głos.

Męski. Jakby znajomy, ale nie do końca.

Wciąż z zamkniętymi oczami zwlokłem się z łóżka, postawiłem stopy na ziemi i siedziałem tak przez chwilę, pocierając zasnąłą twarz. Równie rytmiczny łomot zdawał się rozlegać także wewnątrz mojej czaszki.

Wstałem i ruszyłem do drzwi, prawie się przewracając, bo nogi zaplątały mi się w narzutę leżącą na podłodze. Musiałem skopać ją z łóżka zeszłej nocy, a może poprzedniej. Szczerze mówiąc, byłem pod wrażeniem, że w ogóle dotarłem do sypialni. Polubiłem się z fotelem cioci Jo, a kiedy przebudzałem się w nim o trzeciej w nocy, nie było już sensu wędrować przez całe mieszkanie do łóżka. Z fotela było zresztą bliżej do łazienki.

Z każdym krokiem mózg obijał mi się w czaszce, więc posuwałem się powoli, raczej szurając, niż podnosząc i stawiając nogi. Zrobiłem przystanek w kuchni, gdzie połknąłem na sucho garść aspiryny.

Wszystko wskazywało na to, że tajemniczy gość nigdzie się nie wybiera i zaczeka. A jeśli nie, to nie mój problem.

Nieźbornie otworzyłem zasuwę i uchyliłem drzwi, żeby zobaczyć, kto za nimi stoi.

Willy Trudeau.

Zdołał utrzymać na twarzy uśmiech, choć ten przerodził się ze szczerego w wymuszony, gdy tylko mnie zobaczył.

– Hej, Jack.

– Willy? Co ty tu robisz?

Podał mi jakąś kartkę.

– Twoja sąsiadka kazała ci to przekazać. Jakieś dwadzieścia minut temu wyjrzała z mieszkania.

Lista zakupów od pani Leech.

– Jaki dziś jest dzień?

Willy wtarabanił się do mieszkania, marszcząc nos.

– Czwartek. Co tu tak śmierdzi?

Nie wychodziłem z domu od tygodnia. W zeszły czwartek pani Leech odważyła się wypuścić na korytarz i wsunęła mi listę z zakupami pod drzwi. Bała się, że o niej zapomnę. Tydzień temu.

– Straszny tu burdel – oznajmił Willy.

Zauważył sukienkę Gerdy na podłodze i zaczął się schylać w jej stronę, z boku leżały jej majtki. Zniżył głos.

– Masz towarzystwo?

– Nie dotykaj tego! – rzuciłem ostrzej, niż zamierzałem. – Sorry. Ale proszę, zostaw to.

Willy się wycofał, zajrzał do mojego pokoju z pustym łóżkiem, po czym wrócił do salonu.

Powoli obracał głowę, rejestrując wszystkie szczegóły.

Czubkiem palca otworzył leżący na stole karton z pizzą i szybko opuścił pokrywkę na widok zawartości. Zamówiłem ją chyba w sobotę. Obok stało kilka pudełek z chińszczyzną. Starsze zalegały w kuchni. Przestrzeń między opakowaniami z żarciem na wynos wypełniały puste butelki po jamesonie, rumie i innych trunkach, wszelkich możliwych kolorów, rozmiarów i marek.

Podrapałem się po brzuchu.

– O co chodzi, Willy?

– Dzwonił do mnie twój prawnik. Kazał sprawdzić, co się z tobą dzieje. Mam cię koniecznie ściągnąć do kancelarii.

– Mój prawnik? Skąd on wytrzasnął twój numer?

– Nie wiem.

– Co ci powiedział?

Willy przekartkował stertę plakatów ze Stellą ułożonych pod pizzą.

– Widziałem je na mieście. Dunk parę miesięcy temu wszystko mi powiedział. Udało ci się ją znaleźć?

– Który dziś jest?

– Dwudziesty dziewiąty lipca, a co?

Czyli nie ósmy sierpnia.

– Nie mam kalendarza.

Willy domyślił się, o co chodzi.

– Masz jeszcze tydzień z kawałkiem.

Zdziwiłem się, że w ogóle pamiętał. Nie rozmawialiśmy o tej sprawie, od kiedy byliśmy dziećmi. Całe lata temu. W innym życiu.

– Jeśli tym razem się pojawi – odparłem. – Co ci powiedział prawnik?

Willy oparł się o stół.

– Że zaszyłeś się w mieszkaniu, nie odbierasz telefonu, nie chodziłeś do szkoły, nie pojawiłeś się na ostatnim umówionym spotkaniu.

Szlag. We wtorek. We wtorek miałem iść do kancelarii.

– Martwi się o ciebie, pomyślał, że może przyda ci się przyjaciel – ciągnął Willy. – No ale wyraźnie nie ma się o co martwić. Widzę, że świetnie sobie radzisz.

– „Przyjaciel”? Nie było cię na pogrzebie. Na żadnym z pogrzebów. – Zacząłem wyliczać na palcach. – Ani Jo, ani Gerdy, ani Krendala. Tyle osób odeszło.

– Rodzice uznali, że...

– Rodzice? Serio? Będziesz się nimi zasłaniał? Nie znałeś dobrze Krendala, rozumiem. Mogę ci nawet odpuścić Jo, ale Gerdy? Kurde, przecież była też twoją koleżanką. A zresztą gdybyś był moim przyjacielem, to i tak byś przyszedł.

Willy wbił wzrok w czubki własnych butów.

– Dunk był zamieszany w jakiś syf. Ciągle zresztą jest. A ty jesteś z nim blisko. Rodzice stwierdzili, że lepiej, jak będę się trzymał od was z daleka. Za rok idę na studia, do Penn State, boją się, że...

Podszedłem do drzwi.

– Idź już, Willy. Nie powinno cię tu być.

– Powinienem tu być już dawno – powiedział cicho. – Przepraszam.

– Chcę zostać sam.

– To ostatnie, czego ci trzeba.

– Wypad, Willy!

– A co miałem myśleć? Pojawiające się znikąd koperty z forszą. Tamten SUV, który próbował cię przejechać, jak byliśmy dziećmi.

„Próbował”.

– Stwierdziłem, że to wszystko ma pewnie jakiś związek z Dunkiem. Myślałem, że może zaczął się zadawać z tamtymi ludźmi już wtedy, a potem się rozkręcił. Podejrzewałem, że tymi pieniędzmi płaci ci za to, że mu pomagasz, albo że też z nimi współpracujesz, albo i to, i to. Cholernie mnie wtedy wystraszył tą spluwą. Udawałem, że wszystko spoko, ale kurde, Jack, spluwa? Mieliśmy po dwanaście lat. Nie powinniśmy się nawet zbliżyć do broni. Uznałem, że ta historyjka o dziewczynie to jakaś przykrywka, którą zmyśliliście, żeby nie mówić mi prawdy. Trzymałem się od was na dystans. Myślałem, że to wszystko ściema. A potem zacząłem widywać te plakaty na mieście, z twoim numerem i jej portretem, no i zrozumiałem, że to prawda. Myślałem, że to wszystko, co opowiadaliście mi z Dunkiem o tej dziewczynie, to bajki. Powinienem wiedzieć, że byś mnie nie oszukał. Dunk może i tak, ale ty nie. – Nie odrywał wzroku od swoich butów. – Przepraszam. Byłeś moim kumplem, a ja cię zawiodłem. Zawiodłem cię pod wieloma względami. Powinienem być przy tobie przez cały czas, a nie było mnie. Ale teraz jestem. Chcę to wszystko jakoś naprawić.

Zapadła niezręczna cisza. Zorientowałem się, że opieram się o drzwi i bezwiednie śledzę wzrokiem cienkie promienie słońca wpadające do salonu przez szpary w zaciągniętych zasłonach.

– Widziałeś ostatnio Dunka?

Willy przygryzł wargę.

– Wczoraj, wychodził z McDonalda przy pięćdziesiątcejedynce. Nie wyglądał za dobrze. Strasznie chudy, na wózku. Nie znałem gościa, który pchał wózek. Było z nimi jeszcze z sześciu facetów, żadnego nie kojarzę, wszyscy starsi. Załadowali go do jakiejś furgonetki i pojechali w stronę miasta, a za nimi radiowóz.

– Czyli nadal go nie aresztowali?

– Mój ojciec ma znajomego w prokuraturze, podobno nie mogą mu nic udowodnić. Ten drugi gość przyznał się do zaaranżowania i dokonania egzekucji, a sam popełnił samobójstwo, zanim wyciągnęli z niego dane tych, którzy strzelali razem z nim. Próbuje postawić Dunkowi zarzuty w związku z dilerką, ale tak jak Crocket nie ma żadnych powiązań. Wygląda na to, że przejmuje biznes, pewnie już to zrobił – powiedział Willy. – A ty się z nim widziałeś?

Pokręciłem głową i powiedziałem, że Dunk tu przyszedł, opowiedziałem o odwiedzinach u niego w szpitalu. Kończąc, przyłapałem się na tym, że spoglądam na butelkę Jamesona na stole obok Willy'ego, na dnie było jeszcze płynu na grubość palca czy dwóch.

– Stary, strasznie śmierdzisz – stwierdził Willy. – Kiedy się ostatnio myłeś?

Trzy dni temu, nie, cztery.

– Wczoraj – skłamałem.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale uniosłem rękę i ruszyłem do łazienki.

Stałem pod strumieniem gorącej wody chyba z godzinę, po prostu stałem, a woda po mnie spływała, dopiero potem sięgnąłem po mydło.

Kiedy się wynurzyłem z łazienki, folia aluminiowa zniknęła z okien, wszystkie pudełka i butelki zostały posprzątane, Willy nawet zmienił mi pościel, na podłodze leżała sterta brudów. Teraz był w salonie i ze szmatką w jednej ręce i butelką płynu w drugiej szorował tajemniczą plamę na stoliku kawowym.

Na środku pokoju stały trzy worki pełne śmieci.

Sukienka i majtki Gerdy nadal leżały na podłodze, tam gdzie je rzuciła, tylko ich nie tknął.

Na stoliku stały dwie torby z McDonalda, jedna parowała. Obok butelka pomarańczowego gatorade. Willy wskazał na torby.

– Zamówiłem ci dwie McGriddles. Nadal je lubisz, nie?

Na myśl o żarciu skręcało mnie w żołądku, ale wiedziałem, że muszę coś zjeść. Całe ciało trzęsło mi się z braku kalorii, w ustach miałem kwaśny posmak. Wyłowiłem z opakowania kanapkę śniadaniową i ugryzłem. W drugiej torebce znalazłem dużą kawę, którą również się poczęstowałem.

Willy dał sobie spokój z szorowaniem i przysiadł na brzegu fotela Jo.

– Rozmawiałem z Matteo. Mamy tam pójść. – Pokazał mi gatorade. – Spróbuj to w siebie wlać. Elektrolity dobrze ci zrobią, przestaniesz się trząść.

Pokiwałem głową, dojadłem kanapkę i zacząłem drugą, zastanawiając się, co Willy zrobił z tymi butelkami, w których była jeszcze resztką whisky. Nigdzie ich nie widziałem.

## 10

– Jesteś pijakiem.

Dewitt Matteo siedział naprzeciwko Willy’ego i mnie w tej samej salce konferencyjnej, na tych samych krzesłach, na których siedzieliśmy z Gerdy trzy miesiące wcześniej. Nawet garnitur miał chyba ten sam, z brązowego tweedu.

Siedział i stukał długopisem w notatnik z żółtymi kartkami w linie. Nic jeszcze nie zapisał.

– Jesteś błądy jak hemofilik po oddaniu krwi i pocisz się jak świnia.

– Ciepło tu.

– Dwadzieścia stopni – odwarknął. – Jesteś cholernym pijakiem i organizm domaga się klina.

Nie odpowiedziałem.

– Mówiłem twojej ciotce, że nie można cię zostawić samego sobie. Nastolatek bez żadnego nadzoru, kto to widział. Klęła się na wszystkie świętości, że dobry z ciebie chłopak, że będziesz umiał się sobą zająć. Przez ostatnie miesiące urywały się telefony ze szkoły i opieki społecznej. Kiedy postanowiłeś na własną rękę zrezygnować z nauki, dyrekcja powiadomiła władze. Masz pojęcie, jak trudno było opanować tę sytuację i powstrzymać ich, żeby po ciebie nie przyszli? Ale to i tak nie jest najgorsze. Najgorsza była ta twoja sąsiadka, tak zwana opiekunka. – Pulchnymi palcami zrobił w powietrzu znak cudzysłowu. – Podobno przegapiłeś jakąś dostawę zakupów i wydzwaniała do mnie co pół godziny. Biedna Tess musiała lecieć do sklepu i dostarczyć jej zakupy. Możesz się spodziewać słonego rachunku za tę usługę. Kancelaria to nie jest supermarket na telefon.

– Przepraszam.

Matteo przestał stukać w kartkę.

– Wiem, że sporo przeszedłeś, młody, więcej, niż ktokolwiek powinien, ale musisz się wziąć w garść. To się musi skończyć, bo niedługo nie będzie już odwrotu.

Ręka znowu zaczęła mi się trząść. Splotłem dłonie pod stołem.

– Mam cię wysłać na jakiś odwyk czy coś?

Pytanie było skierowane do mnie, ale patrzył na Willy'ego. Obaj pokręciliśmy głową.

– Mogę u niego zostać na kilka dni – zaoferował Willy. – Kupiłem zapas gatorade, tak jak pan kazał. W mieszkaniu nie ma ani kropli alkoholu. Mój starszy brat ma problem z piciem, pomagałem mamie przeprowadzić mu kurację odwykową. Pierwsze parę dni będzie ciężkie, ale potem się poprawia. Wiem, co robić.

Matteo zmierzył go wzrokiem, po czym zwrócił się do mnie:

– Ciotka dała mi listę twoich znajomych. Przy tym chłopaku zapisała „odpowiedzialny” i jeszcze podkreśliła. Mądra z niej była kobieta.

Rozparł się w fotelu i zastanowił przez chwilę.

– Ile masz przy sobie pieniędzy?

Musiałem sprawdzić. Wyjąłem zwitek banknotów z lewej przedniej kieszeni dzinsów i parę monet z prawej. Położyłem niewielki majątek na stole i przeliczyłem.

– Dwadzieścia cztery dolary i trzydzieści osiem centów.

Matteo przesunął pieniądze w stronę Willy'ego.

– Weź to.

Willy spojrział na niego z konsternacją.

– Przez najbliższe miesiące twoje kieszonkowe z funduszu powierniczego będzie wypłacane bezpośrednio panu Trudeau – zwrócił się do mnie prawnik. –

Będzie robił ci zakupy przy okazji załatwiania sprawunków z listy tej twojej szurniętej sąsiadki. Ani cent z tych pieniędzy nie może zostać wydany na alkohol, narkotyki, prostytutki, hazard czy inne rozrywki, w których ostatnio zasmakowałeś.

Chciałem zaprotestować, że przecież tylko piłem, ale uciszył mnie spojrzeniem.

– Z jakiego funduszu? – spytał Willy.

Matteo podniósł wyprostowany palec, jego też uciszając.

– Za fatygę dostaniesz wynagrodzenie w wysokości stu dolarów dziennie, również z funduszu powierniczego. Masz za zadanie pilnować, żeby Thatch nie pił i nie sprawiał kłopotów. Jak tylko przekroczy granicę, masz go wciągnąć z powrotem. Jeśli tego nie zrobisz, odetnę dopływ gotówki. Masz z nim mieszkać tyle, ile będzie trzeba. Zrozumiano?

Nie czekając na odpowiedź, znowu zwrócił się do mnie:

– Warunki, którymi obwarowano twój fundusz powierniczy, są bardzo jasne, a ja zamierzam spełnić życzenie twojej ciotki. Żeby dostać pieniądze, musisz skończyć studia. Nie skończysz studiów, jak nie skończysz liceum, a nie skończysz liceum, jak nie będziesz chodził do szkoły. W przyszłym miesiącu masz się stawić na rozpoczęciu roku. Musisz skończyć ostatnią klasę, pilnować dobrych stopni



i dostać się na Penn State. Koniec opierdalania się. Myślisz, że uda ci się to zrobić?

Głowa mi pękała. Ból urodził się gdzieś za lewym okiem i rozrastał w czaszce, wysuwając badawcze macki. Drżenie dłoni przeniosło się niżej, do nogi. Siłą woli zmusiłem ją, żeby nie podskakiwała pod stołem konferencyjnym. Pomyślałem o buteleczce korzennego captaina morgana w komodzie, tej, którą Gerdy zwinęła wtedy z imprezy Willy'ego. Ciekawe, czy Willy ją znalazł.

– Tak jest – odparłem, choć coś mi mówiło, że moja noga już nigdy nie postanie w liceum Brentwood.

Dn. 08.08.1993:

Rozmowa z dr Helen Durgin. Pacjent „D” - parametry w normie.

Nagranie audio/wideo.

- Niech mi pani opowie o Edwardzie „Jacku” Thatchu - powiedział pacjent „D”.

- A co chciałbyś wiedzieć?

- Dlaczego pozwalają mu spotykać się ze Stellą?

- Bo ona sobie tego życzy. Jego wizyty są czymś w rodzaju nagrody.

- Nagrody? Tak jak pies dostaje smaczka, kiedy zrobi sztuczkę?

- Można tak to ująć - odparła doktor Durgin.

- A jakie ja dostaję nagrody? Więcej czasu w tej klitce?

- Ty też widzisz się ze Stellą. Dostałeś książki, muzykę. Wykształcenie.

Pacjent „D” parsknął śmiechem.

- Zdaje sobie pani sprawę, że ani razu nie spotkałem moich nauczycieli? Siedzą za szybą, a ja tutaj. Czytają mi z podręczników, odpowiadają na moje pytania z tym absurdalnym opóźnieniem. Nikt mi ich nigdy nie przedstawił. Nie widziałem ich twarzy. Nie chwalał mnie, kiedy dobrze mi idzie, ani nie krytykują, kiedy popełnię błąd. Mógłbym zamknąć oczy i się zdrzemnąć. Pewnie i tak dalej by prowadzili lekcję, jednym okiem zerkając na zegarek, a drugim na drzwi, ale nigdy na mnie. Nie zależy im na mnie ani trochę, tak jak pani. Jestem dla was tylko szczurem laboratoryjnym. Efektem ubocznym jakiegoś nieudanego eksperymentu sprzed lat. Szczęśliwym efektem ubocznym, który żyje tylko po to, żebyście mieli co pisać, co nagrywać, żebyście posprzątali ich bajzel.

- Jesteś niebezpieczny. Trzeba cię trzymać w zamknięciu.

- Pewnie tak. Ale z zamknięciem różnie bywa. Słyszała pani kiedyś o bombach rurowych?

Doktor Durgin nie odpowiedziała.

- Bomba rurowa to szczelnie zamknięty fragment rury wypełniony materiałem wybuchowym. Zamknięcie rury sprawia, że nawet prosty i słaby materiał wybuchowy może spowodować

stosunkowo silną eksplozję. Widzi pani, to zamknięcie powoduje zwiększone ciśnienie, wzmaga siłę destrukcji. Jeśli zamknie się bombę w szczelnym opakowaniu, zniszczenia będą dużo większe, niż gdyby zdetonować ten sam materiał na środku pustego pola. Tymczasem ja już od dawna siedzę w zamknięciu, pani doktor.

- Stella też jest zamknięta, choć na znacznie większej przestrzeni.

- Dlaczego Thatch nie tkwi w zamknięciu?

Lekarka nie odpowiedziała.

- On nie zasługuje na Stellę - stwierdził pacjent „D”. -

Niech mi pani poda szklankę z wodą.

Doktor Durgin bez wahania spełniła polecenie.

# 11

– Niezły syf.

Preacher zaparkował czarnego pontiaca w zwykłym miejscu przy Willock Road i wspiął się stromą drogą na Brownsville Road, po czym przeszedł przecznicę do jadłodajni Krendal's, a raczej tego, co z niej zostało. Wielkie okna były zabite płytami ze sklejki. Szklane drzwi zastąpiono potężnym stalowym monstrem zabezpieczonym kłódką. Na środku, na wysokości wzroku, wisiała tabliczka z ostrzeżeniem:

## **NIEBEZPIECZEŃSTWO ZAWALENIA**

**Budynek Nie Nadaje Się Do Zamieszkania Ani Innego Użytku.**

**Użytkowanie Lub Zamieszkiwanie Tego Budynku Jest Niezgodne Z Prawem.**

**Usunięcie Niniejszego Ostrzeżenia Przez Osoby Do Tego Nieuprawnione  
PODLEGA KARZE.**

Pierwszą reakcją Preachera była myśl, że autor tabliczki nie zna ortografii. Nie powinno się zaczynać każdego słowa dużą literą. Dopiero w drugiej chwili, kiedy dotarła do niego treść, zdał sobie sprawę ze skali zniszczeń i pomyślał: co tu się stało, do jasnej cholery?

Jadł tutaj dzień przed pogrzebem Gargery – stek z jajkami, jak zwykle.

Przeciągnął palcem po metalowej framudze witryny, na rękawiczce zostały ślady sadzy. Zależało mu na tym, żeby być poinformowanym. Nie lubił nie wiedzieć.

W związku ze śmiercią Gargery nie musiał już co miesiąc podrzucać chłopakowi pieniędzy.

Cieszyło go to.

Bardzo go to cieszyło.

Bo dzięki temu miał czas na inne robótki.

Przez trzy i pół miesiąca trzymał się z dala od tej dziury. Lubiał pozostawać w ruchu i często zmieniać otoczenie. Lubiał pobrudzić sobie ręce, a to zlecenie

w Pittsburghu od początku mu uwłaczało. Obserwacja, zero kontaktu, fucha dostawcy – nie na to się pisał. Szkoda jego talentu na takie pierdoły.

Dzisiaj miało się to zmienić, co budziło w nim ekscytację.

Starzejąca się pikawa zaczęła mocniej pompować krew.

Ale nie podobała mu się ta sprawa z knajpą.

Nieznana zmienna.

Nie przepadał za nieznanymi zmiennymi.

Przed słońcem przemknęła kolejna chmura. Ciemna i szara, mocno nabrzmiała. Temperatura też spadła, coraz mocniej wiał zimny wiatr. Zbierało się na deszcz. Na prawdziwą ulewę.

Za jego plecami rozdzwonił się automat telefoniczny.

Preacher przez chwilę rozważał usunięcie tabliczki, ale dał sobie spokój.

Przeszedł przez chodnik i odebrał telefon, pilnując, żeby nie dotknąć ucha słuchawką.

– Nie mówiliście nic o jadłodajni.

– Co z jadłodajnią?

– Chyba był tu jakiś pożar. Co się stało?

– Pożar w jadłodajni nie ma nic wspólnego ze sprawą. Nie musisz się tym interesować. Dziwię się, że o tym nie słyszałeś.

– Byłem w Arkansas.

Westchnienie.

– Tobie to dobrze.

– A chłopak...?

– Nie. Nic mu się nie stało.

Preacher zerknął na zegarek. Za dziesięć szósta.

– Sprawa aktualna?

– Tak. Jesteś gotowy?

Głupie pytanie. Zawsze był gotowy.

– Tak.

– Nikt ma nie przeżyć, jasne?

Ostatnie słowa wymazały z jego pamięci głupie pytanie.

Nie mógł się doczekać.

## 12

Przecnicę dalej, zaledwie dwa miejsca parkingowe od tego, na którym dawniej zatrzymywała się furgonetka tajniaków, zanim Duncan Bellino wyprowadził się z budynku przy Brownsville Road 1822, detektywi Faustino Brier i Joy Fogel siedzieli w kremowej hondzie civic, którą tego samego dnia wybrali z policyjnej floty pojazdów. Nie chcieli przyjechać swoimi samochodami, na wypadek gdyby Thatch któregoś z nich rozpoznał.

Faustino patrzył, jak kierowca czarnego pontiaca GTO odwiesza słuchawkę automatu i oddala się pieszo w stronę Willock. Zaparkował pewnie w tym samym miejscu co poprzednio.

– Ja za nim pojedę – oznajmił. – Ty trzymaj się chłopaka.

– Tak jest – odparła Fogel, wysiadając z auta i nieufnie przyglądając się ciemnym chmurom.

## 13

Okazało się, że Willy jednak znalazł flaszkę captaina morgana w górnej szufladzie komody. Nie była zresztą specjalnie ukryta, leżała na widoku między starymi komiksami, luźnym bilonem, wypracowaniami ze szkoły, napoczętym opakowaniem kondomów i rysunkami, nie dość dobrymi, żeby trafić na ścianę, ale nie aż tak kiepskimi, żeby je wyrzucić.

Chcę postawić sprawę jasno. Tak naprawdę nie potrzebowałem alkoholu. Ani wtedy, ani nigdy. Nie jestem i nigdy nie byłem alkoholikiem. Poznałem kilka takich osób, może nawet kilkanaście – alkoholizm to straszliwa choroba, która nie sprowadza się do potrzeby zagłuszenia nieprzyjemnych uczuć. Alkoholizm występuje na poziomie komórkowym, jest jak głodna bestia rykiem domagająca się nakarmienia. Może przychodzi to z czasem, ale ja nie miałem aż tak. Przynajmniej tak mi się wydawało. Ja po prostu chciałem zapomnieć. Chciałem wymazać cały zeszły rok. Chciałem wrócić do czasów, kiedy nie musiałem znać na pamięć wszystkich specyfików stosowanych w leczeniu ostrej białaczki szpikowej. Tęskniłem za ciągłym gderaniem cioci Jo, za ciepłym dotykiem dłoni Gerdy, za gorącą, duszną kuchnią w Krendal's i tłustą wodą w zlewozmywaku po wieczornym szczycie.

Ostatni rok mojego życia był koszmarem, z którego chciałem się obudzić. Było to niemożliwe, więc zamiast tego próbowałem zapomnieć. Alkohol mi to umożliwił, nawet jeśli tylko na chwilę. Przypuszczam, że gdyby po pożarze, po powrocie ze szpitala wpadły mi w oko resztki środków przeciwbólowych cioci Jo, gdybym spróbował ich zamiast pierwszej butelki jamesona, być może to pigułki pomogłyby mi zapomnieć, a nie alkohol, ale coś na pewno bym sobie znalazł. Potrzebowałem czegokolwiek. Gdybym nie znalazł sposobu, żeby nieco odsunąć od siebie ból, żeby się znieczulić, to prędzej czy później połknąłbym całą garść leków po cioci i położył permanentny kres tej straszliwej podróży. Głupio brzmi, że alkohol mnie uratował, ale w pewnym sensie tak właśnie było. Alkohol uratował mnie przed sobą samym.

Pierwsze dni po ostatnim picciu były trudne.

Dreszcze przychodziły i odchodziły, do kompletu z gorączką, poceniem się i suchością w ustach. Nie mogłem jeść, zresztą nieszczególnie miałem apetyt.

Organizm wszystko zwracał, męczyły mnie torsje, aż zdarłem sobie gardło. Nie mogłem spać, a kiedy w końcu odpływałem, budziły mnie ataki paniki, serce łomotało mi w piersi tak szybko, jakby wrzucony na niewłaściwy bieg silnik próbował pokonać wzniesienie. Trwało to zaledwie kilka dni, ale miałem wrażenie, że mijają miesiące. Całkiem straciłem poczucie czasu.

Willy nie odstępował mnie na krok. Matteo przeprowadził z nim kilka rozmów. Nie wiem, co dokładnie ustalili, ale pierwszego wieczoru Willy wrócił z dużą walizką. Zaproponowałem mu sypialnię cioci Jo, ale wolał spać na kanapie. Nawet dla niego wprowadzenie się do tego pokoju musiało stanowić tabu.

Kiedy prosiłem o coś do picia, dawał mi sok żurawinowy. Piłem go tyle, że w końcu zacząłem sikać na czerwono. Powinno mnie to zmartwić, ale wszystko tak mnie bolało, że śmierć w sumie by mnie ucieszyła, a czerwony mocz niewątpliwie świadczył o tym, że sprawy idą we właściwym kierunku.

Trzeciego dnia przestało mną telepać. Opowiedziałem Willy'emu o pieniądzach z ubezpieczenia na życie, o funduszu powierniczym. Szczegółowo zreferowałem to, co powiedział mi kiedyś Matteo. Kieszonkowe, warunek ukończenia studiów, opiekunka z naprzeciwka, opłacana dostawami zakupów i książką raz na jakiś czas.

Uzupełniłem luki w historii. Zrelacjonowałem wszystkie wizyty na cmentarzu od czasu tamtego fiaska w 1988 roku, zakończonego całkowitym skasowaniem roweru. Powiedziałem mu to, co wiedziałem o Dunku, choć nie było tego wiele. Opisałem zeszłoroczną wizytę w domu Stelli, pokoik w piwnicy, Raymonda Viscontiego, którego nazajutrz znaleziono w tym samym zaułku naprzeciwko jadłodajni co Andy'ego Olina Flacka wiele lat wcześniej.

Powiedziałem mu wszystko.

A Willy słuchał.

Cały czas zerkał też przez drzwi mojej sypialni na portrety Stelli, na leżącą na stole jadalnianym zakurzoną stertę plakatów. Kiedy dotarłem do końca opowieści, zadał mi tylko jedno pytanie: „Kochasz ją?”, na co odparłem: „Nie wiem”.

– Coś mnie do niej ciągnie – tłumaczyłem. – Wydaje mi się, że nie było ani jednego dnia, ani jednej godziny, przynajmniej na jawie, kiedy bym o niej nie myślał. Mam tak, od kiedy byłem mały. Kiedy z nią jestem, nawet przez chwilę, czuję się, jakbym był kompletny. – Wypowiadając te słowa na głos, przypominałem sobie o Gerdy i przytłoczyło mnie poczucie winy.

„Nie przeszkadza mi, że jestem tą drugą”.

Czy można kochać dwie dziewczyny? Zaczynałem wierzyć, że to możliwe. Oczywiście nie tak samo, to różne odmiany miłości, każda wypełnia inną pustkę.

Czy kochałem Stellę? Tak. Nie mogłem się zdobyć na to, żeby powiedzieć to na głos, ale tak, na pewno.



Czy kochałem Gerdy? Chciałem, ale nie kochałem. Przynajmniej nie od razu. Teraz może tak, ale nie od początku. A przyznanie się do tego sprawiało, że czułem jeszcze silniejszy ból.

Może na tym polegała różnica, jeśli chciałoby się jakiejś dopatrzeć.

Nie mogłem nie kochać Stelli, nawet gdybym próbował.

Świadomość, że wkrótce ją zobaczę, pozwoliła mi przetrwać ten tydzień i zespół odstawienia, odciągnęła mnie od alkoholu. Przynajmniej tym razem.

– Już prawie szósta – powiedział Willy. – Musisz wychodzić.

Na wieczornym niebie kłębiły się ciemne burzowe chmury, potężne krople rozbryzgiwały się na oknie cioci Jo. Przyznałem mu rację i ruszyłem do drzwi.

– Weź może parasol – zasugerował Willy.

– Nie mam! – odkrzyknąłem z korytarza.

Gdyby nie deszcz, może zauważyłbym, że partnerka Faustina Briera, detektyw Fogel, wyszła zza rogu budynku i podążyła za mną na cmentarz.

Zatrzymałem się przy grobach rodziców, pod ociekającymi wodą liśćmi potężnego klonu, deszcz lał równo. Chociaż ulewa zaczęła się niedawno, ziemia już była przesiąknięta. Teraz pod tym drzewem znajdowały się już trzy groby, na miejscu pochówku cioci Jo odrosła trawa i nie odcinało się już tak wyraźnie od pozostałych. Z wazonów przy nagrobkach wylewała się woda, metalowe elementy pokrywały plamy rdzy. Na grobach rodziców nie było kwiatów. Nie przychodziłem tu od wielu miesięcy, nawet po pogrzebach Gerdy, Krendala i innych ofiar z jadłodajni. Nie mogłem się na to zdobyć.

Przyklęknąłem w mokrej trawie i zdjąłem liście klonu przyklejone do pomników, zmyłem brud deszczówką i gołą ręką.

– „Kaitlyn Gargery Thatch. Szesnasty lutego tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt osiem, ósmy sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt. Kochająca żona, matka i siostra” – wyrecytowałem cicho.

Grób ojca tkwił milcząco obok, jakby potępiał moje ostatnie wyskoki. Lakoniczny napis na jego nagrobku odpowiadał jego zwięzłym wypowiedziom, kiedy był na mnie zły, milczenie okazywało się gorszą karą niż cokolwiek, co mógłby powiedzieć głośno.

– Biorę się w garść – oznajmiłem rodzicom. – To był trudny okres, ale już się pozbierałem. Wrócę, jak pogoda się poprawi, posprzątam tu trochę.

W wazonie cioci Jo znajdował się kwiatek, pojedyncza stokrotka, teraz już zwiędła. Ciekawe, kto ją tam zostawił.

– Wrócę, obiecuję.

Wstałem, obróciłem się i ruszyłem pod górę w kierunku mauzoleów, ku ławeczce.

## 14

Preacher skręcił z Brownsville i zatrzymał GTO w zaułku przy głównej ulicy.

Miał skomplikowaną relację z deszczem.

Wiedział, że kiepska pogoda pozwala się lepiej ukryć, osłania przed niepożądanymi spojrzzeniami, ale jednocześnie nienawidził moknąć. Wilgotne ubrania ciążyły, spowalniały go, sprawiały, że czuł się brudny. Do tego dochodziła kwestia dźwięku. Preacher wiedział, że ma świetny słuch, na pewno lepszy niż przeciętnie, ale huk deszczu potrafił zagłuszyć prawie wszystko – z jednej strony to dobrze, w kontekście tego, co planował zrobić, z drugiej uniemożliwiało to nasłuchiwanie potencjalnych zagrożeń czających się za plecami.

Ale poradzi sobie. Zawsze sobie radził.

Sięgnął pod fotel pasażera i wy dobył strzelbę. Zmodyfikowanego mossberga pump action z czternastocalową lufą i kolbą Raptor. Ze schowka wyjął jedno z kilkudziesięciu pudełek z amunicją i zaczął ładować pociski do magazynka, ostatni umieszczając w komorze nabojoyej.

Z zapasu amunicji wygrzebał jeszcze trzy granaty M67. Choć niewielkie, miały piętnastometrowe pole rażenia, a odłamki mogły polecieć nawet na odległość ćwierć kilometra.

Poza tym były głośne.

Preacher uważał to za zaletę.

Miał na sobie wojskowy trencz Gordonstone, jego ulubiony płaszcz od blisko piętnastu lat, kiedy to upolował go w sklepie z używaną odzieżą. Wrzucił granaty do dużej kieszeni, a pozostałe zaczął metodycznie napełniać zapasową amunicją. Naboje zwiększyły o pięć kilogramów masę i tak już ciężkiego płaszcz – udoskonalił go, wszywając kevlarowe płytki kuloodporne, chroniące ręce i klatkę piersiową.

Szczęśliwy płaszcz.

Ulubiona strzelba.

Gotów do startu.

Kilka minut do szóstej.

Wycofał samochód z bocznej uliczki.

## 15

Ławka była pusta.

Krople deszczu odbijały się od siedzenia. Woda spływała po oparciu i zbierała się w kałuże pod spodem.

Zadrzałem.

Trzeba było włożyć kurtkę.

Pokonałem ostatni odcinek drogi od mauzoleów i usiadłem na ławce, odgarnąłem mokre włosy z twarzy i oczu, po czym wyteżyłem wzrok, patrząc na wąską drogę dojazdową.

Ani śladu SUV-ów.

W kieszeni miałem list od ojca Stelli do mojego i modliłem się, żeby deszcz go nie zamoczył. Plułem sobie w brodę, że nie włożyłem go w plastikową koszulkę albo coś takiego, żeby zabezpieczyć przed wilgocią.

Słońce miało zajść dopiero za dwie godziny, ale prawie nie było światła. Burzowe chmury blokowały resztki słabych promieni i cmentarz zdawał się pogrążony w dziwnym półmroku. Kiedy zerwał się wiatr, schyliłem głowę i osłoniłem oczy ręką. Minęło jeszcze co najmniej dziesięć minut, zanim ścianę deszczu przecięły światła reflektorów na początku drogi dojazdowej. Wiły się przez cmentarz, niknęły za wzgórzami, by po chwili pojawić się trochę bliżej.

Kiedy samochód zatrzymał się jakieś trzydzieści metrów ode mnie, deszcz padał tak mocno, że praktycznie nic nie widziałem. Nawet snopy światła z lamp wydawały się tonąć w deszczu, z trudem oświetlały więcej niż parę metrów.

Samochód stał, warcząc silnikiem.

Wstałem i ruszyłem w jego stronę.

## 16

Preacher zahamował, ale przyciskał też pedał gazu, karmiąc silnik. GTO mrucał z rozkoszą.

Nic nie widział.

Przełączył światła z krótkich na długie i z powrotem. Lało jak z cebra, deszcz tworzył nieprzenikniony mur wody, białą zasłonę.

Oparł prawą rękę na mossbergu, przeciągnął kciukiem po gładkim, nasmarowanym metalu.

Kiedy ktoś zastukał w szybę, palce zacisnęły mu się na kolbie.

Wolną ręką sięgnął do klamki drzwiczek.

Już czas.

## 17

Tylne drzwi się otworzyły i wgramoliłem się na siedzenie, zatrzasnąwszy drzwiczki przed strumieniami wody.

Usiadłem obok pani Oliver, która patrzyła na mnie z wyrzutem.

– Już myślałam, że będziesz tam siedział całą noc, nasiąkając tym wstrętnym kwaśnym deszczem, pełnym węgla z powietrza nad tym żalosnym miastem. Może nam się poszczęści i zejdziesz na jakieś przyjemne zapalenie płuc. Za głupi na płaszcz przeciwdeszczowy albo parasol. Dlaczego mnie to nie dziwi?

Rozejrzałem się po wnętrzu pojazdu.

Na przednich fotelach siedzieli mężczyzna i kobieta. Żadne się nie odwróciło. Twarz mężczyzny widziałem w lusterku wstecznym. Wyglądał na dwadzieścia kilka lat, miał krótko ostrzyżone blond włosy, brązowe oczy i kilkucentymetrową bliznę nad prawym policzkiem. Kiedy zauważył moje spojrzenie, uśmiechnął się krzywo i spojrzał w przednią szybę, zalewaną potokami deszczu.

– Gdzie ona jest?

Oliver westchnęła.

– Ostrzegałam cię, kiedy byłeś mały, mówiłam ci, jak to się skończy, ale ty nie słuchałeś. Zamiast tego dałeś się ponieść obsesji, uganiasz się za nią, rozwieszasz plakaty po całym mieście, na litość boską. Nawet teraz słyszę, jak ci wali serduszko. Kiedy do ciebie dotrze, że nie jesteś jej godny, i dasz sobie spokój?

– Zabierzcie mnie do niej.

– Nie możesz jej dotknąć – ciągnęła Oliver. – Widziałeś, z czym wiąże się jej dotyk. Nigdy nie będziesz mógł jej objąć, a to najmniejsza z dzielących was przeszkod. Chciałam, żebyś to zobaczył, musiałeś to zobaczyć.

– Zabierzcie mnie do niej – powtórzyłem.

– Wiesz, ona musi to robić. Narasta w niej ta potrzeba, pragnienie, głód, pustka domaga się zapełnienia. Przez jakiś czas może nad tym panować, ale nie daje jej spokoju. Mówiła, że na początku to tylko cichy szept gdzieś w kącie, ale stopniowo robi się coraz głośniejszy, tak że zagłusza wszystko inne. To choroba, nałóg, uzależnienie fizyczne i psychiczne. – Posłała mi uśmiech. – Coś o tym wiesz, prawda? Słyszałam, że zacząłeś zaglądać do kieliszka. Wspaniałe wieści. To powinno przyspieszyć twoją drogę po równi pochyłej do rynsztoka.

– Piłem tylko...

– Piłeś tylko po to, żeby jakoś sobie poradzić, uśmierzyć ból, uciec. – Machnęła ręką. – Już to wszystko słyszałam. Naprawdę mnie nie interesuje, czemu to robisz. Mogę tylko liczyć na to, że się rozkręcisz. Może się przerwiesz na leki, heroinę, metamfetaminę, crack... Wszystko mi jedno, bylebyś jak najszybciej zniknął z mojego życia, byłoby wspaniale. Słyszałam też, że teraz cię na to stać. –

Uśmiech zniknął z jej twarzy. – Nawet się nie oszukuj, że gotówka w kieszeni w jakimkolwiek stopniu podwyższa twój status. Nie wierz w to ani przez chwilę. Porządniejsze ubrania nie zmienią tego, jaki jesteś naprawdę. Mogą tylko zakryć smród uwięziony pod powierzchnią. Jak płachta zakrywająca stertę gnoju zostawioną na słońcu. – Położyła rękę na kolanie. – Przed laty, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, miałeś taki ogień w oczach. To uparte „nic mnie nie powstrzyma”, w które wierzy każdy dzieciak. Miło patrzeć, jak ten ogień przygasa w obliczu życiowych trudności, a naprawdę mocno przygasał. Niedługo się przekonasz, że nawet podlewanie go od czasu do czasu szklaneczką paliwa nie odbuduje młodzieńczego zapału. Najważniejsze pytanie brzmi, ile czasu musi minąć, zanim ogień zupełnie się wypali. Kiedy będziesz kolejnym bezmózgim śmieciem szwendającym się po ulicach, za jedyne dobytek mającym tekturową tabliczkę w rękę i cuchnący gorzałą oddech?

Dłoń zacisnęła mi się w pięść i byłem pewny, że twarz mam czerwoną.

– Zabierzcie. Mnie. Do niej.

Mężczyzna na przednim siedzeniu spojrzał na mnie w lusterku.

– Nie – odparła pani Oliver. – To się musi dziś skończyć.

– Trzymacie ją w tantym domu wbrew jej woli. Zmuszacie ją, żeby robiła te straszne rzeczy innym ludziom.

To znowu wywołało uśmiech na twarzy Oliver, nawet zachichotała cicho. Sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyjęła złożony list. Podała mi go. Pachniał wanilią. Pachniał Stellą.

Nie od razu go rozłożyłem. Siedziałem i patrzyłem na starą kobietę. Jeszcze nigdy nikogo nie nienawidziłem tak mocno jak jej. Tej złej, podłej kobiety. Kiedy w końcu rozłożyłem kartkę, cała trójka się na mnie gapiła. Podniosłem rękę i włączyłem lampkę pod sufitem.

Ręka Oliver wystrzeliła i pstryknęła wyłącznik.

– Nie zapalaj światła. Wolę ciemność.

Rozłożyłem kartkę i wewnątrz SUV-a wypełniło się zapachem Stelli.

*Mój najdroższy Pipie,*

*obawiam się, że nasza znajomość dobiegła końca. Świetnie się z Tobą bawiłam. To był wspaniały czas. Po naszym pierwszym spotkaniu powiedziałam pani Oliver, że będziesz mój przed upływem roku, może nawet znacznie szybciej, jeśli choć trochę się wysilę. Powiedziałam jej, że jednym mrugnięciem mogę owinąć Cię sobie wokół palca i wodzić za sobą jak szczeniaczka. Udowodniłeś, że miałam rację. Z ciekawości zrodził się podziw, z podziwu pragnienie, z pragnienia żądza, a gdzieś pomiędzy tym wszystkim narodziła się miłość. Wiem, że mnie kochasz. Choć ja nigdy nie mogłabym kochać osoby Twojego pokroju, wiem, że Ty mnie kochasz. A tak z ciekawości – kiedy pani Oliver powiedziała Ci, że nigdy nie będę Twoja, czy zapragnąłeś mnie bardziej? Ona twierdziła, że tak. Dobrze byłoby wiedzieć.*

*Wiem, że pragnąłeś mnie wtedy w basenie. Pragnienie i żądza były tak wyraźnie wypisane na Twojej twarzy, że aż chciałam zawołać do pani Oliver i pozostałych: „Patrzcie! Jak marionetka na sznurkach! Patrzcie, jak przesuвам go tutaj i tam... Tańcz, mój mały Pipie, tańcz!”.*

*Och, wspaniałe były te nasze wspólne lata.*

*Moja mała zabaweczka.*

*Mój mały Pip.*

*Ale to się musi skończyć.*

*Musisz o mnie zapomnieć.*

*Powiedz, czym będziesz wypełniał sobie dni, jeśli nie będziesz o mnie myślał?*

*Och, nawet ja tego nie wiem. Może zawsze będziesz o mnie myślał.*

*Może więc żyj codziennie z myślami o mnie.*

*Ów dzień, kiedy się poznaliśmy, na zawsze pozostanie w mej pamięci.*

*Żegnam się z Tobą.*

*Mój Pip.*

*I dziś, i na zawsze. Mój Pip.*

*Stella*

W pierwszej chwili po przeczytaniu listu pomyślałem, że to nie ona go napisała. Ktoś inny skreślił te słowa i podpisał jej imieniem. Nie znałem jej charakteru pisma, nigdy go nie widziałem. Znałem jednak jej podpis. Podpisała przecież wszystkie obrazy wiszące w tamtym domu, a każdy z nich pamiętałem

w najdrobniejszych szczegółach. Pociągnięcia pędzla na stałe wryły mi się w pamięć. Podpis pod listem pasował do tego na obrazach.

„Stella”.

Pasował też do reszty tekstu – charakter pisma, użyty atrament, kształt każdej z liter, kreseczka w „t” i zawijas w „e”. Nie chciałem uwierzyć, że wyszły spod ręki tej samej osoby, spod jej ręki, ale im bliżej się przyglądałem, tym większą czułem pewność, a po szóstym razie nie mogłem już odczytać słów, bo oczy zaszyły mi łzami.

– Siedem lat temu siedzieliśmy na tej ławce i powiedziałam ci: „Nigdy nie będziesz jej miał. Choćbyś pragnął jej kiedyś z całych sił, nigdy nie będzie twoja” – odezwała się Oliver. – Pamiętasz?

Nie odpowiedziałem.

Na list spłynęły moje łzy. Kropla upadła na słowo „zapomnieć”. Patrzyłem, jak tusz zbiera się w kałużę, rozlewa, słowo się rozmywa. Otarłem oczy grzbietem dłoni. Wciągnąłem smarki, zanim skapnęły mi z nosa.

– Jesteś i zawsze byłeś dla niej tylko grą. Grą, która wreszcie dobiegła do końca. Jak dla mnie zdecydowanie zbyt późno, ale tak czy inaczej się skończyła. –

Spojrzała na mnie i posłała mi uśmiech. – Powiem jej, że się popłakałeś. Ucieszy się. Może po powrocie do domu podetniesz sobie żyły? To ucieszyłoby mnie. Potrzebujesz ostrego noża? Na pewno możemy ci jakiś zorganizować.

Mężczyzna za kierownicą znów mi się przyglądał, w lusterku widziałem jego rozciągnięte w uśmiechu usta. Kobieta obok wyglądała, jakby miała wybuchnąć śmiechem, trzymała nisko zwieszoną głowę i mocno zaciśnięte usta, powstrzymywała się.

Sięgnąłem do klamki. Zanim Oliver zdążyła powiedzieć jeszcze choć słowo, wcisnąłem list od Stelli do kieszeni i wyskoczyłem z samochodu – pobiegłem przez deszcz, przez ciemną noc.



## 18

– Proszę nie wysiadać z pojazdu.

Preacher usłyszał te słowa na chwilę przedtem, zanim dostrzegł sylwetkę wypowiadającego je mężczyzny, który stał koło samochodu w długim białym trenczu z kapturem na głowie. Jedną rękę trzymał na kolbie pistoletu w kaburze na pasku, drugą na drzwiach auta Preachera, dookoła lały się strugi deszczu.

Preacher napał ramieniem, otwierając drzwiczki GTO z taką siłą, że uderzony w tors mężczyzna poleciał z impetem na plecy.

Wysiadł z samochodu ze strzelbą, oparł ją sobie o biodro i wcisnął lufę w klatkę piersiową leżącego.

Facet w białym płaszczu wyglądał jak żółw przewrócony na grzbiet, machał rękami i nogami, próbując się podnieść. Z ust w pobladłej twarzy popłynął potok błagalnych słów.

Preacher pociągnął za spust.

Lufa była tak mocno przyciśnięta do ciała, że spełniła funkcję prowizorycznego tłumika. Podskoczyło, kiedy pocisk wdarł się do klatki piersiowej i eksplodował, niewątpliwie zmieniając narządy wewnętrzne w papkę. Kula wyleciała przez plecy z taką siłą, że woda, trawa i resztki kwiatków rozbryznięły się na wszystkie strony.

Jednym płynnym ruchem Preacher podniósł strzelbę, szarpnięciem pozbył się pustej łuski i załadował kolejny nabój, a następnie wycelował w drugiego człowieka w takim samym płaszczu, który wychodził właśnie ze stróżówki przy bramie. Ten mężczyzna także miał sig sauera P220. Nie zdążył nawet wyjąć go z kabury, kiedy strzelba Preachera wypaliła po raz drugi. Na piersi mężczyzny rozlała się jaskrawoczerwona plama, niszcząc elegancki biały trencz. Postrzelony patrzył na powiększającą się ranę z narastającym oszołomieniem w oczach. Potem padł na ziemię, częściowo zasłonięty lewym przednim błotnikiem pontiaca.

Ponieważ tym razem nie zastosowano tłumika, ani ludzkiego, ani jakiegokolwiek innego, strzał był znacznie głośniejszy od pierwszego. Niewątpliwie na tyle głośny, że ktoś musiał go usłyszeć. Jednak czy ten ktoś wezwie policję, to zupełnie inna sprawa. Podczas tak gwałtownej burzy większość osób uznałaby pewnie strzał za uderzenie gromu. W tej okolicy raczej

nie słyszało się huku strzelby, a choć wielu ludziom wydaje się, że rozpoznaliby odgłos wystrzału z broni palnej, tak naprawdę niewiele osób to potrafi, a jeszcze mniej jest gotowe jakoś zareagować. Łatwiej wmawiać sobie, że w ogóle nic się nie słyszało albo że to musiało być coś innego.

Trzy kroki do stróżówki. Preacher błyskawicznie znalazł się w środku, z bronią przeładowaną i gotową do strzału. Tak jak podejrzewał, nikogo tam nie było.

Budynek miał cztery okna, po jednym na każdą stronę. Pod tym wychodzącym na dom znajdowało się nieduże biurko. Na blacie stały trzy ekrany telewizyjne podłączone do systemu monitoringu. Na pierwszym wyświetlało się zbliżenie na jego pontiaca i mimowolnie zachwycił się samochodem. Mistrzowski okaz sztuki motoryzacyjnej z Detroit. Deszcz podkreślał piękne kształty karoserii, lśniącej w świetle reflektora skierowanego na maskę. Drugi ekran pokazywał szerszy widok – widać było tył pontiaca oraz spory odcinek podjazdu, prawie aż do głównej drogi. Na trzecim wyświetlały się na zmianę obrazy ze wszystkich pozostałych kamer zamontowanych na rozległej posesji.

Prosto z pogrzebu Gargery Preacher pojechał za kawalkadą białych samochodów i dotarł właśnie tutaj. Nie było to łatwe. Każdy z trzech pojazdów wybrał inną drogę, żeby zmylić pościg, jednemu powrót zajął ponad godzinę, mimo że dom od cmentarza dzieliło zaledwie kilka kilometrów. Preacher wiedział, w którym samochodzie siedzi ta cała Oliver, i na nim właśnie się skupił, śledząc go ostrożnie z bezpiecznej odległości, zwykle zza kilku innych pojazdów, jeśli tylko było to możliwe. Miał w tym doświadczenie. Ten samochód także pojechał okrężną drogą, co zajęło mu prawie pół godziny zamiast pięciu minut potrzebnych na pokonanie dystansu w linii prostej. Nieważne. Najważniejsze, że teraz Preacher już wiedział, gdzie jest ten dom, gdzie oni są.

Wiedział, gdzie szukać dziewczyny.

Tamtego popołudnia uzyskał z sądu hrabstwa kopie planów budynku. Zdobył mapy terenu. Wyciągnął całą historię podatkową nieruchomości. To była stara posiadłość, zbudowana w 1893 roku. Z akt wydziału budownictwa i zagospodarowania przestrzennego dowiedział się o wszystkich remontach i modernizacjach wprowadzonych na przestrzeni lat – wymianach elektryki i hydrauliki, wzmocnieniu ścian i poszczególnych pomieszczeń. W pozwoleniach na budowę wymieniano podwykonawców obecnych na miejscu podczas wizyt inspektora. Na podstawie tej listy Preacher namierzył firmę, która zainstalowała system bezpieczeństwa oraz wykonane na zamówienie rygle zamykające wszystkie drzwi zewnętrzne. Uzyskanie ich dokumentacji zajęło mu ledwie kilka dni.

Przed upływem tygodnia znał już każdy skrawek nieruchomości. Mógłby wyrecytować z pamięci rodzaje gwoździ użyte przez ekipę w poszczególnych

pomieszczeniach, a także producentów zarówno pierwotnych miedzianych rur, jak i tych z PCW, które zamontowano około dziesięciu lat temu.

Wkrótce potem zaczął inwigilację.

W większości obiektów – bo uważał, że tak należało nazywać ten budynek, nie domem, lecz obiektem – zatrudniających ochronę dwadzieścia cztery godziny na dobę obowiązywała ścisła dyscyplina. To oznaczało grafiki, dyżury, wyznaczone trasy i schematy. W niektórych miejscach obowiązywał jeden harmonogram dzienny, w innych stosowano rotację pięciu, dziesięciu, czasem nawet dwudziestu różnych grafików, a im bardziej skomplikowane, tym trudniej je rozpracować. Tutaj stosowali na zmianę siedem różnych harmonogramów i Preacher potrzebował blisko dwóch tygodni, żeby je rozgryźć. Ale w końcu mu się udało, jak zawsze. Przed upływem tych dwóch tygodni rozpoznawał już wszystkich trzydziścioro siedmioro strażników, znał zakres ich obowiązków, grafik i zmiany. Nie posunął się do wyciągania listy płac, więc nie wiedział, jak się nazywali. Sam ponadawał im przydomki. Ten, którego zabił przy samochodzie, nazywał się Gapcio. Drugi zginął Apsik.

W stróżówce zawsze było dwóch ludzi. Dodatkowo pięciu patrolowało cały teren. W sumie siedmiu na zewnątrz.

Obok ekranów monitoringu stał telefon. Preacher odczekał prawie minutę, na wypadek gdyby w domu usłyszano strzały i ktoś zadzwonił do stróżówki.

Telefon milczał.

Preacher wcisnął znajdujący się obok duży żółty guzik.

Brama z kutego żelaza przed jego samochodem zaczęła się powoli otwierać do środka.

Wrócił do samochodu i spochmurniał na widok rozbryzgów wody na skórzanych siedzeniach. Jutro porządnie wyczyści tapicerkę. Zmyje brud tego miejsca i przywróci dawną świetność.

Telefon w stróżówce rozdzwonił się, kiedy pontiac GTO wjeżdżał już za bramę.

## 19

W najbliższej przyszłości detektyw Joy Fogel mogła się spodziewać paskudnego przeziębienia, była tego pewna.

Przykucnęła za mauzoleami, praktycznie przytulając się do kamiennych ścian, żeby schronić się przed deszczem, ale niewiele to dało. Ubrania przemokły jej na wylot, mogła się założyć, że skórę pod spodem ma spuchniętą i pomarszczoną, jakby przez ostatnią godzinę moczyła się w wannie, a nie czała na cmentarzu, śledząc jakiegoś dzieciaka.

Thatch zatrzymał się przy grobach rodziców. Zarówno ona, jak i detektyw Faustino Brier odwiedzali je już kilkakrotnie. Jej partner miał całą teczkę dotyczącą grobów. O ironio, znajdowało się w niej więcej informacji o samym miejscu pochówku niż o ludziach, których ciała w nim złożono. Wiedzieli, kto wykuł nagrobki, kiedy je ustawiono, zdobyli kopie zleceń. Nie mieli pojęcia, kto je opłacił – podane nazwiska okazały się fałszywe. Teczka o rodzicach była cienka. Fogel po raz następnym odgarnęła mokre włosy z oczu i pomyślała sobie, że muszą coś z tym zrobić. Spisali nazwiska i daty urodzenia z nagrobków, ale nie udało im się namierzyć aktów urodzenia ani danych z wydziałów komunikacji i nieruchomości. Byli niemal pewni, że Edward i Kaitlyn Thatch to pseudonimy. Jeśli nie, to musieli żyć całkowicie poza systemem. Trudne do zrobienia w dzisiejszych czasach, ale łatwiejsze w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, nawet siedemdziesiątych.

Chłopak zatrzymał się na kilka minut przy grobach rodziców, a potem ruszył pod górę do ławeczki. Fogel podążała za nim w bezpiecznej odległości, a kiedy usiadł na ławce, zajęła miejsce między mauzoleami.

Pierwsza zauważyła nadjeżdżający samochód, patrzyła, jak posuwa się wąską, krętą drogą, a w końcu parkuje przodem do chłopaka.

Widziała, jak Thatch podchodzi i wsiada do samochodu – białego chevroleta suburbana z przyciemnianymi szybami.

Fogel zakładała, że SUV należy do Crocketa (czy teraz raczej do Duncana Bellina) i właśnie odbywa się umówione spotkanie z dala od podejrzanych, obserwowanych lokalizacji. Gdyby odjechali, nie miałyby możliwości ich śledzić.

Thatch jednak nie odjechał. Po jakimś czasie wypadł z samochodu i popędził z powrotem przez cmentarz. Fogel przez chwilę była rozdarta – zostać przy SUV-ie czy dalej śledzić chłopaka.

Postanowiła zrobić jedno i drugie.

Pobiegła od mauzoleów w stronę białego suburba, trzymając się nisko i licząc na to, że deszcz zasłoni ją przed kierowcą i ewentualnymi pasażerami. Zbliżyła się na tyle, żeby spisać numer rejestracyjny, po czym ruszyła w pościg za chłopakiem, plując sobie w brodę, że nie włożyła wodoodpornych butów.

Thatch był już w połowie drogi w dół wzgórza, a Fogel zbiegała za nim, kiedy SUV wyjechał z cmentarza, rozgarniając deszcz wycieraczkami.

## 20

Po otwarciu bramy Preacher wrzucił pierwszy bieg i ruszył brukowanym podjazdem wśród starych dębów i wiązów. Kierował lewą ręką, prawą przy okazji przeładował strzelbę. Droga prowadząca do domu była zaskakująco długa i zdecydowanie zbyt cicha i spokojna.

Pierwsza kula trafiła w lewy reflektor z przodu.

Druga przebiła przednią szybę nieco na bok od środka. Świsnęła Preacherowi koło prawego ucha i utkwiała w zagłówek fotela.

Nastąpiły jeszcze trzy szybkie wystrzały, jeden po drugim, zanim Preacher zauważył strzelca – wynurzył się spomiędzy drzew jakieś dziesięć metrów przed samochodem, biały płaszcz powiewał na wietrze, broń podskakiwała mu w dłoni. Tego Preacher nazywał Mędrkiem.

Miał nadzieję, że dotrze przed dom, zanim zaczną strzelać, ale skoro ewidentnie nie było mu to pisane, wrzucił luz, szarpnął za dźwignię hamulca ręcznego i wyskoczył na deszcz. To wyraźnie sprowokowało Mędrka. Na jego widok zaczął strzelać jak szalony – głupota przy takiej odległości, i to w deszczu. Preacher zniknął między drzewami i pojawił się na bok od Mędrka, kiedy młodziak przeładowywał broń.

Przy pasku Preacher miał tuzin noży do rzucania Smith & Wesson SWTK10CP. Wykonane ze stali węglowej, ważyły około dwustu gramów każdy, w wielu sytuacjach, na przykład takich jak ta, sprawdzały się lepiej niż broń palna. Odczepiony od paska nóż pofrunął bezgłośnie w powietrzu i zatopił się w szyi Mędrka, zanim dzieciak zdążył wymienić pusty magazynek na nowy. Mędrak wypuścił z ręki siga, z drugiej magazynek i upadł na ziemię. Ostatnim błędem w jego życiu było wyciągnięcie noża z rany.

Preacher postanowił trzymać się drzew.

Na drodze pojawiło się dwóch kolejnych strażników. Jeden nachylił się nad Mędrkiem, drugi omiótł wzrokiem drzewa. Nie zauważyli go. Spojrzeli na GTO z włączonym silnikiem. Preacher ruszył wzdłuż linii drzew, aż zauważył dom, po czym przyczaił się na brzegu, ze strzelbą przewieszoną przez ramię i po jednym nożu w obu dłoniach.

Mężczyźni przebiegli obok niego, kierując się w stronę domu.

Kiedy mijał go drugi z nich, Preacher ciachnął go w piętę, przecinając ścięgno Achillesa. Mężczyzna potknął się i poślizgnął. Pierwszy obrócił się, słysząc dziwny dźwięk, i zaliczył nóż w gardło. On też padł.

Gburek i Wesołek, zdaje się. Strażnicy nie znajdowali się na swoich stałych pozycjach, Preacherowi trudno było ich odróżnić.

Strażnik z rozciętą piętą próbował doczołgać się do drzew, pełznął powoli po podjeździe. Preacher dźgnął go w kark, zabrał sig sauera i spojrzał na front budynku. Gdzieś tu jeszcze kręci się dwóch strażników. Tak nie może być.

Zapłonęły wielkie reflektory iluminacyjne, w których światło deszcz stał się oślepiająco biały.

## 21

Detektyw Faustino Brier pojechał śladem GTO wzdłuż Willock, minął cmentarz i prawie by go zgubił, kiedy wjechali do dosyć eleganckiej dzielnicy Burlington Hills. Nie chciał się zanadto zbliżyć, żeby nie ryzykować, więc pozwolił pontiacowi się oddalić i zniknąć gdzieś na krętych drogach. Faustino nie zobaczył już więcej śledzonego samochodu, ale dotarł do niewielkiej stróżówki, przed którą leżały dwa ciała, duża żelazna brama stała otworem, a w budyneczku dzwonił telefon.

Obaj mężczyźni byli niewątpliwie martwi, białe płaszcze przesiąknęły deszczem, różem i czerwienią.

Kiedy gdzieś przed sobą usłyszał serię wystrzałów, wezwał posiłki przez radio, dobył broni i pieszo ruszył długim podjazdem, uważnie rozglądając się po drzewach.

Niecałe trzy minuty później miał już nie żyć.



## 22

Śpieszka Preacher zastał przyczajonego za fontanną na środku podjazdu, czekał tam na niego.

Kiedy wyszedł spośród drzew, dostał kulkę w lewe ramię i drugą w środek klatki piersiowej. Siła uderzenia zakręciła nim i rzuciła go na ziemię. Choć kevlarowe wkładki zatrzymały oba pociski, i tak cholernie bolało. Podniósł pistolet odebrany Wesołkowi, wymierzył w stronę fontanny i kiedy Śpieszek wychylił się do kolejnego strzału, pocisk trafił go tuż nad prawą skronią.

Preacher wstał i pobiegł ku kamiennej fasadzie.

Nieśmiałek musi się gdzieś tu jeszcze kręcić. Później będzie się tym martwił.

Nacisnął klamkę.

Zamknięte.

Przytknął lufę strzelby do zamka, odwrócił głowę i pociągnął za spust. Drewno eksplodowało i w drzwiach została dziura o średnicy piętnastu centymetrów, a w uszach Preachera uporczywe dzwonięcie.

Kopniakiem otworzył drzwi i wszedł na nisko ugiętych nogach, od razu schował się za okrągłym drewnianym stolikiem we foyer. Obracał strzelbę razem z głową, szybko rozglądając się po otoczeniu – po prawej salon, po lewej biblioteka, oba pomieszczenia puste.

Wazon na stoliku nad jego głową roztrzaskał się w drzazgi, chwilę wcześniej rozległ się huk wystrzału.

Preacher wypadł zza stolika, pobiegł centralnym holem i skręcił w korytarz po lewej, prowadzący do zejścia do piwnicy. Napotkał dwóch kolejnych strażników i obu załatwił strzelbą. Drugi zdążył strzelić ze swojej czterdziestkiątki, ale kula zamiast w Preachera trafiła w sam środek obrazu wiszącego na ścianie. Na końcu korytarza Preacher znów szybko skręcił w lewo i zobaczył schody prowadzące pod ziemię. Wchodziło po nich trzech strażników. Wystarczyły cztery szybkie strzały z sig sauera i już pędzili z powrotem na dół, żeby się schronić.

Preacher sięgnął do kieszeni płaszcza, wyłowił jeden z granatów, wyjął zawleczkę i rzucił w dół schodów.

Wybuch zaryczał głęboko w trzewiach budynku, głośne „bum!” wstrząsnęło kamiennymi fundamentami, wprowadziło w drżenie podłogę i ściany.

Ktoś strzelał z góry. Nie marnując czasu na dokładne celowanie, wypalił ze strzelby w stronę szczytu schodów, po czym popędził w górę, opróżniając magazynek siga mniej więcej w kierunku, z którego padły strzały. Wybijał dziury w ścianach. Kawałki tynku i drzazgi z drewnianych paneli latały na wszystkie strony. Skończyła się amunicja, więc upuścił pistolet, a kiedy zbliżał się do szczytu i skręcił za załom schodów, podniósł strzelbę i dwa razy szybko wypalił, błysk wystrzału oświetlił korytarz. Pierwsza kula zostawiła wielką dziurę w ścianie, druga zaś w stojącym tam mężczyźnie.

U szczytu schodów Preacher zamarł w bezruchu. Zamknął oczy. Nasłuchiwał.

Z planów budynku wiedział, że na piętrze znajduje się siedem pokojów i pięć łazienek. Powyżej był strych ciągnący się przez całą długość domu.

Z zamkniętymi oczami przeładował strzelbę.

Musiał się dostać do trzeciej sypialni po lewej.

Otworzył drzwi i ruszył korytarzem, z bronią gotową do strzału.

Spodziewał się przynajmniej trójki strażników, ale żadnego nie dostrzegł.

Sądził, że drzwi będą zamknięte na klucz.

Nie były.

Preacher wszedł do pokoju.

Wycelował strzelbę w jedyną znajdującą się tam osobę.

Dziewczyna, już praktycznie dorosła, siedziała spokojnie w fotelu przy oknie, wyglądając na rozległy ogród na tyłach. Nie odwróciwszy głowy, powiedziała:

– Będzie ich więcej. Już tu idą. Nie wydostaniesz się stąd.

Patrzył, jak zdejmuje długie czarne rękawiczki, starannie składa elegancki materiał i odkłada je na stolik.

Z dołu unosił się dym.

Usłyszał krzyki.

Już tu idą.

## 23

– Co jest, Thatch?! – wrzasnął Willy, kiedy wpadłem do mieszkania.

Lała się ze mnie woda, na zniszczonej drewnianej podłodze robiły się kałuże. Rzuciłem się do okna, zawróciłem, poszedłem z powrotem do drzwi, zwrot, znowu do okna.

– Jack! Czekał! – Willy próbował mnie złapać, kiedy mijałem go po raz trzeci, ale strząsnąłem jego rękę.

Ledwie go słyszałem przez łomotanie pulsu w uszach, krew świszczła mi w żyłach.

– Co się stało?

Próbowałem mówić.

Próbowałem mu odpowiedzieć.

W końcu wyszarpnąłem z kieszeni list od Stelli, rzuciłem go na stół, poszedłem do swojego pokoju i trzasnąłem drzwiami.

Gdyby nie to, że zabrał tamtą butelkę korzennego rumu z mojej komody, wypiłbym ją do dna.

Nienawidziłem go za to, że ją znalazł.

Dn. 09.08.1993:

Pacjent „D” - parametry w normie.

Nagranie audio/wideo.

- Co to za teczki? - spytał Carl.

- Jakie teczki?

- Na stole u chłopaka.

Warren wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Doktorka zносиła je tutaj przez cały dzień. Pewnie go szykuje na kolejny telefon.

- Wcześniej nigdy nie dawali mu dokumentów.

- Czasy się zmieniają.

- Był tu dziś ktoś z firmy?

- A co cię to obchodzi?

- Jeśli przygotowują go do rozmowy, to powinien to nadzorować ktoś z góry.

- Niekoniecznie.

- Zawsze tak jest.

- Czasy się zmieniają.

- Strasznie jesteś wyluzowany - zauważył Carl.

- A ty strasznie zestresowany.

- Nie lubię zmian.

- Najwyraźniej.

- Może powinniśmy do kogoś zadzwonić.

- Ja do nikogo nie dzwonię - odparł Warren.

Carl wcisnął guzik mikrofonu.

- Hej, gnojku, co czytasz?

Na te słowa pacjent „D” podniósł wzrok i spojrzał przez szybę. Zaczął poruszać ustami. Trzydzieści sekund później postać pacjenta „D” podniosła głowę na monitorze, a odpowiedź rozległa się z głośników:

- Chodź tutaj i sam się przekonaj, Carl. Fascynująca lektura. Coś w rodzaju historii. Bardzo chciałbym to z tobą omówić. Zdecydowanie powinieneś tego posłuchać, bo twoje imię pojawia się tu wielokrotnie. Obawiam się, że w niezbyt przyjemnym kontekście. Mam na myśli zwłaszcza jeden konkretny incydent, kiedy trzy lata temu obłąpiłeś biedną Sandy Newman w zakładowej stołówce, na oczach trójki współpracowników, nie zważając na konsekwencje. To wiele

mówi o tobie jako o człowieku, o twoim charakterze. Nic, czego już bym nie wiedział, ale i tak bardzo pouczające. Powinienem być zaskoczony, że ukarali cię tylko tygodniowym zawieszeniem, ale w świetle innych rzeczy, które tu wyczytałem, wcale mnie to nie dziwi.

Carl zwrócił się do Warrena.

- Czy to są akta personalne?

- Nie wygłupiaj się. Czemu ktoś miałby mu dawać nasze akta? Dzieciak robi sobie z ciebie jaja.

- To skąd niby wie o Sandy Newman?

- Wszyscy wiedzą o Sandy Newman.

- Nikt by mu nie powiedział.

- Tego nie wiesz.

Pacjent „D” na ekranie wrócił do lektury akt rozłożonych na stole.

Warren wrócił do lektury egzemplarza „*W sieci pająka*” Jamesa Pattersona.

Uwaga obserwatora: Przez cały czas trwania tej rozmowy, jak również wcześniej przez 48 minut, Warren Beeson ani razu nie przewrócił strony w książce.

## 24

Tym razem sen nie przyszedł.

Żadnych marzeń sennych. Tylko czerń, pustka, ciemna dziura, która wszystko pochłaniała.

Po raz trzeci w ciągu trzech miesięcy obudziło mnie głośnie pukanie do drzwi.

– Jack? Wstawaj. Musisz to zobaczyć.

Willy.

Deszcz ustał.

Przez okno wpadało blade światło poranka.

Musiałem w nocy skopać adidasy z nóg, ale nadal miałem na sobie te same dżinsy i bluzę co wczoraj wieczorem, wciąż przemoczone, podobnie jak narzuta, pościel i prawdopodobnie materac.

– Co tam? – wymamrotałem.

– W telewizji. Powinieneś zobaczyć.

Spojrzałem na cyfrowy budzik przy łóżku.

6.05.

Wyczołgałem się z łóżka i poczłapałem do salonu. Ekran telewizora stanowił jedyne źródło światła, dźwięk był ściszony.

Wiadomości.

Widok jakiegoś domu z helikoptera.

„Dom Stelli”.

Basen na tyłach. Fontanna. Od razu je rozpoznałem.

– Czy to...? – spytał Willy.

– Tak.

Usiadłem na brzegu kanapy, kiwnąłem głową w stronę telewizora.

– Co się dzieje?

– Coś bardzo złego. Mają już osiemnaście ciał, a ciągle znajdują kolejne zwłoki. Dopiero włączyłem, ale mówili coś o broni i wybuchach, ogniu.

– Osiemnaście?

„Stella”.

Willy przytaknął.

– Zdaje się, że był wśród nich policjant.

Z zachodniego skrzydła budynku unosił się dym, gęste czarne smugi wydostawały się przez okna i drzwi, przez dziurę w dachu.

W miejsce zdjęć lotniczych na ekranie pojawił się reporter.

– Policja kazała nam się przenieść. Zamykają większy obszar, to już nie tylko dom i posesja wokół, lecz także ta uliczka. Z tego, co udało nam się ustalić, chodzi o zrobienie miejsca dla dodatkowych pojazdów ratowniczych. W tej chwili widzę przynajmniej dwa wozy strażackie, które próbują dostać się na miejsce zdarzenia, a drogi są tu wąskie, wszędzie tłumy gapiów i przedstawiciele mediów, więc mają problem z przejazdem. Jeśli dopiero teraz państwo do nas dołączyli, przypominam, że z tej strony Pete Lemire z KRWT CBS, znajdujemy się przed domem przy Milburn Court sześćdziesiąt dwa, gdzie potwierdzono śmierć osiemnastu osób, w tym przynajmniej jednego funkcjonariusza policji. Władze nie ujawniły jeszcze personaliów ofiar i zapowiadają, że nie zrobią tego, dopóki nie powiadomią rodzin. Wśród ofiar jest dwóch pracowników ochrony ze stróżówki za moimi plecami, wszystko wskazuje na to, że zginęli od ran postrzałowych.

Lemire spojrzał w prawo i skinął do kogoś głową.

– Zostaliśmy ponownie poproszeni o przeniesienie się w inne miejsce. Oddaję głos do studia. Christie?

Na ekranie znów pojawił się widok z helikoptera, bez żadnego komentarza z offu.

– Milburn Court to tylko z kilometr czy dwa od tego miejsca, gdzie potracili cię na rowerze. Parę przecznic od Nobles, w Burlington Hills. Porządna okolica. Bogate rodziny – powiedział Willy.

List od Stelli leżał rozłożony na stoliku kawowym, gapił się na mnie, słowo „zapomnieć” rozmazane, ale już suche.

Willy zauważył moje spojrzenie.

– Trudna sprawa, stary.

– No.

– Ale sprytnie zrobiła z tą ukrytą wiadomością. Ta dziewczyna uwielbia się z tobą droczyć.

Uniosłem głowę.

– Z jaką ukrytą wiadomością?

– Nie zauważyłeś? – Przewrócił oczami. – No tak, jesteś totalnie zabujany. Pewnie, że nie zwróciłeś uwagi. – Przesunął palcem po tekście. – Spójrz na ostatnie siedem linijek, a raczej na pierwsze litery. Od razu mi się rzuciło w oczy, no ale ja rozwiązuję dużo takich łamigłówek. Może to...

Gadał coś dalej, ale ja już nie słuchałem. Wbiłem wzrok w te ostatnie siedem linijek wypisanych staranną ręką Stelli:

*Powiedz, czym będziesz wypełniał sobie dni, jeśli nie będziesz o mnie myślał?  
Och, nawet ja tego nie wiem. Może zawsze będziesz o mnie myślał.  
Może więc żyj codziennie z myślami o mnie.  
Ów dzień, kiedy się poznaliśmy, na zawsze pozostanie w mej pamięci.  
Żegnaj się z Tobą.  
Mój Pip.  
I dziś, i na zawsze. Mój Pip.*

*Stella*

## POMÓŻ MI

Na ekranie znów pojawił się reporter, który powtarzał te same informacje co wcześniej.

- Muszę tam jechać.
- To mi wygląda na bardzo zły pomysł.
- Mam to gdzieś.

Zanim zdążył odpowiedzieć, już byłem w swoim pokoju i zdejmowałem wilgotne ubrania.

Żaden z nas nie miał samochodu. Wszystko, co potrzebne na co dzień, mieliśmy w zasięgu spaceru, a w okolicy wciąż brakowało miejsc parkingowych. Matteo proponował mi zakup samochodu ze środków z funduszu powierniczego, ale odmówiłem. Stwierdziłem, że samochód ciągle tylko by stał i rdzewiał. Lepiej nie dawać miejscowym wandalom kolejnego obiektu ataków, zwłaszcza nowego i błyszczącego.

Złapałem taksówkę na Brownsville Road.

Willy chciał jechać ze mną, ale powiedziałem mu, że muszę to zrobić sam.

Każdy zakręt, każdy wybój na drodze wydawał mi się znajomy. Zamknąłem oczy i przeniosłem się z powrotem do tamtego białego SUV-a, pokonywałem tę samą trasę.

Taksówkarz musiał mnie wysadzić przy skřęcie w Milburn Court. Mała ślepa uliczka była tak zastawiona pojazdami służb ratunkowych, że nie dało się dostać bliżej.

Zapłaciłem i wysiadłem prosto w tłum ludzi.

W porannym powietrzu wisiała ciężka, gryząca woń spalenizny, na niebie nad końcem uliczki unosiła się chmura dymu i właśnie w tamtą stronę zwracały się oczy wszystkich. Niektórzy przynieśli sobie krzesła, jeden mężczyzna miał nawet lodówkę turystyczną. Jedni stali w milczeniu, inni żartowali i zanosili się śmiechem. Dwóch chłopaków objeżdżało tłum na deskorolkach, trzymając się zewnętrznej krawędzi chodnika.



Minąłem ich wszystkich.

Rozpychałem się łokciami, przeciskając się przez tłum gęstniejący w miarę, jak zbliżałem się do frontu, aż dotarłem do żółtej taśmy policyjnej, wzmocnionej drewnianymi barykadami, za którymi stało kilkunastu mundurowych, z kamiennymi twarzami mierzących wzrokiem tłum.

Jakieś dziesięć metrów za nimi zauważyłem znajomy mur – wysoki, kamienny, z czarnymi metalowymi kolcami. Brama z takiego samego metalu otwierała się na podjazd. Po lewej stała stróżówka, którą Pete Lemire z KRWT wykorzystał wcześniej jako tło podczas transmisji. Teraz jednak nie było widać ani jego, ani wozu reporterskiego.

Droga do domu wiła się i znikwała między starymi dębami i wiązami, dom krył się gdzieś za drzewami, stąd go nie widziałem.

– Chora historia, co? – powiedziała stojąca obok mnie kobieta. Była po dwudziestce, miała długie blond włosy i zielone oczy. Nawet na mnie nie spojrzała, patrzyła przed siebie. Miała na sobie długi biały płaszcz.

Zaćwierkała syrena karetki, odwróciłem się w stronę podjazdu. Policja zrobiła wyłom w barykadzie i kazała ludziom się odsunąć, żeby pojazd mógł wyjechać. Ambulans nie miał włączonego sygnału, wyraźnie się nie śpieszył.

Kiedy znowu spojrzałem w bok, kobiety już nie było, jej miejsce zastąpił mężczyzna pod siedemdziesiątkę, który właśnie próbował zapalić papierosa.

Wziąłem głęboki wdech, zanurkowałem pod taśmą policyjną, okrążyłem barykadę i popędziłem podjazdem w stronę domu, do Stelli. Zawołał za mną jakiś funkcjonariusz, potem drugi, ale ja tylko przyśpieszyłem. Mijając stróżówkę, zauważyłem kolejnego policjanta, który świdrował mnie wzrokiem, wykrzykując rozkazy do krótkofalówki przyczepionej na ramieniu. Zmusiłem nogi do jeszcze mocniejszej pracy.

Pokonałem trzy zakręty i wreszcie moim oczom ukazał się dom.

Z zachodniego skrzydła unosiły się kłęby dymu. Tam, gdzie dawniej parkowały białe SUV-y, teraz stały dwa wozy strażackie. Wężę gaśnicze biegły od zbiorników z wodą do wnętrza domu, znikwały w bocznych drzwiach. Wejście frontowe stało otworem, przelewały się przez nie strumienie ludzi – ratowników medycznych, mundurowych, funkcjonariuszy w cywilu. Żadnej znajomej twarzy.

Między mną a domem stało trzech policjantów. Ten w środku zawołał:

– Wystarczy, młody! Zatrzymaj się, ale już!

Zrobiłem zwód w lewo i wystrzeliłem w prawo, próbowałem go wyminąć, ale inny funkcjonariusz rzucił się na mnie z boku i razem upadliśmy na ziemię. Wykręcił mi ramię do tyłu, poczułem kajdanki zamykające się na nadgarstku. Próbował wyciągnąć spode mnie drugą rękę. Przetoczyłem się, ale jego ciężar trzymał mnie w miejscu.

– Psiakrew, przestań wierzgać!

Z pomocą drugiego policjanta zdołał wykręcić mi też drugie ramię i skuć za plecami.

Podniósł kolano z moich łądźwi i wstał, ciągnąc mnie za rękę.

– Wstajemy.

– Muszę się tam dostać!

– Wstawaj.

Podnieśli mnie do pionu, próbowałem się wyrwać, ale bez skutku.

– Nie rozumiecie, muszę...

– Wsadźcie go tam – powiedział funkcjonariusz po mojej lewej, pokazując na radiowóz zaparkowany niedaleko fontanny.

Ten pierwszy zaczął mnie ciągnąć do samochodu.

Kiedy się do niego zbliżyliśmy, inny policjant otworzył drzwiczki.

– Zadzwońcie do detektywa Briera! – wrzasnąłem. – Powiedzcie mu, że tu jestem! Muszę się dostać do środka! Muszę...

Pierwszy funkcjonariusz popchnął moją głowę w dół i próbował mnie wcisnąć do samochodu.

– Gówno mnie obchodzi, co musisz, gnojku.

– Zadzwońcie do Briera!

Stojący przy drzwiach frontowych mężczyzna w cywilu usłyszał moje krzyki i podniósł głowę.

– Co powiedziałaś?

– Detektyw Brier. Powiedzcie mu, że tu jestem – powtórzyłem.

– A kto ty jesteś?

– Jack Thatch. Będzie wiedział.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Wsadzajcie go do wozu.

Mundurowy posłusznie zatrzasnął za mną drzwiczki.

Rzucąłem się na tylnym siedzeniu, kopałem w szyby i drzwiczki.

Ignorowali mnie. Wszyscy.

Siedziałem tam przynajmniej trzy godziny.

W radiowozie cuchnęło chlorem, wymiocinami i moczem.

Patrzyłem, jak kolejni ludzie wchodzą do domu i z niego wychodzą.

Patrzyłem, jak czarny dym zaczyna się przeredzać.

Patrzyłem, jak strażacy w końcu zwinęli węże, spakowali sprzęt i odjechali podjazdem, znikając mi z pola widzenia.

Cienie zaczęły się wydłużać.

W którymś momencie umundurowana funkcjonariuszka, szczupła czarnoskóra kobieta o krótkich włosach, otworzyła przednie okna samochodu. Nie zaszczyciła

mnie spojrzeniem. Zadymione powietrze wpadało przez metalową siatkę odgradzającą część dla pasażerów, ale nie polepszyło zapachu w samochodzie.

Minęła kolejna godzina.

Wozy strażackie i ambulanse zniknęły, a ich miejsce zajęły furgonetki techników kryminalistycznych.

Otworzyły się drzwiczki i jakaś kobieta usiadła obok mnie. Funkcjonariuszka, która wcześniej pootwierała okna, teraz zamknęła za nią drzwi i stanęła tuż obok, plecami do pojazdu.

– Nazywasz się John Edward Thatch. Masz siedemnaście lat i mieszkasz przy Brownsville Road osiemnaście dwadzieścia dwa, mieszkanie trzysta sześć. Twój rodzice nie żyją, do niedawna mieszkałeś z ciotką, Josephine Gargery. Cztery miesiące temu, po jej śmierci, trafiłeś pod opiekę sąsiadki, niejkiej... – wyjęła z kieszeni notatnik i przebiegła wzrokiem zapiski na pierwszej stronie – ... niejkiej Elfriedy Leech. Sześćdziesiąt dziewięć lat, od dawna nie wychodzi z domu. Pracowałeś w jadłodajni Krendal's przy Brownsville, ale trzy miesiące temu lokal został zrównany z ziemią, podczas, jak podejrzewamy, egzekucji Henry'ego Crocketa. Wiemy, że zadajesz się z Duncanem Bellinem. – Zamknęła notatnik. – Coś pominęłam?

Nie odpowiedziałem.

– Wiesz, kim jestem?

Skinąłem głową.

– Partnerką detektywa Briera. Widziałem panią na pogrzebie cioci.

– Detektyw Fogel. Pracuję w wydziale zabójstw. Musisz mi powiedzieć, co tu robisz, Thatch.

– Muszę się dostać do tego domu.

– Dlaczego?

– Czy ona tam jest?

– Czy kto tam jest?

Wbiłem wzrok w podłogę.

– Muszę wiedzieć, czy ze Stellą wszystko w porządku.

Fogel nie zareagowała na imię Stelli, jej twarz nie zmieniła wyrazu.

– Powiedz mi coś o kierowcy czarnego pontiaca GTO.

– Nie znam nikogo, kto jeździłby takim autem.

– Wiesz, że obserwujemy twój budynek. Ten człowiek wielokrotnie się tam kręcił. Był w twoim mieszkaniu. Pracuje dla Bellina? To Bellino jest za to wszystko odpowiedzialny?

– Nie wiem, o czym pani mówi. Gdzie jest detektyw Brier? Proszę po niego pójść. Muszę z nim porozmawiać.

Zaczęła ugniatać sobie kolano.

– Detektyw Brier nie żyje – powiedziała w końcu.  
– Co się stało?  
– Ktoś strzelił mu w głowę, z bliska, kilka metrów od miejsca, w którym teraz siedzisz. – Wskazała palcem na bok podjazdu, po czym dwukrotnie zapukała w szybę.

Funkcjonariuszka stojąca na zewnątrz otworzyła drzwi.

– Chodź ze mną – powiedziała Fogel, wysiadając.

Wygramoliłem się z auta i ruszyłem za nią przez labirynt pojazdów na podjeździe. Mundurowa szła za nami w odległości zaledwie kilku kroków. Kiedy obeszliliśmy jedną z furgonetek kryminalistyków, zauważyłem sześć ciał pod czarnymi płachtami – trzy na podjeździe, dwa w trawie i jeszcze jedno bardziej z boku.

Fogel podeszła do tego leżącego na uboczu i przyklęknęła. Odśloniła płachtę.

Szkliste oczy detektywa Briera wpatrywały się nieruchomo przed siebie, usta miał nieco uchylone. W czole, tuż nad prawym okiem, miał niewielką dziurę o czarnych, pomarszczonych brzegach. Trawa pod jego głową była ciemna od krwi, w której pływały białe drobinki.

Obróciłem głowę i zwymiotowałem na ziemię.

Fogel i stojąca za mną funkcjonariuszka wymieniły spojrzenia, ale nic nie powiedziały.

– Ja tego nie zrobiłem – wydusiłem w końcu.

Fogel znów przykryła zwłoki i wstała.

– Wiem. A chcesz wiedzieć, skąd to wiem? Śledziłam cię, byłam na cmentarzu, kiedy to się stało. Kim jest mężczyzna w czarnym GTO?

– Mówiłem już, że nie mam pojęcia. Dlaczego mnie pani śledziła?

Zignorowała moje pytanie, podeszła do pozostałych ciał i zaczęła po kolei je odsłaniać, a w oczach kipiał jej gniew.

– Twój znajomy, mężczyzna, który przez lata odwiedzał twoje mieszkanie, na co mamy dowody, zamordował dziś nie tylko mojego partnera, lecz także wszystkich tych ludzi, a ty pomożesz mi go znaleźć. Powiesz mi wszystko, co wiesz na jego temat.

Za każdym razem, kiedy podnosiła płachtę, mój wzrok wędrował do ofiary, po kolei: kobieta w białym płaszczu, rozległa rana postrzałowa brzucha. Mężczyzna w białym płaszczu, rana postrzałowa klatki piersiowej. Kolejna kobieta, niewielka rana postrzałowa głowy, tak jak u Briera – ona też miała na sobie biały płaszcz. Mało brakowało, a znowu bym zwymiotował. Potem zobaczyłem ostatnie dwie ofiary, wcale nie zastrzelone.

Jakby spalone, ale niespalone.

Jak Andy Olin Flack.

Jak Raymond Visconti.

„Stella”.

Rzuciłem się do biegu.

Odepchnąłem funkcjonariuszkę, która za nami chodziła, i wpadłem do domu przez drzwi frontowe, potykając się i prawie przewracając przez ciała we foyer – niezakryte, czarne i wysuszone, jak dwa poprzednie. Wokół leżały kolejne zwłoki – w holu, w bibliotece.

Kiedy zawołałem Stellę, troje techników w białych kombinezonach uniosło głowy, ale nic nie powiedzieli. Zaczął za to biec w moją stronę funkcjonariusz stojący na końcu długiego holu.

Korytarz prowadzący do piwnicy zastawiała drewniana barykada. Ściany były osmalone. Obrazy Stelli wisiały poprzekrzywiane i pokryte sadzą. Dwa spadły na podłogę. Na obu końcach holu umieszczono silne reflektory, a przestrzeń między nimi wypełniały worki na zwłoki, było ich kilkanaście, wszystkie szczelnie zamknięte i milczące.

Na schodach kolejne ciało, częściowo zakryte, wysuszone na śmierć.

Pędem przemierzyłem foyer, przeskoczyłem przez ciało na schodach i pokonywałem po dwa stopnie naraz. Na górze leżały kolejne zwłoki, mężczyzna z raną postrzałową brzucha.

Nie miałem pojęcia, dokąd zmierzam.

Za plecami usłyszałem kroki na schodach.

Wszystkie drzwi były pootwierane.

Pierwsze dwa pokoje okazały się puste. Kiedy wszedłem do trzeciego, zamarłem na progu, nie mogąc oderwać wzroku od widoku, który mi się ukazał.

To była duża sypialnia, właściwie apartament. Niemal tak duża jak całe moje mieszkanie, z łóżkiem z różowo-białą pościelą i baldachimem, z którego spływała udrapowana przejrzysta tkanina. Przy oknie urządzono przestrzeń do siedzenia, z widokiem na tereny na tyłach – basen i ogrody. Po lewej znajdowały się drzwi do prywatnej łazienki, o podłodze i ścianach z białego marmuru. Tylną ścianę zajmował kamienny kominek, w palenisku przygasał blask zapomnianego węgla.

Nad gymsem kominka wisiał obraz. Przedstawiał chłopca i dziewczynkę siedzących na czarnej żelaznej ławce otoczonej przez nagrobki i jesienne drzewa. Dziewczynka trzymała na kolanach książkę. Chłopiec sięgał do jej dłoni, niepewnie, tęsknił za nią, choć dzieliły ich centymetry. Żywe kolory i pociągnięcia pędzla, ewidentnie dzieło Stelli. Podeszedłem do tej ściany, już nie słysząc głosów zbliżających się po schodach. Podniosłem rękę i przesunąłem palcami po farbie, wyczuwając wszystkie nierówności, staranne kształty każdego pociągnięcia, i po raz pierwszy w życiu poczułem, że poznałem dotyk Stelli.

W pomieszczeniu nie było nikogo poza mną i zrozumiałem, że odeszła.

Chciałem jej nienawidzić za ten list.  
Te okrutne słowa.  
Chciałem zapomnieć o jej istnieniu.  
Ale nie mogłem.  
Po prostu nie mogłem.  
Moja Stella.

## Część 3

*Złamane serce. Zdaje ci się, że umrzesz, ale przeżywasz kolejne okrutne dni, dzień po dniu.*

Charles Dickens, *Wielkie nadzieje*

Dn. 09.08.1993:

Pacjent „D” - parametry w normie. Carl Rozzell niespokojny.

Notatki osobiste Warrena Beesona.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.

David Pickford to piękny człowiek.



# 1

– Zdajesz sobie sprawę, w jak poważne tarapaty wpadłeś? – spytał Matteo półgłosem. Przez dłuższą chwilę mierzył mnie wzrokiem, po czym cmoknął i z pstryknięciem otworzył oba zamki swojej aktówki.

Byłem przykuty kajdankami do metalowego kółka przyspawanego do blatu aluminiowego stołu w sali przesłuchań komendy policji w Pittsburghu.

Wyciągnęli mnie z tamtego domu.

Musieli to zrobić w cztery osoby.

Nie chciałem opuścić pokoju Stelli, więc próbowali mnie wyciągnąć siłą. Kiedy to nie poskutkowało, dwoje podniosło mnie za nogi i po prostu mnie wynieśli. Wierzgałem, szarpałem się, wiałem i krzyczałem. Przy którymś kopnięciu trafiłem prawą stopą w okrągły brzuch jednego z funkcjonariuszy i puścił moją nogę, powietrze z impetem wyleciało mu z ust, grubas zatoczył się do tyłu. Rzuciałem się i wrywałem, mimo że zasypywali mnie kolejnymi zarzutami, takimi jak „napaść”, „opieranie się”, „wtargnięcie” i „utrudnianie” – niewiele do mnie docierało. W głowie miałem tylko tamten obraz, widok jej pustego pokoju, sprzeczne słowa jej listu.

Wrzucili mnie na tylne siedzenie kolejnego radiowozu i przywieźli tutaj. Potem znowu czekałem.

Spodziewałem się, że prędzej czy później pojawi się Fogel, ale nie.

Tylko Matteo.

Willy do niego zadzwonił.

Okazało się, że kamery telewizji zarejestrowały moje wtargnięcie za barykadę, a chociaż nie było widać mojej twarzy, Willy mnie rozpoznał.

– Zdajesz sobie sprawę, że gdybyś był pełnoletni, to już by cię przesłuchiwali? Miałbyś w perspektywie długą odsiadkę, już choćby za to, co odwalileś w tamtym domu. Gdyby zdołali cię jakoś powiązać z tym, co tam się wydarzyło... – Urwał i zaczął grzebać w papierach, wyjął żółty notatnik, pióro i brązową teczkę, po czym zamknął aktówkę. – Na szczęście jesteś jeszcze nieletni, a dowiedziałem się, że ta detektyw przesłuchiwała cię na miejscu zdarzenia bez rodzica, opiekuna prawnego ani obrońcy. To bardzo nieładnie z ich strony i dobrze o tym wiedzą.

Wykorzystam to, jeśli będę musiał. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Ale bardzo chcę z tobą porozmawiać. Nawet nie wiesz, jak bardzo, chłopie.

Zapisał moje nazwisko i dzisiejszą datę na górze strony, po czym odchylił się do tyłu.

– Opowiedz mi o tym facecie z czarnego GTO.

– Nie wiem, kto to jest.

– Oni najwyraźniej uważają inaczej. Detektyw Fogel jest tego wręcz pewna.

Dała mi to...

Wyjął z teczki plik fotografii w formacie 20 na 25 centymetrów i podsunął mi po blacie.

Przedstawiła wysokiego, szczupłego blondyna. Na oko miał pod pięćdziesiątkę. Na pierwszych dwóch zdjęciach wychodził z mojego bloku. Trzecie było mniej wyraźne, zapewne zrobione przy użyciu obiektywu dalekiego zasięgu gdzieś z ulicy naprzeciwko. Na środku kadru widniało okno mojego mieszkania, to wychodzące na Brownsville. Mężczyzna stał w salonie, obok fotela ciotki Jo, widać było jego rozmazany profil. Ostatnie dwie fotografie przedstawiały tego samego człowieka – na jednej stał przy drzwiach czarnego pontiaca, na drugiej siedział za kierownicą. Chociaż światło odbijające się od szyby trochę zasłaniało jego twarz, była wyraźnie widoczna. Nigdy wcześniej go nie widziałem, ale domyślałem się, kim może być.

– Wielokrotnie bywał w twoim bloku, a nawet w twoim mieszkaniu.

Pogładziłem kciukiem brzeg zdjęcia z oknem.

– To chyba ten facet od kasy.

– Jaki facet od kasy?

– Odkąd byłem dzieciakiem, ktoś co miesiąc podrzucał mi pieniądze, pięćset dolarów. – Opowiedziałem mu o pierwszej kopercie i o kolejnych. – Tylko Dunk go raz widział – dodałem. I zrelacjonowałem również tamto wydarzenie.

– Nie masz pojęcia, kim on jest ani dlaczego miałby ci zostawiać pieniądze?

Pokręciłem głową.

Matteo potarł górną wargę.

– Hm, na pewno nie możemy powiedzieć o tych pieniądzach policji.

– Nie powie im pan?

Parsknął.

– W życiu. Nie chcemy, żeby znaleźli między wami jakiekolwiek powiązania. – Zastanowił się. – Myślą, że on pracuje dla Bellina. Niech tak zostanie.

– Ale przecież to niemożliwe. Pieniądze zaczęły się pojawiać, kiedy byliśmy dzieciakami, lata przedtem, zanim Dunk zaczął się zadawać z Crocketem i resztą.

Matteo wzruszył ramionami.

– To oni są śledczymi. Niech prowadzą śledztwo. Sami do tego dojdą. Moje zadanie polega na tym, żeby trzymać cię z dala od tarapatów.

– Nie chcę kłamać.

– Przeoczenie to nie kłamstwo. Odpowiadaj na pytania, ale zwięźle, nie rozgaduj się. Nie podawaj żadnych dodatkowych szczegółów. Mam nie słyszeć od ciebie nic poza „tak” i „nie”. Jeśli nie jesteś pewny, czy powinieneś odpowiedzieć na jakieś pytanie, daj sobie chwilę, zastanów się, pozwól mi się wtrącić. Jak powiem ci, że masz przestać mówić, to przestajesz mówić. Ja będę kontrolował tę rozmowę, jasne?

Przytaknąłem.

Matteo wziął głęboki oddech. Dźwignął swoją masywną sylwetkę z krzesła, podszedł do drzwi i zastukał mocno dwa razy.

Po chwili weszła Fogel z dużym kartonem, a za nią detektyw Horton. Przyniosła zdjęcia wszystkich ciał znalezionych w domu – Stelli nie było wśród nich.

Spędziliśmy w tym pokoju kolejne trzy godziny, ale w końcu z niego wyszedłem, już bez kajdanek. W moim uchu znowu rozległ się znajomy szept, podpowiadający, że łatwiej byłoby mi to wszystko znieść, gdybym tylko się napił.

## 2

Detektyw Joy Fogel gapiała się na Tablicę Osobliwości.

Gapiała się na puste biurko Faustina Briera, wypitą do połowy kawę przy telefonie, wystygły, mętny płyn w kubku.

Kiedy ostatni raz sprawdzała godzinę, było wpół do czwartej nad ranem.

Na jej biurku wałały się zdjęcia zwłok Briera, a także innych ofiar, w sumie dwudziestu jeden. Broń palna, granaty – takich zniszczeń mogłaby dokonać mała armia, jednak wszystkie dowody wskazywały na jednego sprawcę. Miała zdjęcia, zarówno tego mężczyzny, jak i jego samochodu, ale nic więcej. Facet był jak jakiś cholerny duch. Uzbrojony po zęby, profesjonalny duch.

– Co tu się odjebało, Brier? – mruknęła, przeglądając fotografie.

Odpowiedziało jej jego puste spojrzenie, dziura po pocisku w czole przypominała trzecie oko.

Niepotrzebnie się rozdzielili. Amatorski błąd, ale wtedy nawet się nad tym nie zastanawiała. Teraz Brier nie żył, a ją najprawdopodobniej czekało zawieszenie, gdy tylko kapitan przeczyta jej raport, na razie również leżący na biurku w stanie dalekim od ukończenia. Nie miała pojęcia, co właściwie powinna napisać.

Miała jeden punkt zaczepienia.

W błocie przy podjeździe został pojedynczy ślad opony. Według ekipy kryminalistycznej był to model Pro Temp 265x70R16 A/T Sport, który nie pasował ani do samochodu Briera, ani do GTO. Opony te nie znajdowały się w powszechnym obiegu, dostarczano je wyłącznie General Motors, a konkretnie Chevroletowi. Firma stosowała te opony we wszystkich suburbanach wyprodukowanych w Stanach Zjednoczonych w latach 1990–1993. Po przesłuchaniu sąsiadów okazało się, że nie tylko zauważono w okolicy chevroleta suburba, ale regularnie widywano kilkanaście identycznych białych samochodów tego modelu wjeżdżających do posiadłości i wyjeżdżających z niej, chociaż tego dnia nie znaleziono ani jednego.

Fogel zdobyła zdjęcie białego chevroleta suburba z rocznika 1993 i przypięła je na Tablicy Osobliwości tuż obok fotografii czarnego GTO.

I jeszcze ten cholerny dom.

Jakieś dwie godziny temu gadała ze sfrustrowanym Zekiem Grintonem, który przeszukiwał rejestry publiczne. Zleciła mu ustalenie tożsamości właścicieli domu przy Milburn Court 62. To zwykle proste zadanie okazało się niewykonalne. Akt własności zarejestrowano na korporację Barrington Farm and Feed z Wisconsin. Korporacja ta nie miała żadnych danych oprócz skrytki pocztowej w miasteczku Dells, żadnej fizycznej siedziby. Zero pracowników. Firma należała do innej spółki, Brainard Textiles z Vermontu, również przykrywki. Grinton próbował dalej prześledzić własność, trafił na łańcuszek sześciu kolejnych korporacji, firm holdingowych i spółek z ograniczoną odpowiedzialnością, po czym trop urwał się poza granicami kraju.

Znowu ślepy zaułek.

No i jeszcze Stella Nettleton.

Fogel zerknęła na przyczepiony do Tablicy Osobliwości plakat z napisem „Czy ktoś mnie widział?”, rysunek pięknej dziewczyny odwzajemnił spojrzenie. W rejestrze ubezpieczeń społecznych nie było śladu osoby o tym nazwisku. Zleciła swoim ludziom sprawdzenie aktów urodzenia, ale już wiedziała, że nic z tego nie będzie. Tak samo jak nie znaleźli nic o Richardzie Nettletonie, kiedy wypłynął tamten list, którego kopia wisiała teraz obok plakatu.

Rozdzwonił się telefon w rogu biurka, a Fogel prawie wyskoczyła ze skóry. Głośny elektroniczny brzęczyk zmącił ciszę w pustym pokoju, jeszcze spokojniejszym niż zwykle z uwagi na wczesną godzinę. Złapała słuchawkę i wcisnęła migający przycisk przełączający na linię numer jeden.

– Fogel.

– Przykro mi z powodu Fausta.

Były detektyw Terrence Stack, teraz po prostu Terry.

Fogel zamknęła oczy, palce zacisnęły jej się mocniej na słuchawce. Próbowwała odpowiedzieć, ale nie mogła z siebie wydusić ani słowa.

– Chcesz pogadać?

– Tak.

– Przyjedź za dwadzieścia minut – powiedział Stack. – Nastawię kawę.

### 3

Funkcjonariusz Elvin Putney rzucił na ziemię niedopałek papierosa i zdusił go butem. Potem wyjął kolejnego z paczki w prawej przedniej kieszeni, potarł zapalką o draskę i przypalił. Wciągnął nikotynę głęboko do płuc, przytrzymał i powoli wypuścił serię kółek z dymu, które popłynęły z ganku przed domem, przeleciały nad podjazdem i zniknęły na ciemnym niebie.

Zerknął na zegarek.

Trzecia dwadzieścia osiem rano. Jeszcze półtorej godziny, zanim ktoś go zmieni, żeby mógł wrócić do domu i trochę się przespać. Był jednym z czterech funkcjonariuszy przydzielonych do ochrony domu przy Milburn Court 62. Collins siedział w stróżówce, Burton na tyłach, przy domku nad basenem, a Sevilla w środku, pewnie spał. Od ponad godziny go nie widział ani nie słyszał.

Chciał iść spać.

Komar zabzyczał mu przy twarzy, Putney złapał go w locie gołą ręką. Kiedy otworzył pięść, zobaczył resztki owada, czarne zwłoki i krew.

– Mam cię, chujku!

– Coś się dzieje – zatrzeszczała krótkofalówka na jego ramieniu. Burton, zza domu. Putney wcisnął guzik mikrofonu.

– Co konkretnie?

– Nie wiem – odparł Burton. – Zauważyłem jakiś ruch kątem oka.

– Mam tam do ciebie przyjść? – spytał Putney.

Chwila ciszy.

– Nie trzeba.

– Może to jeleń. Widziałem tu już ze trzy – wtrącił się Collins ze stróżówki.

– Może – przyznał Burton.

Putney znów włączył mikrofon, patrząc na kółko dymu wznoszące się ku nocnemu niebu.

– Może znowu jakiś reporter coś węszy?

– Nie – odpowiedział Collins. – Ostatnich wygoniliśmy około północy. Widzę stąd uliczkę, jest pusto. Co jakiś czas zagląдают jacyś ciekawscy, ale na widok mojego auta zawracają. Za domem są góry, nikt tamtędy nie przyjdzie pieszo.

– Znowu to widzę. Za duże na jelenia. Z półtora metra wzrostu, może metr osiemdziesiąt. Kurde, jest kolejne, z sześć metrów dalej – powiedział Burton.

Putney upuścił papierosa, zdeptał niedopałek i włączył się do rozmowy.

– Idę tam do ciebie.

Trzaski, a potem Collins ze stróżówki:

– Nie rób tego, zostań na stanowisku, dopóki się nie dowiemy, o co chodzi. Może to jakaś zmyłka.

Goń się, Collins. Nie ty wydajesz rozkazy, wszyscy mamy ten sam stopień. Putney znów włączył mikrofon.

– Potrzebujesz wsparcia, Burton? Daj znać.

Bez odpowiedzi.

Wtedy Putney też coś zauważył. Ledwie widoczny ruch wśród drzew za fontanną, przy dalszej krawędzi podjazdu. Wziął latarkę przytroczoną do paska, pstryknął włącznik i skierował jasny snop światła w stronę drzew. Nic się nie ruszało, ale przez sekundę zdawało mu się, że widzi błysk białek oczu. Zaraz jednak zniknął.

Gdzieś po prawej, w drzewach przy zachodnim skrzydle budynku, trzasnęła gałąź. Powiódł latarką dookoła. Tym razem zauważył, że ktoś skrada się chyłkiem za pnem starego dębu.

– Policja! – zawołał. – To wtargnięcie na miejsce zbrodni! Ręce do góry! Pokaż się!

Wolna ręka opadła mu na kolbę glocka kalibru .45. Kciukiem odpiął skórzany pasek zabezpieczający.

– Wyjdź! Natychmiast!

Z lasu wynurzył się mężczyzna w długim białym płaszczu, z rękami opuszczonymi po bokach. W jednej coś trzymał. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat, miał ciemne włosy. Jego twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu, nieprzenikniona.

– Rzuć to!

Mężczyzna ani drgnął.

Putney nachylił głowę do mikrofonu i ręką z latarką wcisnął guzik transmisji.

– Mam tutaj jednego, właśnie wyszedł z lasu.

Bez odpowiedzi.

– Rzuć to, mówię!

Znowu jakiś ruch, tym razem na prawo od mężczyzny.

Spomiędzy drzew wyszła kobieta, również w długim białym płaszczu i również trzymająca coś w ręku. Potem kolejny mężczyzna, trzy metry dalej. Kolejne dwie osoby pojawiły się daleko po lewej.

Putney chciał się cofnąć o krok, schować głębiej pod kamiennym łukiem nad wejściem do domu, ale nie, nie ruszył się.

Z lasu zaczęli wynurzać się kolejni. Nie miał pojęcia, skąd się tu wzięli, było ich już co najmniej kilkanaścioro.

Znowu odezwał się półgłosem do krótkofalówki.

– Potrzebuję posiłków przy wejściu frontowym. Odbiór?

Cisza.

Białe sylwetki zrobiły krok w jego stronę, w stronę domu, poruszały się niczym jeden organizm. Kiedy zrobiły drugi krok, a potem trzeci, Putney mocniej zacisnął dłoń na kolbie pistoletu. Zgodnie z przepisami nie wolno mu było dobyć broni, o ile nie groziło mu bezpośrednio niebezpieczeństwo. W najlepszym wypadku groziłoby mu zawieszenie, może nawet wydalenie, gdyby oddał strzał. Mimo to wyjął glocka i wycelował w pierwszego mężczyznę.

– Ani kroku dalej!

Grupa ciągnęła w jego kierunku.

Kobieta, którą zobaczył jako drugą, uniosła trzymany w ręku przedmiot na wysokość klatki piersiowej.

Putney wycelował w nią z broni.

– Nie!

Podniosła drugą rękę, pstryknęła zapalniczką i zbliżyła płomień do tajemniczego przedmiotu.

„Świeczka. Najzwyklejsza, kurwa, świeczka”.

Putney poczuł, że zalewa go fala ulgi.

Pozostali poszli w jej ślady, dookoła zapłonęły świece. Dwadzieścia kilka, może więcej. Z lasu wciąż wychodziły kolejne osoby.

– Rozumiem, jeśli chcecie urządzić czuwanie, ale musicie się przenieść na ulicę. To miejsce zbrodni – wyjaśnił.

Tłum nadal zbliżał się w jego stronę, zwiększając tempo, aż zaczęli biec, trzymając przed sobą świece, płomyki mrugały i wyciągały się do tyłu, kiedy ludzie w bieli pędzili przed siebie.

To nie było czuwanie.



## 4

Emerytowany detektyw Terrence Stack, teraz po prostu Terry, czekał już na Fogel, kiedy zatrzymała samochód na wąskim podjeździe przed domem. Siedział na schodach ganku z piwem w ręku, wbijając wzrok w jakiś punkt na popękany chodniku. Z początku nie podnosił głowy. Kiedy w końcu to zrobił, pożałowała. Oczy miał przekrwione i podkrążone. Uniósł piwo w parodii toastu, pociągnął łyk, po czym znowu spuścił wzrok.

Fogel przeszła przez zarośnięty trawnik i usiadła obok. Biła od niego woń piwa, w połączeniu z innymi zapachami, których wolała nie identyfikować. Włosy miał tłuste. Rozpaczliwie potrzebował prysznic.

– Powtarzałem Faustowi, że ta sprawa wpędzi go do grobu, ale oczywiście nie słuchał. Równie dobrze mogą wykopać i drugi, jeśli zamierzasz się tym dalej zajmować. Może i trzy, bo ja też nieszczerze słucham własnych rad. Możemy wszyscy zasnąć snem wiecznym. – Mówił trochę bełkotliwie. Nie jak pijany, ale ktoś, kto pił tak dużo, że organizm już się przyzwyczył i stale przebywał w tym stanie „lekką na rauszu, ale nie schlany” zawodowego alkoholika.

To nie był dobry pomysł, pomyślała Fogel. Trzeba było jechać do domu.

– Jak to się stało?

Fogel powiedziała mu o czarnym GTO, o tajemniczym kierowcy, o tym, jak się rozdzielili. Jak potem znaleziono ciało Faustina. O wszystkim, co się wydarzyło przez ostatnią dobę.

Stack słuchał w milczeniu, popijając piwo i od czasu do czasu kiwając głową. Kiedy dotarła do końca relacji, spytał:

– Stella Nettleton jest tym moim zaginionym dzieckiem z siedemdziesiątego ósmego, prawda? Para, którą znaleźliśmy w domu w Dormont, to jej rodzice, Richard i Emma.

Fogel sięgnęła do teczki, wyjęła kopię listu od Richarda Nettletona i podała Stackowi.

Były detektyw machnął ręką.

– Faust od razu dał mi egzemplarz tego listu. Wiem też już wszystko o tym młodym Thatchu. A przynajmniej wszystko, co udało nam się ustalić. – Wstał, zatrzeszczało mu w stawach i kościach. – Chodź, chcę ci coś pokazać.

Przytrzymał jej drzwi i weszła do domu, wstrzymując oddech, kiedy mijala Terry'ego. W salonie cicho buczał mały telewizor. Leciał czarno-biały film z Katharine Hepburn z okresu szczytu jej popularności. Na stoliku przy fotelu leżała wymięta gazeta ze zdjęciem domu przy Milburn Court i nagłówkiem: „Śmierć zasłużonego policjanta. 21 ofiar”. Na podłodze wokół stolika poniewierało się kilkanaście butelek po iron city.

Stack przeszedł obok niej.

– Obiecałem ci kawę, jest na górze.

W połowie schodów na piętro zorientował się, że Fogel za nim nie idzie. Uśmiechnął się gorzko.

– Jestem już zbyt stary i zmęczony, żeby coś kombinować, a że mam już trzy byłe żony, to ledwie wiązę koniec z końcem. Nie mam budżetu na czwartą. Po prostu muszę ci pokazać coś, czego nie da się łatwo przenieść.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył przed siebie i zniknął na piętrze.

Brier ufał temu facetowi, a ona ufała Brierowi. Cmoknęła ze zniecierpliwieniem, rozważyła za i przeciw i podążyła jego śladem.

Schody wychodziły na wąski korytarz z łazienką na jednym końcu, sypialnią na drugim i jeszcze jednym pomieszczeniem pośrodku. Drzwi były otwarte, paliło się światło. Cień Stacka czekał cierpliwie pod ścianą naprzeciwko wejścia.

Fogel stanęła na progu i aż ją zatkało.

Stack pociągnął łyk piwa i wytarł usta.

– Żona numer dwa zrobiła tu sobie pokój do szycia, ale niezbyt jej to szło. Wszystkie zasłony w tym domu są nierówne, a gdzieś w garderobie mam pudło koszul, które wyglądały znacznie lepiej, zanim spróbowała przyszyć pourywane guziki. Słowo daję, zużywała z pół szpulki na każdy guzik, robiła się wielka górą nici, a jeśli chodzi o kolory, to nigdy nie trafiała w odpowiedni odcień nawet w przybliżeniu. Nie umiała porządnie zawiązać, więc po paru godzinach wszystko się rozpruwało i włączyłem za sobą długi kawał nitki. Chłopaki na komendzie mówili, że wyglądam jak platforma na paradzie, bo powiewają za mną serpentyny. Na początku, kiedy ją jeszcze kochałem, i tak je nosiłem. Po dwóch latach zacząłem wozić zapasowe koszule w samochodzie. W trzecim roku dałem sobie spokój i spakowałem je do pudła. Z jednym swetrem też zrobiła niezły numer...

– Jak... – Fogel nie dokończyła pytania.

– Tablica Osobliwości Faustina miała służyć tylko bieżącej pracy na komendzie. To tutaj pracował naprawdę, a raczej pracowaliśmy. Kiedy jeszcze byłem gliniarzem, zacząłem zbierać tutaj dowody. Jak przejął ode mnie sprawę, uzupełniał wszystko na bieżąco. Jeśli pojawiała się coś nowego, pilnowaliśmy, żeby znalazła się tutaj kopia. Kopia, podkreślam. Nie chodziło nam o przywłaszczanie sobie dowodów. Zależało nam tylko na spokojnym miejscu,

w który moglibyśmy pracować nad sprawą. Jak na komendzie wyciągnie się tablicę, to od razu jest afera. Tutaj nikt nam nie zawracał głowy. – Stack sięgnął do kieszeni. – Faust miał klucz, pewnie nadal ma. Dorobiłem też dla ciebie po tym, jak tu przyszedłeś w zeszłym roku. Domyśliłem się, że wrócisz.

Fogel wzięła od niego klucz i rozejrzała się po pomieszczeniu.

Cała tylna ściana była większym odpowiednikiem Tablicy Osobliwości. Fotografie ofiar i miejsc zbrodni były rozmieszczone w większej odległości od siebie, a dodatkową powierzchnię zajmowały setki karteczek z notatkami. Niektóre zdjęcia łączyła czerwona nić, inne żółta. Pod ścianą po lewej stały pudła z aktami, były ich dziesiątki. Niektóre podpisano nazwiskami ofiar, inne adresami, na trzech widniało „Duncan Bellino”. Na środku pomieszczenia znajdował się składany stolik karciany i dwa krzesła. Na blacie stały dwa kartony, jeden z czarnym napisem „Nettleton”, drugi „Thatch”. Trzecie pudło, „Facet z czarnego GTO”, leżało na podłodze.

Stack wskazał głową na pudła.

– Niewiele udało nam się ustalić na temat tego faceta z pontiaca, ale wszystko jest w tym pudle. Przez ostatnie tygodnie węszyliśmy wokół rodziców Thatcha. W pudle Nettletonów jest właściwie tylko ten list. Teraz możemy go powiązać z domem w Dormont, z tamtą zbrodnią. To już coś. Plan był taki, żeby znaleźć jakiś związek między tymi dwiema rodzinami, zobaczyć, dokąd nas to zaprowadzi. Jeśli zamierzasz wejść w to na dłużej, to przyda mi się twoja pomoc. Masz dostęp do zasobów, których ja już nie mogę tykać, policyjnych baz danych i tak dalej.

– Zostanę, jeśli weźmiesz prysznic – powiedziała Fogel.

– I tak zamierzałem się umyć.

– I jeśli przystopujesz z piwem.

Stack podniósł trzymaną butelkę do ust i opróżnił trzema długimi haustami, po czym odstawił na stolik.

– Gotowe.

– Przyda się też ta kawa, którą tak mi obiecywałeś.

– Tam w kącie stoi dzbanek, świeżo zaparzona. Nigdy nie kłamię w kwestii kawy.

Fogel rozejrzała się po pokoju, po czym usiadła przy stole.

– No dobra, to powiedz mi, czego nie wiem. Od tego zacznijmy.

Dn. 12.08.1993:

Pacjent „D” - parametry w normie.

Nagranie audio/wideo.

- Po prostu tam siedzi - stwierdził Carl. - Gapi się w ścianę.
- Może medytuje.
- Wygląda, jakby na coś czekał.
- Nie wiem, na co miałby czekać.
- Była dziś u niego lekarka?
- Miał wielu gości.
- Kogo?

Warren nie odpowiedział.

- No to widziała się dziś z nim doktorka?
- Codziennie się z nim widuje. Mają wiele do omówienia.
- O czym rozmawiali?
- Nie wiem. Nie słuchałem.
- Jak to nie słuchałeś? Przecież za to nam płacą.

Warren wcisnął guzik mikrofonu.

- Davidzie, o czym rozmawialiście dzisiaj z doktor Durgin?  
Minęło trzydzieści sekund.

- Głównie o przyszłości. Rozmawialiśmy też o Carlu. Dużo mówiliśmy o Carlu. Carl, Carl, Carl. Co zrobić z Carlem.  
Carl zmarszczył brwi.

- Dlaczego mówisz do niego „Davidzie”, a nie po nazwie?
- Po nazwie?
- Pacjent „D”.
- Bo to brzmi niemiło. Nie podoba mu się to.
- A kogo obchodzi, co mu się podoba? - Carl wziął do ręki długopis i zaczął nim nerwowo kręcić między palcami. -  
Wszyscy się tu zachowują kurewsko dziwnie.
- Jak to dziwnie?
- Po prostu. Jadłem wcześniej drugie śniadanie i nikt na stołównie się nie odzywał.
- Może nie mają o czym rozmawiać.
- Było tam ze dwadzieścia osób i nikt się nie odezwał ani słowem.
- Ja tam lubię ciszę - odparł Warren.

Długopis zaczął jeszcze szybciej przesuwać się między palcami Carla. Jego wzrok wylądował na jakimś niedużym białym przedmiocie, leżącym w dalekim kącie konsoli.

- Co to?

- Aparat słuchowy doktor Durgin.

Długopis znieruchomiał.

- Przecież ona jest głucha. Po co jej aparat?

- Nie tak zupełnie głucha - odparł Warren.

- Jak to? To nie dlatego dostała tę robotę?

- W dzieciństwie miała zapalenie opon mózgowych. Straciła ponad dziewięćdziesiąt procent zakresu słuchu, praktycznie wszystko oprócz najgłębszych częstotliwości bazowych. Ale technologia ciągle idzie do przodu, robi postępy. To, co dawniej wydawało się niemożliwe, dziś zupełnie spowszedniało. - Warren się uśmiechnął. - Za dzieciaka chciałem być naukowcem, ale miałem złe stopnie. Dlatego wziąłem tę robotę. Pomyślałem, że przynajmniej będę miał z tym jakiś kontakt, wezmę udział w ważnym przedsięwzięciu. Powinieneś porozmawiać z panią doktor o jej życiu. To naprawdę wyjątkowa kobieta.

Carl był już blady jak ściana.

- Ale wyjmuję ten aparat, kiedy tam wchodzi, prawda? Dlatego teraz tu leży? Zapomniała?

- Chciała usłyszeć jego głos - powiedział Warren. - Choć ten jeden raz. Ma przepiękny głos. David Pickford to piękny człowiek.

Pacjent „D” wstał i podszedł do okna obserwacyjnego po drugiej stronie szyby.

Carl wbił palec w przycisk mikrofonu.

- Odsuń się od okna!

- Ładny długopis, Carl.

- Jak to możliwe, że on nas widzi? Przecież to lustro weneckie.

Warren kiwnął głową w stronę sufitu, zamknął oczy.

- Mówi, że kiedy jasno świecą się jarzeniówki, ta szyba nie działa zbyt dobrze.

- Odsuń się od okna!

Pacjent „D” uśmiechnął się szeroko.

- Hej, Carl, założę się, że gdybyś wbił sobie ten długopis w oko, ale tak porządnie, mocno, to doszedłbyś aż do mózgu.
- Cofnij się, kurwa!
- No dalej, Carl, zrób to dla mnie. Wbij sobie ten długopis w oko, do samego końca.

I rzeczywiście.

Bez chwili wahania Carl mocno złapał długopis prawą ręką i wbił go sobie w oczodół. Drugie oko pozostało wytrzeszczone ze zdumienia.

Wtedy zauważył, że dłoń Warrena wciąż spoczywa na małym czerwonym przełączniku przy systemie nagrywania i głośników, tym, który włączał trzydziestosekundowe opóźnienie transmisji wszystkiego, co mówił i robił chłopak. Przełącznik, zwykle zaklejony taśmą i opatrzony ostrzeżeniem NIE WYŁĄCZAĆ wypisanym wielkimi literami, znajdował się w pozycji OFF.

W tej samej chwili wydarzyły się dwie rzeczy - Carl rzucił się do przełącznika, a David zabronił mu go dotykać.

## 5

Poszedłem na pogrzeb detektywa Faustina Briera, ale stałem na szczycie tego samego wzgórza, na którym on stał podczas pogrzebu cioci Jo – miałem wrażenie, że od tamtego dnia minęło całe życie.

Pogrzeb przyciągnął tłumy.

Na koniec oddano salwę honorową, dwadzieścia jeden wystrzałów.

Ciało złożono na wieczny spoczynek około stu metrów na wschód od moich rodziców i Jo.

Była tam detektyw Fogel. Nie widziała mnie.

Słońce tego dnia świeciło jasno, niemal zbyt jasno. Czułem się tak, jakby ktoś walił mi w oczy dłutem. Ten ból nie mógł się jednak równać z kołataniem w mojej głowie. To zaś zawdzięczałem butelce Jamesona, którą wypilem poprzedniego wieczoru, a zdobyłem dzięki mojemu wspaniałemu kumpłowi Treyowi zza kasy w Mike's Package Liquor. Nie było mnie tam od ponad dwóch miesięcy, ale on zdecydowanie się ożywił na mój widok, wiedząc, że lada chwila może liczyć na studolarowy napiwek. Poprzednie transakcje zapisały się w naszej pamięci mięśniowej, wróciliśmy do utartego schematu bez trudności, jak do jazdy na rowerze. Położyłem pieniądze na ladzie, on ściągnął butelkę z półki za swoimi plecami, podał mi i już wychodziłem ze sklepu. Nie zamieniliśmy ani słowa. Skinąłem głową, on się chytrze uśmiechnął i było po wszystkim. Wszystko trwało dwadzieścia trzy sekundy, a mogło całkowicie zrujnować mi życie.

Było mi wszystko jedno.

Wydarzył się pożar.

Poważny pożar.

A ja potrzebowałem alkoholu.

„Potrzebowałem” to prawdopodobnie zbyt słabe słowo.

Mój organizm chętnie zrezygnowałby z tlenu w zamian za łyk gorzały. Tylko mała kropelka, żeby trochę się znieczulić, tak sobie mówiłem. Mało przekonujące kłamstwo, w które sam już nie wierzyłem.

Kiedy Matteo w końcu przywiózł mnie do domu w poniedziałek wieczorem, słońce już dawno zaszło, powietrze było ciężkie od wilgoci, a ja czułem się potwornie zmęczony. Wspiąłem się po schodach, wygrzebałem klucze z kieszeni,

otworzyłem drzwi. Willy'ego nie było w mieszkaniu. Jego koce leżały równo złożone na brzegu kanapy, na wierzchu poduszka. Widocznie jego rodzice przykładali dużą wagę do porządnego siania łóżka. Czułem potrzebę, żeby pościelić. Spodziewałem się, że prędzej czy później zaczną się upominać o syna, ale ten dzień nigdy nie nadszedł. Przypuszczam, że skoro mogli skreślić z listy zmartwień opłacenie czesnego za studia, nie mieli nic przeciwko, żeby praktycznie się do mnie przeprowadził.

Upadłem na łóżko twarzą w dół, w ubraniu. Jakoś udało mi się zrzucić buty, zanim wyczerpanie zaniósło mnie w objęcia Morfeusza. Spodziewałem się, że przyjdzie znajomy koszmar, ale o niczym nie śniłem.

Obudziłem się chwilę po piątej nad ranem i poczłapałem do kuchni po szklanke wody. Wypiłem ją na kanapie. Nadal ani śladu Willy'ego. Świat wydawał się niewiarygodnie cichy, a to sprawiało, że czułem się samotny. Włączyłem telewizor, żeby mieć jakieś dźwięki w tle, a kiedy na ekranie pojawił się dom Stelli, w pierwszej chwili sądziłem, że puszcza ją powtórkę wczorajszych wiadomości.

Wielki dom.

Dym.

Minęła dłuższa chwila, zanim do mojego zaspanego mózgu dotarło, że dym wydobywa się nie tylko z zachodniego skrzydła, ale z całego domu. Teraz doszły też płomienie, wszędzie – pełzły po ścianach, wyciągały się do nieba przez dziury w dachu. Kiedy pogłośliłem, ktoś, kto nie był Pete'em Lemire'em z KRWT CBS, powiedział mi, że pożar wybuchł w środku nocy, wszystko wskazywało na podpalenie, ale na razie wiadomo niewiele więcej.

W południe nadal siedziałem na tej kanapie i oglądałem.

Dom praktycznie przestał istnieć.

We foyer znaleziono ciała czterech policjantów, przyczyny śmierci na razie nie ustalono. Ktoś poświęcił chwilę, żeby ułożyć ciała jedno obok drugiego, w równym rzędku, elegancko.

O pierwszej po południu zaczęły się opery mydlane i relacja z pożaru domu Stelli została zredukowana do małego kwadracika w rogu ekranu. O piętnastej również i ten kwadracik zniknął. O piętnastej zero jeden wstałem i poszedłem do Mike's.

Kilka godzin później Willy zastał mnie nieprzytomnego na kanapie.

Pokłóciliśmy się.

Znowu wyszedłem z domu, włączyłem się całą noc, aż nagle znalazłem się na cmentarzu, gdzie trafiłem na pogrzeb detektywa Faustina Briera.

To było wczoraj.



Dzisiaj z kolei przyszła kolej na drugi w tym tygodniu ochrzan od Mattea. Wrzeszczał na mnie przez ostatnią godzinę, Willy siedział w milczeniu na przeciwnym końcu stołu konferencyjnego w kancelarii. Jemu też się dostało. Nie spisał się jako niańka, nie powinien mnie zostawiać samego. Zanosilo się na szlaban.

– Musimy cię stąd wyciągnąć – głądził Matteo. – Zabrać cię z tego miasta, daleko od tego całego syfu, w który się wmieszałeś.

– Nie chcę się nigdzie stąd ruszać. Tu jest mój dom.

Matteo parsknął złośliwie.

– Jak tak dalej pójdzie, to twój dom będzie w celi dwa na dwa metry w New Castle. Jeśli nawet policja nie wpadnie na to, jak powiązać cię ze sprawą tego domu przy Milburn, to wrzucą cię do jednego worka z Bellinem i całym jego syfem. Chcą się ciebie pozbyć, masz nie chodzić po ulicach, tylko siedzieć gdzieś w bezpiecznym miejscu.

– Nic nie zrobiłem.

– Oni mają to w dupie.

Matteo podsunął mi dzisiejszy egzemplarz „Post-Gazette”. Większość pierwszej strony zajmowały zdjęcia domu Stelli „przed” i „po”.

– Czterech gliniarzy zabitych w pożarze, dwadzieścia jeden trupów dzień wcześniej, w tym martwy detektyw, który wyraźnie się tobą interesował. Wszyscy tam myślą, że siedzisz w tym po uszy.

„A Stelli nie było”, szepnął jakiś głos w mojej głowie. „Zaginęła. Została porwana”. Zmarła? „Odeszła”.

– Jeśli nawet policja cię nie zamknie, to sam się wpędzisz do pierdła tym swoim chlaniem – ciągnął Matteo. – Instynkt mi mówi, że zbierają dowody i czekają do stycznia, bo wtedy skończysz osiemnaście lat, a oni zaatakują. Jakby postawili ci jakiś zarzut teraz, to ryzykowaliby, że będziesz sądzony jako małoletni. Lepiej poczekać cztery miesiące i przez ten czas porządnie przygotować się do wszczęcia sprawy. Ja przynajmniej tak bym postąpił.

– Ja nic nie zrobiłem – powtórzyłem.

Tym razem nawet nie odpowiedział. Odezwał się za to Willy.

– Penn State – powiedział cicho.

Matteo spojrział na niego.

– Co?

– Moi rodzice chcą, żebym po liceum poszedł na Penn State.

Matteo przewrócił oczami.

– Przecież ci mówiłem, że pokryjemy twoje chesne z funduszu powierniczego, o ile dopilnujesz, żeby Jack też się tam dostał. Swoją drogą świetnie ci idzie. Na widok tych przekrwionych oczu człowiek od razu myśli: „materiał na studenta”.

Nie ma też jak parę aresztowań na koncie, to zawsze dobrze wygląda na podaniu o przyjęcie na studia. Świetna robota. Obaj napełniacie mnie dumą.

Willy wbijał wzrok we własne dłonie.

– Nie musimy czekać do następnej jesieni. Moglibyśmy już teraz iść na studia. Obaj mamy wystarczająco dużo punktów z przedmiotów na poziomie zaawansowanym. Moglibyśmy zdać egzaminy końcowe i skończyć liceum rok wcześniej. W przyszły czwartek możemy podejść do SAT w Harrisburgu. Sprawdziłem to dziś rano. Trochę na styk, ale moglibyśmy zacząć studia od następnego semestru. Jesienny już się zaczął, ale na wiosenny na pewno się wyrobimy.

Matteo rozsiadł się w fotelu i zamyślił.

– To w sumie niegłupi pomysł.

– Nowi znajomi, nowe środowisko, nowe wyzwania – ciągnął Willy. – Jak zostanie tutaj, to będzie tylko gorzej, dobrze pan to wie.

– Nigdzie nie jadę – oznajmiłem cicho.

– Ona cię olała, Jack. Najpierw sobie z tobą pogrywała, a teraz zniknęła – powiedział Willy. – Pokazywałaś mu ten list?

Matteo zmrużył oczy.

– Jaki list?

Łypnąłem na Willy'ego spode łba. Nie powinien wspominać o tym liście. Nic nie rozumiał. To nie jego...

– Dawaj – zażądał Matteo, sięgając przez stół.

Zmierzyłem go wzrokiem, po czym wygrzebałem list z kieszeni.

Kiedy go rozłożył i zaczął odczytywać na głos, salę konferencyjną wypełnił aromat wanilii.

Matteo skończył lekturę i zmarszczył brwi.

– Pip? Jak z *Olivera Twista*?

– Z *Wielkich nadziei* – poprawiłem go.

– Co to za Stella?

– Taka jedna dziewczyna.

Willy westchnął.

– To nie jest jakaś tam dziewczyna. To dziewczyna, która przez pół życia mieszkała mu w głowie. Mieszkała w tym domu przy Milburn.

Powiedział mu wszystko, co wiedział. To nie było wszystko, nawet nie połowa, ale wystarczająco dużo.

– Całe to gówno przez jakąś dziewczynę? – spytał Matteo, kiedy Willy skończył. – Policja to widziała? – Pomachał listem.

Pokręciłem głową.

Wcisnął mi list z powrotem.

– Dobrze. Schowaj go w jakimś bezpiecznym miejscu. Jeśli spróbują postawić ci jakieś zarzuty, będziemy mogli to wykorzystać, żeby trochę namącić. Założę się, że mógłbym na tej podstawie zbudować całą linię obrony. – Zwrócił się do Willy'ego: – Przejdź się gdzieś. Daj nam chwilę.

Willy zerknął na mnie, wstał i wyszedł z sali konferencyjnej, zamykając za sobą drzwi.

Matteo podjechał do mnie bliżej na krzesło.

– Nie rozumiem wszystkiego, przez co przeszedłeś, więc nawet nie będę udawał, że potrafię. Wiem, że jesteś dobrym dzieciakiem. Ciotka wychwalała cię pod niebiosa. Jesteś też bystry. Widać to w twoich oczach. Nawet przekrwionych. Dobrze wiesz, że stoisz w tej chwili na rozdrożu. Jak zostaniesz w Pittsburghu z tym całym syfem, to syfu będzie jeszcze więcej. Masz pieniądze. Masz przyjaciół, którym na tobie zależy. Myślę, że Willy ma rację. Wyjedź z miasta. Zostaw to wszystko za sobą. Zapomnij o tej dziewczynie. Dziewczyny przez całe życie będą ci mieszały w głowie. Tak już mają. Są w tym zajebiście dobre. Zostaw to wszystko i zacznij od nowa gdzie indziej. Ciotka wypruwała sobie żyły, żeby zapewnić ci lepsze życie. Nie pozwól, żeby to marzenie z nią umarło. Spełnij je. Uczcij jej pamięć: idź na Penn State, zrób dyplom, osiągnij coś w życiu. Jak będziesz chciał tu kiedyś wrócić, to możesz, ale później. Daj sobie trochę czasu i przestrzeni. Zdziwisz się, jak nawet odrobina dystansu może ci pomóc poukładać sobie wszystko w głowie. – Urwał na chwilę. – Z piciem musisz skończyć. Jeśli będzie trzeba, mogę cię zapisać na odwyk. Zasady funduszu powierniczego dają mi taką możliwość, nawet bez twojej zgody, ale nie chcę się do tego uciekać. Pijesz, żeby sobie z tym wszystkim poradzić, rozumiem, sam to kiedyś robiłem, ale to się musi skończyć. Nie chcesz zabrnąć w to zbyt daleko. Skup się teraz na przyszłości, może być naprawdę świetlana. Pogódź się z przeszłością i idź przed siebie. Masz w sobie dość siły, jestem o tym przekonany.

– Mówi pan jak Gerdy – mruknąłem.

– Kto?

Pokręciłem głową i schowałem twarz w dłoniach.

Matteo wstał i odsunął krzesło.

– Lepszego dopingu ode mnie nie oczekuj, dzieciaku. Jako prawnik musiałem oddać sumienie w chwili zdania egzaminów końcowych. Tylko tego mi jeszcze brakuje, żeby konkurencja się dowiedziała, że trochę sobie zostawiłem. – Puścił oko z wyraźnym skrzepowaniem. – Chodźmy po Willy'ego i ustalmy, co musimy zrobić, żeby jego plan wypalił.

Okazało się to całkiem proste.

Willy spędził całe popołudnie, wisząc na telefonie w moim mieszkaniu i zapisując zwinięty z kancelarii notatnik uzyskanymi informacjami. Ja w tym czasie leżałem na łóżku, gapiąc się w sufit. Całkiem ładny sufit. Próbowałem rysować w szkicowniku, ale ręce mi się trzęsły. Mogłem rysować i po pijaku, i na trzeźwo, ale gdzieś pomiędzy znajdował się ten niezbyt przyjemny stan, w którym nadawałem się tylko do jedzenia, spania i zaspokajania potrzeb fizjologicznych. W tym stanie towarzyszyły mi bóle głowy, dreszcze i zimne poty, więc niezbyt za nim przepadałem. Wiedziałem, że drink od razu by mi pomógł. Wiedziałem też, że to nie było dobre rozwiązanie. Ale wizja napicia się była bardzo kusząca.

Po jakimś czasie Willy zajął do mnie i powiedział, że według kobiety z ośrodka egzaminacyjnego absolwenci liceum nie mogą zdawać egzaminu GED. Z jakiegoś powodu bardzo go to rozbawiło. Przez dłuższą chwilę nie rozumiałem dlaczego, ale w końcu do mnie dotarło. Na szczęście nie byliśmy absolwentami liceum, więc ta zasada nas nie dotyczyła. Było jednak wiele innych, które trudniej byłoby nam obejść. Na przykład dolna granica wieku wynosiła osiemnaście lat. Szesnasto- i siedemnastolatki mogli podchodzić do egzaminu, ale obowiązywały ich specjalne obostrzenia. Zadzwoił w tej sprawie do kancelarii, a Tess powiedziała, że przekaże wiadomość. Matteo był zajęty swoimi sprawami.

Oddzwonił kilka godzin później i powiedział, że jako sierota, początkujący przestępca i bogacz na pewno bez problemu zostanie dopuszczony do egzaminu. Powiedział, że podzwoni po ludziach.

Wolałem go chyba, jak nie miał sumienia ani poczucia humoru.

Uzyskanie wszystkich zezwoleń zajęło prawie tydzień.

W następnym czwartek pojechaliśmy z Willym taksówką do ośrodka egzaminacyjnego przy Siódmej, zapłaciliśmy po sześćdziesiąt dolców na łebka i jakiś czas później wyszliśmy z tego ceglanego budyneczku jako absolwenci szkoły średniej. Ja zdobyłem 196 punktów na 200, Willy 173. Kazałem mu postawić nam obiad.

Nazajutrz kupiłem samochód. Czarną hondę prelude, rocznik 1990, trzydzieści siedem tysięcy kilometrów na liczniku. Willy nauczył mnie prowadzić na parkingu pod Giant Eagle. Tydzień później wyrobiłem sobie prawo jazdy.

Kazali mi o niej zapomnieć.

Powiedziałem, że spróbuję.

Nie miało jednak być łatwo.

Matteo pogadał z kim trzeba na Penn State i już w pierwszym tygodniu listopada byliśmy zapisani na semestr wiosenny, zajęcia miały się zacząć pod koniec stycznia. Pogadałem z Teddym Carruthem ze sklepu spożywczego i zgodził się co tydzień dostarczać pani Leech zakupy do mieszkania. Nie ucieszyła się na wieść o moim wyjeździe. Jeszcze mniej spodobał jej się nowy plan zakupowy.

Szesnastego listopada Duncan Bellino został aresztowany, postawiono mu liczne zarzuty handlu narkotykami. Trzy godziny później był już na wolności. Zarzuty oddalono. Posłał uśmiech kamerom telewizyjnym, po czym dwóch potężnych mężczyzn pomogło mu wstać z wózka i wsiąść na tylne siedzenie czarnego dodge'a durango.

Osiemnastego listopada wyruszyliśmy z Willym moją nową hondą zapakowaną po dach, list od Stelli parzył mnie w kieszeni. Kazałem Matteowi płacić czynsz za mieszkanie cioci Jo. Chciałem je zatrzymać.

Wyjeżdżając na Brownsville, pomachałem detektyw Joy Fogel. Siedziała naprzeciwko mojego bloku w zielonej toyocie z jakimś nieznanym mi mężczyzną w fotelu pasażera. Ostatnio często tam parkowała, a on zwykle jej towarzyszył. Nie odmachali mi.

Dwadzieścia minut później wydawało mi się, że śledzi nas biały SUV, ale został na drodze US-22, chociaż my skręciliśmy na I-99 w kierunku północnym. Nie zauważyłem drugiego, który zastąpił go trzy kilometry dalej. Ten kierowca był znacznie ostrożniejszy.

## Część 4

*Jeszcze raz zmieniliśmy konie i jeszcze raz, i teraz było już za późno i za daleko, by wracać, i jechałem dalej. Teraz wszystkie mgły uniosły się już w górę uroczyście i przed moimi oczyma rozpościerał się świat.*

Charles Dickens, *Wielkie nadzieje*

12 marca 1994

*Osiemnaście lat*

Dn. 12.03.1994

Pacjent „D”

Nagranie audio/wideo.

WYŁĄCZONE

ZESPÓŁ OBSERWACYJNY CHARTER - 309



# 1

Matteo wynajął nam mieszkanie kilka przecznic od kampusu, przy Mifflin Road. Mieszkanie z dwiema sypialniami w trzykondygnacyjnym budynku w stylu wiktoriańskim, bez windy. Pierwszego dnia każdego miesiąca moje kieszonkowe trafiało na rachunek w banku Brentwood Federal Savings and Loan. Dzięki karcie debetowej miałem dostęp do konta z każdego bankomatu, za niewielką prowizją. W pierwszym miesiącu Matteo przelał dodatkowe dwa tysiące dolarów, co zawiązką starczyło na umeblowanie mieszkania, zakup naczyń, mikrofalówki i innych artykułów niezbędnych w życiu studenckim. Próbowałem znaleźć rozkładany fotel tak wygodny jak ten cioci Jo, ale poszukiwania spełzły na niczym. W końcu zdecydowałem się na worek sako.

Zajęcia zaczęły się czternastego stycznia.

Dziesięć dni później skończyłem osiemnaście lat.

Zima przełomu lat 1993 i 1994 okazała się jedną z najsroźszych w historii Pensylwanii. Zasy przy Mifflin Road osiągały wysokość dwóch metrów. Jako że na większość zajęć mogliśmy chodzić pieszo (a zresztą szybko znudziło mi się skrobanie oblodzonych szyb), honda stała nieużywana przed domem, aż prawie zniknęła pod białą pierzynką. Gdy wreszcie nadeszła wiosna, musiałem kupić nowy akumulator, żeby samochód odpalił. Na bagażniku wykwitła nowa plama rdzy, kilka centymetrów od zamka.

Chodziłem na imprezy, ale nie tykałem alkoholu. Popijawy, spotkania integracyjne bractw i siostrzeństw studenckich. Alkohol lał się strumieniami, zawsze pod ręką była trawka, metakwalon, grzybki. Raz widziałem nawet kokainę, ale to był studencki koks, na pewno chrzczony aspiryną, mąką i Bóg jeden wie czym jeszcze. Ja jednak trzymałem się z daleka. Byłem tym gościem podpierającym ścianę z puszką pepsi, czasem nawet z dwunastopakiem. Uśmiechałem się i starałem nie wyglądać zbyt dziwnie, kiedy wszyscy dookoła się zaprawiali.

Chciałem się napić, bez dwóch zdań, ale obserwując innych studentów i studentki na tych imprezach, zwłaszcza na początku, doznałem olśnienia – oni pili, żeby spotęgować doświadczenie społeczne. Picie otwierało ich na innych ludzi, pozbawiało hamulców, pozwalało się w pełni wyrazić. Ja piłem, żeby

zapomnieć, żeby się znieczulić, schować. Alkohol pomagał im wychodzić do ludzi, mnie zamykał przed światem. Oni pili, żeby być razem, ja – żeby być sam.

Kiedy tak patrzyłem, jak wszyscy piją, a śmiechy, krzyki i tańce robią się coraz głośniejsze i bardziej bełkotliwe, czułem powiększającą się przepaść między nimi a mną, więc znalazłem nowy sposób, żeby być sam.

W Penn opijało się każdą okazję. Dzisiaj świętowaliśmy, że wreszcie spłynęły ostatnie śniegi (a przynajmniej taką mieliśmy nadzieję). Był dwunasty marca. Ktoś znalazł ten ostatni roztop, kupkę brązowego błota przy zachodnim rogu Spruce Cottage, naprzeciwko wydziału telekomunikacji. Ten ktoś, albo ktoś inny, odgrodził to miejsce sznurkiem, trzy metry na lewo postawił beczkę z piwem, na prawo stolik z boomboxem i zaczęła się spontaniczna impreza. Jesienią zbieraliśmy się wokół wielkich ognisk. Dzisiaj otoczyliśmy kupkę śniegu i patrzyliśmy, jak topnieje.

Witamy na wyższej uczelni.

– No weź, zahipnotyzuję cię – powtórzyła.

Niezbyt wyraźnie ją słyszałem. Była jedną z nich. Zdarzało się to zwykle po kilku godzinach na każdej imprezie. Oprócz wspomnianego wcześniej efektu poprawy nastroju alkohol dodawał kurażu, więc prędzej czy później jedna z nich zawsze przekraczała niewidzialną barierę i do mnie docierała. Musiałem być całkiem przystojny, a poza tym traktowały mnie pewnie jak wyzwanie, kiedy tak stałem sam w kącie. Ale prawie każda dziewczyna przypominała mi Stellę. Pozostałe z kolei wyglądały jak Gerdy, co bolało mnie równie mocno, a czasem nawet bardziej.

Dziewczyna powiedziała, że nazywa się Kaylie. Miała na sobie letnią sukienkę w kwiatki, czarne rajstopy i dżinsową kurtkę. Rudoblond włosy sięgały jej tuż poniżej ramion.

Bardziej Gerdy niż Stella.

Dodała, że jest doktorantką, pisze pracę z psychologii. Trzymała czerwony plastikowy kubek, w którym przelewał się niezidentyfikowany płyn.

Pociągnąłem łyk pepsi.

– Nie chcesz mnie hipnotyzować. Jestem nudny.

– Nie wyglądasz na nudnego. Masz w sobie jakiś tajemniczy mrok, coś w stylu Jamesa Deana.

– Jamesa Deana, mówisz?

– Totalnie. Na pewno niezły z ciebie buntownik.

– W takim razie może nie powinnaś ze mną rozmawiać. A co, jeśli jestem niebezpieczny?

Przyjrzała mi się badawczo.

– A jesteś?

„Wszyscy, których kocham, umierają, więc na to wygląda”.

– Jesteś w tym dobra?

– W czym?

– W hipnozie.

Wzruszyła ramionami.

– Moje współlokatorki twierdzą, że tak. Profesor McDougal utrzymuje, że jestem jego najlepszą studentką od dziesięciu lat, ale podejrzewam, że chce po prostu dobrać mi się do spodni.

– Ale ty nie masz na sobie spodni.

Spojrzała na swoje nogi i przeanalizowała moje słowa, powoli, jak to pijani ludzie. Potem znów popatrzyła na mnie i posłała mi uśmiech.

– Nie. Nie mam spodni.

Gdzieś w tłumie zauważyłem Willy’ego, który mnie obserwował. Pokazał mi uniesiony kciuk i entuzjastycznie pokiwał głową.

– Powinienem już się zbierać – rzuciłem, zerkając w stronę swojego mieszkania.

– Nie możesz iść, dopóki śnieg nie stopnieje, taka jest zasada.

– Cóż, sama mówiłaś, że jestem buntownikiem.

– Proszę, daj się zahipnotyzować.

– Jak myślisz, czego się dowiesz?

Przekrzywiła głowę. Część tajemniczego płynu wyleciała z kubka na mój but.

– Po pierwsze, dlaczego jesteś na imprezie, ale nie pijesz.

– Może nie jestem w tym najlepszy.

Podeszła bliżej i wypila łyk. Teraz poczułem, że to rum.

– To całkiem proste.

– Ty też nie radzisz sobie najlepiej. Pijesz rum na imprezie z beczką piwa.

Przyłożyła palec do ust i uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Ćśś... Może ja też jestem buntowniczką.

Willy ciągle się gapił. Ciekawe, czy zadzwoni do Mattea ze sprawozdaniem jeszcze tego wieczoru, czy zaczeka do rana. Prędzej czy później na pewno to zrobi.

Naliczyłem przynajmniej dwanaście osób w białych płaszczach.

– Mieszkasz na kampusie? – spytałem.

Wskazała głową gdzieś na lewo.

– W tamtych akademikach.

– To może cię odprowadzę? – zaproponowałem.

– Okej.

Widocznie już zapomniała o topniejącym śniegu.

Przemierzyliśmy dziedziniec i poszliśmy skrótem przy kortach tenisowych. Gdzieś po drodze złapała mnie za rękę.

Mieszkała na pierwszym piętrze Geary Hall.

Otworzyła drzwi i wtoczyła się do środka, po czym upadła na łóżko po lewej. Współlokatorek nie było.

Zapaliłem światło, zamknąłem drzwi i pomogłem jej zdjąć buty i kurtkę. Kubek z rumem zniknął podczas spaceru. Nie zauważyłem, kiedy go wyrzuciła albo odstawiła.

Mogłem się z nią przespać, ale tego nie zrobiłem.

Zaczekałem, aż usnie, po czym przekręciłem ją na bok. W nogach łóżka leżała zmięta kołdra. Przykryłem nią dziewczynę i otuliłem.

Droga powrotna do mieszkania powinna mi zająć jakieś dwadzieścia minut, ale dotarłem do celu dopiero około czwartej nad ranem. Drzwi do pokoju Willy'ego były zamknięte, słyszałem dobiegające zza nich chrapanie.

Na moim łóżku leżała koperta.

Była zbyt cienka, żeby mógł się w niej znajdować plik gotówki, zresztą w odróżnieniu od poprzednich opatriono ją moim pełnym adresem, wypisanym schludnie na froncie, oraz znaczkiem pocztowym ostemplowanym w Pittsburghu. Adres nadawcy wskazywał na kancelarię Mattea. W środku znalazłem złożony list i drugą, mniejszą kopertę.

*Jack,*

*Dewitt prosił, żebym Ci to przesłała. Twoja ciotka zostawiła to dla Ciebie, z zastrzeżeniem, żeby przekazać Ci to w dniu osiemnastych urodzin. Przepraszam za opóźnienie, to moja wina – zostawił mi to na biurku z karteczką, ale nie zauważyłam i zawałam innymi papierami... Sam wiesz, jak wygląda moje biurko! (Pracuję nad tym, słowo!) Gdyby po prostu dawał mi rzeczy do ręki, zamiast... Przepraszam, to Cię raczej nie interesuje. Jeszcze raz przepraszam za opóźnienie.*

*Mam nadzieję, że świetnie sobie radzisz na Penn! Do boju, Lions!*

*Serdecznie*

*Tess*

Dewitt? Zachichotałem pod nosem. Zupełnie zapomniałem, że Matteo ma tak na imię.

Rzuciłem list na łóżko.

Mniejsza koperta była zaklejona, rozmiaru mniej więcej połowy tradycyjnej. W takich wysyła się zwykle liściki z podziękowaniem albo inne tego typu

drobiazgi. Ciocia Jo miała ich całe pudło. Trzymała w nich napiwki, skatalogowane według daty i zmiany – twierdziła, że to jej pomaga ustalić, które zmiany są najlepsze, a których lepiej unikać. Nie wydaje mi się, żeby to miało jakieś znaczenie. Odnosiłem wrażenie, że tak czy inaczej pracuje na okrągło.

Na kopercie widniało moje imię.

Rozdarłem papier.

Na znajdującej się w środku kartce znajdowało się tylko trzynaście słów, ale czytałem je w kółko i w kółko przez prawie godzinę. Pismo było chwiejne, ledwie czytelne, musiała napisać ten list pod koniec życia.

*To pudełko, które ojciec dla Ciebie zostawił, jest w 68744. Nędzny śmieć.*

Jo

Zorientowałem się, że przysiadłem na brzegu łóżka, chociaż nie pamiętałem, żebym to zrobił. Ręka mi się trzęsała. Jedynymi dźwiękami, jakie rozlegały się w moim pokoju, były moje głębokie oddechy i gorączkowe łomotanie serca w klatce piersiowej.

Zanim zebrałem się w sobie na tyle, żeby wstać i zapakować trochę ciuchów do plecaka, zdążyło już wzejść słońce. Dziesięć minut później skradałem się już w stronę drzwi, starannie omijając co głośniej skrzypiące deski na środku podłogi, pod dywanikiem. Willy nadal jednak chrapał smacznie w swoim pokoju i prawdopodobnie miało to potrwać jeszcze kilka godzin – niedziele należały do nielicznych dni, kiedy pozwalał sobie dłużej pospać.

Z początku honda nie chciała odpalić. Silnik krztusił się i prychał, jakby próbował wykasłać całą zimę. Potem strzelił gaźnik. W końcu jednak silnik załapał i zaczął gładko pracować. Na hondę zawsze można liczyć.

Nacisnąłem kilka razy pedał gazu, cofnąłem i wyjechałem na pustą drogę.

Miałem mętlik w głowie, nie mogłem sklecić żadnej sensownej myśli.

Pudełko.

Kiedy pytałem o nie ciocię Jo, uparcie zaprzeczała jego istnieniu, twierdziła, że mój ojciec nic jej nie dał przed śmiercią, zupełnie nic. Szukałem przez lata, więcej razy, niż byłbym w stanie zliczyć. Nie poddałem się, po prostu skończyły mi się miejsca.

Oczywiście, że schowała to tam. Tam, gdzie nikt by nie szukał.

Droga do Pittsburgha zajmie mi dwie i pół godziny. W tym czasie powinienem sobie to wszystko poukładać, obmyślić następny krok.

Kwatera z grobem mojego ojca ma numer 68744 – jeden z dziwacznych faktów, które ciocia Jo kazała mi wbić sobie do głowy w dzieciństwie.

Mniej więcej po godzinie drogi olśniło mnie, że „następny krok” niekoniecznie stanowił jedną z wielu możliwości. Nie miałem żadnej innej. Próbowałem wymyślić coś innego, cokolwiek innego niż jedyna oczywistość, której żadna zdrowa na umyśle osoba nawet nie wzięłaby pod uwagę, ale im więcej o tym myślałem, tym bardziej stopniowo dopuszczałem tę możliwość. Olśnienie nie pomogło jednak uspokoić pobolewającego żołądka ani zabić kwaśnego smaku w ustach.

Ciocia Jo nie kłamałaby w takiej sprawie. Nienawidziła mojego ojca, mierziło ją wszystko, co z nim związane. Ale nie skłamałaby na temat czegoś tak dla mnie ważnego.

List Richarda Nettletona do mojego ojca zaadresowano do niej.

Zawsze podejrzewałem, że Jo przynajmniej w jakimś stopniu orientuje się, co tu się właściwie dzieje. Nawet jeśli ona mi tego nie powiedziała, dawał mi to do zrozumienia powracający sen.

Wiedziałem, że to pudełko istnieje, wiedziałem, nawet jeśli ona próbowała się tego wypierać.

Przypuszczam, że po prostu chciała mnie w ten sposób chronić, czekała, aż dorosnę.

Pudełko było tu kluczowe, od samego początku.

„Ale czy mógłbym?”

„Czy mógłbym rozkopać grób?”

„Grób własnego ojca?”

Jeśli pudełko rzeczywiście tam jest – a w miarę jak głośnie koła hondy pożerały kolejne kilometry drogi, ogarniało mnie coraz silniejsze przekonanie, że jest – to czy mógłbym zostawić je ukryte w jego grobie na zawsze? Zapomnieć o nim? A co, jeśli znajdzie je ktoś inny? Ktoś w białym płaszczu?

Co, jeśli (choć prawdopodobieństwo nie wydawało mi się zbyt duże) coś z tego pudełka miało mi pomóc odnaleźć Stellę?

Nie mógłbym o tym po prostu zapomnieć.

Musiałem sprawdzić.

Rozsądek podpowiadał mi, że bym nie rozkopywał grobu własnego ojca.

Nie miałem jednak wyboru.

Udało mi się jakoś pogodzić z tą myślą. Obracałem ją w mózgu na wszystkie strony, przeżuwałem wszystkie fakty, aż ten jedyny możliwy wybór stał się także wyborem słusznym, a do tego niecierpiącym zwłoki.

Przy zjeździe na I-376 w Hollidaysburgu zatrzymałem się obok niedużego sklepu z artykułami przemysłowymi i kupiłem łopatę. Nie mogłem ryzykować dokonania takiego zakupu w Pittsburghu, gdzie ktoś mógłby mnie rozpoznać. Jedynym sklepem tego typu w pobliżu mojego mieszkania w Brentwood był

Keener's. Stał tam od 1939 roku, a Harold Keener nie tylko by mnie rozpoznał, ale mógłby też zadzwonić do Mattea z informacją, że kupuję łopatę.

Zostawiłem samochód przy Cramer, jednej z przecznic Brownsville, ze trzy ulice od mieszkania, a resztę drogi pokonałem pieszo. Zaparkowanie pod domem nie wchodziło w grę. Hondy prelude były dość popularne, ale czarna i do tego stojąca pod moim blokiem na pewno została by ze mną skojarzona. Łopatę zostawiłem w bagażniku.

Remont jadłodajni Krendal's dobiegał końca, w oknie wisiał wielki plakat – wkrótce otwarcie pizzerii Carmozzi's!

Minąłem budynek, starając się nie zaglądać w świeżo pobielone okna z lęku przed tym, co mogłoby odwzajemnić moje spojrzenie.

Minęły blisko trzy miesiące, od kiedy po raz ostatni byłem w moim starym bloku. Cały budynek wydawał mi się jakiś obcy. Korytarze sprawiały wrażenie węższych i zatęchłych, przydałoby się je odmalować. Wspiąłem się po schodach i niezauważony przez nikogo wślizgnąłem się do mieszkania. Pani Leech nie uchyliła drzwi. Nie wisiała też na nich lista zakupów, bo była niedziela.

W mieszkaniu panowała ciemność, a wszystkie powierzchnie pokrywała gruba warstwa kurzu.

Przeszedłem przez salon, mijając stertę plakatów na stole, sukienkę Gerdy nadal leżącą na podłodze, i chciałem odsłonić grube rolety na oknach, ale zmieniłem zdanie.

„Gdyby ktoś spojrział w górę. Ktoś, kto mnie zna...”

Rozsiadłem się w fotelu cioci Jo pod oknem i czekałem na zapadnięcie zmierzchu. Prawe kolano podskakiwało mi nerwowo, a wokół zawodziły duchy przeszłości, rechotały mi do ucha, już nie mogły się doczekać, co się teraz wydarzy.

Chwilę po pierwszej w nocy zaparkowałem przy Nobles Lane, pewnie w promieniu paru metrów od miejsca, w którym jako dzieciak zostawiłem rower w dniu Wielkiego Pościgu.

Kiedy zamykałem oczy, wciąż słyszałem odgłos tych czterech SUV-ów za plecami, gadanie Dunka i Willy'ego w krótkofalówce.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem tylko ciemną, opustoszałą drogę z drzewami po obu stronach. Na Nobles Lane nie było latarni ulicznych ani samochodów, a nieliczne domy stały daleko od drogi.

Krótko po północy zaczęło mżyć i od tej pory słaby deszczyk nie odpuszczał. Kiedy zjechałem z asfaltu, koła hondy zapadły się lekko w błoto i zacząłem sobie płuć w brodę, bo przecież zostawię ślady opon. Trzeba też było zabrać kurtkę. Temperatura spadła poniżej dziesięciu stopni. Wyraźnie nie nadawałem się na hienę cmentarną.

O tej późnej godzinie każdy odgłos zdawał się zwielokrotniony, od jęku otwieranego bagażnika po tupot moich stóp, kiedy z łopata w ręku biegłem przez las w stronę cmentarza. Wynurzyłem się spomiędzy drzew jakieś trzydzieści metrów na zachód od naszej ławeczki i mimo woli przypominałem sobie o obrazie w pokoju Stelli.

Wśród mauzoleów czaiły się cienie, otulały kamienne budowle peleryną nocy, która nie mogła ich jednak ochronić przed deszczem. Wiedziałem, że jestem sam, a mimo to czułem na sobie czyjś wzrok. Właściwie spodziewałem się, że jakaś postać w białym płaszczu lada chwila wyłoni się z lasu i stanie na mojej drodze, może nawet więcej niż jedna, a wszystkie będą zainteresowane pudełkiem. Przez cały ten czas, który spędziłem na cmentarzu w dzieciństwie i okresie dojrzewania, nigdy nie widziałem stróża ani żadnego innego rodzaju zabezpieczeń. Ktoś punktualnie o dziewiątej wieczorem zamykał bramę, a następnie otwierał ją rano, ale nawet ta osoba umykała mi przez wszystkie te lata. Wyobrażałem sobie, że każdy, kto pracuje na cmentarzu, w atmosferze osamotnienia, z czasem musi stać się milczącym elementem tego miejsca, zdolnym przemieszczać się niezauważenie po całym terenie, wtapiać się w tło stworzone z wieńców i półmroku, niczym szept przemykający między kamieniami nagrobnymi.

Kiedy pokonałem wzgórze na południowym końcu cmentarza, w moim polu widzenia pojawiły się groby rodziców, a teraz też cioci Jo, która leżała obok nich, pod wielkimi gałęziami rozłożystego klonu czerwonego. Nagrobki lśniły w deszczu.

„Czy ja naprawdę mogę to zrobić?”

Och, jak bardzo marzyłem o drinku. Byłem w takim stanie, że wypiłbym pewnie nawet czysty spirytus, gdybym tylko miał go pod ręką. Piwo, syrop na kaszel, whisky, cokolwiek. Skóra świerzbiła mnie od pragnienia, wszystkie pory szeroko otwierały usta. Nic jednak nie miałem, a mimo wszystko ruszyłem przed siebie.

Kiedy w końcu dotarłem do grobów, stanąłem nad miejscem wiecznego spoczynku ojca i obróciłem się powoli dookoła, sprawdzając, czy na cmentarzu na pewno nikogo nie ma. Nic nie rzuciło mi się w oczy, ale nie opuszczało mnie poczucie, że ktoś mnie obserwuje, charakterystyczne mrowienie na karku.

Łopata była ciężka.

Niech Bóg ma mnie w opiece. Wbiłem ją w ziemię i zacząłem kopać.

Grunt okazał się miększy, niż się spodziewałem.



## 2

Elfrieda Leech usiadła w łóżku i nastawiła uszu.

Coś usłyszała.

Skrzypnięcie podłogi, jęk starych desek.

Zmieniła się godzina na budziku przy łóżku, klapki z cyferkami przeskoczyły z 3.03 na 3.04 z cichym mechanicznym szumem i stuknięciem plastiku o plastik.

Przed pójściem spać, jak każdego wieczoru, Elfrieda ustawiła termostat w przedpokoju na 21 stopni – w dzień 22 stopnie, w nocy 21, zawsze – ale powietrze w sypialni wydawało jej się okropnie zimne. Nasłuchiwała monotonnego buczenia pieca, ale nic nie słyszała.

Po karku i ramionach przemknął jej lodowaty wiatr, z tym też było coś nie tak. Nigdy nie otwierała okien.

Nigdy.

Kolejne skrzypnięcie. Tym razem z korytarza, była tego pewna.

W szufladzie szafki nocnej Elfrieda trzymała naładowaną trzydziestkęósemkę. Drugi rewolwer miała w komodzie, kolejny przyklejony z tyłu spłuczki w toalecie, dwa następne w salonie (jeden pod lewą poduchą kanapy, drugi przyklejony pod blatem stolika), a ostatni w kuchni, w stojącej na blacie metalowej puszcze z napisem „mąka”. Chociaż jeszcze nigdy nie oddała ani jednego strzału, co drugi czwartek starannie czyściła i smarowała każdą sztukę broni. Pierwszy rewolwer kupiła dwa dni po napaści tych strasznych ludzi ubranych na białe, domagających się rzeczy, które do nich nie należały. Kolejne dokupywała systematycznie w następnych latach, uznawszy, że nie chce już w życiu żadnych niespodzianek. Drugi rewolwer nabyła, kiedy zorientowała się, że z kuchni ma za daleko do tego pierwszego, ukrytego w sypialni, a z czasem doszła do wniosku, że zawsze powinna mieć broń w zasięgu ręki, w każdym pomieszczeniu. Prawie kupiła też dodatkową broń do torebki, ale uznała, że to głupie, skoro i tak nie wychodzi z domu. Miły sprzedawca załatwił z nią wszystko przez telefon, a za dodatkową opłatą zgodził się nawet dostarczyć jej broń do mieszkania.

Z zimną, ciężką trzydziestkąósemką w dłoni po cichu opuściła stopy na podłogę i ruszyła przez sypialnię, ignorując artretyczny ból płonący w nogach.

Choć mieszkała sama, zawsze zamykała sypialnię na klucz. Na haczyku na drzwiach wisiał żółty szlafrok. Odsunęła go na bok i przycisnęła ucho do drewna. Było to porządne, lite drewno, nie żadne badziewie z dykty czy sklejki, jakie się dzisiaj sprzedaje, ale gruba dębowa płyta, w mieszkaniu od samego początku.

Nic nie było słycać.

Elfrieda zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście coś wcześniej usłyszała. Może to po prostu osiadanie starego budynku, rozszerzanie się i kurczenie konstrukcji, jak zwykle się działo, kiedy wiosna rozluźniała zimny uścisk zimy. Może te odgłosy jej się przyśniły, wyobraziła je sobie, może...

Znowu skrzypnięcie.

Deska pod jej lewą stopą poruszyła się nieznacznie, kiedy jakiś ciężar spoczął na niej po przeciwnej stronie drzwi.

Ktoś tam stał.

Elfrieda wzięła głęboki oddech i próbowała uspokoić rękę trzymającą rewolwer, bo strasznie się trzęsła.

– Mam broń!

Zamierzała krzyknąć, ale z jej ust wydobył się słaby głos, stłumiony jeszcze przez grube drzwi.

Z drugiej strony dobiegł męski głos – miękki, czysty. Brzmiał raczej jak muzyka wygrywana na idealnie nastrojonych dzwonekach niż słowo mówione.

– Wiem, że masz broń. Musisz ją odłożyć i otworzyć drzwi.

Elfrieda położyła rewolwer na komodzie i przekręciła zamek w gałce.

– Teraz otwórz drzwi i się cofnij – powiedział głos.

Tak zrobiła, bez chwili wahania.

Za progiem stał jakiś mężczyzna. Miał ciemne włosy, jeszcze ciemniejsze oczy oraz uśmiech, który z jakiegoś powodu działał na nią uspokajająco, mimo że był najmroczniejszym elementem jego twarzy. Za mężczyzną stały dwie kobiety w długich białych płaszczach. Przyglądały się, ale nic nie mówiły.

Wypełniając kolejne polecenia, Elfrieda zastanawiała się, dlaczego właściwie to robi. Wcale tego nie chciała. Pragnęła wycelować w sam środek klatki piersiowej tego człowieka i nacisnąć spust, naciskać go raz za razem, aż opróżniłaby cały bębenek. Nie mogła jednak tego zrobić. Broń znajdowała się poza jej zasięgiem, a kiedy próbowała zmusić nogi, żeby do niej podeszły, nie posłuchały jej. Cofały się, zgodnie z rozkazem, aż dotarły do łóżka.

– Usiądź, Elfriedo.

Usiadła.

Troje intruzów wkroczyło do jej sypialni, jej prywatnej przestrzeni, bez zaproszenia.

– Jesteście prawdziwi? – spytała.

Mężczyzna przekrzywił głowę i znowu się uśmiechnął.

– Nie musisz już dla nas pilnować tego chłopaka. Pamiętasz, jak wiele lat temu poprosiłem cię, żebyś miała na niego oko? Sam byłem wtedy dzieckiem. Kazali mi do ciebie zadzwonić, to takie bezosobowe.

– Tak. Pamiętam.

– Znałaś moich rodziców.

– Tak.

– Jak się nazywali?

– Keith i Jaquelyn Pickford.

– A jak ja się nazywam?

– David. David Pickford. Jesteś pięknym człowiekiem, Davidzie Pickfordzie.

– Dziękuję – odparł z uśmiechem.

– Nie ma za co. – Elfrieda Leech patrzyła gdzieś za niego niewidzącym wzrokiem.

Nie musisz już dla nas pilnować tego chłopaka. Nie „dla nich”. Ci z Charter powiedzieli jej, że młody Pickford nigdy nie opuści swojego pokoju. Że nigdy nie będzie mógł wyjść. Przetrzytywali go wbrew jego woli. Powinien ich nienawidzić, żywić do nich odrazę. Powinni być dla niego „nimi”, a nie „nami”.

„Jak to możliwe, że on stoi w mojej sypialni?”

Elfrieda Leech zerknęła na kolbę rewolweru leżącego na komodzie. Chciała odepchnąć tych ludzi, chwycić broń i wszystkich pozabijać. Nie mogła się jednak ruszyć. Straciła władzę nad ciałem.

– Dlaczego nie jesteś ubrany na biało?

W odróżnieniu od pozostałej dwójki David Pickford miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, ciemnoczerwoną koszulkę i dżinsy. Nie zauważyła, żeby był uzbrojony. Żadnej kabury przy pasku czy na ramieniu.

– Nie lubię białego – odparł. – To nie jest kolor, to brak koloru. Puste płótno czekające na plamę.

– Wszystkie potwory ubierają się na biało. – Słowa przychodziły jej z trudem. Opierały się jej, tak jak ruch, ale zdołała je wydusić.

– Nie wszystkie potwory.

– Twoi rodzice... to, co...

– Ćśś. – Przyklęknął przed nią i złapał ją za rękę. – Nie jesteśmy tu po to, żeby rozmawiać o moich rodzicach.

Próbowała odpowiedzieć, ale wargi nie chciały się ruszać.

– Przepraszam, możesz się odezwać – powiedział David.

To dziwne zaklęcie, jego zaklęcie, przysło.

– Co tu robisz? – zdołała wydusić.

– Obawiam się, że w Charter stracili kontrolę nad sytuacją. Postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce, wprowadzić korektę, posprzątać ten bałagan.

– Aha.

– Stanowisz część tego bałaganu – dodał.

– Wiem.

Ścisnął jej dłoń tak mocno, że aż zbieleły jej palce.

– Kiedy wyjdziemy, odczekasz trzy godziny. Potem weźmiesz broń, włożysz ją sobie do ust, głęboko, i pociągniesz za spust.

– Dobrze.

– Co „dobrze”? Powtórz.

– Kiedy wyjdziecie, odczekam trzy godziny. Potem wezmę broń, włożę ją sobie do ust, głęboko, i pociągnę za spust.

– Boisz się śmierci, Elfriedo?

– Nie.

Puścił jej rękę, która opadła bezwładnie.

– Żałujesz czegoś?

– Nie miałam dzieci – odparła bez wahania.

– Może powinnaś.

– Nie mogłabym tego przekazać. Ale chciałam mieć dziecko.

Zastanowił się chwilę.

– Powiedziano mi, że nie wystąpiła u ciebie żadna reakcja na zastrzyk. Nie miałaś czego przekazać.

– Tak.

– Co „tak”?

– Tak, nie wystąpiła żadna reakcja.

– Czyli nie masz czego przekazać – powtórzył.

Elfrieda nie odpowiedziała. Kątem oka widziała rewolwer. Kazała sobie wstać, rzucić się do niego, porwać broń z komody. Ciało jednak ją zignorowało. Zaczęła się trząść.

– Twoje kończyny są ciężkie jak ołów. Jeśli spróbujesz zrobić cokolwiek innego niż to, o co cię poprosiłem, poczujesz się tak, jakbyś płonęła. Rozumiesz?

– Tak. – Elfrieda odwróciła wzrok od rewolweru, spojrzała na niego, przestała walczyć, drzenie ustąpiło.

– Proszę, żebyś mi powiedziała, gdzie znajdę pozostałych.

– Nie ma już żadnych „pozostałych”.

– Nie kłam, Elfriedo. To nie przystoi takiej kobiecie jak ty. Poza tym kłamstwo może okazać się bardzo bolesne. Kłamanie może spowodować potworne uczucie, na przykład... – David namyślił się dłuższą chwilę. – Kłamstwu towarzyszy takie

uczucie, jakby połknęło się tysiąc jadowitych mrówek, a ich żądła wbijały się w gardło od środka. Czyż nie byłoby to potworne?

Elfrieda Leech skinęła głową.

– Powiedz mi, gdzie znajdę pozostałych.

– Nie ma żadnych... – Zanim skończyła zdanie, jej twarz wykrzywiła się z bólu. Skóra napięła się i zbladła, oczy prawie wyszły jej z orbit. Wydała z siebie okropny, ogłuszający krzyk.

David sprawiał wrażenie, jakby dobrze się bawił. Dał jej chwilę, zaczekał, aż krzyki ucichną.

– Wiesz, mówienie prawdy ma zupełnie odwrotny skutek. Prawda sprawia, że ten straszny ból po prostu spływa, a na jego miejsce pojawia się uczucie zupełnie niewiarygodnej euforii. Tak cudowne, że nie da się go opisać. Przypuszczam, że chciałabyś to poczuć? Zamiast tych potwornych mrówek?

Elfrieda szybko pokiwała głową, z oczu płynęły jej łzy.

– Powiedz mi, Elfriedo, gdzie znajdę pozostałych?

Tym razem mu powiedziała. Powiedziała wszystko. Wiedziała jednak tylko, gdzie są Dewey Hobson i tamta kobieta, Brotherton, ale to musiało wystarczyć.

Kiedy skończyła, a David był już pewny, że niczego więcej z niej nie wydobędzie, znowu się uśmiechnął.

– Świetnie. Bardzo dobrze. W takim razie chyba będziemy się zbierać. – Obrócił się, ruszył do drzwi, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę. Stojąc do niej tyłem, zadał jeszcze jedno, ostatnie pytanie. – Przypomnij mi, co stanie się po naszym wyjściu?

Elfrieda Leech nabrała powietrza.

– Kiedy wyjdziecie, odczekam trzy godziny. Potem wezmę broń, włożę ją sobie do ust, głęboko, i pociągnę za spust.

– Ile jest sekund w trzech godzinach?

– Dziesięć tysięcy osiemset.

– Miło było cię znać, Elfriedo.

– Ciebie również, Davidzie.

Trójka intruzów wyszła, nie zamykając za sobą sypialni. Zasuwa w drzwiach wejściowych wróciła na swoje miejsce. Elfrieda nie miała pojęcia, skąd wzięli klucz.

Siedziała na brzegu łóżka w całkowitym, absolutnym bezruchu. Zaczęła w myślach odliczać sekundy: 10 800, 10 799, 10 798... Radiobudzik na szafce nocnej akompaniował jej plastikowymi stuknięciami, wyznaczającymi upływ kolejnych minut.

### 3

Łopata uderzyła w drewniane wieko trumny mojego ojca chwilę po trzeciej nad ranem, a do trzeciej piętnaście zdążyłem już odsłonić całą powierzchnię. Choć w chwili pogrzebu miałem zaledwie cztery lata, pamiętałem tę trumnę. Czarne drewno wypolerowane na wysoki połysk, tak że kiedy siedziałem obok cioci Jo w pierwszym rzędzie, widziałem swoje zniekształcone odbicie. Ktoś położył na wieku różę i byłem pewny, że ciocia Jo ją zrzuci, bo na mamy trumnie nie leżały kwiaty. Ale nie zrobiła tego.

Połysk już dawno zniknął, przez czarną farbę przezierało gołe drewno, metalowe zawiasy i zamknięcie przeżarła rdza. Drewno zaczęło butwieć, tak że wystarczył lekki nacisk łopaty, żeby wyleciały śruby mocujące zamek.

„Kto położył tam ten kwiatek, ciociu?”

„Jakiś bydlak”.

Wiedziałem, że jeśli się teraz zatrzymam, nie dam rady dokończyć tego, co zacząłem, więc nie pozwoliłem sobie nawet na chwilę przerwy. Nie pozwalałem sobie też myśleć. Po prostu zeskoczyłem do niewielkiej dziury, którą wykopałem po lewej stronie trumny, i wcisnąłem brzeg łyżki łopaty pod krawędź wieka. Deszcz już przestał padać, ale woda zebrała się w kałużach, miałem przemoczone buty, a kiedy nacisnąłem na trzonek łopaty, wykorzystując ciężar własnego ciała do nacisku na dźwignię, woda zachlupotała mi między palcami stóp i zacząłem się zastanawiać, jak by to było zapaść się w to błoto, zniknąć w otchłani ziemi.

Wieko odskoczyło z głośnym pstryknięciem. Otwarcie trumny towarzyszył silny podmuch, na który zareagowałem głębokim wdechem i mocnym wypuszczeniem powietrza z płuc.

Wyrzuciłem łopatę z grobu i zacisnąłem palce na brzegu wieka trumny mojego ojca, z trudem podniosłem pokrywę zastałą od ponad dekady.

Nie jestem pewny, w której chwili zamknęły mi się oczy, ale nie chciały się otworzyć, aż w końcu musiałem je do tego zmusić. Wreszcie zdobyłem się na odwagę, żeby spojrzeć w dół, do wnętrza trumny.

Mojego ojca tam nie było.

Chyba wcale nie spodziewałem się zobaczyć go w tej trumnie. Na którymś etapie kopania zacząłem sobie powtarzać, że go tam nie ma, i dzięki tej mantrze

łatwiej było mi nabierać kolejne łopaty ziemi, kopać, nie poddawać się. Jednak na widok pustej trumny, kiedy zyskałem już pewność, zalałem się łzami i ugięły się pode mną nogi, upadłem w wodę i błoto. Zaciskałem kurczowo dłonie na brzegu pustej trumny, cały się trząsałem, a przez głowę przelatywało mi tak wiele myśli, że nie mogłem znaleźć w nich żadnego sensu.

Ukryłem twarz w uświnionych dłoniach i płakałem, pozwalając sobie przeżyć wszystkie emocje ostatnich godzin.

Kiedy w końcu zdobyłem się na to, żeby znów zajrzeć do środka, dotarło do mnie, że ojca nigdy w tej trumnie nie było. W przeciwieństwie do zniszczonego drewna na wierzchu satynowa wyściółka wyglądała jak nowa, lekko tylko pożółkła przez lata, zabezpieczona szczelnym zamknięciem. W miejscu na głowę leżała poduszka, ale nie było ani jednej zmarszczki.

Na środku trumny spoczywało tekturowe pudełko.

Pudełko, które mój ojciec dał cioci Jo.

W środku znalazłem dwie książki. Album studentów Penn State, rocznik 1978, i egzemplarz *Wielkich nadziei* w miękkiej oprawie.

Nic więcej.

Zupełnie nic.

Chciało mi się wyć. Gdyby nie obawa, że ktoś mnie usłyszy, na pewno zacząłbym krzyczeć.

Sam nie wiem, co spodziewałem się znaleźć, ale na pewno nie to.

Towarzysząca mi wcześniej mieszanka niepokoju, strachu i niepewności szybko zmieniła się w gniew i frustrację.

Musiało być coś jeszcze. Co, do cholery, miałem zrobić ze starym rocznikiem uniwersyteckim i kolejnym egzemplarzem tej pieprzonej książki? Po co ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu, żeby ukryć coś tak zwyczajnego?

Spomiędzy stron *Wielkich nadziei* wypadła jakaś karteczka.

*Twoja matka spoczywa w pokoju, Jack. Nie zakłócaj jej snu, proszę.*

Nie znałem tego charakteru pisma. Na pewno nie należał do cioci Jo. To pismo mojego ojca?

Zasypanie grobu poszło mi znacznie szybciej niż wcześniejsze odkopywanie. Uklepałem ziemię najlepiej, jak umiałem, i posypałem po wierzchu zwiędłymi liśćmi, które leżały tu jeszcze od jesieni. Gdy wreszcie uznałem, że ślady moich poczynań mógłby zauważyć tylko ktoś, kto specjalnie by się za nimi rozglądał,

pozbiierałem album, książkę i łopatę i pobiegłem przez las do samochodu, rozglądając się bacznie po całym cmentarzu, czy na pewno nikt mnie nie śledzi.

Już w aucie zapaliłem lampkę pod sufitem i przekartkowałem egzemplarz *Wielkich nadziei*. Książka wyglądała na nową, nigdy nieczytaną, niektórych kartek jeszcze nawet nie rozdzielono. Spodziewałem się znaleźć w środku jakąś wiadomość, ale nic tam nie było. Na pierwszej stronie wydrukowano szczegółową mapę Anglii – Exeter, Londyn, Manchester, Whidbey, Newcastle upon Tyne i dziesiątki innych miast. W samej powieści na oko niczego nie brakowało, zaczynała się od tych samych zdań, które od dzieciństwa miałem na stałe wyryte w pamięci:

*Nazwisko mojego ojca brzmiało Pirrip, a mnie dano imię Filip. Mój dziecinnie język nie potrafił oddać wyraźnie tych dwu dźwięków i stapiał je w krótkie miano Pip. Nazwałem więc sam siebie Pipem i wszyscy zaczęli tak mnie nazywać.*

Miałem potwornie brudne ręce (a także ubranie i każdy skrawek skóry, skoro już o tym mowa), więc każda strona, której dotykałem, pokrywała się smugami. Próbowałem wytrzeć dłonie o džinsy, ale to jeszcze pogorszyło sytuację. Schyliłem się i wytarłem ręce o dywanik pod skrzynią biegów.

Odłożyłem książkę na bok i podniosłem do światła album rocznikowy, którego strony okazały się z kolei mocno sfatygowane, niektóre pozaginano. Skrzydełko okładki było pokryte drobnymi wiadomościami i gryzmołami – „Może w przyszłym roku nauczysz się pić piwo! – Al Waters”, „Hej, Eddie, obetnij te włosy, zasańcu! – Gene Glaspie”, „Jeszcze dwa lata do końca, no to powodzenia! – Enid Sather”... – dziesiątki podpisów, ale żadne nazwisko nie brzmiało znajomo.

Przewróciłem na pierwszą stronę z zagiętym rogiem – nagłówek głosił „Rocznik 1979”<sup>3</sup>. Na sąsiedniej stronie zakreślono w kółko zdjęcia trojga studentów:

Perla Beyham  
Cammie Brotherton  
Jaquelyn Breece

Na następnej stronie dwóch:



Jeffery Dalton  
Garret Dotts

Na kolejnych trzech stronach nie zaznaczono nikogo. Potem trafiłem na pierwszą znajomą twarz – Kaitlyn Gargery, moją matkę, młodą i piękną, jeszcze pod panięńskim nazwiskiem. Teraz wolniej przewracałem następne kartki. Na wszystkich stronach z oślimi uszami znajdowały się zakreślane fotografie:

Penelope Maudlin  
Richard Nettleton  
Keith Pickford  
Emma Tackett

Na trzeciej od końca zaznaczonej stronie znalazłem mojego ojca – Edwarda Thatcha. Na ostatniej znajdował się znowu ktoś, kogo nie znałem, niejaki Lester Woodford. Miał okulary z grubymi szklami i niesforne loki.

Wróciłem do Richarda Nettletona. „Ojciec Stelli?” Potem do Emmy Tackett – czy to może być matka Stelli, tylko jeszcze pod panięńskim nazwiskiem, tak jak moja? Były jeszcze za młode na małżeństwo.

Ostatnia zaznaczona kartka nie zawierała zdjęć studentów, znajdowała się bliżej końca albumu, tam gdzie umieszczono personel uczelni. Od razu rozpoznałem tę twarz, choć znacznie młodszą, podpisaną znajomym imieniem i nazwiskiem: Elfrieda Leech, dział wsparcia studentów.

Rzuciłem książkę na fotel pasażera, uruchomiłem silnik i pogałem Nobles Lane. Zza horyzontu zaczynało wschodzić słońce.

Na początku zapukałem cicho. Dopiero minęła szósta, większość mieszkańców jeszcze spała. Pani Leech nie otworzyła ani za pierwszym, ani za drugim razem, więc za trzecim załomotałem w drzwi pięścią.

– Proszę pani! Proszę mi otworzyć!

Drzwi pozostawały zamknięte, ale otworzyły się te z numerem 309, na końcu korytarza. Cecile Dreher wystawiła głowę, z włosami nawiniętymi na wałki, gotowa na mnie nakrzyczeć, ale zmieniła zdanie, kiedy zobaczyła, że jestem od stóp do głów pokryty ziemią i brudem. Posłała mi tylko gniewne stęknięcie i schowała się z powrotem do mieszkania.

– Pani Leech! – Znowu zapukałem, tym razem grzbietem albumu. – Proszę pani! Szlag.

Poszedłem do swojego mieszkania i przejrzałem klucze wiszące przy drzwiach. Nie były podpisane, ale wiedziałem, że ten pani Leech był srebrny,

z napisem Curtis z boku. Dała ten klucz cioci Jo całe wieki temu. Pani Leech z kolei miała klucz do nas, ale chyba nigdy go nie użyła.

Wróciłem na drugą stronę korytarza, wsunąłem klucz do zamka i otworzyłem zasuwę, po czym wszedłem do środka, nie czekając na zaproszenie.

– Proszę pani? To ja, Jack Thatch. Wchodzę!

Ostatni raz byłem w mieszkaniu pani Leech z Gerdy, prawie rok temu. Od tego czasu sterty gazet nadal rosły, zostawiając coraz mniej pola manewru.

W sypialni paliło się światło.

– Proszę pani? Tu Jack z naprzeciwka. Wiem, że dzisiaj nie wypada dzień zakupów, ale muszę z panią porozmawiać. Nie podchodziła pani do drzwi, więc sam sobie otworzyłem. Śpi pani?

Przeciskając się przez labirynt śmieci, zacząłem się zastanawiać, czy nie stało się coś złego. Leech rzadko miewała gości. Jeśli dostałaby zawału albo udaru, albo choćby poślizgnęła się i upadła, mogły minąć długie dni, a może nawet tygodnie, zanim ktoś by ją znalazł. Z tego, co było mi wiadomo, jedyny kontakt ze światem miała przy okazji cotygodniowych dostaw zakupów.

Zastałem ją jednak żywą. Siedziała na brzegu łóżka.

Jej twarz była przerażająco blada, zmarszczki rysowały się w niej tak głęboko, jakby ktoś wyrył je dłutem. Patrzyła, jak wchodzę do pokoju, prawie w ogóle nie mrugając. W lewej dłoni ścisnęła narzutę. Ugniatała garść materiału jak surowe ciasto. Prawa dłoń była schowana pod pościelą. Miała na sobie koszulę nocną, podobną do tych noszonych przez ciocię Jo, z jedwabiu i koronki, jak żywcem przeniesioną z lat siedemdziesiątych. Palce bosych stóp wciskała mocno w drewnianą podłogę.

– Proszę pani, wszystko w porządku?

– W porządku, tak – odparła i znowu zamilkła. Nadal jednak poruszała ustami w jakimś bezgłośnym monologu.

„Może faktycznie przeszła udar?”

W tym wieku to całkiem możliwe. Ile ona miała lat? Siedemdziesiąt pięć? Osiemdziesiąt? Nie miałem pojęcia. Poczułem ukłucie wyrzutów sumienia. Powinienem to wiedzieć. Ta kobieta praktycznie mnie wychowała, razem z Jo, a ja tak mało o niej wiedziałem.

– Mam wezwać lekarza?

Nic nie powiedziała, gapiła się przed siebie i drżały jej wargi.

Pstryknąłem jej przed twarzą. Na podłogę poleciały kawałki ziemi.

– Poznaje mnie pani? Wie pani, kim jestem?

– Wiem, co się wydarzy – wyśpiewała raczej niż powiedziała, wysokim, dziewczęcym głosem. Jej usta na chwilę rozciągnęły się w uśmiechu, ale zaraz znów wróciły do neutralnego kształtu. – Jesteś Jack Thatch, syn Edwarda Thatcha

i Kaitlyn Gargery, chłopak z naprzeciwka, dostarczyciel zakupów. Złodziej książek. Oto kim jesteś.

„Gargery”. Nazwisko panięskie matki.

Podniosłem album i otworzyłem na stronie z jej zdjęciem.

– Wie pani, dlaczego ci ludzie są pozaznaczani? Proszę spojrzeć, to moja matka, mój ojciec, ojciec Stelli Richard i jej matka Emma...

– Ach, Stella – powiedziała cicho. – Ładniutka dziewczyna. – Utkwiła wzrok w jakimś odległym punkcie. Potem, zupełnie bez związku, dodała: – Dwadzieścia siedem.

– Co „dwadzieścia siedem”? – Przekartkowałem album, podnosząc go jej do oczu, kiedy trafiałem na zakreślone zdjęcie. – Zaznaczono trzynaście osób. Kim oni są? Znała pani ich wszystkich, prawda? Dlaczego są pozaznaczani?

Jej oczy znowu straciły wszelki wyraz.

Pokazałem jej wpisy na skrzydełku. „Hej, Eddie, obetnij te włosy, zasrańcu! – Gene Glaspie”. Zdjęcie Gene’a Glaspiego nie było zaznaczone.

– To rocznik mojego ojca. Eddiego. Nie ma go w grobie. Gdzie on jest? Wie pani? Co się z nim stało? Dlaczego zostawił mi ten album? Dlaczego pozakreślał te zdjęcia? Kim są ci ludzie? – Przewróciłem kartki na koniec, podetknąłem jej pod nos jej własne zdjęcie. – Wiem, że pani wie! – Te ostatnie słowa wykrzyczałem, nie byłem już w stanie zapanować nad adrenaliną krążącą w moich żyłach, książka trzęsała mi się w rękach.

– Trzy – wyszeptała.

– Co „trzy”?!

Broń błyskawicznie powędrowała do góry, smuga czarnego metalu w prawej ręce, spod pościeli do ust. Wcisnęła lufę tak głęboko, jakby zamierzała ją połknąć. Kciukiem odciągnęła kurek i...

Zobaczyłem, jak jej potylicy eksploduje na łóżko, ułamek sekundy przedtem, nim usłyszałem huk wystrzału. W twarz uderzył mnie podmuch. Zdawało się, jakby z pokoju wyparowało całe powietrze, a ogłuszający strzał zastąpiło jeszcze głośniejsze dzwonięcie w uszach.

Pani Leech siedziała tak jeszcze chwilę, oczy zastygły jej w wyrazie zdziwienia. Potem opadła do przodu i zsunęła się z łóżka na podłogę.

Tyłem wyszedłem z jej sypialni, z mieszkania, wróciłem do domu i jak najszybciej zamknąłem za sobą drzwi. Próbowałem złapać oddech, musiałem złapać oddech, ale ta noc najwyraźniej miała dla mnie inne plany.

Na moim plecaku leżała butelka Jamesona i liścik:

*Witaj na imprezie, Jack! Wzniesz ze mną toast.*

Złapałem whisky i kartkę i ledwie zdążyłem dobiec do samochodu, zanim zaczęło mną telepać. Zerwałem zakrętkę i pociągnąłem zdrowo z gwinta, czując przyjemne ciepło, które koilo wszystko, co kotłowało się pod moją skórą – adrenalinę, strach, niepokój, zagubienie, ból, smutek, nienawiść, złość. Nie obchodziło mnie, skąd się wzięła ta butelka. Nie obchodziło mnie, co mogła sobą reprezentować. Nie przejmowałem się, że zawartość mogła zostać zatruta jakąś żrącą substancją (chyba nawet coś we mnie na to liczyło). Potrzebowałem whisky, żeby pozbyć się obrazu pani Leech, który wyrzył mi się po wewnętrznej stronie powiek. Ale utrzymam to picie w ryzach, psiakrew, zapanuję nad nim. Mogę to zrobić. Zrobię to. Żeby to sobie udowodnić, wypilem tylko tyle, żeby cały świat zasnuł się miękkim welonem. Potem zakręciłem butelkę i rzuciłem ją na podłogę przed fotelem pasażera.

Dopiero na autostradzie dotarło do mnie, że w ogóle odpaliłem silnik, a także że jadę bardzo szybko, prawie trzydzieści kilometrów na godzinę powyżej limitu. Zdjąłem nogę z gazu, przestałem zmieniać pasy slalomem i wtopiłem się w poranny ruch na drodze. Ci wszyscy ludzie, ci trutnie, którzy jadą do pracy, malują się na światłach, jedzą kanapki i śmieją się z głupich żartów prezenterów radiowych. Żaden z nich nie ma o niczym pojęcia. Żaden.

Kiedy zauważyłem swoje odbicie w lusterku wstecznym, nie rozpoznałem osoby, która na mnie patrzyła. Włosy miałem brudne i matowe, oczy przekrwione. Skórę pokrywały mi kurz, błoto i małe czerwone kropelki. Staralem się o nich nie myśleć. Skręciłem w zjazd numer 63, gdzieś pod Wexford, i zatrzymałem się na tyłach stacji benzynowej Phillips 66. Drzwi do łazienki były zamknięte na zamek, ale ktoś podważył łomem metalową framugę, czyniąc zasuwę bezużyteczną. Po wewnętrznej stronie drzwi zwisała pętla ze sznurka, ktoś wkręcił krzywy haczyk w ścianę, tworząc prowizoryczny zamek. Zatrzasnąłem drzwi, zaczepiłem sznurek o haczyk i zrzuciłem z siebie wszystkie ubrania. Nastawiłem się, że w kranie będzie co najwyżej brązowa ciecz, ale po odkręceniu kurka popłynęła czysta, lodowata woda. Urządziłem sobie coś, co ciocia Jo nazywała „kąpielą dla biedaków”. Pojemnik na ręczniki papierowe był pusty, więc wyjąłem z plecaka jedną z koszulek, zmoczyłem ją i tak zmyłem brud z twarzy i włosów. Potem przebrałem się w czyste ciuchy, wcisnąłem brudną koszulkę, dzinsy, bieliznę i skarpety do kosza, a następnie wyjąłem cały worek ze śmieciami i upchnąłem go do kartonu po mrożonych burrito w śmietniku na parkingu.

Po powrocie do auta wcisnąłem butelkę jamesona pod fotel pasażera i obejrzałem się w lusterku – moje odbicie wyglądało teraz nieco lepiej.

Wróciłem na autostradę, pilnując, żeby znowu nie przekroczyć dopuszczalnej prędkości.

## 4

Kiedy David Pickford wsiadał do białego chevroleta suburba w towarzystwie dwóch kobiet, które były z nim w mieszkaniu Leech, czuł się jak nowy człowiek, pełen energii. Odgłos wystrzału, który dobiegł jego uszu trzy godziny później, namalował na jego twarzy uśmiech, który miał tam pozostać przez cały dzień. Nawet z odległości dzielących ich sześciu samochodów czuł, jak Thatch się rozsypuje.

– Nie szczerz się tak. To ci nie przystoi – skomentowała siedząca obok pani Oliver, która podtrzymywała niesprawną rękę.

– Powinnaś sobie amputować ten kikut, Latrese.

– Nie zwracaj się tak do mnie. „Oliver” albo „pani Oliver”, ale nie masz prawa mówić mi po imieniu.

Powinien ją zabić.

Chciał tego, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Uważał jednak również, że każda śmierć powinna mieć jakiś sens albo cel, a on jeszcze nie wiedział, co jej śmierć miałyby znaczyć albo jaki spełniałyby cel. Dlatego zostawił ją przy życiu. Irytującego szczeniaka ujadającego przy nodze.

Wkrótce przyjdzie na nią czas.

Kiedy zabije już wszystkich.

Kiedy będzie miał Stellę tylko dla siebie.

Kiedy porozmawia już z każdym pracownikiem Charter i firma będzie działała sprawnie jak dobrze naoliwiona maszyna.

Wtedy ona umrze. A on dopilnuje, żeby jej śmierć była spektakularna.

– Swędzi – powiedziała Oliver. – Cały czas. Głęboko zakorzenione, uporczywe swędzenie w kościach, pod skórą. Choćbym nie wiem jak mocno drapała, nie mogę go dosięgnąć.

Żałował, że nie widział, jak to się stało – Stella wręczyła kobiecie pożegnalny prezent, zanim zniknęła Bóg jeden wie gdzie. Jeden krótki dotyk, to pewnie wystarczyło. Niczym rak krążący jej w żyłach, skupiony w czubku palca i przechodzący na rękę starszej kobiety. Widywał Stellę w akcji i zawsze fascynował go jej dar. Kiedy była młodsza, słabo nad nim panowała, ale z czasem

wyraźnie się to poprawiło. Mogłaby zabić Oliver, ale tego nie zrobiła. Chciała tylko sprawić jej cierpienie.

To było piękne.

– Trzeba po prostu oderznąć ten kawał martwego mięsa. Cuchnie jak diabli.

Oliver nie chciała tego jednak zrobić. Zamierzała trzymać się kurczowo tego uschniętego ramienia, dopóki samo nie odpadnie. Uparta baba. Dla niego świadczyło to o słabości. Gdyby to z jego ręką Stella coś takiego zrobiła, sam by ją sobie uciął, na jej oczach. Do tego jednak nigdy nie dojdzie. On jest ostrożny.

– Kiedy ją znajdziemy, upomnę się o swoje – powiedziała Oliver.

– Kiedy ja ją znajdę, może ci na to pozwolę.

## 5

Dotarłem na Penn State chwilę po jedenastej, ale nie poszedłem prosto do mieszkania przy Mifflin. Zaparkowałem na Bigler Road, szybkim krokiem przemierzyłem dziedziniec i wspiałem się tylnymi schodami na pierwsze piętro Geary Hall.

Stałem pod jej drzwiami prawie minutę, dziewczyny mijające mnie na korytarzu zerkały na mnie z ciekawością i szeptały między sobą. Niektóre były ubrane, inne miały na sobie tylko rękawiczki i klapki. Chłopaki zwykle pojawiały się na tym piętrze znacznie później.

Zapukałem. Kostki prawej dłoni miałem podrapane i posiniaczone.

Drzwi uchyliły się na parę centymetrów i Kaylie wyjrzała przez szparę, jedno oko miała zamknięte, włosy w nieładzie. Pewnie ją obudziłem.

– Musisz mnie zahipnotyzować – wypaliłem, wciskając poharatane ręce do kieszeni.

Kaylie zamlaskała i ziewnęła.

– Kim ty jesteś?

– Jack. Jack Thatch. Nie pamiętasz?

Otworzyła drugie oko i podrapała się w policzek.

– Aaa, no tak, chłopak z pepsi z imprezy roztopowej.

– Możesz to zrobić?

Znowu ziewnęła.

– A mógłbyś przyjść później? Sto lat nie spałam. Całą noc wkuwałam teorie Junga o ego i osobowościach, więc w tej chwili marzę tylko o tym, żeby wrócić do łóżka i badać nieświadomość.

– Muszę to zrobić teraz.

– Dosłownie teraz? W tej chwili?

– Proszę.

Uchyliła drzwi trochę szerzej i znowu ziewnęła. Miała na sobie koszulkę Guns N' Roses i różowe majtki.

– Potrzebuję prowiantu i trzech minut, żeby w miarę doprowadzić się do ładu. Na końcu korytarza są automaty z żarciem.

– Co chcesz...



Zanim skończyłem zdanie, drzwi się zatrzasnęły.

Poszedłem do automatów i kupiłem dwa kitkаты, snickersa oraz dwie kawy. Niosąc to wszystko ostrożnie, wróciłem do jej pokoju. Drzwi były uchylone. Popchnąłem je czubkiem stopy i wszedłem do środka. Kaylie siedziała na brzegu łóżka, opierając głowę na rękach. Uczesała się i włożyła szorty do biegania.

– Wtedy na tej imprezie... – zaczęła, nie podnosząc wzroku. – Byłam strasznie pijana, serio, zupełnie nawalona. Normalnie nie zapraszam przypadkowych facetów do swojego pokoju. Nie jestem taka. Nie chcę, żebyś tak o mnie myślał.

– Nie myślałem. To znaczy nie myślę. Nic się nie stało, serio.

Wyciągnęła rękę po kubek z kawą.

– Podasz mi cukier? Za tobą.

Pokój był nieduży, kwadrat o boku długości trzech metrów. Pod ścianami stały dwa pojedyncze łóżka, mała komoda przy drzwiach, do tego składany stolik i prowizoryczna kuchnia pod oknem zasłoniętym ręcznikiem.

Postawiłem wszystko na stole obok mikrofalówki i miseczki zawierającej z tysiąc paczuszek keczupu, musztardy i majonezu z fast foodów. Podałem jej cukier, który stał w dużym pojemniku Tupperware. Kaylie wypła mniej więcej jedną trzecią kawy, dopełniła kubek cukrem, zamieszała palcem i pociągnęła łyk.

– Ta kawa z automatu jest jak woda dziegciowa, ale podejrzewam, że władze uczelni dorzucają dodatkową kofeinę. Wiedzą, czego mi trzeba. Już czuję, że zaczynają mi się zapalać lampki w fabryce.

W kącie pokoju leżała zwinięta w kłębek biała puchowa parka.

– Twoja? – spytałem, wskazując głową na kurtkę.

– Współlokatorki.

– A gdzie ona jest?

– Nie wiem. Ona akurat lubi przypadkowych facetów. To czemu mam cię zahipnotyzować?

Oczy miała już znacznie przytomniejsze i zaczęła mi się przyglądać.

– No i dlaczego śmierzisz jak kanalizacja? Wyglądasz, jakbyś się tu czołgał przez błoto. Tak nie zrobisz wrażenia na młodej damie.

Powinienem był się najpierw wykapać, ale nie miałem czasu. Powiedziałem pierwsze, co mi przyszło do głowy.

– Bractwo, fala, kocenie. Nie wolno mi nic powiedzieć.

– Które bractwo?

– A ma to jakieś znaczenie?

– W sumie nie. Wszystkie są takie same. To dla mnie?

Podałem jej kitkata, a sam zjadłem drugiego, pierwszy posiłek od wczoraj. Snickersem się podzieliliśmy.

– Nadal nie wiem, dlaczego mam cię zahipnotyzować.

Przez pół drogi z Pittsburgha zastanawiałem się, co jej powiem. Nie chciałem wciągać w tę sprawę nikogo innego. Im mniej wiedziała, tym lepiej. Powiedziałem jej, że moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałem cztery lata. Że niektóre fragmenty tamtego dnia wracają do mnie w snach, ale nie wszystkie.

– I chciałbyś sobie przypomnieć resztę?

Przytaknąłem.

– Mogę coś na to poradzić. Poddawałeś się już kiedyś hipnozie?

– Nie.

Dopiła kawę i sięgnęła po mój kubek. Oddałem jej resztki, do których dosypała cukru chyba na dwa centymetry i dopiero potem wypila.

– Hipnoza nie wygląda tak jak w filmach. Jasne, można odliczać do tyłu, pstrykać palcami i tak dalej, ale większość to tylko na pokaz. Wiesz, skąd wzięło się określenie „zapadać w sen”?

Pokręciłem głową.

– Nasze organizmy regulują się przez całą dobę poprzez serię wyrzutów substancji chemicznych. Adrenalina nas pobudza, daje zastrzyk energii. Kiedy zachodzi słońce i kładziemy się do łóżka, jest na odwrót: nasze ciało uwalnia hormon zwany melatoniną. Ona sprawia, że czujemy senność, przygotowuje organizm do odpoczynku. Wchodząc w stan snu, kiedy jesteśmy na samej granicy, czasem doświadczamy skurczów mięśni, naukowo nazywa się to „zrywaniem przysennym”. Nasz prawie już nieświadomy umysł odczuwa to jak spadanie. Zwykle wydaje nam się, że nas to gwałtownie budzi, ale już po chwili odpływamy. Kiedy kogoś hipnotyzujemy, staramy się doprowadzić tę osobę do tego idealnego punktu albo tuż przed tym skurczem, albo tuż po nim. To wtedy najszerzej otwierają się drzwi między świadomością a nieświadomością. Kiedy próbujemy poprzez hipnozę odzyskać wspomnienia, zaglądamy właśnie przez te drzwi. Uważa się, że nasze umysły tak naprawdę niczego nie zapominają. Wspomnienia są po prostu różnie przechowywane, niektóre głębiej niż inne, czy to dlatego, że mózg uważa je za nieistotne, czy też są traumatyczne. W twoim przypadku, jeśli rzeczywiście byłeś na miejscu wypadku, a to, o czym śniesz, naprawdę się wydarzyło, powinniśmy dać radę uzyskać dostęp do tych wspomnień niezależnie od tego, dlaczego je wypierałeś.

Dopiła moją kawę i odstawiła kubek na szafkę przy łóżku.

– Oczywiście niewykluczone, że twój umysł wyparł te wspomnienia, ponieważ są niewiarygodnie straszne, a ich przywołanie może nawet okazać się bolesne. Jeśli to zrobimy, nie będzie odwrotu. Jesteś pewny?

Skinąłem głową.

– No dobrze. W takim razie weź to. – Kaylie podała mi małą białą pigułkę.

– Co to jest?

– Valium, nic takiego. Musisz się odprężyć. Jesteś teraz kłębkim nerwów, a hipnoza nie zadziała, jeśli się nie uspokoisz.

Przełknąłem kredową tabletkę na sucho.

Wyglądziła narzutę na łóżku i kazała mi się położyć, po czym zaczęła grzebać w szufladzie pod odtwarzaczem Kenwooda na komodzie. Wyjęła dyktafon na mikrokasety.

– Będę nagrywać. Nie masz nic przeciwko?

Zgodziłem się.

Podawała mi parę słuchawek nausznych Bose, podłączyła je do odtwarzacza i kazała mi je założyć. Musiały mieć wbudowaną funkcję tłumienia odgłosów tła, bo kiedy Kaylie się odezwała, jej głos dobiegał do mnie jakby z oddali, jakby krzyczała z dużej odległości. Nie słyszałem już głosów na korytarzu ani w sąsiednich pokojach. Kazała mi zamknąć oczy, co posłusznie zrobiłem.

Musiała zgasić światło, bo zamiast różu miałem teraz pod powiekami czern.

Włączyła odtwarzacz, rozległ się elektroniczny szum. Potem moje uszy wypełniło rytmiczne stukanie, nagranie metronomu.

Tik... tak.

Tik... tak.

Tik... tak.

– Dobrze, Jack, proszę, żebyś wsłuchał się w rytm tego dźwięku, jak w uspokajające bicie serca. Nabieraj powietrza ustami, wypuszczaj nosem, dostosuj rytm oddechu do dźwięku. Ten dźwięk jest najważniejszy, kojący dźwięk. Bicie serca. Wyobraź sobie bicie serca, ten dźwięk. Krew płynącą w żyłach, życie przepływające przez każdy fragment twojego ciała. Ciepłe i krzepiące. Mój głos prowadzi cię głębiej, szybciej i głębiej, szybciej i głębiej w ciepły, spokojny, niezmacony stan odprężenia. Jakbyś zatapiał się głęboko w wannę z ciepłą wodą.

Tik... tak.

Tik... tak.

– Zatapiasz się i wyłączasz. Zatapiasz się i wyłączasz. Zatapiasz się i całkowicie wyłączasz w tym otulającym cieple – mówiła, tak bardzo daleko. Powtarzała się. – Ciepło i spokojnie, jak w kocu, przytulnym i...

Kiedy otworzyłem oczy, Kaylie stała plecami do mnie. Rozmawiała przez telefon. Zdjąłem słuchawki.

– ...nie tak się umawialiśmy – mówiła.

– Kaylie? – Zaszło mi w gardle.

Obróciła się, miała szeroko otwarte oczy. Rozłączyła się.

Usiadłem powoli na łóżku, ręce i nogi miałem ciężkie, jakbym wybudzał się z głębokiego snu. Nie pamiętałem jednak, żebym spał.

Okno zakryte ręcznikiem było ciemne. Ale to przecież niemożliwe. Zaczęliśmy koło południa.

– Z kim rozmawiałaś?

Poczułem w ustach dziwny smak, ale po chwili zniknął.

„Mleko czekoladowe?”

Kaylie zmrużyła oczy. Sięgnęła po białą kurtkę narciarską i zarzuciła ją na ramiona.

– Muszę pójść do biblioteki, ty też powinieneś już iść.

– Mówiłaś, że to kurtka współlokatorki – zdziwiłem się.

– Musisz już iść. Nie pisałam się na to. – Założyła ręce na piersi w obronnym geście i brodą wskazała na drzwi. – Już.

Wstałem i złapałem za telefon.

– Do kogo dzwoniłaś?

Sięgnęła do klamki, otworzyła drzwi.

Wykręciłem \*69, żeby ponownie wybrać ostatni numer.

Jeden sygnał.

– Zatrzymaj go tam, już idę – odezwał się głos w słuchawce.

„Willy”.

– Idź stąd, Jack – powiedziała Kaylie, stojąc w otwartych drzwiach. – W tej chwili.

– Co powiedziałem?

– Idź sobie, bo będę krzyczeć.

Dyktafon leżał na łóżku, obok poduszki. Złapałem go. W środku nie było kasety.

– Gdzie taśma?

– Będę krzyczeć. Przysięgam.

– Ja pierdołę! Co mówiłem?! – zawołałem.

Wtedy rzeczywiście zaczęła krzyczeć. Kaylie wrzasnęła tak głośno, że przenikliwy dźwięk wypełnił cały pokój. Cisnąłem dyktafonem o ścianę i wypadłem na korytarz, gdzie kilkanaście par oczu w osłupiałym milczeniu odprowadziło mnie wzrokiem.

Po wyjściu z Geary Hall przeszedłem przez dziedziniec do automatów telefonicznych pod budynkiem Findlay Commons. Zadzwoiłem do mieszkania przy Mifflin, ale było zajęte. Rozłączyłem się i ponownie wybrałem numer, a potem jeszcze raz.

Kiedy linia w końcu się zwolniła, Willy odebrał po pierwszym sygnale.

– Halo?

– Dlaczego ona do ciebie dzwoniła, Willy?

Chwila ciszy.

– Gdzie byłeś, Jack?

– W Arby's.

– Nie było cię półtora dnia.

– Była długa kolejka po hamburgery.

– Piłeś po knajpach?

– Dlaczego Kaylie do ciebie dzwoniła, Willy?

– Martwiła się. Wszyscy się o ciebie martwimy, i tyle. Znamy się z samorządu. Wie, że razem mieszkamy. Powiedziała, że nagle się u niej zjawiałeś, wyglądałeś, jakbyś wstał z grobu, a śmierdziałeś jeszcze gorzej. Podobno cię uspokoiła, a potem zadzwoniła do mnie. Piłeś, Jack? Nie wolno ci opuszczać kampusu bez mojej wiedzy. Jeśli poszedłeś pić, to po prostu mi powiedz. Zorganizuję ci jakąś pomoc. Pomogę ci, tak jak wtedy w Pittsburghu.

Spod automatu widziałem wejście do Geary. Rozmawiając, wyglądałem Kaylie.

– Powiedz Matteowi, co chcesz. Nie potrzebuję niańki.

Willy zniżył głos.

– Policja cię szukała, Jack. Coś się stało tej babce, która mieszkała naprzeciwko ciebie w Brentwood. Powiedziałem im, że całą noc kułeś w bibliotece. I że ja też tam byłem przez większość czasu. Wracaj do domu. Opowiedz mi, co się dzieje.

Usłyszałem jakiś głos w tle. Cichy, ledwie dosłyszalny. Szept? Czyj to głos?

– W mieszkaniu jest ktoś oprócz ciebie, Will?

– Co? Skąd. Nikogo nie ma.

Tym razem byłem pewny, że coś usłyszałem. Jakiś głos oprócz jego. Kobięcy głos.

Po drugiej stronie dziedzińca, pod McKean Hall, stała dziewczyna w białym płaszczu. Chłopak o ciemnych włosach, w okularach i białej wiatrówce siedział z kolei na ławce pod laboratorium biomechaniki. Trzymał w ręku książkę, ale nie przewracał stron.

Rozłączyłem się.

Szybkim krokiem przeszedłem półtorej przecznicy dzielące mnie od budynku samorządu studenckiego i wypłaciłem wszystkie pieniądze z konta, prawie trzy tysiące dolarów.

Dwie osoby w kolejce miały na sobie białe płaszcze. Starłem się na nich nie patrzeć.

Znów wsiadłem do samochodu i wyjechałem poza kampus. Po jakimś czasie wydało mi się, że widzę z tyłu białego SUV-a, więc zjechałem na drogę numer 26, pojechałem aż do Lemont, po czym szybko zawróciłem na parking przy Circle K i wróciłem na zachód. Oni pojechali na wschód. Potem regularnie zerkałem w lusterko wsteczne, ale już nikogo nie zauważyłem. Wróciłem drogą 26 do I-99 i przez jakieś dwadzieścia minut jechałem autostradą, po czym zjechałem w Port Matilda. Zatrzymałem się w McDonalddie, zamówiłem Big Maca, duże frytki i colę i usiadłem przy oknie, żeby obserwować przejeżdżające samochody. Umierałem z głodu, ale z każdym kęsem miałem wrażenie, że mój żołądek zwróci jedzenie. Jakoś jednak udało mi się nie wymiotować. Choć w tym czasie na parking zatrzymały się trzy białe samochody – toyota camry, jeep i kombi – ich kierowcy ani pasażerowie nie byli ubrani na biało.

Wynająłem sobie pokój naprzeciwko, w Aldean Motor Lodge. Motel był zapuszczony, okres świetności przeżywał co najmniej dwadzieścia lat temu, rozpaczliwie domagał się malowania. Zwalisty recepcjonista z przetłuszczonymi włosami pozwolił mi zapłacić za nocleg gotówką, trzydzieści dziewięć dolarów, i nie pytał o dokument tożsamości. Dał mi klucze od pokoju numer 23, na drugim końcu budynku. Zaparkowałem z tyłu, żeby samochód nie był widoczny z ulicy.

W pokoju śmierdziało stęchłymi cytrynami. Ściany pokrywały tanie, ciemne panele, na gwoździach wisiały krzywo stare grafiki przedstawiające żaglowce. Włochaty dywan był żółty, z nutkami brązu i pomarańczy, przy drzwiach mocno wytarty. Tabliczka nad telewizorem obiecywała darmowe HBO, ale rysa biegnąca w poprzek dziewiętnastocalowego ekranu odbierała na to nadzieję. W łazience nie było drzwi, a sedes sprawiał wrażenie niemytego od czasu prezydentury Cartera.

Usiadłem na łóżku, ująłem w dłonie pulsującą z bólu głowę i zacząłem się zastanawiać, co ja odpierdalam.

W końcu zrzuciłem z siebie ciuchy i wziąłem prysznic. Stałem tam chyba przez godzinę, a smród cmentarza i brud ostatnich trzydziestu sześciu godzin ściekały do odpływu, aż się ich na dobre pozbyłem. Potem wytarłem się ręcznikiem i przebrałem w ostatnie czyste ciuchy.

Będę musiał albo wrócić do domu, albo kupić ubrania. Jeszcze nie zdecydowałem.

Butelka jamesona stała na szafce nocnej.

Sięgnąłem po nią, ale się rozmyśliłem.

Kurwa.

Nie teraz.

Przysiadłem na brzegu łóżka i westchnąłem. Przyciągnąłem bliżej obie książki z grobu ojca.

W górnej szufladzie szafki znalazłem Biblię gedeonitów, notatnik z logo Aldean Motor Lodge na górze strony i tani długopis kulkowy. Wypisałem listę zaznaczonych osób:

Perla Beyham  
Cammie Brotherton  
Jaquelyn Breece  
Jeffery Dalton  
Garret Dotts  
Kaitlyn Gargery  
Penelope Maudlin  
Richard Nettleton  
Keith Pickford  
Emma Tackett  
Edward Thatch  
Lester Woolford  
Elfrieda Leech

Połączyłem strzałkami nazwiska moich rodziców, a potem także rodziców Stelli.

Gapilem się na tę listę przez blisko godzinę.

Butelka Jamesona stała na szafce nocnej.

Jeśli wrócę do mieszkania, Willy będzie na mnie czekał. Teraz może także Matteo. Mógł tu przyjechać. Może i policja. Albo oni wszyscy.

„No i ludzie w białych płaszczach”.

„To tam znowu znajdą twój trop – podpowiadał mi jakiś głos w głowie. – O ile w ogóle go zgubili”.

Cecile Dreher widziała mnie pod drzwiami Leech. Mogła o tym powiedzieć policji. Jeśli wiedzieli, że byłem z Elfriedą Leech w jednym pokoju, kiedy się zastrzeliła, mogą kwestionować samobójstwo. Nie miałem motywu, żadnego powodu, żeby życzyć jej śmierci, ale oni chcieli mnie dopaść. Poprzednim razem bardzo jasno dali mi to do zrozumienia. Policjanci podrzucają dowody, kłamią. Zrobią wszystko, żeby skonstruować zarzuty, nawet najsłabsze.

W najlepszym razie, jeślibym wrócił, Matteo znalazłby sposób, żeby mnie gdzieś zamknąć. Ośrodek odwykowy, miesięczny turnus. Znalazły klawisza znacznie surowszego niż William Trudeau.

Butelka Jamesona stała na szafce nocnej.

„Spokojny umysł to jasny umysł”, jak mówią.

Kto niby tak mówi? Nie miałem pojęcia.

Nie mogłem się teraz napić.  
Spojrzałem znowu na listę i dotarło do mnie, co muszę zrobić.  
Musiałem ich znaleźć. Wszystkich.  
Dlatego ojciec zostawił mi ten album.  
Bo po co innego?  
Wyjechałem z motelu chwilę po drugiej w nocy.



## 6

Biuro administracji uniwersytetu Penn State mieściło się w budynku z cegły przy Curtis Road, między centrum rekreacyjnym a halą widowiskową Pegula Ice Arena. Nancy Vass pracowała tam od dwudziestu trzech lat, a za dwa zamierzała przejść na emeryturę i wyjechać do Boca Raton. Wiedziała, że będzie jej brakowało studentów, ale nie zatekni za zimmem. Kiedy przyszła do pracy rankiem 15 marca 1994 roku, okazało się, że doszło do pierwszego włamania do biura od czasu założenia uczelni w roku 1855. Ktoś wybił kamieniem szybę w drzwiach i wszedł do środka. Nie udało się ustalić, czy zginęło coś cennego, ale brakowało trzynastu teczek z aktami studentów, przechowywanych w beżowych szafkach pod tylną ścianą. Zniknęły także akta byłej pracowniczki działu wsparcia studentów, Elfriedy Leech, z rejestru pracowników na zapleczu.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Nancy Vass dzwoniła na policję kampusową, żeby zgłosić włamanie, ja byłem już dwadzieścia siedem kilometrów stamtąd, w salonie samochodów używanych Otto's w Hublersburgu, gdzie wymieniłem moją hondę (plus tysiąc dolarów gotówką) na jeepa wranglera z rocznika 1989. Za dodatkowe pięćdziesiąt dolarów Otto dorzucił mi tablicę rejestracyjną z jakiegoś grata trzymanego na tyłach.

Przez następne cztery lata miałem nie rozmawiać z Willym ani z Dewittem Matteo.

Moja stopa już nigdy nie powstała na kampusie Penn State.

Jeszcze nie odkręciłem po raz kolejny tamtej butelki jamesona, ale wkrótce miało się to zmienić.

Miałem też znowu zobaczyć Stellę – to była prawdopodobnie jedyna pewność w moim życiu.

## 7

Wieczorem 8 sierpnia 1994 roku detektyw Joy Fogel stała między drzewami za ławką na South Side Cemetery, czekając na pojawienie się Jacka Thatcha. W różnych miejscach cmentarza rozstawiła jeszcze pięciu funkcjonariuszy, którzy również na niego czekali. Kazała im się ubrać po cywilnemu i udawać żałobników, ale wiedziała, że wszyscy rzucają się w oczy, widać ich jak na dłoni. Kolejny funkcjonariusz stał w korytarzu pod jego mieszkaniem. Operacja nie została zatwierdzona przez komendę w Pittsburghu. Nigdy nie dostałaby pozwolenia na coś takiego. Nie mogli postawić mu żadnych zarzutów – nie miała na niego nic oprócz spekulacji i poszlak, niczego, co utrzymałoby się w sądzie. Rano po prostu wyciągnęła z kąta Tablicę Osobliwości i zapytała: „Kto chce mi dziś pomóc?”. Odpowiedziały jej szyderstwa i zgłoszenia od sześciu ochotników.

Jack Thatch się nie pojawił.

Nie widziano go od blisko pięciu miesięcy. Od kiedy wyjechał z Penn State i rozpląnął się w powietrzu.

O pierwszej trzydzieści osiem w nocy kazała wszystkim wracać do domu. Operacja skończyła się fiaskiem.

Wróciła na komendę, zaparzyła sobie dzbanek kawy i czekała na nieuniknione – telefon z wiadomością o znalezieniu kolejnego ciała, czarnego i jakby spalonego. Telefon milczał.

W tamtym roku nie pojawiły się nowe zwłoki.

Podobnie w latach 1995, 1996 i 1997.

Okazało się, że szukali w złym miejscu. Miał to odkryć były detektyw Terrence Stack, teraz po prostu Terry, na krótko przed śmiercią.

6 sierpnia 1998

*Dwadzieścia dwa lata*

Dn. 06.08.1998

Pacjent „D”

Nagranie audio/wideo.

WYŁĄCZONE

ZESPÓŁ OBSERWACYJNY CHARTER - 309

# 1

Szóstego sierpnia 1998 roku detektyw Joy Fogel tkwiła przed telewizorem w komendzie, oglądając CNN razem z wszystkimi pozostałymi detektywami. Monica Lewinsky właśnie miała złożyć zeznania przed wielką ławą przysięgłych w sprawie postępowania przeciwko prezydentowi. Kiedy zadzwonił Stack, rzuciła do słuchawki:

- Lepiej, żebyś miał dla mnie coś dobrego.
- Oj, mam coś naprawdę dobrego. Przyjeżdżaj tu.

Stack siedział na betonowych schodkach przed drzwiami, popijając dietetyczną colę z puszki. Z tego, co było jej wiadomo, od prawie pięciu lat nie tknął piwa, ale coś w jego minie mówiło jej, że bardzo by chciał się napić. Podniósł się powoli, kiedy wysiadała z samochodu. Artretyzm coraz bardziej mu dokuczał. W kwietniu przyjechała z tortem i wspólnie świętowali jego osiemdziesiąte drugie urodziny przy składanym stoliku w pokoju na górze, otoczeni przez sprawę, która zdominowała ich życie. Tamtego dnia grzechotał przy każdym kroku, a kiedy spytała go dlaczego, wyciągnął z kieszeni fiolkę aleve. „Łykam te tabletki jedna za drugą. Łatwiej nosić je przy sobie, niż ciągle biegać w górę i w dół po schodach”.

Dzisiaj, kiedy wstał i ruszył w jej stronę, nie tylko grzechotał, lecz także krzywił się z bólu i uciskał udo prawą dłonią, żeby wyprostować nogę.

– Wiesz przecież, że możesz poprosić lekarza o jakieś mocniejsze leki niż aleve.

Przytrzymał jej drzwi.

– Bardziej bym się martwił, jakby w tym wieku nic mnie nie bolało.

Na kanapie w salonie leżały koce i poduszka. Kiedy Stack zauważył, że je zobaczyła, wyjaśnił, że czasem łatwej mu spać na parterze.

Powoli pokonywał stopnie prowadzące na piętro, mocno trzymając się poręczy. Kiedy dotarli na szczyt, kark pokrywała mu lśniąca warstewka potu. Po dotarciu do pokoju opadł na krzesło przy stoliku z ciężkim sapnięciem.

Fogel próbowała go namówić, żeby przeniósł się do domu spokojnej starości albo przynajmniej znalazł jakiś parterowy dom, ale nie chciał o tym słyszeć. „Jakbym poszedł do domu starców, to byłbym jak pies, który idzie do weterynarza na uśpienie. To podróż w jedną stronę. Nie zrobię tego. Tu jest mój dom

i zamierzam w nim umrzeć. Mam tylko nadzieję, że ktoś mnie znajdzie, zanim zacznę śmierdzieć”.

W domu zawsze cuchnęło papierosami i starym serem, ale Fogel zatrzymała tę uwagę dla siebie.

Siedząc przy stoliku, Stack zrobił kilka głębokich wdechów i w końcu przemówił:

– Mam kumpla w FBI, nazywa się Rudy Geyer. Oddał nam wielką przysługę, ale jeśli kiedykolwiek go o to zapytasz, zaprzeczy. Mógłby mieć kłopoty. Kazałem mu śledzić finanse Thatcha.

– Że co proszę? – Fogel opadła na krzesło naprzeciwko.

Stack uniósł dłoń w uspokajającym geście.

– Zupełnie nieoficjalnie. Nikt nie wie.

– Gdzieś zostanie jakiś ślad.

– Twierdzi, że potrafi zacierać ślady, a ja mu wierzę. Już to kiedyś robił. Federalni mają swoje sprytnie sposoby, nauczyłem się już, żeby nie pytać. Czasami lepiej nie wiedzieć.

To było niebezpieczne. Fogel wiedziała, że jeśli odkryją cokolwiek w finansach Thatcha, ale uzyskają informacje bez nakazu sądowego, nie będzie można ich wykorzystać do postawienia zarzutów. Co gorsza, wszystkie kolejne informacje uzyskane na tej podstawie również musiałyby trafić do kosza. Naoglądała się wielu spraw oddalanych przez sędziów z powodu nieodpowiedniego pozyskiwania dowodów.

Stack spojrzał na nią oczami o pozółkłych białkach.

– Słuchaj, możesz sobie prosić do woli, ale nie dostaniesz zezwolenia na śledzenie jego finansów. Nie ma żadnego powiązania z Bellinem. Jeśli nie liczyć tego, że znalazł się w nieodpowiednim miejscu i w nieodpowiednim czasie, nic nie łączy go też ze śmiercią tej Leech, zresztą wszystko wskazuje na samobójstwo – stwierdził Stack. – Na papierze ten dzieciak jest czysty jak łąza.

– Brier powiązał go z zabójstwem Flacka.

– Nie, tylko z miejscem znalezienia ciała – poprawił ją Stack. – Wszystko, co mamy na tego dzieciaka, to przypadki i zbiegi okoliczności. – Nachylił się do przodu. – A muszę ci powiedzieć, że analiza finansów coś nam daje, co zresztą zaraz ci wyjaśnię, ale tylko jeśli chcesz. Zanim jednak do tego przejdziemy, musisz wiedzieć, że to, co odkryłem, też łąpie się do kategorii „niewłaściwe miejsce, niewłaściwy czas”. Ale to już nam coś mówi. Otwiera pewne drogi.

Fogel zamknęła oczy i potarła skroń.

– Mówiłeś znacznie mniej mętnie, kiedy piłeś.

– Najbliższy sklep jest tylko trzy przecznice stąd. Ale będziesz musiała sama skoczyć po piwo. Nie nadaję się na spacer, a na Klondike Road jest zajebiście

stromo.

– Nic z tego.

Wyjął brązową teczkę z jednego z kartonów, położył na stole i oparł na niej dłoń.

– Nie wspominałbym o tym, gdyby to nie było ważne.

Fogel spojrzała na teczkę.

– Będę tego żałowała, prawda?

– Pewnie tak.

– Dobra, pokaż, zanim się rozmyślę.

Na twarzy Stacka zagościł uśmiech. Otworzył teczkę i podsunął jej stertę zszytych kartek.

– Zaczniemy od tego, że nasz chłopak jest bogaty.

– Jak to? – Przejrzała dokument. Jakiś fundusz powierniczy.

– Kiedy ciotka zmarła, okazało się, że miała od groma polis na życie. Nie wiadomo, jakim cudem starczało jej na składki. Rudy ma to sprawdzić, bo nie zarabiała dużo. W sumie zostawiła siostrzeńcowi prawie trzy miliony dolarów.

Fogel opadła na oparcie krzesła.

– Nie pierdol.

– Nie pierdołę.

– Nie zachowuje się jak milioner.

– Prawnik trzyma go krótko, zgodnie z poleceniem ciotki. Pieniądze są w funduszu powierniczym. Chłopak dostaje kieszonkowe, ale większość majątku jest zamrożona, dopóki nie ukończy Penn State.

Fogel przerzuciła strony dokumentu.

– Ale przecież rzucił studia.

Stack wzruszył ramionami.

– Nie pochwalam jego decyzji życiowych, mówię tylko, jakie są fakty.

– Mógłby pewnie wrócić na uczelnię.

– Pewnie tak – przyznał Stack. – Do tego czasu dostaje dwa tysiące miesięcznie, bezpośrednio na rachunek bankowy, do którego ma kartę bankomatową. Kancelaria prawnicza pokrywa rachunki: czynsz, media i tak dalej, więc to pieniądze na bieżące wydatki.

– I prześledziliście te wydatki?

Stack skinął głową.

– Prześledziliśmy te wydatki.

Opierając się o stolik, wstał i podszedł do mapy wiszącej na ścianie.

– Niebieskimi pineskami zaznaczyłem wszystkie wypłaty gotówki, od czasu kiedy zniknął nam z radaru cztery lata temu.

Fogel podeszła i przestudiowała mapę.

- Jeździ po całym kraju.
- Nie da się ukryć.
- A te czerwone pineski?
- To sytuacje z cyklu „zbiegi okoliczności” – odparł Stack.
- To znaczy?

Wskazał pineskę na południu stanu Montana.

– Ósmy sierpnia dziewięćdziesiątego czwartego, Billings, Montana. Cztery osoby martwe na oddziale opieki paliatywnej w szpitalu St. Francis. Wszystkie wyglądały, jakby się spaliły, ale nietypowo. Pościel, łóżka i sama sala były zupełnie nietknięte. – Wskazał na niebieską pineskę obok. – Dwudziesty trzeci sierpnia dziewięć cztery. Chłopak wypłaca tysiąc dwieście dolarów w banku o przecznicę od szpitala.

- Dwa tygodnie później?
- Tak jest.
- A gdzie był wcześniej?

Stack wrócił do stolika i przejrzał teczkę.

- Fort Lauderdale, Floryda. Dziewiątego sierpnia wypłacił tysiąc.
- Czyli był na Florydzie, kiedy zmarli ci ludzie?
- Teoretycznie mógł polecieć samolotem, ale pewnie tak.

Stack pokuśtykał z powrotem do mapy.

– To nie wszystko. Patrz tutaj. – Wskazał kolejną czerwoną pineskę, tym razem w Iowa. – Osiemdziesiąt hektarów kukurydzy zwiędło w jedną noc, ósmego sierpnia dziewięćdziesiątego piątego.

- Kukurydzy?

Stack pokiwał głową.

– Według miejscowego szeryfa wyglądało to tak, jakby ktoś oblał całe pole benzyną i podpalił. Wszystkie źdźbła były czarne.

- Ale nie spalone.
- Ale nie spalone – przytaknął.

Fogel przyglądała się mapie z przymrużonymi oczami.

- Do tej pory to zawsze byli ludzie.
- Chyba że coś przegapiliśmy.
- A gdzie był Thatch?

– Szósteo sierpnia był w Teksasie. Na pole kukurydzy dotarł dziesiątego.

– Za szybko jak na autokar, za wolno na samolot. Ma samochód – zauważyła Fogel.

Stack wskazał kolejną czerwoną pineskę.

– Ósmy sierpnia dziewięćdziesiąt sześć, Chicago. W Grant Park znaleziono ciało człowieka podejrzanego o napady.



– Spalone, ale nietypowo.

– Tak.

– A Thatch?

– Ostatnia wypłata prawie tydzień wcześniej w Green Bay w Wisconsin. Kolejna dziewiątego sierpnia w Chicago. – Stack przeszedł do ostatniej pineski. – Rok temu. Rye, New Hampshire. Bezdomny w parku stanowym Odiorne Point. Znalaziono ciało, w takim samym stanie jak pozostałe. Miał przy sobie trzy portfele, więc pewnie kradł. Nadal jednak go nie zidentyfikowano. Thatch dotarł tam dwa dni później. Wcześniej był w Filadelfii.

– Jeździ za tymi wydarzeniami.

– Jeździ za nią – poprawił ją Stack.

– Naprawdę myślisz, że to robota tej dziewczyny? – spytała Fogel. – To wszystko ona?

Stack zwrócił się w stronę ściany, na której umieszczono zdjęcia wszystkich poprzednich ofiar.

– Wszystkie te zabójstwa wydarzyły się tutaj, w Pittsburghu. Potem mieliśmy masakrę i pożar tamtego domu w dziewięćdziesiątym trzecim. Od tamtej pory ofiary są rozrzucone po całym kraju, w najróżniejszych miejscach. – Pokazał na zdjęcie domu w Dormont. – Zaczęło się w siedemdziesiątym ósmym, pierwsze trzy trupy.

– Sam mówiłeś, że była wtedy niemowlakiem. Miała rok, góra dwa. Jak to możliwe?

Stack zignorował pytanie i mówił dalej.

– Ktoś ją porwał, kiedy była dzieckiem, zabił jej rodziców i zabrał ją do tamtego domu, trzymali ją tutaj, w Pittsburghu. Aż do pożaru. Teraz ucieka.

– Ale nie może przestać zabijać?

Stack potarł się po brodzie.

– Coś jest na rzeczy z tą datą. Zawsze ósmy sierpnia.

– A jak wyjaśnisz to pole kukurydzy? Nikt wtedy nie zginął. Przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo.

W oczach błysnęła mu iskierka.

– Ale zginęło sporo kukurydzy, co nie? Może tu tak naprawdę nie chodzi o zabijanie, ale o odbieranie? Odbieranie życia?

– A co to za różnica? Nie nadążam.

– Może jest tak, że co roku ósmego sierpnia dziewczyna musi „odebrać życie”, karmi się tą energią, żeby przeżyć?

Fogel parsknęła śmiechem.

– Co ty gadasz? Jak jakiś wampir czy coś?

– No, czy coś.

– Teraz już jestem pewna, że znowu pijesz.

Wzruszył ramionami i podszedł do sterty pudeł na dokumenty pod przeciwległą ścianą, kulejąc niezgrabnie.

– Ja tylko opieram się na dowodach. Przeczytałem wszystkie sprawozdania koronerów po kilkanaście razy. Jeśli nie liczyć ofiar strzałów z broni palnej w tym pierwszym domu, wszyscy zmarli od tego samego. Zostali wydrenowani. Ciało wysuszone do ostatniej kropli, do ostatniej komórki, resztki życia wysrane, aż została tylko wyschnięta skorupa.

Fogel znowu zapatrzyła się na ścianę.

– No dobrze, załóżmy, że masz rację, a nie pierdolisz jak potłuczony...

– Dzięki.

– Po tym pierwszym roku mamy zawsze po jednej ofierze, od siedemdziesiątego dziewiątego do dziewięćdziesiątego drugiego, a potem w dziewięćdziesiątym trzecim nagle ta rozpierducha w domu przy Milburn, w sumie dwadzieścia jeden ciał, ale tylko siedem jakby spalonych, czyli pasujących do niej. Co to było?

– Przypuszczam, że ktoś chciał ją dorwać, a ona wykorzystała okazję, żeby uciec.

– Nasz tajemniczy człowiek w czarnym GTO.

– Tak.

– A Brier przypadkiem znalazł się na linii ognia.

– Na to wygląda – przytaknął Stack.

Zapadła długa cisza, kiedy oboje próbowali sobie to wszystko przyswoić. Potem Fogel wróciła do mapy.

– Niebieskie pineski to były wypłaty pieniędzy, tak? Zobacz, on naprawdę był w całym kraju.

– Z tego, co ustaliłem, nigdy nie zostaje w jednym miejscu na dłużej niż kilka tygodni.

– Wracał do Pittsburgha?

– Nie wypłacał pieniędzy w mieście ani w okolicach, ale to nie znaczy, że go tu nie było. Ten jego prawnik pewnie by wiedział, ale nam nie powie.

– Gdzie dokonał ostatniej wypłaty?

– W Fallon, małym miasteczku w Nevadzie, wczoraj o dwudziestej drugiej trzydziści osiem.

– A do ósmego sierpnia zostały nam dwa dni.

– Zgadza się.

Fogel nie odrywała wzroku od mapy. Thatch ściga dziewczynę. Fogel ściga Thatcha, od wielu lat. Definicja szaleństwa to robienie w kółko tego samego

i oczekiwanie innego rezultatu. Jeśli chce rozwiązać tę sprawę, musi wyprzedzić wydarzenia.

– Mam zaoszczędzone mile lotnicze, a poza tym od trzech lat nie brałam wolnego.

Stack wyjął z kieszeni fiolkę aleve i popił colą dwie tabletki.

– Mądra dziewczyna.

## 2

W lipcu 1998 roku, na tydzień przed spotkaniem Fogel ze Stackiem, obudził mnie kopniak w goleń i niezbyt przyjazne warknięcie pochodzące z jeszcze mniej przyjaznej twarzy gapiącej się na mnie z góry.

– Ej, młody. Nie możesz tu spać.

Zdanie to było nie do końca prawdziwe, bo przecież tam spałem. Udało mi się złapać co najmniej trzy godzinki nieprzerwanego snu właśnie w tym miejscu, zanim on tam przyłazł. Zamierzałem mu to powiedzieć, ale zobaczyłem, że ma na sobie mundur, co zamknęło mi usta. To niby tylko policjant z Bryant Park, ale zawsze policjant, a w Nowym Jorku jedynym miejscem do nocowania gorszym niż parkowa ławka była cela w komisariacie, gdzie roiło się od ćpunów, pijaków i bezdomnych różnej maści.

Prawie uśmiechnąłem się złośliwie na tę myśl, ale za bardzo by mnie to zabolalo. Nie miałem prawa zadzierać nosa. Bądź co bądź to byli moi ludzie, już od dłuższego czasu do nich należałem.

Spuściłem nogi z ławki i zacisnąłem oczy w ostrych promieniach słońca przedzierających się przez korony drzew, ale nawet ten nieznaczny ruch sprawił mi ból. Malutki młoteczek w głowie stuknął badawczo w moją skroń, po czym dorzucił już porządny cios, a potem następny. Przewróciło mi się w żołądku i głośno odbiło, a w ustach został mi posmak starej wieprzowiny i whisky.

Był to dość ciężki kac, ale miewałem gorsze.

Okropnie chciało mi się sikać.

Kiedy opuściłem Penn State wiosną 1994 roku, znowu wpadłem w pijaństwo.

Zresztą bądźmy szczerzy, nigdy tak naprawdę z niego się nie wygrzebałem. W najlepszym razie trzymałem się kurczowo na krawędzi.

Wszystko przez te cholerne białe płaszcze.

Widziałem je wszędzie.

Co drugi samochód w lusterku wstecznym był biały.

Richard Nettleton wspominał w swoim liście, że na Florydzie było najgorzej, i rzeczywiście. W pieprzonym Słonecznym Stanie prawie wszystkie samochody były polakierowane na biało, a chociaż nikt nie nosił płaszczy, to w modzie były białe koszulki i szorty. Szybko zdałem sobie sprawę, że kiedy z drugiej strony

ulicy obserwuje cię ktoś w białej koszulce i szortach, niewiele się to różni od długiego białego trencza. Nie miałem pojęcia, gdzie trzymają broń, ale nie dało się ukryć wyrazu oczu – ten wzrok był uniwersalny. Znali mnie, a ja szybko nauczyłem się ich rozpoznawać.

Byłem w tym naprawdę niezły.

Pojechałem do Fort Lauderdale, bo według akt, które ukradłem z biura administracji Penn State, kiedyś mieszkała tam Perla Beyham – przy Siedemnastej Ulicy, w sercu dzielnicy turystycznej. Mieszkanie nad sklepem z koszulkami, z ładnym widokiem na plażę. Nie było jej w domu, ponieważ nie żyła. Dowiedziałem się o tym od sąsiada, który dobrze ją pamiętał – rzadko się zdarza, żeby ktoś się utopił w wannie, więc historia rozeszła się po całym budynku i większość mieszkańców o niej słyszała.

Perla Beyham rzuciła studia na Penn State wiosną 1979 roku. Nikt nie wiedział dlaczego. Zatrudniła się jako kelnerka w barze tiki (przy tej samej Siedemnastej Ulicy), a jakieś dwa tygodnie później zmarła. Oficjalnie stwierdzono nieszczęśliwy wypadek – według raportu koronera zasnęła podczas kąpieli – ale krążyły plotki o samobójstwie. Na studia wyjechała szczęśliwa dziewczyna, a wróciła zupełnie inna osoba. Większość ludzi winą za jej paranoję, obsesję, że ktoś ją obserwuje, obarczało narkotyki, chociaż nikt nie widział, żeby cokolwiek brała. Dwudziestego drugiego maja 1979 roku wróciła z pracy do domu, nalała wody do wanny i tak się to skończyło. Ciało znaleziono dwa dni później.

Sąsiad, z którym rozmawiałem, sympatyczny staruszek imieniem Dave, powiedział, że jej rzeczy mogą nadal leżeć w piwnicy budynku. Tej samej nocy tam się włamałem, ale nic nie znalazłem, chociaż porządnie przetrzepałem całe pomieszczenie.

Nadal miałem wtedy jeepa, więc z radością opuściłem Słoneczny Stan i pojechałem na poszukiwania Garreta Dottsa. Znalazłem go bez większych trudności. Pochowano go w dalekim kącie cmentarza w Cantonville w stanie Georgia, niedaleko Atlanty. Drzewo, na którym powiesił się w marcu 1980 roku, znajdowało się pięć minut drogi samochodem od grobu. Duża wierzba.

Siódmego sierpnia 1994 roku wróciłem do Pittsburgha.

Kiedy następnego wieczoru zauważyłem na cmentarzu detektyw Fogel i spółkę obserwujących moją ławeczkę, zostałem w lesie, skąd mogłem mieć oko i na nich, i na ławkę. Nie sądziłem, że Stella się pojawi – nie byłem nawet pewny, czy jeszcze żyje – ale na wszelki wypadek wolałem tam być. Chwilę po północy wróciłem na trasę i nie zatrzymałem samochodu aż do świtu.

Dopiero ponad tydzień później dowiedziałem się o czterech osobach zmarłych w hospicjum w Montanie. Jadłem śniadanie w jadłodajni pod Cleveland, a poprzedni klient zostawił na siedzeniu gazetę. Znalazłem artykuł na czwartej

stronie – niezbyt długi, ale mnie to wystarczyło. Wiedziałem, że to Stella. Wiedziałem.

Ludzie w białych płaszczach też wiedzieli.

Kiedy dotarłem do Billings, roiło się od nich w całym mieście, zwłaszcza w okolicach hospicjum w szpitalu St. Francis. Kręcili się też przy domach, w których te cztery osoby mieszkały, zanim trafiły na oddział opieki paliatywnej. Widziałem, jak dwie kobiety w długich białych płaszczach wyszły z zakładu medycyny sądowej i wsiadły do białego suburbana. Jedna z nich rozmawiała przez telefon, a druga się na mnie gapiła. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, wiedziałem, że czas wyjechać z miasta.

Namierzenie Penelope Maudlin zajęło mi prawie sześć miesięcy, a przez cały ten czas krążyłem po północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku. Matteo regularnie przelewał mi miesięczne kieszonkowe w wysokości dwóch tysięcy dolarów, ale szybko się przekonałem, że nie na wiele mi to starcza. Przypuszczałem, że prawnik nadal opłaca czynsz za mieszkanie cioci Jo i to, które dzieliłem z Willy Trudeau na Penn State, ale musiałem sam znaleźć sobie w trasie dach nad głową, co okazało się niełatwe przy tak ograniczonym budżecie.

Dwa tysiące dolarów na miesiąc dawało około sześćdziesięciu pięciu dziennie. Po odliczeniu trzech tanich posiłków zostawało jakieś pięćdziesiąt. Jeep palił jak smok, więc dochodziło około dwudziestu dolarów na dobę, jeśli ciągle się przemieszczałem, a na wszystkie pozostałe wydatki miałem trzy dychy. Przy bocznych drogach nie brakowało tanich, zapyziałych motelików, gdzie mogłem znaleźć pokój za trzydzieści dolarów. Były też hostele. Ale potrzebowałem też pieniędzy na alkohol, a na początku podróży, kiedy nie mogłem pić go legalnie, do każdej butelki dochodziła prowizja dla osoby, która mi ją kupowała. Bez tego nie mogłem jednak spać, a bez snu nie mogłem prowadzić, nie mogłem myśleć, nie mogłem właściwie nic. Mgiełka, którą otulała mnie porządna butelka whisky (albo gęste opary zasnuwające mnie po wypiciu mocnego taniego wina, kiedy z forszą było bardzo krucho), pozwalała umysłowi odpocząć, wyciszała krzyki.

Kupiłem namiot i różne sprzęty biwakowe w Medford w stanie Oregon, po czym zapuściłem się w góry i lasy parku narodowego Umpqua tak głęboko, jak daleko zabrał mnie jeep. Czasem przez długie dni nie spotykałem żywej duszy, co bardzo mi odpowiadało. Na szlakach nikt nie ubierał się na biało, co również mnie cieszyło. Do Medford, Roseburg i innych miasteczek u podnóża gór wypuszczałem się tylko wtedy, gdy robiło się za zimno na biwakowanie, potrzebowałem pieniędzy albo zapasów, ewentualnie z wizytą w jednej z sześciu bibliotek publicznych w okolicy. Penelope Maudlin odnalazłem w bibliotece w Canyonville.

Aparaty do przeglądania mikrofilmów umieszczono na tyłach biblioteki, przy magazynie z długimi regałami pełnymi pudeł z błonami mikrograficznymi. Jeśli nie liczyć bibliotekarki, sympatycznej Meldy Dorrell, która po przejściu na emeryturę przeniósł się z mężem do Canyonville w 1989 roku, byłem sam. Wczesnym popołudniem większość mieszkańców była w pracy albo w szkole, a ja zawsze pilnowałem, żeby wrócić na biwak, zanim zaczną się godziny szczytu.

Penelope Maudlin to rzadko spotykane imię i nazwisko, dlatego w ogóle ją znalazłem. W aktach z Penn State widniał adres w Crystal Springs w stanie Illinois, ale kiedy jakieś dwa miesiące wcześniej odszukałem ten dom, okazało się, że okna i drzwi są zabite deskami, dachu nie ma, a siding jest poczerniały po dawnym pożarze. Od sąsiadów dowiedziałem się, że pożar uznano za wypadek spowodowany zwarcieniem instalacji elektrycznej w piwnicy. Rodzice Penelope spali i oboje zginęli, bo nie zdążyli uciec na czas. Stało się to w roku 1982, kiedy Penelope skończyła geologię na Penn State. W aktach z uczelni znajdowała się także dokumentacja medyczna. Pierwszy raz odwiedziła gabinet lekarski we wrześniu 1978 roku, a wizyty powtarzały się coraz częściej aż do zakończenia studiów. Dokuczały jej ostre migreny.

Z mikrofilmów dowiedziałem się, że dostała stanowisko kierownicze w Brennen Oil w Waco w Teksasie. W „Waco Tribune” opublikowano krótki artykuł na tę okoliczność, jako że była pierwszą kobietą na takim stanowisku – godne odnotowania, zwłaszcza w tak młodym wieku. Miała zacząć w sierpniu 1982 roku.

Pierwszego dnia pracy, 8 sierpnia, zatrzymała samochód na swoim miejscu parkingowym pod biurem, wysiadła, wyjęła z bagażnika kanister benzyny i oblała swoją toyotę camry. Dwoje niedoszłych współpracowników, sparaliżowanych z przerażenia, patrzyło, jak wsiada do auta, zapala zapałkę i rzuca ją na maskę. Płomienie pochłonęły cały samochód. Według świadków kobieta nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

Niedługo po tym, jak dowiedziałem się, co spotkało Penelope Maudlin, znalazłem się na środku poczerniałego pola kukurydzy w stanie Iowa i wiedziałem, że dwa dni wcześniej Stella stała w tym samym miejscu. Przyjechałem tam prosto z Pittsburgha – w tym roku znowu obserwowałem naszą ławkę pomiędzy drzew. Detektyw Fogel też tam była, ale mnie nie widziała.

Miał minąć jeszcze rok, zanim namierzyłem Lestera Woolforda w Green Bay w Wisconsin. Zwłoki skremowano, więc zostały tylko prochy. Urnę umieszczono w najlepszej lokalizacji na cmentarzu Whispering Meadows, w prawym górnym rogu budowli, która, jak się później dowiedziałem, nazywa się kolumbarium. Z przodu stała fontanna. Ja przespałem dwie noce na tyłach – nie potrzebowałem

namiotu, sierpniowe noce w Wisconsin są ciepłe. Dodatkowo ogrzewała mnie butelka wild turkey.

Woolford rzucił uczelnię wiosną 1979 roku, po czym zniknął niemal na siedem lat. Po jakimś czasie rodzice zgłosili zaginięcie i obiecali nagrodę za informacje o miejscu pobytu syna, ale z tego, co się dowiedziałem z lokalnych gazet, niewiele wskórali. Policja nieszczególnie przejęła się zaginięciem dorosłego mężczyzny, a chętni na nagrodę byli w Green Bay, daleko od Knoxville, gdzie 9 sierpnia 1986 znaleziono jego ciało – mniej więcej w tym samym czasie, gdy w Pittsburghu odkryto jakby spalone zwłoki Eury Kapp.

W nocy 7 sierpnia 1986 roku Lester Woolford zameldował się w pokoju 226 motelu Knoxville Motor Lodge przy drodze międzystanowej I-275. Według raportu policyjnego był sam i zapłacił gotówką za dwie noce z góry. Przypuszczali, że zaczął się ciąć około drugiej po południu, ale nie mieli pewności. Ciął się jeszcze długo w noc, być może do świtu. Pokojówka znalazła go dopiero rano 9 sierpnia, bo na drzwiach wisiała tabliczka „Proszę nie przeszkadzać”. W prawym ręku nadal trzymał skalpel. Usunięte części ciała leżały na zgrabnym stosiku po lewej. Kiedy organizm w końcu się poddał w wyniku szoku i utraty krwi, jego twarz była już nierozpoznawalna. Dokumenty i karty kredytowe w portfelu miał na fałszywe nazwisko. Policja zidentyfikowała go jednak na podstawie dokumentacji stomatologicznej i na początku września wydała ciało rodzicom, którzy uznali, że najlepszym rozwiązaniem będzie kremacja.

Ósmego sierpnia 1996 roku w wiadomościach pojawiła się informacja o spalonym mężczyźnie z Chicago. Zatankowałem do pełna i dzień później byłem już na miejscu. To na pewno znowu Stella. I wszędzie widziałem białe płaszcze. Nie zabawiłem tam długo.

W zeszłym roku zaszłyłem się w hostelu w południowej Filadelfii prawie na miesiąc, zanim 8 sierpnia pojechałem do Pittsburgha. Na cmentarzu nie było detektyw Fogel. Stelli zresztą też nie. Siedziałem na naszej ławce aż do północy z minutami, a potem wróciłem do Filadelfii. Od jakiegoś czasu próbowałem znaleźć Cammie Brotherton – zatrzymała się w tym samym hostelu latem 1978 roku, dwadzieścia lat przede mną, po odejściu z Penn State. O dziwo, kierownik ją pamiętał, ale nie miał pojęcia, co się z nią później stało.

W 1997 roku skończyłem też dwadzieścia jeden lat, a barman w Irish Rooster, dwa lokale od hostelu, hojnie polewał mi guinnessa i był tak miły, że dorzucił parę kolejek gratis. Chciałem tam zostać, mimo że na ekranie telewizora nad barem pojawiła się wiadomość o spalonym ciele mężczyzny z New Hampshire. Zamówiłem nawet nowe piwo. Kiedy wyjmowałem pieniądze, żeby zapłacić,



z kieszeni wypadł mi list Stelli i zmieniłem zdanie. Powiedziałem, że wrócę, ale wychodząc, zauważyłem na wieszaku na płaszcz białą trencz.

Już tam nie wróciłem.

W tamtych latach często śniła mi się Stella. Marzyłem o tym, by dotknąć tej, której nigdy nie będę mógł dotknąć.

– Ruchy, młody. Bo cię aresztuję.

Policjant z Bryant Park nadal mierzył mnie wzrokiem, więc wstałem, żeby mnie znowu nie kopnął. Z płaszcza wyleciała mi pusta butelka po Jamesonie i łupnęła na trawę. Zanim zdążył coś powiedzieć, schyliłem się, podniosłem flaszkę i poczłapałem do najbliższego kosza na śmieci. Nogi mi się trzęsły i kręciło mi się w głowie. Nic nie jadłem od śniadania dzień wcześniej, a i wtedy była to tylko tłusta kanapka mcmuffin z jajkiem.

– Wyjazd z mojego parku.

– Z twojego parku? – Miałem flegmę w gardle i prawie się udławiłem, więc wyplułem ją na chodnik, gdzie wylądowała o parę centymetrów od jego buta. Niechcący. Byłem jeszcze niedobudzony, nie miałem dobrego celu.

Otworzył skórzany futerał z kajdankami przypięty do paska.

Cofnąłem się, unosząc rękę.

– Wyjazd z mojego parku.

Jakaś kobieta z córeczką się na mnie gapiły. Dziewczynka tak mocno ścisnęła mamę za rękę, że obie miały białe palce.

Pociągnąłem nosem, wytarłem go rękawem, po czym ruszyłem chodnikiem jak najdalej od nich wszystkich. Przedemną wznosił się gmach Nowojorskiej Biblioteki Publicznej.

Poza informacją o jej pobycie w hostelu w Filadelfii nie udało mi się dowiedzieć niczego o Cammie Brotherton, więc chwilowo odłożyłem ją na bok. O Jaquelyn Breece też nic nie znalazłem, więc tydzień temu postanowiłem się skupić na kolejnej osobie z listy – Jefferym Daltonie. Poszukiwania zamierzałem zacząć od Nowego Jorku, z dwóch powodów – tłumy i biblioteki. Mogłem bez trudu zniknąć wśród milionów ludzi, a w nowojorskich bibliotekach publicznych znajdowały się największe zbiory prasy w kraju. To w archiwach prasowych znalazłem i Lestera Woolforda, i Penelope Maudlin.

Na rogu przy Zachodniej Czterdziestej Ulicy była toaleta publiczna. Wślizgnąłem się do środka i zastawiłem drzwi metalowym koszem na śmieci, żeby zapewnić sobie nieco prywatności, a potem rozebrałem się z flanelowej koszuli i dżinsów, które nosiłem prawie tydzień, i podszedłem do umywalki umyć się i wyszczotkować zęby. Nie patrzyłem na swoje odbicie, bo wiedziałem, że przypomni mi o widoku w lustrze na stacji benzynowej Phillips 66 przy zjeździe numer 63 z drogi I-79, gdzie zatrzymałem się po tym, jak odkopałem grób ojca,

a pani Leech zginęła na moich oczach; te obrazy już i tak zbyt często wyświetlały mi się w głowie. Pani Leech, Andy Olin Flack i Raymond Visconti każdej nocy walczyli o pierwszeństwo, które z nich ukołysze mnie do snu. Ostatnimi czasy dołączyło do nich kilka osób z albumu rocznikowego ojca.

Wszystkie ciuchy w plecaku były brudne, ale znalazłem jedną bluzę, którą miałem na sobie tylko parę razy od ostatniej wizyty w pralni samoobsługowej, a do tego niezbyt śmierdzące dzinsy. Trafiła się też czysta bielizna i ostatnia para nienoszonych skarpetek. Bardzo mnie to ucieszyło.

Kiedy uznałem, że mogę wyjść do ludzi, wcisnąłem resztę dobytku do plecaka i przeliczyłem gotówkę w kieszeni – dwa dolary i sześćdziesiąt cztery centy. Trochę mało.

Przeszedłem przez ulicę do oddziału banku Wells Fargo, wyłowiłem z kieszeni kartę i włożyłem ją do bankomatu. Po wyborze języka na ekranie pojawiło się polecenie wpisania czterocyfrowego PIN-u. Wklepałem numer i czekałem na opcję wypłaty pieniędzy. Wtedy jednak wyskoczył komunikat, którego jeszcze nigdy nie widziałem:

„Proszę skontaktować się z pracownikiem banku”.

Po chwili znów pojawił się ekran startowy:

„Witamy w Wells Fargo. Proszę wybrać usługę”.

Bankomat nie oddał mi karty. Wcisnąłem kilkakrotnie guzik „Anuluj”, ale nic to nie dało. Walnąłem w niego pięścią – bez skutku.

– Kurwa.

Za moimi plecami ktoś zakasłał. Obróciłem się i zauważyłem, że stoją za mną trzy osoby.

– Chyba jest zepsuty – powiedziałem, mijając kolejkę i wchodząc do banku przez drzwi obrotowe.

Przy ladzie dowiedziałem się, że moje konto zostało zamrożone.

– Jak to zamrożone?

Kasjerka postukała w klawiaturę, przyjrzała się ekranowi komputera i zmarszczyła brwi.

– Nie zgłaszał pan podejrzaną aktywności?

– Nie rozumiem.

– Mam tutaj napisane, że właściciel rachunku zgłosił przedwczoraj podejrzaną aktywność i poprosił o wydanie nowej karty debetowej. To nie pan?

„Matteo”.

Kasjer z sąsiedniego okienka spojrział ukradkiem na moją rozmówczynię, a potem na ochroniarza siedzącego na stołku przy drzwiach.

– Przypuszczam, że to mój prawnik. Wiecznie przekracza swoje uprawnienia, jeśli chodzi o moje finanse.

Kasjerka zmrużyła oczy i zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów – przetłuszczone włosy i brudne ciuchy. Nie goliłem się od niemal tygodnia. „Prawnik, jasne”.

– Będę musiała zobaczyć jakiś dokument tożsamości – powiedziała.

Otworzyłem usta, żeby się wytłumaczyć, ale zmieniłem zdanie i wyszedłem z banku.

Przecznicę dalej znalazłem automat i sięgnąłem po słuchawkę. Dobrą minutę zajęło mi przypomnienie sobie telefonu Mattea. Wybrałem numer, komputerowy głos kazał mi wrzucić siedemdziesiąt pięć centów. Wyłowiłem z kieszeni drobne, zwracając uwagę, ile mi zostało.

– Kancelaria prawnicza Matteo, Santillan, Veney i Carmichael. Z kim połączyć?

„Co to znowu za Carmichael?”

– Tess?

– Przy telefonie.

– Mówi Jack Thatch.

Na chwilę zamilkła i wyobraziłem ją sobie zagubioną wśród bałaganu na biurku, bałaganu, który z pewnością tylko się nawarstwił przez ostatnie cztery lata. W końcu odezwała się ściszym głosem, niemal szeptem:

– Mój Boże, Jack. Gdzieś ty się podziewał?

Odchrząknąłem i splunąłem na chodnik. Myłem zęby prawie dziesięć minut, ale mięta tylko nieco stłumiła posmak przetrawionego alkoholu powlekający gardło i usta, to było niczym położenie świeżej warstwy farby na zardzewiałą powierzchnię.

– Jest tam?

Nie musiałem podawać nazwiska. Wiedziała, o kim mówię.

– Kończy jakąś rozmowę, zaczekaj chwilę.

Zawiesiła połączenie i w słuchawce rozległa się muzyka, ale po chwili włączyła się znów i dodała:

– Dobrze cię słyszeć, Jack.

– Ciebie też – odparłem, ale odpowiedział mi już tylko Bob Seger śpiewający *Night Moves*.

Matteo odebrał dopiero po sześciu minutach, więc musiałem dorzucić kolejne trzydzieści pięć centów. W kieszeni zostało mi jeszcze trochę drobnych, no i może jeszcze parę centów znajdzie się na dnie plecaka.

– Jack? Gdzieś ty się, kurwa, podziewał?

Nie rozmawiałem z nim od ponad czterech lat, od opuszczenia Penn State. Z Willym też. Szczerze mówiąc, nie miałem najmniejszej ochoty gadać

z którymkolwiek z nich. Nie wiedziałem, jakiego koloru płaszcze wiszą w ich szafach. Lepiej mi było samemu.

– Co to za historia z bankiem, Dewitt? Próbowałem wypłacić pieniądze i bankomat połknął kartę. – Nigdy wcześniej nie zwracałem się do niego po imieniu i poczułem się z tym dziwnie, chyba trochę tak jakby odezwać się tak do rodzica. Musiał jednak zrozumieć, kto tu rządzi. Nie byłem już dzieckiem. Kombinował coś z moimi pieniędzmi.

– Musisz tu przyjść, Jack.

– Po co?

– Myśleliśmy, że nie żyjesz.

– Najwyraźniej żyję.

– Gdzie jesteś?

– Podróżuję. Zwiedzam świat. Szukam swojego ja. Czemu cię to obchodzi?

Matteo odchrząknął.

– Cztery lata, Jack. Willy powiedział, że poszedłeś się napić, śmiertelnie wystraszyłeś jakąś dziewczynę, a potem zniknąłeś bez śladu. Masz pojęcie, ile osób cię szukało?

„A w jakich byli płaszczech?”

– Jestem cały i zdrowy i domagam się tego, co mi się należy.

– Zasady funduszu jasno określają twoje powinności. Spieprzyłeś sprawę, kiedy rzuciłeś studia.

Miałem przy sobie egzemplarz umowy i czytałem ją wiele razy.

– Zgodnie z umową masz obowiązek wypłacać mi co miesiąc dwa tysiące dolarów oraz pokrywać opłaty za mieszkanie. Nie określono żadnej daty końcowej wypłacania kieszonkowego, nie postawiono też warunku ukończenia Penn State w określonym terminie. Możesz zatrzymać całość majątku, dopóki nie skończę studiów, ale nie wolno ci wstrzymywać tej comiesięcznej wypłaty. Co więcej, w tej sytuacji mam pełne prawo złożyć skargę do izby adwokackiej stanu Pensylwania.

Przerwał mi nagrany głos: „Jeśli chcesz kontynuować rozmowę, wrzucić trzydzieści pięć centów”.

Wygrzebałem bilon z kieszeni i wrzuciłem do otworu.

– Gdzie jesteś, Jack? – spytał Matteo, kiedy automat przyjął opłatę.

– Nieważne.

– Musisz przyjechać.

– Odblokuj środki na koncie.

Matteo westchnął.

– Artykuł 5923.216 statutu o zarządzie powierniczym stanu Pensylwania pozwala mi zawiesić wypłatę środków z funduszu, jeśli mam przyczyny sądzić, że

beneficjent nie żyje, więc postanowiłem skorzystać z tego prawa.

– Właśnie ze mną rozmawiasz. Może nie jestem w szczytowej formie, ale zaświadczam, że żyję.

– Muszę zobaczyć się z tobą osobiście, zanim będę mógł przywrócić comiesięczne wypłaty.

– Nie wolno ci tego żądać.

– Nie pozostawiasz mi wyboru, Jack.

– Kim są ci ludzie w białych płaszczach, Dewitt?

– Kto?

Rozmawiając, przyglądałem się osobom zmierzającym do biblioteki i wychodzącym z niej, spacerowiczom w parku. Mnie jednak chyba nikt nie zauważał, to dobrze. Jeden z wielu bezdomnych rozmawiających przez telefon.

– Będę za trzy dni.

Rozłączyłem się, nie czekając na odpowiedź.

Z powodu wysokich opłat za parkowanie w Nowym Jorku zostawiłem jeepa na parkingu za Walmartem w Trenton w New Jersey. Podróż autostopem zajęła mi prawie półtora dnia, ale nie miałem wyjścia. Jeep odpalił bez problemu, a trzy czwarte baku powinno mi akurat wystarczyć na trasę do Pittsburgha.

Chociaż droga zajmowała zaledwie sześć godzin, nie chciałem, żeby Matteo wiedział, gdzie byłem, bo jeszcze w tym samym tygodniu zamierzałem wznowić polowanie na kolejną osobę z listy – Jeffery’ego Daltona. Trzy dni wystarczą na dojazd praktycznie z każdego miejsca w kraju, ale uznałem, że lepiej, jeśli dam mu do myślenia.

Noc spędziłem w schronisku w Allentown – za pryczę i ciepły posiłek płaciło się prywatnością. Zająłem łóżko pod ścianą, skąd mogłem wszystkich obserwować.

Następny dzień spędziłem na oglądaniu filmów. W tamtych czasach często chodziłem do kina – jedno wejście, jedno wyjście, białe płaszcze rzucały się w oczy w półmroku. Wślizgnąłem się przez wejście służbowe z butelką jacka za pazuchą i zająłem miejsce w ostatnim rzędzie. Trafiłem na seans *Truman Show*, z Jimem Carreyem w roli głównej. Film opowiadał o facecie, którego każdy ruch nagrywały kamery telewizyjne, wszyscy go obserwowali. Niezbyt mi się podobał, zasnąłem w połowie. Wieczorem w schronisku zorientowali się, że piłem, i nie chcieli mnie wpuścić, więc noc spędziłem w jeepie za Discount Auto.

Dotarłem pod kancelarię w poniedziałek rano, chwilę po dziewiątej. Stałem na niedużym parkingu obok budynku przy Brownsville. W schowku miałem zero siedem jacka. Pociągnąłem nieduży łyk, tyle żeby trochę wygładzić krawędzie, i schowałem butelkę pod fałszywymi dokumentami rejestracyjnymi

i ubezpieczeniowymi. Siedziałem w jeepie jeszcze prawie dwadzieścia minut, zanim w końcu zebrałem się na odwagę, żeby wejść do środka.

Kiedy otworzyłem drzwi, Tess uniosła głowę zza biurka i twarz stężała jej na mój widok.

– Jack?

– Cześć, Tess.

Wstała, przyjrzała mi się uważnie, a ja chciałem zrobić w tył zwrot i uciekać. Miałem nadzieję, że uda mi się umyć i ogolić w schronisku, ale plan spełził na niczym.

Tess mimo wszystko mnie uściskała, chociaż poczułem, jak się odsuwa, kiedy wcisnęła nos w moją bluzę.

– Nawet nie masz pojęcia, jak się o ciebie martwiliśmy.

Na oparciu jej krzesła wisiał płaszcz – czarny, skórzany.

– Tess, kiedy przyjdzie, zaprowadź go do salki... – Matteo urwał, kiedy wyszedł na korytarz i mnie zobaczył. – Jasny gwint, Jack.

– Ciebie też miło widzieć.

Tess cofnęła się o krok i wygładziła mi bluzę.

– Chcesz się czegoś napić?

„I to jak”.

– Nie zostanę długo, ale dziękuję. – Spojrzałem na Mattea. – Salka konferencyjna?

Przytaknął.

Minąłem go, poszedłem korytarzem i zająłem swoje stałe miejsce. Splotłem dłonie na stole, potem opuściłem je na kolana, a w końcu znów położyłem na blacie, tym razem płasko. Na wypolerowanym drewnie zostały mokre ślady potu. Schowałem ręce pod stół.

Matteo wszedł do salki i zamknął za sobą drzwi, po czym jak zwykle zasiadł u szczytu stołu. Opadł na krzesło z głośnym sapnięciem.

– Mocno zeszczuplałeś, Jack. Wyglądasz bardzo chudo.

On wręcz przeciwnie. Wyglądał, jakby przytył ze dwadzieścia kilo.

– Żyję. Widzisz mnie. Co muszę podpisać, żeby znowu dostawać pieniądze?

– Naprawdę myślałem, że umarłeś, Jack. Zniknąłeś tak bez śladu. Biedny Will nie wiedział, co robić. Mówił, że się zdenerwowałeś, obwinił się.

„Biedny Will. Biedny mały Willy”.

Nachyliłem się do przodu.

– Ten biedny Will mnie śledził.

– Pilnował cię w moim imieniu.

– A ty w którym imieniu mnie pilnujesz?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Pobierasz okrągłą sumkę jako zarządca funduszu powierniczego, prawda? W kontrakcie nie ma ani słowa o tym, że wolno ci mnie śledzić, obserwować, sterować moim życiem. Nie ma o tym mowy. Masz obowiązek opłacać rachunki i pilnować, żebym co miesiąc dostawał wypłatę, to wszystko. Nie potrzebowałem wtedy pieprzonej niańki, teraz tym bardziej nie potrzebuję. Potrzebuję wyłącznie tego, żebyś robił, co do ciebie należy, wypłacał mi moje pieniądze i zostawił mnie, kurwa, w świętym spokoju.

Matteo nie zareagował. Nie odwracał ode mnie wzroku.

– Obiecałem coś twojej ciotce, jako przyjaciel, i zamierzam dotrzymać złożonych obietnic. Ewidentnie masz trudny okres w życiu, to moja wina. Dałem ci więcej wolności, niż powinienem. Sądziłem, że sobie z tym poradzisz, ale najwyraźniej się myliłem.

– Kim są ci ludzie w białych płaszczach?

– Pytałeś mnie już o to przez telefon. Zapewniam cię, że nie mam pojęcia, o kim mówisz.

– Oni też ci płacą? Płacą ci, prawda? Płacą ci za to, żebyś miał mnie na oku. Trzymał na smyczy.

– Wprowadź się z powrotem do swojego mieszkania, Jack. Zostań w Pittsburghu. Znajdę ci jakieś wsparcie, kogoś, z kim będziesz mógł porozmawiać... w zaufaniu. Fachowca. Byłeś świadkiem śmierci tak wielu osób, nikt nie powinien tego doświadczyć nawet w najdłuższym życiu, w stu życiach. Nie daję ci to spokoju. Jeśli wolisz, możemy też zapisać cię do jakiegoś ośrodka. Znajdziemy ciche, spokojne miejsce, gdzie będziesz mógł sobie to wszystko przepracować i wrócić na właściwe tory.

– Musisz wypłacić mi moje pieniądze.

– Nie mogę patrzeć, jak się zabijasz.

– To nie patrz.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo oboje podnieśliśmy głos, dopóki nie przestaliśmy mówić. Przez dłuższą chwilę wzajemnie mierzyliśmy się wzrokiem, aż w końcu Matteo sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął kartę do bankomatu i puścił mi ją po blacie.

– Gdybym sądził, że wpakowanie cię siłą do jakiegoś ośrodka by ci pomogło, tobym to zrobił. Znalazłbym jakiś sposób. Ale musisz chcieć, żeby ci się poprawiło, a wyraźnie tego nie chcesz. Mam nadzieję, że któregoś dnia to się zmieni. Kiedy będziesz gotowy, zadzwoń do Tess. Ze mną nie musisz rozmawiać, jeśli nie chcesz, ale zadzwoń do Tess. Choćby po to, żeby dać jej znać od czasu do czasu, że wszystko u ciebie dobrze. Powinieneś też zadzwonić do Willa. W zeszłym miesiącu skończył studia, z dwunastym wynikiem na roku. Zamierza chyba pracować u swojego ojca. Ucieszyłby się, gdybyś się do niego odezwał.

Porwałem kartę i wcisnąłem do kieszeni spodni. Zostawiłem Mattea przy stole konferencyjnym i czułem, jak wypala mi wzrokiem dziurę w karku.

Za moim jeepem zaparkował jakiś SUV.

Nie był biały.

SUV blokujący mi wyjazd był czarny, cadillac escalade z szybami tak przyciemnionymi, że praktycznie czarnymi, wysoki, z błyszczącymi chromowanymi felgami. Kiedy podszedłem bliżej, wysiadło z niego trzech mężczyzn. Rozpoznałem kierowcę – Reid Migliore. Nie widziałem go od pierwszej klasy liceum, ale to musiał być on. Nie wiedziałem, czy skończył szkołę, ale wiedziałem, dla kogo pracuje.

Reid spojrzał na mnie, kopiąc czubkiem buta w jakąś nierówność asfaltowej nawierzchni.

– On chce się z tobą widzieć.

– W dupie mam to, czego on chce.

– Mówił, że tak będzie. Kazał ci powiedzieć, że chodzi o dziewczynę.

– O jaką dziewczynę?

– Mówił, że tak powiesz. Kazał powiedzieć, że o tamtą dziewczynę. Twoją dziewczynę.

– Jak mnie znaleźliście?

Reid wskazał głową na chłopaka w bluzie i czapce z logo Steelersów, który jeździł na rowerze w kółko przy skrzyżowaniu Brownsville z Kirkland.

– Mamy ludzi.

– Ten chłopak diluje?

Wyglądał na dwanaście, góra trzynaście lat.

Reid nie odpowiedział. Bez słowa wszedł do escalade'a.

– Wsiadaj. Podwiozę cię. Możesz jechać z przodu.

– A co z moim jeepem?

– Nasz chłopak ci go popilnuje. Jest tu bezpieczny.

Pozostała dwójka wsiadła z tyłu.

Przez chwilę stałem na parkingu, zakląłem pod nosem i w końcu wsiadłem.

Tess przyglądała się tej scenie z okienka w recepcji kancelarii.

Myslałem, że zarzucą mi na głowę kaptur, tak jak kiedy pierwszy raz jechałem spotkać się ze Stellą w jej domu, ale nie. Radio nadawało cicho transmisję z meczu futbolu, a poza tym nikt się nie odzywał. Pojechaliśmy Brownsville do Becks Run, potem skręciliśmy w prawo w Carson i jechaliśmy wzdłuż rzeki, a miasto kurczyło się za naszymi plecami. Minęliśmy Homestead, Ravine Street, przekroczyliśmy rzekę Monongahela tuż przed Whitaker. Wjechaliśmy na wzgórze i wyrosło przed nami jakieś potężne metalowe szkaradzieństwo. W Pittsburghu i okolicach znajdują się liczne opuszczone huty stali. Przed sobą mieliśmy Carrie



Furnace, zakład zamknięty w 1978 roku. Przy wjeździe stał kolejny czarny escalade, który zastawiał pół drogi, dwóch mężczyzn opierało się o maskę. Reid skinął im głową, minęliśmy ich i pojechaliśmy w stronę strzelistego, przeżartego rdzą kompleksu przemysłowego.

– Tutaj teraz pracuje?

– Tutaj się z tobą spotka – odparł Reid.

Zatrzymaliśmy się przy sypiącym się budynku z cegły, za nim wznosiły się metalowe kominy otoczone pomostami roboczymi i mniejsze budowle. Labirynt metalu. Wszystko porastała sięgająca do pasa trawa, stopniowo odzyskując dla siebie teren. Nad wejściem do budynku z cegły wisiał niewielki przekrzywiony znak z napisem: „Wielki piec nr 7”.

Reid zaparkował i wyłączył silnik.

– Chodź.

Poszedłem za nim do budynku, pozostali dwaj trzymali się jakieś trzy metry za nami.

Drzwi nie było. Kiedy weszliśmy do środka, temperatura spadła o dobre kilka stopni, a światło zostało na zewnątrz – jasna plama przy drzwiach i tyle. Moje oczy potrzebowały chwili, żeby się przyzwyczaić. Kichnąłem. W powietrzu unosił się pył, pachniało wilgocią i rdzą.

Ktoś rozstawił stolik karciany na środku pomieszczenia. Stało za nim trzech mężczyzn, czterech kryło się w cieniach na tyłach. Żaden nawet nie próbował ukrywać pistoletów zatkniętych za paski spodni.

Przy stole stały dwa krzesła: jedno puste, drugie zajmował Duncan Bellino.

Ostatnio widziałem Dunka w telewizji pięć lat temu. Jacyś ludzie ładowali go razem z wózkiem do dodge’a durango po tym, jak wyszedł za kaucją po licznych zarzutach o handel narkotykami, z których później go uniewinniono. Był wtedy przeraźliwie chudy, cień człowieka, którego niegdyś znałem. Od tego czasu nabrał ciała. Ramiona miał jak konary drzewa. Był ubrany w koszulkę Mötley Crüe. Spod kołnierzyka wystawał kawałek tatuażu, ale nie mogłem dojrzeć, co przedstawiał.

– Pamiętasz, jak tu przyjechaliśmy? Ja, ty i Willy? Ile wtedy mieliśmy, z dziesięć lat, jedenaście?

Dwanaście. To było jakieś trzy miesiące przed wielkim pościgiem na Nobles Lane. Willy poślizgnął się na pomoście roboczym i porządnie obtarł sobie prawą rękę. Przez kolejny miesiąc ukrywał ranę przed mamą, a ja i Dunk próbowaliśmy mu wmówić, że zastrzyk przeciwtępcowy, który dostał poprzedniego lata, działa tylko przez dwa tygodnie, więc lada chwila dostanie szczękościsku.

Kiedy Dunk patrzył tak na mnie zza stołu, słyszałem w głowie śmiech Gerdy, krzyki Krendala, żebym posprzątał ze stolika numer dwanaście. Myślałem

o wszystkich tych ludziach, którzy zginęli w dniu pożaru jadłodajni, i o tym jednym, który przeżył. Chciałem przeskoczyć przez stół, złapać go za gardło i wydusić z niego ostatnią kroplę życia. Ścisnąć, aż oczy wyjdą mu z orbit i zasnują się mgłą. Nie powinno go być, a był tu dzięki mnie.

Wstał, nieco chwiejnie, ale stanął. Wcześniej nie zauważyłem laski opartej o krzesło. Złapał ją prawą ręką, podpierając się, oszczędzając lewą nogę. Nawet przez dzinsy było widać, że jest chudsza od prawej, wygięta pod dziwnym kątem.

Dunk walnął otwartą dłońią w stół. Plask odbił się echem od metalowych ścian.

– Patrzcie tylko, mój bohater! Nieśmiertelny! Opowiadałem o tobie moim chłopakom: jak strzelał do ciebie złodziej, kiedy miałeś ile... osiem, dziewięć lat? Parę lat później przejechali cię SUV-em twojej dziewczyny, kurde, nawet wkroczyłeś w ogień! I za każdym razem nic, ani draśnięcia. Nawet zapisać na śmierć się nie możesz, a z tego, co słyszałem, usilnie próbujesz. Widzę to w twoich oczach. Zabawne, tyle przeszedłeś, ale to gorzała zostawiła ślad. Pijaka zawsze się pozna po oczach. – Wzruszył ramionami. – No ale każdy ma swoje demony. Okazuje się, że ja nie mam tyle szczęścia, nie to co ty. Działam na kule jak jakiś pieprzony magnes. Wtedy u Krendala Alonzo trafił mnie pięć razy: w ramię, klatkę, brzuch... ale najbardziej narozrabiały te strzały w nogę. Jedna kula ciągle tam jest. Lekarze nie mogli jej wyjąć, mówili, że może mi to uszkodzić nerwy, ograniczyć ruchliwość mięśni. – Machnął ręką. – Twierdzili, że już nigdy nie będę chodził na własnych nogach. Powiedziałem im, że nie mają racji. Potem musiałem im pokazać, bo nikt mi nie wierzył. Zajęło mi to parę lat, ale już nie potrzebuję wózka – oznajmił z uśmiechem. – Urządziliśmy małą imprezę pożegnalną i zrzuciliśmy to ustrojstwo z mostu Hot Metal.

– Gratuluję.

– Chyba nas obu trudno jest zabić, podnosimy się po każdym ciosie i tak dalej.

– Opadł z powrotem na krzesło i odstawił laskę. – Usiądź, Jack.

– Dziękuję, postoję.

Jeden z mężczyzn stojących za stołem zrobił krok w moją stronę, ale Dunk zgromił go spojrzeniem, po czym sięgnął za plecy i wyjął niewielki rewolwer. Uśmiechnął się blado, położył broń na stole i pstryknął palcem, tak że zatoczyła półokrąg.

– Pamiętasz tę spluwę?

Owszem. Trzydziestkaósemka jego ojca. Zapamiętałem chyba każdy milimetr tej broni w dniu, kiedy zabrałem ją na ławkę na cmentarzu, całe lata temu. Wtedy wydawała mi się ogromnym, potężnym działem.

– Zawsze myślałem, że ojciec strzelił sobie z niej w łeb. Pamiętasz, jak ją chował? Musieliśmy włożyć na pudła i krzesła, żeby się do niej dostać. A w tym

ostatnim roku zostawiał ją gdzie popadnie. Raz znalazłem ją w łazience, na podłodze przy srczu. Siedział tam ze dwie godziny, potem się wytoczył i walnął na łóżko. Domyśliłem się, że dawał sobie w żyłę. Bo ćpał. Nie byłem pewny, kiedy to się zaczęło. Poszedłem do łazienki, żeby sprawdzić, czy nie zostawił sprzętu na podłodze, bo to też mu się zdarzało i raz prawie nadepnałem na igłę w środku nocy, kiedy poszedłem się odlać. Wtedy nie znalazłem igieł, tylko spluwę na podłodze. Stałem tam i gapiłem się na nią chyba z godzinę, zastanawiałem się, jak mało brakowało, żebym znalazł trupa. Zacząłem ją chować w różnych miejscach w mieszkaniu, ale zawsze ją znajdował. A potem znowu ją odkrywałem za wanną, w lodówce, w kuchence mikrofalowej. Czasem leżała po prostu na wierzchu, na stole czy na blacie w kuchni. To było mniej więcej wtedy, kiedy pomagałem ci przy ciotce. Chryste, uwielbiałem tę kobietę, była dla mnie jak matka. Myślałem w pewnym momencie, żeby schować rewolwer u ciebie, raz nawet to zrobiłem, ale przysięgam, że parę dni później znalazłem spluwę na środku pokoju w naszym mieszkaniu. Zawsze chciałem cię spytać, czy to ty ją znalazłeś i tam zaniósłeś...

Pokręciłem głową.

– Cóż, jedna z wielkich tajemnic życia – skwitował Dunk. – Kiedy zaczął walić herę na cały etat, dałem sobie spokój z chowaniem broni i zacząłem ją zostawiać na wierzchu. Uznałem, że skoro i tak ma się zabić, to lepiej dać mu szansę, żeby zrobił to szybko. No ale on jednak wybrał strzykawkę, żaloszny chujek. – Nachylił się do przodu, z ust śmierdziało mu cebulą. – Przez te lata poznałem parę osób, które strzeliły sobie w łeb. Słyszałem, że dołączyłeś do klubu. Ta wariatka z naprzeciwka, jak jej było?

– Leech. Elfrieda Leech.

– Taaaaaaaa – przeciągnął to słowo jak długi wydech. – Kto by pomyślał? Trzeba mieć jaja, żeby to zrobić. Ja bym chyba nie mógł się w ten sposób odmeldować. – Zwrócił się do jednego z facetów stojących za stołem, wielkiego jak futbolista. – A ty, Truck? Mógłbyś łyknąć kulę?

Głowa olbrzyma obróciła się na ramionach. Nie wyposażono go w szyję.

– Ja to nie, szefie. Wolałbym prochy. Może w ciepłej kąpieli. Łyknąłbym garść i odpłynął. Tak trzeba umierać, przyjemnie i w spokoju.

– Niezbyt przyjemnie dla tego, kto musiałby wyciągać z wanny twoje gołe dupsko, co? – Dunk parsknął śmiechem. – Trzeba pomyśleć o tych, których się zostawia. Czas płynie, płynie, płynie, ucieka w przyszłość... – To ostatnie zdanie zaśpiewał, z zamkniętymi oczami. – Ale tu jest pogłos. Uwielbiam Steve Miller Band. – Podniósł powieki i znów wskazał na puste krzesło. – Usiądź, Jack.

Tym razem posłuchałem. Drzwi wydawały się znajdować bardzo daleko.

Dunk wyjął z tylnej kieszeni złożoną kartkę. Położył ją na stole obok rewolweru i rozprostował.

Mój plakat z rysunkiem Stelli i pytaniem: „Czy ktoś mnie widział?”.

Wyszczrzył się od ucha do ucha.

– Znalazłem tę twoją dziewczynę. Nie było łatwo, ale mi się udało. Nie używa nazwiska Nettleton, od kiedy ten jej dom się spalił. Miała od tamtej pory chyba z paręnaście tożsamości, co nie, Reid?

Reid pokiwał głową.

– Co najmniej. No i szlaja się po całym kraju.

– Dlaczego jej szukałeś?

– Bo jesteś moim najlepszym przyjacielem, Jack. Tak postępują przyjaciele. Pomagają sobie.

– Nie jesteśmy... – Urwałem i od razu pożałowałem, że te słowa padły z moich ust. Zauważyłem, że Reid zerknął ukradkiem na tego wielkiego, do którego Dunk zwracał się „Truck”.

Dunk zgarbił się na krześle, uśmiech spelzł z jego twarzy.

– Nadal masz mi za złe to z jadłodajnią, co? Obwiniasz mnie o tę akcję Alonza? Mówiłem ci, że nie miałem z tym nic wspólnego. Alonzo po prostu chciał zabić Crocketa. Ja przy okazji dostałem pięć kulek i prawie się przekręciłem. Gnojek zrobił ze mnie kalekę. Jeśli miałoby to być częścią jakiegoś skomplikowanego planu, to raczej chujowego. Jakbym chciał zdjąć Crocketa, to sam bym to zrobił. Sprzedałbym mu kosę, chciałbym patrzeć, jak uchodzi z niego życie, z bliska. Nie bawiłbym się w tchórzliwe egzekucje maszynówką rodem z *Ojca chrzestnego*. Nie zabiłbym niewinnych ludzi, ludzi, których kochałem, moich przyjaciół. Nie zrobiłbym tego. Nie wydałbym na to zgody. Nie miałem z tym nic wspólnego.

– Alonzo był gnojkiem – mruknął Reid. – A do tego nie za byстрыm. Robił Crocketa w chuja, podkradał kasę i napychał sobie kieszenie. Crocket się skapnął, zamierzał go dorwać. Alonzo spanikował i zadziałał pierwszy. Zadziałał jak kretyn.

Dunk nachylił się do przodu i spojrzał mi prosto w oczy.

– Ja. Bym. Tego. Nie. Zrobił.

Zakotłowało mi się w żołądku, w ustach poczułem smak wypitego wcześniej jacka daniel'sa. Żałowałem, że nie wziąłem ze sobą butelki. Spojrzałem na plakat Stelli.

– Gdzie ona jest?

Dunk westchnął.

– Powiedz, że mi wierzysz.

– Wierzę ci. Gdzie ona jest?

– To mi nie brzmiało zbyt szczerze, Jack.

Pokręciłem głową i wstałem, prawie przewracając stolik.

– Nie chcę się w to bawić.

Zanim zdążyłem odejść od stołu, Truck położył mi rękę na ramieniu i popchnął z powrotem na krzesło.

– Siadaj.

Dunk machnął ręką i olbrzym mnie puścił.

– Niech ci będzie, Jack. Nie musisz mówić tego w tej chwili, ale zastanów się. Daj sobie trochę czasu i sam dojdiesz do prawdy. Jesteś bystry i dobrze mnie znasz. Lepiej niż ktokolwiek inny.

Kiedyś pewnie to była prawda. Ale teraz już nie. To nie był chłopak, z którym się wychowywałem. Wyrósł na zbira. Z wiadomości lokalnych orientowałem się, że przejął cały biznes Crocketa, tak jak zapowiadali detektywi. Handel narkotykami w całym mieście, do tego prawdopodobnie jeszcze prostytutka i nielegalny hazard. Nawet jeśli mówił prawdę i Alonzo Seppala zabił Crocketa na własną rękę, to tylko Dunk cokolwiek na tym zyskał. Co ważniejsze, Gerdy, Krendal i reszta nadal by żyli, gdyby Dunk nie zadawał się z tymi ludźmi. Nieważne, kto nacisnął na spust, śmierć tych osób była rezultatem jego decyzji i czynów.

– Wyglądasz, jakbyś miał chęć się napić – stwierdził Dunk. – Załatwcie mu jakąś flaszkę.

– Nic mi nie jest.

Znowu się wyszczerzył.

– Jak już mówiłem, wszyscy mamy swoje demony. Możesz się przed nimi chować albo je zaakceptować. Tak czy inaczej, są tutaj, może o krok za nami, ale zawsze depczą nam po piętach.

– Przestań pierdolić, Dunk. Jeśli wiesz, gdzie ona jest, to mi powiedz. Jeśli nie, wychodzę.

Dunk położył obie dłonie na rewolwerze ojca.

– Najpierw zrobimy mały eksperyment.

Dunk kciukiem wysunął bębenek i przechylił trzydziestkęósemkę na bok. Naboje wysypały się na stolik. Wsadził jeden z powrotem, zakręcił bębenkiem i wsunął go na miejsce.

– Chyba żartujesz.

Uśmiech Dunka nieco przygasł.

– Może jednak chcesz się napić?

Truck się uśmiechał, Reid nie. Pozostali faceci mieli nieprzeniknione twarze kamiennych posągów.

Dunk odłożył broń z powrotem na środek stołu.

– Nieśmiertelny. Mój bohater.

Łypnąłem na niego. Na rewolwer nawet nie chciałem patrzeć.

– Nie ma mowy.

– Przed śmiercią Crocket nauczył mnie wielu rzeczy, ale wiesz, jaka była pierwsza lekcja? Pierwsze, czego się od niego dowiedziałem? Wszystko jest towarem. Gorzała, dragi, fajki, dziewczyny, hazard. Jeśli ktoś czegoś chce, można określić cenę. Cena może się różnić w zależności od klienta, ale każdy zapłaci. Powiedział mi też, że informacje należą do najbardziej lukratywnych towarów, bo można je zdobyć bardzo niskim kosztem, a sprzedać za najwyższą stawkę, oczywiście odpowiedniemu nabywcy. Wyciągnąłem z tej rozmowy coś jeszcze, co odróżnia informacje od innych rzeczy, o których wspomniałem: alkoholu, narkotyków, papierosów, dziewczyn, które stanowiły podstawę interesów Croketa. Organom ścigania niezwykle trudno postawić zarzut kupna, posiadania i sprzedaży informacji. Zrozumiałem wtedy, w wieku szesnastu lat, że informacja to przyszłość. Wiedziałem, że jeśli kiedykolwiek będę miał szansę prowadzić ten biznes, zmienię podejście, znajdę sposób, żeby handlować przede wszystkim tym wyjątkowym towarem.

– Jeśli wiesz, gdzie ona jest, podaj cenę. Stać mnie. W ciągu godziny możesz dostać pieniądze.

– Słyszałem, jak dobrze ci się powodzi. Jeszcze bardziej polubiłem twoją ciotkę. To była nie tylko twarda babka, ale też mądra, że tak cię zabezpieczyła. – Dunk podniósł jeden z nabojów i zaczął rolować go między palcami. – Ale ja nie chcę twoich pieniędzy. Mam swoje. Zależy mi na informacjach.

– A jakież to ja mogę mieć informacje, na których mogłoby ci zależeć?

Odłożył, a raczej odstawił nabój na stolik. Mała mosiężna wieżyczka.

– Chcę wiedzieć, jakim cudem jeszcze żyjesz po tym wszystkim, co cię spotkało, a także dlaczego nie żyją wszyscy, którzy mieli do czynienia z twoją dziewczyną.

– Sam mówiłeś, ślepy traf. A może głupota, skoro w ogóle pakowałem się w takie sytuacje.

– Nie wydaje mi się, żeby chodziło o jedno czy drugie.

– No to o co?

Podsunał mi broń.

– Chcę, żebyś wsadził sobie lufę do ust i pociągnął za spust.

– Nic z tego.

– Możesz sam zakręcić bębenkiem, jeśli chcesz.

– Nie.

– I tak zapijasz się na śmierć. Po co marnować czas? Mój ojciec tak robił. Przeciągał sprawę. Wszystkim byłoby znacznie łatwiej, gdyby nie zwlekał.

– Nie mam skłonności samobójczych.

– Reid.

Na dźwięk swojego imienia Reid wyciągnął z płaskiej kabury przy pasku dzinsów pistolet kalibru 9 milimetrów i wycelował we mnie. Kciukiem odbezpieczył broń.

– Jeśli tego nie zrobisz – ciągnął Dunk – to robi to Reid. Zawsze ma jedną kulę w komorze, przygotowany na wszystko jak skaut. W magazynku ma jeszcze trzynaście. Widziałem, jak z dwudziestu metrów trafia facetów w biegu. Z odległości metra nie ma szans, żeby nie trafił. Daję ci więc wybór. Albo on cię zastrzeli, albo zaryzykujesz z rewolwerem, masz szansę pięć do jednego. W obu przypadkach przekonamy się, czy naprawdę jesteś farciarzem. Cenna informacja.

– Uratowałem ci życie – powiedziałem.

– Owszem, i zawsze będę ci za to wdzięczny.

Spojrzałem na rewolwer.

Dunk nie żartował. Reid też. Miałem wrażenie, że aż go świerzbi, żeby wpakować mi kulę.

Owinałem palce wokół rękojeści i podniosłem broń.

– Jak ją znalazłeś?

– Wszędzie mam ludzi. Nikt się przede mną nie ukryje. Z nią nie było łatwo, ale znajdowałem i trudniejsze przypadki.

Rewolwer był zimny w dotyku, lżejszy, niż zapamiętałem.

– Cammie Brotherton, Jeffery Dalton, Jaquelyn Breece, Keith Pickford.

– Kto?

Spojrzałem na niego.

– Jeśli to zrobię, pomożesz mi ich znaleźć. Cammie Brotherton, Jeffery’ego Daltona, Jaquelyn Breece i Keitha Pickforda. Studiowali na Penn State z moimi rodzicami.

Dunk się uśmiechnął.

– Chyba będę mógł...

Obróciłem się na krześle, wycelowałem trzydziestkęósemkę w pierś Reida i pociągnąłem spust.

Rozległy się dwa suche trzaski.

Pierwszy wydał rewolwer w moim ręku, kiedy kurek opadł na pustą komorę bębenka. Drugi dobył się z pistoletu Reida, który nie wystrzelił.

Zerwałem się od stolika i walnąłem go rewolwerem w dłoń, miażdżąc mu palce. Tym razem pistolet wypalił. Pocisk poleciał gdzieś w przestrzeń i uderzył w coś metalowego daleko w ciemności.

Dunk też zerwał się na równe nogi, chociaż ta uszkodzona trzęsa się pod nagłym ciężarem.

– Ja pierdolę! Widziałeś to? Widziałeś?!

Odsunąłem się od nich i wycelowałem z rewolweru w twarz Reida.

– Rzuć broń!

– Ja pierdolę. Nie wierzę! – emocjonował się Dunk. – Zrób, jak mówi, Reid.

Rzuć broń.

– Stoi centralnie przede mną.

– Nie uda ci się.

– Pierdolenie.

Pociągnąłem za spust – znowu pusta komora.

Reid też wystrzelił. Pusty trzask.

– Trzydziestkaósemka jest nienabita, Jack – powiedział Dunk. – Schowałem ten ostatni nabój, zobacz. – Pokazał mi mosiężny pocisk. – Ja pierdolę. Nie sądziłem, że naprawdę to zrobisz, ale na wszelki wypadek schowałem, nie mogłem pozwolić, żebyś się zastrzelił!

Zagapiliśmy się z Reidem na jego pistolet.

– Ale tej spluwy nawet nie tknąłem. Ja pierdolę. Odłóż pistolet, Reid. Ja pierdolę, ale mi pikawa wali!

Reid niechętnie opuścił broń, zabezpieczył i wsunął z powrotem do kabury. Twarz pociemniała mu z gniewu.

Dunk oparł się na lasce i obszedł stół. Z kieszeni wyjął złożoną kartkę.

– Tu ją znajdziesz. Ale nie wiem, jak długo tam będzie.

Wziąłem papier i przeczytałem adres.

– Na pewno?

Skinął głową.

– Zobaczę, co mi się uda zrobić w sprawie tamtych ludzi. Zasłużyłeś sobie. Chłopaki odwiozą cię do auta. – Ruszył w stronę dwóch escalade'ów zaparkowanych na zewnątrz. – Ja pierdolę – powiedział znowu. – Mój chłopak, Jack Thatch. Nie wierzę, że naprawdę pociągnąłeś za spust. – Roześmiał się. – Nieśmiertelny pociągnął za spust, mój bohater.



### 3

Dewey Hobson mu się wymknął.

David Pickford był gotów się do tego przyznać.

Aby rozwijać się jako człowiek, należy zrozumieć swoje ograniczenia, przyznać się do błędów, a nawet porażek. A jemu nie udało się znaleźć Deweya Hobsona przez cztery lata, od kiedy postawił to sobie za cel. Na swoją obronę miał fakt, że akta Charter w sprawie Hobsona były skąpe, w odróżnieniu od pozostałych. Zdarzały się też fałszywe tropy. Kiedy Elfrieda Leech uprzejmie poinformowała go, że Dewey Hobson ukrywa się w Tennessee, mniej więcej w pół drogi między łańcuchem Great Smoky Mountains a wyżyną Cumberland, gdzieś pod Mascot, szczerze w to wierzyła. Nie pomyliła się. Dewey Hobson rzeczywiście tam przebywał przez blisko sześć lat. Mieszkał w okolicach House Mountain. Kiedy jednak David zjawił się tam z obstawą cztery lata temu, w kwietniu 1994 roku, mężczyzny już nie było. Zostawił po sobie tylko pusty dwupokojowy domek, trochę starych naczyń i kilka wypalonych polan w kominku.

Hobson nauczył się żyć poza systemem i to głównie dlatego Charter nie mogła go namierzyć przez blisko dwadzieścia lat.

Nawet jeśli ktoś używa fałszywych dokumentów, pozostawia za sobą ślady.

Miłośnik kanapek z tuńczykiem nie przestaje się nimi zajadać, choćby kilkakrotnie zmienił tożsamość. Schematy wydatków były jak odciski palców, a analiza takich schematów poprzez rejestry bankowe i historię kredytową nie przysparzała Charter specjalnych trudności. To w ten sposób znaleźli niektórych z pozostałych.

Jednak namierzenie kogoś, kto w dzisiejszych czasach nie ma rachunku bankowego ani historii kredytowej, ani nie opłaca żadnych rachunków za media, to zupełnie inna para kaloszy. Niektórzy stwierdziliby wręcz, że to niemożliwe. Człowiek, który nauczył się żyć poza systemem, nie zostawiał żadnych śladów, stawał się duchem. Dewey Hobson potwierdził, że to prawda, właśnie dlatego im się wymykał, wymykał się jemu. Dopiero kilka miesięcy temu Davida olśniło – zamiast skupiać się na tym, gdzie Dewey Hobson mógł pojechać, powinni skoncentrować się na tym, co robi, kiedy już się tam znajdzie. Choć w tym wielkim kraju nie brakuje wielkich połaci dzikich terenów, stosunkowo niewiele

jest miejsc, w których można żyć poza systemem, ale na tyle blisko cywilizacji, żeby móc się zaopatrywać w niezbędne artykuły.

Podczas studiów na Penn State Dewey Hobson uwielbiał czytać. David przypuszczał, że w pewnym stopniu dlatego właśnie wybrał życie z dala od świata. Skoro mógł być szczęśliwy, mając za towarzystwo wyłącznie dobrą książkę, to chętnie zamieszkałby nawet w dziurze w ziemi krytej strzechą. Jednak tak samo jak w przypadku hipotetycznego miłośnika kanapek z tuńczykiem zwyczajnie czytelnicze Hobsona poza systemem musiały pozostać takie same jak dawniej, na tym więc David kazał się skoncentrować Charter, kiedy wyruszył na misję odnalezienia ostatnich uczestników eksperymentu i pozbycia się ich jak szczurów laboratoryjnych, którymi przecież byli. Powszechnie uważało się, że biblioteki nie rejestrują wypożyczanych książek z uwagi na ochronę prywatności czytelników. Nie była to jednak prawda. Biblioteki rejestrowały te informacje, ale traktowały je jak dane poufne, przechowywane bezpiecznie w komputerowych bazach dostępnych wyłącznie pracownikom i najwprawniejszym hakerom. Charter zatrudniała cały oddział wprawnych hakerów, więc bazy wypożyczeń były dla nich – nomen omen – otwartą księgą.

W dzieciństwie, latach nastoletnich i jako dorosły mężczyzna Dewey Hobson zaczytywał się w książkach Agathy Christie, Roberta Ludluma i Philipa K. Dicka. Nie odpuścił też żadnego westernu Louisa L'Amoura. Hobson nie był oczywiście jedynym wielbicielem tych autorów. Spod ich pióra wyszły przecież najpopularniejsze książki w historii. Jednak takie połączenie kryminałów, science fiction i westernów było nietypowe. Większość osób trzyma się jednego gatunku, może dwóch. Mało kto ma tak szerokie horyzonty.

Kiedy w Charter zaczęto monitorować bazy bibliotek pod kątem użytkowników wypożyczających książki tej czwórki autorów, udało się namierzyć Deweya Hobsona po raz pierwszy, w Carte Del Playa w stanie Nowy Meksyk, w roku 1996. David już go tam nie zastał, ale wkrótce odkryli ten sam schemat w bibliotece pod Waitsburn w Vermoncie. Tam już prawie go dopadli. Naprawdę mało brakowało. David minął się z nim o tydzień, góra dwa. To było nieco ponad rok temu.

W maju tego roku schemat ujawnił się znowu w bibliotece publicznej pod Trego w stanie Montana. Choć lokal był malutki, dwa lata wcześniej zainstalowano kamery, więc w Charter bez większych trudności zhakowali system monitoringu i zaczęli obserwację. Ostatnie znane zdjęcie Deweya Hobsona wykonano dwadzieścia lat temu, ale od razu rozpoznali go na nagraniach z kamer. Zdradziło go czoło, absurdalnie wysokie. Zauważyli go od razu, mimo czapki traperki, długich włosów i brody. Wkrótce potem David wysłał ekipę. Śledzili każdy jego ruch, obfotografowali szarego forda bronco i dowiedzieli się, gdzie

Hobson mieszka. Za każdym razem, kiedy wypuszczał się do miasteczka ze swojego domku przy jeziorze Marl, zdobywali kolejne okruchy informacji.

Dewey Hobson już się im nie wymknie.

David kazał Oliver i reszcie czekać przy samochodach. Nie potrzebował ich. Przeciwnie – ostatnie, czego było mu trzeba, to gromady ludzi przedzierających się za nim przez las z niemiłosiernym hałasem. Domek Hobsona stał w odległości ponad kilometra pieszo od najbliższej drogi gruntowej, wykorzystywanej do transportu ściętych drzew. Zgodnie z oczekiwaniem tuż przy tej drodze znaleźli bronco ukrytego w kępie drzew pod siatką maskującą. David powiedział im, żeby czekali cierpliwie, a on pójdzie sam. Kiedy trafił na pierwszą pułapkę, żyłkę rozciągniętą nisko nad ziemią, ucieszył się, że podjął taką decyzję. Któreś z nich na pewno by się potknęło. Znalazł jeszcze trzy takie pułapki, zanim w końcu zobaczył domek.

Drewniana, ręcznie zbudowana chatka stała na środku niewielkiej polany, jakieś piętnaście metrów od brzegu jeziora. Na oko mogła mieć najwyżej czterdzieści metrów kwadratowych, ale i tak była większa niż ta z Waitsburn. Z boku domu leżała wysoka sterta drewna na opał, z kamiennego komina unosiła się smuga dymu, a na ganku, z widokiem na wodę, stał fotel bujany.

Fotel huśtał się powoli w przód i w tył.

Dzień był bezwietrzny.

Woda gładka jak stół.

Ktoś musiał tam przed chwilą siedzieć.

Z lewej strony, z odległości kilku kroków dobiegł Davida charakterystyczny odgłos ładowanej strzelby.

– Cześć, Dewey. – David starał się, żeby jego głos nie brzmiał groźnie, i dopiero po chwili dotarło do niego, że nie może tak brzmieć, gdy wypowiada imię Dewey. – Piękne miejsce. Cisza i spokój, daleko od wszystkiego. Rozumiem, co ci się tu spodobało.

Dewey Hobson wyszedł spomiędzy drzew, trzymając się na bezpieczną odległość. Sądził pewnie, że jeśli zanadto się zbliży, David złapie za lufę strzelby, może nawet będzie próbował mu ją wyrwać. Oczywiście David nie potrzebował odstawiać takich scen. Na razie jednak nie zamierzał go denerwować, nie było powodu.

– Jestem David Pickford.

– Chłopak Keitha Pickforda?

David skinął głową.

– Ma mnie to niby uspokoić? – Wyraźnie nie uspokoiło. Hobson zrobił krok do tyłu. – Wiem, co się stało z twoimi rodzicami. Słyszałem o tym wtedy. Na kolana.

– Trudno cię znaleźć.

– Nie powinieneś mnie szukać.

David się uśmiechnął.

– Stresujesz mnie, Dewey. Może opuścić tę strzelbę?

– Okej. – Hobson skierował lufę do ziemi. Po chwili zmarszczył czoło i uniósł brew. Nie rozumiał, dlaczego właściwie opuścił broń, wiedział tylko, że to zrobił. Kiedy próbował znowu ją podnieść, ręka odmówiła mu posłuszeństwa. Strzelba wisiała bezwładnie u jego boku.

– Może wejdziemy do środka? Mamy dużo do obgadania.

– Okej.

– Weź strzelbę.

– Okej.

Domek był skromnie umeblowany, ale przyjemny. Ani telewizora, ani radia. Lamy naftowe zamiast światła elektrycznego. Prowizoryczna kuchnia pod zachodnią ścianą, z piecem na drewno w kącie. Hobson musiał niedawno dołożyć do ognia, bo kilka polan płonęło jasnopomarańczowo, emanując ciepłem. Obok pieca stał okrągły stolik z trzema krzesłami, zavalony książkami, czasopismami i innymi szpargałami. Kawałek blatu przed jednym z krzesel był pusty. David wyobrażał sobie, jak Dewey Hobson spożywa tu posiłki, za jedyne towarzystwo mając głosy w swojej głowie. Drzwi do łazienki stały otworem. David zauważył, że w malutkiej klitce mieści się tylko sedes i umywalka.

– Gdzie się myjesz, Dewey?

– W jeziorze.

– To pewnie przyjemne.

– Zwykle jest zimno.

Chociaż ubrania Hobsona były stare i rozpaczliwie domagały się interwencji dobrej krawcowej, nie wyglądał brudno. Brodę miał gęstą, ale porządnie utrzymaną. Przydałoby mu się strzyżenie, ale długie włosy były uczesane. Ciężkie, solidne buciory wyglądały na prawie nowe.

David wskazał na krzesło przy pustym kawałku blatu.

– Usiądź, Dewey.

Hobson opadł na krzesło, kładąc sobie strzelbę na kolanach.

David wyciągnął sąsiednie krzesło i też usiadł, przyglądając się książkom na stole.

– Która jest twoja ulubiona?

– *Zabójstwo Rogera Ackroyda* Agathy Christie – odparł Hobson bez chwili wahania. – Wspaniałe zakończenie, prawdopodobnie jeden z najlepszych zwrotów akcji w dziejach.

– Nie czytałem.

– Powinieneś.

- Wiesz, dlaczego tu jestem?
- Domyślam się, że zamierzasz mnie zabić.

Hobson powiedział to zupełnie nonszalancko, dłonie spoczywały mu luźno na broni.

- Powinieneś być umrzeć już dawno temu.
- Może i tak.
- Zaraz po zastrzyku.

Hobson nie odpowiedział, spuścił tylko wzrok na strzelbę.

David westchnął.

– Zawsze mnie dziwiło, że akurat tobie zrobili zastrzyk. Z akt wynika, że nie miałeś żadnych szczególnych zdolności, żadnych prognostyków, niczego, co usprawiedliwiłoby twój udział w eksperymencie, a jednak cię do niego włączono razem z resztą. Wystąpiła u ciebie jakakolwiek reakcja, Dewey? Po zastrzyku?

Dewey Hobson zaczął się pocić. Usta mu zadrżały, ale nic nie powiedział.

– Nie wypada nie odpowiadać na pytania gościa, Dewey. Miałeś jakąś reakcję?

Hobson nie chciał odpowiedzieć. David zobaczył ból i konsternację w jego oczach, kiedy słowa mimo wszystko opuściły jego usta.

– Przed zastrzykiem słyszałem elektryczność. Ciągłe bzyczenie, wszędzie. Potem zrobiło się jeszcze gorzej.

David opadł na oparcie krzesła i splótł dłonie.

– Ciekawe. To dlatego nie masz tu żadnej elektroniki?

Hobson przytaknął.

– Za głośno. Czasem aż mnie od tego napierdala. Bzz, bzz, bzz. Trudno myśleć, jeszcze trudniej zasnąć. Tu jest cicho.

- To bardzo samotne życie.
- Nie mam wielkiego wyboru.

David poklepał kolbę strzelby.

– Powiedz mi coś, Dewey. Jeśli włożysz sobie lufę do ust, dosięgniesz do spustu czy broń jest za długa?

- Nie wiem.
- Możesz sprawdzić?
- Okej.

Hobson wziął do ręki strzelbę, obrócił wylotem lufy do twarzy, po czym objął ustami. Przesunął dłonie w dół, do spustu. Musiał się trochę wysilić, ale sięgał.

– Dobrze, Dewey. Możesz wyjąć strzelbę z ust. Mam jeszcze kilka pytań.

Hobson odłożył broń z powrotem na kolana i otarł usta rękawem.

– Masz dzieci, Dewey?

Hobson pokręcił głową.

– Na pewno? Taki kobieciarz?

– Na pewno.

– Dlaczego?

– Bo oni chcieli dzieci. Nie mogłem.

– Czego nie mogłeś?

– Oddać im swoich dzieci.

– Dzieci, których nigdy nie miałeś.

Hobson nie odpowiedział.

– Bo jeśli jednak miałeś dzieci i nie powiedziałeś mi o tym, nie powiedziałeś nam, to byłoby kiepsko.

Pot zbierający się na czole zaczął mu ściekać po twarzy.

– Nie mam dzieci.

– Wierzę ci, Dewey – odparł David, choć nie był do końca przekonany. – Musisz mi powiedzieć coś jeszcze, coś bardzo ważnego. Możesz to zrobić?

– Tak.

– Musisz mi powiedzieć, gdzie znajdę pozostałych.

– Zabiliście pozostałych.

– Nie wszystkich. Kilkoro ostatnich trochę nam się wymyka, tak jak ty. – David nachylił się do przodu. – Gdzie oni są, Dewey?

Hobson zaczął się trząść, twarz mu poczerwieniała. Nie chciał, ale mówił.

– Wiem tylko, gdzie jest Cammie. Zresztą może już jej tam nie być. Często się przemieszcza.

– Jak utrzymujecie kontakt?

Hobson nie odpowiedział.

– Dewey...

– Dalton nas wszystkich nadzoruje, pomaga się organizować.

– A gdzie znajdę Daltona?

– Nie wiem – odparł Hobson. – Nigdy nie wiem, co się z nim dzieje.

– Gdzie jest Cammie?

Hobson mu powiedział.

David rozparł się na krześle. Podobał mu się zapach płonącego drewna, ciepło pieca. Cała ta atmosfera wydawała mu się przyjemna, odprężająca.

– Lubieś moich rodziców, Dewey?

– Twoja matka była miła. Trochę nieśmiała, ale miła. Za to twojego ojca nikt nie lubił. Kawał drania.

– Nieładnie mówić takie rzeczy o zmarłych.

Hobson nie odpowiedział. David przechylił głowę.

– Uważasz mnie za przystojnego mężczyznę, Dewey?

– Nie.

Zabolało, ale David nieraz słyszał tę odpowiedź. Tyle razy, że nie potrafił zliczyć. Zerknął na strzelbę... już prawie czas.

– Jestem pięknym mężczyzną. Prawdopodobnie najatrakcyjniejszym człowiekiem, jakiego w życiu widziałeś.

– Jesteś pięknym człowiekiem, Davidzie Pickfordzie.

– No, tak lepiej.

David wstał i przekopał się przez książki na stole, aż znalazł *Zabójstwo Rogera Ackroyda*. Eleganckie pierwsze wydanie w skórzanej oprawie i z połączanymi brzegami.

– To twoja ulubiona książka? Najlepsza spośród wszystkich tutaj?

Hobson pokiwał głową.

David wrzucił książkę przez otwarte drzwiczki pieca. Leżące na wierzchu polano zatrzaśkało i pękło pod jej ciężarem. Płomienie zaczęły trawić skórzaną okładkę.

– No dobrze, teraz włóż sobie strzelbę z powrotem do ust, Dewey.

Hobson posłusznie spełnił rozkaz.

David zamierzał patrzeć, jak mężczyzna popełnia samobójstwo. Rzadko miał okazję popatrzeć, ale nagle wpadł mu do głowy inny pomysł.

Znacznie lepszy.

## 4

Ósmego sierpnia 1998 roku o osiemnastej dwadzieścia trzy samolot linii Eastern Airlines wylądował w Reno w stanie Nevada. Detektyw Joy Fogel siedziała przy oknie w osiemnastym rzędzie, obok starszej kobiety robiącej na drutach i biznesmena zatopionego w jakichś papierach na fotelu od przejścia.

Na lotnisku wypożyczyła toyotę camry, wyjęła z bagażu głównego pistolet i kaburę, po czym schowała walizkę do bagażnika i kierując się znakami, pojechała drogą I-80 na wschód, a potem US-50. Chwilę po ósmej wieczorem dotarła do miasteczka Fallon.

Było potwornie gorąco. Nawet po zachodzie słońca i przy włączonej klimatyzacji mokre plecy lepiły się jej do skórzanej tapicerki. Zakonotowała sobie, żeby już nigdy latem nie przyjeżdżać do Nevady.

Nigdy.

Jak większość miasteczek w tym stanie Fallon wyrosło na środku pustyni i wyglądało tak, jakby w każdej chwili mogło z powrotem obrócić się w piach, gdyby zepsuł się kran albo ktoś odciął dopływ wody na dłużej niż godzinę. Miasto otaczały pola lucerny, co potęgowało wrażenie, jakby było wycięte, wykrojone z okolicy. Wzdłuż głównej ulicy (która nazywała się, a jakże, Main Street) stały dwa szeregi parterowych i jednopiętrowych budyneczków, jakby żywcem wyjęte z westernu, gdyby nie asfaltowa nawierzchnia.

Znalazła niedużą jadłodajnię w centrum miasteczka, zajęła boks na tyłach i zamówiła cheeseburgera, frytki i dużą colę. Wygrzebała z torebki nokię, którą Stack wcisnął jej przed wyjazdem z Pittsburgha, i ją włączyła. Dwa razy próbowała się do niego dodzwonić z trasy, ale nie złapała zasięgu. Bateria była dość słaba, więc uznała, że najlepiej trzymać urządzenie wyłączone. Kiedy ekran obudził się do życia, ukazały się dwie kreski. Wcisnęła klawisz z jedyneką, przypisany pierwszemu numerowi z listy szybkiego wybierania. Po dwudziestu sekundach wreszcie się połączyła.

– Stack.

– Jesteś pewny z tą dziurą? – spytała Fogel bez wstępów. – Nic tu nie ma.

– Gdzie teraz jesteś?

Odpowiedziała.



– Widziałaś kiedyś ten film *Top Gun* z Tomem Cruise’em i Kelly jakąś tam?

– Kelly McGillis.

– Niech będzie. Prawdziwy ośrodek szkoleniowy z tego filmu dwa lata temu przeniesiono z Miramar w Kalifornii do bazy lotnictwa morskiego pod Fallon, na południe od miasteczka. Dzięki tej bazie miasteczko w ogóle jeszcze żyje. Ty musisz jechać do miejsca mniej więcej w połowie drogi między miastem a lotniskiem przy I-118.

– I myślisz, że on tam teraz jest?

– Thatch wypłacił kolejne trzysta dolarów z tego samego bankomatu wczoraj wieczorem, chwilę po dziesiątej: to dwa wieczory z rzędu, mniej więcej o tej samej porze. Nie mamy powodu sądzić, że znajduje się gdziekolwiek indziej. Na wszelki wypadek wysłałem paru kumpli, żeby obserwowali cmentarz w Brentwood, ale instynkt mi mówi, że on jest tam.

Fogel wrzuciła do ust ostatni kęs burgera i popiła colą.

– Dam ci znać, czego się dowiem.

– Jesteś ubrana jak glina? Powinnaś się pewnie przebrać.

Fogel spojrzała na swoją granatową koszulę i czarne spodnie.

– Masz jakieś sugestie? Nie byłam nigdy w takim miejscu.

– Coś nieformalnego.

– Nieformalnie, rozumiem.

– Byle nie seksownie.

– Żegnam.

Stack coś jeszcze powiedział, ale nie dosłyszała. Mimo dwóch kresek na wyświetlaczu zasięg nie powalał. Zauważyła też, że zeszła już prawie jedna czwarta baterii. „Nigdy toto nie zastąpi porządnego telefonu z kablem”, pomyślała, wyłączając nokię i wrzucając ją do torebki.

Poprosiła o rachunek, zostawiła pieniądze na stoliku i wyszła w gorącą jak piec noc.

Najpierw zauważyła fioletową poświatę neonów na horyzoncie, później w polu widzenia pojawił się przysadzisty budynek, nieco odsunięty od drogi I-118, jakieś pięć kilometrów za Fallon. Po drodze minęła jakiś zapuszczony motel, ale poza tym nic tu nie było. Cóż, pewnie nawet w takim mieście jak Fallon lepiej trzymać tego typu lokale poza granicami miasta. W tak małej odległości od bazy marynarki lotniczej musiały znajdować się takie przybytki.

Duży fioletowy neon wskazywał zjazd z głównej drogi do Mike’s Gentlemen’s Club, ale znak nie był potrzebny. Podążyła po prostu za kolejką innych samochodów. Na parkingu pracownicy w smokach dali jej znać, żeby ustawiła się w kolejce, ale objechała budynek i stanęła na tyłach. Jeśli będzie musiała się

szybko ewakuować, wolała mieć przy sobie kluczyki i łatwy dostęp do samochodu.

Na tylnym siedzeniu przebrała się w dżinsy i białą koszulkę na ramiączkach, po czym ruszyła za sznurem mężczyzn w mundurach marynarki do podwójnych drzwi frontowych. Klimatyzatory musiały pracować na pełnych obrotach, bo gdy tylko przekroczyła próg, temperatura spadła o dobre kilkanaście stopni. Zawahała się, czy nie wrócić do auta, żeby przebrać się w bluzkę z długim rękawem, ale zmieniła zdanie – nie zamierzała zostać tu długo.

Według informacji na ścianach wstęp kosztował dwadzieścia dolarów, ale najwyraźniej dotyczyło to wyłącznie mężczyzn – jej wręczono dziesięć darmowych kuponów na drinki i zaproszono ją do środka, gdzie oczy przez chwilę przyzwyczajały się do ciemności. Z niewidocznych głośników dudniło *Walk This Way* Aerosmith, ciemność przecinały światła laserów, ślizgające się po licznych scenach i dziesiątkach stolików – wewnątrz okazało się znacznie większe, niż wydawało się z parkingu. Na każdej scenie, wielu stolikach i w różnych miejscach w tłumie widać było piękne kobiety, w różnym stopniu roznegliżowane. Niektóre były zupełnie nagie, inne miały na sobie skąpe bikini lub bieliznę. Wśród klienteli Fogel naliczyła zaledwie kilka kobiet i poczuła się bardzo nieswojo.

Każdy centymetr powierzchni wypełniali mężczyźni. Mniej więcej co trzeci miał na sobie mundur, inni byli w swobodnych, nieformalnych strojach. Tych w trzyczęściowych garniturach Fogel uznała za ochronę. Podeszła do baru i zamówiła wódkę z sokiem żurawinowym. Barman podał jej drinka, machając ręką na kupon, który próbowała mu wręczyć. Wrzuciła kupony do torebki i przeskanowała wzrokiem tłum. Część stolików i krzeseł ustawiono wokół scen, ale większość umieszczono we wnękach i za ściankami, których jedynym celem było zapewnienie prywatności. Przyglądając się sufitowi, zorientowała się, że prywatność jest tu tylko złudzeniem – wszędzie były kamery, wyposażone w czujniki podczerwieni, umożliwiające filmowanie w ciemności. Ktoś gdzieś to wszystko obserwował.

Jeden z DJ-ów ogłosił, że Heaven ma się zgłosić na główną scenę, a Tori i jej koleżanki można znaleźć w sali z szampanem. Aerosmith ustąpiło Guns N' Roses i *Sweet Child O' Mine*. Trzech facetów po lewej od Fogel wypilo kolejkę, przekrzykując muzykę.

Z drinkiem w ręku zaczęła się przeciskać przez tłum. Niektóre klientki się do niej uśmiechały, inne mierzyły ją wzrokiem – oceniały jej ciało tak bezwstydnie jak niektórzy z mężczyzn. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak brudna. Marzyła o prysznicu.

Znalazła Jacka Thatcha przy stoliku w kącie na tyłach, wciśniętym między ścianę ze sztucznych roślin a korytarz, prowadzący zapewne do garderoby

pracowniczej. Ledwie go rozpoznała – miał zmierzwiłone włosy i nie golił się chyba od tygodnia. Nie widziała go od wielu lat, a czas nie był dla niego łaskawy. Chociaż miał bezpośredni widok na jedną ze scen, wcale nie patrzył na szczupłą blondynkę wijącą się na rurze. Wbijał wzrok w kieliszek trzymany w dłoniach.

Fogel podeszła i postawiła swoją szklankę na stole.

– Mogę się dosiąść?

W pierwszej chwili nie zareagował i już miała powtórzyć pytanie, zakładając, że zagłuszyła ją muzyka. Kiedy jednak podniósł wzrok, nie zauważyła w jego oczach zaskoczenia. Okazały się smutne i pozbawione wyrazu. Albo był już pijany, albo na dobrej drodze.

Wychylił kolejkę, odstawił pusty kieliszek na brzeg stolika i gestem zaprosił ją na jedno z wolnych krzeseł.

– Zawędrowałaś daleko od domu, detektywko.

Fogel usiadła twarzą do niego, z torebką na kolanach.

– Trudno cię znaleźć, Jack.

– Staram się. – Machnął na przechodzącą kelnerkę. Spojrzała na pusty kieliszek, puściła oko do Thatcha, zauważyła, że Fogel ma jeszcze drinka, i ruszyła do baru. Porozumienie bez słów.

Obejrzał się na drzwi.

– Dopiero przyszałaś?

Fogel przytaknęła. Jack pochylił się do przodu.

– Ile białych samochodów widziałaś na parkingu?

– Białych samochodów? Nie wiem. A co?

– Parę dni temu był tylko jeden. Dzisiaj, kiedy przyjechałem, naliczyłem już trzy. Muszę znowu sprawdzić.

Mówił trochę bełkotliwie, ale nie aż tak, jak się spodziewała. Potoczył wzrokiem po tłumie w klubie, po czym znów wbił oczy w pusty kieliszek.

Fogel też nachyliła się bliżej.

– Jest tutaj?

– Kto?

– Stella Nettleton.

Jego spojrzenie znowu nic nie zdradziło. Nawet nie podniósł oczu znad kieliszka.

– A czemu miałyby tu być?

– Bo ty tu jesteś.

To wywołało na jego twarzy uśmiech. Krzywy uśmiech.

– Może to dlatego, że jestem o parę kolejek do przodu, ale nie dostrzegam logiki w tym stwierdzeniu. Może po prostu rozważam wstąpienie do marynarki. –

Podniósł rękę, odgrywając pantomimę lotu. – Będę latał samolotami, jak Maverick i Goose. Ale nie jak Iceman. On był chujkiem.

Kelnerka wróciła z następną kolejką, zgarnęła pusty kieliszek i zniknęła wśród tłumu. Jack przysunął sobie alkohol.

– W Pittsburghu nie brakuje klubów ze striptizem. Jeśli chciałaś zaspokoić jakąś fantazję, nie musiałaś wsiadać do samolotu i lecieć taki kawał drogi. Bałaś się, że wpadniesz na kogoś z pracy? Tak, pewnie o to chodzi. Niektóre sekrety lepiej trzymać w ukryciu.

– Jest ósmy sierpnia – odparła Fogel. – Ktoś dzisiaj umrze, prawda?

– Czy to wyznanie?

– Co roku, jak w zegarku.

Nie odpowiedział.

– Billings w Montanie, Iowa, Chicago, New Hampshire... a teraz Fallon w Nevadzie. – Fogel obróciła się na krześle. – Kto to będzie? Ktoś tutaj?

– Idź policzyć białe samochody, żebyśmy nie musieli wstawać. Może ci powiem.

– Wiem, że to ona, Jack. Nie wiem, jak ani dlaczego zabiła tych wszystkich ludzi, ale wiem, że to ona. Porozmawiaj z nią w moim imieniu. Jeśli odda się w ręce policji, dopilnuję, żeby była bezpieczna. Bo tego właśnie chcesz, prawda? Nie chcesz, żeby stało się jej coś złego. Zależy ci na niej. Zrozumiałam to tamtego dnia, kiedy patrzyłeś na obraz w jej pokoju. Jeśli się nie podda, kto wie, jak to się skończy. Już sobie wyobrażam, jak zastrzeli ją jakiś żółtodziób, młody policjant z ciężkim palcem na spuście, który będzie chciał się na tym wybić. Wyobraź sobie, że ona zginie, a ty mogłeś temu zapobiec.

– Napij się ze mną kolejkę.

– Co?

– Napij się ze mną. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Nie.

– Tak, dobrze ci to zrobi. Strasznie jesteś spięta. – Jack zatrzymał kelnerkę, pokazał jej swój kieliszek, a potem Fogel. Kobieta wróciła po chwili i postawiła przed nią alkohol.

– To jameson, posmakuj ci.

– Znam jamesona.

Wziął swój kieliszek i podniósł go wysoko nad stołem.

– Za detektywów i detektywki wydziału zabójstw policji w Pittsburghu, byłych i obecnych, za wszystkich was uparciuchów. – Przełknął whisky i mocno odstawił kieliszek na stół.

Fogel westchnęła i też wypijała do dna. Aż nią zatelepało.

Jack opadł na oparcie krzesła, znowu się uśmiechając.

– A w ogóle to na terenie tego stanu jesteś jeszcze glina? Założę się, że mam takie samo prawo cię aresztować jak ty mnie. Z tego, co rozumiem, twój szef powinien zadzwonić do tutejszego szeryfa i powiadomić go, że będziesz pracowała nad jakąś sprawą. Potrzebujesz zezwolenia, nie możesz sobie tak po prostu przyjechać. Domyślam się, że gdybyś właśnie sobie tak po prostu przyjechała, nie poinformowawszy odpowiednich osób, ściągnęłabyś na siebie niezłe kłopoty. Wyglądasz mi na dziewczynę, która nie łamie zasad, więc nie jestem pewny... A właśnie... Masz broń?

Fogel bezwiednie spojrzała na torebkę, zanim zdołała się powstrzymać.

Jack uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Ja nie mam, więc w takim razie masz pewną przewagę. Ludzie z białych samochodów lubią mieć przy sobie spluwy. Przed każdą podróżą do nowego stanu sprawdzam przepisy dotyczące noszenia ukrytej broni, żeby się zorientować, co wolno, a czego nie. Co ciekawe, w Nevadzie obowiązują bardzo luźne zasady, ciągle jest tu jak na Dzikim Zachodzie. Właściwie wszędzie można tu chodzić ze spluwą na wierzchu. Nie krępuj się, przypasaj ją sobie do biodra i noś z dumą!

– Co to za białe samochody? Ciągle o nich wspominasz.

Jack podniósł palec, dał jej znać, żeby się nachyliła.

– Nie podoba mi się w Nevadzie. Strasznie tu gorąco, za gorąco na płaszcze. Zostawiają samochód na parkingu i już nie można ich namierzyć. – Potoczył ręką po klubie. – To może być każdy z tych ludzi, może z wyjątkiem dziewczyn... Ale kto wie?

Na stole pojawiła się nowa kolejka. Fogel nawet nie zauważyła, kiedy Jack ją zamówił. Podsunął jej kieliszek. Pokręciła głową.

– Nie mogę.

– No weź, przecież masz wakacje, nie? Bo jeśli szeryf nie wie, że tu jesteś, to musisz mieć wolne. – Podniósł kieliszek. – Za następną osobę!

– A wiesz, kto będzie następny?

– Na pewno ci tego nie powiem, zwłaszcza że nawet nie chcesz się ze mną napić. – Wypił do dna i prawie upuścił kieliszek.

Przez głowę Fogel przemknęła głupia myśl, powinna ją zignorować, ale tego nie zrobiła – jeśli go upije, może zacząć mówić. Jest już prawie gotowy. Jeszcze jedna, góra dwie kolejki. To nie będzie zeznanie w sensie prawnym, ale może wreszcie się dowie, o co tu chodzi, i da radę jakoś to wykorzystać.

Podniosła kieliszek, uśmiechnęła się i wychyliła.

Potem wypili jeszcze po jednym.

Z głośników zawył Lenny Kravitz z *Fly Away*. Lubiła ten kawałek. Przysunęła krzesło bliżej Jacka i nachyliła się do jego ucha.

– Kto jest następny?

– A co cię to obchodzi? Może właśnie dlatego tu jesteś. Może ona chciała, żebyś tu była. Skąd masz wiedzieć, że to nie ty jesteś następna?

Muzykę przerwał głos DJ-a, który wzywał Grace na główną scenę.

Jack wyraźnie się zaniepokoił.

Światła w klubie przygasły, scenę oświetlił pojedynczy snop z reflektora. Rozległy się pierwsze dźwięki *Uninvited* Alanis Morissette i w białej plamie pojawiła się najpiękniejsza dziewczyna, jaką detektyw Joy Fogel kiedykolwiek widziała.

Miała na sobie tylko białą męską koszulę, rozpiętą do połowy i z podwiniętymi rękawami, czarne buty na szpilkach i czarne koronkowe rękawiczki, jak u gwiazd filmowych dawnego kina. Sięgały jej prawie do łokcia. Stała tak przez chwilę w absolutnym bezruchu, długie brązowe włosy spływały jej na ramiona, głowę miała pochyloną. Spod koszuli wystawały długie, wyrzeźbione nogi i ledwie dostrzegalny skrawek czarnych koronkowych majtek. Kiedy zaczęła tańczyć, Fogel patrzyła na nią jak urzeczona, nie mogła oderwać wzroku. Nie zauważyła, kiedy Jack przywołał gestem jednego z ochroniarzy. Nie zauważyła też, kiedy mężczyzna podszedł do ich stolika. Zorientowała się, dopiero kiedy stanął za nią i położył rękę na jej ramieniu.

– Proszę ze mną.

– Dlaczego?

– Powiedziano nam, że ma pani w torebce broń palną.

– Wolno mi... – Whisky weszła jej mocniej, niż sądziła, cały klub jakby się przechylił. Wzięła głęboki oddech, żeby zebrać myśli.

On jednak wiedział, co zamierza powiedzieć.

– Owszem, w stanie Nevada wolno nosić w torebce broń palną, pod warunkiem że nie jest się pod wpływem alkoholu. Pani zaś wyraźnie jest pod wpływem alkoholu. Proszę pójść z nami.

Inny mężczyzna podniósł ją z krzesła. Kiedy z jednego ochroniarza zrobiło się dwóch?

Spojrzała na Jacka. Podniósł pusty kieliszek i posłał jej uśmiech.

– Zawsze trzymam się przepisów prawa. Dziękuję za towarzystwo przy kieliszku. Życzę udanego wieczoru.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale ochroniarze już ją odciągali, a jeden z nich grzebał jej w torebce.

## 5

Patrzyłem za ochroniarzami, którzy zabrali detektywkę, ale tylko dopóki nie zniknęli w korytarzu za budką DJ-a. Potem mój wzrok wrócił na scenę, na nią.

Pierwszy raz zobaczyłem ją przedwczoraj wieczorem, serce bolało mnie coraz bardziej z każdym tyknięciem zegara. Siadałem przy tym samym stoliku, wybrałem go z uwagi na bliskość garderoby – od chwili wyjazdu z Pittsburgha, jadąc kolejnymi autostradami, drogami ekspresowymi i lokalnymi, czułem, że zbliżam się do niej z każdym kilometrem. Kiedy przekraczałem granicę stanu Nevada, po przejechaniu ponad trzech tysięcy kilometrów, wciskałem już gaz do dechy, aż wyl silnik mojego jeepa. Na jednym odcinku przez pustynię przekroczyłem sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, i to nie raz, a trzy razy. Zmusiłem się, żeby zwolnić. Jeśli dostałbym mandat, moje nazwisko pojawiłoby się w raporcie, raport trafiłby do komputera, a dane z komputera można było przeszukiwać... W trasie widziałem wiele białych samochodów, ale żaden mnie nie śledził. Wolałem, żeby tak zostało. Nie mogłem ryzykować, że dowiedzą się, gdzie jestem, gdzie jest Stella.

Gdy tylko dotarłem do Fallon, przekonałem się, że Dunk miał rację.

Była gdzieś w pobliżu. Atmosfera aż trzaskała od jej obecności.

Przez ostatnie cztery lata, kiedy jeździłem za nią po całym kraju, czułem jej obecność, zawsze gdy się zbliżałem, jakby pozostałości elektryczności w powietrzu. Do tego zapach wanilii, chociaż z pewnością tylko go sobie wyobrażałem. W każdym z tych miejsc dało się wyczuć jej obecność, choć powoli zanikała.

W Fallon było jednak inaczej. Poczucie raczej się nasilało, niż słabło. Nie dość, że nadal tu była, to musiała spędzić tu przynajmniej tydzień, może więcej. Dunk nie podał konkretów, chyba nawet sam nie wiedział, ale ja to czułem, czułem ją.

Kiedy skręciłem na I-118.

Kiedy zatrzymałem się na parkingu przed Mike's Gentlemen's Club.

Wiedziałem, że ona jest w środku.

Nie miałem nawet cienia wątpliwości.

Na parkingu stał jeden biały samochód, nissan, ale wysiadła z niego dziewczyna w obcisłych džinsach i czarnym topie na ramiączkach, więc nie mogła być od ludzi w białych płaszczach. Zaraz po przyjeździe do Fallon nigdzie ich nie zauważyłem, ale zaczęli powoli napływać. Ich też wyczuwałem.

Pierwszego wieczoru, kiedy Stellę zapowiedziano jako Grace, walczyłem ze sobą, żeby nie wstać i do niej nie pójść. Zmusiłem się, żeby zostać na swoim krześle i patrzeć – była absolutnie hipnotyzująca. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, dlaczego tam pracuje, ale domyślałem się, że takie kluby płacą gotówką i pozwalają zniknąć z radaru. Okazało się to jednak tylko częściowo prawdą. Wtedy jeszcze nie widziałem, jak tańczy dla niego.

Wczoraj udało mi się ustalić, że nazywa się Leo Signorelli, a zaledwie kilka godzin temu, po rozmowie z Dunkiem, dowiedziałem się, kim właściwie jest.

Leo Signorelli był właścicielem Mike's Gentlemen's Club.

Miał także sześć burdeli w okolicy. Choć w Nevadzie jest to legalne, panowały tam kiepskie warunki. Wiele z tych dziewcząt ściągano nielegalnie z całego świata i zmuszano do pracy za grosze albo za darmo, w ramach spłacania „długu” wobec Signorellego, który pokrył koszty ich sprowadzenia do kraju.

Leo Signorelli miał na sumieniu śmierć przynajmniej czterech z tych dziewcząt. Lubił je podduszać w czasie seksu. Najmłodsza miała zaledwie czternaście lat. Dunk mówił, że w półświatku powszechnie wiadano o jego upodobaniach, ale Signorelli opłacał miejscowych przedstawicieli prawa, żeby nie węszyli.

Podczas mojego pierwszego wieczoru tutaj Leo Signorelli zajął miejsce z boku sceny tuż przed pojawieniem się na niej Stelli i był nią zahipnotyzowany tak samo jak wszyscy mężczyźni w klubie. Wczoraj przyniósł jej czerwoną różę i położył ją na brzegu sceny, kiedy zaczynała tańczyć. Stella tylko na niego zerknęła, ale to wystarczyło – mężczyzna, tak jak ja i wszyscy inni, nie mógł już oderwać od niej wzroku. Dziś przyniósł kolejną różę, także czerwoną, i znów położył ją na scenie. Tym razem Stella zaszczyliła go nie tylko spojrzeniem, lecz także uśmiechem.

Ach, jakże zabolala mnie dusza na widok tego uśmiechu.

Leo Signorelli był do mnie dość podobny. Takie same włosy, budowa ciała. Ale ona uśmiechnęła się do niego, a nie do mnie, podczas gdy ja chciałem zerwać się od stolika i do niej podejść, ale tego nie robiłem.

Mogłem tylko patrzeć.

Mogłem tylko patrzeć, jak tańczy, tańczy dla niego.

Tymczasem na scenie Stella podeszła do rury i zakręciła się lekko, swobodnie. Znów miała na sobie koszulę, ale rozpiętą tak nisko, że było widać jej trochę piersi, co z jakiegoś powodu robiło znacznie większe wrażenie niż negliż lub całkowita nagość większości dziewczyn w klubie. Inni chyba sądzili podobnie, bo pod sceną zaczęli się tłoczyć mężczyźni z pieniędzmi w garści.



Większość dziewczyn nosiła podwiązki, za które faceci wsuwali im banknoty, nieco zbyt długo dotykając przy tym ich nóg. Stella nie miała podwiązki. W ogóle nie zbliżała się do brzegów sceny. Pozostawała poza zasięgiem. Widzowie musieli rzucać jej pieniądze do stóp. To ich jednak nie zniechęcało. Zanim nawet Alanis Morissette skończyła pierwszą zwrotkę, na podłodze już piętrzyły się banknoty.

Stella patrzyła jednak tylko na niego, na Signorellego, jakby nikt poza nim nie istniał.

Marzyłem, żeby to na mnie tak spojrzała, choćby na chwilę.

W którymś momencie występu oparła się o rurę i po prostu ześlizgnęła plecami w dół, przykucnęła na szczupłych nogach i nie odrywając od niego ciemnych oczu, przycisnęła palec do czerwonych warg. To spojrzenie wystarczyło, żeby odchylił się gwałtownie na oparcie i zalał rumieńcem. Nie zdawałem sobie sprawy, jak cicho zrobiło się w klubie, dopóki nie skończyła się piosenka. Bez muzyki panowała całkowita cisza, a wszystkie oczy były skierowane na Stellę.

Kiedy zeszła ze sceny, przeszła obok Signorellego, a on wyciągnął rękę, żeby dotknąć kremowobiałej skóry jej nagiego uda. Powstrzymała go jednak dłonią obleczoną w rękawiczkę, po czym wskazała głową na tabliczkę na ścianie, chichocząc przy tym zalotnie:

## **NIE DOTYKAJ TANCEREK BO DOTKNĄ CIĘ BRAMKARZE**

Signorelli tylko się roześmiał. Był przecież właścicielem tego klubu. Mimo wszystko uniósł ręce w geście kapitulacji. Wtedy zauważyłem, że Stella wsunęła mu liścik, który ścisnął mocno między kciukiem a palcem wskazującym. Kiedy zniknęła w korytarzu przy scenie, szybko przeczytał wiadomość i poszedł za nią, a za nim dwóch potężnych goryli.

Zdziwiło mnie przybycie detektyw Joy Fogel. Jako że sam przyjechałem znacznie wcześniej, zdążyłem już wypić dobre kilka kolejek. Jej towarzystwo, choć nie trwało długo, sprawiło mi przyjemność – ucieszyłem się, wreszcie miałem z kim pić, tyle że nie byłem pijany. Nie można by mnie pewnie uznać nawet za podchmielonego. No dobrze, może trochę, ale nie do tego stopnia, żebym miał upośledzone funkcje poznawcze czy motoryczne. Tak jak biegacz długodystansowy prześcignie nowicjusza, tak doświadczony pijak bez trudu pobije na głowę amatora. Jameson był moją ulubioną whisky, pijałem go od lat. Zdarzało mi się upić, jeśli piłem zbyt szybko, ale tego wieczoru się nie śpieszyłem.

Kiedy Stella zniknęła w korytarzu, a tuż za nią Leo Signorelli, właściciel szemranych lokali i zabójca niewinnych, wstałem od stolika i dopiłem wódkę z sokiem żurawinowym pani detektyw. Mogłem się założyć, że nie wróci po drinka, a ja już się zbierałem. Alkohol nie może się zmarnować.

Odliczyłem cztery dwudziestki, co powinno z nawiązką pokryć mój rachunek, i położyłem na stoliku. Kelnerka zgarnęła banknoty, zanim pokonałem połowę drogi do drzwi.

Nie mogłem pójść za nimi tamtym korytarzem, bo przecież prowadził do damskiej garderoby. Zaraz by mnie zatrzymano i zapewne pobito do nieprzytomności.

Zaczekam na zewnątrz.

Byłe tylko nie próbowała go zabić w budynku.

Na parkingu stało pięć białych samochodów.

Sześć sedanów.

Dwa SUV-y.

Jeden furgon.

Wszystkie puste, ale to nie oznaczało, że nikt nie obserwuje.

Miałem przy sobie nóż sprężynowy, kupiony kilka dni wcześniej w lombardzie w Reno. Teraz piętnastocentymetrowym ostrzem podziurawiłem po dwie opony w każdym z tych pojazdów. Przemykałem po parkingu w cieniu, pilnując, żeby unikać kamer umieszczonych na rogu budynku oraz parkingowych, którzy co jakiś czas przychodzili po jeden z samochodów albo odstawiali auto nowego klienta.

Kiedy skończyłem, wróciłem do swojego jeepa i zsunąłem się nisko na fotelu pasażera. Wcześniej zaparkowałem dwa miejsca od samochodu Signorellego, czarnego kabrioletu BMW Z3 Roadster.

Dwadzieścia minut później Stella wyszła z klubu tylnymi drzwiami z Signorellim. Przebrała się w dżinsy i czerwoną bluzkę z długim rękawem. Nadal jednak miała rękawiczki i trzymała go za rękę.

Przy samochodzie zaczęła go błagać o kluczyki i w końcu się poddał. Ze śmiechem usiadła za kierownicą małego, dwuosobowego autka. Kiedy Signorelli zajął fotel pasażera, z rykiem odpaliła silnik.

Wtedy Leo Signorelli się do niej nachylił. Patrzyłem na ich ciemne sylwetki na tle świateł parkingu, zbliżyli się do siebie, zarzuciła ramiona na jego szyję i pozwoliła mu się całować. Trwało to dłuższy czas, chciałem wyskoczyć z jeepa, szarpnięciem otworzyć drzwiczki kabrioletu, wyciągnąć Signorellego i pobić go do nieprzytomności. Chciałem tłuc go tak długo, aż zedrę sobie skórę z pięści, a z jego twarzy zostanie krwawa miazga. Chciałem słyszeć, jak jęczy i szlocha, i błaga, aż zmieni się w duże dziecko skulone na ziemi w konwulsjach.

Nie zrobiłem tego.

Siedziałem w absolutnym bezruchu i tylko patrzyłem, aż w końcu się od niego oderwała i znowu usiadła prosto za kierownicą.

Jeszcze kilka razy zaryczała silnikiem, po czym włączyła światła, wycofała, z piskiem opon wrzuciła pierwszy bieg i wyrwała z parkingu. W powietrze wzbily się drobne kamyczki, żwir odbijał się od pobliskich samochodów.

Włączyłem silnik i ruszyłem za nimi, skręciłem w lewo w I-118 ze zgaszonymi światłami, zachowując bezpieczną odległość. Przy drodze nie było latarni, panowała absolutna ciemność pustyni, gęsta i czarna jak smoła.

Stella musiała docisnąć gaz sportowego samochodu do dechy, bo wypruli daleko przede mnie na pustej autostradzie. Prawie ich zgubiłem, tylne światła majaczyły gdzieś daleko w przodzie jak małe czerwone kropeczki. Silnik mojego jeepa dusił się i krztusił, ale nie odpuszczał. Po dziesięciu minutach takiej szalonej jazdy, kiedy I-118 się zwęziła, przechodząc w Wildes Road, Stella musiała zwolnić, a mnie udało się zmniejszyć dzielący nas dystans. Kiedy asfalt ustąpił miejsca drodze gruntowej, ryzykowałem, że zanadto się zbliżę, więc zwolniłem. Po kilkuset metrach Stella skręciła w lewo w boczną drogę, a właściwie wyjeżdżoną ścieżkę – między kolejnymi pozostawionymi przez opony poprzednich samochodów rosła bujna trawa i chwasty, a o boki mojego jeepa obijały się gałęzie drzew. Bmw było niższe, więc omijało gałęzie, ale obawiałem się, że po prostu się zakopie w piachu. Kilka razy widziałem, jak szoruje podwoziem po ziemi.

Nie spodziewałem się wody.

Nie tutaj.

A jednak wyrósł przede mną wielki akwen – Harmon Reservoir, jak się później dowiedziałem. Za dnia zauważyłbym już wcześniej małe kanały i dopływy zasilające jezioro, ale teraz niknęły w mroku nadciągającej nocy.

Stella zatrzymała samochód nad brzegiem wody, zgasła światła i wyłączyła silnik.

Ja stanąłem u wylotu szlaku, ukryty wśród drzew. Nie wiedziałem, kiedy sięgnąłem po nóż, ale miałem go teraz w ręku. Wcisnąłem guzik zwalniający ostrze, ale zaraz je złożyłem. Potem znowu przycisk i schowanie ostrza, ten gest jakoś mnie uspokajał, a jednocześnie patrzyłem, jak Stella wysiada z samochodu.

Oświetlił ją blask chudego księżyca i nawet teraz jej uroda była odurzająca, wzbudzała nieodparty pociąg. Tak bardzo pragnąłem do niej podejść, objąć ją i pocałować, tak jak Leo. Poczuć na szyi jej ciepły oddech, dotyk szczupłych palców i otaczających mnie ramion.

Stella obeszła samochód na drugą stronę i otworzyła drzwi od strony pasażera.

Leo Signorelli wypadł z auta, lądując w kupce u jej stóp.

Wtedy mnie zauważyła – okazało się, że wcale nie tak dobrze ukryłem jeepa w lesie.

Kiedy ciało Signorellego upadło na ziemię, wcale nie patrzyła na niego, ale na drzewa, między którymi zaparkowałem. Mrużyła oczy, chcąc zajrzeć za przednią szybę jeepa. Ruszyła w moją stronę i pokonała już większość drogi, zanim wysiadłem z auta.

– Jack? To ty?

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk, mogłem tylko iść w jej stronę na miękkich nogach.

– Co ty tu robisz?

Podchodząc bliżej, zobaczyłem dokładniej Signorellego. Skórę wokół ust miał czarną i zwęgloną. Cały bok twarzy również. Nie miał ucha i połowy włosów. Oddech utkwiał mi w gardle, bo przypomniałem sobie Raymonda Viscontiego i ślad, który pojawił się na jego skórze, kiedy Stella dotknęła go wtedy w piwnicy. „Pocałunek Stelli”.

– Skąd się tu wzięłeś?

Potem wydarzenia potoczyły się tak szybko, że zorientowałem się, co zaszło, dopiero kiedy się skończyło.

Stella zrobiła kolejny krok w moją stronę.

Leo Signorelli poruszył ręką. Z początku nieznacznie, jakby tylko drgnęła. Nie byłem pewny, czy w ogóle coś zauważyłem w tej cholernej ciemności. Potem jednak ujrzałem błysk metalu – miał w ręku broń.

Broń, która uniosła się i wycelowała w plecy Stelli.

Zaczęła się obracać, bo coś usłyszała.

Rzuciłem się do przodu.

Rzuciłem się między nią a lufę.

Pierwsze o ziemię uderzyło moje kolano, trzasnęło na ostrym kamieniu sterczącym z podłoża. Ramieniem zahaczyłem o drzwiczki, a resztą ciała wylądowałem na Signorellim. Miałem w ręku nóż. Musiałem wysunąć ostrze gdzieś pomiędzy dwoma uderzeniami serca, a teraz przytknąłem mu je do szyi. Czubek noża bez trudu przeciął skórę. Potem rozległo się słyszalne pyknięcie, kiedy przebiłem coś głębiej. Jedno oko miał mlecznobiałe, ślepe, zmaczone zaćmą, ale drugim mnie widział. Wytrzeszczył je i wbijał we mnie wzrok, kiedy ciepła ciecz zbryzgała mi twarz i ubrania, a potem wsiąkała w glebę.

Wszystko trwało sekundy.

Leo Signorelli znieruchomiał i miał już nigdy się nie ruszyć.

– O mój Boże, zabiłeś go! – wrzasnęła Stella, padając na kolana przy zwłokach. Zerwała rękawiczkę i przycisnęła dłoń do czoła nieboszczyka, do

zdrowego policzka, potem złapała go za ramię. Rozpaczliwie miotała się od jednego skrawka odsłoniętej skóry do kolejnego.

– Mu... musiałem. Zastrzeliłby cię.

– Ale ja... – wyszeptała rozpaczliwie – ja jeszcze nie skończyłam. Nie... nie dokończyłam.

– Co to znaczy?

Stella nie odpowiedziała. Siedziała tylko i cała się trzęsła. Krztusiła się każdym oddechem, oczy lśniły jej od łez.

Zaniosła się płaczem i nie dało się jej w żaden sposób pocieszyć. Ścisnąłem ją za ramię, ciepło jej ciała przenikało przez cienki rękaw bluzki, ale ona strąciła moją dłoń. Próbowałem ją objąć, ale się wyrwała, wśród szlochów ledwie dosłyszałem słowo „nie”. Na policzku miała kroplę krwi Signorellego, a kiedy wyciągnąłem rękę, żeby ją zetrzeć, zerwała się na równe nogi i odskoczyła.

Teraz, kiedy już stała, zaczęła chodzić wte i wewte, a płacz nieco zelżał.

Też wstałem i nie wiedząc, co robić, podszedłem do wody, żeby zmyć krew z rąk i noża.

– Musisz to wyrzucić do wody. – Usłyszałem jej głos za plecami. Tak zrobiłem. Nóż przeciął taflę jakieś trzydzieści metrów od brzegu i zniknął pod powierzchnią.

Kiedy się obróciłem, Stella stała z opuszczonymi rękami i mocno zaciskała pięści.

– Boże, Jack. Co ty tu robisz? – W jej głosie pobrzmiwała desperacja. Nadal się trzęsła, oczy miała czerwone.

Sięgnąłem do tylnej kieszeni spodni i wyjąłem jej list. Przez lata otwierałem go i składałem tak wiele razy, że na zgięciach w papierze porobiły się dziury. Stella od razu rozpoznała kartkę.

Zamknęła oczy i pokręciła głową, znowu pociekły jej łzy.

– To było dawno temu. Uwolniłam się. Uciekłam. Teraz już wszystko ze mną dobrze.

– Nie wydaje mi się – odparłem cicho.

Przycisnęła dłonie do skroni, rozmazując na skórze krew.

– To był zły człowiek.

– Wiem.

– Był mi potrzebny.

Znowu do niej podszedłem i złapałem za ramiona.

– Chciał cię zabić.

Wyrwała mi się i zaczęła krążyć między ciałem Signorellego i drzewami, w kółko i w kółko.

– Nie rozumiesz.

– Rozumiem.

Znów pokręciła głową.

– Nie rozumiesz. To niemożliwe. Nie możesz zrozumieć...

– Wiem o tym od lat. Chyba nawet od zawsze.

– Nie rozumiesz – powtórzyła, zawracając w stronę drzew. – Był. Mi. Potrzebny. – Po każdym słowie brała głęboki wdech, a potem gołą ręką sięgnęła do rosnącego obok drzewa, sosny wysokiej prawie na dwadzieścia metrów. Pień szerniał od jej dotyku, z początku wyglądało to jak spalenizna, potem stało się zgnilizną. Zaczęły spadać długie sosnowe igły, obsypały ją jak konfetti. W locie zmieniały barwę z szarzielonej na czarną. Kiedy obsypały się już wszystkie, usłyszałem jęk, potem głośnie skrzypienie, ostry, wysoki pisk, a w końcu trzask i drzewo zaczęło się przewracać. Upadło na prawo od Stelli, a ona przez cały ten czas nawet nie drgnęła, nie odrywając dłoni od pnia. Kiedy uderzyło o ziemię, rozpadło się na dziesiątki kawałków – nie jak pień świeżo ściętego drzewa, ale takiego, które przez lata butwiało, aż w końcu poddało się grawitacji i runęło.

Po wszystkim nawet na mnie nie spojrzała. Wbijiała wzrok w ziemię.

– To, co widziałeś wtedy w piwnicy... Muszę to robić. Inaczej umrę.

– Oni cię wykorzystywali – powiedziałem, starając się zachowywać jak najspokojniejszy ton głosu. Musiałem ją uspokoić. Już wyciągała palce, sięgała do kolejnego drzewa. Wiedziałem, że drzewa jej nie wystarczą.

– Karmili mnie. Zapewniali bezpieczeństwo. Cieszę się, że uciekłam, że jestem wolna, ale... Potrzebuję...

Podszedłem do niej. Objąłem ją i chociaż ręce nadal trzymała po bokach, wtuliła twarz w mój tors, pilnując, żeby nie dotknąć gołej skóry, odsłoniętej szyi.

– Musimy go schować. Wrzucić do wody. Pomożesz mi? – spytała cicho, stłumionym głosem.

Oderwała się ode mnie i włożyła rękawiczkę, patrząc na mnie błagalnie.

W milczeniu pokiwałem głową.

Przeciągnęliśmy go na drugą stronę samochodu i władowaliśmy na fotel kierowcy. Leo Signorelli był mojego wzrostu i budowy, ale grawitacja działała jakoś inaczej na martwych niż na żywych, więc przetransportowanie go okazało się wyzwaniem. Kiedy siedział już z zapiętym pasem, włączyłem silnik, zapaliłem reflektory, wrzuciłem luz i zwolniłem hamulec. Rozejrzałem się jeszcze po wnętrzu, żeby sprawdzić, czy Stella niczego nie zostawiła, po czym opuściłem szybę, żeby móc kierować.

– A co z tym? – Stella czubkami palców trzymała pistolet Signorellego. – Lepiej wyrzucić do jeziora czy włożyć do samochodu?

Zastanowiłem się chwilę.

– Wszyscy wiedzą, że zadawał się z podejrzanymi typami. Chyba lepiej zostawić w samochodzie.

Otworzyła drzwiczki, wrzuciła broń na fotel pasażera, po czym wspólnie wepchnęliśmy samochód do jeziora. Na brzegu był stromy spadek, więc auto szybko wjechało pod wodę. Silnik zgasł od razu, reflektory wytrzymały jakieś pół minuty. Z otwartego okna wyleciał bąbel powietrza, a potem po bmw nie został już ślad.

Staliśmy tam dłuższą chwilę, patrząc na miejsce, w którym jeszcze przed chwilą unosił się samochód, aż w końcu Stella się do mnie obróciła i spojrzała mi w oczy, a jej wzrok był przytłaczająco smutny. Kiedy otworzyła usta, dobieły się z nich dwa słowa. Dwa słowa raniące moje serce boleśniej niż najostrzejszy nóż.

– Nie mogę...

Pobiegła do lasu. Przedzierała się przez drzewa i zarośla, aż noc połknęła ją w całości, a ja byłem pewny – nie mogłem jej znowu stracić.

Stella nie odpowiadała na moje wołanie.

Rzuciłem się w pogoń, krzycząc jej imię. Nie obchodziło mnie, czy ktoś usłyszy. Gałęzie, między którymi zniknęła, chlastały mnie, drapały i kęsały, ale na to też nie zwracałem uwagi. Pędziłem ile sił w nogach, odsuwając gałęzie na boki i ignorując ból.

Znalazłem ją dopiero po dwudziestu minutach.

Siedziała na wielkim głazie, chowając twarz w obleczonej rękawiczkami dłoniach. Kiedy usłyszała, że się zbliżam, zachłysnęła się powietrzem i podskoczyła

Wyciągnąłem rękę w uspokajającym geście.

– Nie uciekaj. Proszę, już nie. Po prostu... Po prostu mnie wysłuchaj. Proszę.

– To nie jest twoje miejsce, Jack. Nigdy nie pasowałeś do tego świata. Jesteś lepszym człowiekiem niż ja. Nie mogę cię w to wciągać. Nie mogę.

Zrobiłem krok w jej stronę.

– Kocham cię, Stello. Pokochałem cię w chwili, kiedy pierwszy raz cię spotkałem. W tej samej sekundzie, kiedy zobaczyłem cię na tamtej ławce.

– Byliśmy dziećmi.

– Ty też to poczułaś, wiem to. Widziałem obraz w twoim pokoju. Wszystkie te docinki, złośliwe komentarze, to była ściema. To tamta starucha podszeptowała ci złe słowa. Nic to jednak nie zmieniało, bo prawda zawsze była w twoich oczach. Osiem lat, osiemnaście czy osiemdziesiąt, nieważne. Myślę tylko o tobie. Każdy oddech, każdy widok, każdy dźwięk, wszystko mi o tobie przypomina. Jesteś częścią mnie, bez ciebie umieram. Mam w sobie dziurę, pustkę po tobie. Kocham cię, Stello, każdym skrawkiem jestestwa. Wiem, że ty też mnie kochasz. Wiem to.

– Nie zasługuję na miłość. Jestem potworem – powiedziała cichutko, a w oczach wezbrały jej łzy.

– Znowu przemawia przez ciebie ta baba, Latrese Oliver. Wiem, że tak jest. Ty też o tym wiesz. Wiesz, co masz w sercu, co zawsze tam było. – Zrobiłem kolejny krok w jej stronę, teraz dzieliły nas już tylko centymetry. – Nikt inny się nie liczy, jesteśmy tylko my. Nic innego nie jest ważne.

– Kazali mi...

I wtedy wziąłem ją za rękę, poczułem ciepło jej dłoni przez rękawiczkę.

– Spójrz na mnie, Stello.

Spojrzała.

Jej śliczne ciemne oczy spojrzały w moje, przeczesałem palcami jej włosy. Prawie się odsunęła, kiedy przeciągnąłem palcami tak blisko jej skóry, ale się powstrzymała, wiedziała, że rozumiem – to jej ciała powinienem się bać.

– Wykorzystali cię. Potrafisz... robić to coś... a oni cię wykorzystywali. Wyzyskiwali. Ale teraz już po wszystkim. Nie pozwolę, żeby kiedykolwiek znowu cię skrzywdzili albo wykorzystali.

– Nie chcę już zabijać. Nie mogę... Nie... – Znowu zaniosała się szlochem, stłumionym, bo wtuliła twarz w moją klatkę piersiową. – Chcę przestać.

– Coś wymyślimy – obiecałem.

– Jack – szepnęła, uspokajając się nieco. – Nawet nie mogę cię dotknąć.

– Coś wymyślimy – powtórzyłem.

Staliśmy tak objęci bardzo długo, tylko we dwoje, bez słowa. Potem zaprowadziłem ją do jeepa za rękę obleczoną w rękawiczkę.

Motel Chestnut Motor Lodge znajdował się przy drodze I-118, około półtora kilometra od Fallon, między miasteczkiem a Mike's Gentlemen's Club. Wyglądał dość nieciekawie, dlatego właśnie go wybrałem. Przysadzisty dwukondygnacyjny budynek, którego lata świetności minęły jakieś dwie dekady temu, otoczony pustynnym piachem i asfaltowym parkingiem – jeśli był tam kiedyś jakiś trawnik, to już dawno poległ w walce z ostrym słońcem Nevady. Na dwóch końcach działki stały latarnie sodowe, dające tyle światła, żeby nie przegapić motelu z drogi. Na dachu znajdował się gigantyczny neon, ale świeciło się już tylko słowo „Lodge”, a sądząc po głośnym buczeniu, jego dni też były policzone.

Kiedy odjechaliśmy z nad Harmon Reservoir, Stella kazała mi trzymać się bocznych drózek, aż ostatnia z nich urwała się w szczerym polu, kilometr czy dwa od jakiegokolwiek dużej drogi. Zatrzymałem samochód, a ona wysiadła, podeszła do pobliskiego rowu i wyjęła z niego czarną torbę sportową. Wsiadła do jeepa i położyła ją sobie pod nogami na podłodze.



– Cały mój dobytek – powiedziała cicho. Miała wyjechać z Fallon zaraz po załatwieniu Signorellego, więc zostawiła tu sobie rzeczy. Zamierzała pojechać bmw do Las Vegas i tam zostawić samochód, a potem dostać się na drugi koniec kraju, do Charleston. Nigdy nie była w Karolinie Południowej. Opowiedziała mi to wszystko cichym, beznamiętnym tonem, tak niepasującym do pewnej siebie dziewczyny, którą kiedyś znałem. Dziewczyny z naszej ławki, z basenu, a nawet tej, która zaledwie kilka godzin temu tańczyła na scenie. Odsunęła się zasłona, maska opadła. Choć obie te dziewczyny były Stellą, to teraz miałem przed sobą tę prawdziwą. Nie odgrywała już przećwiczonej pewności siebie, odsłaniała się przede mną, choć ostrożnie, stopniowo. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek szczerze z kimś rozmawiała. Najpierw tkwiła w niewoli w tamtym domu, potem musiała uciekać – zbyt dobrze sam znałem takie samotne życie.

Na parkingu przed motelem stały trzy białe samochody. Stella też je zauważyła, ale nic nie powiedziała. Kiedy wjechaliśmy na parking, znad maszyny do lodu spojrział na nas jakiś mężczyzna w białej koszuli i chinosach, ale po chwili wrócił do napełniania kubelka. Zajmowałem pokój numer 27, na piętrze, więc parkowałem po wschodniej stronie budynku, blisko schodów, ale jak najdalej od latarni.

Zaczekaliśmy, aż człowiek w białej koszuli wróci do swojego pokoju (parter, trzecie drzwi od zachodniego końca budynku), i dopiero wtedy wysiedliśmy z jeepa. Oboje mieliśmy na sobie krew Signorellego. Nie mogliśmy ryzykować, że ktoś nas zobaczy. Stella ruszyła za mną po schodach i czekała, aż znajdę klucz i otworzę drzwi.

– Nic szczególnego – powiedziałem.

Stella rozejrzała się po pokoju. Zapadnięte na środku dwuosobowe łóżko, przykryte byle jak narzutą w kwiaty. Zielony włochaty dywan na podłodze, beżowe kafelki pod umywalką na tyłach pokoju i w malutkiej łazience. Na ścianach wisiały trzy grafiki, wszystkie przedstawiały konie podczas Derbów Kentucky. Przed wyjściem zostawiłem na szafce nocnej pustą butelkę po jacku daniel'sie i teraz tego żałowałem. Przy plastikowym koszu na śmieci, pełnym pustych puszek, stały kartonowe resztki dwunastopaku piwa Coors Light. Zaciągnąłem zasłony, powiesiłem na klamce tabliczkę „Proszę nie przeszkadzać”, zamknąłem drzwi na zasuwę i łańcuch. Jeśli komuś będzie bardzo zależało, żeby się do nas dostać, to wszystko najwyżej go spowolni, ale lepsze coś niż nic.

Odsunąłem kawałeczek zasłony i wyjrzałem na parking, wodząc wzrokiem od jednego białego samochodu do drugiego.

– To nie oni.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem. Nie mają monopolu na białe samochody.

Jakoś mnie to nie uspokoiło.

– Miałaś coś załatwione w Karolinie Południowej? Jakiś nocleg, cokolwiek?

Pokręciła głową.

– Dzisiaj chyba jeszcze możemy tu zostać na noc, ale z samego rana powinniśmy wyjechać. Lepiej, żeby nie było nas w okolicy, kiedy znajdą Leo. Poza tym wczoraj był tylko jeden biały samochód. Pewnie masz rację, że to nic takiego, ale lepiej być ciągle w ruchu.

Stella mnie nie słuchała. Kiedy się obróciłem, zobaczyłem że stoi przed lustrem nad umywalką. Po drodze się rozebrała, zostawiając za sobą ścieżkę wysypaną ubraniami.

Chyba ze zdumienia otworzyłem usta.

Stella, już tylko w czarnym komplecie koronkowej bielizny, przewróciła oczami.

– Widziałeś mnie już nagą, Pip. Nie ma sensu się krygować. Muszę wziąć prysznic. Mam krew we włosach. Zwykle mi się to nie zdarza.

Z tymi słowami weszła do łazienki i przymknęła drzwi do połowy. Chwilę później usłyszałem szum wody.

Pozbierałem puste butelki i inne śmieci, a potem wyniosłem wszystko do kontenera, żeby trochę ogarnąć pokój, zanim Stella się umyje.

Do białych samochodów dołączył czwarty, ford escort. W środku nikogo nie było.

Kiedy Stella wynurzyła się spod prysznica, w białym ręczniku i jakimś cudem znowu pachnąc wanilią, szybko zrzuciłem brudne ciuchy i też się wykapałem. Cudownie było stać pod strumieniem parującej wody, więc spędziłem tam znacznie więcej czasu, niż powinienem, szorując skórę, aż poczerwieniała, aż ostatnie resztki Signorellego zniknęły w odpływie.

Zanim wyszedłem z łazienki, Stella zdążyła się przebrać w obszerną, za długą koszulkę. Wyprała też w umywalce rękawiczki, które schły teraz przewieszane przez brzeg blatu pokrytego spękanym laminatem.

Przysiadła na brzegu łóżka, krzyżując nagie, szczupłe nogi.

– Włożyłam nasze ubrania do worków. Musimy się ich pozbyć. Ale nie tutaj.

Zostawiłem plecak na podłodze przy łazience, obok torby Stelli. Teraz go tam nie było.

– Widziałaś gdzieś mój...?

– Co to jest? – Trzymała w ręku list od jej rodziców do moich, obok leżał otwarty plecak.

– Proszę bardzo, nie krępuj się.

– Co to jest?

Wygrzebałem z plecaka spodnie dresowe, włożyłem je pod ręcznikiem, rzuciłem go mniej więcej w stronę łazienki i usiadłem obok niej.

– Sasiadka dała mi to po śmierci mojej ciotki. To chyba list od twojego taty.

– Nasi rodzice się znali? Dlaczego mi tego nie pokazałeś?

– Próbowałem. Wziąłem ze sobą ten list, kiedy poszedłem się z tobą spotkać w... o kurczę... dziewięćdziesiątym trzecim, pięć lat temu. Ale ciebie tam nie było, tylko Latrese Oliver. Wtedy dała mi twój list, ten, który ci dzisiaj pokazałem. Potem już nigdy cię nie widziałem.

Stella przeczytała list jeszcze raz, przesuwając po liniwkach palcem, śledząc go wzrokiem.

– Ten list napisał mój ojciec. To jego charakter pisma. – Zamyśliła się, oczy znów zalśniły jej łzami. – Nigdy wcześniej nie widziałam jego pisma. Nie... nie zostało mi nic po rodzicach. Wydaje się taki... jakby miał paranoję.

– Pamiętasz ich w ogóle?

Pokręciła głową.

– Moje pierwsze wspomnienia to Latrese Oliver, kolejne nianie, służba w tamtym domu. Nic o rodzicach.

– Oliver coś ci o nich mówiła?

– Tylko że zginęli w wypadku samochodowym, kiedy byłam mała. Twierdziła, że była z nimi blisko, więc wyznaczono ją na moją opiekunkę.

– Mnie też mówili, że moi rodzice zginęli w wypadku.

– Ale wcale tak nie było, prawda?

Wzruszyłem ramionami i powiedziałem jej o grobie ojca. O tym, co tam znalazłem. Że być może on nadal żyje.

Zrobiła oczy jak spodki.

– Odkopałeś grób swojego ojca? Wow, mój mały Pip nie jest wcale taki nieśmiały, jak myślałam. – Jeszcze bardziej wytrzeszczyła oczy. – Myślisz, że moi rodzice też żyją?

– Chciałbym to wiedzieć.

Milczała przez dłuższą chwilę.

– Mogę zobaczyć te książki? – spytała w końcu.

– Teraz przynajmniej spytałaś.

Pogrzebałem w plecaku i wyłowilem *Wielkie nadzieje* i rocznik z Penn State.

Kiedy podałem jej powieść Dickensa, twarz jej się rozjaśniła.

– Mam taką samą!

Znalazła swój egzemplarz i położyła obie książki obok siebie. Moja wyglądała jak nowa, jej była wyraźnie zaczytana. Wyblakłą okładkę przecinały białe kreski, w wielu miejscach była podarta. Część stron miała pozaginane rogi. Do okładki przyczepiła podświetlacz i regularnie zakreślała ulubione kawałki. Trudno było

mi sobie wyobrazić, żeby po tylu latach wciąż znajdowała nowe fragmenty. Przypuszczałem, że po prostu wszystkie strony są żółte od góry do dołu.

Przekartkowałem album rocznikowy, pokazałem jej pozaznaczone zdjęcia i opowiedziałem, czego udało mi się dowiedzieć o poszczególnych osobach.

– Wszyscy, których znalazłeś, nie żyją?

Pod okładką trzymałem listę sporządzoną jeszcze w Penn State. Wyjąłem ją teraz i wygładziłem pomiętą kartkę.

– Oprócz naszych rodziców, Perli Beyham, Garretta Dottsa, Penelope Maudlin i Lestera Woolforda wszyscy odebrali sobie życie. Elfrieda Leech, moja sąsiadka, zastrzeliła się na moich oczach. Nie udało mi się namierzyć Cammie Brotherton, Jaquelyn Breece, Jeffery’ego Daltona ani Keitha Pickforda.

Stella zacisnęła usta, wodziła palcem w powietrzu nad listą.

– Pamiętasz Davida? Przyjechał raz ze mną na cmentarz, kiedy byliśmy mali.

Skinąłem głową.

– Miał coś wspólnego ze śmiercią mojej sąsiadki. Byłem u niej w mieszkaniu, kiedy się zastrzeliła, a on był wtedy u mnie, po drugiej stronie korytarza. Zostawił mi liścik. Napisał: „Witaj na imprezie, Jack”. Podpisał się. – David zostawił mi też butelkę Jamesona, ale o tym jej nie powiedziałem.

– Boże, to musiało być straszne.

„Trzy”.

„Co «trzy»?!”

„Bum!”

Zadrzałem.

Stella postukała w kartkę.

– David powiedział mi kiedyś, że jego rodzice mieli na imię Jackie i Keith. To muszą być oni.

– Jaquelyn Breece i Keith Pickford? Wiesz, co się z nimi stało?

Zamilkła.

– Stello?

– Powiedział, że oboje umarli. Morderstwo i samobójstwo. Ojciec zastrzelił matkę, a potem siebie. To było dawno temu, miał chyba z pięć czy sześć lat, nie jestem pewna.

– David z tobą mieszkał?

Pokręciła głową.

– Odwiedził mnie parę razy, kiedy byliśmy mali. Potem zwykle zabierali mnie do niego. Do tego okropnego miejsca.

Dłoń zaczęła jej drżeć. Wyciągnąłem rękę, ale się odsunęła.

– Nie możesz.

Przytrzymała dłoń, próbując uspokoić drżenie.

– Co się dzieje? Wszystko w porządku?

Odpowiedziała tak cicho, że ledwie dosłyszałem.

– Nie skończyłam... To było za mało.

– Z Signorellim?

Pokiwała głową. Kiedy puściła dłoń, już się nie trzęsła.

– Muszę po prostu odpocząć. Nic mi nie będzie.

Zerknąłem na zegarek przy łóżku – dochodziła czwarta. Za kilka godzin robi się jasno. Oboje powinniśmy się przespać. Chciałem ją spytać, kim są ci ludzie w bieli. Latrese Oliver, David, mężczyzna z pontiaca GTO. Mieliśmy tyle do omówienia, ale to mogło poczekać. Musiało. W ciągu ostatnich kilku minut zaczęły jej opadać powieki, ja też czułem, że dopada mnie zmęczenie. Schodziła ze mnie adrenalina. Organizm domagał się odpoczynku.

– Bierz łóżko – powiedziałem jej. – Ja się prześpię na podłodze.

Stella spojrzała na włochaty dywan.

– Czuję się brudna, nawet jak po tym chodzę. Nie możesz tam spać. Podzielimy się łóżkiem.

Spojrzałem na jej dłoń.

– A co, jeśli... co, jeśli się dotkniemy, to znaczy przypadkiem... bo ja bym nie... Co się stanie?

Stella przygryzła wargę w zamyśleniu. Potem wstała, podeszła do wezgłowia i ściągnęła narzutę.

– Użyjemy prześcieradła. Ty się położysz pod spodem, a ja na wierzchu. Dzięki temu będzie nas oddzielało. Wszystko będzie dobrze.

– Na pewno?

Położyła się.

– Na pewno.

Zgasiłem światło i jeszcze raz wyjrzałem przez okno. Do białych samochodów dołączył kolejny, czterodrzwiowy saturn. Teraz było ich już pięć. W tym nowym ktoś siedział, ale nie widziałem twarzy.

– Pojawiło się następne białe auto – powiedziałem.

Stella jednak nie odpowiedziała, bo już zasnęła.

Mnie też trzęsły się ręce, ale nie z nerwów czy z powodu zamordowania Signorellego. Miałem własne problemy. Podeszedłem do komody przy łóżku i wysunąłem szufladę. Wczoraj schowałem tam zero siedem whisky Maker's Mark, nieco ponad pół butelki. Zdjąłem zakrętkę, przytknąłem szyjkę do ust i się napiłem. Niedużo, tyle żeby opanować drżenie. I w końcu rzeczywiście ustąpiło.

Rwany oddech Stelli się wyrównał, zamamrotała coś przez sen.

Gapiłem się na nią chyba przez godzinę, zanim w końcu odłożyłem butelkę, przekonany, że jeśli choć na chwilę zamknę oczy, to Stella zniknie. Była tak

niewiarygodnie piękna, wyglądała tak spokojnie. To niemożliwe, żeby była tu ze mną, ale oto jest, po tych wszystkich latach, ze mną, ze swoim Pipem, moja Stella.

Teraz wszystko będzie już dobrze. Naprawdę chciałem w to wierzyć. Dopóki będziemy razem, nic nam nie grozi. Z całych sił pragnąłem wierzyć, że tak będzie.

Zszedłem na parking i spuściłem powietrze z opon wszystkich białych samochodów, z wyjątkiem tego, w którym ktoś siedział. Przy okazji zakonotowałem sobie, żeby jak najszybciej kupić nowy nóż.

W końcu położyłem się obok niej w łóżku, chwilę przed piątą rano, pewny, że nie zasnę, ale odpłynąłem w niecałą minutę.

I wtedy wydarzyły się złe rzeczy.

Sen.

Wszędzie mleko czekoladowe. W moich włosach, na ubraniach, na rękach, na siedzeniu.

Tatuś krzyczy na mamusię.

– Katy! Nie możesz teraz zasnąć, Katy! Nie odpływaj!

Pisk opon.

Otwieranie drzwi samochodu.

Głośnie huki.

– Trafiłem! – zawołał tatuś.

To on wydaje te głośnie huki, a raczej to coś w jego dłoni. Krzyknął na kogoś za nami. Ten ktoś za nami coś odkrzyknął.

Rozpłakałem się.

Chciałem być dużym chłopcem, ale się rozpłakałem. Nie słyszałem jednak własnego szłochu, zagłuszanego przez te wszystkie huki.

Zamknąłem oczy tylko na chwilę, ale kiedy znów je otworzyłem, tatusia już nie było. Wcześniej stał przy mamusi, przy jej drzwiach. Nie widziałem, dokąd poszedł. Pasy fotelika trzymały mnie mocno, nie mogłem się obrócić, wyrzeć przez okno.

Huki ucichły.

Wszystkie naraz, zrobiło się tak cicho.

– Tatusiu?

Bez odpowiedzi.

Tak cicho.

Całkiem sam.

Mamusia się nie ruszała. Widziałem jej włosy, schyloną głowę na przednim fotelu.

Całkiem sam.

Znowu zacząłem płakać i nagle ktoś szarpnięciem otworzył moje drzwiczki.

– Chodź, kolego, zabierzemy cię stąd. Wszystko w porządku, wszystko będzie dobrze – powiedział tatuś. Ale on też płakał i wiedziałem, że wcale nie będzie dobrze.

Zaniósł mnie z naszego samochodu do stojącego za nami białego SUV-a i położył na tylnej kanapie. Przez całą drogę przyciskał sobie do piersi moją głowę i powtarzał, żebym się nie rozglądał, żebym na nic nie patrzył. Ja go jednak nie posłuchałem i zobaczyłem leżących na ziemi ludzi ubranych na biało, z czerwonymi plamami.

Teraz też się podniosłem, żeby widzieć, co się dzieje.

Tatuś usiadł za kierownicą, wycofał i odjechał kawałek od naszego auta i od tego, z którym się zderzyliśmy, też białego SUV-a, takiego jak ten. Zahamował gwałtownie i przesunął dźwignię z powrotem w tryb parkowania. Prawie spadłem z siedzenia.

– Nie podnoś się, Jack.

I już znowu otwierał drzwi, biegł do naszego samochodu. Biegł po mamusię, na pewno. Musiało o to chodzić. Nie mogliśmy odjechać bez niej. Przytrzymując się zagłówka przedniego fotela, patrzyłem, jak podchodzi do mamusi. Płakał głośno, głośniej, niż ja sam kiedykolwiek płakałem, więc też się rozsłochałem. Nachylił się, przytulił ją, potrząsnął nią. Przycisnął ją do piersi i obejmował, a ja nie mogłem zrozumieć, dlaczego po prostu nie przyprowadzi jej do tego samochodu, nie posadzi na fotelu pasażera, bo też chciałem się do niej przytulić.

Kiedy tatuś odszedł od jej drzwi, zatoczył się do tyłu i pomyślałem, że się przewróci. Ale nie. Obejrzał się i zobaczył, że na niego patrzę. Gestem dał mi znać, żebym się położył. Ja go jednak nie posłuchałem. Patrzyłem, jak ciągnie jedną z osób leżących na ziemi do naszego samochodu i sadza ją za kierownicą, na swoim miejscu. Tatuś zawsze prowadził. Potem zaciągnął kolejną dwójkę, tych z tego samochodu, do SUV-a, z którym się zderzyliśmy, i wsadził ich na tylne siedzenie.

Przebiegł mniej więcej połowę dzielącego nas dystansu i znowu wrzasnął, żebym się położył. Tym razem posłuchałem, ale dopiero kiedy zobaczyłem, że zapala zapalniczkę i upuszcza ją w kałużę na ziemi. Nie zniżyłem się dlatego, że mi kazał albo że sam chciałem. Padłem tylko dlatego, że wybuch zmiotł mnie z nóg.

Obudził mnie huk gromu, całe ciało miałem mokre od potu.

Słońce już wzeszło, ale było blade, ukryte za kłębiącymi się nad pustynią chmurami burzowymi i strugami deszczu.

Stelli nie było obok mnie.

Prześcieradło po jej stronie łóżka było odsłonięte. Miejsce, w którym leżała, wystygło.

– Stella?

Nie odpowiedziała.

Sprawdziłem w łazience, ale tam też jej nie było. Rękawiczki nie suszyły się już na blacie przy umywalce. Zniknęła też jej torba.

Zadzwoił telefon. Ostry, przenikliwy dźwięk. Gapiłem się na niego przez dłuższą chwilę, zanim w końcu odebrałem. Nie odezwałem się, ale usłyszałem czyjś oddech, a potem męski głos.

– Jack?

Dunk.

– No?

– Wszystko w porządku? Masz dziwny głos.

„Nie w porządku”.

„Zupełnie nie w porządku”.

– Nie mogę rozmawiać. O co chodzi?

– O kurde! Chcesz powiedzieć, że ją znalazłeś? Jest tam teraz z tobą? Udało ci się wreszcie...

– O co chodzi, Dunk? – przerwałem mu.

– Mój człowiek. Masz naprawdę wystrzałowy tydzień. Gratuluję.

– Zaraz się rozłączę.

– Czeka. Mój ziomek namierzył jedną z tych twoich osób.

– Kogo?

– Cammie Brotherton. Chociaż już się tak nie nazywa. Teraz to Faye Mauck. Kilka razy zmieniała nazwisko, przeprowadzała się z jednego końca kraju na drugi.

Przycisnąłem słuchawkę mocniej do ucha.

– Czeka, to ona żyje?

– A miała nie żyć? W takim razie po co miałbym jej szukać?

Lista nazwisk studentów Penn State leżała przy telefonie, na albumie rocznikowym. Zniknął za to mój egzemplarz *Wielkich nadziei*. Stella musiała go zabrać.

– Masz adres?

Podyktował mi go. Znalazłem długopis i zapisałem dane na motelowej papeterii.

„Carmel, Kalifornia”.

– Mam coś jeszcze. Słyszałeś kiedyś o czymś, co nazywa się „Charter”?

– Nie, a co?

– Jacyś ludzie rozpytują o ciebie na mieście, próbują cię znaleźć. Moi ludzie zgarnęli jednego z nich i sobie z nim pogadali. Na początku twierdził, że jest twoim starym znajomym, ale jak już się bliżej poznali, to zrobił się bardziej



rozmowny. Powiedział, że jest z jakiejś firmy Charter. Mówił, że to bardzo ważne, żeby cię znaleźli.

– Pogadali z nim sobie, co?

– No. Pogadali, uprzejmię i w ogóle. Moi ludzie mówią, że miał broń, sześćostrzałowego colta anacondę. To nie przelewki. Nie próbował go nawet za bardzo ukrywać. Podobno nosił go na pasku pod płaszczem, jak na Dzikim Zachodzie.

Zastrzygłem uszami.

– Pod płaszczem? Jaki to był płaszcz?

– Kurde, a skąd ja mam wiedzieć? Myślisz, że interesuję się modą?

– Jakiego koloru był ten płaszcz?

– Nie wiem. Jeśli to ważne, to spytam Reida przy okazji.

– To ważne.

– Okej. – Dunk zniżył głos. – Ej, Jack? Stella jeszcze śpi? Może ją puknij ode mnie, co? Z tego, co słyszałem, nieźła z niej...

Odłożyłem słuchawkę, wyrwałem kartkę z bloczku papeterii i schowałem do kieszeni.

Skoro Cammie żyje, to inni być może też.

Drzwi pokoju motelowego otworzyły się gwałtownie i weszła Stella, cała przemoczona, z ciemnych włosów kapąła jej woda, twarz miała śmiertelnie bladą.

– Musimy się zbierać.

Wypuściłem z płuc wstrzymywane powietrze.

Szybko zamknęła za sobą drzwi, podeszła do okna i nieco odsunęła zasłonę. Znowu trzęsła się jej ręka. Wyjrzałem przez okno ponad jej ramieniem.

Lało jak z cebra, ściana deszczu rozchlapывała się na spękany asfalcie.

Teraz już sześć białych samochodów. Jeden blokował wyjazd z parkingu. Kolejny zaparkował tuż za moim jeepem. Kolejne trzy na drugim końcu parkingu i biały cadillac escalade na środku, z dwójgiem otwartych drzwiczek. Po stronie kierowcy stał nieznan mi mężczyzna, z telefonem komórkowym przy uchu, nie zważając na deszcz. Długi biały trencz miał ciasno zapięty.

– Schowałam swoje rzeczy w jeepie. Ten escalade podjechał, kiedy już wchodziłam z powrotem po schodach. Chyba mnie nie zauważyli.

– Widziałaś kogoś jeszcze?

Pokręciła głową.

– Tylko tych dwóch z cadillaca, ale te pozostałe samochody same nie przyjechały.

Mój nóż spoczywał na dnie Harmon Reservoir. Innej broni nie mieliśmy.

Rozejrzałem się po pokoju, po czym podszedłem do komody przy łóżku, wysunąłem szufladę i wyjąłem butelkę maker's mark. Została mniej więcej jedna trzecia. Zdjąłem zakrętkę, rzuciłem ją na bok, po czym oddarłem pasek tkaniny z poszewki na poduszkę, zwinąłem i wcisnąłem w szyjkę.

– Potrzebuję zapalek – powiedziałem, wysuwając drugą szufladę i sprawdzając jej zawartość: tylko stara Biblia.

– Widziałam jakieś na szafce. – Stella podeszła do stolika nocnego po drugiej stronie łóżka, znalazła pudełko przy brudnej popielniczce i rzuciła mi zapaliki. – Deszcz nie będzie przeszkadzał?

– Nie mam pojęcia.

Spakowałem rocznik i przewiesiłem sobie plecak przez ramię.

– Masz książkę?

– Tak, w torbie.

Nagle drzwi otworzyły się z impetem, a Stella wrzasnęła przenikliwie.

Do pokoju wpadło dwóch mężczyzn, trzymali się nisko na nogach i poruszali bardzo szybko. Pierwszy miał w ręku pistolet, drugi – strzelbę. Obaj byli od stóp do głów ubrani na biało. Bez namysłu upuściłem butelkę z whisky i przypuściłem szarżę na mężczyznę z półautomatem, walnąłem go z byka w brzuch, aż poleciał w tył, machając rękami, i wpadł na tego drugiego. Całą trójką wytoczyliśmy się na betonową galerię za drzwiami i upadliśmy jeden na drugiego. Z całej siły wyrzuciłem łokciem w szczękę tego z pistoletem, oczy uciekły mu w tył głowy. Porwałem broń i przetoczyłem się na bok, podczas gdy ten ze strzelbą spychał z siebie bezwładne ciało towarzysza i próbował wstać.

Wycelowałem w niego.

– Stój.

– Jest nieodbezpieczony – oznajmił z uśmiechem.

– Glocki nie mają bezpieczników. Odłóż strzelbę i cofnij się.

Mężczyzna skaleczył się przy upadku. Krew lała mu się z czoła do oka. Nic sobie z tego nie robiąc, uśmiechnął się jeszcze szerzej. Nadal podnosił też strzelbę.

Wypaliłem dwa razy. Oba pociski trafiły go w brzuch. Próbowałem strzelić jeszcze raz, ale skończyły się naboje. Rzuciłem pistolet na bok. Mężczyzna spojrział na powiększającą się czerwoną plamę na białym płaszczu i osunął się na kolana, obok upadła strzelba. Natychmiast ją złapałem.

Butelka z whisky wyleciała przez drzwi pokoju, tuż koło mojej głowy i dalej nad balustradą galerii, niosąc za sobą płomień prowizorycznego knota. Ekspłodowała na dachu cadillaca na środku parkingu i SUV stanął w płomieniach mimo ulewnego deszczu. Mężczyzna, który wcześniej rozmawiał przez telefon, uskoczył na bok i zniknął z pola widzenia gdzieś w dole.

Stella minęła mnie, biegnąc w stronę schodów z moim plecakiem na ramieniu.

– Ruchy!

Pośpieszyłem za nią w dół, trzymając przed sobą strzelbę.

U podnóża schodów czekał trzeci mężczyzna w bieli, celując we mnie ze strzelby wystającej spod trenażera.

Stella szła prosto na niego, z każdym krokiem coraz szybciej. Ściągnęła rękawiczkę z prawej dłoni i wyciągnęła ją w jego stronę. Mężczyzna zbladł i przesunął lufę ze mnie na nią.

Huk wystrzału.

Strzelba podskoczyła w moim ręku od silnego odrzutu, a mężczyzna poleciał do tyłu na ścianę i osunął się na ziemię.

Pobiegliśmy do jeepa i wskoczyliśmy do środka. Wrzuciłem strzelbę za fotel i odpaliłem silnik, a Stella tymczasem rozglądała się na wszystkie strony, wypatrując innych. Tuż za nami zaparkował biały chevrolet cavalier, zastawiając nam wyjazd. Zamiast cofnąć, wrzuciłem jedynkę i przejechałem po betonowym ograniczniku parkingowym, zjeżdżając z asfaltu na błotniste pole między motelem a drogą I-118. Za naszymi plecami mężczyzna, którego widzieliśmy wcześniej przy cadillacu, wybiegł z kryjówki za fordem F-150 na środek parkingu, nadal przyciskał do ucha telefon i próbował przekrzyczeć szum deszczu.

## 6

Dziewiątego sierpnia we wczesnych godzinach porannych Preacher siedział na ławce na dworcu Union Station w Los Angeles z egzemplarzem „Los Angeles Times”. Jednym okiem przeglądał gazetę, drugim obserwował grubasa w brązowym garniturze i zabawnym kapelusiku.

Nie rozumiał tego kapelusza.

Wiedział, że nazywa się „kanotier” i jest ze słomy, ale nie rozumiał, czemu ten mężczyzna ma go na głowie. Jeśli nie liczyć imprez kostiumowych, kanotiere wyszły z mody pod koniec dziewiętnastego wieku. Kiedy człowiek ukradnie mafii dwa miliony dolarów, to nie powinien się potem kręcić po Union Station w głupim kapelusiku. Powinien zniknąć.

Grubas w brązowym garniturze i zabawnym kapelusiku tak czy inaczej zniknie, Preacher już tego dopilnuje, choć nie trafi do miejsca wydrukowanego na bilecie, który ściska teraz w dłoni.

Preacher raczej nie przepadał za swoimi zleceniodawcami. Zwykle nie spełniali jego standardów, ale rodzina Letto zawsze płaciła dobrze i na czas, a także polecała go innym, dzięki czemu miał pracę. W fachu Preachera referencje od zadowolonych klientów były na wagę złota. Lubił też Los Angeles i przyjmował większość zleceń w tym mieście, o ile nie wypadały jesienią albo wczesną wiosną – nie znosił wiatru Santa Ana. Potwornie mu przez niego dokuczały alergie.

Grubas w brązowym garniturze i zabawnym kapelusiku był znany jako Lonny Caley, dawniej Elton Engelmann – w 1972 roku zmienił nazwisko, żeby uniknąć poboru do wojska i zamiast strzelać się w Azji Południowo-Wschodniej, rozpocząć lukratywną karierę w branży prania brudnych pieniędzy – najpierw dla różnych korporacji, a w końcu dla Lettów. Dobrze mu się układało, aż do zeszłego tygodnia, kiedy postanowił ich okraść. To nie była najmądrzejsza decyzja.

Lonny Caley przeczłapał przez główny hol z biletem w jednej ręce i wypchaną walizką w drugiej, po czym ruszył w stronę holu wschodniego.

Preacher podążył za nim, ze złożonym „Timesem” pod pachą. Kiedy miały automaty telefoniczne przy przechowalni bagażu, jeden z nich zaczął dzwonić.

Zignorował to i poszedł dalej za Caleyem do wschodniego holu, mijając Subwaya i Starbucksa.

Caley oparł się o ścianę, odstawił walizkę i podrapał się po brodzie.

Znowu rozdzwonił się telefon, tym razem niemal tuż przy uchu Preachera.

Porwał ze złością słuchawkę.

– Co jest?

– Znaleźliśmy ją.

– Mam to gdzieś – odparł Preacher i się rozłączył.

Automat znowu zadzwonił. Potem sąsiedni i jeszcze kolejny.

Znowu odebrał najbliższy telefon. Pozostałe też w tej chwili umilkły.

– Wyciągnąłem dziewczynę z tamtego domu. Jesteśmy kwita.

– Zgubiłeś ją. Wypuściłeś.

– Zgodnie z umową miałem ją stamtąd wyciągnąć. Nie wspominaliście nic o niańczeniu. Mówiłem wam już, że po tej historii z chłopakiem miałem już dość bawienia się w niańkę.

– Wiedziałaś. Pokrzyżowałaś nam szyki.

– Nie biorę udziału w waszym programie.

– Stałeś się jego częścią, kiedy przyjąłeś zastrzyk. Kiedy uciekłeś.

Po drugiej stronie holu Caley podniósł walizkę i poszedł do męskiej toalety.

– Nie mogę teraz rozmawiać. Jestem w pracy. – Preacher odłożył słuchawkę i ruszył do łazienki.

Wszystkie telefony na Union Station zaczęły dzwonić jednocześnie, chyba ze sto, w chóralnym, przenikliwym, metalicznym jazgocie, który odbijał się echem od marmurowych ścian i posadzek.

Dookoła podróżni zaczęli podnosić wzrok znad gazet i książek, kanapek i kawy. Nie patrzyli na nic konkretnego; jedni przekrzywiali głowy, inni się uśmiechali, pozostali marszczyli brwi i rozglądali się nerwowo, spoglądając na telefony wiszące na ścianach i poupychane po kątach. Preacher zignorował dźwięk i popchnął wahadłowe drzwi do męskiej toalety.

Po prawej znajdowało się dwanaście kabin, po lewej rząd pisuarów, z tyłu umieszczono umywalki. Posadzka z polerowanego betonu, ściany pokryte białymi kafelkami jak ze stacji metra. Przy pisuarach stało trzech mężczyzn. Trzy kabiny były zamknięte. Zza drzwi do łazienki nadal dobiegało uporczywe dzwonienie telefonów.

Jeden z mężczyzn przy pisuarach zerknął na Preachera.

– To alarm pożarowy?

Preacher skinął głową.

– Ktoś podłożył bombę na torach.

– Szlag, szlag, szlag – odparł mężczyzna, szybko załatwiając się do końca. Wypadł z łazienki. Preacher zwrócił uwagę, że nie umył rąk. Pozostali dwaj skończyli, co mieli do zrobienia, i podeszli do umywalek – jeden szybko opłukał ręce, drugi się nie śpieszył. Mieszkańcami Los Angeles niełatwo było wstrząsnąć. Mężczyzna wytarł ręce w drodze do drzwi i pchnął je przez papierowy ręcznik, który następnie zgniótł w kulkę i wyrzucił do kosza.

Preacher stał w pobliżu drzwi, dopóki obaj nie wyszli. Potem z kabury pod pachą wyjął walthera PPK. Rzadko zabezpieczał broń, bo miała długi naciąg spustu, co czyniło przypadkowy wystrzał praktycznie niemożliwym, zwłaszcza w rękach doświadczonego strzelca.

Zdjął lewą rękawiczkę i popchnął dłonią drzwi pierwszej kabiny.

Caleya tam nie było.

Przy następnych drzwiach zrobił to samo.

Tutaj sytuacja nie była tak oczywista, ale szybko doszedł do wniosku, że tam też nie ma Caleya.

Oczywiście, Lonny Caley na pewno jest w ostatniej kabynie. Ludzie, którzy się przed czymś ukrywają, mają tendencję do trzymania się na tyłach każdego pomieszczenia, w którym się znajdują.

Ktoś spuścił wodę w pierwszej kabynie i po chwili wyszedł z niej mężczyzna pod siedemdziesiątkę. Ruszył do umywalki, ale zobaczył broń w ręku Preachera i od razu wyszedł z toalety. Preacher go nie zatrzymywał. Zanim ktoś wezwie pomoc, jego już dawno nie będzie. W chwili otwarcia drzwi łazienkę wypełniła kakofonia wciąż dzwoniących telefonów, która ucichła po tym, jak wahadłowe skrzydło wróciło na swoje miejsce. Kiedy odezwała się kolejna spłuczka, Preacher ukrył pistolet przed nastolatkiem, który wyszedł z kabiny. On też nie umył rąk – nieładnie, zwłaszcza że on nie mógł usprawiedliwić się uzbrojonym mężczyzną stojącym mu na drodze do umywalki.

Kiedy za chłopakiem zamknęły się drzwi i zostali sami, Preacher znów dobył broni i lufą zapukał do ostatniej kabiny.

Zza drzwi dobiegł nerwowy głos Caleya.

– Jak mnie znalazłeś?

Preacher nie odpowiedział.

– Wiem, kim jesteś. Mam wrażenie, że w jakimś sensie cię znam. Kiedy załatwiałeś zlecenie dla Lettów, to ja ci płaciłem. Współpracują z trzema cynglami, ale tylko jednemu ufają na tyle, żeby nasłać go na mnie. Mówią na ciebie Preacher, tak?

Preacher nadal milczał.

– Mówią, że wiesz różne rzeczy, jakbyś był jakimś jasnowidzem czy coś. Kiedy trzeba kogoś namierzyć, nie ma lepszego od ciebie. Dlaczego mówią na

ciebie Preacher? „Kaznodzieja”? Nie rozumiem. Trudno mi sobie wyobrazić, żebyś był religijny.

Preacher zrobił dwa kroki w stronę umywalki.

Z kabiny rozległ się huk sześciu wystrzałów, jeden po drugim. W drzwiach pojawiły się dziury po pociskach, czarna płyta poszła w drzazgi, które zasypały betonową posadzkę.

Broń Caley trzasnęła sucho pustym magazynkiem.

– Nie trafiłem, prawda?

Preacher podszedł do drzwi i otworzył je kopniakiem.

Caley zaskomlał, kiedy w niego uderzyły i odbiły się z powrotem. Siedział na sedesie, spodnie nadal miał wokół kostek, na podłodze obok stała walizka. Caley złapał się za nos, między palcami ciekła mu krew. W drugiej ręce trzymał rewolwer. Upuścił go na widok PPK Preachera.

Wskazał brodą na walizkę.

– Wszystko jest tutaj, dodatkowo jeszcze dwieście osiemdziesiąt tysięcy moich oszczędności. Bierz to. Weź dla siebie albo im oddaj, wszystko mi jedno. – Mówił przez nos. – Tylko... tylko zrób to szybko, dobrze?

Preacher wsunął broń do kabury i w oczach mężczyzny błysnęła iskierka nadziei.

On jednak położył ręce – jedną w rękawicze, drugą bez – po obu stronach głowy Caley i jednym szybkim ruchem skręcił mu kark. Mężczyzna osunął się w dół, bezwładne ręce opadły mu po bokach. Oczy zaszyły mu mgłą, z kącika ust lekko wystawał czubek języka.

Preacher oparł go z powrotem o ścianę, upewnił się, że grubas się nie przewróci, wyszedł z kabiny i zamknął za sobą podziurawione drzwi, na ile się dało.

Z walizką Lonny'ego Caley w ręku wrócił do wschodniego holu. Telefony nadal dzwoniły. Dookoła zbierały się tłumy gapiów, ktoś od czasu do czasu podnosił słuchawkę, ale zaraz ją odwieszał.

Wolną ręką odebrał najbliższy telefon.

– Złapię dziewczynę i będziemy kwita, jasne?

W słuchawce rozległo się westchnienie.

– To już nie takie proste, Dalton.

– Jak to?

– Zdaje się, że David znalazł Cammie.

Serce Preachera zabiło szybciej.

– O szlag.

Telefony wreszcie przestały dzwonić.

## 7

– Jest do pani telefon.

Fogel podniosła powieki i zaraz znów je opuściła. Ostre światło jarzeniówek w małej celi, w której raczyli ją umieścić sympatyczni funkcjonariusze z komisariatu w Fallon, nie robiło jej dobrze na potworny ból pulsujący za gałkami ocznymi. Poduszka też nie należała do najwygodniejszych. Można by pomyśleć, że ktoś owinął szmatą worek z klockami lego i uznał to za odpowiednie podparcie dla głowy. W nocy dwa razy z niej zrezygnowała na rzecz nie aż tak nierównego materaca i metalowej ramy łóżka.

Nie zamknęli celi na klucz, za co była im wdzięczna. Nie miała jednak złudzeń, że może sobie po prostu wstać i wyjść. Dali jej to jasno do zrozumienia, kiedy ją tu przywieźli.

Solidarność zawodowa, powiedzieli. Jest pani pod wpływem i ma przy sobie broń. Złamała pani prawo. Ale nie trzeba zaraz stawiać zarzutów i rujnować pani kariery. Gliny noszą broń. Każdemu się mogło zdarzyć. Proszę odespać, a rano spisujemy SITREP.

Fogel pamiętała, że patrzyła na funkcjonariusza, który to mówił, dzieciaka może dziewiętnastoletniego i ważącego z pięćdziesiąt kilo. Spodnie od munduru trzymały mu się chyba tylko dzięki pasowi z bronią, podejrzewała też szelki pod koszulą, ale nie odważyła się spytać.

Mitchell Jun, jak głosiła plakietka z nazwiskiem. Sam na nocnej zmianie. „Chujowa fucha – pomyślała. – Czym sobie zasłużyłeś na taką chujową fuchę, po za tym, że jesteś za mały, żeby kogokolwiek wystraszyć?”

„SITREP?”

Udało jej się powtórzyć to słowo, chociaż nieco bełkotliwie. Na tyle jednak wyraźnie, że zrozumiał.

„Protokół zdarzenia, proszę pani”.

Aha.

U nas, we wspaniałej Pensylwanii, mówimy po prostu „protokół zdarzenia”, chłoptasiu.

Potem zaprowadził ją do celi z cienkim materacem i poduszką z lego, gdzie zamknęła oczy i zaczęła się modlić, żeby pomieszczenie przestało wirować, bo



zwróci kolację.

– Proszę pani? Telefon.

Fogel zwróciła głowę w stronę krat, za którymi stał funkcjonariusz Mitchell Jun ze słuchawką, od której ciągnął się kabel, i przez głowę przemknęła jej myśl, że chyba zmieściłby się między tymi kratami.

Zmusiła się, żeby opuścić nogi z łóżka, siadła i zaczęła, aż przestanie jej się kręcić w głowie. Kiedy wstała i przemierzyła sześć kroków dzielących ją od drzwi, zorientowała się, że jest na bosaka, zauważyła buty przy pryczy, prawie po nie wróciła, ale zmieniła zdanie. Wszystkie te myśli przelewały jej się w głowie pełnej na wpół stężałej galaretki, mózg łączył fakty, ale działał na poziomie czterdziestu procent wydajności.

Fogel sięgnęła po słuchawkę i zbliżyła ją do ucha na odległość centymetra. Kojarzyła na tyle, żeby zdawać sobie sprawę, ilu innych uszu dotykała ta słuchawka i że nie chce mieć do czynienia z tymi drobnoustrojami.

– Halo?

– Jak tam głowa, Fogel?

– Stack? Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Dzwoniłaś do mnie wieczorem. Nie pamiętasz?

„Nic a nic”.

– Aaa, tak – odparła.

– Mówiłaś, że ten gnojek cię wrobił. Chociaż brzmiało to raczej jak: „ty gnojek mnie wrbił”. Ale ja mam doświadczenie w tym temacie. Na szczęście rozumiem pijacki bełkot. Może jak wrócisz, nauczę cię pić, żebyś na drugi raz tak się nie urządziła.

Zachichotał.

– I co teraz? – spytała Fogel.

– Musimy chyba czekać, aż znowu wypłaci pieniądze. Nic innego nam nie pozostało.

– Mamy jakieś zwłoki? – Fogel zadała pytanie ściszone głosem, ale funkcjonariusz Jun i tak usłyszał. Zastrzygł uszami.

– Tutaj nic. Ale nie spodziewaliśmy się zwłok, nie?

– W sumie racja.

– Znajdź sobie pokój w okolicy. Przyczaj się na dzień czy dwa. Jeśli go zgubimy, wracaj do domu. To chyba najlepszy plan – stwierdził Stack.

Fogel przyznała mu rację, pożegnała się i oddała słuchawkę Junowi.

Położył telefon na biurku, na prawo od czterech cel komisariatu.

– Muszę podrzucić kamerę do Chestnuta. Mogę podwieźć panią do samochodu, jeśli nie przeszkadza pani, że coś załatwimy po drodze.

– Chestnuta?

– To motel przy stoosiemnastce. Po drodze do Mike’s.

Fogel pokiwała głową i od razu tego pożałowała.

Funkcjonariusz Jun wyjął z kieszeni opakowanie ibuprofenu i podał jej z nieznacznym uśmiechem.

Chestnut Motor Lodge okazał się straszną dziurą. Gdyby nie bliskie sąsiedztwo bazy marynarki, mieliby szczęście, gdyby turyści zatrzymywali się tu choćby zatankować. Właściciele próbowali sprzedać motel, nie udało im się, więc w końcu uznali, że po prostu pozwolą mu umrzeć śmiercią naturalną.

– Nam to nie przeszkadza – stwierdził Jun. – Prostytutki muszą mieć gdzie chodzić z klientami. Dzięki temu przynajmniej nie mamy tej hołoty w miasteczku.

Na pierwszy rzut oka było widać, że zeszłej nocy hołota nie próżnowała.

Koledzy funkcjonariusza Juna odgradzili taśmą cały parking i zachodnie skrzydło budynku. Na środku placu dymiły resztki dużego SUV-a, niektóre samochody też otoczono taśmą policyjną.

– Co tu się stało?

– Wandale uszkodzili wszystkie białe samochody na parkingu, jeden nawet podpalili. Dostaliśmy zgłoszenie o strzałach z broni palnej. Na schodach znaleziono ślady krwi, ale żadnych ofiar. – Otworzył schowek i zaczął w nim grzebać. Wyłowił kilka rolek 35-milimetrowej taśmy, sprawdził etykietkę i zamknął schowek. Drugą ręką podniósł kamerę spod nóg. – Wygląda na to, że sprawcy zaczęli już wczoraj wieczorem pod Mike’s, mamy tam jeszcze dziewięć samochodów z podziurawionymi oponami, też tylko białe. Mają coś z tym kolorem. Widocznie szurnięci. Niech tu pani poczeka...

Jun wysiadł i podbiegł do grupki funkcjonariuszy przy schodach po zachodniej stronie motelu.

„Ile białych samochodów widziałas na parkingu?”

Thatch miał jakąś obsesję na tym punkcie. Po co miałyby unieruchamiać te samochody? Naprawdę podpalił jeden z nich?

Fogel otworzyła drzwi i stanęła przy radiowozie. Jun, odwrócony do niej tyłem, prowadził ożywioną rozmowę. Na drugim końcu budynku, przy recepcji, detektyw w cywilu przesłuchiwał kobietę z plakietką przypiętą do kłapy, pewnie kierowniczkę albo pracownicę motelu. Kilka razy wskazała na otwarte drzwi na piętrze, a potem znów zwróciła się do detektywa.

Jun się na nią obejrzał. Fogel mu pomachała.

Kiedy obrócił się z powrotem do kolegów, pędem przemierzyła parking, dopadła do środkowych schodów i wspięła się biegiem, przeskakując po dwa stopnie. Na piętrze przeszła galerią do otwartych drzwi. Na betonie tuż przed nimi zobaczyła czerwoną plamę. Wcześniej padało, więc deszcz częściowo zmył krew.

Nie było tabliczki z numerem dowodu ani taśmy policyjnej – widocznie jeszcze tu nie dotarli.

Jakiś rozgniewany głos krzyknął coś do niej z parteru. Nie dosłyszała słów.

Musi się pośpieszyć.

Ostrożnie przeszła nad plamą do pokoju.

Typowy zapyziały pokój motelowy. Przez lata w policji naoglądała się ich setki. Rozklekotane łóżko, grube zasłony, włochaty dywan. Coś tu się jednak musiało wydarzyć. W pokoju panowała jakaś dziwna atmosfera. Zauważyła na podłodze zakrętkę od butelki, ale poza tym wszystko było na miejscu. Szybko przeszła do łazienki – ręcznik na posadzce, poza tym normalnie. Nic na blacie przy umywalce.

Zapałki na podłodze przy łóżku.

Biblia w szufladzie komody.

Notes z logo motelu przy telefonie.

Fogel wydarła trzy kartki z wierzchu i wcisnęła je do kieszeni, po czym schyliła się, żeby zajrzeć pod łóżko.

Kiedy się wyprostowała, w drzwiach stało trzech mężczyzn. Detektyw w cywilu, mundurowy i funkcjonariusz Jun.

Ten ostatni był czerwony jak burak.

– Miała pani czekać w samochodzie.

– Ona jest z tobą? – spytał detektyw. Pulchny, niższy od Juna o kilkanaście centymetrów, ze strąkami włosów zaczesanymi do tyłu na płaskiej głowie.

– Stoicie w materiale dowodowym – powiedziała Fogel, spoglądając na beton.

Detektyw podążył za jej wzrokiem.

– O, psia krew.

Cała trójka się rozsunęła, ustawiając się wokół plamy.

– Deszcz już większość zmył, ale powinno wam się udać sprawdzić grupę krwi.

– Kręci mi się pani po miejscu zdarzenia. – Detektyw łypnął na nią spode łba.

Fogel rozejrzała się po pokoju.

– Naprawdę? Przepraszam. Nie było zaznaczone. Wydawało mi się, że widzę tu kogoś znajomego, więc przyszedłam się przywitać.

– Jun, kim jest ta osoba, która wtargnęła na miejsce zdarzenia?

Młody funkcjonariusz odchrząknął.

– Detektyw Fogel z policji w Pittsburghu.

– Chcesz powiedzieć: ta pijaczka z bronią, której wczoraj z dobroci serca nie postawiliśmy zarzutów? Ale nadal możemy to zrobić, jeśli zmienimy zdanie? Posiadanie ukrytej broni, przestępstwo na poziomie federalnym. Zakłócanie porządku publicznego w stanie nietrzeźwym. O tej pani mówisz?

– Nie zakłócałam... – zaczęła protestować Fogel, ale się zamknęła. Nic nie pamiętała.

– Tak jest.

– A co ma na ten temat do powiedzenia jej zwierzchnik?

– Jeszcze do niego nie dzwoniliśmy, proszę pana.

Detektyw podrapał się po brodzie.

– Tak, nie dzwoniliśmy, prawda? Jeszcze nie.

Fogel przywołała na twarz wymuszony uśmiech i ruszyła do wyjścia.

– Przepraszam, skrzywienie zawodowe. Ale oczywiście ma pan rację. Nie mój rewir.

Detektyw zastąpił jej drogę.

– Czy zwrócono jej broń?

– Tak jest. Dokumenty też.

Detektyw przechylił głowę nieco w lewo.

– Wie pani, kto jest sprawcą, pani detektyw?

– Nawet nie wiem, co tu się wydarzyło.

– Oj, sądzę, że pani wie.

– Pracuję w wydziale zabójstw. To mi wygląda na wandalizm. Nie moja działka.

– Mamy tu wandala, który uszkodził kilkanaście samochodów, wszystkie tego samego koloru, co warto zauważyć, w dwóch różnych miejscach. W jedno z aut rzucił koktajlem Mołotowa. Do tego doniesienia o strzałach i są dwie plamy krwi, w tym ta tutaj, co świadczy o tym, że kogoś postrzelono. A jednak ciał brak. Nikogo nie ma ani tutaj, ani w miejscowych szpitalach. Wielkie nic. Wie pani, co jeszcze jest w tym dziwne?

Fogel nie odpowiedziała.

– Wszystkie te białe samochody, z podpalonym włącznie, mają fałszywe tablice. Nie ukradzione, podkreślam, ale fałszywki, i słowo daję, że wyglądają jak prawdziwe. Numerów VIN też nie ma w bazie. Podrobione. Nigdy nie wyprodukowano pojazdów z tymi numerami. Nie istnieją. Do nikogo nie należą. Nikt się do nich nie przyznaje, ani jeden gość motelowy czy odwiedzający.

– Brzmi to bardzo tajemniczo – skwitowała Fogel.

– Co panią sprowadza do Fallon, pani detektyw?

Fogel wzruszyła ramionami.

– Jestem wielką fanką *Top Gun*.

## 8

– Powinieneś zwolnić.

Wiedziałem, że Stella ma rację, ale za każdym razem, gdy zdejmowałem nogę z gazu, jakiś niekontrolowany popęd kazał mi znów przycisnąć do dechy. Żółte linie na autostradzie przelatywały nam pod kołami, zlewając się w jedną. Biegacze pustynne i rachityczne drzewka przy drodze migają tak szybko, że nie dało się ich dostrzec na tle pustyni. Wcześniejszy deszcz ustąpił miejsca palącemu słońcu. Zerknąłem na prędkościomierz, strzałka oscylowała w okolicach stu pięćdziesięciu na godzinę.

– Jack, proszę.

Zdjąłem nogę z gazu i zwolniłem do stu dziesięciu. Zmusiłem się, żeby nie przyśpieszać.

Wyjechaliśmy z Fallon jakąś godzinę temu.

Musiałem się napić, ale nic przy sobie nie miałem. Ani w samochodzie, ani w plecaku.

Zaciskałem ręce na kierownicy tak mocno, że całkiem zbieleły mi palce. Jedną po drugiej oderwałem dłonie i wytarłem pot w dzinsy.

– Zabiłeś kiedyś kogoś? – spytała Stella nieśmiałym głosem. – Tak z bliska?

Pokręciłem głową.

– Ja zabijałam tylko złych ludzi. Takich jak Leo. – Zwróciła się do mnie. – Musisz pamiętać, że to ja go zabiłam, nie ty. Nie chcę, żebyś miał go na sumieniu. Może i dobiłeś go nożem, ale on już i tak nie żył. W takiej sytuacji nie da się nikogo uratować. Została mu może jeszcze minuta. Tymi dzisiejszymi też się nie przejmuj. Ten, któremu strzeliłeś w brzuch, przeżyje. A ten ze schodów to był zły człowiek. Jak Leo.

– Skąd możesz wiedzieć? A jeśli miał żonę i dzieci? Nic o nim nie wiemy.

– Był zły. Wiem to. Co gorsza, był z nimi.

Powiedziała to tak, jakby to miało wystarczyć, i może rzeczywiście tak było. Nie miałem pojęcia, co ci ludzie jej robili, co za nimi stało.

„Zabiłem człowieka”.

Ta myśl spłynęła mi z mózgu do trzewi, aż przewróciło mi się w żołądku.

– Policja będzie nas szukać.

– Nie znajdą ciała – odparła.

„Zabiłem kilka osób”.

– Celowali w nas z broni, zastrzeliliby przynajmniej jedno z nas – ciągnęła.

„Czyżby? A może tylko próbowali odzyskać Stellę? Ta broń była blefem. Zresztą czy gdyby któryś z nich próbował do mnie strzelić, broń by wypaliła?”

Zacząłem szybciej oddychać. Twarz i szyję oblewał mi zimny pot. Miałem mroczki przed oczami, strzępy mgiełki zasłaniały mi widok na drogę i wnętrze samochodu.

Prawa przednia opona zjechała z asfaltu, zaraz za nią tylna, szorstkie pobocze zaczęło odciągać jeepa od drogi.

Stella zapiszczała.

Skreśliłem gwałtownie w lewo, tak że prawie ześlizgnęła mi się z kierownicy ręka, znowu mokra od potu. O podwozie załomotał żwir, kamienie i ziemia. Chwasty chłostały osłonę chłodnicy i znikwały pod samochodem. Mocno wcisnąłem pedał gazu, zbyt mocno, wpadliśmy w poślizg i całkiem wyrzuciło nas z jezdni, zaczęło nami miotać po piasku, straciłem panowanie nad pojazdem. Jeep zaczął się kręcić w lewo, więc szarpnąłem kierownicę w prawo, z nadzieją, że odzyskam kontrolę. Przez umieszczony wysoko środek ciężkości łatwo jest przerzucić jeepa i poczułem, jak prawa strona unosi się nad ziemię. Pociągnąłem kółko z powrotem w przeciwnym kierunku. Przednie koła złapały przyczepność, po chwili dołączył do nich tył. Zahamowałem, szarpnięciem rozpiąłem pas bezpieczeństwa, wyskoczyłem z auta i zgiąłem się wpół na trawie.

Nie pamiętałem, kiedy ostatnio jadłem, więc z ust poleciała mi tylko żółć, tak kwaśna, że paliła mnie w język, ale żołądek nadal kurczył się spazmatycznie, torsje nie ustępowały i zwróciłem kolejną porcję cieczy.

Poczułem dłoń Stelli na łądźwiach, drugą na ramieniu, ścisnęła mnie przez bluzkę. Po wszystkim wyprostowałem się i otarłem usta.

– Chryste, jestem totalnie rozpieprzony.

– Odebrałeś komuś życie. Jesteś człowiekiem. Martwiłabym się, gdybyś zupełnie się tym nie przejął.

Dopiero teraz zauważyłam, jaka jest blada. Trzęsły się jej już obie ręce, nie tylko prawa.

– To z powodu tego, co się stało, czy...

– Nic mi nie będzie.

Przeczesałem włosy palcami.

– Musisz... – Nie mogłem się zmusić, żeby dokończyć. Nie byłem zresztą pewny, jakie słowo byłoby tu na miejscu: zjeść? Skonsumować? Wysączyć? Wchłonać?

Stella jednak zrozumiała, co miałem na myśli.

– Nie. Już nie.

– Niepotrzebnie zastrzeliłem tamtego faceta. Był ci potrzebny. Mogłaś się nim nakarmić.

Pokręciła głową.

– Nie zrobiłabym tego. Chciałam go tylko nastraszyć.

– Ale przecież musisz. Prawda? – Podeszedłem bliżej. – Ile najdłużej wytrzymałaś... pomiędzy?

Stella wzięła głęboki wdech i spojrzała na swoje ręce.

– Rok i dwa dni. Znalazłam sposoby, żeby to spowolnić, ale tylko tyle. Powstrzymać może to tylko człowiek.

– Tamto pole kukurydzy w dziewięćdziesiątym piątym?

Pokiwała głową.

– To mi kupiło parę dni, niewiele. Potem znalazłam w nocy park. Parki są niezłe. Po niecałej godzinie jakiś facet zaczął za mną łązić. Dziesięć minut później przyłożył mi nóż do gardła. Myślał, że go nie zauważyłam w zaroślach, ale widziałam. Zawsze ich widzę. Pamiętam, jak potwornie cuchnął, jakby zgniłą cebulą. Nie miałam rękawiczek. Zginął szybko.

– Znaleźli ciało? W tamtym roku nic mi się nie rzuciło w oczy.

Kącik jej ust powędrował nieco w górę.

– Nie zawsze odkrywają ciała, Pip.

Pomyślałem o Signorellim, spoczywającym gdzieś na dnie Harmon Reservoir w swoim bmw.

– Ale już nie będę tego robić – powiedziała Stella z emfazą, znowu próbując uspokoić drżenie rąk.

– Coś wymyślimy. – Mówiłem to już wcześniej i naprawdę w to wierzyłem, chociaż nie miałem pojęcia, jak mógłbym dotrzymać takiej obietnicy.

Wróciłem do jeepa i sprawdziłem stan podwozia. Potem obszedłem auto dookoła. Oprócz kilku świeżych rys nie zauważyłem żadnych szkód. Spojrzałem na zrytą ziemię za samochodem, dwie głębokie koleiny w miejscu, gdzie opony zostawiły ślad. Stella też oglądała się za siebie, ale ona patrzyła na drogę, na przejeżdżające z rykiem silnika samochody. Ostatnie minęło nas niebieskie kombi.

– Dokąd pojedziemy, Jack? Nie możemy tu zostać. Niedługo nas znajdą.

– Do Carmel w Kalifornii – odparłem. – Znalazłem Cammie Brotherton.

Powtórzyłem jej wszystko, czego dowiedziałem się od Dunka.

– Musimy załatwić inny samochód.

## 9

Nie widzę, czy tu jest Windmore osiemset trzy czy trzysta trzy – powiedziała Fogel, wpatrując się w pierwszą stronę papeterii, którą zwinęła z pokoju w Chestnut Motor Lodge. Delikatnie pomazała kartkę ołówkiem i dzięki temu mogła mniej więcej odczytać pośpiesznie nabazgrany adres i jedno dodatkowe słowo.

Rozmawiała przez komórkę ze Stackiem.

– Ale reszty jesteś pewna? Słowo „Charter” ze znakiem zapytania?

– No, chyba tak.

– Kojarzę tę nazwę. Gdzieś ją wcześniej widziałem albo słyszałem.

– Gdzie?

Stack na chwilę umilkł.

– Zaraz oddzwonię.

Rozłączył się.

Joy Fogel siedziała na parkingu przed niedużym pasażem handlowym na obrzeżach Fallon. Bateria w telefonie się rozładowała, więc kupiła w Radio Shack przejściówkę do gniazda zapalniczki i od razu zadzwoniła do Stacka. Z tym notesem trochę strzelała w ciemno. Nie miała pewności, czy Thatch zatrzymywał się w tamtym pokoju, a nawet jeśli, to wcale nie on musiał korzystać z papeterii. Adres mógł zostać zapisany przez innego gościa (określenie to było bardzo łaskawe dla typowej klienteli tego motelu) nawet wiele miesięcy temu.

Detektyw prowadzący sprawę Chestnut chciał ją zatrzymać, ale nie miał żadnych argumentów, więc po dwudziestominutowej rozmowie z nim odjechała z funkcjonariuszem Junem i odebrała samochód z parkingu za Mike’s Gentlemen’s Club. Kazali jej wyjechać z miasta, jak w westernach. Najwyraźniej w Nevadzie nadal obowiązywały zasady Dzikiego Zachodu.

Junowi wyraźnie kazali ją śledzić. Zaparkował dwa miejsca dalej i nawet nie próbował się kryć. Fogel mu pomachała.

Nokia zaćwierkała po dziesięciu minutach. Fogel odebrała.

– Nie znalazłem nic o Windmore, ale przypomniało mi się, gdzie widziałem nazwę Charter. Pamiętasz Calvina Gurneya?

Fogel wciąż bolała głowa, ale czuła, że trybiki zaczynają się kręcić.



– Siedemdziesiąty ósmy rok?

– Tak. Jedyna ofiara zidentyfikowana w tamtym roku. Jeden z trzech facetów znalezionych w domu, gdzie Nettletonowie nielegalnie mieszkali. Przed śmiercią był zatrudniony jako woźny w firmie Charter Pharmaceuticals pod Chadds Ford w Pensylwanii. To jakieś cztery i pół godziny od Pittsburgha.

– Nie ma w pobliżu żadnej ulicy Windmore?

– Na mapie nic nie widzę, ale jeszcze posprawdzam. Spróbuję też dokopać się czegoś o Charter Pharmaceuticals.

Fogel potarła skronie.

– Mogłabym złapać samolot, wieczorem byłabym na miejscu.

– To nic pewnego. Może lepiej tam zostać, wróć do klubu i spróbuj go zgarnąć, jak wróci – zasugerował Stack.

– On już tu nie wróci. Wydaje mi się, że zdobył to, po co przyjechał.

– Dziewczynę?

– Tak.

– Widziałaś ją? Jaka ona jest?

Fogel sama nie wiedziała, jak opisać to, co widziała zeszłej nocy. W końcu znalazła odpowiednie słowo.

– Niebezpieczna.

– To by się zgadzało.

Fogel spojrzała na Juna. Tym razem to on jej pomachał.

– Zadzwoń, jak wyląduję.

## 10

David gwałtownie otworzył oczy.

Czuł suchość w ustach.

– Coś ci się śniło – powiedziała siedząca obok Latrese Oliver.

Przymknął powieki i rozparł się w fotelu. Szum silnika prywatnego odrzutowca zwykle go uspokajał, ale jakoś nie mógł się odprężyć. Wolałby podróżować bez niej, ale się uparła. Zawsze nalegała, kiedy w grę wchodziła ta dziewczyna.

– Daleko jeszcze?

– Lądujemy za kilka godzin, potem jeszcze godzina samochodem.

– I ona na pewno tam jest?

– Tak, potwierdziliśmy, że Stella jest w drodze z chłopakiem. Wszyscy razem, elegancko – odparła Oliver. Z ust cuchnęło jej prawie tak paskudnie jak od tej martwej ręki.

Na myśl o spotkaniu ze Stellą wreszcie się uśmiechnął. Zbyt długo już się nie widzieli.

## 11

Sto kilometrów za Fallon skręciłem w lewo z drogi międzystanowej numer 580 w zjazd na South Lake Tahoe, pod Minden.

– Masz jakąś gotówkę?

Stella podniosła wzrok znad mojego egzemplarza *Wielkich nadziei*. Od godziny czytała książkę.

– Mam dwa tysiące czterysta sześćdziesiąt trzy dolary.

– Przy sobie?

– Pod kamieniem w Fallon.

Spochmurniałem.

– Pewnie, że przy sobie, Jack. Nie ufam bankom, a tym bardziej kamieniom.

Humor jej się poprawił, ale skóra jakimś cudem jeszcze bardziej zbladła. Chociaż rozkręciłem klimatyzację do oporu, na skroniach lśniła jej cienka warstewka potu. Regularnie dopadały ją dreszcze. Udawałem, że tego nie widzę, ale już kilka razy przyłapała mnie na gapieniu się na jej rękę.

– Ja mam chyba około tysiąca sześciuset. Wczoraj wypłaciłem tyle, ile się dało. Jeśli oddamy jeepa w rozliczeniu i dorzucimy mniej więcej połowę gotówki, powinno nas być stać na przyzwoite auto.

– Moglibyśmy też ukraść samochód i nie wydawać pieniędzy.

– Nie będziemy kraść samochodu.

– No dobra, to pożyczymy jakiś samochód i oddamy go w bliżej nieokreślonym terminie i miejscu przez nas wybranym – odparła Stella, spuszczaając wzrok na książkę.

– Mam wrażenie, że to też byłaby kradzież.

– Nie mówię, że mamy pożyczyć jakiś drogi samochód. Może być grat, którego nikomu nie będzie brakowało.

– Drogie auta częściej są ubezpieczone.

– No to ustalone, bierzemy jakiś drogi. Może być bmw.

– Nie to miałem na myśli.

Stella zaznaczyła sobie kciukiem, na której jest stronie, i zamknęła książkę.

– Wolalabym już nigdy nie musieć przekroczyć progu takiego przybytku, w jakim mnie znalazłeś, ale jako uciekinierka mam dość ograniczone możliwości

zarobku. Nauczyłam się wartości pieniądza. W pełni zdaję sobie sprawę, jak trudno jest zarobić, a kiedy mowa o samochodach, wolę się trzymać tych zakupionych za cudze pieniądze, zwłaszcza że są tak łatwo dostępne.

– Czyli kradniesz?

– Jak się tak teraz zastanawiam, to zdecydowanie wolę określenie „pożyczam”. Niepotrzebnie powiedziałam „ukraść”. Kradzież jest zła. Pożyczanie to dobry zwyczaj wśród przyjaciół i innych bliźnich. Tak jak kiedy pożyczasz od sąsiadki szklankę cukru, który zużywasz i którego nigdy nie oddajesz, ale nikt się nie gniewa. Od tej pory zamierzam wyłącznie „pożyczać” samochody.

Zjazd wyrzucił nas na drogę numer 395, przy której wyrastało Minden. Określenie „miasto” byłoby mocno przesadzone, stały tam głównie parterowe budynki, niektóre miały jedno dodatkowe piętro. Sporo wyglądało na opuszczone. Minden sprawiało wrażenie miasteczka górniczego, które zdołało doczołgać się do dwudziestego wieku, ale teraz wegetowało niczym pacjent podłączony do aparatury podtrzymującej życie.

– W takim miejscu nie da się niepostrzeżenie pożyczyć czy ukraść samochodu. Przydałby się duży parking, gdzie nikt nie zwróciłby na nas uwagi – stwierdziłem, badawczo rozglądając się po obu stronach drogi.

– Od razu widać, że nigdy nie pożyczałeś samochodu. Stań tam... – powiedziała, wskazując na jeden z największych budynków w miasteczku.

– Pod szpitalem?

Skręciłem w lewo i nieco zwolniłem na nagłym spadku prowadzącym na parking wokół budynku. Zajęte było mniej więcej co czwarte miejsce. Więcej, niżbym się spodziewał jak na takie małe miasto.

– Lekarze i pielęgniarki mają bardzo długie zmiany, czasem pracują kilka dni z rzędu. Mogą nawet przez pół tygodnia nie zauważyć, że ktoś sobie pożyczył ich samochód. Zresztą sam mówiłeś, że chcesz coś drogiego.

– Nie mówiłem, że...

– Tam! – Pokazała na fragment wygrodzony z ogólnego parkingu, z tabliczką „Tylko dla personelu” i bramą ze szlabanem. – Zaparkuj gdzieś tutaj, w części dla odwiedzających. Prędko go tu nie znajdą.

Stałem na miejscu na tyłach, pod żywołotem, między dużym pikapem (zielonym) a zdezelowanym winnebago (beżowo-brązowym). Parking dla pracowników wydzielono jakieś piętnaście metrów dalej.

– Pozbieraj nasze rzeczy, ja coś znajdę – rzuciła Stella, rozpinając pas.

– Na pewno czujesz się na tyle dobrze, żeby...

Zanim dokończyłem zdanie, była już w połowie drogi na parking. Z początku szła nieco chwiejnym krokiem, ale odzyskała równowagę.

„Ile najdłużej wytrzymałaś... pomiędzy?”

„Rok i dwa dni”.

Dzisiaj był dziewiąty sierpnia – rok i dzień.

Wyjąłem z tylnego siedzenia swój plecak i torbę Stelli i położyłem je na ziemi przy samochodzie. Zgarnąłem też książkę, którą czytała Stella. Ukradzioną strzelbę ułożyłem za bagażami, na wypadek gdyby ktoś przejeżdżał i zobaczył, co robię. Obszedłem jeepa i otworzyłem schowek po stronie pasażera. Wytoczyła się z niego pusta butelka po Jimie Beamie. Bez namysłu, zupełnie odruchowo podniosłem ją z podłogi, odkręciłem i przytknąłem do ust, licząc na ostatnią kroplę. Nic jednak nie wykapało. Kiedy się zorientowałem, co robię, wyrzuciłem butelki w krzaki i podziękowałem losowi, że jestem w tej chwili sam.

Poza tym w schowku leżały już tylko podręcznik użytkownika, dowód rejestracyjny i śrubokręt. Zostawiłem podręcznik, dowód wsadziłem sobie do kieszeni, a ze śrubokrętem poszedłem na tył samochodu, żeby odkręcić rejestrację. Potem wróciłem do drzwi od strony kierowcy i również śrubokrętem usunąłem plakietkę z numerem VIN. Poluzowałem ją dawno temu, a potem lekko przykleiłem na miejsce, żeby się jakoś trzymała. Teraz odczepiła się bez większego trudu i trafiła do kieszeni z dowodem rejestracyjnym.

Właśnie obchodziłem jeepa po raz ostatni, żeby się upewnić, że niczego nie przeoczyłem, kiedy Stella podjechała najnowszym modelem czterodrzwiowego mercedesa klasy E.

Samochód był biały.

– Jesteś pewna? – spytałem, kiedy Stella wysiadła z auta.

– Właściciel najwyraźniej życzył sobie, żeby ktoś pożyczył jego samochód. Nawet kluczyki zostawił.

– Chodzi mi o to, czy na pewno chcemy biały samochód?

– Wilk w owczej skórze, mój drogi Pipie. Najciemniej pod latarnią. – Stella schyliła się przez otwarte drzwiczki i wcisnęła jakiś guzik. Bagażnik otworzył się z cichym, eleganckim sykiem. – No, raz-dwa, zanim ktoś przyjdzie.

Przewróciłem oczami i pozbierałem nasze rzeczy. Bagażnik mercedesa okazał się niezwykle pojemny i albo ktoś go regularnie odkurzał, albo po prostu rzadko używał. Zamknął się z cichym kliknięciem. Książki nie spakowałem. Uznałem, że Stella będzie chciała mieć ją pod ręką.

Rzuciła mi kluczyki.

– Ty prowadzisz.

Ostatni raz spojrzałem na jeepa i pomyślałem, że będę bardzo tęsknił za tym samochodem. Miałem go cztery lata, dłużej niż jakiegokolwiek inne auto. Może będę miał okazję po niego wrócić, pomyślałem, choć w głębi serca wiedziałem, że to nie nastąpi.

Wsiadłem za kierownicę mercedesa i zatrzasnąłem drzwi. Zapadłem się w miękkie skórzane siedzenie.

– Wow.

Stella aż promieniała.

– Co nie? Bardzo się cieszę, że zasugerowałaś pożyczanie luksusowego samochodu. Poza tym jest ubezpieczony, sprawdziłam papiery. Jedno zmartwienie odpada. – Zabrała mi książkę i położyła sobie na kolanach.

Przesunąłem rękami po obitej skórą kierownicy. Ustawiłem lusterka.

Stella włączyła sprzęt grający. Spodziewałem się szumu i trzasków, ale z głośników rozległ się głos Stevena Tylera z Aerosmith, zawodzącego *I Don't Want to Miss a Thing*.

– Hm – mruknąłem, patrząc na radio.

– Co?

– Nic. Radio. Przypomniało mi się, jak byliśmy dziećmi, wtedy na ławce.

– *Jessie's Girl* – powiedziała Stella łagodnie. – Ta piosenka leciała, kiedy pierwszy raz wspiąłeś się na tamtą górkę. Kiedy się poznaliśmy.

– Rick Springfield był kozak.

– Kozak? – zdziwiła się Stella.

– Nie znasz tego wyrażenia?

Pokręciła głową.

– Kozak. Mistrz, debeściak. Doktor Noah Drake z *General Hospital*? Jo w kółko oglądała ten serial, kiedy akurat nie pracowała.

Jej twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu.

– Nie masz pojęcia, o czym mówię, prawda?

Znów pokręciła głową.

– Nie mieliśmy w domu telewizora. Pani Oliver nie pozwalała. Wolno mi było słuchać muzyki przez godzinę dziennie, o ile odrobiłam zadane lekcje. Oczywiście mieliśmy też książki, całą masę książek. Żyłam nimi.

Wyjechałem z parkingu na drogę 395, kierując się w stronę autostrady międzystanowej.

– Jak wy dostałaś się z tamtego domu?

– Przez drzwi frontowe, rzecz jasna.

Mercedes swobodnie przyspieszył. Po latach spędzonych za kierownicą jeepa cicha praca niemieckiego silnika kłuła mnie w uszy.

– Opowiedz mi o tamtym dniu.

Stella otworzyła *Wielkie nadzieje* na losowej stronie i znów pogрузzyła się w lekturze.

– Proszę, nigdy nie pytaj mnie o tamten dzień. Nigdy, Pip.

Strużka potu spłynęła jej z policzka na szyję. Zignorowała ją.

Włączyłem klimatyzację na cały regulator.

Złapałem obleczoną w rękawiczkę dłoń Stelli.

Mieliśmy jeszcze pięć godzin drogi do Carmel w Kalifornii, a nigdzie w pobliżu nie było widać białych samochodów poza naszym.

## 12

Były detektyw Terrence Stack, teraz po prostu Terry, prawie godzinę próbował namierzyć numer telefonu do Charter Pharmaceuticals i jakiegoś żywego człowieka. Pod numerem, który zdobył w informacji, zgłaszał się automat. Automat podawał całą listę opcji, ale żadna z nich nie prowadziła do operatora. Z każdym razem, gdy wybierał nową pozycję z menu, musiał wysłuchać kolejnego nagrania albo po prostu go rozłączało i musiał zaczynać od nowa. Już miał rzucić aparatem o ścianę, kiedy nagle coś mu przyszło do głowy.

Numer podany w informacji kończył się na 371-1050.

Wykręcił kierunkowy, a potem 371-1051. Tam też zgłosił się automat.

371-1052. Automat.

371-1053. Automat.

371-1054. Automat.

371-1055. Automat.

Pod numerami od 1063 do 1081 nie zgłaszał się nawet automat. W słuchawce przez kilka minut rozlegał się sygnał, a potem go rozłączało.

Powoli godził się już z myślą, żeby się poddać i spróbować jakoś inaczej, kiedy wykręcił 371-1097.

– Sanders. – Żadnego powitania, tylko jedno słowo, rzucone niedbale nazwisko. – Jest tam kto?

Stack otworzył usta, ale uświadomił sobie, że nie zaplanował, co właściwie powie, jeśli w końcu się do kogoś dobije. Odchrząknął.

– Szukam Calvina Gurneya. Zdaje się, że jest u was woźnym.

Stack świetnie wiedział, że Gurney zginął w domu Nettletonów w 1978 roku, ale uznał, że skoro i tak chce wsadzić kij w mrowisko, to nie ma co się hamować.

– Kto? – spytał głos w słuchawce.

– Calvin Gurney.

– Skąd pan ma ten numer?

– Nie wiem. Automat mnie przełączył.

– Pierdolony automat. Chwilę.

Szelest papierów, potem głos wrócił.

– Nie widzę takiego nazwiska w wykazie.



– Calvin powiedział, że jeśli go nie będzie, to mogę porozmawiać też z Eurą Kapp.

Eura Kapp zmarła w 1986 roku – czterdziestosiedmiolatka, spalona, ale nie do końca.

– Takiej też tu nie mam.

– A Andy Olin Flack?

Czyli trzydziestoletni pedofil, którego zwłoki porzucono w zaułku przy mieszkaniu dzieciaka.

– Flack? Flack nie pracuje tu od parunastu lat. Kto mówi?

Stack zastanowił się chwilę.

– Richard Nettleton.

Połączenie przerwano.

Kiedy ponownie wybrał numer, nikt się nie zgłosił.

## 13

Stella spała.

Z początku tylko zapadała w krótkie drzemki, próbowała walczyć z sennością, ale po jakimś czasie zobaczyłem, że opuściła książkę na kolana, a głowa opadła jej na bok. Jednak nawet przez sen trzęsły jej się ręce. Oddychała raz miarowo, raz ciężko, i tak na zmianę. W którejś chwili całym jej ciałem tak gwałtownie zatelepało, że aż się obudziła. Skórę miała ziemistą, niezdrowo bladą, wyglądała, jakby miała gorączkę, ale nie odważyłem się dotknąć jej czoła, żeby sprawdzić.

Potem znowu się obudziła i oznajmiła:

– Pracowałam tam dla pieniędzy.

Powiedziałem, że nie musi mi się tłumaczyć.

– Wiem – odparła. I znów odpłynęła.

Jechaliśmy drogą CA-88 i właśnie mijaliśmy Dogtown, kiedy zaczęło się robić nieciekawie.

Z głośników mercedesa zatrzeszczało.

Nie był to zwykły szum, który zakłóca piosenkę, kiedy traci się zasięg anteny radiowej, ale groźne, ostre trzaski, dwukrotnie głośniejsze niż Michael Stipe z R.E.M., który jeszcze przed chwilą wyśpiewywał *Losing My Religion*. Mercedes szarpnął, wszystkie urządzenia elektroniczne wyłączyły się na sekundę, wskaźniki na tablicy rozdzielczej rozświeciły się znacznie jaśniej, niż powinny, po czym wszystko wróciło do normy i ucichł szum.

Stella przebudziła się gwałtownie w fotelu pasażera. *Wielkie nadzieje* upadły jej na podłogę, zaczęła gorączkowo kręcić głową na wszystkie strony, wyglądając przez okna.

– Zjedź.

– Co?

– Zjedź!

Szarpnąłem kierownicą mocno w prawo, wciskając do dechy hamulec. W odróżnieniu od jeepa mercedes wpadł w lekki poślizg, ale udało mi się utrzymać panowanie nad pojazdem po zjeździe z asfaltu na zwirowe pobocze i hamowaniu. Mijające nas samochody zatrąbiły głośno. Pordzewiały chevrolet

pikap minął nas ledwie o włos, aż cały zatrzeszczał, kiedy kierowca gwałtownie skręcił.

Zanim zdążyliśmy się zatrzymać, Stella już rozpięła pasy i otwierała drzwiczki. Wypadła z samochodu jak z procy, przeszła przez drewniany płot jakieś trzy metry od drogi i puściła się pędem przez pole.

– Czeka! – zawołałem.

Albo nie usłyszała, albo jej to nie obchodziło. Obiegnęłam samochód i ruszyłam za nią.

Za polem wznosiło się wzgórze, a kiedy się na nie wspierałam, zobaczyłam Stellę już po drugiej stronie, pędziła w stronę dużego zbiornika wodnego (miałem się potem dowiedzieć, że to jezioro Camanche). Nie miałem pojęcia, dlaczego tam biegnie ani skąd jeszcze w samochodzie wiedziała, że jest tam jakieś jezioro. Nie pamiętam, żeby było jej widać z trasy, a wyraźnie stanowiło jej cel.

Zbiegłem po zboczu i dogoniłem ją na brzegu, kiedy gorączkowo zaczęła zdzierać z siebie rękawiczki.

– Do tyłu, Jack!

Kiedy się nie ruszyłam, warknęła na mnie przez ramię.

– Do tyyyłu!

Rzuciła rękawiczki na ziemię, padła na kolana i zanurzyła ręce w wodzie.

Zapanowała całkowita cisza i zorientowałem się, że przestałem oddychać. Znieruchomiałem, stałem jak sparaliżowany.

– Do tyyyłu – powtórzyła, ale teraz już ledwie dosłyszalnym szeptem. Mocno zacisnęła powieki, lekko przekrzywiła głowę na lewo, jakby nasłuchiwała jakiegoś dalekiego odgłosu.

Nie jestem pewny, czego się spodziewałem, ale z początku nie działo się nic. Stella tkwiła w absolutnym bezruchu, ze sztywno wyprostowanymi plecami, drgały jej mięśnie na karku, oczy miała zamknięte, usta wciąż lekko uchylone po ostatnio wypowiedzianych słowach.

Powietrze zrobiło się rześkie, nie od zimna, zdecydowanie nie było zimno, ale jakby się wyostrzyło, jakby cząsteczki powietrza przywierały do siebie, tworząc gruby koc. Zamarł lekki wietrzyk unoszący się nad polem i jeziorem. Nie dało się słyszeć żadnego zwierzęcia, owada ani nawet gałązki szurającej o chwasty.

Włoski na ręce stanęły mi dęba i spojrzałem na to ze zdziwieniem, czując, że to samo dzieje się z włosami na karku, drapały w kołnierz koszuli. W powietrzu zapachniało ozonem – z początku delikatnie, potem coraz mocniej.

Wszystko to trwało zaledwie sekundę, choć zdawało się ciągnąć znacznie dłużej.

Stella gwałtownie nabrała powietrza.

Pierwszy wypłynął bass wielkogębowy, ważył na oko co najmniej z pięć kilo. Ryba unosiła się na powierzchni z metr od rąk Stelli – nie ruszała się, wyraźnie zdechła. Spalona, ale nie do końca. Po drugiej stronie wynurzył się sum, potem kolejna ryba, której nie rozpoznałem, może pstrąg. Ryby zaczęły wypływać dookoła, pokrywając taflę wody – pięć, dziesięć, kilkanaście, kilkadziesiąt. Zaczęło się od najbliższego sąsiedztwa jej rąk i rozprzestrzeniało, płaszcz śmierci rozpościerający się na jeziorze, aż nie było widać już nic innego, ciemna woda zniknęła pod spodem.

Nie wiem, jak długo to trwało. Straciłem poczucie czasu.

Daleko na horyzoncie ryby jeszcze wypływały na powierzchnię, kiedy Stella wyciągnęła ręce z wody i padła na brzeg.

Podbiegłem i przyklęknąłem obok niej.

– Nie... dotykaj mnie... Zwłaszcza teraz. – Oczy miała zamknięte, słowa wypadły z jej ust na jednym urywanym wydechu.

Rozpaczliwie pragnąłem porwać ją w ramiona i przyciągnąć do piersi, pocieszyć, zrobić cokolwiek, żeby jakoś jej ulżyć, ale nie mogłem. Nie mogłem choćby pogłodzić jej po policzku. Wiedziałem o tym i ta świadomość zżerała mnie od środka.

Odgarnąłem jej włosy z twarzy, pilnując, żeby nie dotknąć skóry.

– Co mogę zrobić?

– Nie chcę, żeby coś ci się stało.

– Możesz się ruszać?

Jej ciało oklapło.

Straciła przytomność.

Po jeziorze płynęła – a raczej brnęła przez połać martwych ryb – nieduża motorówka z czternasto-, piętnastoletnim chłopakiem na pokładzie. Znajdował się dość daleko, ale kierował się w naszą stronę. Silniczek łódki młócił wodę, chłopak przechodził od jednej burty do drugiej, rozglądając się na prawo i lewo.

Pobiegłem do samochodu, otworzyłem bagażnik i zacząłem grzebać w plecaku. Spędziłem tyle nocy pod gołym niebem, że nauczyłem się zawsze mieć przy sobie porządny koc. Nie był najgrubszy, ale wełniany, więc świetnie grzał. Zaniósłem go do Stelli i otuliłem ją dokładnie, zakrywając gołe ręce i szyję, tworząc prowizoryczną barierę między nami, wziąłem ją w ramiona i zaniósłem do auta. Usadziłem ją ostrożnie na fotelu pasażera i dopiero wtedy przypomniałem sobie o rękawiczkach.

Pobiegłem z powrotem.

Chłopak na łódce był już blisko brzegu i wyraźnie się ożywił na mój widok.

– Wszystkie ryby pozdychały!

Trawa i chwasty na brzegu w miejscu, gdzie klęczała Stella, też poczerniały, plama miała średnicę ponad dwóch metrów – wszystko zwiędło, już zaczynało cuchnąć zgnilizną i rozkładem. Złapałem rękawiczki Stelli.

– Woda chyba jest zatruta czy coś! – zawołał chłopak.

– Na to wygląda! – odkrzyknąłem, rozglądając się jeszcze ostatni raz, wcisnąłem rękawiczki do kieszeni i popędziłem pod górkę i w dół do mercedesa. Wskoczyłem za kierownicę, przekręciłem kluczyk w stacyjce i dodałem gazu, wzbijając w powietrze tuman kurzu i żwiru. Już z drogi zauważyłem nastolatka z łódki na szczycie wzgórza i pomodliłem się w duchu, żeby nie zdążył zbyt dobrze przyjrzeć się mnie, Stelli ani naszemu samochodowi.

Na drodze US-395 nie było dużego ruchu – głównie ciągniki siodłowe z naczepami i garstka samochodów osobowych. Włączyłem tempomat i utrzymywałem prędkość na poziomie dziesięciu kilometrów na godzinę ponad limit – nie dość szybko, żeby ryzykować zatrzymanie przez drogówkę, ale wystarczająco, żeby się nie wyróżniać.

Stella obudziła się na dobre dopiero pod Stockton w Kalifornii. Wcześniej kilka razy gadała coś przez sen, ale niezbyt sensownie. Wróciły jej kolory i na szczęście przestała się tak pocić. Nie wyglądała już, jakby miała gorączkę, ale nie było to pewne. Zastanawiałem się, czy ją obudzić, zwłaszcza kiedy wyraźnie zaczęło jej się poprawiać, ale przemyślałem sprawę. Cokolwiek jej doskwierało – ta dolegliwość, choroba, kłątwa, głód – jezioro pomogło i teraz musiała odpocząć, a choć uwielbiałem słuchać jej głosu, musiałem wziąć pod uwagę jej dobro i pozwolić jej odpocząć.

Kiedy zaczęły się pokazywać znaki na Stockton, Stella poruszyła się pod kocem, przekręciła głowę z lewego boku na prawy i z powrotem, po czym zatrzepotała powiekami i wreszcie otworzyła oczy.

– Pić – wychrypiała.

Podąłem jej butelkę wody.

– Z godzinę temu musiałem zatankować, więc przy okazji zrobiłem zakupy. Mamy wodę, kitkaty, paczkę oreo i cheetosy.

– Nie jesteś fanem wartości odżywczych, co, Pip?

– Ciocia Jo mawiała, że lepiej jeść śmieciowe żarcie. Układ odpornościowy się nie rozleniwia.

– Chciałabym wierzyć, że żartujesz, ale jestem prawie pewna, że nie. – Stella odkręciła wodę i wypila prawie pół butelki, po czym odstawiła ją na środkową konsolę.

– Jak długo spałam?

– Ze dwie godziny.

– Bardzo było źle?

– Z jeziorem?

Skinęła głową.

– Chyba zabiłaś wszystkie ryby.

Oparła się i znowu zamknęła oczy, wzdychając ciężko.

– Nie chciałam.

– Ktoś nas widział. Jakiś chłopak w łódce. Ale był za daleko, żeby zobaczyć rejestrację. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Stella gwałtownie otworzyła oczy.

– Był na wodzie?

Przytaknąłem.

– Mniej więcej na środku jeziora. Na początku dość daleko, ale potem nas zauważył i podpłynął do brzegu.

Obróciła się w moją stronę, przytrzymywana przez pas bezpieczeństwa.

– Ale nic mu się nie stało? Nie umarł?

Zrozumiałem, o co jej chodzi. Skoro wszystkie ryby zdechły, to czemu chłopak przeżył? Też był na wodzie.

– Był na wodzie, ale nie w wodzie. Łódka pewnie go jakoś ochroniła.

Stella opadła na oparcie i westchnęła.

Jedynym pasem skierowanym na zachód jechała wolno ciężarówka, więc musiałem wcisnąć hamulec i wyłączyć tempomat. Zwolniliśmy do setki.

– Ale pomogło, prawda? Te ryby?

Stella podniosła rękę i przytrzymała w powietrzu dłoń – już się nie trzęsła.

– Jak myślisz, jak długo... ile czasu udało ci się kupić?

Opuściła rękę.

– Dzień, może dwa, nie więcej.

– No to zrobimy to znowu – stwierdziłem. – Jak już będziesz musiała, to znajdziemy jakieś inne jezioro, pole kukurydzy albo...

Ale ona już kręciła głową.

– Czytałeś o tym polu w gazecie, prawda? Nad jeziorem niedługo zaroi się od reporterów, jeśli jeszcze ich tam nie ma. Temat przebije się do lokalnej prasy, może telewizji. Nawet jeśli unikniemy krajowych mediów, to tylko do kolejnego razu. Martwe jeziora, martwe pola, martwe drzewa... Ktoś skojarzy te sprawy i wkrótce dziennikarze stworzą mapę, pozaznaczają wszystkie przypadki. Niektóre bliźny da się ukryć, Pip. Inne są zbyt wielkie. Jeśli nie dopadnie nas prasa, to zrobi to Oliver i spółka. Założę się, że wyczekują takich wieści. Pani Oliver nazywała to moim „pocałunkiem śmierci”. Przypuszczam, że nad jej mapą widniałby właśnie taki nagłówek, wypisany dużymi, wytłuszczonymi literami: „Pocałunek śmierci Stelli”. Zobaczyliby, że trop wiedzie na zachód, i nigdy byśmy się przed nimi nie ukryli.

„Nie zawsze odkrywają ciała, Pip”.

– No to znajdziemy jakiegoś złego człowieka. Kogoś, kto zasługuje na śmierć.

– Nikt nie zasługuje na śmierć.

– Mordercę, gwałciciela, kogoś, kto krzywdzi innych ludzi... – Nie mogłem uwierzyć, jak łatwo było mi zacząć myśleć w ten sposób, ale kiedy rozpatrywałem tę możliwość w kontekście utraty Stelli, nie widziałem innego wyboru. – Może w Los Angeles. Pójdziemy do parku, tak jak już kiedyś robiłaś, i...

– Nie – odparła z naciskiem. – Nie chcę już zabijać.

– Zrobisz to jeszcze tylko ten jeden raz. To nam załatwi rok, zgadza się? Cały rok na to, żeby wymyślić coś innego, jakiś inny sposób. Znaleźć rozwiązanie.

– Nie.

– Jeśli dopadną nas ludzie w bieli, jeden z nich... którykolwiek...

– Nie.

– Oni próbują nas skrzywdzić. Jeśli ktokolwiek zasługuje...

– Jack, błagam. Przestań. Nie zrobię tego. Nie obchodzi mnie, czym to się może dla mnie skończyć. Nikogo już nie zabiję. Musisz mi obiecać, jeśli znowu dopadnie mnie gorączka, stracę rozum, będę próbowała cię powstrzymać, tak jak nad jeziorem, musisz mi obiecać, że mnie nie posłuchasz...

– Nie zamierzam...

– ...i jeśli będzie wyglądało na to, że chcę ci zrobić krzywdę, musisz mnie powstrzymać. Możliwe, że będziemy potrzebowali sznura albo kajdanek, albo i tego, i tego. Nie wiem, jak źle ze mną będzie. Nigdy nie doprowadziłam się do takiego stanu, ale nie mogę cię skrzywdzić. Nie możesz mi na to pozwolić. –

Zniżyła głos. – Te rękawiczki muszą zostać na swoim miejscu. Jeśli je zdejmę i wyciągnę rękę w twoją stronę, musisz mnie zastrzelić, Jack. Musisz mnie zabić.

– Tego akurat to ja nigdy nie zrobię – odparłem. – Nie ma mowy.

Wyrzała przez okno na jałowy krajobraz.

– Musisz zastrzelić mnie jak wściekłego psa, bo tym właśnie wtedy będę.

Skręciłem kierownicą w lewo, zjechałem na przeciwny pas i wcisnąłem gaz do dechy. Jechałem złym pasem jeszcze długo po tym, jak wyprzedziliśmy ciężarówkę. Dopiero kiedy z naprzeciwka zaczął się zbliżać jakiś samochód, zjechałem z powrotem, nawet nie patrząc, jak daleko zawędrowała wskazówka prędkościomierza.

## 14

Były detektyw Terrence Stack, teraz po prostu Terry, podszedł do okna w salonie, które wychodziło na ganek i ogródek przed domem.

Biały furgon nadal tam stał.

Nie był pewny, kiedy dokładnie się zjawił, ale tkwił tam przez większość dnia.

Po prostu stał.

Może ktoś wysiadał, ale nie zauważył. Nikt też nie wsiadał. Żadnej aktywności.

Po prostu stał.



## 15

Kiedy wreszcie dotarliśmy do Carmel w Kalifornii, niebo już pociemniało, a nocny spokój odzwierciedlał ciszę, jaka zapadła między mną a Stellą. Już ponad godzinę nie zamieniliśmy ani słowa. Za każdym razem, kiedy na nią patrzyłem, łapałem się na tym, że sprawdzam, czy nie pobladła, czy nie trzęsą się jej dłonie albo ramiona, czy jej skóra znowu nie lśni od potu. Na szczęście nic z tych rzeczy nie miało miejsca, ale jakiś głosik w głowie przypominał mi, że wkrótce to nastąpi, z czasem to wszystko się powtórzy. Pożyczyliśmy tylko trochę czasu. Stella nadal gapiła się przez okno pogrążona w rozmyślaniach, ze wzrokiem utkwionym w jakimś niesprecyzowanym punkcie w oddali. Raz po raz wracała do lektury, ale nawet słowa Charlesa Dickensa nie przynosiły jej spokoju. Zamykała książkę i wracała wzrokiem za okno, do odległej pustki, która wyraźnie pochłaniała jej uwagę.

Położone na półwyspie Monterey miasteczko Carmel było nieduże. Na tablicy „Witamy w Carmel!” ustawionej przy drodze CA-1 władze chwaliły się populacją nieco przekraczającą trzy tysiące mieszkańców.

Podczas ostatniego postoju na tankowanie sprawdziłem mapę i zapisałem sobie trasę.

CA-1 przeszła w Ocean Avenue. Jechaliśmy nią wzdłuż wybrzeża przez jakieś trzy kilometry, po czym bocznymi drogami zagłębiliśmy się w ląd. Bez większych trudności znaleźliśmy Windmore Road i ruszyliśmy krętą ulicą w poszukiwaniu numeru 803. Większość domów stanowiły bungalowy w stylu hiszpańskim, z dwiema–trzema sypialniami, równiutko przystrzyżonymi trawnikami i wypielęgnowanymi ogródkami. Wzdłuż chodników i podjazdów rosły kolorowe krzewy bugenwilli. Nad nimi górowały wiekowe sosny kalifornijskie, cyprysy i dęby wirginijskie.

– Piękna okolica – powiedziała Stella cicho, przerywając długie milczenie.

– To tutaj – odparłem. – Po prawej.

Dom okazał się skromny – dwie sypialnie, może trzy. Bungalow z cegły, z dachem pokrytym szarym gontem bitumicznym i wypieszczonymi grządkami kwiatowymi pod oknami od frontu. Na podjeździe nie stał żaden samochód, w domu nie paliło się światło.

– Chyba nikogo nie ma.

– Albo lubią siedzieć po ciemku – zauważyła Stella.

Zatrzymałem mercedesa przed schludnym trawnikiem i zgasilem silnik.

– Może zaczekaj w aucie, a ja się rozejrzę.

Stella otworzyła drzwi, wysiadła i już szła chodnikiem.

– Albo pójdziemy oboje – mruknąłem, rozpinając pas, i ruszyłem za nią.

Wraz z zachodem słońca spadła temperatura, powietrze zrobiło się rześkie, chłodne. Pomyślałem o kurtce w bagażniku mercedesa. I o strzelbie, którą owinąłem w tę kurtkę.

Stella już stała przy drzwiach i zaglądała przez okno.

– Nic nie widać.

Zapukałem.

Bez odpowiedzi.

Zapukałem jeszcze raz, głośniej.

Kiedy nadal nikt się nie zgłaszał, Stella sięgnęła do klamki. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Przekręciła gałkę i delikatnie pchnęła. Drzwi otworzyły się na niewielki przedpokój z podłogą wyłożoną kafelkami.

– Jest tu kto?

Jej słowa poniosły się echem po całym domu, tak że od razu poczułem, że nikogo nie ma. Potem coś innego przyszło mi do głowy. Wyobraziłem sobie zwłoki Cammie Brotherton w łazience, w kuchni albo w sypialni, zmarłej w wyniku jakiegoś straszliwego samookaleczenia, o pustych oczach i ustach na zawsze wykrzywionych w groteskowym uśmiechu.

„Witajcie w moich progach!”

Może to wcale nie jest pusty dom, tylko grobowiec.

Stella weszła do przedpokoju, ale złapałem ją za ramię.

– Przyda nam się broń – powiedziałem cicho.

Pokiwała głową i zaczęła, aż skoczę do samochodu i przyniosę z bagażnika strzelbę i kurtkę. Wracając, trzymałem broń wzdłuż ciała i starałem się w miarę ukryć ją pod kurtką przed wzrokiem ciekawskich sąsiadów.

Wyminąłem Stellę w progu i wszedłem do domu, unosząc broń.

Księżyc i latarnie uliczne rozpraszały ciemność, spowijając wnętrze przytłumionym półmrokiem. Nieliczne meble w salonie i przylegającej do niego kuchni rzucały na podłogę długie cienie.

W kąciку śniadaniowym stał nieduży drewniany stół jadalny. Trzy krzesła były wsunięte pod blat, czwarte leżało na plecach na podłodze. Na blatach w kuchni nic nie leżało. Mniej więcej połowa szafek była pootwierana, szuflady wysunięte. Większość wyglądała na puste.

W salonie pod ścianą stała sfatygowana stara kanapa z wysiedzianymi poduchami. Wydobywała się z niej stęchła woń, zbierała kurz, podczas gdy życie toczyło się gdzie indziej. W pokoju nie było telewizora, żadnych krzeseł, foteli, stolików, obrazków na ścianach.

Za salonem zaczynał się wąski korytarz, ciemniejszy niż reszta pomieszczeń, światło zza okien zatrzymywało się na progu, jakby bało się wejść dalej.

Stella podążała tuż za mną, kiedy wkroczyłem do korytarza, trzymając strzelbę w pogotowiu.

Po lewej znaleźliśmy niedużą sypialnię pomalowaną na wesoły odcień różu. W kącie leżały rzucone na kupę kocyk i poduszka z falbankami i wizerunkiem księżniczki z filmu Disneya. Zero mebli. W szafie kilka pustych wieszaków, żadnych ubrań.

– Spójrz – powiedziała cicho Stella. Z górnej półki w szafie patrzyła na nas Barbie, jedną rękę miała wyciągniętą do przodu, drugą opuszczoną przy boku, blond włosy potargane.

Sięgnąłem po lalkę. Spodziewałem się grubej warstwy kurzu, ale była czysta. Nie mogła leżeć tam długo.

Stella wzięła ode mnie lalkę i wróciliśmy na korytarz.

Sypialnia naprzeciwko okazała się nieco większa, ale równie pusta. Na podłodze wałało się parę skrawków papieru. Przykucnąłem i przyjrzałem się wykładzinie, szukając charakterystycznych wgłębień po nogach łóżka, może komodzie, ale nie znalazłem ani śladu. Jeśli ktoś tu sypiał, to nie na łóżku.

Stella wróciła na korytarz i wpatrywała się w zamknięte drzwi na końcu.

Musiała tam być łazienka.

Umysł znów podsunął mi wizję zwłok Cammie Brotherton.

W łazience może się wydarzyć wiele złych rzeczy.

## 16

Były detektyw Terrence Stack, teraz po prostu Terry, trzymał stary rewolwer służbowy pod środkową poduchą zielonej welurowej kanapy, stojącej w salonie od 1973 roku. Mebel był potwornie niewygodny, więc Stack nie musiał się martwić, że ktoś usiądzie i znajdzie broń. Dziećmi też nie musiał się przejmować. Ostatnie dziecko, którego stopa postąpiła w tym domu, było już dawno po ślubie i miało trójkę własnych pociech. Nie widział sensu w przechowywaniu broni poza zasięgiem, za to zawsze miał dużo argumentów na utrzymanie jej pod ręką. „Pod ręką” stanowiło motyw przewodni w życiu osiemdziesięciodwulatka. Sięgnął pod poduchę i wyciągnął rewolwer.

Uzbrojony w magnum podszedł z powrotem do okna.

Biały furgon stał w tym samym miejscu.

– Co oni kombinują? – mruknął na głos.

Wsunął broń za pasek z przodu spodni – w dupie miał, czy ktoś zauważy – i otworzył drzwi, po czym zszedł po schodkach ganku. Był w połowie drogi do wozu, kiedy ten ruszył i odjechał ulicą na tyle szybko, żeby nie zdołał go dogonić.

## 17

Stella tkwiła nieruchomo, kiedy przeszedłem obok niej, zaciskając dłoń na strzelbie, a drugą ręką sięgając do okrągłej klamki w drzwiach łazienki. Odliczyłem od trzech do jednego, bezgłośnie wymawiając kolejne liczby zarówno z uwagi na Stellę, jak i na siebie, po czym przekręciłem gałkę i z impetem otworzyłem drzwi do środka pomieszczenia.

Ściany niewielkiej łazienki wyłożono różowymi kafelkami. Sedes, umywalka i wanna były w tym samym kolorze. Pewnie tak właśnie urządzone łazienkę w latach sześćdziesiątych, kiedy dom został zbudowany. Tak jak w kuchni, i tutaj szuflady i drzwiczki szafki były pootwierane i ziały pustką, z wyjątkiem jednej szuflady, w której leżały gumki do włosów i pół tubki pasty do zębów. Odsunięta zasłona prysznicowa pozwalała stwierdzić, że nikogo tam nie ma.

Opuściłem strzelbę, kierując lufę w stronę podłogi.

– Trudno powiedzieć, czy ktoś wynosił się stąd w pośpiechu, czy nigdy na dobre nie wprowadził. Zdarzało mi się squatować w opuszczonych domach. Wyglądały bardzo podobnie. Ale tutaj mam wrażenie, że ktoś dopiero co wyszedł, że się minęliśmy.

Stella nie odpowiedziała, więc się obróciłem.

Nie było jej za mną.

– Stella?

Wróciłem korytarzem do kuchni i zastałem ją przed lodówką.

– Mamy tu paczkę parówek, pół butelki tequili Patron, jedną trzecią bochenka białego chleba i trzy puszki dietetycznej coli. Chleb nie jest spleśniały. Wygląda na całkiem świeży, parówki są ważne do przyszłego tygodnia. Biorąc pod uwagę, że prąd jest włączony, zakładam, że wyprowadzała się w pośpiechu, a do tego całkiem niedawno. Więcej, jestem absolutnie pewna, że to było wczoraj.

– Skąd niby możesz to wiedzieć?

Zamknęła lodówkę i pokazała mi kalendarz przyklejony czterema magnesami z Pizzy Hut.

– Bo wszystkie dni do wczoraj są wykreślone. Założę się też, że lubi pizzę, bo nikt nie ma czterech magnesów z tej samej knajpy, jeśli nie musi regularnie zaspokajać jakiejś obsesji.

– Dunk wspominał, że często się przeprowadzała. Musieliśmy się z nią minąć. Stella oparła się o blat.

– Miło z jej strony, że zostawiła nam coś do jedzenia. Umieram z głodu.

– Nie możemy tu zostać.

– Dlaczego?

– Wyniosła się stąd z jakiegoś powodu. A co, jeśli oni zaraz przyjadą?

– A może już byli i pojechali? A może ona wróci? Jestem w trasie ponad cztery lata i też zdarzało mi się zatrzymywać w takich domach. Wszystko, czego potrzebuję, mam w torbie. Gdybym mieszkała w tym domu przez tydzień i musiała po coś wyskoczyć, nawet na godzinę, zabrałabym torbę ze sobą. Dom zostałby tak samo pusty jak teraz. Możliwe, że ona tu wróci, a jeśli wyjdziemy, to już nigdy jej nie znajdziemy. Przez pierwszy rok po ucieczce z tamtego domu żyłam w ciągłym strachu. Moim życiem rządziło gdybanie. Potem nauczyłam się ufać swojej intuicji, a ona podpowiada mi, że to bezpieczne miejsce, przynajmniej na jedną noc. Pewnie nadal szukają nas w Nevadzie.

– Ale Cammie Brotherton mogą szukać właśnie tutaj.

Stella oparła dłoń na biodrze.

– Dosłownie przed chwilą powiedziałam ci, co sędzę o gdybaniu. To mi brzmi bardzo podobnie do gdybania.

Widziałem, że Stella nie ustąpi, a prawda była taka, że nie mieliśmy gdzie się podziać. Mogliśmy wsiąść do „pożyczonego samochodu”, obrać jakiś przypadkowy cel i po prostu jechać, ale to też wydawało mi się lekkomyślne. Musieliśmy odpocząć. Adrenalina napędzała mnie przez cały dzień i część nocy, ale teraz, kiedy wreszcie się zatrzymałem, poczułem, jak odpływają ze mnie resztki energii. Nie nadawałem się do prowadzenia samochodu. Moglibyśmy znowu znaleźć jakiś hotel, ale po noclegach w takich miejscach zostają ślady, nawet jeśli płaci się gotówką. Poza tym to kosztuje, a chociaż mieliśmy trochę pieniędzy, to nie tyle, żeby móc nimi szastać.

– W sumie zostawiła drzwi otwarte – zauważyłem.

– Owszem – przytaknęła Stella z uśmiechem. – Szybko się uczysz, mój drogi Pipie.

– Na jedną noc – poddałem się.

– Na jedną noc – powtórzyła Stella, grzebiąc w szafkach. – Przynieś nasze rzeczy z auta, a ja się zajmę kolacją.

Poszedłem do samochodu, ale wcześniej zostawiłem jej strzelbę.

## 18

Jakieś dziesięć minut po powrocie białego furgonu Stack przysunął swój ulubiony fotel do okna wychodzącego na ulicę. Siedział tam, kiedy podjechał drugi samochód, a potem trzeci. Zwyczajne białe furgonetki. Bez żadnego oznakowania. Prawdopodobnie chevrolety, chociaż z tej odległości trudno było stwierdzić. Przed godziną znowu wyszedł na zewnątrz, tym razem z bronią w ręku, i tak jak poprzednio samochody odjechały, zanim zdążył się do nich zbliżyć. Udało mu się dojrzeć kawałek tablicy rejestracyjnej, ale nie zgłosił tego. Zresztą co miałyby powiedzieć? Że ktoś parkuje na ulicy? A konkretnie trzech ktosiów parkuje na jego ulicy? Jako młody gliniarz przyjmował takie zgłoszenia, więc świetnie wiedział, że nikt nie traktuje ich poważnie. Mógł sobie być emerytowanym detektywem, ale i tak uznaliby, że jakiś stary dziad zawraca im głowę.

Obok ulubionego fotela ustawił swoją ulubioną, rozchwierutaną metalową tacę na nóżkach. Stały na niej resztki sześcioopak iron city. Wypił już dwa i bez chwili zwłoki sięgnął po trzecie. Wyswobodził puszkę z plastikowego kółka, otworzył i pociągnął trzy porządne łyki. Wiedział, że Fogel by tego nie pochwaliła, ale jej tu nie było, a on cholernie chciał się napić. W ciągu ostatnich kilku godzin trzy razy próbował się do niej dodzwonić, bez rezultatu. Przypuszczał, że wyłączyła telefon. Dwadzieścia minut temu, kiedy znowu wybrał jej numer, zorientował się, że to jego linia nie działa.

Przez cały ten czas poszedł raz do ubikacji, ale poza tym nie spuszczał furgonetek z oka. Nikt nie wsiadał, nikt nie wysiadał. Jeśli mieli coś wspólnego z odłączeniem telefonu, to on tego nie widział. To nie znaczyło, że tego nie zrobili. Nie znaczyło też, że to zrobili.

Siedział w swoim ulubionym fotelu, nie odrywając oczu od furgonetek, a tymczasem zachmurzone niebo nad Pittsburghiem zaczęło ciemnieć, bo zbliżała się noc. Patrzył, jak zapalają się latarnie uliczne. Widział, jak sąsiedzi wracają z pracy i znikają za drzwiami swoich domów. Zauważył kilkoro dzieciaków. Ale niewiele. Większość dzieci w okolicy już dawno dorosła i się wyprowadziła.

Stack obserwował furgonetki.

Kiedy dopił trzecie piwo i sięgnął po czwarte, przemknęło mu przez myśl, że powinien coś zjeść, chociaż w zasadzie wcale nie czuł głodu.

## 19

Kiedy wróciłem z torbą Stelli, moim plecakiem, dwoma egzemplarzami *Wielkich nadziei* i rocznikiem Penn State, Stella gotowała parówki w garnku, a w kuchni stały świece. Książniczkowy kocyk, który znaleźliśmy w małej sypialni, leżał porządnie złożony na wyspie kuchennej, a na nim poduszka. Zostawiłem bagaże na podłodze, a książki na drewnianym stole kuchennym, po czym podniosłem przewrócone krzesło.

– Uznałam, że lepiej nie zapalać światła. Okna sypialni i salonu wychodzą albo na ulicę, albo na sąsiednie domy, więc w ogóle tam nie wchodzimy. Z kolei z kuchennych widać ogródek za domem, więc jeśli będziemy się trzymali tej części domu, to nikt nie powinien nas zauważyć. – Zamieszała parówki i wskazała głową na składzik na tyłach kuchni. – Znalazłam tam pralkę i suszarkę. Myślę, że powinniśmy wykorzystać okazję, żeby zrobić przepierkę. Rzadko trafiają się takie luksusy.

Nagle zapragnąłem powąchać się pod pachami, ale miałem na tyle klasy, żeby nie robić tego przy niej. Wiedziałem, że cuchnę. Od tygodni nie zrobiłem porządnego prania. Płukałem ciuchy w motelowych umywalkach i rozwieszałem je do wyschnięcia gdzie popadnie.

Na blacie kuchennym leżało pudełko lateksowych rękawiczek.

– Znalazłam je pod zlewem – powiedziała Stella. – Wolę moje rękawiczki, ale lateksowe też się nadadzą. Nauczyłam się, że dobrze mieć zapas.

Na stole kuchennym stała już tequila, dwie puszki coli i dwa plastikowe kubki z lodem. Płomień świecy migoczący na szklanej butelce wyglądał niemal tak pociągająco jak uśmiech Stelli.

Ułożyła dwie kromki na papierowych talerzykach, wyłowila parówki i położyła je na chlebie.

– Nie krępuj się, Jack, zrób nam drinki. Wyglądasz jak szczeniaczek śliniący się do kości.

Kiedy pościło się prawie dobę, wszystko smakuje trochę lepiej. To były chyba najpyszniejsze parówki, jakie kiedykolwiek jadłem. Pozarliśmy całą paczkę, a ja dopchałem jeszcze trzema kromkami chleba. Tequila z colą stała jednak przede



mną prawie nietknięta. Nie wiem, jak długo gapiłem się na butelkę, kiedy Stella się odezwała.

– Potrzebujesz tego, prawda?

Nie chciałem jej okłamywać.

– Zwykle tak.

– Ale teraz nie?

Zastanowiłem się chwilę.

– Nie piłem od zeszłej nocy. W schowku w samochodzie miałem butelkę po Jimie beamie, ale była pusta. Mało brakowało, a roztrzaskałbym ją, żeby wylizać szkło, tak bardzo chciało mi się pić. Ale teraz...

Wyciągnąłem płasko rękę, wnętrzem dłoni skierowaną do dołu. Nie trzęsła się.

– Dziwne. Czuję, że chciałbym się napić, że powinienem pić, ale tak naprawdę nie potrzebuję drinka. Zwykle po takim czasie powinno mną telepać.

– W takim razie może nie powinieneś.

– Może chciałbym się napić z piękną kobietą. – Podniosłem butelkę i pociągnąłem łyk tequili, po czym ją odstawiłem. – Czy tego potrzebuję czy nie.

Stella podsunęła mi swój pusty kubek.

– Po tym wszystkim, co stało się w nocy nad zbiornikiem, dziś rano w motelu i potem nad jeziorem, nie tylko chcę się napić, ale muszę wypić jeszcze jednego drinka, a potem trzeciego, piątego i szóstego. Chciałbym na ten wieczór zapomnieć o naszym kłopotliwym położeniu, a ta butelka odgrywa ważną rolę w moim planie. Szczerze mówiąc, bardzo się cieszę, że ją znaleźliśmy.

Uśmiechnąłem się i jej dolałem.

– Domyślałem się, że po mieszkaniu pod jednym dachem z Latrese Oliver każdy zacząłby zaglądać do kieliszka.

Pożałowałem tych słów w tej samej chwili, kiedy je wypowiedziałem.

Stella spochmurniała na dźwięk tego nazwiska. Sięgnęła po kubek, zamieszała palcem i się napiła. Nie miała na sobie rękawiczek. Leżały złożone porządnie obok naszych trzech książek.

– Pewnie trudno ci to zrozumieć, widziałeś to tylko z zewnątrz, ale ona naprawdę dobrze mnie traktowała. Opiekowała się mną, traktowała mnie z szacunkiem. Nie z takim szacunkiem jak inni w tamtym domu, tamci po prostu się mnie bali. Ale nie ona. Jeśli odczuwała choćby cień strachu, nigdy nie dała tego po sobie poznać. W dniu, kiedy odeszłam... skrzywdziłam ją. Zrobiłam jej coś strasznego. Pojawił się tamten człowiek, uwolnił mnie, zabił tych wszystkich ludzi, żeby mnie wydostać, ale nie sądziłam, że zdołamy dotrzeć choćby do wyjścia, nie mówiąc o jego samochodzie, ale jakimś cudem nam się udało, pamiętam, że stałam tam w osłupieniu. Widziałam raz film dokumentalny o lwicy z niemieckiego zoo. Dozorca przypadkiem zostawił rano otwarte drzwi klatki. Nie

na oścież, ale uchylone na parę centymetrów. Mniej więcej około południa Iwica się zorientowała, widać to na nagraniu: chodzi w kółko po klatce, zatrzymuje się przy drzwiach, trąca żelazną kratę nosem, a potem stoi tam przynajmniej z pięć minut. Później znów zaczyna krążyć, a w końcu kładzie się w kącie i ucina sobie drzemkę. Spędziła w tej klatce tyle lat, że nawet nie przyszło jej do głowy, że może wyjść, kiedy pojawiła się szansa. A może nawet przyszło, ale uznała, że wcale nie chce uciekać. Jej życie toczyło się w tej klatce, a nie po drugiej stronie krat. To, co znajome i bezpieczne, przeważało nad chęcią poznania czegoś nowego. Kiedy tak stałam na podjeździe tamtego domu, obok jego samochodu, mało brakowało, a pobiegłabym z powrotem do środka. Chyba naprawdę chciałam to zrobić. Tego dnia zabijałam, wcale nie chciałam, ale służba próbowała mnie łapać, wciągnąć z powrotem do domu, a ja miałam krótkie rękawy, więc kiedy mnie dotykali... Nie chciałam robić im krzywdy. Byłam tym wszystkim wstrząśnięta. Strzelanina, wybuchy... Ten człowiek miał zniszczenie niczym cała armia.

Urwała na chwilę, pociągnęła łyk alkoholu i odstawiła kubek.

– Krzyczał na mnie, żebym szła za nim, wsiadła do jego samochodu... stał mniej więcej w połowie podjazdu. Wtedy zjawił się ten policjant. Przybiegł nie wiadomo skąd i zaczął wołać: „Policja, rzuć broń! Rzuć broń!”.

– Detektyw Brier – wtrąciłem cicho.

– Facet z GTO obrócił się w jego stronę, gotowy strzelać, ale nie strzelił. Byłam pewna, że go zabije, ale coś go powstrzymało. Potem za nimi zatrzymał się SUV pani Oliver. Jeden z jadących z nią ludzi wyskoczył z samochodu, zanim nawet zdążył zahamować, i strzelił do detektywa. Byłam przerażona. Tak się zapatrzyłam na tego konającego człowieka, na tyle śmierci, że nie zauważyłam, kiedy pani Oliver wyskoczyła z auta i do mnie podbiegła. Nie rozpoznałam jej głosu, kiedy do mnie krzyczała. Obróciłam się i ją złapałam, zadziałał instynkt obronny. Nie zrobiłabym jej krzywdy, gdybym wiedziała, że to ona, i puściłam jej rękę, kiedy tylko ją rozpoznałam, ale ona już wrzeszczała, tak potwornie głośno. –

Stella wzięła głęboki oddech. – Ten z GTO złapał mnie za kołnierz i odciągnął, wcisnął do samochodu. Przez cały ten czas słyszałam jej krzyk. Nadal go słyszę.

Prawie złapałem Stellę za rękę. Chciałem ją pocieszyć, ale miała na sobie białą koszulkę na ramiączkach, gołe ręce bez rękawiczek. Nie mogłem jej dotknąć. Nie mogłem jej pocieszyć. Mogłem tylko siedzieć i słuchać.

– Zawiózł mnie do Nowego Jorku. Przez pięć godzin w samochodzie nie powiedział do mnie ani słowa. Umierałam ze strachu, byłam pewna, że chce mnie zabić. Wrzeszczałam, żeby mnie wypuścił. Kilka razy prawie go dotknęłam. Zdjęłam rękawiczki i sięgałam prosto do jego szyi. Nie obchodziło mnie, że prowadzi samochód i co się może stać, gdy jedziemy z taką prędkością. Chciałam

się tylko stamtąd wydostać. Ale on nawet nie drgnął. Zachowywał się tak, jakby mnie tam wcale nie było. Kiedy dotarliśmy do Nowego Jorku, zaparkował przed dworcem Grand Central. Z tylnego siedzenia wziął torbę sportową... – pokazała brodą na torbę leżącą na podłodze – ...właśnie tę torbę. Powiedział, że w środku są ubrania, nowe dokumenty i dziesięć tysięcy dolarów gotówką. Kazał mi wysiąść i wybrać sobie pociąg, jakikolwiek. Nie chciał wiedzieć, dokąd jadę. Spytałam, kim jest, ale on tylko wcisnął mi torbę i kazał wysiadać. Kiedy tylko wysiadłam, on odjechał. Zostawił mnie tam na chodniku jak kłopotliwy balast, nie oglądając się za siebie.

– Czyli nie masz pojęcia, kim on jest?

– Wtedy nie wiedziałam, ale teraz się chyba domyślam. Dzięki tobie.

– No to kim?

Podsunęła mi pusty kubeczek.

– Musisz zapłacić za tę informację, Pip.

Zrobiłem jej kolejnego, trzeciego już drinka i oddałem kubeczek.

– Uważaj, upijesz się.

– Jestem świadoma skutków spożywania alkoholu – odparła, pociągając długi haust.

Ja nie wypilem jeszcze nawet połowy pierwszego drinka.

Stella odstawiła kubek i sięgnęła po album rocznikowy. Otworzyła na jednej z zaznaczonych stron i pokazała mi zdjęcie Jeffery'ego Daltona.

– Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że to on. Tutaj jest dużo młodszy, więc trudno powiedzieć. Nic nie mówiłam, kiedy pokazałeś mi ten album, bo wydawało mi się to mało prawdopodobne. Uznałam, że umysł płata mi figle i coś sobie wmawiam. Ale im dłużej myślałam o tej nocy, tym większą zyskiwałam pewność.

Jeffery Dalton.

– Ale dziś już o tym nie rozmawiajmy. – Stella sięgnęła po butelkę, przytknęła do ust i napiła się tequili z gwinta. Z uśmiechem odstawiła ją na stół. – Twoja kolej, Pip.

– Próbujesz mnie upić? Wytrawnego alkoholika? – Uśmiechnąłem się, wziąłem butelkę i też się napiłem, czując znajome ciepło rozlewające się po gardle. Wytarłem usta grzbietem dłoni.

– Zagramy sobie teraz w grę – oznajmiła Stella z szelmowskim uśmieszkiem. Odsunęła talerze na bok. – Musimy rozdzielić pranie. Kolory pójdą tutaj. –

Przesunęła rękawiczki na prawą stronę stołu. – A białe tam, koło ciebie. Gra nazywa się „Ja nigdy”.

Parsknąłem.

– Grałem w to chyba w piątej klasie.

– Ale nie ze mną.

Zaczeło mi się to podobać. Wyprostowałem się na krześle.

Stella postawiła między nami tequilę.

– Skoro grałeś, to wiesz, jakie są zasady. Zacznę na przykład od: „Ja nigdy nie jadłam frytek”. Jeśli jadłeś, masz dwie możliwości: napić się albo położyć na stole jakieś ubranie.

Przysunąłem sobie nogą plecak leżący na podłodze.

Stella pokręciła głową.

– Spakowane ubrania nie biorą udziału w grze.

Próbowałem zachować kamienną twarz, ale sądząc po uśmiechu Stelli, niezbyt dobrze mi to szło.

Położyła splecione ręce na stole.

– Ja nigdy nie jechałam na rowerze.

– Serio?

– Chciałam, kiedy byłam mała, zwłaszcza po tym, jak zobaczyłam twój, ale pani Oliver się bała, że się przewrócę i coś sobie zrobię. Lekarze byli dość... problematyczni. Szpital nie wchodził w grę, więc bardzo pilnowała, co robię. Jeśli jakaś aktywność wiązała się z możliwością urazu czy kontuzji, zakazywała mi jej.

Nie mogłem sobie wyobrazić dzieciństwa bez roweru. Bez tej wolności, jaką dawały mi dwa kółka, bez radości z jazdy.

Stella odchrząknęła znacząco i wskazała na butelkę.

– Zdaje się, że musisz się napić albo dorzucić jakieś ubranie do prania.

Uśmiechnąłem się i sięgnąłem po butelkę.

– Cykor – powiedziała.

– Próbuję cię dogonić. Jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby kobieta mnie prześcignęła w picciu.

– To czeka cię nauczka. Twoja kolej.

Zastanowiłem się.

– Ja nigdy nie mieszkałem w domu z basenem.

– Basen był fajny – powiedziała Stella, krzyżując ramiona i ściągając koszulkę przez głowę, pierwsza sztuka odzieży na kupce białego prania. Potem znów rozsiadła się wygodnie na krześle, w butach, džinsach i białym staniku. Światło świec migotało na jej pięknej skórze.

Znowu napiłem się prosto z butelki. Jezu, jaka ona była piękna.

– Tu mam oczy, Pip – rzuciła Stella. – Gramy dalej?

Przytaknąłem.

– Ja nigdy nie mogłam się bawić z rówieśnikami.

– Nigdy? To co robiłaś całymi dniami?

– Czytałam, oczywiście. Przeczytałam tony książek. Czasem grałyśmy z panią Oliver w karty albo planszówki. Kiedy miałam jakieś pięć czy sześć lat, próbowali znaleźć mi koleżankę. Sprowadzili jakąś dziewczynkę, żebyśmy się razem bawiły. Pamiętam, że pani Oliver ubrała mnie w sukienkę z długim rękawem i najdłuższe rękawiczki, jakie miałam. Na imię miała Rebecca. Bawiłyśmy się prawie godzinę, pani Oliver i jeszcze ze cztery osoby nie odstępowały nas na krok. Wtedy jeszcze nie rozumiałam, co mogę zrobić, byłam za mała. Z początku uważnie nas pilnowali, ale z czasem chyba obniżyli czujność. Nikt nie zauważył, że Rebecca wyciągnęła rękę do mojego policzka. Chciała chyba zdjąć mi jakiegoś paproszka czy coś. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Wrzasnęła, natychmiast ją zabrali. Nie wiem, co potem się z nią działo. Twierdzili, że była córką którejś z naszych kucharek, ale podejrzewam, że po prostu ją uprowadzili. – Stella wskazała na butelkę. – Z tego, co wiem, ty akurat miałeś kolegów, więc musisz wybrać.

Zdjąłem bluzę z logo uniwersytetu w Connecticut. Nigdy nie byłem w Connecticut. Lata temu znalazłem ją w jakimś lumpeksie. Granatowa. Trafiała na kupkę z kolorowymi.

Nie minęło wiele czasu, a już oboje byliśmy w bieliźnie. Stella zarządziła, że skoro zaczęło się od jej rękawiczek, to skarpetki i buty też mamy zdejmować parami.

Moja dłoń zbliżała się do niej, ale nie mogliśmy zaryzykować dotknięcia.

Wiedziałem, że nie mogę tego zrobić, ale tak rozpaczliwie tego pragnąłem. Chciałem porwać ją w ramiona i kochać się z nią tu i teraz, a w jej oczach widziałem to samo pragnienie. Wiedziałem, co by się stało, gdybyśmy to zrobili, ale właściwie mnie to nie obchodziło. Wszystko byłoby warte tego, żeby dotknąć jej choćby przez sekundę. Ciepło emanowało z jej palców, z nagiej skóry. Rozświetlała otoczenie.

Teraz podsunęła mi butelkę.

– Pij.

– Ale jeszcze nic nie powiedziałaś.

– Pij.

– Poza tym to chyba moja kolejka.

– Nieważne, pij. A kolejka jest moja.

Uniosłem butelkę do ust i posłusznie się napiłem. Niewiele zostało. Zostawiłem mniej więcej pół centymetra na dnie.

Gdy tylko odstawiłem butelkę na stół, Stella porwała ją i wypijała do dna. Odstawiła pustą flaszkę z przebiegłym uśmiechem.

– Opcja numer dwa już nie istnieje, a ty zostałeś w samych gaciach. – Zabębniła palcami na stole. – Hmm. Co by tu powiedzieć? Co by tu

powiedzieć...?

Wstała i oparła się plecami o wyspę, patrząc na mnie. Kasztanowe włosy spływały jej na ramiona ciemnymi falami. Miała najdłuższe, najseksowniejsze nogi, jakie w życiu widziałem.

– Co by tu... – powtórzyła cicho. Kiedy na mnie spojrzała, jej oczy lśniły w łagodnym świetle. – Ja nigdy... nie całowałam się z kimś, kogo kochałam.

Zawahałem się na chwilę, namyśliłem nad odpowiedzią. Potem wstałem i wsunąłem kciuki za gumkę slipów. Nie zdjąłem ich jednak.

Uśmiech powrócił na twarz Stelli, ale jakby podszyty smutkiem. Zauważyłem go, choć starała się to ukryć.

– Nie czas teraz na wstydlivość, Pip.

– Ja też nie. Nigdy nie całowałem się z kimś, kogo kochałem.

Wyglądała na skonsternowaną.

– Nigdy...?

– Nie no, robiłem to. Ale nigdy z kimś, kogo bym kochał.

– A ta dziewczyna z jadłodajni?

– Gerdy.

– A Gerdy?

– Kochałem ideę Gerdy. Chciałem mieć kogo kochać, a ona próbowała być dla mnie tą osobą. Mam potworne wyrzuty sumienia, że pozwalałem jej tak bardzo się starać, w rzeczywistości nie dając nic w zamian. Ale nie mogłem jej pokochać, dopóki wiedziałem, że ty gdzieś tam jesteś. Zawsze gdy trzymała mnie za rękę, myślałem o twoich rękach. Kiedy mnie całowała, udawałem, że to twoje usta. Wydaje mi się, że ona w jakimś stopniu zdawała sobie z tego sprawę, ale tym się nie przejmowała. Chyba przeszła nad tym do porządku dziennego, dlatego o tyle trudniej było mi pogodzić się z jej śmiercią. Tak wiele dla mnie zrobiła, a ja nie dałem jej nic w zamian.

– Na pewno czuła się kochana.

– Chcę tak myśleć. Powtarzam to sobie.

– Dobry z ciebie chłopak, Johnie Edwardzie Jacku Thatchu. Ona o tym wiedziała. Jestem pewna, że twoje uczucie znaczyło dla niej więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Miała szczęście, że doświadczyła bliskości, intymności.

Z oka poleciała jej łza, podszedłem do niej. Nie mogłem się powstrzymać. Wyciągnąłem palec, zbliżyłem go na centymetr, ale nie otarłem łzy. Zawiesiłem go w powietrzu. Patrzyłem, jak słona kropla spływa po policzku, brodzie i kapie na bosą stopę.

– Jack, mój najdroższy Pipie, mogę być dla ciebie jedynie cacuszkiem, na które możesz patrzeć, ale którego nigdy nie będzie wolno ci dotknąć – wyszeptała.

– Zamknij oczy – poprosiłem łagodnie.

– Po co?

– Zamknij.

Opuściła powieki, uwalniając kolejną łzę.

Sięgnąłem za plecy na stół, wymacałem kubek, wyjąłem z niego kostkę lodu, największą, jaką udało mi się znaleźć, i przyłożyłem ją do jej szyi, przycisnąłem lód do skóry.

Stella gwałtownie nabrała powietrza, ale nie otworzyła oczu. Westchnęła głęboko.

Przesunąłem kostką w dół jej szyi, po barku, w dół ramienia. Kiedy dotarłem do palców, rozsunęła je i obróciła dłoń wnętrzem do mnie. Poprowadziłem lód z powrotem w górę po rękę, przez zagłębienie między obojczykami, aż do klatki piersiowej i biustu.

Nachyliłem się jej do ucha, najbliżej, jak się odważyłem.

– Zdejmij stanik.

Nie otwierając oczu, sięgnęła za plecy i rozpięła haftkę. Stanik upadł na podłogę między nami. Krążyłem kostką wokół jej piersi, coraz bardziej zbliżając się do nabrzmiąłych sutków. Stella wygięła plecy w łuk i jęknęła cicho. Kiedy lód w końcu dotknął wrażliwego miejsca, aż się zachłysnęła. Kostka szybko topniała, została jej już tylko połowa. Sięgnąłem za siebie i wziąłem z kubka kolejną. Przyklęknąłem i przejechałem lodem w górę od lewej stopy, po kostce aż do wewnętrznej strony uda. Było tam nieznośnie gorąco i musiałem uruchomić wszystkie zasoby silnej woli, żeby nie zastąpić lodu własną dłonią. Przesunąłem kostkę w górę, po miękkiej tkaninie białych jedwabnych majtek, po brzuchu i jeszcze wyżej. Wstałem i powiodłem po liniach szyi aż do ust. Ostrożnie polizła resztkę lodu, jej język niebezpiecznie zbliżał się do moich palców, ale nie puściłem, dopóki nie rozchyliła warg i nie wzięła w nie kostki.

Potem to ona sięgnęła za siebie. Wyjęła dwie lateksowe rękawiczki z pudełka na blacie i podała mi je, a potem sama włożyła parę. Wreszcie otworzyła oczy, wielkie i pełne życia, i zaczęła gładzić mnie po policzku, po linii żuchwy.

Przez kolejne kilka godzin eksplorowaliśmy swoje ciała dłońmi obleczonymi w rękawiczki. Ostrożnie dotykaliśmy, nie dotykając. Taniec o starannie opracowanej choreografii. Było to niewysłowienie wspaniałe. Kiedy w końcu zasnęliśmy, z pożyczonym prześcieradłem rozdzielającym nasze nagie ciała i prawie, prawie stykając się głowami, byliśmy wykończeni, a ja wreszcie poczułem się spełniony.

## 20

Stack nie był pewny, o której zasnął, ale ból karku podpowiadał mu, że musiało to nastąpić jakiś czas temu. Sześć pustych puszek po piwie najwyraźniej potwierdzało jego domysły, a potworne parcie na pęcherz stanowiło ostateczny dowód.

Zakołysał się do przodu na fotelu i wyjrzał przez okno.

Po drugiej stronie ulicy stały trzy białe furgony, dokładnie tam, gdzie wcześniej.

Z czasem noc ustąpiła bladej szarówce świtu.

Samochody nadal tam stały. Nie widział nikogo w środku.

Może miał paranoję. McPherson z naprzeciwka miał firmę hydrauliczną. Może kupił nowe auta i zaparkował je sobie przed domem. To oczywiście nie wyjaśniało, dlaczego odjeżdżały. Za każdym razem, kiedy Stack wychodził z domu, we wszystkich trzech odpalano silniki i błyskawicznie znikwały w dole ulicy, by po chwili wrócić. Zgubił się już, ile razy tak się bawili w kotka i myszkę.

Może odjeżdżali, bo machał bronią. Pijak ze spluwą też by na ich miejscu uciekał. To z kolei nie tłumaczyło jednak, dlaczego wracali. Ani dlaczego nikt nie wezwał policji. W tej sytuacji w sumie ucieszyłaby go niezapowiedziana wizyta chłopaków z komendy. W drodze powrotnej z ubikacji sprawdzi jeszcze telefon, ale mógł się założyć, że nadal nie będzie sygnału.

Magnum leżało na zdezelowanym stoliku w towarzystwie pustych puszek po iron city. Stack sięgnął po broń i wstał. Wszystko go bolało, przytrzymał się fotela, żeby utrzymać równowagę, bo na chwilę zakręciło mu się w głowie – czy to od piwa, czy od nagłego ruchu. Zrobiło mu się białe przed oczami, ale potem odzyskał wzrok.

Z bronią w ręku ruszył do niewielkiej toalety pod schodami, a z każdym krokiem stare deski trzeszczały pod jego ciężarem.

W połowie oddawania moczu znów usłyszał trzeszczenie podłogi, ale tym razem nad głową, na piętrze.



## 21

Obudził mnie odgłos drapania.

Mój mózg obudził się przed resztą ciała, więc zacząłem sobie wyobrażać pulchną myszkę w ścianie domu, który pożyczyliśmy od Cammie Brotherton, małe łapki szorujące od wewnątrz płytę kartonowo-gipsową w rozpaczliwej próbie ucieczki, wzbijające chmury pyłu zbierającego się później pod małutkimi różowymi stópkami. Po drugiej stronie ściany czekała wolność, ale myszka musiała kopać.

Otworzyłem oczy.

Przez okna wlewały się promienie słońca.

Spaliśmy ze Stellą w kuchni, w ciasnej przestrzeni między blatem a wyspą, z obu stron osłaniani przez szafki. Ona wciąż spała. Słyszałem jej spokojny oddech.

Drapanie.

Wciąż to drapanie. Dobiegało z którejś sypialni.

Wstałem po cichu, przekopałem się przez stertę ciuchów na stole i wciągnąłem dzinsy. Strzelbę znalazłem na blacie, tam gdzie ją zostawiłem wieczorem, i podniosłem ostrożnie, żeby nie hałasować. Wiedziałem, że jest nabita i gotowa do strzału. Palcem wskazującym odbezpieczyłem broń i ruszyłem krótkim korytarzem na tyły domu.

Zastałem go w różowym pokoju.

Mężczyzna, około metra osiemdziesięciu wzrostu, długie, skołtunione brązowe włosy z siwymi pasmami wystające spod czapki w stylu tej noszonej przez myśliwych – podbitej futerkiem i z klapkami na uszach. Miał na sobie brudne dzinsy, wysokie brązowe buty i niebieską flanelową koszulę.

Też miał broń, jakiś karabinek myśliwski oparty o ścianę w kącie pokoju.

Stał plecami do mnie, gorączkowo pisząc na ścianie grubym czarnym markerem.

*David Pickford to piękny człowiek.*

*David Pickford to piękny człowiek.*

*David Pickford to piękny człowiek.*

*David Pickford to piękny człowiek.*

*David Pickford to piękny człowiek.*

*David Pickford to piękny człowiek.*

*David Pickford to piękny człowiek.*

*David Pickford to piękny człowiek.*

*David Pickford to piękny człowiek.*

Celując mu w plecy ze strzelby, bezszelestnie obszedłem pokój, trzymając się zewnętrznej ściany, minąłem szafę i róg, aż zbliżyłem się na tyle, żeby wyciągnąć rękę i po cichu złapać karabin. Przełożyłem głowę przez pasek na ramię i powiesiłem sobie broń na plecach. Potem znowu wycelowałem strzelbę w nieznanego.

– Kim pan jest? – spytałem, modląc się, żeby głos nie zdradził moich nerwów.

Mężczyzna nie przestawał pisać.

*David Pickford to piękny człowiek.*

*David Pickford to piękny człowiek.*

*David Pickford to piękny człowiek.*

Przeładowałem broń, wyrzucając jeden nieużyty nabój i wkładając na jego miejsce kolejny. Zupełnie bez sensu, ale miałem nadzieję, że ten odgłos wyrwie go z letargu.

Nie przestając pisać, zapytał:

– Gdzie jest Cammie Brotherton?

Mężczyzna miał nienormalnie wysokie czoło. Sztywne włosy wyglądały jak obcięte nożem, zwisały mu nierówno wokół twarzy. Patrzyły pustym wzrokiem. Brodę miał brudną i poplątaną. Szacowałem jego wiek na okolice pięćdziesiątki, ale trudno było mi stwierdzić dokładnie.

– Powinna tu być – powiedział. – Mówiła, że tutaj jest. David kazał mi ją pozdrowić. Widziałeś Cammie Brotherton?

– Kim pan jest? – powtórzyłem.

Mężczyzna zerknął na mnie, po czym wrócił do pisania.

– Jesteś dzieciakiem Eddiego, co nie?

Na te słowa prawie opuściłem strzelbę, ale jednak zmieniłem zdanie. Coś było nie tak. Dziwnie mówił. Jego głos brzmiał jak u osoby pogrążonej w półśnie.

– Skąd pan zna mojego ojca?

*David Pickford to piękny człowiek.*

*David Pickford to piękny człowiek.*

– Mamy długą historię – odparł. – Z twoją mamą też.

Pomyślałem o nazwiskach z listy, o ludziach z albumu rocznikowego. Wszyscy nie żyli, z wyjątkiem trojga. Skoro mężczyzna z pontiakiem okazał się Jefferym Daltonem, to...

– Dewey Hobson, prawda?

Przekrzywił głowę, jakby dopiero to do niego dotarło.

– Dewey Hobson, zgadza się.

Nie słyszałem, kiedy Stella się obudziła. Teraz stała w drzwiach, we wczorajszych ubraniach. W końcu nie zrobiliśmy tego prania. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko pokręciłem głową. Podałem jej strzelbę i wskazałem na Hobsona. Zrozumiała, podniosła lufę i wycelowała w niego.

Pokazałem mu puste ręce, karabin nadal dyndał mi na plecach.

– Szukałem cię, Dewey. Ciebie i pozostałych. Niełatwo cię znaleźć. Wiesz, gdzie ukrywa się mój ojciec?

Hobson dokończył jedną ścianę i przeniósł się na następną. Nie zauważył Stelli albo nie dał tego po sobie poznać.

– Przyjechałem tu do Cammie Brotherton. David kazał mi ją pozdrowić. Potem mam ją zastrzelić. – Wycelował we mnie kciuk i palec wskazujący ułożone w kształt pistoletu. – Pif-paf! Dwa razy, prosto w czoło. Na śmierć.

– Rozmawiałeś z Davidem? – spytała Stella. – Co dokładnie ci powiedział?

– Kazał mi jechać do domu Cammie i ją od niego pozdrowić, a potem ją zabić. Zastrzelić na śmierć. Mówił też, że cię kocha, Stello, i chce dla ciebie posprzątać cały ten bajzel.

Hobson upuścił marker, obrócił się i ruszył w stronę Stelli. Byłem pewny, że go zastrzeli, tak szybko się do niej zbliżał, ale ona po prostu zrobiła krok w bok, a on minął ją tak, jakby wcale tam nie stała.

Wymieniliśmy ze Stellą zdumione spojrzenia i podążyliśmy za nim.

## 22

Stack zasunął rozporek.

Nie ma mowy, żeby mieli go znaleźć martwego z siusiakiem na wierzchu.

Deska na piętrze znów zatrzeszczała.

Wiedział, która to. U szczytu schodów, trzy deski w głąb korytarza od ostatniego stopnia. Na przestrzeni lat chyba z dziesięć razy zrywał tę cholerną deskę, wyciągał gwoździe, zastępował je pięćdziesięciomilimetroowymi śrubami, potem te śruby dłuższymi śrubami. Próbował ją przyklejać. Zasypał nawet talkiem spoiny, gwoździe i śruby i w tej desce, i w sąsiednich, żeby trochę stłumić skrzypienie. Nic nie działało. Cholerna deska ciągle jęczała od najlżejszego dotknięcia.

Stack sięgnął po magnum, wycelował w sufit, mniej więcej pięć centymetrów w dół od lampy, i oddał trzy szybkie strzały.

Cholerstwo miało porządny odrzut, aż poczuł to w starych kościach, ale miał lata doświadczenia. Pociski uderzyły tuż obok siebie, wybijając mu nad głowę ziejącą dziurę.

## 23

Zastaliśmy Deweya Hobsona w salonie. Stał i wyglądał przez duże okno na ulicę. Podeszedłem do niego, zachowując bezpieczną odległość.

– Cammie nie ma w domu, prawda? – spytał.

– Nie, Dewey. Sądzymy, że wczoraj wyjechała.

– Szkoda. Naprawdę chciałem ją pozdrowić od Davida.

– Wiesz, dokąd mogła pojechać? Gdzie mogłaby się przenieść, gdyby musiała stąd uciekać?

Hobson nie odpowiedział, wbijał wzrok w jakiś punkt po drugiej stronie ulicy.

– Może pojechała do mojego ojca? Czy on wie, gdzie ona może być?

– On tu niedługo będzie – oznajmił Hobson.

– Mój ojciec?

– Nie, David. Jechali zaraz za mną.

Obejrzałem się na Stellę. Już się zerwała – pędziła przez kuchnię, wciskała nasze ubrania z powrotem do toreb, porywała książki ze stołu.

Szyba w wielkim oknie roztrzaskała się w drobny mak, na milisekundę przedtem, zanim usłyszałem strzał.

Pocisk trafił Hobsona w lewe ramię. Zatoczył się, ale utrzymał na nogach.

Biały SUV zatrzymał się na środku Windmore Road. Kobieta, która strzelała, stała przy otwartych drzwiach kierowcy w długim białym trenczu i uśmiechała się z wyższością, a z niklowanej lufy pistoletu półautomatycznego unosiła się wąska smużka dymu.

– Na ziemię! – krzyknąłem, przykucając pod ścianą z oknem i modląc się, żeby cegły wytrzymały.

Hobson się nie ruszył. Stał tak samo jak wcześniej, mimo że cały rękaw koszuli nasiąkał mu krwią.

W ścianę za nami uderzyły trzy następne pociski. Wyciągnąłem rękę i pociągnąłem Deweya za nogę. Stracił równowagę i upadł obok mnie.

Stella przybiegła z kuchni z bagażami w jednej ręce i strzelbą w drugiej.

– Sąsiedzi zadzwonią po policję. Musimy się stąd zmywać!

Kolejny strzał. Kula trafiła w wysoką lampę w kącie pokoju.

Podniosłem głowę na tyle wysoko, żeby wyrzeć na zewnątrz.

– Jest ich chyba troje. Musimy walnąć w nich pełnym ogniem i lecieć do auta.  
– Szybko zarzuciłem na ramiona plecak, zasunąłem torbę Stelli i sprawdziłem karabin. – Ruszamy na trzy. Gotowa?

Skinęła głową.

Kolejny pocisk odbił się od cegły tuż pod parapetem.

Zacząłem odliczać. Drugi SUV zatrzymał się z piskiem opon za pierwszym, zanim doszedłem do dwóch.

## 24

Stack usłyszał, jak coś ciężkiego pada na podłogę bezpośrednio nad jego głową, po czym stacza się po schodach. Ze świeżo przebitego okna łączącego łazienkę z pierwszym piętrzem posypał się deszcz tynku.

Ponieważ Stack nie lubił chodzić niepotrzebnie wte i wewte, to kiedy brał sobie z kuchni piwo, przy okazji napakował do lewej kieszeni dwadzieścia dziewięć sztuk amunicji kalibru .357 z pudełka w szufladzie obok lodówki. Więcej nie miał w domu. Otworzył bębenek, wyjął trzy zużyte naboje i zastąpił je nowymi. Potem spuścił wodę, otworzył drzwi i wrócił do salonu.

Mężczyzna, który w dość nieprzyjemny sposób pokonał schody prowadzące na parter, leżał bezwładnie pod drzwiami do szafy na płaszcz. Biały trencz cały mu się powykręcał, prawa noga zaplątała się w strzelbę przewieszoną przez ramię i ukrytą pod płaszczem. Kość strzałkowa pękła w pół drogi między kolanem a kostką, przebiła skórę i sterczała przez dziurę w białych spodniach. Gdyby mężczyzna żył, noga musiałaby mu niezłe dokuczać. Jednak chyba ze dwa strzały Stacka trafiły go między nogi, a kule wyleciały dołem pleców – te rany wyglądały na znacznie bardziej bolesne.

Stack znieruchomiał w salonie, nie z szoku czy przerażenia, ale dlatego że słuch miał już nie taki jak kiedyś i nie potrafił ocenić, czy na piętrze jest ktoś jeszcze.

## 25

Wyglądając zza framugi roztrzaskanego okna, patrzyliśmy ze Stellą, jak Latrese Oliver wysiada z samochodu w znajomym białym trenczu. Lewą rękę miała na temblaku, częściowo ukrytą pod płaszczem. Nie zauważyłem żadnej broni.

Starsza kobieta rozejrzała się po ulicy, a potem spojrzała na podziurawiony kulami front domku Cammie Brotherton.

– Stello, kochanie, jesteś tam?

Stella, przykucnięta po mojej prawej stronie, zaczęła się podnosić. Zgromiłem ją wzrokiem i pokręciłem głową.

Znieruchomiała.

– Wiem, że to był wypadek, skarbie – mówiła Oliver. – Nie chciałaś zrobić mi krzywdy, prawda? To wszystko przez niego: Daltona, Preachera czy jak on tam się nazywa. Namieszał ci w głowie tym planem ucieczki, naopowiadał ci różnych rzeczy, tak? Nieprawdziwych rzeczy. Ani razu nie zapytał, czy chciałaś stamtąd wyjechać. Nie, on po prostu mi cię zabrał, a potem zostawił samą na ulicy. Jak ptaka wyrwanego z klatki, który musi fruwać samotnie mimo połamanych skrzydeł. Możesz wrócić, Stello! Wiesz, że cię kocham. Nikt nie kocha cię tak jak ja! Przebaczam ci to, co mi zrobiłaś!

Stella się poruszyła, ale nic nie powiedziała.

Oliver zrobiła krok w stronę domu, oszczędzając lewą nogę.

– Ten Dalton to płatny cyngiel. Co innego zabijać tych, którzy na to zasługują, ale on zabija tylko dla pieniędzy. Wyznacza cenę za czyjąś głowę i przyjmuje zlecenie. Ojcowie, bracia, matki, siostry... Nie ma to dla niego znaczenia, zabije każdego. Nauczyłam cię wartości, etyki, uczyniłam cię najwspanialszą z kobiet. Wróć do mnie, do domu, kontynuuj naukę, a wszystko będzie ci przebaczone!

– Więziłaś mnie! – krzyknęła Stella. – Kazałaś mi dla siebie zabijać!

– Zapewniałam ci bezpieczeństwo, kochanie. Dzięki mnie przeżyłaś. Dawałam ci to, czego potrzebowałaś. Kto inny by to dla ciebie zrobił? A teraz masz zaległości! Dwa dni! Musisz umierać z głodu! Pozwól mi się nakarmić, Stello. Wiem, czego ci potrzeba! Już nawet wybrałam kogo trzeba. Chociaż jedna osoba może nie wystarczyć. Może dwie albo trzy? – Oliver zrobiła jeszcze jeden krok i zmarszczyła czoło. – Ten mały Thatch też tam jest, prawda? Razem z tym



okropnym Hobsonem? Czuję ich zapach. Zlikwiduj ich, Stello, a potem pojedziemy razem do domu. Znalazłam nowy dom, wspaniały. Będiesz nim zachwycona. Pozwól mi dać ci to, czego potrzebujesz, moja kochana dziewczynko. Wszystko jest ci przebaczone, przyrzekam!

Hobson patrzył na dłonie Stelli w długich czarnych rękawiczkach. Obrócił się znów do okna, kiedy zza SUV-a wyszedł jakiś mężczyzna.

– David – szepnęła Stella.

David podniósł nadgarstek i postukał w tarczę zegarka.

– Czas nas goni, Latrese. Może daj sobie spokój z tymi przemowami? Odbudujecie zerwane więzi już w Charter. – Spojrzał z uśmiechem na dom. – Hej, Jack! Smakował ci ten Jameson, którego zostawiłem ci w Pittsburghu? Słyszałem, że to twoja ulubiona whisky. Teraz też mam przy sobie butelkę. Tylko dla ciebie. Ale najpierw muszę poprosić, żebyś coś dla mnie zrobił. Nic wielkiego, drobna przysługa. Masz spluwę, prawda? Założę się, że masz porządne działo. Naładowane, gotowe do strzału? To teraz musisz wycelować broń w Deweya Hobsona, prościutko w głowę, z bliska.

Moje ręce poruszyły się razem z karabinem, wąska lufa zawisła o centymetry od czoła Hobsona. Próbowałem wycelować w inną stronę, ale kończyny odmówiły mi posłuszeństwa.

– Jeśli już ładnie wycelowałeś, to teraz proszę, żebyś...

Ogłuszający huk poniósł się echem po domu – to Stella uniosła strzelbę i pociągnęła za spust, tuż przy moim uchu. Cały świat ucichł, głos Davida, oddechy Stelli i Hobsona, wszystko w ułamku sekundy zostało zastąpione przez przenikliwy pisk. Wypuściłem z rąk karabin, który opadł na bok na pasku. Zatkaną sobie uszy rękami, ale dzwonienie jeszcze się nasiliło.

Stella klepnęła mnie w plecy, po czym zaczęła strzelać w kierunku Davida, Oliver i innych ludzi w bieli. Wrzasnęła coś do mnie, prosto w twarz, ale nic nie słyszałem. Spojrzała znacząco na karabin dyndający mi na szyi, a potem przeniosła wzrok na okno. Przypomniał mi się mój plan, porwałem karabin i zacząłem strzelać – każdy wystrzał docierał do mnie jako odległy, stłumiony stuk, zagłuszony przez dzwonienie w uszach.

Stella zerwała się na nogi i złapała Hobsona. W mgnieniu oka znalazła się za progiem, ciągnąc za sobą mężczyznę. Puściła go na chwilę, żeby porządnie złapać strzelbę i oddać kolejne strzały, dziurawiąc SUV-y jak sito, po czym znów go złapała i pociągnęła dalej przez ogródek. Jedna z kul dosięgła kobiety z niklowanym pistoletem, która poleciała do tyłu na siedzenie kierowcy, a potem osunęła się na ziemię. Ja też strzelałem. Cztery pociski trafiły w bok pojazdu. Piąty rozwalił przednią oponę pierwszego SUV-a. Strzeliłem do mężczyzny kulącego się na fotelu pasażera w SUV-ie Oliver, a tymczasem Stella wycelowała

w innego, który obszedł samochód i klęczał na ziemi, próbując się kryć za zderzakiem. Popchnąłem Hobsona w stronę naszego mercedesa, strzeliłem jeszcze raz, szarpnięciem otworzyłem tylne drzwiczki i wcisnąłem go do środka. Za nim wrzuciłem nasze bagaże.

Oliver stała na środku ulicy, zupełnie ignorując strzelaninę, i nie odrywała wzroku od Stelli. Ruszyła w jej stronę, powoli, powłócząc nogami. David musiał się gdzieś schować. Nie widziałem go.

Stella zamarła na widok Oliver, która sunęła w jej stronę, unosząc zdrową rękę, bo drugą miała unieruchomioną. Zawołałem jej imię, ale nic nie słyszałem przez dzwonienie w uszach. Szarpnąłem ją za ramię, pociągnąłem do samochodu i posadziłem na fotelu pasażera. Potem przetoczyłem się po masce i wsiadłem za kierownicę.

Oliver wciąż kroczyła w naszą stronę.

– Jedź! – Odczytałem z ruchu warg Stelli. – Proszę... Jedź. Jedź! Jedź!

Ruszyłem.

Silnik mercedesa włączył się z rykiem, wrzuciłem wsteczny, wcisnąłem gaz do dechy i obróciłem nas dookoła. Opony zapiszczały na asfalcie, złapały przyczepność, kiedy przełączyłem na tryb jazdy do przodu i popędziłem Windmore Road, aż tyłem auta zarzucało na zakrętach. Kilkaset metrów dalej trzy białe fordys expedition minęły nas, pędząc w przeciwnym kierunku, w stronę domu.

Nadal słyszałem dzwonienie w uszach, ale teraz przebijał się przez nie ryk zbliżających się syren.

## 26

Stack coś usłyszał.

Czy raczej wydawało mu się, że coś słyszy.

Pierdolona głuchota.

Podkraść się bliżej do schodów i przez chwilę rozważał zabranie trupowi strzelby, ale uznał, że magnum mu wystarczy.

Obszedł ciało leżące u podnóża schodów, pilnując, żeby trzymać broń przed sobą, kiedy wspinał się po stopniach, podczas gdy drugą ręką trzymał się poręczy. Udało mu się pokonać cztery stopnie, kiedy mięśnie i stawy dobitnie przypomniwały mu, że od poprzedniego wieczoru nie zażywał leków przeciwbólowych. Grzechocząca buteleczka w prawej kieszeni (nie wspominając o amunicji w lewej) zdradzała jego położenie, chociaż prawdę mówiąc, raczej żaden złoczyńca nie przegapiłby osiemdziesięciodwulatka pełznącego w górę po schodach w geriatrycznym pościgu. Miał wręcz nadzieję, że ktoś go zastrzeli, zanim dotrze na górę, żeby nie musiał się już wspinać.

Znow coś usłyszał i tym razem był pewny – ktoś zakasłał.

Stack pokonał kolejny stopień.

– Jestem emerytowanym detektywem, którego od prawie dwudziestu lat aż świerzbi, żeby wpakować kulkę jakiemuś gnojkwowi. Ten poprzedni sprawił mi dużą przyjemność. Nie wiem, kim jesteś, ale radzę ci wypierdalać z mojego domu, zanim dotrę na górę!

Od tej przemowy dostał zadyszki, więc musiał zrobić sobie przerwę, choć zostało mu jeszcze kilka schodów. Nie usiadł, chociaż bardzo by chciał. Stał nieruchomo, kurczowo chwytając się poręczy – tylko to powstrzymało go przed stoczeniem się po schodach w ślady pierwszego włamywacza – i zaczął głęboko oddychać.

Nigdy nie miał problemów z sercem.

Mógłby wyrecytować całą listę męczących go przypadłości, ale pikawka dotychczas zawsze działała sprawnie. Coś się jednak zmieniło i sądząc po bólu w lewej części klatki piersiowej, będzie musiał dopisać schorzenia kardiologiczne do listy dolegliwości na formularzu ubezpieczenia zdrowotnego.

Odczuwał ból w piersi jako głucho, głębokie pulsowanie, przypominało mu czasy licealne, kiedy grał w futbol. To było całe wieki temu, ale wspomnienia zaczęły napływać z jakiegoś zakątka pamięci, jakby to wszystko działo się wczoraj. Ot, osobliwość umysłu Stacka. Nie pamiętał, co jadł na obiad dwa dni wcześniej ani co oglądał w telewizji poprzedniego wieczoru, ale w tej chwili dosłownie czuł zapach mokrej murawy na boisku za farmą Macintoshów, woń ziemi. Pamiętał promienie słońca padające ze wschodu po raz pierwszy od poprzedniej jesieni, pamiętał ból, kiedy Henry Otter przebił się przez linię, minął Daryła Luthinga i staranował go barkiem, waląc w lewy bok. Pamiętał, jak w chwili uderzenia umysł kazał mu trzymać piłkę, i naprawdę zamierzał to zrobić, ale zderzeniu z barkiem silnego jak szarżujący byk Daryła towarzyszył głośny trzask pękających żeber, powietrze wyleciało mu z płuc i Stack poczuł najgorszy ból w swoim dotychczasowym życiu. Piłka wystrzeliła mu z rąk i wylądowała prosto w ramionach Erniego Neiderta, który popędził z nią do pola punktowego i zaliczył przyłożenie. To wszystko rozegrało się w ciągu sekundy czy dwóch, zanim poobijany Stack osunął się na ziemię.

Teraz czuł w klatce piersiowej ból porównywalny z tym sprzed blisko siedemdziesięciu lat. Kiedy palące pulsowanie rozgościło się już w klatce, zaczęło się rozprzestrzeniać na lewą rękę, promieniując aż do palców zaciśniętych na poręcz.

Stack nie chciał umierać. Był na to zbyt uparty, a już na pewno nie zamierzał spierdolić się z własnych schodów i wylądować w ramionach tego szmaciarza, którego przed chwilą załatwił.

Nie zważając na ból, mocniej złapał za poręcz i porządnie się odepchnął. Nogi odbiły się jak tłoki i bez problemu pokonał kolejne dwa schody. Ból w klatce piersiowej wypuścił w ramach protestu kulę ognia, ale zanim mózg zdążył to zarejestrować, Stack znowu szarpnął za poręcz i pokonał ostatnie dwa schody. Osunął się na podłogę wąskiego korytarza na piętrze, oddychając ciężko i niemiarowo, a z kącika ust pociekła mu strużka śliny.

Ktoś się do niego zbliżał, wyszedł na korytarz ze środkowej sypialni, tej z rozbudowaną wersją Tablicy Osobliwości. Tajemnicza osoba zatrzymała się o kilka kroków od jego głowy. Stack próbował podnieść wzrok i lepiej się przyjrzeć, ale widział tylko białe buty, białe spodnie i rąbek białego płaszcza, podobnego do tego, który miał na sobie mężczyzna u podnóża schodów. Nie mógł jednak ruszać głową, ledwie poruszał oczami. Próbował podnieść prawą rękę, tę z magnum, ale zorientował się, że nie ma już broni. Rewolwer mógł leżeć gdzieś obok, na podłodze, chociaż bardziej prawdopodobne, że zgubił go na schodach. Tak czy inaczej, w ręku go nie miał, a w żadnym innym miejscu nie było z niego pożytku.

Człowiek stojący obok przyklęknął, zbliżył się nieco za bardzo i szepnął mu do ucha:

– Bardzo interesujące pomieszczenie. Mój szef będzie chciał z tobą o tym porozmawiać.

Stack chciał mu odpowiedzieć, że nie zamierza rozmawiać z nim, z jego szefem ani z prezydentem Stanów Zjednoczonych, a jeśli nawet, to gównem by im powiedział, ale kiedy otworzył usta, wydobyła się z nich jedynie kolejna strużka śliny, ból w klatce piersiowej i ramieniu wykroczył poza skalę, a on stracił przytomność.

Sześć minut.

Dokładnie tyle czasu minęło od momentu, gdy białe fordy expedition dotarły pod budynek z numerem 803 przy Windmore Road, do chwili gdy Latrese Oliver i David Pickford wsiedli na tylną kanapę środkowego pojazdu po zakończonej akcji sprzątania.

Ekipa pracowała szybko i sprawnie, mieli praktykę. Ciała zabitych umieszczono w dwóch zniszczonych samochodach, które podpalamo przy użyciu ręcznych granatów zapalających z kwasem tereftalowym. David nie miał pojęcia, skąd w Charter brali takie zabawki, ale z przyjemnością kazał swoim podwładnym ich użyć. Powiedziano mu, że znajduje się w nich zagęszczony trietyloglin, podobna do napalmu substancja, która zapala się w kontakcie z powietrzem. Robiły niewiele hałasu, tylko ciche „pyk!”, potem pojawiała się chmurka błękitnego dymu i płomień, które błyskawicznie trawiły wnętrza pojazdów, a następnie przez otwarte okna rozprzestrzeniały się na dach, bagażnik i maskę

W ciągu niespełna dwóch minut obfotografowano i nakręcono kamerą wideo całe wnętrze domu. Zdjęcia i nagranie miały zostać następnie przeanalizowane przez zespół ekspertów. Jeśli będzie na nich coś interesującego, oni to znajdą. Po upływie tych dwóch minut w domu umieszczono granaty zapalające.

Zwłoki palili tylko na wszelki wypadek. Pracownicy Charter nie mogli nosić przy sobie żadnych dokumentów, nie figurowali też w rządowych bazach danych. Dane z rejestrów karnych, bazy ubezpieczenia społecznego, aktów urodzenia, wydziału komunikacyjnego – wszystko czyszczono z chwilą zatrudnienia.

Po strzelaninie pojawił się tylko jeden sąsiad, wybiegł z domu przy Windmore Road 807, kiedy zobaczył, że David stoi na ulicy i wydaje polecenia ekipie. Mężczyzna po pięćdziesiątce, o małej głowie z przeredzonymi włosami zaczesanymi do tyłu. Miał na sobie biały podkoszulek i dżinsy, bez butów. W ręku trzymał dwudziestkędwójkę. Sądząc po pordzewiałej lufie, broni od dawna nie używano ani nawet nie czyszczono. Biegł w stronę Davida, krzycząc, że zadzwonił po policję i są już w drodze.

– Kiedy ich wezwałeś? – spytał David.

– Pięć minut temu! Nic ci nie jest? Dostałeś?

– Przecież mnie tu wcale nie ma – odparł David. – Jak mógłbym dostać?

Mężczyzna przez chwilę wyglądał na dość skonsternowanego, po czym pokiwał głową.

– No tak, racja. To by było raczej trudne, prawda?

– Co widziałeś?

Odpowiedział i okazało się, że widział całkiem sporo. Powiedział Davidowi, że wszystko zaczęło się niedługo po tym, jak przyjechał ten ford bronco. Wysiadł z niego jakiś mężczyzna – wyglądał trochę jak bezdomny, a trochę jak traper. Wszedł prosto do domu Faye, jakby był u siebie.

– Czy Faye Mauck miała dziecko?

– Nigdy nie widziałem, ale ona była raczej skryta.

Ustalili, że „Faye Mauck” to ostatni z długiej listy pseudonimów, którymi posługiwała się Cammie Brotherton przez dwie dekady. Najprawdopodobniej to nazwisko wryto by na jej nagrobku, o ile skończyłaby w podpisanym grobie. David podążył za wzrokiem mężczyzny do szarego forda zaparkowanego kawałek od domu z numerem 803, częściowo na ulicy, częściowo na chodniku.

Hobson.

Wypełnił rozkazy, posłuszny żołnierz.

David skinieniem głowy przywołał jednego z członków ekipy i wskazał na samochód.

– Sprawdźcie, czy coś jest w środku, a potem wyczyśćcie tak jak pozostałe. – Mężczyzna szybko zaczął działać.

David zwrócił się znowu do wścibskiego sąsiada w podkoszulku.

– To ty podłożyłeś ogień, prawda?

– Ja podłożyłem ogień?

– Tak. Podpaliłeś samochody, dom. Wszystko sam. Lubisz ogień. Podpaliłeś to wszystko. I zabiłeś tamtych ludzi.

– Okej. Chyba faktycznie.

– Kiedy przyjedzie policja, opowiesz im, co zrobiłeś i jaką przyjemność ci to sprawiło. Potem, jak tylko skończysz, kiedy już wszystko spisz, to wiesz, co zrobisz?

Twarz mężczyzny była zupełnie bez wyrazu.

– Wejdiesz do tego płonącego domu i usiądziesz w salonie. Wejdiesz w sam środek i sobie klapniesz – oznajmił David. – Lubisz ogień.

– Okej. Lubię ogień.

– Ale jeszcze wcześniej, kiedy ja sobie pojedę – ciągnął David – postrzelasz sobie z tej swojej pukawki. Masz strzelać w te ciała w SUV-ie, opróżnić

magazynek, a potem rzucić spluwę w tamte krzaki. Ale nie za głęboko. Nie chcemy utrudniać pracy lokalnym organom ścigania.

– To by nie było miłe.

– Nie, zdecydowanie by nie było.

David zauważył jakąś kobietę wyglądającą zza zasłony w oknie na piętrze sąsiedniego domu. Pomachał jej. Nie szkodzi, że go widziała. I tak nikt jej nie uwierzy.

– Jeszcze jedno – zwrócił się do faceta w podkoszulku.

– Tak?

– Uważasz, że jestem przystojny?

Mężczyzna przekrzywił głowę, wiatr zwichrzył jego rzadkie włosy.

– Nie jesteś za bystry, co?

– Nie, nie bardzo.

– Jestem najpiękniejszym człowiekiem, jakiego w życiu widziałeś?

Mężczyzna zastanowił się chwilę.

– No, chyba tak.

David zostawił go na ulicy, po czym wsiadł na tylne siedzenie środkowego forda expedition, gdzie czekała już Latrese Oliver. Skubała łuszczącą się czarną plamę na chorej ręce. Pokręcił głową i wyjrzał przez okno, kiedy samochód ruszył.

– W domu był jeden pokój świeżo pomalowany na różowo. Znaleźliśmy też lalkę.

– Kolejne dziecko? – spytała Oliver.

– Być może – odparł. – Może Cammie Brotherton jednak urodziła.

– Ciekawe, co potrafi ta mała.

– Ciekawe.



## 28

– Jedzie ktoś za nami?

Dzwonienie w uszach powoli ustępowało, ból też zelżał do tępego pulsowania.

Stella odpięła pas i obróciła się na fotelu pasażera, żeby wyrzeć przez tylną szybę.

– Trudno powiedzieć. Za duży ruch. Widzę trzy białe samochody, ale nie poznaję kierowców. Chyba nic nam nie grozi.

Światło zmieniło się na czerwone, więc szybko skręciłem w prawo, żeby się nie zatrzymywać. Byliśmy gdzieś w centrum Carmel. Poranny ruch się zagęszczał, ludzie dojeżdżali do pracy.

– Musimy dotrzeć na autostradę. Albo zmienić samochód.

– Jack, ktoś musi obejrzeć to jego ramię.

– Nie możemy się zatrzymywać.

– Całe siedzenie jest zalane krwią.

– Skórzana tapicerka. Łatwo się czyści. Musimy jechać przed siebie.

– To nie tapicerka mnie martwi. On nam tu może umrzeć.

Skręciłem w lewo na drogę 17-Mile Drive.

– Mamy tam coś, czym można by go związać? Jest przytomny?

Stella pstryknęła palcami przed twarzą Deweya Hobsona.

– Przytomny, ale niezbyt żywotny. Proszę pana, słyszy mnie pan?

Nic.

– Może w bagażniku jest jakiś sznur czy coś.

– Nie sądzę, żeby miał nam coś zrobić.

– Nie możesz być tego pewna.

– Panie Dewey, czy zamierza pan zrobić krzywdę Jackowi Thatchowi?

Cisza.

– A mnie zrobi pan krzywdę?

Cisza.

– A Cammie Brotherton?

– Przekażę jej pozdrowienia od Davida, a potem ją zabiję. – Hobson podniósł rękę i znowu ułożył dłoń w pistolet. – Pif-paf. Dwie kulki w głowę.

– Zamierza pan skrzywdzić kogokolwiek innego?

Cisza. Zmarszczyłem brwi.

– Kiedy David kazał mi wycelować karabin w Hobsona, zrobiłem to. Nie mogłem się powstrzymać. Gdyby kazał mi go zastrzelić, też bym to zrobił. Wiedziałaś o tym. Dlatego wypaliłaś ze strzelby, żebym nie słyszał. Co to, kurwa, było?

Stella się obróciła i opadła na oparcie fotela.

– David bywa bardzo przekonujący.

– To znaczy?

– Tylko tyle mi zdradzili – odparła. – Pani Oliver powiedziała, że jest wyjątkowy, tak jak ja, i bywa bardzo przekonujący, więc monitorowali wszystkie nasze rozmowy. To było straszne. Trzymali go zupełnie samego w malutkim pokoiku. Nie mogliśmy tak naprawdę porozmawiać. Byliśmy jak szczury w laboratorium, nieustannie obserwowane i podsłuchiwane. Odwiedzałam go, bo było mi go żal.

– Gdzie?

– Nie wiem dokładnie. Zawsze zakładali mi opaskę na oczy albo worek na głowę. Kiedy byłam mała, pani Oliver twierdziła, że to taka zabawa. Kiedy on mnie odwiedzał, kazali mu zakładać maskę. To niby też było dla zabawy, ale ja wiedziałam, że dzięki temu nie mógł ze mną rozmawiać, kiedy nikt nie podsłuchiwał. Kiedy trochę podrosłam, powiedziała mi, że lepiej, żebym nie wiedziała, gdzie on mieszka, dla własnego bezpieczeństwa. Podróż zawsze bardzo długo trwała: cztery, pięć godzin. Nie mam pojęcia, dokąd właściwie jechaliśmy. Równie dobrze mogliśmy po prostu jeździć w kółko wokół domu. Nigdy nie sądziłam, że uda mu się stamtąd wydostać.

– Wykorzystywali twoje moce, żeby zabijać ludzi. Może jego też wykorzystują.

– Skręć tu w lewo – powiedziała Stella, pokazując na drogowskaz.

– Na plażę?

Skinęła głową.

– O tej porze nie będzie tam ludzi.

Miała rację. Na parkingu stały trzy samochody (zielony, czerwony, srebrny). Wczesnym rankiem tylko dwie osoby opalały się na piasku, jedna uprawiała jogging. Zaparkowałem jak najdalej od drogi i zgasilem silnik. Stella włożyła nową parę rękawiczek z pudełka „pożyczzonego” z domu Cammie, pogrzebała w swojej torbie, wyłowiła apteczkę i zajęła się ramieniem Hobsona. Rozpięła mu koszulę i delikatnie odkleiła materiał od rany, po czym ją z niego zdjęła. Pacjent nadal patrzył niewidzącym wzrokiem w pustkę, zupełnie nieświadomy, co się z nim dzieje.

– Kula przeszła na wylot – stwierdziła Stella, przemywając ranę wacikiem nasączonym spirytusem. – To dobrze. Zostanie blizna, ale powinno się zagoić bez

szycia. Krew już prawie nie leci. – Przyłożyła bandażę po obu stronach ramienia i przykleiła białym plastrem.

Wygrzebałem z plecaka bawełnianą koszulę – jedyną z guzikami – i razem ubraliśmy Hobsona. Miał bezwładne ramiona, jak u wielkiej szmacianej lalki. Nie opierał się, ale był pogrążony w stuporze, co nie ułatwiało nam zadania.

Zamachałem mu przed oczami, ale nawet nie mrugnął. W ogóle na nic nie reagował.

– Jakby go zahipnotyzowali.

– Chyba się zaciął – stwierdziła Stella. – Kazano mu zamordować Cammie Brotherton i dopóki tego nie zrobi, będzie tkwił w stanie zawieszenia.

– Powinniśmy go związać.

– Jak na razie Cammie jest jedyną osobą, która powinna się go bać.

Stella sprawiała wrażenie przekonanej o swojej racji, więc nie naciskałem. Znowu zaczęła się pocić, czoło pokrywała jej lśniąca warstewka. Wyglądała też bardzo blado. Tak samo jak przed jeziorem, a to było niecałą dobę temu.

Rozejrzałem się po parkingu.

– Tutaj nie znajdziemy samochodu.

– A tamten?

Pokazywała na czterodrzwiową czarną hondę accord zaparkowaną na rogu po drugiej stronie ulicy, z czerwono-białą tabliczką NA SPRZEDAŻ w oknie.

Znaleźliśmy kluczyki pod fotelem pasażera. Wmawiałem sobie, że wcale nie kradniemy auta. Po prostu zabieramy je na bardzo długą jazdę próbną.

Przecisnęliśmy się przez korki i dotarliśmy na autostradę US-101, którą pojechaliśmy na północ wzdłuż wybrzeża Kalifornii.

Zastanawialiśmy się, czy nie odbić w głąb lądu, na którąś z dróg międzystanowych, na przykład I-5, ale uznaliśmy, że tam właśnie będą nas szukać. US-101 była drogą starszą i wolniejszą, prowadzącą przez kolejne nadmorskie miasteczka. Wzdłuż trasy ciągnęły się restauracje, atrakcje turystyczne i pasaż handlowe, więc wtapialiśmy się w tłum i nie rzucaliśmy w oczy.

Hobson siedział w milczeniu na tylnej kanapie, wbijając wzrok w drogę przed nami, patrząc na wszystko i jednocześnie na nic konkretnego. Po jakimś czasie zaczął mamrotać coś pod nosem, niewyraźnie, raczej zbitki dźwięków niż słowa, ale znowu umilkł. Stella próbowała nawiązać z nim kontakt, ale chociaż czasem przenosił na nią wzrok, to nie odpowiadał. Poddała się po mniej więcej godzinie, wyjęła oba egzemplarze *Wielkich nadziei* i zaczęła je kartkować, otwierając w losowych miejscach. Upierała się, że ojciec zostawił mi tę książkę z jakiegoś powodu, i odczuwała coraz większą frustrację, że nie może tego powodu odkryć.

Wciąż rozglądałem się po innych samochodach na trasie. Kiedy w lusterku pojawiał się jakikolwiek biały pojazd, sztywniałem i zaczynałem zwalniać,

wstrzymując oddech, aż nas mijął i mogłem przekonać się z ulgą, że osoba za kierownicą nie jest ubrana na białą.

Stella z godziny na godzinę robiła się coraz bledsza, a ja próbowałem obliczyć, ile czasu minęło wczoraj od chwili, gdy zaczęły u niej występować pierwsze oznaki głodu, do wymuszonego postoju nad jeziorem. Góra sześć, siedem godzin, z tego, co pamiętałem. Tym razem zdawało się to postępować wolniej. Może jezioro załatwiło nam trochę więcej czasu. Ale ile? Nie wiadomo. Na pewno zbliżało się coś niedobrego.

– Świeci się kontrolka benzyny.

W samochodzie było tak cicho, że aż się wzdrygnąłem.

– Widzę.

Jechaliśmy prawie pięć godzin. Honda była zatankowana do pełna, ale już od kilkunastu kilometrów ciągnęliśmy na oparach.

– Zaraz będzie Manchester. Możemy się tam zatrzymać.

– Jack, muszę ci powiedzieć coś jeszcze. Coś ważnego.

– O co chodzi?

– Ma to związek z moją... przypadłością.

– Możesz mi powiedzieć.

– Nawet ja nie do końca rozumiem, jak to działa. Wiem, że kiedy czegoś dotykam, wysysam z tego życie, ale to nie zawsze zaspokaja mój głód. Niektóre obiekty mają większą skuteczność niż inne.

– Rozumiem. Ryby z jeziora, drzewo w Nevadzie. Pole kukurydzy parę lat temu. Trochę ci pomogło, ale potrzebujesz człowieka, musisz...

– Jack – przerwała mi. – Nie każdy człowiek działa. To właśnie próbuję ci wytłumaczyć. Niektórzy są skuteczniejsi niż inni. Nie rozumiem, na czym polega różnica, ale dzięki niektórym zyskuję tylko kilka miesięcy, inni potrafią zaspokoić potrzebę na cały rok. Pani Oliver wiedziała, którzy będą mieli najdłuższe działanie. Ludzie, których mi przyprowadzała, zawsze zaspokajali mój głód na cały rok.

– Od ósmego sierpnia do ósmego sierpnia.

Przytaknęła.

– A dzisiaj rano powiedziała, że „wybrała kogo trzeba”.

Stella znowu skinęła głową.

– Źli ludzie, to chyba jest klucz. Oni się najlepiej sprawdzają. Może już nawet kogoś uprowadziła.

Po prawej zobaczyłem niedużą stację benzynową. Zjechałem i zatrzymałem się pod dystrybutorem. Wyłączyłem silnik i zwróciłem się do Stelli.

– Rozwiążemy to, obiecuję ci. Znajdziemy jakiś sposób.

Znów pokiwała głową, ale w jej oczach malowała się niepewność, coraz głębszy smutek.

„Wkrótce ją stracisz. Już się z tobą żegna”.

Siłą wyrzuciłem tę myśl z głowy.

Znajdziemy sposób.

Ale już nawet ja zaczynałem w to wątpić.

Trzy samochody na parkingu – zielony ford, czerwony dodge i biała toyota. Za kierownicą toyoty siedziała nastolatka w obszernej koszulce 'N Sync zarzuconej na różowe bikini, zapewne wagarowiczka, która wybrała się na plażę.

– Powinniśmy kupić coś do jedzenia. – Podałem jej dwudziestkę, wzięła ją ode mnie bez słowa, wysiadła z auta i weszła do sklepiku na stacji.

Zatankowałem i już dość długo siedziałem w samochodzie, miałem nawet iść jej poszukać, kiedy wreszcie wróciła z naręczem zakupów – chipsami, trzema kanapkami, trzema butelkami wody i mapą drogową. Wszystko oprócz mapy rzuciła na podłogę przed swoim fotelem.

Obrzuciłem wzrokiem porzucone jedzenie.

– Tak, chętnie zjem kanapkę. Dziękuję, Stello.

– Manchester – mamrotała, rozkładając mapę na tablicy rozdzielczej. – Manchester.

– Stella? O co chodzi?

– Manchester to miasto w Anglii – odmruknęła, studiując mapę.

– A poza tym w Kalifornii, Illinois, Connecticut, Georgii, Indianie... Pewnie na całym świecie. To popularna nazwa.

Sięgnęła po swój egzemplarz *Wielkich nadziei* i otworzyła na mapie po wewnętrznej stronie okładki, przyglądała się jej przez chwilę, po czym otworzyła drugą książkę, tę, którą znalazłem w grobie ojca, na tej samej stronie.

– To takie samo wydanie. To od twojego ojca i to od moich rodziców.

– No i co?

Stella delikatnie pogładziła obleczonymi w rękawiczkę palcami okładkę swojej książki.

– *Wielkie nadzieje* ukazywały się najpierw w odcinkach w magazynie, w lipcu tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku, dopiero potem Dickens wydał je jako książkę. Po stu latach od jego śmierci książka weszła do domeny publicznej, co oznacza, że każdy mógł ją publikować do woli. W rezultacie powstały setki wydań na całym świecie, bo każdy chciał zarobić na jego wspaniałych słowach. W każdej księgarni można znaleźć co najmniej kilka egzemplarzy, często z różnych wydawnictw. Zasadnicza zawartość będzie wszędzie taka sama, różnić będą się tylko opakowaniem: obwolutą, oprawą, jakością wydania. Od tanich broszurek po horrendalnie drogie pierwsze wydania

sprzed ponad stu lat. Wiele osób ma tę powieść w domu, ale rzadko można trafić na dwa egzemplarze z tego samego wydania. Nakłady są coraz niższe, bo wydawcy wolą wprowadzić kosmetyczne zmiany i sprzedać nowe wydanie, a stare wycofać ze sprzedaży. – Jej palce znieruchomiały, tylko kciukiem przesuwała po grzbiecie książki. – Ten egzemplarz należał do moich rodziców. To jedyne, co mi po nich zostało, największy skarb, jaki mam w życiu. Ta książka towarzyszyła mi każdego dnia mojego życia i będzie przy mnie także w dniu śmierci, jestem tego pewna. Między tymi okładkami kryje się pamięć o moich rodzicach, esencja ich jestestwa. Dzięki tej książce zawsze są przy mnie.

Stella przeniosła dłoń na egzemplarz, który znalazłem w grobie ojca.

– Ta książka należała do twojego ojca, schowano ją w jego grobie razem z albumem rocznikowym Penn State. Była dla niego na tyle ważna, że zadał sobie wiele trudu, żeby ukryć ją przed światem w fałszywym grobie w nadziei, że kiedyś ją znajdziesz. Spójrz na te mapy... Powiedział ci dokładnie, gdzie go znajdziesz, Jack! Widzisz?

Nachyliłem się bliżej. Mapy były przepięknie skreślone, na obu wyszczególniono różne miasta na terenie Wielkiej Brytanii. Nie miało to większego związku z treścią powieści, widocznie wydawca uznał, że taka mapa będzie ładnie wyglądać. Dział marketingu postanowił pewnie w ostatniej chwili wypełnić czymś puste miejsce, żeby odróżnić się od konkurencji. Byliśmy właśnie w miasteczku Manchester w Kalifornii. Na początek znalazłem więc na obu mapach Manchester, ale dopiero kiedy zacząłem sprawdzać kolejne miasta, zorientowałem się, o co chodziło Stelli.

– Tu jest literówka.

– Zgadza się, Pip. – Stella aż promieniała. – W moim wydaniu mamy Exeter, Londyn, Manchester, Whitby, Newcastle upon Tyne i tak dalej. W twoim wydaniu, tak sprytnie ukrytym przez twojego ojca, zamiast Whitby widnieje W-H-I-D-B-E-Y. Whidbey, nie Whitby. W Anglii nie ma żadnego Whidbey.

– Ale jest wyspa Whidbey przy wybrzeżu stanu Waszyngton – powiedziałem cicho, jeszcze uważnie przyglądając się obu mapom.

– Owszem, jest taka wyspa – przytaknęła Stella, nie przestając się uśmiechać. – Ustronna, przeurocza wysepka.

– Ciocia Jo zawsze mówiła, że moja mama chciała mieszkać nad wodą – dodałem.

– Whidbey leży w Puget Sound, niedaleko Seattle – powiedziała Stella. – Na południe wyspy można dotrzeć tylko łodzią lub promem. Od strony północnej znajduje się most. Przechodzi przez cieśninę Deception Pass. Wyspa jest w dużym stopniu niezabudowana: góry, jeziora, gęste lasy... cała masa kryjówek.

– Deception Pass... – mruknąłem. „Zwodnicza Cieśnina”. Pasowało mi to do ojca.

– Jack, możemy tam dotrzeć w ciągu dwunastu godzin. Będziemy musieli wrócić na międzystanówkę numer pięć, bocznymi drogami za długo by nam zeszło. A jeśli się pośpieszymy, możemy tam być już za pół dnia.

Stella była wyraźnie pełna nadziei. Nie chciałem jej tego odbierać, ale szanse wydawały mi się nikłe.

– Zostawił mi tę książkę dwadzieścia lat temu. Naprawdę myślisz, że on nadal tam będzie? Przez tyle lat już by go znaleźli.

– Nie mamy żadnego innego celu.

Oczywiście miała rację. Jechaliśmy przez Kalifornię samochodem pożyczonym od kogoś, kto niedługo zapewne zauważy brak tego samochodu i zgłosi to odpowiednim służbom, które raczej nie popierają coraz popularniejszego trendu „pożyczania” pojazdów.

Spojrzałem w lusterko wsteczne. Zobaczyłem pusty wzrok Hobsona.

– A pan jak myśli, panie Dewey?

Oblizał wargi i spojrzał w okno.

– Ewidentnie chciałby tam jechać – skwitowała Stella.

– Bez dwóch zdań. A mogę najpierw coś zjeść?

Podawała mi kanapkę, drugą dała Deweyowi. Wziął ją od niej, ale potem po prostu trzymał, jakby zrobił to raczej odruchowo niż w ramach przemyślanej czynności.

– Powinien pan coś zjeść. Żeby miał pan siłę zabić Cammie.

– Okej. – Otworzył plastikowe opakowanie i zaczął jeść.

– Chryste, to było dziwne. – Włączyłem silnik i skręciłem w prawo z powrotem na US-101, rozglądając się za znakami na I-5.

Już wyjeżdżając z Manchester, martwiłem się o Stellę. Kiedy chwilę po szesnastej przekraczaliśmy granicę z Oregonem, byłem już poważnie przerażony jej stanem.

Skórę miała białą jak papier, jej wargi przybrały sinawy odcień. Mokra od potu włosy zwisały w strąkach wokół twarzy. Przespała prawie dwie godziny, co bardzo mnie ucieszyło, bo zanim zapadła w drzemkę, wychodziła z siebie, żeby mnie przekonać, że wszystko w porządku, a ja z całych sił próbowałem udawać, że jej wierzę.

Ale nic nie było w porządku.

Wczoraj, przed jeziorem, prawie wpadła w delirium. Gorączkowy sen miał niewiele wspólnego z wypoczynkiem i wiedziałem, że teraz też zbliża się do tego stanu. W końcu spytałem ją nawet, czy mam poszukać jakiegoś jeziora, ale

stwierdziła, że za drugim razem to nie zadziała i żebym po prostu jechał. Potem przypomniało mi się, co powiedziała na stacji...

„Będziemy musieli wrócić na międzystanówkę numer pięć, bocznymi drogami za długo by nam zeszło”.

Nie miałem pojęcia, co miała na myśli. Nawet jeśli jakimś cudem udałoby się nam znaleźć mojego ojca, to czego ona od niego oczekuje? Nie wydawało mi się, żeby przez ostatnie dwadzieścia lat pilnował jakiegoś magicznego leku dla dziewczyny, z którą kiedyś przyjedzie do niego syn. Pędziliśmy w jakąś przepastną pustkę, w próżnię. Daremny trud.

Nie będę ukrywał – myślałem o tym, żeby znaleźć kogoś, kogo mogłaby dotknąć. Jakiegoś męta. Za Medford zauważyłem dwoje autostopowiczów i zacząłem zwalniać. Bóg mi świadkiem, że prawie się zatrzymałem. Nie zrobiłem tego jednak i dwie godziny później, kiedy zaczęła jęczeć przez sen, zacząłem sobie pluć w brodę, że się nie zatrzymałem, że nie zgarnąłem jednego z nich. Przy każdym postoju dla ciężarówek, każdym parkingu przy drodze zwalniałem, ale potem wyperswadowywałem sobie ten pomysł. Wiedziałem, że jeślibym naprawdę to zrobił, nie byłoby już odwrotu. Zabiłbym kogoś z zimną krwią, stałbym się mordercą. Zabójstwo w obronie własnej to co innego, ale zabicie niewinnego człowieka – nawet podejrzanego typka, o którym nikt by nie pamiętał – to przekroczenie pewnej granicy.

Nie mogłem jej stracić.

Nie dopuszczałem takiej możliwości.

Pod Eugene zacząłem popatrywać na Hobsona, na ranę postrzałową. Coś we mnie liczyło na to, że nie będzie się goić, że wda się infekcja, że będę miał jakiś pretekst... Nic takiego się jednak nie stało. Spod opatrunku nie ciekła już krew. Hobson zachowywał się tak, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy z urazu. Przez całą drogę zachowywał całkowite milczenie, zagubiony w swoim świecie. Nie zauważyłem, żeby spał.

Z każdą godziną, kiedy Hobson nie zasypiał, ja robiłem się coraz bardziej zmęczony.

W końcu, chwilę po północy, zjechałem na opuszczony, ale bardzo malowniczy postój w okolicach Longview w stanie Waszyngton. Zaparkowałem w jak najdalszym kącie i wyłączyłem silnik.

Zamierzałem się zdrzemnąć z pół godzinki, nie więcej, byle złapać oddech.

Obudziłem się dwie godziny później.

A Stelli nie było.

Zalała mnie fala ulgi, kiedy znalazłem ją przy metalowej balustradzie, znad której podziwiała głęboki wąwóz. Daleko w dole płynęła bystro woda, wśród



najwyższych drzew, jakie w życiu widziałem. Nie obróciła się w moją stronę, ale wiedziała, że przyszedłem.

– Tam na dole płynie rzeka Cowlitz. Piękna, prawda? – spytała.

– Ty jesteś piękna. – Tak się cieszyłem, że się obudziła. Jeszcze kilka lat temu takie słowa wywołałyby u mnie ciarki żenady, ale teraz wydawały się zupełnie naturalne. Miałem w sobie pustkę, która wypełniała się, kiedy ona była blisko – to miejsce w sercu należące wyłącznie do niej, pokój, do którego tylko ona miała wstęp.

Stella objęła mnie mocno, a ja odwzajemniłem uścisk. Miała na sobie długie czarne rękawiczki, te sięgające do łokci, a na wierzchu bluzę. Nie wystawał ani kawałek skóry, a nawet gdyby, to było mi chyba wszystko jedno. Ona jednak zachowywała ostrożność. Miała za sobą długie lata praktyki. Ciepło jej ramion, dotyk palców przeczesujących moje włosy, jej oddech na mojej szyi. Tak bardzo chciałem przyciągnąć ją do siebie i pocałować. Świadomość, że nie mogę, doprowadzała mnie do szału. A myśl o tym, że nigdy nie będę mógł – do białej gorączki.

– Niedługo umrę, mój najdroższy Pipie. Wiesz o tym, prawda?

– Nie mów takich rzeczy, proszę.

– Wkrótce znowu zaczniesz trawić mnie głód, ale tym razem nie będzie jak go zaspokoić. Opadnę z sił, postradam zmysły. Zaczęję majaczyć, stracę możliwość racjonalnego myślenia. Doświadczyłam tego już wiele razy. To jak odwieczny wróg dobijający się do drzwi, nieproszony gość zerkający w stronę okna, kiedy odmówiono mu wstępu.

– Możesz wykorzystać rzekę, las.

– To nie wystarczy.

– No to kogoś znajdziemy.

„Mamy kogoś. Hobson siedzi cierpliwie na tylnym siedzeniu”.

Nie. Wyrzuciłem tę myśl z głowy. Hobson był ofiarą, tak jak my.

„Jest uszkodzony”.

Nie.

– Mówiłam ci, nie zrobię tego. Już nigdy.

– Stello, nie mogę cię stracić.

– A jednak stracisz.

– Jeśli ci ludzie w białym znowu nas znajdą... to któregoś z nich. A może mój ojciec będzie wiedział...

– Życie nie należy do mnie, żebym mogła je odbierać. Moja egzystencja jest egoistyczna. Przez wszystkie te lata wmawiali mi, że robię to, co należy, ale w głębi serca wiedziałam, że to nieprawda. A mimo to nadal robiłam to, o co mnie prosili, zabijałam dla nich. Z mojej ręki zginęło tak wiele osób. Nigdy nie

odpokutuję tych grzechów. Widzę ich twarze za każdym razem, kiedy zamykam oczy. Słyszę ich krzyki. Nawet najgorsze potwory, a ich też nie brakowało, nie zasługują na ból, jaki im zadawałam. Myślę, że cieszę się na śmierć, na wieczną ciszę. Oni wszyscy będą na mnie czekali po drugiej stronie i będę musiała przed nimi odpowiedzieć, a choć jest to przerażająca wizja, to wiem, że muszę stanąć z nimi twarzą w twarz, jeśli chcę kiedykolwiek zaznać spokoju.

– Jesteś po prostu uparta, Stello. Znajdziemy kogoś złego, kto sobie zasłużył... mordercę, gwałciciela... kogoś, kto nie zawahałby się zabić nas albo kogoś innego...

Stella uciszyła mnie, kładąc mi na ustach palec.

– Nie, Jack. Nigdy więcej. Nie chcę o tym rozmawiać. Nie chcę nawet o tym myśleć. – Uśmiechnęła się, w jej oczach odbijało się światło księżyca. – Cieszymy się tą chwilą, wspólnie spędzonym czasem, który nam jeszcze został. Moment może trwać całą wieczność, to zależy tylko od nas.

„Boże, jest taka blada”.

– Kocham cię, Stello Nettleton – powiedziałem cicho.

– A ja ciebie, Johnie Edwardzie Jacku Thatchu. Mój Pipie.

Przyciągnąłem ją jeszcze bliżej. Trzymałem ją z całej siły.

– Zatańczymy? – szepnęła, wtulając głowę w moje ramię.

I zatańczyliśmy.

Tańczyliśmy na krawędzi klifu, do dźwięków piosenki, której nie słyszał nikt oprócz nas.

Naprawdę nie potrafię ocenić, czy minęło pięć minut, czy godzina. Czas stracił dla nas wszelkie znaczenie. Kiedy w końcu szepnęła, że powinniśmy już iść, mogłem tylko skinąć głową. Wiedziałem, że gdybym się odezwał, zalałbym się łzami. Poszedłem za nią z powrotem do samochodu, gdzie usiadła z podwiniętymi nogami na fotelu pasażera i zatopiła się w lekturze *Wielkich nadziei*.

Hobson nadal gapił się na nas z tylnej kanapy.

Zostawiliśmy za sobą rzekę Cowlitz.

Jeszcze trzy i pół godziny do Whidbey.

Mniej więcej godzinę za Longview Stella znowu odpłynęła. Zgarbiła się i podciągnęła kolana do piersi. Ciemne włosy zasłaniały jej twarz. Wyglądała jak dziecko, tak bardzo bezbronne. Nie jestem pewny, kiedy zaczęła się trząść. Wydaje mi się, że musiało to nastąpić jakieś pół godziny przed dotarciem do celu, bo przez cały czas ją obserwowałem i dopiero wtedy zauważyłem.

Kiedy zaczęło wschodzić słońce, zauważyłem ciemne plamy potu na jej ubraniu. Ściągnąłem sobie rękaw bluzy na dłoń i przez tkaninę odgarnąłem jej

z twarzy kosmyki włosów. Światło poranka chyba jej przeszkadzało. Westchnęła słabo i schowała oczy w zgięciu łokcia.

Zjechaliśmy z I-5 na WA-525 w kierunku północnym, gdzie przechodziła w drogę Mukilteo Speedway, i podążaliśmy za znakami na Whidbey oraz terminal promu Clinton–Mukilteo. W ten poniedziałkowy poranek był duży ruch od strony wyspy, ale prawie nikt nie jechał w przeciwnym kierunku, z lądu. Domyślałem się, że po południu było na odwrót, kiedy zamykały się biura i inne firmy w Seattle.

Zapłaciliśmy za przejazd w budce poboru opłat, gdzie sympatyczna kobieta po pięćdziesiątce kazała mi jechać za samochodami do rzędu numer dwa i stanąć z przodu. Najbliższy prom miał przy płynąć za niecałe pięć minut.

– Ile trwa przeprawa?

– Piętnaście, dwadzieścia minut, w zależności od warunków.

Zastanawiałem się, czy nie obudzić Stelli, ale uznałem, że lepiej pozwolić jej się wyspać. Nie wiedziałem, co będzie nas czekało po drugiej stronie.

Oprócz nas czekało jeszcze sześć samochodów, w tym tylko jeden biały. Ford pikap z lat siedemdziesiątych, za kierownicą siedział starszy mężczyzna w granatowej puchówce i czapce z daszkiem z logo drużyny Seahawks. Czytał gazetę, na tablicy rozdzielczej stał dość chwiejnie kubek z kawą. Kiedy zauważył mój wzrok, uśmiechnął się, kiwnął głową i wrócił do lektury.

Nigdy wcześniej nie podróżowałem promem, więc kiedy przy płynął prom Kittitas, ze zdumieniem patrzyłem, jak wiele zjeżdża z niego samochodów. Nie miałem pojęcia, że to będzie tak wielki statek. Kiedy ostatnie auto odjechało w kierunku Seattle, zaczęto wpuszczać samochody z rzędu obok nas. Mężczyzna w pomarańczowej kamizelce pokazał mi gestem, żebym jechał za nimi. Zaparkowaliśmy na dolnym pokładzie. Wyłączyłem silnik. Kiedy kilka minut później odbiliśmy od brzegu, nareszcie zamknąłem oczy i poddałem się fali wycieńczenia.

## Część 5

*Kocham ją wbrew rozsądkowi, wbrew temu, com sobie przyrzekł, wbrew własnemu spokojowi, wbrew nadziei, wbrew szczęściu i mimo wszystkich rozczarowań, jakie mogą mnie spotkać.*

Charles Dickens, *Wielkie nadzieje*

# 1

Chyba zasnąłem, ale na całe szczęście nic mi się nie śniło.

Gdzieś z tyłu zatrąbił klakson i gwałtownie otworzyłem oczy.

– Jack? To Whidbey?

Stella też nie spała. Siedziała wyprostowana i wychylała się do przodu, żeby lepiej widzieć.

Prom przybił do brzegu. Samochody z rzędu obok nas już zjechały z pokładu. Inny mężczyzna w pomarańczowej kamizelce machał do mnie niecierpliwie, pokazując mi, żebym opuścił prom.

Tamten klakson znowu zatrąbił. Tym razem dłużej.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce, wrzuciłem bieg i podążyłem za światłami samochodu przed nami, zjeżdżając ze statku na stały ląd. Zobaczyłem dużą tablicę z napisem:

## **TERMINAL PROMOWY CLINTON WITAMY NA WYSPIE WHIDBEY**

Po lewej miałem przysadzisty szary budynek z zielonym dachem i tablicą INFORMACJA TURYSTYCZNA. Podjechałem tam i zatrzymałem się na jednym z miejsc postojowych. Poza tym terminal składał się z dużego parkingu, na którym już ze trzydzieści kilka samochodów ustawiło się w kolejce na prom w stronę stałego lądu. W chwili gdy skończyły wyjeżdżać ostatnie samochody z naszego rzędu, zaczął się ruch w drugą stronę – sznur pojazdów wjechał na pokład i prom odbił z przystani. Dobrze przećwiczony taniec.

Żaden z pozostałych pojazdów nie został w terminalu. Szybko pokonały slalom wśród linii wymalowanych na parkingu i zniknęły, odjeżdżając drogą WA-525 w kierunku północnym. Po pięciu minutach od przyjazdu zostaliśmy sami.

– Co teraz?

– Wejźmy do środka – powiedziała Stella, łapiąc oba egzemplarze *Wielkich nadziei* i album rocznikowy Penn State.

Kiedy otworzyła drzwiczki i wysiadła, przestraszyłem się, że zemdleje. Zachwiała się i przytrzymała dachu samochodu, żeby się nie przewrócić.

Popędziłem na drugą stronę auta i przytrzymałem ją w pionie. Znowu cała się trzęsła.

– Może powinnaś poczekać w samochodzie.

– Nic mi nie jest – uspokoiła mnie.

Ale kłamała.

Schyliła się do auta i spojrzała na Deweya.

– Nie potrzebuje pan może do toalety?

– Tak – odparł Hobson tonem pozbawionym wyrazu.

Nie powiedział już nic więcej, wysiadł i poszedł do budyneczku.

Ruszyliśmy za nim ze Stellą, powoli. Próbowwała robić dobrą minę do złej gry, ale opierała się na mnie prawie całym ciężarem ciała. Oddychała z wyraźnym trudem.

W informacji nie było nikogo z obsługi. Stały tam dwa automaty, jeden z napojami, drugi z batonikami i innymi przekąskami. Po obu stronach w drzwiach tkwiły drzwi do łazienek, męskiej i damskiej. Na przeciwległej ścianie wisiały plakaty informacyjne i reklamowe oraz duża mapa wyspy, do tego stojaki z ulotkami różnych atrakcji turystycznych w okolicy.

Stella odłożyła książki na ławkę i razem zaczęliśmy studiować mapę.

– Masz jakiś pomysł?

Otworzyła oba egzemplarze *Wielkich nadziei* na mapkach pod okładką.

– Widzisz jakieś różnice? Oprócz różnicy w zapisie Whitby i Whidbey?

Nachyliłem się i znowu porównałem obie mapy – linie, kolory, nazwy pozostałych miast i inne punkty charakterystyczne. W końcu pokręciłem głową.

– Nie, nic.

– Ja też nie. Ale nie chce mi się wierzyć, że twój ojciec zadał sobie tyle trudu, żeby nas tu ściągnąć, i nie zostawił żadnej innej wskazówki, co mamy robić dalej. Coś tu musi być, tylko tego nie widzimy.

Wróciłem do mapy Whidbey. Wyspa była ogromna, ale większość terenu pozostawała niezabudowana. Znajdowało się tu trochę sporych gospodarstw, plaże, kilka niewielkich skupisk sklepów i lokali usługowych, rezydencje na wybrzeżu. Nic jednak nie rzucało mi się szczególnie w oczy.

Za plecami usłyszeliśmy odgłos spuszczonej wody. Hobson wyszedł z męskiej toalety, minął nas i wyszedł. Wsiadł do samochodu i znowu wbił wzrok gdzieś w przestrzeń.

– Jezu, jakie to jest dziwne.

Stella dała sobie spokój z mapą i zaczęła przeglądać broszurki dla turystów, przerzucając jedną za drugą.

– Plaże, parki, winiarnie i winnice, restauracje, galerie sztuki, muzea, wycieczki z przewodnikiem, latarnia morska...

Zaczynałem już tracić nadzieję, kiedy moją uwagę zwróciła jedna z ulotek. Na okładce widniała fotografia dużego domu na klifie nad Puget Sound. Zachwalano malownicze widoki, sympatyczną obsługę i przestronne pokoje. Zignorowałem jednak wszystkie te walory, bo mój wzrok przykuła nazwa tego przybytku.

– Stella?

Pokazałem jej broszurkę i otworzyła szeroko oczy.

Pensjonat Własnoręczny.

Własnoręczny.

– Wychowała mnie „własnoręcznie” – powiedziała Stella cicho. – Musiała nas obu wychować „własnoręcznie”. „Własnoręcznie” zmusiła Joego, żeby się z nią ożenił.

Oboje rozpoznaliśmy to określenie, które przewijało się przez powieść Dickensa. Wyrażenie na tyle charakterystyczne, że nawet ja zwróciłem na nie uwagę, kiedy wiele lat temu czytałem książkę po raz pierwszy. Ciotka Pipa używała go regularnie.

– Myślisz, że to o to chodzi?

Stella podeszła znowu do mapy i pokazała palcem trasę.

– Stills Creek Road sześć sześć zero zero. To na drugim końcu wyspy, jakieś trzynaście kilometrów stąd. Jack, to musi być to.

Złapałem ją za rękę i szybko zaprowadziłem z powrotem do samochodu.

## 2

Jedyny samolot powrotny do Pittsburgha, jaki Fogel udało się upolować w ostatniej chwili, wylatywał z Nevady o 19.23 i wiązał się z przesiadką na lotnisku O'Hare w Chicago, z przerwą od 23.30 do 1.30. Była śmiertelnie zmęczona. Próbowwała się zdrzemnąć podczas lotu, ale co chwila zrywała się gwałtownie, ku niezadowoleniu starszego mężczyzny z sąsiedniego miejsca. Raz to on sam ją obudził, bo podobno krzyczała przez sen. Fogel nie pamiętała, co jej się śniło ani żeby krzyczała, ale sądząc po podejrzliwych spojrzeniach współpasażerów, sąsiad nie kłamał, więc potem starała się już nie zasypiać.

Na O'Hare znalazła swoją bramkę, po czym zaczęła się snuć po terminalu dla zabicia czasu. Zatrzymała się na kawę przy jedynym otwartym barku w strefie gastronomicznej. Resztę czasu spędziła na niewygodnym plastikowym krzeselku, czytając pierwsze rozdziały *Worka kości*, nowej powieści Stephena Kinga. Książka całkiem jej się podobała, ale nie mogła się skupić. Kiedy w końcu opadły jej powieki, zobaczyła, jak leży w rowie przy drodze, z szeroko otwartymi, pozbawionymi wyrazu oczami i jakby spaloną skórą. Wciąż jednak mogła krzyczeć – spękane kąciki ust krwawiły od przepełnionego bólem wrzasku.

Tym razem usłyszała, że naprawdę krzyknęła. Odłożyła książkę, kupiła drugą kawę i wróciła pod bramkę.

Dwie godziny ciągnęły się w nieskończoność.

Poprzedniego wieczoru Stack zadzwonił do niej dziesięć minut przed odlotem samolotu.

Arden Roya, dwudziestosiedmiolatek znaleziony za kontenerem na śmieci w Upper Saint Clair w 1991 roku, również pracował dla Charter Pharmaceuticals. Stack próbował znaleźć powiązania innych ofiar – wpadli na jakiś trop. Siedziba Charter znajdowała się około czterystu pięćdziesięciu kilometrów od Pittsburgha, pod Filadelfią.

– To nie wszystko – dodał Stack. – Ktoś mnie chyba śledzi.

Opowiedział jej o białych furgonach.

Potem kilkakrotnie próbowała się do niego dodzwonić, ale ciągle było zajęte.



Wylądowała w Pittsburghu o 3.33, odebrała samochód z parkingu i drogą I-76 pojechała do Chadds Ford z prędkością godną uczestnika wyścigów NASCAR.

Przejechała przez miasteczko zaledwie w cztery minuty, bo Chadds Ford okazało się mniejsze nawet od Fallon w Nevadzie. Pod jedynym sygnalizatorem świetlnym w miasteczku sprawdziła nabazgrane pośpiesznie wskazówki dojazdu, po czym ruszyła drogą SR-41, a z niej skręciła w CR-27 na zachód. Nieliczne mijane przez nią zabudowania stały daleko od drogi, za rozległymi polami kukurydzy, zboża, soi i innych upraw.

Fogel przegapiła skręt w Turlington Road, i to dwa razy – najpierw minęła go z prędkością ponad stu dwudziestu na godzinę, za drugim razem jechała już znacznie wolniej, uważnie przyglądając się terenom na prawo od szosy, ale droga była nieoznakowana.

Zresztą w ogóle nie zasługiwała na miano drogi, stanowiła wąski pasek asfaltu, który niedaleko od dwupasmówki znikał wśród rozległych pól kukurydzy. Gdyby nie zauważyła, że ktoś tam skręca, przegapiłaby zjazd po raz trzeci.

Zanim zdążyła zawrócić i cofnąć się do Turlington Road, światła tego poprzedniego samochodu majaczyły już daleko na horyzoncie, a potem znikły za wzgórzem, kiedy w końcu wjechała toyotą na wąską dróżkę.

Choć w nawierzchni CR-27 było pełno dziur i łat, Turlington Road musiała zostać niedawno utwardzona i utrzymywano ją w dobrym stanie. Wyraźnie widziała granicę między pasami, po bokach biegły świeżo wymalowane białe linie. Pola po obu stronach były ogrodzone dwuipółmetrową siatką, co przypominało Fogel klaustrofobiczną drogę prowadzącą do więzienia stanowego przy Beaver Avenue w Pittsburghu. Wrażenie jeszcze się nasiliło, kiedy dotarła do bramy ze stróżówką.

Zamontowano tam szlaban, ale jego ramię było uniesione. Pojazd, którego śladem tu przyjechała, zatrzymał się na chwilę przy bramie, po czym wjechał na ogromny parking otaczający duży betonowy budynek. Zbliżając się do stróżówki, Fogel wygrzebała z torebki odznakę i legitymację policyjną, ale okazały się niepotrzebne. Nikogo tam nie było.

Przejeżdżając przez bramę, zauważyła, że nigdzie nie ma tablicy z nazwą Charter ani żadnej innej firmy, po czym objechała parking w poszukiwaniu wolnego miejsca. Zdziwiła się, że o tej porze jest tu tylu ludzi. Jeszcze dziwniejsze wydało jej się jednak, że nie licząc jej zielonej toyoty, wszystkie samochody na parkingu były białe.

### 3

Przejazd na drugą stronę wyspy zajął nam piętnaście minut i był to prawdopodobnie najdłuższy kwadrans w moim życiu. Stella zapamiętała drogę, więc mówiła mi, kiedy mam skręcać. Nie licząc jednej furgonetki firmy ogrodniczej, nie minęliśmy ani jednego samochodu. Wyspa sprawiała wrażenie innego świata, zupełnie odmiennego od tego, w którym mieszkałem przez ostatnie lata. A już Stills Creek Road zdawała się leżeć na końcu świata. W milczeniu skręciliśmy z Cultus Bay Road w Stills. Droga była wąska, ledwo mijały się na niej dwa samochody, nawet nie oddzielono pasów linią na środku. Po lewej stronie ciągnął się rząd skrzynek na listy i wjazdów na posesje, ale nie było widać żadnego domu. Podjazdy wiły się przez gęste gaje daglezji, olszy czerwonych, klonów wielkolistnych, wysokich cedrów i choin zachodnich. Dzikie tereny, niezniszczone ludzką ręką.

– Tam – powiedziała cicho Stella, wskazując na dużą czerwoną skrzynkę z numerem 6600 wypisanym starannie czarną farbą. Nic więcej, żadnych znaków reklamujących pensjonat. W ogóle nic nie wskazywało, żeby ktoś prowadził tam jakąkolwiek działalność.

Nad zwirowym podjazdem zwieszał się baldachim grubych, pochylonych konarów.

– Jedź, Jack. Nie mogę wytrzymać. – Znowu nachylała się do przodu.

Zorientowałem się, że mnie też zzerają nerwy. Dłonie miałem mokre od potu.

Skręciłem w wąską drogę i ruszyłem między drzewami.

## 4

Samochód, za którym Fogel wjechała na parking przed Charter, okazał się fordem pikapem, model F-250 – białym, jak wszystkie pozostałe. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn, którzy po chwili zniknęli w budynku. Obaj mieli na sobie długie białe trencze. Żaden nie zwrócił na nią uwagi, choć też właśnie wysiadała z samochodu. Poruszali się szybko, wyraźnie z jasno określonym celem.

Fogel wcisnęła guzik na pilociku, żeby zamknąć samochód – podwójne piknięcie wydawało się wyjątkowo głośne, jak wszystkie odgłosy o tak wczesnej porze – po czym ruszyła śladem mężczyzn z pikapa przez parking do grubych przeszklonych drzwi.

Kiedy automatyczne drzwi zamknęły się za jej plecami, poczuła powiew zimnego powietrza. Odgłos jej kroków na wypolerowanej posadzce z białego marmuru poniósł się głośnym echem.

Podniosła wzrok na majaczący wysoko sufit.

Sufit był biały.

Ściany były białe.

Na białych ścianach wisiały białe płótna w białych ramach i Fogel mogła się założyć, że gdyby przyjrzała się im z bliska, płótna okazałyby się nie puste, a pomalowane precyzyjnymi pociągnięciami pędzla. Z niewidocznych głośników dobiegała cicha muzyka fortepianowa. Rozpoznała arię *Der Hölle Rache* z *Czarodziejskiego fletu* Mozarta. Jeden z ulubionych utworów jej matki.

– Czym mogę służyć?

Głos dobiegł zza lady recepcji na końcu holu wejściowego, za poczekalnią wyposażoną w dwie obite białą skórą kanapy, cztery fotele od kompletu oraz kilka białych stolików na białym dywanie.

Ta cała biel powinna aż razić, ale światła przyciemniono na tyle, żeby uniknąć tego efektu.

Fogel podeszła do recepcji i wyjęła legitymację.

– Detektyw Fogel z policji w Pittsburghu. Chciałabym porozmawiać z kierownictwem.

Recepcjonistka, dwudziestokilkulatka o długich blond włosach i zielonych oczach, odpowiedziała uśmiechem. Miała na sobie białą bluzkę i biały żakiet,

a Fogel mogła się założyć, że za ladą kryją się spódnica i buty w tym samym kolorze.

– Czy była pani umówiona?

– Jestem z wydziału zabójstw. Nie byłam umówiona, ale muszę niezwłocznie z kimś porozmawiać.

Kobieta uniosła brwi.

– Zabójstw? Czy kogoś zamordowano?

– Nie mogę zdradzać żadnych szczegółów. Trwa śledztwo.

– Rozumiem. – Z uśmiechem sięgnęła po słuchawkę telefonu i wybrała numer szczupłymi palcami o pomalowanych na biało paznokciach. Powiedziała coś cicho, przez chwilę słuchała odpowiedzi i się rozłączyła.

– Proszę usiąść. Ktoś zaraz do pani przyjdzie. Proszę się poczęstować kawą i ciastkami. Polecam bakławę, jest przepyszna.

– Dziękuję.

Fogel przeszła do poczekalni i opadła na dużą białą kanapę.

Na centralnie umieszczonym stoliku stał serwis kawowy, pączki i rozmaite wypieki. Nie brakowało też smakowych śmietanek, cukru i słodzików. Nalała sobie filiżankę czarnej kawy, ale zorientowała się, że napój jest lodowaty. Ciastka (w tym zachwalana bakława) też sprawiały wrażenie, jakby leżały tam od dawna. Bajgle zaczynały pleśnieć na brzegach.

## 5

Są takie chwile w życiu, kiedy wydaje się nam, że wiemy, co nastąpi później. Przypadki przewidywalności, identyczności. Kiedy kolejny krok jest nam równie dobrze znany jak poprzedni, więc idziemy pewnie, świadomi, że nie czai się na nas nic strasznego. Kroczymy wtedy przed siebie, jakbyśmy przeczytali ostatnią stronę książki i mogli teraz wrócić do początku, absolutnie pewni, jak potoczy się historia, i cieszyć się przewidywalną podróżą.

Przez poprzednie osiemnaście lat życia opierałem się na przekonaniu, że moi rodzice nie żyją. Odwiedzałem ich groby. Rozmawiałem z nimi na cmentarzu. Modliłem się za nich. Zawsze należeli do przeszłości. Znałem ich twarze tylko ze starych fotografii i snów, a dźwięk ich głosów był nieuchwytny niczym woda w bystrym strumieniu. Pogodziłem się ze śmiercią rodziców na długo przedtem, zanim zrozumiałem, co to właściwie oznacza. Kiedy traci się rodziców w tak młodym wieku, to tak po prostu jest. Nie zna się innej sytuacji. Ciocia Jo zawsze mi powtarzała, żebym się cieszył, że byłem taki mały. Jej rodzice zmarli, kiedy była już dorosła, i każdej nocy prześladowały ją żywe wspomnienia o nich.

Nigdy nie opowiedziałem jej o swoim śnie, o tym, co mnie prześladowało.

Teraz już wiem, że to nie był sen, lecz chaotyczne wspomnienia dziecka.

Gdybym opowiedział jej o tym śnie, to czy wyznałaby mi, że mój ojciec żyje?

Czy wybuchłaby płaczem i powiedziała, że właśnie dlatego tak bardzo go nienawidzi? Bo moja matka zginęła, a on przeżył? A ona, ciotka, która wychowała mnie jak własne dziecko, przez wszystkie te lata uczestniczyła w mistyfikacji?

Nazwałaby go tchórzem? Wyrzucałaby mu, że uciekł? Stwierdziła, że równie dobrze mógłby nie żyć?

Jakże żałowałem, że nie mogłem z nią o tym wszystkim porozmawiać. Nienawidziłem jej za to, że ukrywała przede mną prawdę, a jednocześnie kochałem ją za to, że mnie chroniła, a oba te uczucia wydawały się jednym.

Żwir na podjeździe zachręścił pod oponami.

Stella ciągle trzymała ulotkę z informacji turystycznej i ścisła ją tak mocno, że cała się pocięła.

W końcu zobaczyliśmy po lewej duży stary dom, wystający zza wysokich klonów i olch, których gałęzie kołysały się leniwie na porannym wietrze. Na

stojącej na niskim słupku tablicy wypisano ręcznie „Parking dla gości” i wymalowano strzałkę w lewo. Po prawej mieliśmy drewnię – pod ścianami leżały takie zapasy drewna opałowego, że wystarczyłoby go co najmniej na trzy srogie zimy. Za drewnię znajdował się ogród, otoczony wysokim płotem dla ochrony przed jeleniami i innymi dzikimi zwierzętami. Były też drzewa owocowe, głównie jabłonie i grusze.

Żwirowany podjazd prowadził do wybetonowanego parkingu po lewej, a potem biegł dalej w głąb posesji, ku kolejnemu, nowszemu domowi, przycupniętemu na łagodnym zboczu na krawędzi klifu, z widokiem na wody Puget Sound i szlaki żeglugowe, wiele metrów w dole.

– Niesamowity widok – powiedziała Stella.

Wzdłuż zewnętrznej krawędzi terenu biegł biały płot. Cała posesja musiała mieć z półtora, może dwa hektary.

– Jakim cudem miałyby go na to wszystko stać? To niemożliwe, źle trafiliśmy.

– Zaparkuj tam. – Stella wskazała na miejsca dla gości.

Zatrzymałem się obok brązowego chevroleta pikapa z kosiarką na pace i zgasilem silnik.

Wysiadłem z auta i byłem już przy drzwiczkach Stelli, żeby pomóc jej wysiąść, kiedy zauważyłem, że obserwuje nas jakiś mężczyzna. Stał w kącie drewni, w jednej ręce trzymał czarny worek na śmieci, a drugą opierał na kolbie broni w kaburze na prawym biodrze.

Był mniej więcej mojego wzrostu, miał brązowe włosy poprzetykane siwymi pasmami, widocznymi także w zaroście na brodzie. Dżinsy, niebieska koszula z podwiniętymi rękawami, wysokie czarne buty. Jego twarz miała w sobie coś twardego, jakby był za stary jak na swoje lata. Wzrok miał jednak bystry, przenikliwy, wodził nim ode mnie do Stelli i z powrotem zza okularów w czarnych oprawkach. Dłonie miał brudne.

Nie ruszał się.

Przynajmniej na początku.

W końcu ruszył w naszą stronę, wyraźnie stremowany, ściskając kurczowo czarny worek. Kiedy podszedł bliżej, zdjął prawą dłoń z kolby broni i zasłonił kaburę koszulą. Przyjrzał się nam uważnie. Jego wzrok zatrzymał się na chwilę na rękawiczkach Stelli. Zniżył się trochę, żeby dokładniej obejrzeć sobie Deweya Hobsona, który nadal siedział z tyłu. Potem znów spojrzał na nas z twarzą pozbawioną wyrazu.

– Tato? – wydusiłem z siebie to jedno słowo, tak cicho, że nie miałem pewności, czy usłyszał je ktokolwiek poza mną.

Nie wiem, czego właściwie się spodziewałem. Że upuści na ziemię ten worek i rzuci mi się w ramiona? Może że się popłacze. Że zacznie gorączkowo

tłumaczyć się z tych wszystkich minionych lat, próbując urywanymi słowami naprawić dwie dekady sekretów i kłamstw?

„Mój Boże, synu. Jesteś już mężczyzną”.

„Tęskniłem za tobą, tato. W każdej sekundzie”.

Nic z tych rzeczy się jednak nie wydarzyło.

– Powinniśmy wejść do środka – powiedział cicho, obrócił się i energicznym krokiem pomaszerował w stronę domu na klifie, zrzucając sobie worek na ramię.

Wymieniliśmy ze Stellą zdziwione spojrzenia, po czym ruszyliśmy za nim.

Drzwi frontowe zostawił uchylone.

Parter zaprojektowano na planie otwartym. Za progiem znajdował się przedsionek i szeroki korytarz ze schodami po lewej i wysokimi szafami po prawej. Korytarz otwierał się na jadalnię po lewej i profesjonalną kuchnię po prawej. Za kuchnią znajdował się położony nieco niżej salon z wielkim kamiennym kominkiem, dwiema skórzanymi kanapami, fotelem i podnóżkiem od kompletu. Tylna ściana składała się w całości z okien wychodzących na duży taras i intensywnie błękitne wody Puget Sound. Na powierzchni unosiło się kilka niedużych łódek. Dalej widać było statek wycieczkowy płynący na północ, w stronę Alaski.

Musiałem podtrzymywać Stellę. Była potwornie osłabiona. Zrzuciła mi rękę na ramiona i opierała się na mnie, oddychając ciężko i trzęsąc się od kolejnych fal dreszczy. Przez ostatnią dobę na zmianę słabła i odzyskiwała siły bez żadnego ostrzeżenia. W terminalu promowym, niespełna godzinę temu, była ożywiona, odzyskała energię. Sprawiała wrażenie silnej. Jeszcze nawet po drodze dostrzegałem w niej okruczności dziewczyny, którą znałem przez te wszystkie lata. Dotarło do mnie, że musiała podejmować świadomy wysiłek, żeby ta dziewczyna się pojawiła, żeby wynurzyła się z coraz gęstszej mgły. Jednak każdy taki wysiłek miał swoją cenę, odbijał się na Stelli i wysysał z niej siły, tak że za każdym kolejnym razem wynurzała się na krócej.

Stella gasła.

Było inaczej niż dwa dni temu w samochodzie, nad jeziorem.

Gorzej.

Żadne z nas nie chciało tego przyznać, ale nie dało się temu zaprzeczyć.

„Niedługo umrę, mój najdroższy Pipie. Wiesz o tym, prawda?”

Przez grubą warstwę ubrania czułem jej rozpalone ciało i wiedziałem, że znowu trawi ją gorączka. Wprowadziłem ją do domu i ostrożnie posadziłem na skórzanej kanapie, oparła głowę na miękkiej poduszce.

Uśmiechnęła się do mnie, bezgłośnie wypowiadając: „Mój Pip”.

Hobson poszedł za mną do domu, tym razem nie trzeba było go namawiać, żeby wysiadł z samochodu. Wszedł do korytarza, zamknął za sobą drzwi i stał

w bezruchu i milczeniu.

Zaciął się, jak powiedziała Stella.

Mój ojciec stał przy stole w jadalni. Rozerwał czarny worek na śmieci, wyrzucił zawartość i teraz przekopywał się przez pliki papierów, teczki, kasety wideo i notatniki.

Podszedłem do niego.

Nawet na mnie nie spojrzął.

– Tato? – Pierwsze słowo, jakie powiedziałem do niego od prawie dwudziestu lat, teraz już drugi raz. Drugi raz je zignorował, nie przestając grzebać w stercie materiałów.

Na większości widniało słowo „Charter”. Czy to w charakterze logo na licznych dokumentach, czy też wypisane ręcznie w nagłówkach innych albo jako stempel na teczkach – w tym wypadku zwykle w towarzystwie zastrzeżenia „Tajne”, „Poufne” albo „Tylko do użytku wewnętrznego”. Był tam też plik fotografii. Sięgnąłem po niego, zdjęłem gumkę recepturkę i przejrzałem zdjęcia. W sumie kilkanaście. Rozpoznałem twarze z albumu rocznikowego – Perla Beyham, Cammie Brotherton, Jaquelyn Breece, Keith Pickford, Jeffery Dalton, Dewey Hobson, Garret Dotts, Penelope Maudlin, Richard Nettleton, Emma Tackett. Brakowało fotografii moich rodziców, ale nie miałem wątpliwości, że kiedyś się tam znajdowały. Elfrieda Leech miała tu opasłą teczkę – do okładki przypięto stare zdjęcie mojej dawnej sąsiadki. W środku znalazłem kilkadziesiąt pasków z wypłaty, opiewających na spore kwoty czeków wystawionych przez Charter. Najwcześniejszy nosił datę 4 lutego 1974 roku, ostatni pochodził z sierpnia 1980. W teczce zgromadzono też pisma i odręczne notatki, wszystkie dotyczyły tych samych osób, studentów i studentek Penn State.

Znalazłem teczkę ze swoim nazwiskiem i zdjęciem. I drugą, przypisaną Stelli. Fotografie były stare, mieliśmy na nich nie więcej niż trzy, cztery lata. W mojej teczce znajdowały się jeszcze dziesiątki innych zdjęć i co najmniej ze sto luźnych kartek, zapisanych na maszynie albo odręcznie. Jeden z najstarszych dokumentów był datowany zaledwie cztery miesiące po moich narodzinach. Odręczna notatka o treści:

Siedem kilogramów i trzysta siedemdziesiąt gramów. Samodzielnie przekręca się z brzucha na plecy. Ząbkuje. Świadomy otoczenia. Brak widocznych oznak. Żadnych nietypowych zachowań.



Pokazałem to ojcu.

– Co to ma być, do cholery?

Spojrzał na notatkę. Czytał ją jeszcze, kiedy z podjazdu dobiegł głośny ryk silnika. Przez duże okno przy drzwiach frontowych zobaczyłem, że przed domem gwałtownie hamuje czarny pontiac GTO.

Mój ojciec upuścił kartkę, dobył broni i ruszył do wyjścia.

Jeffery Dalton, mężczyzna, którego znałem wyłącznie z fotografii, otworzył już drzwiczki od strony kierowcy i wysiadał z samochodu, dobywając własnej broni, zanim mój ojciec zdążył chociażby otworzyć drzwi.

Ruszył na nas.

Nie biegiem, ale szybkim, zdecydowanym krokiem, podnosząc przy tym broń.

Nie wiem, kto wypalił pierwszy.

Pocisk uderzył we framugę drzwi o centymetry od mojej głowy, drzazgi poleciały na wszystkie strony. Padłem na podłogę.

Usłyszałem huk broni mojego ojca – trzy, może cztery szybkie strzały. Przeplatały się z nimi salwy z zewnątrz, z pistoletu mężczyzny kroczącego w naszą stronę. Cztery wystrzały. Sześć. Jeszcze więcej. Ciałem ojca szarpnęło, tył koszuli eksplodował w dwóch miejscach, przy lewym ramieniu i na wysokości brzucha. Kule przeleciały na wylot i utkwily w ścianie za schodami. Zatoczył się do tyłu i upadł na wyłożoną kafelkami podłogę przedsiionka, a wokół niego zaczęła tworzyć się kałuża krwi.

Krzyczałem, nie wiem nawet, kiedy zacząłem, ale teraz wręcz wrzeszczałem. Podczołgałem się do niego na czworakach i przycisnąłem ręce do ran. Krew sączyła mi się przez palce, przesiąkała koszulę. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, spojrzał na mnie z przerażeniem w oczach. Zakasłał, prychnając czerwoną śliną.

Dalton wkroczył do korytarza i kopnięciem wytrącił broń z ręki mojego ojca.

– Zastrzelełeś mojego ojca, bydlaku pierdolony!

Rozejrzał się po domu, wodząc pistoletem w prawo i w lewo.

– To nie jest twój ojciec.

Mężczyzna leżący na podłodze znowu zakasłał, słabiej niż poprzednio.

Miałem mętlik w głowie, próbowałem zrozumieć, co powiedział, co się tu właśnie wydarzyło.

Stella.

W tej chwili nie obchodziło mnie, kim był ten człowiek. Umierał, byłem tego pewny, i nie można było temu w żaden sposób zapobiec. Nie wiedziałem, ile czasu mi zostało.

Zerwałem się, złapałem konającego mężczyznę pod pachami i zacząłem ciągnąć go do salonu.

– Pomóż mi!

Dalton odwrócił się, nadal z uniesioną bronią, i zlustrował teren przed domem.

– Pomóż mi, skurwielu!

Dalton schował pistolet do kabury i złapał mężczyznę za nogi. Razem przenieśliśmy go do salonu, pod kanapę, na której spała Stella. Położyliśmy go na podłodze i przykucnęliśmy obok.

Nie kasłał już, ale nadal oddychał.

– Stella! Obudź się!

Krzyczałem, ale nie odpowiadała. Oddychała, ale spała jak zabita.

Przez brzeg koszulki, żeby ochronić palce, zdjąłem rękawiczkę z jej prawej dłoni i rzuciłem ją na bok. Przysunąłem jej rękę do szyi mężczyzny.

Stella się obudziła, jeszcze zasnana zorientowała się, co robię, i próbowała mi się wyrwać.

– On umiera, Stello! Umrze tak czy inaczej. Nie mamy wiele czasu, musisz...

Jej ręka wystrzeliła do przodu i zacisnęła się na szyi mężczyzny, wpiła się w skórę.

Pod jej palcami jego ciało pociemniało, czerń rozlewała się od miejsca dotyku na twarz i klatkę piersiową. Potem zobaczyłem ją także na odsłoniętych przedramionach.

– Cofnij się, Jack – powiedziała cicho. – Nie zbliżaj się, proszę.

Nie mogłem jednak się ruszyć. Byłem jak sparaliżowany.

Mężczyzna gwałtownie nabrał haust powietrza przez czarne, skurczone wargi, odetchnął drżąco, po czym znieruchomiał.

Stella trzymała go jeszcze co najmniej minutę. Wyciskała z niego resztki życia, aż w końcu puściła. Jej ręka zwiesiła się bezwładnie z boku kanapy.

– Nie działa – wyszeptła, odpływając znowu w niespokojny sen. – Za mało.

Upadłem na duchu.

## 6

Fogel niecierpliwie zerknęła na zegarek.

Za dwie minuty dziewiąta. Siedziała tu już prawie godzinę. Jęknęła, kiedy po raz nasty zaczęła lecieć ta sama zapętlona aria z *Czarodziejskiego fletu* Mozarta.

Ziewnęła, wstała, rozprostowała nogi i podeszła z powrotem do recepcji.

Blondynka z zielonymi oczami spojrzała na nią z uśmiechem.

– Czym mogę służyć?

– Czekam już od godziny.

Kobieta przekrzywiła głowę.

– Na kogo pani czeka? Była pani umówiona?

Fogel zmarszczyła brwi.

– Powiedziała pani, że ktoś do mnie przyjdzie. To było godzinę temu.

– Tak powiedziałam?

Fogel znowu wyjęła odznakę.

– Jestem z wydziału zabójstw. Powiedziała pani, że ktoś ze mną porozmawia.

Kobieta rozdziawiła usta.

– Zabójstw? Czy kogoś zamordowano?

Fogel poczuła, że krew uderza jej do głowy, ale próbowała zachować spokój.

– Proszę natychmiast zadzwonić do swojego przełożonego.

Kobieta z uśmiechem sięgnęła po słuchawkę.

– Była pani umówiona?

Fogel nachyliła się bliżej.

– Dzwon do swojego szefa, ale już.

Recepcjonistka westchnęła i wybrała numer.

Fogel usłyszała, że ktoś odebrał telefon.

– Mam tu w recepcji mocno nieuprzejmą panią, która podaje się za policjantkę i domaga rozmowy z moim przełożonym. Czy mam wezwać ochronę i kazać ją wyprowadzić?

Fogel miała ochotę wyrwać głupiej blondynce słuchawkę i zacząć ją okładać po głowie.

Recepcjonistka zerknęła na drzwi na tyłach holu wejściowego. Po prawej umieszczono jakąś klawiaturę, pewnie do wpisania kodu bezpieczeństwa.

– Na pewno? Naprawdę jest bardzo nieuprzejma. I do tego fatalnie ubrana.

Fogel się zachnęła i odruchowo obrzuciła wzrokiem swoją brązową skórzaną kurtkę, szary sweter i dżinsy.

Recepcjonistka odłożyła słuchawkę.

– Ktoś zaraz do pani przyjdzie. Proszę usiąść. Proszę się poczęstować kawą i ciastkami. Polecam bakławę, jest przepyszna. – Odsłoniła w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

– Masz minutę, żeby kogoś tu sprowadzić, bo jak nie, to wywalę dziurę w tamtych drzwiach i sama się wpuszczę.

Kobieta spojrzała na swoje paznokcie, po czym podniosła głowę i uśmiechnęła się do Fogel.

– Czym mogę służyć?

## 7

– Co to znaczy „za mało”? Co jej się dzieje?

Dłonią wciąż owiniętą w brzeg koszulki ostrożnie położyłem ramię Stelli na piersi. Czułem, że poniosłem całkowitą porażkę.

– Jesteś Jeffery Dalton. – Wziąłem długi, głęboki wdech. Nie mogłem na niego patrzeć.

– Preacher. Nikt nie mówi na mnie Dalton. – Patrzył na leżącego między nami trupa.

– Skoro to nie jest mój ojciec, to kto?

Wtedy usłyszałem krzyk jakiejś kobiety.

Głośno.

Na zewnątrz.

– Szlag, to Cammie – rzucił Preacher, zrywając się na równe nogi.

– Cammie Brotherton tu jest?

– Zgarnąłem ją i jej córkę w Kalifornii – odkrzyknął, pędząc w stronę drzwi, znów z bronią w ręku.

Rozejrzałem się szybko dookoła i ruszyłem za nim – Deweya Hobsona nie było w domu.

– Dewey, nie! – krzyknąłem, wypadając przez drzwi frontowe.

Nie słyszał mnie. Walił pięścią w okno pontiaca od strony pasażera, roztrzaskując szybę w drobny mak. Złapał siedzącą tam kobietę za kołnierz dzinsowej kurtki i zaczął wyciągać z samochodu. Krew płynęła mu z poharatanych rąk.

Preacher dopadł go pierwszy.

Hobson wyciągnął przez okno kobietę – Cammie Brotherton, jak się domyślałem – już do połowy, kiedy Preacher natarł na niego z siłą rozpędzonej ciężarówki, tak że obaj padli na ziemię. Hobson walnął głową o beton. Powinien stracić przytomność, ale uderzenie tylko na chwilę go zdezorientowało – z całej siły przycisnął dłonie do uszu Preachera, unieruchamiając mu głowę, i wycelował

kolanem w jego podbrzusze. Ustawił się jednak pod złym kątem i nie trafił, zahaczając tylko o udo Preachera.

Hobson się wywinął, jakimś sposobem zdołał postawić obie stopy na ziemi i podciągnął się w górę. Preacher miał mu właśnie wymierzyć cios, ale nagły ruch wytrącił go z równowagi. Hobson wykorzystał impet, żeby się przetoczyć, biorąc ze sobą Preachera i jakimś cudem lądując na górze. Już po chwili zaciskał ręce na szyi Preachera, próbując wydusić z niego życie.

Złapałem Hobsona w pasie i próbowałem odciągnąć, ale nie chciał puścić. Ręce miał jak z ołowiu.

Tymczasem Cammie wygramoliła się z samochodu ze strzelbą powtarzalną. Wprowadziła nabój do komory i wycelowała Hobsonowi w głowę.

Na dźwięk ładowania broni Hobson obrócił się gwałtownie. Kiedy zobaczył Cammie ze strzelbą, puścił Preachera, wyszarpnął mi się i rzucił na nią. Gdybym nie złapał go za nogę, na pewno by ją dopadł, ale tak tylko stracił równowagę i runął na beton.

– Co ja mam zrobić, Preacher? – Cammie cofnęła się o dwa kroki, znów celując lufą w głowę Hobsona.

– Strzelaj! – Preacher zamierzał to wykrzyknąć, ale tylko zachrypiął szeptem, próbując złapać powietrze.

Pociągnąłem Hobsona, złapałem za drugą nogę.

– On nie rozumie, co robi! David go zmusił!

Nie miałem pojęcia, czy Cammie zna Davida Pickforda, ale na pewno znała Deweya Hobsona i sądzę, że tylko to ją powstrzymało przed pociągnięciem za spust. Obróciła strzelbę i wyrznęła go kolbą w bok głowy – dwa razy, szybko i mocno. Padł nieprzytomny na ziemię.

Preacher usiadł, ledwo dysząc. Pomacał się po obolałej szyi.

– Bierzcie go do środka. Trzeba go związać.

Z tylnego siedzenia pontiaca wyrzała mała dziewczynka – blondyneczka o niebieskich oczach.

## 8

Fogel pokręciła głową i stanowczym krokiem przeszła przez rozległe białe pomieszczenie do drzwi w tylnej ścianie. Okazały się zamknięte. Załomotała w nie pięścią.

– Proszę natychmiast otworzyć te drzwi!

Blondynka w recepcji znowu rozmawiała przez telefon. Chyba wreszcie coś ją ruszyło, bo podniosła się z krzesła, zastygła w pozycji półstojącej, ze słuchawką przyciśniętą do ucha.

Fogel zaczęła wklepywać losowe cyfry na panelu bezpieczeństwa.

Zapaliła się czerwona lampka i panel zabuczał.

Waliła w drzwi, dopóki lampka nie zgasła, po czym wystukała kolejne cyfry.

Kiedy panel zabuczał po raz czwarty, zaklęła pod nosem i wróciła do recepcji.

Kobieta spojrzała na nią z uśmiechem i spytała:

– Czym mogę służyć?

– Nie wiem, co ty tu odpierdalasz, ale utrudniasz śledztwo w sprawie zabójstwa. Jeszcze trochę i aresztuję cię za utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości.

Recepcjonistka przechyliła głowę na bok i zmarszczyła czoło.

– Czy ktoś zginął?

Fogel miała już tego dość. Przeszła za ladę i wyjęła z tylnej kieszeni kajdanki.

– Proszę wstać i się obrócić. Jest pani aresztowana.

Nagle otworzyły się drzwi na drugim końcu białej sali i w poczekalni pojawił się mężczyzna po pięćdziesiątce w śnieżnobiałym trzyczęściowym garniturze.

– Pani detektyw? Proszę za mną.

## 9

W garażu znalazłem sznur.

Znalazłem tam również białego chevroleta suburana.

Kiedy powiedziałem Preacherowi o SUV-ie, spojrzał na trupa leżącego na podłodze obok śpiącej Stelli. Cammie podążyła za jego wzrokiem, cały czas trzymając Hobsona na muszce.

– To ona?

– Zgadza się. A ten jej chłopak to Jack Thatch.

– Dzieciak Eddiego i Katy?

– No.

– Ja cię sunę.

Zawiązałem ostatni węzeł na kostkach Hobsona i wstałem. Czułem narastającą frustrację.

– Gdzie jest mój ojciec, do jasnej cholery?

Dziewczynka z samochodu poszła z nami do domu, ale jak do tej pory nie odezwała się ani słowem. Chowiała się za mamą, oplatała rękami jej nogę. Skuliła się na moje słowa. Miałem to gdzieś.

– Jeśli wiecie, o co tu chodzi, macie mi powiedzieć.

Preacher podniósł ręce w bezbronnym geście.

– Co się stało, kiedy tu przyjechaliście?

Powiedziałem im.

Przez kolejne pół godziny streściłem im wszystko, co się wydarzyło od chwili, kiedy znalazłem Stellę w klubie w Fallon. Opowiedziałem im nawet o Signorellim i o tym człowieku, którego zabiłem w motelu. Niczego nie pominąłem. Było mi już zupełnie wszystko jedno.

Dalton powiedział, że rozmawiał z moim ojcem niespełna trzy godziny temu.

– Czyli on tu jest?

– Był – uściśliła Cammie.

„Zabił go ten mężczyzna na podłodze”.

„Po to tu przyjechał”.

– Musimy przeszukać całą posesję. Może leży gdzieś ranny, umierający – oznajmiłem.



Preacher i Cammie wymienili spojrzenia, a ja od razu zrozumiałem, co sobie myślą. Tamtym ludziom nie zależało na tym, żeby zranić mojego ojca. Chcieli go zamordować.

Pokręciłem głową i ruszyłem do drzwi.

– Ja idę poszukać.

– Wszyscy poszukamy – sprostował Preacher. – Będzie szybciej. Cammie, ty sprawdź ten dom. Ja zobaczę w domku dla gości. Jack, zajmij się zabudowaniami gospodarczymi.

Znalazłem ojca związanego na tyłach drewnutni.

Żywego.

Jeszcze.

## 10

Fogel poszła za mężczyzną w białym garniturze. Drzwi prowadziły do długiego korytarza – białe ściany, biały sufit, biała marmurowa posadzka. Wszystko takie białe, że można było oślepnąć. Minęli troje drzwi (wszystkie białe i zamknięte), po czym mężczyzna wprowadził ją do jedynego otwartego pomieszczenia po lewej stronie.

– Proszę usiąść. Napije się pani kawy? A może mogę zaproponować coś do jedzenia? – spytał mężczyzna, zamykając drzwi.

Gabinet również był biały.

Sufit. Ściany. Zero okien.

Jedyną plamę koloru stanowiła oprawiona w ramkę fotografia na biurku – młody mężczyzna w niebieskiej todze absolwenta, chwalcący się dyplomem.

Mężczyzna w bieli uśmiechnął się, kiedy zauważył, że Fogel patrzy na zdjęcie.

– To mój syn, William. W zeszłym miesiącu ukończył Penn State i jestem bardzo dumny, że w przyszłym tygodniu dołączy do nas w rodzinie Charter. Najlepszy student na roku. Ambitna z niego bestia.

Wskazał na jedno z dwóch białych krzeseł przed białym biurkiem.

– Proszę usiąść.

Przeszedł na drugą stronę biurka i opadł na miękką skórzaną fotel.

– Nazywam się Robert Trudeau. Czym mogę służyć?

Coś było nie tak z jego oczami. Niby utrzymywał kontakt wzrokowy, ale Fogel zdawało się, że patrzy nie na nią, a jakby przez nią. Jakby wpatrywał się w jakiś odległy przedmiot za jej plecami.

Fogel obejrzała się za siebie. Pod ścianą stał biały kredens, nad nim wisiał jeden z tych białych obrazów i nic więcej. Odwróciła się do biurka.

– Czy może mi pan powiedzieć, czym się tu zajmujecie?

– Przejdźmy na ty.

– Dobrze, Robercie.

– Słucham.

– Czym się tu zajmujecie?

– Badaniami farmaceutycznymi.

– Mógłbyś uściślić?

– Nie.

– Dlaczego?

Machnął nonszalancko ręką.

– Między innymi współpracujemy z rządem. Niestety, nie masz odpowiednich uprawnień, żebym mógł omawiać szczegóły tych kontraktów.

– Skąd wiesz, że nie mam?

Trudeau się uśmiechnął.

– Wiem.

Na biurku stał biały laptop. Trudeau zerknął na jego ekran, wcisnął kilka klawiszy i znów skupił się na rozmówcy. Uśmiech na jego twarzy sprawiał wrażenie sztucznego, jakby ktoś go namalował.

– Pani Toomey wspomniała, że prowadzisz śledztwo w sprawie zabójstwa. Możesz powiedzieć coś więcej?

– Właściwie to zabójstw.

Mężczyzna pochylił się do przodu.

– Naprawdę? Kto zginął?

– Niestety, nie masz odpowiednich uprawnień, żebym mogła ci to powiedzieć – odparła Fogel.

– Szkoda. Przepadam za zagadkami kryminalnymi.

Gdzieś za biurkiem rozległ się stłumiony brzęczyk. Uśmiech na twarzy Trudeau zbladł, na chwilę zastąpił go wyraz zdziwienia. Wysunął górną lewą szufladę i wyjął z niej telefon komórkowy, taki jak ten, który sama dostała od Stacka.

– Bardzo przepraszam, muszę odebrać.

Fogel wyężyła słuch, próbując dosłyszeć rozmówcę, ale nie mogła rozróżnić słów.

Trudeau kilkakrotnie pokiwał głową, powiedział: „To świetna wiadomość”, po czym się rozłączył. Odłożył nokie i sięgnął po słuchawkę telefonu stacjonarnego.

Podniósł wyprostowany palec.

– Przepraszam, nie zajmie mi to długo.

Trudeau wybrał numer. Czekając na połączenie, wziął do ręki biały długopis i zaczął się nim bawić, wciąż z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Kiedy ktoś na drugim końcu linii odebrał, Trudeau nie przedstawił się ani nie przywitał, tylko od razu powiedział:

– Mamy potwierdzenie. Chłopak i Nettletonówna są na Whidbey, reszta dorosłych też.

Trudeau zaczął się szybciej bawić długopisem, przekładać go sobie między palcami.

– Oczywiście – powiedział. – Może jak skończę to spotkanie.

Fogel zaczęła się zastanawiać, jaki tusz jest w tym długopisie. Każdy kolor wydawał się tu bluźnierstwem. Nie potrafiła zidentyfikować po głosie nawet płci rozmówcy Trudeau.

– Detektyw. I to z wydziału zabójstw – powiedział Trudeau, a długopis między jego palcami jeszcze przyspieszył. – Oczywiście, w pełni rozumiem. Jesteś naprawdę pięknym człowiekiem.

Trudeau odłożył słuchawkę, wsadził sobie czubek długopisu do ucha, po czym uderzył w jego końcówkę z taką siłą, że długopis przeleciał przez przewód słuchowy i ucho wewnętrzne, minął nerw przedsionkowy i wbił się w mózg. Opadł bezwładnie na fotelu, wciąż z tym samym uśmiechem na twarzy.

# 11

Mój ojciec został brutalnie pobity. Oczy miał zapuchnięte i coraz mocniej siniejące, lewego w ogóle nie mógł otworzyć. Do tego paskudne rozcięcie na czole. Głowa opadała mu na bok, chwiała się bezwładnie na szyi. Ręce i nogi miał powiązane pomarańczowymi kablami od przedłużaczy przemysłowych.

Zawołałem Prechera.

Wyciągnąłem ojcu z ust knebel, brudną szmatę cuchnącą olejem.

Był prawie nieprzytomny, z początku w ogóle nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności. Kiedy mnie w końcu zauważył, uznał mnie chyba za halucynację, bo tylko zakasłał, zamknął drugie oko i zaczął odpływać.

Po chwili jednak wytrzeszczył na mnie sprawne oko.

– Jack?

– Nic ci nie będzie.

Wytknąłem głowę z drewnutni.

– Preacher! Cammie! Tutaj!

Wtedy właśnie zaczął dzwonić telefon w kącie składziku.

## 12

Detektyw Joy Fogel sporo się naoglądała przez lata służby w policji, ale jeszcze nigdy nikt nie odebrał sobie życia na jej oczach.

Sama nie wiedziała, kiedy złapała za krawędź krzesła i ścisnęła metalowy stelaż palcami jak imadłem, z całej siły bezwiednie napinając wszystkie mięśnie. Chciała krzyknąć, ale jedynym dźwiękiem, jaki wydobył się z jej ust, było ciche westchnienie.

Robert Trudeau wbijał w nią spojrzenie niewidzących oczu.

Fogel tkwiła w bezruchu.

Czas płynął. Gdyby ktoś ją spytał, nie potrafiłaby powiedzieć, czy minęło dziesięć sekund, czy dziesięć minut.

Fogel nadal ani drgnęła.

Poruszyła się w końcu tylko dlatego, że przypomniała sobie ostatnie słowa Trudeau, na których dźwięk serce mocniej забиło jej w piersi.

„Mamy potwierdzenie. Chłopak i Nettletonówna są na Whidbey, reszta dorosłych też”.

Fogel wstała i przeszła na drugą stronę biurka.

Nokia leżała obok nieruchomej dłoni Trudeau.

Fogel sięgnęła po komórkę, znalazła ostatnie połączenie przychodzące i oddzwoniła.

Ktoś odebrał po trzecim sygnale.

– Halo?

– Z kim rozmawiam? – spytała Fogel.

– A ja?

– Detektyw Fogel, wydział zabójstw policji w Pittsburghu. Proszę się przedstawić.

Męski głos. Znajomy męski głos...

– Fogel? Skąd... skąd masz ten numer?

– Kto mówi?

Ale już wiedziała.

Rozpoznała ten głos.

– Jack?

– Nie rozumiem.  
– Ja... ja też nie rozumiem.  
– Gdzie jesteś? Jak mnie znalazłaś?  
– W Charter Pharmaceuticals. Wybrałam ostatni numer, z którego dzwoniło na ten telefon, i połączyło mnie z tobą. Kurwa, on nie żyje.  
– Zaraz, powoli. Kto nie żyje?  
– Mężczyzna w białym garniturze.  
Jack przez chwilę milczał.  
– Wszystko w porządku? Mam wrażenie, że jesteś w szoku.  
– Zabił się.  
– Kto?  
– Nie... nie wiem, gdzie jesteś, Jack. Ale musisz stamtąd uciekać. Powiedział, że po was jadą. Po ciebie, Nettletonównę i dorosłych. Jezu Chryste, on się zabił. Ktoś stamtąd, gdzie teraz jesteś, zadzwonił tutaj, do tego całego Charter. Powiedział, że po was jadą. Gdzie... gdzie jest...

Fogel nie należała do osób, które łatwo się rozklejają. Nie pamiętała, kiedy ostatnio uroniła choć łzę, ale teraz puściły wszystkie tamy. Oczy zaszyły jej łzami, z gardła wydobył się szloch. Emocje skumulowane podczas ostatnich wydarzeń wybuchnęły w niej z siłą dynamitu.

Nokia zaćwierkała.

Ostrzeżenie o słabej baterii.

Połączenie się zerwało.

## 13

Preacher wszedł do drewnutni w chwili, kiedy odłożyłem słuchawkę. Zrobił się czerwony na twarzy.

– Do kogo dzwoniłeś?

– Ja do nikogo nie dzwoniłem, a ty?

Przeszedł przez szopę i zdarł telefon ze ściany.

– Z kim rozmawiałeś?

Pokręciłem głową i uklęknąłem przy ojcu.

– Nie ma teraz na to czasu. Oni już tu jadą. Pomóż mi go rozwiązać.

Widziałem w jego oczach, że chciał się ze mną kłócić, ale się powstrzymał. Zaczął rozwiązywać węzły. Z kabury pod pachą wystawał mu pistolet. Gdyby postanowił go użyć, nie miałbym jak się obronić.

Delikatnie ująłem twarz ojca w dłonie i obróciłem jego głowę ku sobie.

– Możesz wstać?

Pokiwał słabo głową, wracała mu przytomność. Pomogliśmy mu się podnieść.

Odchrząknął i splunął krwią w kąt.

Zarzuciłem sobie jego ramię na barki, żeby utrzymał się na nogach.

– Chodź, zaprowadzimy cię do domu.

Cammie właśnie przetrząsała szafki w kuchni. Powysuwała już też z połowę szuflad. Jej córka (Darby, jak się dowiedziałem) siedziała na taborecie przy wyspie kuchennej i patrzyła na matkę.

Kiedy weszliśmy do domu, Cammie uniosła wzrok znad szafki pod zlewem.

– Ja pierdołę, on żyje?

Podbiegła do nas.

– Boże, Eddie. Co oni ci zrobili? Posadźcie go. Znalazłam apteczkę.

Zaprowadziliśmy ojca do salonu i posadziliśmy na skórzanym fotelu.

Nieboszczyk zniknął.

Stella również.

– Gdzie Stella?

Cammie przyklęknęła przy fotelu, otworzyła plastikowe opakowanie, wyjęła waciki i płyn odkażający i zajęła się twarzą mojego ojca.

– Zaprowadziłam ją do sypialni.



Zmarszczyłem czoło.

– Ale jej nie...

– Dotknęłam? Nie. Nałożyłam rękawiczki. – Pokazała na nasze pudełko lateksowych rękawiczek na blacie. – Znalazłam je w waszym samochodzie.

– Grzebałaś w naszych rzeczach?

– Ukradliście je z mojego domu – odparowała. – Stella kazała mi je włożyć, sama mi powiedziała, gdzie są.

Mój ojciec zrobił wdech przez ledwo uchylone usta. Przycisnął sobie rękę do brzucha.

– Chyba połamał mi żebra.

Cammie pokręciła głową.

– Chryste, trzeba mu zdjąć koszulę. Ten skurwiel nieźle go urządził.

Preacher krążył nad nami jak sęp.

– Przyłapałem go, jak rozmawiał przez telefon.

– Na niczym mnie nie „przyłapałeś”.

– Słyszałam, że ktoś dzwonił – odparła Cammie. Obróciła się i spiorunowała mnie wzrokiem. – Odebrałeś? Pojebało cię?

– Słyszałaś dzwonek aż tutaj? Przecież to kawał drogi od drewni.

Wróciła do pielęgnacji twarzy mojego ojca. Skrzywił się, kiedy przemyła skaleczenie nad lewym okiem.

– Wszędzie tu są telefony, w każdym pokoju. Wszystkie dzwoniły. To on dzwonił? Ten dzieciak, David?

– Nie.

Preacher zacmokał z irytacją.

– Musimy go związać, tak jak Hobsona. Jeśli to rzeczywiście był Pickford, to on nam tego nie powie. Może nawet sam nie pamięta. Co za burdel.

Wstałem i spojrzałem mu w twarz.

– Nikogo nie będziecie wiązać.

Preacher parsknął śmiechem.

– Próbujesz mnie powstrzymać? Teraz to mam ochotę zrobić to tylko po to, żeby zobaczyć, co masz do zaprezentowania.

– Dajcie już sobie spokój z tym pokazem testosteronu – rzuciła Cammie, odpinając ostatni guzik koszuli mojego ojca. Rozsunęła tkaninę na boki. Cały brzuch miał posiniaczony. Wyżej, po lewej, skóra była mocno zaczerwieniona. –

O kurde. Na pewno mamy tu połamane żebra. – Pstryknęła palcami, wskazując na apteczkę. – Niech mi któryś poda bandaż.

Podaliśmy jej rolkę gazy.

– Eddie, obandażuję ci żebra, ale dość luźno – zwróciła się do mojego ojca. – Chcę, żebyś mógł swobodnie oddychać. Gdybym owinęła cię ciasniej, mogłoby

cię mniej boleć, ale zwiększyłyby się ryzyko, że kawałek kości przebije płuco. – Zaczęła delikatnie uciskać mu brzuch, przesuując palcami po ciemnej skórze i zwracając uwagę na reakcje ojca. – Wygląda na to, że mamy złamane dwa górne żebra po lewej i jedno na dole po prawej. Musisz się trochę pochylić do przodu.

Ojciec posłusznie się schylił i aż zacisnął to jedno niespuchnięte oko z bólu wywołanego przez ruch.

– Kto dzwonił? – spytała mnie Cammie.

Przypomniało mi się, co powiedziała mi Fogel.

Ktoś stąd do nich zadzwonił. Ten ktoś powiedział im, gdzie jesteśmy. Ja byłem sam z moim ojcem. Nie miałem pojęcia, gdzie był Preacher, kiedy wykonano połączenie. Cammie była w domu. Stella też. Podobnie jak Hobson. Zerknąłem na niego. Leżał na podłodze w przedsionku, skrępowany sznurem. Był przytomny, ale nie próbował się wyrwać z więzów.

– Policjantka z Pittsburga.

Cammie znieruchomiała.

– Jak to?

– Jest w tym całym Charter, nie mam pojęcia, jak się tam dostała. Powiedziała, że ktoś dzwonił tam z tego numeru. Ten ktoś powiedział im, gdzie jesteśmy. Policjantka twierdzi, że oni już tu jadą.

– Ktoś stąd dzwonił? Kto?

Łypnąłem na nią.

– Może ty mi powiesz?

– Ja nie dzwoniłam – zaprzeczyła. – Byłam tutaj.

– Sama mówiłaś, że tu wszędzie są telefony.

Preacher chodził nerwowo wte i wewte.

– Jakie to ma znaczenie? Ten facet, który tak urządził Eddiego, już tu był. Namierzili go wcześniej, zanim ktokolwiek gdziekolwiek zadzwonił.

– Zająłem się nim – powiedział mój ojciec cicho. Każde słowo sprawiało mu ból.

– Taa – rzucił Preacher. – Zająłeś się nim. Miałeś wszystko totalnie pod kontrolą.

– To jakiś łebek. Przyjechał, jak akurat kopałem w ogródku, wziął mnie z zaskoczenia, walnął z nienacka, a potem po prostu napaarzał: bił, kopał, nie miałem nawet jak mu oddać. Związał mnie w drewni. A zaraz potem przyjechał Jack. Nie miał kiedy gdziekolwiek zadzwonić.

– Wystarczyło mu czasu, żeby zaparkować swojego suburbana w garażu – zauważyłem.

– Może straciłem na chwilę przytomność, nie wiem.

Cammy skończyła go bandażować i pomogła mu włożyć czystą koszulę, którą znalazłem w pralni za kuchnią.

– Nieważne, kto dzwonił. Wiedzą, że tu jesteśmy. Musimy uciekać. W tej chwili. Pewnie mają jakichś ludzi w okolicy, ale chwilę im zajmie, zanim ktoś tu dotrze.

Wtedy znowu rozdzwoniły się telefony.

– Niech nikt nie odbiera! – zawołał Preacher.

Przenikliwe dzwonięcie kilku aparatów wypełniło cały dom. Jeden dzwonek. Dwa. Trzy.

– Musimy odebrać – stwierdził mój ojciec. – Moi ludzie pilnują obu końców wyspy. Może to któryś z nich dzwoni.

– A może to młody Pickford – zaproponowała Cammy.

– Może to detektyw Fogel dzwoni – podsunąłem. – Może chce nam jakoś pomóc. Może się czegoś dowiedziała.

Cztery dzwonki.

Pięć.

Preacher potarł się po szczeciniastym zaroście na podbródku i w końcu skinął głową do mojego ojca.

– Nieważne, kto dzwoni, spodziewają się, że to ty odbierzesz. – Opuścił rękę na kolbę pistoletu. – Jeśli to ten młody Pickford...

Nie musiał kończyć. Mój ojciec rozumiał, że jeśli David Pickford go do czegoś zmusi, każe mu zrobić nam krzywdę, to Preacher mu to uniemożliwi przy użyciu wszelkich niezbędnych środków.

Siedem dzwonek.

Pomogłem ojcu wstać i pakuje do telefonu w kuchni. Sięgnął po słuchawkę i trzymał ją o kilka centymetrów od ucha, jakby taka odległość mogła go ochronić przed działaniem słów Pickforda.

– Pensjonat Własnoręczny, słucham?

Odpowiedział mu męski głos, tak donośny, że wszyscy usłyszeliśmy jego słowa.

– Przyjąłem właśnie rezerwację dla dwunastu osób. Jadą z północy czterema... nie, wróc, sześcioma vanami. Powinni dotrzeć na miejsce za jakąś godzinę.

I rozłączył się. Ojciec odłożył słuchawkę.

– To Lloyd, mieszka zaraz przy Deception Pass. Pewnie zauważył, jak przejechali przez most. O ile na drodze nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, droga zajmie im pięćdziesiąt osiem minut.

Preacher nie zamierzał czekać. Podniósł Darby z podłogi, złapał Cammy za rękę i ruszył do wyjścia.

– Jedziemy na prom. Możemy tam dotrzeć w pół godziny. Jeśli chcecie jechać za nami, to proszę bardzo. Na łodzi możemy się przegrupować. Rozdzielimy się i spotkamy za tydzień w budynku informacji turystycznej nad Jeziorem Kraterowym w Oregonie.

– To kiepski pomysł – stwierdził mój ojciec. – Następny prom jest o dwunastej. Założę się, że też na nim będą. Jeśli nie, to będą już czekali na łodzi na następny. Pewnie obserwują wszystkie samochody wyjeżdżające z Whidbey. Ten twój pontiac trochę rzuca się w oczy.

– Jeśli dotrzemy na ląd, mamy szansę im uciec – zaproponowała Cammie. – Możemy wziąć jakiś inny samochód i spróbować się prześlizgnąć. Nie możemy tu na nich czekać.

– A czemu nie? To świetne miejsce do obrony. Dlaczego niby tu mieszkam? – Machnął ręką w stronę wody. – Za sobą mamy praktycznie pionowy klif i tylko jedno schody, a od frontu półtora hektara otwartej przestrzeni między domem a jedyną drogą dojazdową. Nie mają jak się do nas zbliżyć. Nie dopuścimy ich. – Ojciec poszedł do kuchni i otworzył trzy górne szafki. Zamiast talerzy, szklanek, garnków i patelni naszym oczom ukazał się cały arsenał. Dziesiątki sztuk broni, świeżo nasmarowanych, lśniących. Pistolety, rewolwery, karabiny, strzelby – sporo wyglądało na broń wojskową. Karabiny M16 czy inne kałasznikowy, nie znałem się na tym. – Dwadzieścia lat temu przestałem uciekać. Nie zamierzam dzisiaj znowu zacząć. Musimy położyć temu kres.

Cammie nie wyglądała na przekonaną.

– Oni chcą nas wszystkich pozabijać, Eddie.

– Może i chcą się nas pozbyć, ale mamy tu trójkę naszych dzieci. Nie będą ryzykować ich śmierci. Chcą ich żywych.

– Dlaczego? – wtrąciłem.

Zapadła cisza. Oczy wszystkich zwróciły się na mnie.

– Dlaczego chcą was pozabijać, ale nas nie? Dlaczego oni w ogóle nas ścigają?

Ojciec wyraźnie się zdziwił, jakby spodziewał się, że już to wszystko wiem. Zerknął na Prechera i Cammie, ale żadne z nich nic nie powiedziało. Odwrócił się do mnie z miną świadczącą o absolutnym zdumieniu.

– Nie wiesz? Ciotka ci nie powiedziała? Ta babka od spraw studenckich, Elfrieda Leech... nie przekazała ci moich listów? Pisałem do ciebie przez te wszystkie lata.

– Nigdy nie dostałem żadnego listu od ciebie. Dała mi tylko to. – Wyjąłem list od ojca Stelli. Przejrzał go i podał Cammie. – Pewnie ciotka kazała jej nic ci nie mówić. Kurwa, Jo... Ciągłe się upierała, że powinieneś mieć normalne życie. Nie

docierało do niej... – Urwał, zatapiając się w myślach. Podeszedł do stołu w jadalni i zaczął przeglądać dokumenty i teczki.

– Nie ma teraz na to czasu – zaprotestował Preacher.

– Znajdziemy czas – odparł ojciec stanowczo. W końcu znalazł to, czego szukał. Podał mi starą ulotkę, taką, z której można odrywać paski z numerem telefonu. Tutaj brakowało mniej więcej połowy. Ulotka głosiła:

### **ZARÓB 1000 \$!**

**CHARTER PHARMACEUTICALS POSZUKUJE OCHOTNIKÓW DO  
OSTATNIEGO ETAPU (ETAPU IV) BADAŃ NAD NOWYM  
PROTOKOŁEM SZCZEPIEŃ. PRZYJMIJ JEDEN ZASTRZYK,  
A W PRZYSZŁOŚCI TWOJE DZIECI NIE BĘDĄ MUSIAŁY PODDAWAĆ  
SIĘ ŻADNYM SZCZEPIENIOM!  
DODATKOWE INFORMACJE POD PODANYM NUMEREM TELEFONU.**

– Powiedzieli nam, że jeśli oboje rodzice przyjmą zastrzyk, to wy będziecie chronieni przed dziesiątkami chorób. Od polio, przez błonicę, krztusiec, tężec, po ospę wietrzną, ospę prawdziwą i odrę. Spotykaliśmy się z twoją matką. Rozmawialiśmy już o dzieciach, a poza tym potrzebowaliśmy kasy. Zgłosiliśmy się. Wszyscy się zgłosili. W tamtych czasach studenci pchali się na takie badania drzwiami i oknami, żeby trochę zarobić. Bywało strasznie, na przykład na badaniach nad LSD i innymi środkami halucynogennymi. Ale były lata siedemdziesiąte. I tak wszyscy braliśmy kwas. Czemu by przy okazji nie zarobić?

– Władze zawsze miały najlepszy kwas – mruknęła Cammie. – Trzeba się było tego trzymać, zamiast pakować się w ten syf. No ale płacili tysiąka, prawie dwa razy więcej niż za inne badania, a poza tym kto by chciał w przyszłości ciągać swoje dziecko na szczepienia? Nikt się nawet nie zastanawiał.

– Po zastrzyku musieliśmy się regularnie zgłaszać na badania krwi i tak dalej – ciągnął mój ojciec. – Ósmego dnia każdego miesiąca. Nic szczególnie uciążliwego, za to zresztą też nam płacili. Nie mieliśmy żadnych skutków ubocznych. Przynajmniej z początku. A potem twoja matka zaszła w ciążę. Nie zrozum mnie źle: już mówiłem, że chcieliśmy mieć dzieci, ale plan był taki, żeby skończyć studia, wziąć ślub, znaleźć pracę, wyrobić sobie jakąś pozycję, a dopiero potem, kiedy będziemy gotowi, zacząć się rozmnażać. Bardzo uważaliśmy, ale twoja matka i tak zaszła w ciążę. Tak samo było z Richardem Nettletonem i Emmą, Keithem Pickfordem i Jaquelyn Breece. Wszyscy wpadliśmy mniej więcej w tym samym czasie. Nie było nam do śmiechu, ale trochę

zartowaliśmy, że od tego zastrzyku wzrosła nam płodność. Richard i Emma rzucili uczelnię i zerwali kontakty z Charter. Reszta z nas chodziła na umówione wizyty. Kiedy urodziliście się z Davidem, płacili nam jeszcze więcej za możliwość monitorowania waszego rozwoju: rutynowe badania krwi i podstawowych parametrów, tak jak u nas. Wydawało się, że wszystko jest w normie. A potem zacząłem dostawać wieści od Nettletonów. Donosili nam, co się działo, kiedy ich córka dotykała czegoś żywego. Nie wiedzieli, co robić. Ukryli się, zniknęli z pola widzenia. Pamiętaj, że to był przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Wtedy znacznie łatwiej było zniknąć. Richard był przekonany, że to, co się dzieje ze Stellą, ma jakiś związek z zastrzykiem, z substancją, którą podali nam w Charter. Ja sądziłem, że zwariował, wszyscy tak uważaliśmy. Ale na wszelki wypadek nie spuszczaaliśmy cię z matką z oka. Utrzymywałem kontakt z Keithem i Jackie. Oni też bacznie obserwowali Davida. Ale wydawało się, że wszystko z wami w porządku. Richard wpadł w paranoję, twierdził, że ktoś go śledzi, ludzie ubrani na biało, tak jak pracownicy Charter. Zacząłem się zastanawiać, czy zastrzyk nie wywołał u niego załamania nerwowego, czegoś w rodzaju reakcji alergicznej. Takie rzeczy też się zdarzały. Protokoły bezpieczeństwa były w tamtych czasach bardzo luźne. – Urwał na chwilę, próbując przywołać wspomnienia. – Keith Pickford i Jackie przestali przychodzić na wizyty w połowie siedemdziesiątego ósmego. O szczegółach dowiedzieliśmy się z twoją mamą dopiero jakiś rok później i nie wyglądało to dobrze. Keith oszalał. Wylał garnek wrzącego oleju na buzię synka, okropnie go poparzył, a potem zadźgał Jackie i zabił się tym samym nożem. Sąsiedzi znaleźli Davida w kuchni, wrzeszczał ogłuszająco z bólu, rodzice nie żyli, wszędzie była krew. David już umiał mówić, ale słabo. Miał ledwie dwa latka. Nie mógł nikomu opowiedzieć, co właściwie się stało, nikt nie naciskał. Znowu pomyślałem o zastrzyku. Jeśli Rich Nettleton od niego zwariował, to może z Keithem było tak samo. Dowiedziałem się, że Davida przygarnęli krewni. Tak nam powiedział personel Charter, a my nie mieliśmy powodu, żeby kwestionować ich słowa, wtedy jeszcze nie. Mniej więcej w tym samym czasie do Pittsburgha wrócili Rich i Emma, rodzice Stelli. Niespełna tydzień później oboje już nie żyli. Ktoś się do nich włamał i ich zamordował. Stella zniknęła. Usłyszałem o ciałach, które tam znaleziono, dorosłych mężczyznach, którzy wyglądali, jakby spłonęli, i uświadomiłem sobie, że może Stella rzeczywiście to zrobiła. Że to, co Richard o niej bredził, mogło być prawdą. W maju siedemdziesiątego dziewiątego dowiedzieliśmy się, że Perla Beyham utonęła we własnej wannie. Właściwie jej nie znałem, tyle co z udziału w badaniu Charter. Wydawało się, że to był wypadek. Podobno zasnęła. Takie rzeczy się zdarzają. Ale znowu pomyślałem o zastrzyku. Czy to na pewno był wypadek? Kiedy w osiemdziesiątym Garret Dotts się

powiesił, znów zaczęliśmy myśleć o tym zastrzyku. Postanowiliśmy już nie chodzić na wizyty kontrolne. Wtedy zauważyliśmy, że nas śledzą. Ludzie w bieli, białe samochody parkujące dzień i noc pod naszym mieszkaniem. Kiedy zaczęliśmy się rozglądać, uświadomiliśmy sobie, że są wszędzie, tak jak mówił Richard. Poszedłem na ostatnią wizytę, sam. Nie zabrałem ciebie ani twojej matki. Na miejscu ukradłem to wszystko, co tu widzisz. Twoja matka już pakowała wszystkie nasze rzeczy do SUV-a. Zamierzaliśmy uciec.

– Ale was dogonili – powiedziałem cicho.

– Podejrzewałem, że to zapamiętasz. Tak traumatyzujące wydarzenie potrafi wryć się w pamięć i nigdy nas nie opuścić. Musiałem szybko działać i myśleć, wciąż nie zdawałem sobie sprawy, z czym właściwie musimy się zmierzyć. Zostawiłem cię z Jo, licząc na to, że to mnie będą chcieli ścigać. I rzeczywiście tak było, a z czasem ich zgubiłem. To Elfrieda Leech z działu wsparcia studentów powiedziała nam o tym badaniu, że to łatwy sposób na zarobek. Nie miała pojęcia, w co się wszyscy pakujemy, ale kiedy stało się to dla nas jasne, pomogła mi wynegocjować układ: oni zostawią cię w spokoju, a ja nie pisnę ani słowa. Zniknę z powierzchni ziemi. Ty zostałeś u cioci Jo, a Leech miała cię obserwować i donosić. W odróżnieniu od Stelli i Davida nie wykazywałeś żadnych specjalnych umiejętności, nie mogłeś im się do niczego przydać. Nie potrzebowali cię, więc dali ci spokój.

– Trzymali Stellę w tamtym domu, a Davida zamknęli – powiedziałem.

Mój ojciec gwizdnął.

– Ta dwójka to zupełnie inna historia. Trzymali Davida pod kluczem, od kiedy zorientowali się, co potrafi. Był idealną maszynką do zabijania. W tamtym okresie reszta uczestników badania: Penelope Maudlin, Lester Woolford, Dewey Hobson, Cammie, Dalton, wszyscy uciekli. Sądzymy, że wykorzystali Davida, żeby nas po kolei wykańczać. Pewnie w ten sam sposób zmusili Perłę, żeby się utopiła, a Garretta Dottsa, żeby się powiesił. To wcale nie były wypadki ani samobójstwa, tylko sugestie Davida, które musieli wprowadzić w życie, nie mieli wyboru, tak działała jego „moc”. Był młody, pewnie nawet nie rozumiał, co robi. Przynajmniej na początku. Ale myślę, że z czasem to polubił. Tymczasem ci z Charter mieli to, czego chcieli. Nie potrzebowali już nas, dorosłych, żebyśmy dostarczali im więcej dzieci. Teraz byliśmy już tylko obciążeniem, ryzykiem.

Mój wzrok powędrował do Darby, która trzymała się nogi swojej matki.

– Nie wiedzą o niej – powiedziała Cammie. – Zniknęłam im z radaru i zamierzam nadal nas przed nimi ukrywać.

– A ona coś... potrafi? – spytałem.

– A ty? – odparowała Cammie.

Chciałem zapytać, kto jest ojcem Darby, ale w tej chwili zauważyłem troskę w oczach Preachera. Odpowiedź była boleśnie widoczna.

Ojciec spojrział na zegar wiszący na ścianie w kuchni.

– Mamy czterdzieści minut. Zostajemy i walczymy czy znowu uciekamy?

– Dokąd możemy stąd uciec? – spytała Cammie.

Pomyślałem o Stelli, która leżała w którymś z pokoi. Jeśli nie wymyślę, jak jej pomóc, wkrótce zmarnieje i umrze. Umrze w tym łóżku, podczas gdy my będziemy ginąć uzbrojeni w walce, w jakimś desperackim ostatnim zrywem. Co gorsza, jeśli mój ojciec miał rację, zamordują jego, Hobsona, Cammie i Daltona, a potem zabiorą gdzieś Stellę, mnie i córeczkę Cammie, zamkną nas tak jak kiedyś Davida. Jeśli tu zostaniemy, nawet z całym arsenałem, to tylko kupimy sobie trochę czasu.

– Jeśli tu zostaniemy, to nas powyrzynają – powiedziałem cicho. – Muszę skorzystać z telefonu – dodałem. – Mam pomysł.

– Żadnych telefonów – zaprotestował Preacher.

Ojciec wskazał głową na aparat wiszący na kuchennej ścianie.

– Proszę bardzo.

Preacher warknął, ale nie próbował mnie powstrzymać, kiedy szedłem do kuchni, podnosiłem słuchawkę i wybierałem numer.

Kiedy pięć minut później się rozłączyłem, mój ojciec zerknął na zegar, po czym zmusił sponiewierane ciało do przyjęcia pozycji stojącej.

– Jadą po nas od przeprawy promowej. My możemy wydostać się z wyspy inną drogą, ale musicie mi wszyscy zaufać.

Cammie i Preacher zaczęli układać broń na kuchennym blacie.

– Szafka nad lodówką – powiedział ojciec. – Jest tam skórzana torba, zapakujemy w nią dokumenty. Nic więcej nie bierzemy. Tylko one zapewniają nam jakąś przewagę.

– Musimy mieć broń – upierał się Preacher, ale ojciec pokręcił głową.

– Za duże obciążenie.



## 14

– Weź się pozbieraj do kupy, Fogel – mruknęła i zaskoczyło ją brzmienie jej własnego głosu. Wytarła załzawione oczy wnętrzem dłoni, a zasmarkany nos rękawem kurtki.

Potem stanęła prosto.

Wzięła głęboki wdech przez nos i wypuściła powietrze ustami.

Jej spojrzenie powędrowało do ekranu laptopa, który stał otwarty na biurku Trudeau.

W lewym górnym rogu wyświetlała się data i godzina, migały upływające sekundy. Po prawej na dole widniał napis: ZESPÓŁ OBSERWACYJNY CHARTER 309 – PACJENT „D” – POZIOM 2 POD. 3.

Poza tym ekran był pusty.

Trudeau wbijał wzrok przed siebie, z ucha sterczała mu końcówka długopisu, było zaskakująco mało krwi. Kilka kropli splamiło białą marynarkę.

Fogel przyciągnęła komputer bliżej.

Trudeau miał kilka otwartych programów – arkusze kalkulacyjne, przeglądarkę internetową, skrzynkę. Zaczęła od poczty i przejrzała wiadomości. Sześć tysięcy trzysta czterdzieści dwie nieprzeczytane.

Fogler zawsze pilnowała porządku w korespondencji, zarówno wirtualnej, jak i tradycyjnej, więc aż się wzdrygnęła na widok takiego zalewu wiadomości. Brier też nigdy nie kasował wiadomości po przeczytaniu. Jego skrzynka zawsze tak wyglądała.

„Nie do końca tak”.

Tutaj wszystkie wiadomości były pogrubione, czyli nieprzeczytane. Jakby Trudeau w ogóle nie sprawdzał poczty.

Fogel zaczęła przeglądać tematy maili.

„Jak obniżyć ratę kredytu”.

„Repertuar kin”.

„Reklamy lokalnych salonów samochodowych”.

Wszystko spam. Nie zauważyła ani jednej wiadomości osobistej czy służbowej pochodzącej od zwykłego nadawcy.

Kliknęła w folder „Wysłane”.

Ostatnią wiadomość wysłano 12 sierpnia 1993 roku – blisko pięć lat temu.

Trudeau napisał wtedy na adres 6491@charter.com, do wiadomości loliver@charter.com. Treść była krótka: „Musimy porozmawiać o doktor Durgin. Potencjalny problem z »D«”.

Fogel wróciła do pierwszego ekranu, z pustą transmisją wideo:

ZESPÓŁ OBSERWACYJNY CHARTER 309 – PACJENT „D” – POZIOM 2  
POD. 3.

Pacjent „D”.

Fogel otworzyła przeglądarkę. Ostatnią stroną odwiedzoną przez Trudeau był TicketMaster.com – koncert Patti LaBelle w Filadelfii, 20 września 1993 roku.

Wróciła do wysłanych, których było blisko dziesięć tysięcy, pierwsze pochodziły z połowy lat osiemdziesiątych. Fogel próbowała sobie przypomnieć, kiedy sama zaczęła używać poczty elektronicznej. Pewnie mniej więcej w tym samym czasie, za pośrednictwem AOL.

„Masz wiadomość”.

Ten głos do dziś prześladował ją w koszmarach.

Fogel przełączyła z powrotem na transmisję wideo:

ZESPÓŁ OBSERWACYJNY CHARTER 309 – PACJENT „D” – POZIOM 2  
POD. 3.

W każdej chwili ktoś mógł wejść do gabinetu. Igrała z losem. Musiała podjąć decyzję i zajęło jej to całe dwie sekundy.

Zamknęła laptop, wyjęła zasilacz z gniazdka i wsadziła sobie komputer pod pachę. Na biurku znalazła wyblakłą żółtą karteczkę z odręcznie zapisanym numerem 392099. Ją też zabrała.

Powoli uchyliła drzwi gabinetu, na tyle, żeby wyrzeć na korytarz.

Była sama.

Po prawej miała drzwi prowadzące do holu wejściowego. Po lewej, na końcu korytarza, znajdowała się winda. Rzuciła się z gabinetu Trudeau do windy i wcisnęła guzik.

Nic się nie stało.

Na ścianie obok windy znajdował się panel bezpieczeństwa, taki jak w holu.

Fogel zerknęła na karteczkę, wklepała 392099 i znów wcisnęła guzik. Tym razem natychmiast się podświetlił i usłyszała szum dźwigu. Zadzwoił brzęczyk i drzwi rozsunęły się z piskiem. W kabinie niektóre żarówki nie działały.

Ostatni raz rozejrzała się po korytarzu, przemknęło jej przez myśl, w jakie cholerne tarapaty się wpakuje, kiedy w końcu ktoś ją przyłapie, że tu weszła, po czym weszła do windy.

Znowu wpisała kod i nacisnęła guzik podpisany 2-3.

Drzwi zamknęły się z piskiem.

Winda ruszyła w górę.

Fogel nie była pewna, co spodziewa się ujrzeć po ponownym otwarciu się drzwi. Może napakowanego ochroniarza (albo trzech), niewinną ofiarę eksperymentów, laborantkę, może woźnego. Jej oczom ukazał się jednak zupełnie inny widok.

Winda otworzyła się na kolejny biały korytarz, tyle że ściany miał pokryte szkarłatnymi plamami zaschniętej krwi, a na podłodze leżało kilka, może kilkanaście ciał.

Fogel przyłgnęła do tylnej ściany kabiny i znieruchomiła na tak długo, że drzwi zaczęły się zasuwać. Zanim zamknęły się do końca, zrobiła krok do przodu i wsunęła między oba skrzydła rękę, włączając czujnik, tak że znów się rozsunęły.

Powoli wyszła na korytarz, mocno przyciskając do piersi komputer Trudeau niczym prowizoryczną tarczę, która miała ją ochronić przed tajemniczym złem.

Sądząc po stanie, w jakim znajdowały się ciała, wiedziała, że musiało się to wydarzyć dawno temu. Co najmniej kilka lat. Przypomniało jej się, że ostatni mail Trudeau wysłał 12 sierpnia 1993 roku.

Pierwsze dwa ciała, zaraz pod windą, wyglądały na kobietę i mężczyznę. Oboje byli ubrani na biało, choć materiał pokrywały plamy w różnych odcieniach żółci i brązu, a po wielu latach rozkładu z ciał zostały już tylko wyschnięte skorupy. Mumie. Długie paznokcie i włosy, wyschnięte, skurczone wargi odsłaniające sadystycznie wyszczerzone zęby, puste oczodoły. Głowa kobiety została niemal odrąbana przy użyciu metalowej podkładki z klipsem trzymanej przez mężczyznę leżącego obok. Z kolei jej ręka znajdowała się przy jego brzuchu, gdzie najwyraźniej dźgnęła go nożyczkami.

Naprzeciwko leżało ciało kobiety (Fogel stwierdziła to wyłącznie na podstawie białej spódnicy) z linijką wbity w oko. Zwłoki wciąż zaciskały dłonie na końcówce przyrządu.

„Nie próbowała jej wyciągnąć, przeciwnie, wciskała jak najgłębiej”, szepnął głos w głowie Fogel.

Sytuacja z kolejnymi ciałami przedstawiała się podobnie. Fogel przemierzała korytarz pełen zwłok zastygłych w jakimś makabrycznym tańcu. Zginęli z ręki własnej albo kogoś znajdującego się obok. To nie była siedziba przedsiębiorstwa, placówka badawcza czy naukowa. To miejsce było grobowcem. Powietrze cuchnęło śmiercią.

Dotarła do dwojga drzwi, podpisanych odpowiednio PACJENT „D” – OBSERWACJA i PACJENT „D” – IZOLACJA. Pierwsze okazały się uchylone, drugie zamknięte na klucz. Nie udało jej się ich otworzyć przy użyciu kodu z karteczki na biurku Trudeau.

Fogel popchnęła drzwi do sali obserwacyjnej i weszła do środka.

Na panelu kontrolnym leżały ciała dwóch mężczyzn, od dawna martwych. Ten po lewej chyba przegryzł sobie żyły na nadgarstku. Z oka drugiego sterczał długopis, a w prawym ręku miał zszywacz. Sądząc po tym, jak wyglądała jego czaszka, zatłukł się nim na śmierć.

O ile ten widok był już mocno niepokojący, o tyle scena po drugiej stronie dużej szyby go przebiła. Na krześle na środku pomieszczenia przypominającego sterylny pokój hotelowy siedziała martwa kobieta. Była skierowana twarzą do szyby, na kolanach trzymała notatnik. Usta miała pełne kartek wydartych z tego notatnika, resztki policzków wydęte jak wiewiórka. W lewej ręce wciąż ścisnęła zgniecioną w kulę kartkę. Kolejne walały się po podłodze wokół jej stóp. Na prawej piersi białego kitla laboratoryjnego widniało wyszyte nazwisko DR DURGIN, a po drugiej stronie ktoś czarnym markerem wypisał ZBIERAM NA NOWĄ KOZETKĘ.

„Co tu się odpięrdoliło?”

Między zwłokami mężczyzn w sali obserwacyjnej leżała podkładka z kartkami. Na pierwszej widniało: „Charter, dziennik obserwacyjny”. Obok ktoś dopisał numer 309 i datę: 12/08/1993. Pozostałe kartki były puste.

Pod ścianą po lewej stały regały pełne kaset wideo, poza tym monitor (bez żadnego obrazu) i magnetowid. Fogel przez chwilę badała urządzenie – włączone, z taśmą w środku – po czym włączyła przewijanie. Rozległ się szum napędu i kaseca zaczęła cofać się do początku.

## 15

– Stack? Obudź się, stary, to ja.

Były detektyw Terrence Stack, teraz po prostu Terry, usłyszał te słowa, ale brzmiały tak, jakby ktoś wyszeptał je podczas huraganu z drugiego końca kanału burzowego.

– Terry... musisz wstawać. Nie mamy dużo czasu.

Tym razem słowa rozległy się znacznie bliżej, prawie tuż przy jego uchu.

Stack zatrzepotał powiekami i otworzył oczy. Z początku zobaczył tylko rozmyte białe plamy, ale z każdym mrugnięciem obraz robił się wyraźniejszy. Z ciężkich powiek opadło jakieś zaschnięte błoto i stopniowo wyostrzał mu się wzrok. Próbował wytrzeć oczy, ale nie mógł ruszyć dłonią. Ani ręką.

Głowę miał przechyloną na bok, patrzył w dół. Kiedy zaczął już normalnie widzieć, zobaczył blat stolika karcianego w wolnej sypialni. Udało mu się podnieść głowę i ujrzał Faustina Briera. Były partner siedział na krześle naprzeciwko w wymiętym szarym garniturze, białej koszuli i niebieskim krawacie w paski – Stack widział go w tym stroju ze dwadzieścia razy.

– Brier? – wydusił przez ściśnięte gardło i suche, spierzchnięte wargi, szorstkie jak papier ścierny.

Faustino Brier podniósł szklanę z wodą i zbliżył ją do ust Stacka.

– Napij się. Trochę sobie poleżałeś.

Stack zaczął łapczywie chleptać wodę. Brier na chwilę zabrał szklanę.

– Nie tak szybko, bo zaraz wyrzygasz.

Stack pokiwał głową. Brier dał mu się jeszcze napić.

Kiedy opróżnił szklanę, Brier odstawił ją na stolik. Uśmiechnął się kącikiem ust.

Stack gapił się na niego przynajmniej przez minutę, po czym oznajmił:

– Ty nie żyjesz.

Brier odpowiedział uśmiechem. Huśtał się na krześle, tak jak lubił najbardziej – odrywając przednie nogi od podłogi i balansując na tylnych. Stack zawsze mu powtarzał, że w końcu trafi na felerne krzesło, które się pod nim załamie, i wyląduje na dupie jak debil, ale mimo to Brier zawsze tak siadał.

– Ja też nie żyję?

Stack nie mógł ruszać nogami. Trzymały się mocno podstawy krzesła. Nawet poruszenie głową wymagało wielkiego wysiłku. Za to nic go nie bolało, to dobrze. To bardzo dobrze.

Brier nachylił się do przodu.

– Nie będę cię oszukiwał, stary. Wykończyło cię serducho. Trochę za dużo piwa, jacyś obcy ludzie ganiający po domu, wspinaczka po schodach... Troszkę przesadziłeś i wywaliło ci korki. Ale chyba się tego spodziewałeś, co? Mało który organizm wytrzymałby osiemdziesiąt dwa lata ciągłego maltretowania. Szczerze mówiąc, jestem w szoku, że aż tyle wyciągnąłeś z tego ciała. Trzymało się w kupie już chyba tylko na piwo, fast food i przegryzki z suszonej wołowiny.

– Wcale nie tak dużo piwa, przynajmniej pod koniec.

– Wystarczyło.

– Kiedy?

– Kiedy umarłeś? Będzie z półtora dnia – odparł Brier.

Stack rozejrzał się po pokoju – ściany pokryte gromadzonym przez dwadzieścia lat materiałem dowodowym, podłoga zastawiona kartonami, brudne okna i kłęby kurzu w kątach.

– Czyli tak to jest? A gdzie białe światło? Wrota niebieskie? Mój były partner zamiast Świętego Piotra? Co ty tu robisz? Masz mnie zabrać na drugą stronę?

Brier pokręcił głową.

– Chcę obgadać z tobą sprawę.

– Po co? Znasz ją na pamięć.

– Chcę usłyszeć to wszystko jeszcze raz, od ciebie. – Machnął ręką. – Za stare dobre czasy i tak dalej.

Stack obliznął wargi, nadal suche. Spojrzał na szklankę z wodą. Kilka minut temu wypił ją do dna, teraz znów była pełna.

– Niezła sztuczka.

– Chcesz się jeszcze napić?

Stack skinął głową.

Brier podniósł szklankę i przytknął mu do ust. Kiedy płyn zniknął, odstawił ją na stół.

– Lepiej?

Stack znów przytknął.

– Od czego mam zacząć?

– Od czego chcesz.

– Może powinienem od twojej śmierci.

– A kiedy to dokładnie było?

– Nie pamiętasz?

– Nie bardzo.

Stack mu opowiedział. Wyjaśnił, że Brier pojechał za mężczyzną w czarnym GTO do domu przy Milburn Court 62, podczas gdy Fogel śledziła młodego Thatcha. Że ktoś zabił go strzałem w głowę.

– Analiza balistyczna potwierdziła, że to był kaliber .45. Pocisk pochodził z sig sauera P220. Znaleźli broń. Sprawca wyrzucił ją w krzaki. Nie było odcisków palców.

– Ale sądzicie, że to facet z GTO?

Stack wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie. Ale znaleźli ślady opon chevroleta zarówno za twoim autem, jak i za GTO. Więc niewykluczone, że brały w tym udział osoby trzecie. Nie ma pewności, za mało informacji.

Brier skopał pokrywę jednego z kartonów stojących przy stole, tego z aktami dotyczącymi domu w Dormont. Zajrzał do środka i wyjął list od Richarda Nettletona.

– To od ojca tej dziewczyny, tak?

– Zgadza się. Miał go ten młody Thatch, pamiętasz? Dałeś mi kserówkę.

Brier się zastanowił.

– Pamiętam to wszystko jak przez mgłę. – Wrzucił list z powrotem do pudła. – Powiedz mi coś jeszcze o tym Thatchu. Gdzie on teraz jest?

– Nie wiem. Fogel zgubiła go w Nevadzie. Próbuje znowu go namierzyć. Ale jest z dziewczyną. To wiemy na pewno.

– Jak myślisz, dokąd pojadą?

– Trudno powiedzieć. – Stack rozejrzał się po pokoju. – Kim byli ci ludzie w białych furgonach? Co zrobili po tym, jak...

– Jak umarłeś?

Stack przytaknął.

– Zabiłeś jednego, pamiętasz?

– Zastrzeliłem przez podłogę.

Brier zacisnął wargi.

– No tak, prosto przez podłogę.

– Są tu jeszcze?

Brier nie odpowiedział.

– Skoro jestem martwy i ciągle w swoim domu, to mogę ich jakoś zobaczyć?

– Niby jak duch?

– No, coś w tym stylu.

– Chcesz straszyć we własnym domu?

– Chcę się dowiedzieć, co tu robili. Czego szukali.

Brier nachylił się do przodu, nogi krzesła zachybotwały się lekko.

– To śledztwo już się dla ciebie skończyło, Terry.

– Fogel nadal tam jest – mruknął Stack.

– Gdzie?

– Podąża za tropem. W jakimś Charter pod Chadds Ford.

Brier nie wyglądał na zaskoczonego.

– Opowiedz mi o Charter.

Stack próbował sięgnąć po notatnik, który zostawił przy drzwiach, ten z notatkami o Charter, ale kończyny nadal odmawiały mu posłuszeństwa.

– Dlaczego nie mogę się ruszać?

– Trupy się nie ruszają.

– Ale ty się ruszasz – zauważył Stack. – Głową, szyją, oczami mogę ruszać. Tylko ręce i nogi nie działają. Dlaczego?

Brier wzruszył ramionami.

– Nawet kiedy żyjemy, niezbadane są wyroki boskie, ale po śmierci to już w ogóle szkoda gadać. Gość na górze zaczyna totalnie świrować. – Znów odchylił się do tyłu. – Skąd się dowiedziałeś o Charter?

Stack powiedział mu o notatce znalezionej przez Fogel w pokoju motelowym Thatcha, o powiązaniach z byłymi pracownikami, które udało mu się ustalić.

– Białe furgony pojawiły się zaraz po tym, jak zacząłem dzwonić do Charter. Muszą być od nich. To wszystko jest powiązane.

Brier walnął otwartą dłonią w stół.

Stack aż podskoczył.

– Sorry, stary, miałem wrażenie, że zaczynasz odpływać – powiedział Brier, szczerząc zęby w uśmiechu. – Musiałem cię ocucić. – Rozejrzał się po pokoju. –

Czyli wszystko, czego się dowiedziałeś przez te lata, wszystkie dane związane ze sprawą, znajdują się w tym pokoju?

– Większość – przyznał Stack. – Fogel ma część oficjalnych akt na komendzie w Pittsburghu. Reszta jest tutaj.

Brier popadł w zamyślenie.

– Nie pamiętasz? – zdziwił się Stack. – Zatrzymałeś akta po moim przejściu na emeryturę. Prowadziłeś sprawę dalej. Fogel ma przecież twoje akta.

– Po śmierci wszystko zaczyna się trochę rozmywać.

– Ja nadal pamiętam. To dlatego, że dopiero co umarłem?

Brier nie odpowiedział. Wychylił się do tyłu, a potem znowu do przodu, kołysząc się na tylnych nóżkach krzesła.

– Co wiesz o Davidzie Pickfordzie?

– O kim?

– O Davidzie Pickfordzie.

– W życiu o nim nie słyszałem – odparł Stack.

– To piękny człowiek.



– Okej.

– Najpiękniejszy człowiek na świecie.

Stack nie odpowiedział.

Brier sięgnął po znów pełną szklankę z wodą.

– Chcesz się jeszcze napić?

Stack pokręcił głową, choć nadal męczyło go pragnienie. Brier odstawił szklankę i wbił w Stacka baczne spojrzenie.

– Jesteś pewny, że oprócz informacji zgromadzonych tutaj i tego, co ta Fogel ma na komendzie, nie ma nic więcej? Nikt nie ma kopii? Nikomu innemu nie powiedzieliście, co ustaliliście przez te wszystkie lata?

Stack potwierdził, choć było to dziwne, bo wcale nie chciał odpowiadać na pytanie Briera. Mimo to słowa wydobyły się z jego ust.

Brier znowu opadł na oparcie krzesła i obrócił głowę w stronę drzwi.

– Chodźcie tu i zabierajcie to wszystko! – zawołał. – Co do ostatniego skrawka!

Do pokoju weszło trzech mężczyzn około trzydziestki, ubranych w długie białe trencze, tak jak tamten człowiek, którego Stack zastrzelił na schodach. Dwóch zaczęło wnosić pudła z aktami, trzeci zdejmował wszystko ze ścian.

– Co to ma być? – wymamrotał Stack, zwracając się znów do Briera.

Ale naprzeciwko niego nie siedział już Brier. Jego miejsce zajął młody mężczyzna o ciemnych włosach, jeszcze ciemniejszych oczach oraz potwornej bliźnie po oparzeniu rozlewającej się na całą lewą stronę twarzy. Sam widok sprawiał Stackowi ból.

Znowu próbował wstać i nie mógł się ruszyć. Spojrzał w dół i dopiero teraz zauważył sznury krępujące jego ręce, nogi i tors. Próbował się szarpać w więzach, ale były ciasne, nie ustępowały ani na milimetr. Przeniósł wzrok na tajemniczego mężczyznę.

– Kim ty jesteś, do cholery?

– Nazywam się David Pickford.

– Jesteś pięknym człowiekiem.

– Dziękuję.

Wzrok Stacka powędrował do szklanki na stoliku. Była sucha i brudna, pokryta grubą warstwą kurzu. Musiała tam stać pusta od wielu dni, pewnie od ostatniej wizyty Fogel. Nie było w niej ani kropli wody.

Mężczyźni w bieli nadal metodycznie opróżniali pokój, wynieśli już prawie połowę zawartości.

Zadzwonił telefon. David sięgnął do wewnętrznej kieszeni czarnej skórzanej kurtki i wyjął komórkę. Zerknął na wyświetlacz, potem na Stacka.

– Muszę odebrać. Bardzo miło się rozmawiało. A teraz pójdziesz spać.

Stack natychmiast usnął.

David Pickford przyłożył telefon do ucha i odwrócił się od Stacka w stronę kąta pokoju.

– Co jest?

Z głośnika dobiegły metaliczne dźwięki, ciężkie dyszenie Latrese Oliver. Przysiągłby, że nawet przez telefon czuje smród zgnilizny dobywający się z jej gardła.

– Uciekli nam na Whidbey.

David pokręcił głową, żeby wyrzucić z niej wizję kobiety skubiącej poczerwiałe ramię, starał się nie myśleć o tym, co dzieje się wewnątrz tego poharatanego, na wpół martwego ciała. Nie mógł się doczekać, aż w końcu zabije tę żalostną sukę.

– Mnie by nie uciekli – odparł.

– Ale ciebie tu nie ma.

– Nie mogę być wszędzie naraz.

Oliver zignorowała jego słowa.

– Edward Thatch, Cammie Brotherton, Dalton, Stella i chłopak są teraz wszyscy razem.

– Mieliśmy ludzi w terminalu promowym, wy przyjechaliście od strony Deception Pass. Jakim cudem się z nimi minęliście?

– Edward Thatch miał hydroplan u podnóża klifu za domem. Kiedy przyjechaliśmy, zobaczyliśmy, jak wznosi się nad Puget Sound.

– Hydroplan? Jakim cudem o tym nie wiedzieliśmy?

Oliver nie odpowiedziała.

David Pickford oparł się o ścianę i zabębnił palcami w parapet.

– W sumie to nieważne. I tak wiemy, dokąd polecą.

Oliver wzięła kolejny ciężki wdech.

– Co mam tu zrobić? Z tym domem?

David wzruszył ramionami, odpowiedź była przecież oczywista.

– Weźcie wszystko, co może się przydać, a resztę spalcie. Wszystko spalcie. – Zastanowił się chwilę, po czym dodał: – Jest tam samochód Daltona? Ten czarny pontiac?

– Tak.

– Chcę ten samochód. Niech ktoś nim wróci. Spalcie całą resztę.

– Dobrze.

– Potem wróc odrzutowcem Charter. Będiesz mi tu potrzebna.

– Już prawie po wszystkim – stwierdziła Oliver.

– Tak, prawie.

## 16

Dom mojego ojca na wyspie Whidbey stał przycupnięty na skraju wysokiego klifu z widokiem na Puget Sound. Wkrótce po tym, jak skończyłem rozmowę przez telefon, zawinęliśmy Stellę w gruby koc, żebym mógł ją wziąć na ręce, i zarzuciłem sobie na ramiona nasze bagaże. Preacher niósł Hobsona, który szarpał się w więzach. Cammie i jej córka szły za nami, nerwowo zerkając na mężczyznę i dźwigając własne bagaże. Mój ojciec nas wszystkich prowadził, choć przy każdym kroku musiał walczyć z poobijanym, poharatanym ciałem. Niczego ze sobą nie zabrał, wyjaśnił, że ma już od dawna spakowaną torbę awaryjną.

Poszliśmy za nim przez teren za domem w stronę klifu, a potem w dół po rozklekotanych drewnianych schodach, przymocowanych do skalistej ściany metalowymi bolcami i kotwami. U podnóża schodów znajdowało się coś w rodzaju hangaru na łódzie, zbudowanego na potężnych betonowych filarach wkopanych w piach niedużej prywatnej plaży. Spodziewałem się, że znajdziemy tam motorówkę czy coś w tym rodzaju, więc kiedy ojciec otworzył bramę hangaru i moim oczom ukazał się samolot na dużych pływakach, byłem zaskoczony tak samo jak cała reszta.

– To cessna caravan dwieście osiem. Kupiłem ją parę lat temu, po zrobieniu licencji pilota, głównie po to, żeby szybciej przemieszczać się między wyspą i lądem, ale ma spory zasięg i nie dadzą rady nas śledzić. Jeśli będę się trzymać nisko, nie muszę zgłaszać planu lotu.

Preacher obszedł samolot dookoła, przesuając dłonią po skrzydle.

– Spora bestia. Zmieszczą się spluwy.

– Mówiłem już wcześniej, nie chodzi o miejsce, tylko o obciążenie. Każdy dodatkowy kilogram przekłada się na krótszy dystans. Nie możemy sobie pozwolić na utratę choćby kilometra. Jeśli się zatrzymamy na tankowanie, wylądujemy w bazie danych. Mogą to wykorzystać, żeby nas śledzić. To podróż w jedną stronę.

– Dokąd?

Okazało się, że na jezioro Devils Lake w Dakocie Północnej, a także że ojciec miał rację – w chwili lądowania na tafli wody mieliśmy już w baku tylko opary. Podróż zajęła nam blisko siedem godzin. Ojciec wymontował dwa tylne fotele, za

co byłem mu bardzo wdzięczny. Razem z Preacherem ułożyliśmy Stellę na podłodze, otuloną kocem, żeby mogła odpocząć. Podczas lotu kilka razy wierciła się przez sen, ale przebudziła się tylko raz. Kiedy jej powiedziałem, gdzie jesteśmy, tylko pokiwała głową i znów odpłynęła w sen. Jakąś godzinę od startu Preacher zawiązał Hobsonowi oczy zaimprovizowaną opaską. Nie widział już Cammie, więc przestał się rzucać i powrócił do potulnego stanu, w którym znajdował się przez całą drogę samochodem ze mną i Stellą. Na wszelki wypadek jednak woleliśmy go nie rozwiązywać.

Mój ojciec posadził hydroplan na Devils Lake z wprawą weterana, co uświadomiło mi, jak wielu rzeczy o nim nie wiem. Dwadzieścia lat życia. Domyślałem się, że nauka latania to tylko jeden z wielu jego sekretów.

Skierował samolot w stronę północnej części jeziora i ostrożnie podprowadził do długiego nabrzeża. Kiedy zbliżyliśmy się do niego bokiem, Preacher otworzył drzwi i złapał linę. Ja wyskoczyłem i rzuciłem mu drugą, którą znalazłem zwiniętą w plastikowej skrzynce przymocowanej do drewnianych desek pomostu. Postępując zgodnie z instrukcjami wykrzykiwanymi przez ojca, wspólnie zacumowaliśmy hydroplan.

Z nabrzeża zesliśmy na schludnie przystrzyżony trawnik. Za nim stały dwa budynki – niewielka chatka z bali i duża metalowa szopa. Ojciec powiedział, że kupił tę nieruchomość przed blisko dekadą, ale rzadko tam bywał. Opłacał stróża, który o nią dbał. Nie wiedziałem, jakim cudem mógł sobie pozwolić na takie wydatki, i zamierzałem go o to zapytać po dotarciu do celu, ale na razie pytania musiały poczekać.

Znowu wziąłem Stellę na ręce. Preacher niósł śpiącą Darby, Cammie szła obok i wszyscy razem podążaliśmy za moim ojcem, obok drewnianego domku, do budynku gospodarczego. Ojciec wpisał kod na panelu bezpieczeństwa przy metalowych drzwiach. Rozległ się głośny brzęczyk i drzwi się otworzyły. Zapaliły się automatyczne światła. Wewnątrz znajdowały się trzy białe cadillaki escalade z kablami wystającymi spod masek.

– Zawsze mają pełny bak i są podłączone do ładowania. W schowkach są pieniądze na benzynę. Powinniśmy dotrzeć nimi tam, gdzie chcemy.

– Dlaczego białe? – spytał Preacher.

– Nie będą szukali białych pojazdów. Wtopimy się w tło – odparł mój ojciec, co przypomniało mi podobne słowa Stelli z poprzedniego życia.

Preacher usiadł za kierownicą pierwszego SUV-a, a z nim mój ojciec, Cammie i Darby. Ja prowadziłem drugi samochód, na fotelu pasażera posadziliśmy Hobsona, a Stella spała wyciągnięta na tylnym siedzeniu.

Nasza podróż miała zakończyć się tam, gdzie się zaczęła, i z każdym kilometrem czułem, jak Pittsburgh się do nas przybliża.

## 17

Reid Migliore czekał na nas u wylotu drogi prowadzącej do Carrie Furnace z karabinkiem AR-15 w rękach. O czarnego SUV-a, zaparkowanego jakieś trzy metry dalej, dokładnie na naszej drodze, stało opartych jeszcze dwóch nieznanymi mi mężczyzn. Wszyscy trzej ożywili się na nasz widok, zwłaszcza Reid, który nerwowo obrzucił wzrokiem Hobsona, a potem Prechera i Cammie w stojącym za mną samochodzie. Opuściłem szybę i Reid podszedł do okna, z lufą karabinu opuszczoną do ziemi. Na prawym policzku miał świeżą bliznę.

– Co ci się stało? – spytałem.

Puścił moje pytanie mimo uszu i spojrzał na Hobsona na fotelu pasażera, związanego i z opaską na oczach.

– Co to ma być, Thatch? Dunk nic nie wspominał o porwaniu.

Związałem Hobsona podczas ostatniego postoju na tankowanie.

– Dunk wie.

– Mnie nic na ten temat nie mówił. Nie podoba mi się cała ta akcja.

Stella jęknęła na tylnym siedzeniu. Reid nachylił się bliżej.

– To ona?

Nie odpowiedziałem.

– Co z nią?

Zignorowałem kolejne pytanie.

– Gdzie on jest?

Reid cofnął się o krok od samochodu i wskazał bronią na starą hutę stali.

– Zaparkuj tam, gdzie ostatnio, przy piecu numer siedem. Jest w środku.

Wrzuciłem bieg i pojechałem zarośniętą drogą ku monstrualnej metalowej konstrukcji.

Zatrzymałem samochód niemal dokładnie w tym samym miejscu co poprzednio i zgasilem silnik.

Preacher zaparkował obok. Wysiadł z SUV-a i zlustrował wzrokiem budynki, pomosty robocze, kręcących się wszędzie ludzi obserwujących pola dookoła kompleksu.

– Jesteś pewny, że to dobry pomysł? – spytał półgłosem.

– Nie.

Spod bocznej ściany budynku z cegły podeszła do nas dziewczyna, szesnasto-, może siedemnastoletnia. Tak jak Reid była uzbrojona w AR-15. W odróżnieniu od Reida jej ramiona i pół szyi pokrywały kolorowe tatuaże węży. Pod jej brodą widniała rozdziawiona paszcza kobry gotowej do ataku. Powiedziała coś do niedużego nadajnika Motoroli, po czym schowała go do kieszeni zielonej wojskowej kurtki.

– Nazywam się Adella Fricke. Chodźcie za mną.

– A gdzie Dunk?

– Za chwilę. Najpierw was zakwaterujemy. – Spojrzała na Stellę. – Weź ją ze sobą. Reszta też niech idzie.

Preacher zerknął na mnie niepewnie. Skinąłem tylko głową.

Adella poprowadziła nas przez budynek z cegły na drugą stronę i ruszyliśmy długim, szerokim korytarzem. Rdzawa woda kapiała z sufitu i zbierała się w kałuże na ziemi. Ściany lśniły wilgocią. W każdym kącie spały dawno porzucone maszyny, przed laty zostawione na pewną śmierć. Nie bardzo wiedziałem, jak opisać ludzi pracujących dla Dunka, mężczyzn i kobiety – gangsterzy i gangsterki, uciekinierzy i uciekinierki, osoby bezdomne. Przyglądali nam się w milczeniu. Dwadzieścia osób, trzydzieści, pewnie nawet więcej. Byli wszędzie. Najmłodszy wyglądał na nie więcej niż dwanaście, trzynaście lat, a najstarszy, którego zauważyłem – mężczyzna w spranym kombinezonie – mógł dobiegać sześćdziesiątki.

Wspięliśmy się po schodach na górny poziom i ruszyliśmy pomostem pod tablicą z napisem KOSZARY. Stella opierała się o moje ramię i choć nie do końca przytomna, to poruszała się samodzielnie. Mimo to długa droga musiała ją wykończyć. Poczułem ulgę, kiedy weszliśmy do dużego pomieszczenia z łózkami piętrowymi pod ścianami i stołami na środku – Stella od ponad doby nie odezwała się ani słowem. Oddychała bardzo ciężko, spływała strugami potu. Pomogłem jej się położyć na jednym z łóżek w głębi, zwinęła się w kłębek twarzą do ściany.

Preacher posadził Hobsona na krześle przy stole. Mężczyzna z zasłoniętymi oczami się nie ruszał.

Cammie zaprowadziła Darby do wolnego łóżka. Dziewczynce zamykały się oczy, zasypiała na stojąco. Odpłynęła w chwili, gdy jej głowa wylądowała na poduszce. Cammie przysiadła na brzegu łóżka i gładziła ją po włosach. Mój ojciec padł na inne łóżko. Sińce na twarzy pociemniały, przybierając paskudny odcień fioleto. Stęknął i przekręcił się na bok, żeby nie obciążać połamanych żeber.

– Chodź ze mną – powiedziała Adella. – Zaprowadzę cię do niego.

Preacher ruszył za nami, ale zatrzymała się w progu, nawet się nie odwracając.

– Tylko Thatch.

– Nie ma mowy – zaproponował Preacher. – Jeszcze nawet nie wiem, czy tu zostaniemy.

Cammie spojrzała na mnie.

– Weź go ze sobą. Przyda ci się druga para oczu.

Adella ruszyła korytarzem.

– Jak tam chcecie, tylko się streszczajcie.

Kiedy dziesięć dni wcześniej odwiedziłem tu Dunka, wydawało mi się, że korzystają z tego miejsca jednorazowo. Sądziłem, że rozłożyli się w tym pierwszym budynku i opuścili go niedługo po moim odjeździe. Teraz, kiedy Adella prowadziła nas w głąb dawnej huty, uświadomiłem sobie, jak bardzo się myliłem. Dunk urządził tu sobie siedzibę. To stąd prowadził swój interes. Interes i małą armię.

Wszyscy byli uzbrojeni.

Większość w więcej niż jedną sztukę broni.

Myslałem o tym, co Brier i detektyw Horton powiedzieli mi wtedy przed laty w szpitalu. Nie mieli pojęcia, jak rozwinie się ten interes.

Nie widziałem żadnych narkotyków. Nie widziałem też, żeby ktoś je zażywał. Znając Dunka (a przynajmniej znając dzieciaka, którego kiedyś znałem jako Dunka), był za mądry, żeby trzymać takie rzeczy w miejscu pracy. Najprawdopodobniej prowadził coś w rodzaju gry w kubki – przerzucał towar po całym mieście, szybciej, niż policjanci mogli nadążyć. Szczerze mówiąc, zupełnie mnie to nie interesowało. Zależało mi tylko na bezpieczeństwie Stelli.

Wszyscy się na mnie gapili, ale odwracali wzrok, gdy tylko kogoś na tym przyłapałem. Szeptali między sobą.

Adella zaprowadziła nas do budynku, gdzie kiedyś znajdowały się biura Carrie Furnace – dziesiątki gabinetów, w większości opuszczonych. Dunk zajmował największy z nich, ostatnie drzwi po lewej. Kiedy Adella wprowadziła nas do środka, stał w kącie z telefonem komórkowym przy uchu, opierając ciężar ciała na lasce i wyglądając przez brudnawe okno na tereny huty. Obejrzał się na nas przez ramię.

Wydatnie pomagając sobie laską, obrócił się i ruszył w naszą stronę, mamrocząc coś do telefonu. Kiedy skończył rozmowę, rozłączył się i wyciągnął komórkę w moją stronę.

– Możesz chwilę potrzymać? Jako kaleka mam czasem za mało rąk, żeby robić kilka rzeczy naraz.

Wziąłem od niego telefon.

Dunk podniósł laskę i wyrzucił jej srebrną główkę w brzuch Preachera. Kiedy ten zgiął się wpół, Dunk prawą pięścią rozkwasił mu nos. Usłyszałem chrzęst

kości i Preacher zatoczył się do tyłu.

– Złamałeś mi nos w dziewięćdziesiątym drugim, bezczelny chujku. Należało ci się od sześciu lat – rzucił Dunk.

Zanim Preacher zdążył mu oddać, z korytarza weszło dwóch ludzi Dunka i złapali go za ramiona. Stali po bokach, a tymczasem Dunk wyjął z kieszeni białą materiałową chusteczkę i podał ją Preacherowi.

– Jesteśmy kwita, kutafonie.

Preacher skinął głową, strząsnął z ramion ręce goryli, wziął chusteczkę i przycisnął do nosa.

– Kwita – mruknął, odchylając głowę do tyłu.

Pokręciłem głową. Nie mieliśmy teraz czasu na takie bzdety.

– Niedługo tu będą. Jesteś gotowy?

Dunk pokuśtykał kilka kroków do okna.

– Orientuj się, Thatch, oni już tu są. I tak, jesteśmy gotowi.

– Jak to? – spytał Preacher, też podchodząc do okna.

Dunk wskazał w kierunku zachodnim.

– Popatrz za drzewa. Dwa białe vany stoją przy Whitaker. Pierwszy przyjechał jakieś dziesięć minut po was. Drugi dołączył przed chwilą.

– Niemożliwe, żeby dotarli tu naszym śladem. Mówiłeś komuś, że przyjeżdżamy?

Dunk pokręcił głową.

– Tylko Reidowi, Truckowi i Adelli, a oni nie rozmawiają z nikim poza mną. No ale teraz wieści już się pewnie rozeszły. Nic na to nie poradzimy.

– Ktoś dał im znać – stwierdził Preacher.

Przypomniała mi się tamta rozmowa z Fogel przez telefon w drewnitni na wyspie Whidbey.

Dwóch mężczyzn zatrzymało się przy drzwiach Dunka. Kiedy się odwróciłem w ich stronę, ruszyli dalej korytarzem.

– Czemu wszyscy się tu na mnie gapią?

– Plotki – skwitował Dunk. – Wszyscy słyszeli, jaki show odstawiałeś tu ostatnio z Reidem. Domyślałem się, że liczą na powtórkę z rozrywki.

– O co chodzi? – spytał Preacher podejrzliwie.

Dunk poklepał mnie po plecach.

– Mój ziomek wyszedł zwycięsko z pojebanej partyjki w rosyjską ruletkę. Nie chwalił ci się?

Preacher zmrużył oczy.

– Nie, jakoś nie wspominał.

– No to powiem ci, że wolałbym z nim nie zadzierać – stwierdził Dunk. – Nie ima się go pech, tak jak Supermana nie imają się kule.



Preacher zmienił temat, wciąż przyciskając chusteczkę do nosa.

– Jak dobrze to miejsce nadaje się do obrony? – spytał.

Dunk wrócił do okna.

– Mam tu sto sześć osób, wszyscy uzbrojeni. Do tego czujki w całym mieście. Gdyby ktoś chociaż spróbował podjechać tu na białym rowerze, będzie miał na karku dziesięciu uzbrojonych ludzi. Jedna droga dojazdowa, za nami rzeka Monogahela, wszędzie dookoła otwarta przestrzeń. Widzicie te drzewa, tam daleko? Mam tam poukrywanych obserwatorów. Do tego dwa tory kolejowe i głęboki wąwóz między drzewami a terenem huty. Nie ma opcji, żeby tamtędy wjechali, a jeśli uda im się przedostać na piechotę, to będą się ruszać powoli. Odstrzelimy ich, zanim choćby zbliżą się do budynków. Wszędzie są tu jakieś górki, doły, resztki maszynierii, więc nie brakuje kryjówek, a ja mam ludzi w każdej z nich. Mamy mocną obronę. Musieliby chyba zrobić desant spadochronowy, żeby nas zaskoczyć. A jeśli jakimś cudem pokonają zewnętrzne linie obronne, to zawsze mamy jeszcze samą hutę. To pierdolony labirynt, a ja szkole tu ludzi od lat. Znają na wylot każdy skrawek tego miejsca. Urządzilibyśmy im jatkę.

– A jak już zaczniemy strzelać, to jak szybko przyjadą gliny? – spytał Preacher. Dunk parsknął śmiechem.

– A myślisz, że kto robi za czujki w mieście? Nasi dzielni stróżowie prawa. Nie musimy się nimi martwić. Zresztą i tak jesteśmy na totalnym zadupiu. Już prawie dwa lata temu urządziliśmy sobie na tyłach strzelnicę i nie było jeszcze ani jednego zgłoszenia na policję. Dźwięki tak daleko się nie niosą. Możemy tu sobie urządzić nawet trzecią wojnę światową i nikt nie przyjdzie z odsieczą ani nie będzie nam przeszkadzał. Jesteśmy sami.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie aż tak źle – powiedziałem pod nosem.

Sądząc po wyrazie oczu Dunka, on jednak na to liczył. Pokuśtykał na drugi koniec gabinetu, do drewnianej skrzynki w kącie.

– Mam też plan B, z myślą o tym całym Davidzie.

Dunk otworzył pokrywę i podał mi parę słuchawek nausznych.

– W styczniu przechwyciłem transport tych cudeniaków. Jechały z fabryki w Massachusetts na targi elektroniki użytkowej w Vegas. Mają wejść na rynek najwcześniej za rok, więc na razie je trzymam.

– „Bose Quiet Comfort”? – przeczytałem napis na pudełku.

– Słuchawki wygłuszające – odparł Dunk. – Zakładasz je, wciskasz guzik i wytłumiają wszystkie dźwięki z otoczenia. Pickford może się drzeć do woli, a ty i tak gównie usłyszysz. – Wyjął z kieszeni motorolę i podłączył kabelkiem do słuchawek. – Będziemy się porozumiewać za pomocą tych radyjek. Wszystkie

inne dźwięki będą zagłuszone. Będziemy słyszeć siebie nawzajem, ale nic od niego.

Kiedy postanowiłem zadzwonić do Dunka z domu mojego ojca na wyspie Whidbey, odwiesiłem sumienie na kołek. A ściśle rzecz ujmując, zamknąłem je na klucz w pancерnej chłodni gdzieś na zapleczu mózgu. Wiedziałem, że jest zamieszany w paskudne historie, a prosząc go o pomoc, sam się w nie wplątuje. Kiedy wspomniał o „przechwyceniu transportu”, nie łudziłem się, że przypadkiem napatoczył się na ciężarówkę z towarem, wołałem też nie myśleć o losie kierowcy tego tira. Na pewno nie mogłem też w jego towarzystwie myśleć o Gerdy. Ani o niej, ani o innych obecnych wtedy w jadłodajni. Kiedy te wspomnienia przemykały mi przez głowę, zmuszałem się do myślenia o Stelli i ludziach wokół mnie, tych, których życie musiałem chronić dzisiaj, a nie postaciach z przeszłości, którym tego życia nie mogłem przywrócić. Mogłem znowu opłakiwać ich od jutra. Powtarzałem sobie, że ten człowiek to mój przyjaciel, był nim przez większość mojego dzieciństwa. Był przy mnie i pomagał, kiedy ciocia Jo umierała na raka – nikt inny mnie wtedy nie wspierał. Dzwoniąc do Dunka i prosząc go o pomoc, może nie dosłownie sprzedałem duszę, ale muszę przyznać, że czułem się tak, jakbym podpisał z diabłem umowę dzierżawy krótkoterminowej. Kiedy to wszystko się skończy, znajdę sposób, żeby umyć od tej sprawy ręce. Tak sobie mówiłem, chociaż wiedziałem, że będę te ręce szorował do końca życia. Niektórych plam nigdy nie da się zmyć.

Zadzwonił telefon Dunka.

Kiedy się rozłączył, wrócił pod okno.

– Mamy kolejne dwa białe vany. W sumie już cztery. Jeden z moich ludzi do nich podszedł, ale rozjechali się i przegrupowali przecznicę dalej.

Preacher opuścił chusteczkę. Już nie krwawił. Miał spuchnięty nos, ale chyba nie doszło do złamania.

– Skoro wiedzą, że wszyscy tu jesteśmy, mogą zrobić jakiś ruch jeszcze dziś wieczorem, a mogą próbować nas przeczekać. Trudno stwierdzić.

– Tak czy inaczej, jesteśmy gotowi. – Dunk podszedł do skrzyni. – Adella mówiła, że masz tam jeszcze cztery osoby, zgadza się? Masz...

Podał mi sześć pudełek ze słuchawkami.

– ...baterie są w środku. Powinny wytrzymać jakieś czterdzieści godzin. W razie czego mamy więcej. Weź to i czekaj w gotowości. Muszę się skonsultować z moimi porucznikami.

– Jesteś pewny, że chcesz to zrobić? Może to się dla ciebie źle skończyć.

Dunk się uśmiechnął. Po lewej stronie brakowało mu zęba.

– Uratowałeś mi życie, wyciągnąłeś mnie z tamtego pożaru. Odmowa nie wchodzi w grę. – Zniżył głos. – Wiem, że masz wątpliwości co do tego, co się

wtedy wydarzyło. Wiem, że mi nie wierzysz, pogodziłem się z tym. Może ty też kiedyś się z tym pogodzisz. Nie chciałem zawieść cię wtedy i nie zamierzam tego zrobić teraz. Jesteś moim bratem, stary. Rodziną.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, więc tylko pokiwałem głową. Nachylił się bliżej.

– Mogę ją poznać? Pewnie nieźła z niej laska, co?

## 18

Dunk zapowiedział, że wpadnie do koszar, kiedy już przekaze swoim ludziom najnowsze ustalenia. Może za godzinę.

Kiedy Adella prowadziła nas z powrotem, Preacher szepnął:

– Sprzedam kulkę temu gnojnowi.

– Nie byłbyś pierwszy – odparłem.

Pod naszą nieobecność ktoś podrzucił nam jedzenie. Na jednym ze stołów leżał kosz owoców, a do tego kilka toreb z McDonalda, zgrzewka wody i do połowy zjedzona pizza.

Darby patrzyła, jak wchodzimy, całą buzię miała umazaną sosem pomidorowym. Mój ojciec nadal spał, Hobson siedział na krześle, tak jak go zostawiliśmy, z opaską na oczach.

Stelli nie było w łóżku.

Cammie wyszła z drzwi w tylnej ścianie i skinęła na mnie.

– Bogu dzięki, chodź...

Preacher chciał iść z nami, ale kazałem mu zostać i coś zjeść.

Cammie zaprowadziła mnie do łazienki. Z głębi pomieszczenia dobiegał szum wody.

Stella siedziała na podłodze dużej kabiny prysznicowej, kompletnie ubrana, przyciągając kolana do klatki piersiowej i ukrywając w nich twarz. Choć lały się na nią strumienie gorącej wody, potwornie się trzęsła.

– Daj mi rękawiczki – zwróciłem się do Cammie. Pobiegła po nie i po chwili wróciła.

Włożyłem lateksowe rękawiczki i przykucnąłem.

– Stello? Mogę ci jakoś pomóc?

Nabrała powietrza i próbowała się odezwać, ale wydała z siebie tylko rozedrgane westchnienie.

– Gorąco ci czy zimno? Masz gorączkę?

– Z... z... zimno – wyjąkała.

Lewą rękawiczkę miała założoną, ale prawą musiała zdjąć, bo leżała zmięta w kącie kabiny. Jej palce prostowały się i zginały, zwijając dłoń w pięść i rozwijała.

„Cofnij się”, powiedziałem bezgłośnie do Cammie. Skinęła głową i wcisnęła się jeszcze dalej w drzwi wyjściowe.

Wyciągnąłem rękę i odgarnąłem włosy Stelli na plecy. Jej głowa obróciła się gwałtownie, skręciła dziko. Wytrzeszczała przekrwione oczy, wzrok miała z jednej strony jakby odległy, a z drugiej skupiony na mnie.

– Musisz... stąd... iść.

Warknęła te słowa, głosem tak niskim, że prawie go nie rozpoznałem. Wzięła kilka szybkich wdechów przez usta, a potem znów ukryła twarz w kolanach. Przyciągnęła je jeszcze mocniej do piersi.

Nachyliłem się bliżej. Byłem już przemoczony, skórę miałem czerwoną od gorącej wody. Nic mnie nie obchodziło.

– Musisz walczyć, Stello. Jesteś silniejsza niż to coś. Dasz radę to pokonać.

– Won! – wrzasnęła Stella. – Odsuń się ode mnie!

– Nie.

Jej naga prawa dłoń wystrzeliła do góry i złapała mnie za przedramię, tuż pod łokciem.

Miałem na sobie bluzę. Stella nie dotknęła mojej skóry, ale kiedy dotarło do niej, co zrobiła, puściła mnie i wcisnęła się w kąt prysznicza. Odsunęła się ode mnie jak najdalej, mocno przywierając do pokrytej kafelkami ściany. Wyglądała krucho jak dziecko. Przerażone i skrzywdzone.

Nie podnosząc wzroku, powiedziałem do Cammie:

– Na stole w pokoju jest kosz z owocami. Widziałem go przed chwilą. Możesz mi go przynieść?

– Mówisz poważnie?

– Proszę.

Cammie przewróciła oczami, wzruszyła ramionami i wróciła do części sypialnej. Po chwili wróciła z koszem.

– Nie wygląda mi na głodną.

Postawiłem kosz na podłodze i wziąłem duże czerwone jabłko z wierzchu. Podsunąłem je Stelli.

– Weź.

Stella wyjrzała zza ręk, którymi zasłaniała sobie twarz. Wyciągnęła z wahaniem prawą rękę, drżące palce zacisnęły się na jabłku. Kciuk i palec wskazujący przebiły owoc na wylot i spotkały się, jakby nic nie stało im na przeszkodzie – czerwona skórka i żółty miąższ szerniały i opadły, gniazdo nasienne obumarło i nagle Stella zaciskała pięść w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się jabłko, a zgnity owoc opadł na kafelki w formie miazgi.

– Ja pierdolę – szepnęła Cammie.

Podałem Stelli banana. On również zepsuł się od jej dotyku – wysechł, zgnił, w sekundę uleciało z niego życie.

Potem dałem jej pomarańczę.

I kolejne jabłko.

W połowie kosza niemiary oddech Stelli zaczął się uspokajać. Kiedy podałem jej już chyba szóste czy siódme z kolei jabłko, również obumarło, ale trwało to blisko dwadzieścia sekund.

– Lepiej – wyszeptała Stella.

Zerknąłem na Cammie, która ciągle sterczała mi nad głową.

– Możesz dać nam chwilę?

– Trzeba ją związać. Jak Hobsona.

– Nie będziemy jej związywać.

Cammie westchnęła i wymaszerowała z łazienki.

Wyłączyłem prysznic, pomogłem Stelli wstać i owinąłem ją puszystym białym ręcznikiem.

– Dziękuję, Pip. Dziękuję za to, że jesteś taki, jaki jesteś.

Zniżyłem głos.

– Ktoś zadzwonił do Charter z domu mojego ojca. – Do tej pory nie byliśmy sami. Dopiero teraz miałem okazję jej o tym powiedzieć. Poza tym po raz pierwszy od dłuższego czasu była na tyle przytomna, żeby zrozumieć moje słowa.

– Jak to?

– Nie to jest najgorsze. – Opowiedziałem jej, jak Fogel oddzwoniła, co mi powiedziała. Że byłem wtedy z ojcem w drewnitni i nie miałem pojęcia, kto mógł zadzwonić do Charter. – To mogło być każde z nich.

– Hobson był związany, nie? Twój ojciec też. Czyli zostają tylko Cammie i ten cały Preacher.

Stella rozejrzała się dookoła, najwyraźniej po raz pierwszy.

– Gdzie my teraz jesteśmy?

– Nie pamiętasz, jak uciekliśmy z Whidbey?

Pokręciła głową. Opowiedziałem jej o drugiej rozmowie telefonicznej. O hydroplanie ojca. O podróży z Devils Lake do Pittsburgha.

Przyswoiła sobie wszystkie informacje.

– Który dzisiaj jest?

– Trzynasty sierpnia.

Rozdziawiła usta.

– Pięć dni – powiedziała cicho. – Nigdy nie wytrzymałam aż pięciu dni.

Owoce trochę pomogły, ale Stella nadal była śmiertelnie blada. Oczy miała zapadnięte i czerwone. Kiedy zaczęły się pod nią trząść nogi, złapałem ją przez ręcznik i podtrzymałem w pionie.

– Nie powinnam się zbliżyć do pozostałych – dodała. – Możesz przynieść tu jakieś łóżko?

– Na pewno?

Pokiwała głową.

– Tak będzie bezpiecznie.

Asekurując się ręcznikiem, poprowadziłem ją do aluminiowej ławki, żeby mogła usiąść.

– Zaczekaj.

Wróciłem do pokoju, wziąłem jej torbę, pojedynczą pryczę i grubą kołdrę, którą znalazłem na jednym z łóżek. Ojciec już nie spał. Wszyscy patrzyli na mnie bez słowa.

Rozstawiłem łóżko w niedużej wnęce za szafkami szatniowymi.

Stella ledwo trzymała się na nogach. Z każdym krokiem bałem się, że się pod nią załamie, ale doprowadziłem ją na miejsce.

Ściągnęła mokre ubrania, rzuciła je na stertę na podłodze i przebrała się w czarną sukienkę z długim rękawem, którą znalazłem w jej torbie.

Podniosłem jej czarne rękawiczki, kompletnie przemoczone. Podałem jej, ale zmarszczyła nos.

– Są w okropnym stanie. Muszę je porządnie wyprać.

Na podłodze przy prysznicu zostało pudełko z lateksowymi. Przyniosłem je i podałem jej parę.

– Masz. Nie są może stylowe, ale przynajmniej suche.

Włożyła je i umościła się w łóżku, otulając się kołdrą.

– Wkrótce to wszystko się skończy, Pip.

Stella zasnęła i przynajmniej w tamtej chwili wydawało się, że odnalazła spokój.

Wyprałem jej rękawiczki w umywalce przy użyciu mydła w płynie, po czym rozwiesiłem do wyschnięcia na wieszaku na ręczniki.

Przed wyjściem postawiłem jeszcze kosz z resztkami owoców na podłodze w zasięgu jej ręki i odgarnąłem jej mokre włosy z twarzy.

W końcu zdjąłem lateksowe rękawiczki i wróciłem do reszty.

W pokoju Cammie siedziała z córeczką i patrzyła, jak ta maluje kolorowanekę. Spojrzała na mnie zmęczonym wzrokiem. Preacher stał nad stołem pełnym broni z dwojgiem ludzi Dunka – mieli tam wszystko, od karabinów przez pistolety po noże. Dorzucił do tej sterty wszystkie posiadane przez nas sztuki broni, a także słuchawki, równo ustawione w zamkniętych pudełkach.

Hobson siedział na krześle, już bez przepaski. Naprzeciwko niego siedział mój ojciec, a pomiędzy nimi stała stara drewniana skrzynka na mleko z butelką jägermeistra. Hobson nie miał już także związanych rąk. Unieśli do ust kieliszki

i wychylił do dna. Zauważyłem kieliszek na podłodze koło Cammie i jeszcze jeden, pusty, w dłoni Preachera.

– Serio? Zrobiliście sobie imprezę? Dlaczego go rozwiązaście?

– Chcesz jednego? – spytał mój ojciec, dolewając sobie i Hobsonowi.

– Jasne, że nie.

Z jakiegoś powodu na te słowa wszyscy na mnie spojrzeli.

Ojciec przekrzywił głowę. Przez ostatnie dni siniaki na jego twarzy przeszły od czerwieni i fioletu przez błękit i czerń do obecnych odcieni żółci i zieleni. Opuchlizna wokół oczu zmalała i mógł je już otwierać.

– Nie potrzebujesz się napić?

Zastanowiłem się chwilę. Jeszcze kilka dni temu rzuciłbym się na flaszkę i wyłopał zawartość. Telepanie, suszenie, całkowite uzależnienie po wielu latach picia – alkohol stał się nieodłączną częścią mojego życia. Taką jak woda czy jedzenie. Nie mogłem bez niego żyć. Aż do teraz.

– Już od kilku dni nie chce mi się pić. Czuję się dobrze.

I naprawdę tak było. Żadnego telepania. Żadnego suszenia czy zawrotów głowy. Podobnie jak w przypadku głodu Stelli, prawdopodobnie miałem do czynienia tylko z chwilowym wytchnieniem, ale nie narzekałem.

Ojciec wychylił kolejkę i odstawił kieliszek na skrzynkę po mleku.

– Pociąg do alkoholu to efekt uboczny zastrzyku. Żadne z nas nie nadużywało go przed udziałem w badaniach, ale po zastrzyku poszliśmy do baru uczcić zarobione kokosy. Parę dni później zorientowaliśmy się, że ciągnie nas do alkoholu. Wkrótce nie mogliśmy się bez niego obejść. Ludzie z Charter powtarzali, że to tylko skutek uboczny i niedługo minie. Coś z metabolizmem. Wcale nam jednak nie przechodziło, z czasem było coraz gorzej. Co dziwne, żadne z nas właściwie się nie upija. Ani razu od czasu zastrzyku. Możemy, jeśli bardzo się postaramy, ale zazwyczaj nie czujemy żadnych efektów poza uśmierzeniem objawów odstawienia. Po twoich narodzinach zrobili badania krwi i doszli do wniosku, że z wiekiem prawdopodobnie będziesz cierpieć na tę samą dolegliwość. Ty i wszystkie dzieci.

Hobson powoli uniósł kieliszek do ust i się napił. Kiedy go opróżnił, podał ojcu i otarł usta brzegiem dłoni.

– No dobra, ale to nie wyjaśnia, czemu on nie jest związany – powiedziałem.

– Chodź tutaj – powiedział ojciec. – Pokażę ci.

Zrobiłem kilka kroków w jego stronę. Mój ojciec nachylił się do Hobsona.

– Co ci powiedział David Pickford?

– Kazał mi jechać do domu Cammie i ją od niego pozdrowić, a potem zabić. Zastrzelić na śmierć. Powiedział też, że kocha Stellę i posprząta dla niej cały ten bajzel. Jakby to wszystko się nigdy nie wydarzyło.



– Ale ty nie chcesz skrzywdzić Cammie, prawda? – spytał ojciec. Hobson pokręcił głową. – I rozumiesz, że nie musisz robić tego, co kazał ci David Pickford, prawda? Że masz wolną wolę?

– Ten pojebany gnojek próbował mi namieszać w głowie. Jeśli komukolwiek miałbym wpakować kulkę, to właśnie jemu – stwierdził Hobson. Pokazał na swój kieliszek. – Jeszcze jednego.

Ojciec nalał mu kolejkę.

– Cammie jest bezpieczna?

Hobson się napił i zwrócił do Cammie.

– Przepraszam, Cams. Między nami w porządku?

Cammie pokiwała głową z uśmiechem.

– Ty nie chcesz zabić mnie, ja nie muszę zabijać ciebie. Myślę, że jesteśmy kwita, a świat jest dzięki temu lepszym miejscem.

– „Sugestie” Davida to właśnie tylko sugestie – zwrócił się do mnie ojciec. –

Dzięki jego mocy stają się koniecznością w umyśle osoby, do której mówi, ale nie są wyryte w kamieniu. Można komuś wyperswadować to, co kazał zrobić, jeśli odpowiednio dobierze się słowa i przełamie tę ścianę. Wydaje mi się, że alkohol przyspiesza ten proces, pozwala łatwiej się dostać do podświadomości, ale pewności nie mam. – Spojrzał na Hobsona. – To co, możemy ci zaufać i dać broń?

Nie ukrywam, że kiedy Hobson podszedł do Prechera i Adelli i wziął ze stołu jakiś karabin, stojąc przy tym niecałe trzy metry od Cammie i jej córki, atmosfera zrobiła się tak gęsta, że można by ją kroić nożem. Nawet Hobson wyraźnie się stresował. Jediną osobą, która sprawiała wrażenie zupełnie spokojnej, była Cammie.

Uśmiechnęła się do niego i kiwnęła głową w stronę pudełka amunicji na brzegu stołu.

– Marliny kalibru .444. Można nimi powalić grizzly.

Hobson załadował broń z lekkością świadcząca o dużym doświadczeniu, wycelował w ścianę i spojrzął w celownik.

– Dam sobie z tym radę. – Spojrzał na Adellę i Prechera. – Gdzie mam iść?

Adella rzuciła mu krótkofalówkę i wskazała na jednego z ludzi Dunka stojącego pod drzwiami.

– Cortez zabierze cię na dach. Możesz obstawiać las. Większość naszych ludzi dobrze sobie radzi z bliska, ale mamy tylko garstkę snajperów.

Hobson pokiwał głową, zgarnął opakowanie nabojów i słuchawki, mrugnął do Cammie i zniknął na korytarzu razem z Cortezem.

– Musimy porozmawiać o twojej dziewczynie, Jack – oświadczył ojciec po jego wyjściu.

– Nie ma o czym rozmawiać.

– Ona może nas wszystkich pozabijać. Nie panuje nad sobą i jest z nią coraz gorzej – stwierdziła Cammie. – Ja tu mam córeczkę. Musimy ją zabezpieczyć.

– Stella nikogo nie skrzywdzi. Jeśli mamy o czymś rozmawiać, to może o tym, kto zadzwonił do Charter z Whidbey. Już tu są. Dotarli zaraz po nas. Wszystko wskazuje na to, że ktoś ich informuje. Według detektyw Fogel ten ktoś powiedział im, gdzie jesteśmy. Stella była nieprzytomna. Hobson i mój ojciec związani. Zostajesz ty i Preacher.

– Skąd mamy wiedzieć, czy ta twoja detektyw w ogóle mówiła prawdę?

– Ty dzwoniłaś?

– Nie, nie ja – odparła Cammie stanowczo. – A Preacherowi ufam. On też nie dzwonił

– No to kto?

Darby podniosła na chwilę wzrok znad książeczki, po czym wróciła do kolorowania.

– Była cały czas ze mną, poza tym nie umie mówić – oświadczyła Cammie. – Nie ma pojęcia, co to jest Charter, i gwarantuję, że nie zna do nich numeru. Nie patrz tak na nią. Przestań w ogóle o tym myśleć.

Zatrzeszczał odbiornik Adelli.

– „Adella, na dach. Mamy już dwanaście vanów”.

Preacher, który przez cały ten czas milczał, złapał krótkofalówkę, słuchawki wygłaszające, amunicję do walthera PPK, który tkwił w kaburze pod jego pachą, i karabinek szturmowy.

– Żadne z nas nie dzwoniło, młody. Daj sobie spokój z tymi teoriami spiskowymi. Mamy teraz sporo do zrobienia. Idę z Adellą. – Drugą krótkofalówkę rzucił Cammie.

– Jak będziesz mnie potrzebowała, to daj znać. Od razu wrócę, jasne?

Cammie położyła radiotelefon między sobą a Darby i skinęła głową.

Wyszli.

Ojciec odprowadził ich wzrokiem i znowu zwrócił się do mnie.

– Chciałbym tylko powiedzieć, że Richard i Emma bali się Stelli. Im nie mogła zrobić krzywdy, prawdopodobnie to kwestia genów, ale wiedzieli, co mogła zrobić innym. Richard raz nawet do mnie zadzwonił w środku nocy, chyba o trzeciej. Śniło mu się, że poszedł do pokoju Stelli i udusił ją poduszką. Mówił, że we śnie czuł, że nie robi nic złego. Po przebudzeniu to uczucie na chwilę z nim zostało i to właśnie najbardziej go przeraziło. Przez kilka minut leżał w łóżku i poważnie się nad tym zastanawiał. Że właśnie to powinien zrobić. Potem dopadło go poczucie winy. Zadzwonił, żeby mi o tym opowiedzieć, i mniej więcej w połowie rozmowy zorientowałem się, że chciał nie tylko zrelacjonować swój

koszmar, ale też mnie wyczuć. Na swój sposób próbował ze mnie wyciągnąć, czy moim zdaniem powinien to zrobić. Muszę powiedzieć ci szczerze, Jack, że długo się nad tym zastanawiałem, ale nie udało mi się znaleźć odpowiedzi. Kiedy w kolejnych latach słyszałem o następnych osobach, które zabiła, ta rozmowa z Richardem bardzo często mi się przypomiwała.

Zacząłem się cofać w stronę łazienki i pryczy Stelli. Ojciec uniósł rękę w obronnym geście.

– Nic jej nie zrobię, synu. Cammie też nie. Żadne z nas jej nie tknie. Nie to miałem na myśli. Ona była wtedy dzieckiem. Nie miała pojęcia, co robi. W Charter na pewno zrobili jej pranie mózgu, przekonali, że robi coś dobrego. Nie mogę jej zresztą o to obwiniać. Ale teraz jest już dorosła. Wyraźnie zżera ją poczucie winy. Słyszałem, jak kilka razy powiedziała ci, że już tego nie robi, że woli umrzeć, niż kogoś skrzywdzić. Chciałbym, żebyś nad tym właśnie się zastanowił. Namysł się nad tym tak długo i głęboko, jak ja rozmyślałem nad rozmową z Richardem. Kiedy przyjdzie decydująca chwila, to czy będziesz gotów uszanować jej decyzję? Jeśli właśnie tego będzie naprawdę pragnęła?

Chciałem odpowiedzieć, ale uciszył mnie gestem dłoni.

– To sprawa między wami, nas to nie dotyczy. Nie muszę wiedzieć. Nie chcę tego wiedzieć. Zbyt wiele miałem już do czynienia ze śmiercią przez Charter i ten pieprzony zastrzyk. Przeżyłem też stratę twojej matki i mogę powiedzieć ci bez cienia wątpliwości, że nic na świecie nie boli tak jak śmierć osoby, którą kochasz. Jeśli ona postanowi odejść, jeśli ją stracisz, to chcę, żebyś wiedział, że będę przy tobie. Przegapiłem twoje dzieciństwo, musiałem z daleka patrzeć, jak dorastasz, żeby nie narażać cię na niebezpieczeństwo, i to było dla mnie niemal tak trudne jak utrata twojej matki. Na pewno masz względem mnie mieszane uczucia i mam nadzieję, że niedługo, kiedy to wszystko się skończy, usiądziemy i o tym wszystkim pogadamy. Jesteś tu, żyjesz, wiem, że postąpiłem słusznie, ale chciałbym wykorzystać tę szansę, żeby spróbować nadrobić stracony czas. Chcę być twoim ojcem. I pomogę ci przez to przejść, cokolwiek się stanie.

Kiedy skończył, oczy lśniły mu od wilgoci.

Nie wiedziałem, czy mam go przytulić, zniechęcić czy powiedzieć, że mu wybaczam. Udało mi się jedynie kiwnąć głową.

– Idź do niej, synu. Bądź przy niej jak najdłużej.

Wziąłem ze sobą radiotelefon, dwie pary słuchawek i rugera kalibru 9 milimetrów.

## 19

Przez następne dwie godziny pozwoliliśmy się otoczyć.

Są ich dziesiątki. Białe furgony, białe ciężarówki, białe samochody osobowe, SUV-y. Z radiotelefonu leżącego obok mnie na łóżku Stelli płynęły dostarczane w regularnym tempie raporty. Pojazdy stały wzdłuż Rankin Boulevard i Kenmawr Avenue po drugiej stronie linii drzew za torami kolejowymi. Nie było ich widać z Carrie Furnace, nawet z dachu, ale dostrzegli je ludzie Dunka ukryci na stanowiskach obserwacyjnych wysoko w koronach drzew. Pojazdy zaparkowały, ale nikt nie wysiadał. Siły przeciwnika szacowaliśmy mniej więcej na sto pięćdziesiąt osób, na podstawie liczby pojazdów i ich pojemności, ale mogliśmy tylko zgadywać.

Do przystani na płynącej z tyłu rzece Monongahela przybiło też sporo łódek. Nie mieliśmy jak sprawdzić, czy to ludzie z Charter, ale ekipa Dunka na wszelki wypadek też ich obserwowała. Co jakiś czas słyszałem jego głos w odbiorniku, ale w końcu nie dotarł do naszych koszar. Nie mogłem go za to winić. Miał pełne ręce roboty.

Stella spała.

Nie był to sen niosący odprężenie, ale taki, podczas którego człowiek jęczy i oblewa się potem, wybudza się, przewraca na drugi bok i okazuje się, że tkwi jeszcze głębiej w lepkim, paskudnym koszmarze. Rzucą się, mamrotała coś, zwykle niezrozumiale. Kilka razy dosłyszałem swoje imię, wspominała też o Oliver. Na dźwięk swojego imienia aż się ożywiłem, ale po chwili spotkało mnie rozczarowanie, bo zorientowałem się, że nadal śpi. Chciałem ją obudzić, ale się nie odważyłem. Coś mi mówiło, że po drugiej stronie obronnej ściany snu czeka na nią coś znacznie gorszego niż udręka, jaką przeżywało teraz jej ciało, nie miałem więc najmniejszego zamiaru być tym, który to coś na nią sprowadzi.

Mała Darby ciągle się gdzieś wokół nas kręciła. Najpierw zauważyłem jej małą główkę wystającą zza framugi drzwi, blond loczki otaczały jej buzię i wielkie błękitne oczy. Zniknęła, kiedy zorientowała się, że ją przyłapałem, ale dwadzieścia minut później wróciła nas podglądać. Po kolejnej godzinie przyniosła mi szklankę wody. Podziękowałem, a ona dygnęła z uśmiechem i pobiegła z powrotem do pokoju. Potem zaczęły się pojawiać przekąski –

krakersy z serem. Do tego dolewki wody. W końcu przyniosła miskę i myjkę, postawiła na podłodze przy łóżku Stelli, naciągnęła na rączki zdecydowanie za duże rękawiczki lateksowe i zaczęła ocierać Stelli czoło. Słodki był z niej dzieciak.

Owoce już dawno się skończyły, została po nich czarna papka na dnie kosza. Jeśli byłoby trzeba, zaniósłbym Stellę pod drzewa, pozwoliłbym jej wysączać życie z każdego po kolei, mogłaby zabić cały cholerny las. Niech Bóg wybaczy mi to, co zrobiłbym każdemu, kto próbowałby mnie powstrzymać przed zapewnieniem jej pomocy.

Mówiłem do niej.

Przez te dwie godziny opowiedziałem jej wszystko, co powinna wiedzieć o Johnie Edwardzie Jacku Thatchu, dla niej Pipie. Od najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa po najgorsze wpadki w dorosłym życiu (a tych nie brakowało) – niczego nie ukrywałem. Opowiedziałem jej o tym, jakimi dzieciakami byliśmy z Dunkiem i Willym, o mojej cioci Jo, o jej błędach, wadach, marzeniach i osiągnięciach. Opowiedziałem o nienawiści, jaką ciotka żywiła do mojego ojca, w dzieciństwie zupełnie dla mnie niepojętej, ale zrozumianej w chwili, kiedy odkryłem jego pusty grób, a jednocześnie dowiedziałem się, że ten sąsiedni pusty nie jest. Nasze coroczne wizyty na cmentarzu – nie mogłem sobie nawet wyobrazić, co musiała myśleć Jo, kiedy patrzyła na grób mojego ojca. Teraz stało się dla mnie boleśnie oczywiste, dlaczego tak zaniedbywała jego nagrobek i traktowała go z taką obojętnością. Straciła siostrę, a tymczasem mężczyzna, który jej wtedy towarzyszył, przeżył.

Powiedziałem Stelli o pieniądzach, które Jo mi zostawiła, o życiu, które mogłem dzięki nim zbudować, i o tym, jak to wszystko rzuciłem, żeby ją odnaleźć. Kiedy tak siedziałem, splatając obleczone w rękawiczki palce z palcami Stelli, niczego nie żałowałem. Tutaj, przy jej boku, od zawsze było moje miejsce.

– Jack?

Kiedy usłyszałem swoje imię, z początku uznałem, że Stella znowu mówi przez sen. Dopiero kiedy je powtórzyła, zorientowałem się, że już nie śpi, przygląda mi się spod ciężkich powiek, zwinęta w małe kłębek na łóżku.

Ścisnęła moją dłoń i przyciągnęła ją bliżej.

– Możesz mnie zabrać na dwór? Chciałabym zobaczyć gwiazdy.

Maksymalnie ściszyłem krótkofalówkę, ale i tak nieustannie buczała, donosząc o rosnących szeregach ludzi z Charter, a choć nikt nie powiedział nic wprost, czułem coraz silniejsze napięcie w głosach składających te raporty. Zanosilo się na coś złego, niebezpieczeństwo zbliżało się z każdą minutą.

– Nie wiem, czy na zewnątrz jest bezpiecznie.

– Chcę zobaczyć gwiazdy, Jack. Proszę, to dla mnie bardzo ważne.

Jej głos był tak słaby, że aż sprawiało mi to ból. Kiedy usiadła, wyglądała straszliwie krucho i bezbrinnie. Nie mogłem jej odmówić, nigdy, a zwłaszcza teraz. Pomogłem jej wstać.

– Dasz radę iść?

Stella pokiwała głową.

– Chyba tak.

Wsadziłem sobie rugera za pasek spodni (wreszcie udało mi się opanować tę umiejętność), krótkofalówkę wrzuciłem do kieszeni, a dwie pary słuchawek zawiesiłem sobie na szyi, żeby mieć wolne obie ręce, na wypadek gdyby Stella potrzebowała pomocy.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy od wielu dni.

– Wyglądasz absurdalnie. – Wyszczrzyła zęby. – Jak jakiś fatalny biały raper, który zapodział gdzieś złote łańcuchy, więc postanowił wypróbować nowy image.

– Joł, joł!

Pokój z łózkami był pusty. Ani śladu mojego ojca, Cammie ani Darby. Jeden z ludzi Dunka stał na straży w korytarzu i z początku sądziłem, że będzie próbował nas zatrzymać, ale nie. Poszedł za nami bez słowa, trzymając się kilka kroków z tyłu, podczas gdy ja pomagałem Stelli pokonać korytarze i schody w drodze do pomostu roboczego na zewnątrz, z widokiem na Carrie Furnace Boulevard, tory kolejowe i rosnące w oddali drzewa. Chociaż wiedziałem, że za tymi drzewami zbierają się ludzie z Charter, w najbliższym otoczeniu huty panowała zaskakująco spokojna atmosfera.

Usiedliśmy na brzegu pomostu, dyndając nogami w powietrzu.

– Gdzie reszta? – spytała Stella, nie puszczać mojej ręki.

– Chyba na dachu.

– A Charter?

– Otaczają nas. – Zrelacjonowałem jej wszystko, co wiedziałem, pokazując na drzewa.

Rozejrzała się dookoła po otaczających nas polach.

– Bardzo tu spokojnie.

Rzeczywiście było cicho i spokojnie. Nieruchome powietrze, kilkanaście stopni powyżej zera. Księżyc niemal w pełni, przynajmniej trzy czwarte tarczy pokrywało wszystko niebieskawobiałym światłem.

Stella zadarła głowę i uśmiechnęła się szeroko.

– Najbardziej ze wszystkiego będzie mi chyba brakowało nocnego nieba. Absolutnego bezkresu, tego, co niewiadome. My tutaj na ziemi walczymy w naszych głupich bitewkach, a przecież jesteśmy tylko drobinką kurzu na butach wszechświata. Nawet największy problem może się wydawać malutki, zupełnie

nieznaczący, kiedy podniesie się głowę i uświadomi sobie swoje prawdziwe miejsce w większej całości.

– Masz przed sobą jeszcze całe życie patrzenia w gwiazdy – powiedziałem, choć zdawałem sobie sprawę, że to nieprawda. Myślę, że te słowa miały pomóc nie tylko jej, lecz także mnie. Jakby wypowiedzenie ich na głos mogło uczynić je prawdziwymi.

– Dziękuję ci za te ostatnie dni, Pip. Za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Znajomość z tobą była w zasadzie jedyną dobrą rzeczą w moim życiu. Nigdy nie sądziłam, że doświadczę miłości, że pokocham i będę kochana, a ty mi to dałeś. Dawałeś mi to przez całe moje życie, przez całe nasze życie. Jeśli czegokolwiek żałuję, to tego, że tak przed tobą uciekałam, że trzymałam cię na dystans, zamiast wpuścić cię do swojego życia już wiele lat temu. Nie chciałam narażać cię na to, czym byłam, co robiłam i o czym wiedziałam, że będę robić to nadal. Łatwiej było mi cię odepchnąć, wmówić sobie, że to słuszne, że tak trzeba. Żałuję rozmów, których nigdy nie przeprowadziliśmy, straconych nocy, których nie spędziliśmy razem. – Stella znów przeniosła wzrok na pola wokół nas i oparła głowę na moim ramieniu. – Pamiętasz te obrazy w moim domu? Pejzaże i miasta, odległe krainy?

Przytaknąłem.

– Malując każdy z nich, wyobrażałam sobie, że jesteśmy tam razem, że odwiedzamy każde z tych miejsc: most Golden Gate, Wielki Kanion, rozświetlony Paryż i piramidy egipskie, ulice Nowego Jorku i dzikie zakątki Nowego Orleanu, rozległe pola i jeziora ukryte wśród wielowiekowych drzew. Moja dłoń w twojej dłoni, twoje ramię obejmujące moje plecy – w każdym nowym miejscu brałeś mnie w ramiona i całowałeś, moja choroba w tych fantazjach nie istniała. Można powiedzieć, że już przeżyliśmy razem życie, i czuję wdzięczność, ale najbardziej wdzięczna jestem za te ostatnie dni. Mój Pip, mój wspaniały John Edward Jack Thatch.

Stella zadygotała, przyciągnąłem ją bliżej. Zastanawiałem się właśnie, czy nie skoczyć po koc, kiedy w nocnej ciszy rozległ się głośny warkot.

– Jedzie tu jakiś samochód. Przejechał przez Rankin Bridge, właśnie skręcił w Carrie Furnace Boulevard. Porusza się szybko. Puścić go czy zdjąć?

Trzaski.

Potem głos Dunka:

– Jeden pojazd? Ilu pasażerów? Widzicie?

– Widzę tylko jedną osobę, kierowcę.

Potem głos mojego ojca:

– Przygotujcie słuchawki. To może być Pickford.

Nasze słuchawki leżały obok mnie. Wziąłem jedną parę, pstryknąłem włącznik i podałem je Stelli.

– Puśćcie go. – Znowu Dunk. – Snajperzy na dachu, bądźcie gotowi. Jak dam rozkaz, to macie zasypać kulami tego, kto wysiądzie. Ale tylko jeśli dam rozkaz, jasne?

Kilkanaście głosów odpowiedziało twierdząco.

Zauważyłem ten samochód, wyjeżdżał właśnie zza zakrętu na końcu Carrie Furnace Boulevard. Przejechał przez tory, po czym nabrał prędkości na prostej, zostawiając za sobą kłęby kurzu.

Czarny pontiac GTO.

Samochód Preachera.

– To ten samochód, który zostawiliśmy na wyspie Whidbey?

– Tak. – Wychyliłem się, żeby lepiej widzieć. Ale Preacher musiał się wkurzyć.

Nie zdziwiłbym się, gdyby kierowca pociągnął hamulec ręczny, szarpnął kierownicą i zahamował poślizgiem z rozpędzonego driftu. Głównie dlatego, że sam bym tak zrobił, gdybym miał okazję zasiąść za kierownicą takiego auta. Jednak zamiast przyśpieszyć, czarny pontiac zwolnił i zatrzymał się jakieś sześć metrów od głównego budynku. Długie światła przecinały mrok nocy.

Silnik warknął jeszcze jeden, ostatni raz, kiedy kierowca dodał gazu, po czym zgasił silnik.

Kierowca nachylił się i otworzył drzwi pasażera, a potem swoje.

– Snajperzy w gotowości – powiedział Dunk przez radio.

Zobaczyłem kierowcę. Mężczyzna w średnim wieku, krótko ostrzyżony szatyn w białej koszuli i białym płaszczu. Sięgnąłem po nadajnik i wcisnąłem guzik transmisji.

– To nie Pickford. Powtarzam, to nie jest David Pickford.

– Przyjąłem – odparł Dunk.

Kierowca się pochylił. Wyglądało to tak, jakby majstrował coś przy radiu samochodowym. Z samochodu rozległo się głośnie kliknięcie, a potem niski szum nagrania odtwarzanego na cały regulator. Następnie odezwał się głos, który natychmiast rozpoznałem.

Kaylie z Penn State, cztery i pół roku temu w jej pokoju w akademiku.

– Masz, załóż słuchawki.

Z wzmocnionych głośników samochodowych dobiegło głośnie stukanie metronomu na tle elektronicznego szumu.

„Tik... tak.

Tik... tak.

Tik... tak.



– Dobrze, Jack, proszę, żebyś wsłuchał się w rytm tego dźwięku, jak w uspokajające bicie serca. Nabieraj powietrza ustami, wypuszczaj nosem, dostosuj rytm oddechu do dźwięku. Ten dźwięk jest najważniejszy, kojący dźwięk. Bicie serca. Wyobraź sobie bicie serca, ten dźwięk. Krew płynącą w żyłach, życie przepływające przez każdy fragment twojego ciała. Ciepłe i krzepiące. Mój głos prowadzi cię głębiej, szybciej i głębiej, szybciej i głębiej w ciepły, spokojny, niezmacony stan odprężenia. Jakbyś zatapiał się głęboko w wannę z ciepłą wodą.

Tik... tak.

Tik... tak.

– Zatapiasz się i wyłączasz. Zatapiasz się i wyłączasz. Zatapiasz się i całkowicie wyłączasz w tym otulającym ciepłe. Ciepło i spokojnie jak w kocu, przytulnym i ciasnym. Koc przyciska ci ręce do boków, unieruchamia nogi. Jeszcze nigdy nie było ci tak wygodnie. Czujesz, że twój umysł jest wolny jak nigdy dotąd.

Tik... tak.

Tik... tak.

– Gdzie jesteś, Jack?

– Nie wiem.

– Co widzisz?

– Lekarz.

– Jesteś u lekarza?

– Lekarz”.

Mój głos, bardzo wysoki. Mój, ale jakby nie mój.

Oto zaginione nagranie z dyktafonu Kaylie. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Znowu odezwał się mój głos, choć brzmiał jak u małego dziecka.

„– Już nie, już nie, już nie, już nie, już nie”. – Powtarzałem te same dwa słowa w kółko przez blisko pięć minut, po czym mój głos się obniżył, tak że brzmiałem jak znacznie starszy mężczyzna...

„– Jeszcze raz” – powiedział ten niski głos.

„– Może już więcej nie wytrzymać”. – Znowu mój głos, ale o oktawę wyższy.

„– Jeszcze” – nalegał bas.

Dziecięcy głosik powtarzał jak najęty:

„– Już nie, już nie, już nie, już nie”.

„– Jeszcze, psiakrew”. – Basem.

„– Próbuję.

– Przetnij tętnicę promieniową, tutaj przy nadgarstku.

– Próbuję.

– Daj mi skalpel.

- Już nie, już nie, już nie. Już...
- Szlag.
- Ty też nie dajesz rady?
- Nie”. – Niski głos.
- „Mamusi? Gdzie jest mamusia?
- Znieczulenie przestaje działać. Więcej chlorpromazyny?” – Wyższy głos.
- „– No daj.
- Gdzie ojciec chłopaka? Jest tutaj?
- W poczekalni. Mam po niego iść?
- Idź. Chcę sprawdzić, czy może on da radę”.

Dwa głośne kliknięcia. Zamiast różnych głosów odezwała się znowu Kaylie, czytała na głos z jakiegoś podręcznika do psychologii. Pewnie nagrywała notatki do egzaminu. Stare nagranie, prawdopodobnie zostało z tego, co było wcześniej na taśmie.

Stella patrzyła na mnie zdumiona.

- Czego my słuchamy? Robili na tobie jakieś testy w Charter?

Pokręciłem głową. Nie wiedziałem.

Znów dwa kliknięcia.

„Tik... tak.

Tik... tak.

- Słyszysz mnie, Jack?

– Mhm.

- Co to było?

– Nie wiem.

- Kiedy to było?

– Młody.

- Mniej niż pięć lat?

– Tak.

- Mniej niż dwa?

– Chyba tak.

- Wróćmy do tego.

– Nie chcę.

Tik... tak.

Tik... tak.

- Widziałeś jeszcze kiedyś tego lekarza? Potem?

– Tak.

– Zabierz mnie do następnej wizyty. Ze mną jesteś bezpieczny, Jack. Nie mogą zrobić ci krzywdy. To tylko wspomnienia.

Tik... tak.

Tik... tak.

– Jack?”

Cisza.

„– Jack?

– Zwiększ do siedemdziesięciu pięciu miliamperów”. – Niski Głos.

„– Już dajemy siedemdziesiąt pięć”. – Wysoki Głos.

„– Na pewno? Oddycha tak samo.

– Na pewno.

– No to daj sto.

– To dawka śmiertelna.

– Wiem”.

Cisza.

„– Dajemy sto. Brak zmian. Oddech i tętno nieco podwyższone, ale nadal w normie.

– Niezwykłe. Podnieś do stu pięćdziesięciu”. – Niski Głos.

„– Zwiększam natężenie do stu pięćdziesięciu miliamperów.

– Już nie, już nie, już nie, już nie, już nie.

– Protestuje dlatego, że zwiększyliśmy natężenie i wreszcie odczuwa ból, czy chce, żebyśmy po prostu przestali?” – Inny głos, ton gdzieś pomiędzy tym Wysokim a Niskim.

„– Trudno powiedzieć. Używa tego wyrażenia w domu?” – spytał Niski Głos.

„– Może przy matce. Ja nigdy nie słyszałem, żeby tak mówił”.

Poczułem się tak, jakby ktoś kopnął mnie w brzuch.

Mój ojciec tam był, kiedy robili mi te straszne rzeczy.

Do Stelli też musiało to dotrzeć, bo mocniej ścisnęła mnie za ramię.

„Tik... tak.

Tik... tak.

– Jack, co to było?” – Znowu Kaylie.

Bez odpowiedzi.

„Tik... tak.

Tik... tak.

– Jack, chciałabym, żebyś opowiedział mi o mleku czekoladowym.

– O mleku?

– Dlatego do mnie przyszedłeś, prawda? Chciałeś się dowiedzieć, co się stało z twoimi rodzicami. Wspominałeś o mleku czekoladowym. Zabierz mnie tam. Zabierz mnie do tej chwili z mlekiem czekoladowym. Możesz to dla mnie zrobić?

– Tak.

Tik... tak.

Tik... tak.

– Pije to mleko?” – spytał Niski Głos.

„– Codziennie. Czasem nawet dwa razy dziennie”. – Średni głos. Głos mojego ojca.

„– Przygotowujesz mieszankę, tak jak ci kazaliśmy?”

– Wczoraj prawie podwoiłem dawkę. Żadnych efektów.

– Taka dawka arszeniku powaliłaby konia. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?”

Głośne kliknięcie.

Taśma się zatrzymała.

Poczułem zapach wanilii od siedzącej u mojego boku Stelli. Wpatrywała się w GTO.

Z głośnika krótkofalówki odezwał się metaliczny głos mojego ojca.

– „Jack, to nie tak, jak myślisz”.

Tymczasem z lasu wyszło prawie pięćdziesiąt osób, wszystkie ubrane na biało. Z zapalonymi świecami w dłoniach ruszyły w stronę wąwozu między torami kolejowymi.

## 20

– Szlag – rzucił Preacher, obserwując zbliżającą się tłuszczę przez celownik sztucera Savage 110.

Po lewej miał Hobsona, po prawej Dunka.

– Macie lornetkę?

Dunk podał mu spore urządzenie marki Swarovski. Wojskowa lornetka z wbudowanym laserowym dalmierzem. Potem wcisnął guzik transmisji na swoim nadajniku.

– Nie strzelać, dopóki nie powiem.

– Ilu? – spytał Hobson.

Preacher rozglądał się w obie strony.

– Pięćdziesięciu, sześćdziesięciu... Trudno powiedzieć.

Słyszeli nagranie ryczące z głośników pontiaca GTO. Słyszeli też, jak po wszystkim Eddie Thatch odezwał się przez radio. Preacher rozejrzał się po dachu, ale nigdzie go nie było. Widział go chwilę wcześniej, ale teraz Eddie zniknął.

– Widzisz jakąś broń? – spytał Dunk.

– Może. Pod płaszcami. Trudno stwierdzić. Ale wszyscy mają świece.

– Świece? – zdziwił się Dunk. – Swoją drogą, czemu oni zawsze ubierają się na biało?

– Chuj ich wie. – Preacher oddał Dunkowi lornetkę i wprowadził nabój do komory sztucera.

– Chcesz rozpętać strzelaninę? – spytał Dunk.

– Chcę nauczyć ich czegoś o szanowaniu granic.

Dunk znowu włączył krótkofalówkę.

– Za chwilę usłyszycie strzały. Wszyscy pozostali: wstrzymać ogień. Powtarzam: wstrzymać ogień.

Sztucer miał mocny odrzut, ale Preacher ani drgnął. Przez celownik zobaczył, jak kawałek ziemi przy torach kolejowych wzbija się w powietrze o dwa kroki od nadciągających postaci.

Dunk obserwował scenę przez lornetkę.

– Mogło pójść rykoszetem.

– Niezbyt mi zależy na tym, żeby nic im się nie stało. – Preacher odciągnął rygiel, wyrzucając pustą łuskę i wprowadzając kolejny nabój. Obrócił się nieco i znowu wypalił, tym razem celując w drugą stronę wawozu. Pocisk uderzył w belkę podkładu kolejowego mniej więcej o krok od jednego z ludzi w bieli. Ten nawet się nie skrzywił, w ogóle nie zareagował, tylko dalej szedł przed siebie.

– Czy Pickford może zmusić ludzi, żeby ignorowali pociski albo nie bali się śmierci?

Preacher znowu strzelił. Kula wbiła się w ziemię o kilka centymetrów od dwudziestokilkuletniej kobiety. Ona też ani drgnęła i sunęła do przodu.

– Skoro Pickford może skutecznie kazać komuś się zabić, to musimy chyba założyć, że może zmusić człowieka praktycznie do wszystkiego – stwierdził Preacher. Oddał kolejny strzał. Tym razem trafił w stopę mężczyzny kroczącego mniej więcej w środku szeregu, który minął już tory i teraz przemieszczał się szybciej po płaskim terenie. But mężczyzny eksplodował, ale on się nie zatrzymał, ciągnął za sobą ranną nogę, ignorując zapewne straszliwy ból. – Mogę tak sobie strzelać całą noc, ale oni się nie zamierzają zatrzymać. Potrzebny nam nowy plan.

– W obecnym tempie dotrą do budynku za jakieś trzy minuty – zauważył Hobson.

Preacher spojrzał na Dunka.

– Ty tu rządzisz, ale jak dla mnie to masz tylko dwie opcje. Albo otwieramy ogień i ich wszystkich kładziemy, albo pozwalamy się im zbliżyć i ryzykujemy walkę jeden na jednego. Siły liczebne mamy wyrównane, ale po obu stronach poleje się krew.

– Nie wiemy, czy mają spluwy. Nie chciałbym wystrzelać zgrai nieuzbrojonych czubków ze świeczkami.

Preacher uśmiechnął się kpiąco.

– Myślałem, że jesteś jakimś gangsterem czy coś.

Dunk zastanowił się chwilę, po czym wcisnął guzik transmisji na radionadajniku.

– Na mój sygnał wszyscy strzelcy z bronią dalekiego zasięgu mają wystrzelić po sześć kul, mniej więcej na pół metra przed tymi ludźmi. Tylko strzały ostrzegawcze. Nie chcemy nikogo trafić. Przynajmniej na razie.

– Musimy celować w głowę i serce – mruknął Preacher, ustawiając broń na wybrany cel.

– Potem będziemy strzelać, żeby zabić – oznajmił Dunk i wydał rozkaz otwarcia ognia.

## 21

– Jack, dobrze się czujesz?

Dotyk ręki Stelli na moim ramieniu.

Echo nagrania w głowie.

Potem głos mojego ojca. „Jack, to nie tak jak myślisz”.

Zmusiłem się, żeby pokiwać głową.

W tej chwili z dachu i różnych stanowisk przed hutą stali posypał się grad kul. Na otwartej przestrzeni między torami kolejowymi a Carrie Furnace Boulevard eksplodowała ziemia – powietrze przed tłumem ciągnącym w stronę budynku wypełniła chmura pyłu i kurzu.

Ludzie ubrani na biało nie biegli. Szli przed siebie bardzo szybkim krokiem, trzymając z przodu świece i osłaniając ich płomień w skulonych dłoniach.

Nie zwolnili.

W ogóle nie zareagowali na ostrzał.

Wciąż kroczyli przed siebie.

Nie zatrzymywali się, dopóki nie dotarli do betonowego placu wokół głównego kompleksu huty. Dopiero wtedy wreszcie przestali iść przed siebie i znieruchomieli.

Zobaczyłem ich twarze. Byli już wystarczająco blisko. Twarze te były pozbawione wszelkiego wyrazu, nie malowały się na nich żadne emocje i to właśnie te puste spojrzenia przerażały mnie chyba najbardziej. Przypomniało mi się, jak szybko wycelowałem bronią w Hobsona w domu Cammie, bo David Pickford mi kazał. Zastanawiałem się, co powiedział tym ludziom, jego głos był prawdopodobnie ostatnim, co usłyszeli.

Przez radiotelefon dobiegło:

– Mam tu osiemnastu na północnym trawniku!

– Szesnastu od południa – odparł inny głos.

– Dwudziestu ośmiu od frontu budynku.

Szybko przeliczyłem w głowie.

Sześćdziesiąt dwie osoby.

– Ci, których widzimy, nie ruszają się, ale mamy jakiś ruch między drzewami. Jest tam jeszcze ze dwadzieścia parę osób, może więcej.

Sytuacja była beznadziejna. Chyba nikt z nas nie był gotów zabić blisko setki osób.

Nagle wszyscy zrobili krok do przodu, idealnie zsynchronizowani.

– Ja pierdolę, widzieliście to?

– Jak oni to koordynują?

Ktoś strzelił z dachu. Ziemia przed łysiejącym mężczyzną pod czterdziestkę wystrzeliła w powietrze w chmurze czarnej gleby. Nawet nie drgnął, a jego twarz nie zmieniła wyrazu.

Kolejny krok. Wszyscy przysuwali się bliżej.

– Chyba wystarczy tych strażów ostrzegawczych. Musimy zacząć ich kłaść.

– Nie – odparł Dunk. – Jak otworzymy ogień, to się na nas rzucą i będzie koniec. Nie możemy ich wszystkich powstrzymać, nie w ten sposób. Jest ich za dużo!

Rozpoznałem głos Hobsona.

– Jeśli ten gnojek Pickford powiedział tym ludziom, co mają robić, to mogą być zupełnie niewinni. Są pionkami. Mnie próbował zrobić to samo.

Wcisnąłem guzik na nadajniku.

– Ktoś go widzi? Jak zdejmujemy Pickforda, może to się skończy.

Nikt nie odpowiedział. Tylko garstka z nas wiedziała, jak wygląda David Pickford.

Bez żadnej dosłyszalnej komendy wszystkie osoby w bieli sięgnęły za siebie i naciągnęły na głowy kaptury, ukrywając twarze.

Potem znowu ruszyli.

Już nie pojedynczy krok naprzód, jak poprzednio, ale szybki trucht – część skierowała się w lewo, część w prawo.

W przód, w tył, po skosie. Kolejne kilka, może kilkanaście osób wyszło z lasu i przemierzyło wąwóz przy torach, dołączając do pozostałych. Chociaż przemieszczali się w różnych kierunkach, to wszystko zdawało się nieprzypadkowe. Poruszali się z identyczną prędkością. Nikt nie patrzył w górę ani pod nogi, nie oglądał się w bok ani za siebie, a mimo to wcale się nie zderzali.

Wszyscy wciąż spoglądali prosto przed siebie. Niczym stado ptaków zmieniających pozycję w locie. Świetna koordynacja i choreografia.

Zanim w końcu się zatrzymali, tłum zdążył powiększyć się już co najmniej o dwadzieścia nowych osób w bieli. Zakryte głowy, płonące świece w ręku.

David zawołał coś gdzieś z dołu, po mojej lewej.

Wcisnąłem guzik transmisji.

– Założyć słuchawki!



Dookoła nas ludzie Dunka zaczęli zakładać słuchawki wygłuszające, włączać je i podpinąć do krótkofalówek.

Stella i ja zrobiliśmy to samo.

Odgłosy świata zewnętrznego zamarły.

Po chwili usłyszałem w słuchawkach Dunka.

– Ograniczmy komunikację do minimum, bo będziemy się wzajemnie zagłuszać.

Złapałem Stellę za ramiona i spytałem bezgłośnie: „Wszystko dobrze?”.

Pokiwała głową i próbowała się uśmiechnąć.

Przez radio usłyszałem ojca.

– Jack? Nie ma cię w pokoju. Gdzie jesteś?

Stella też go usłyszała. Zrobiła oczy jak spodki.

Rozejrzałem się w obie strony po pomoście roboczym, ale zobaczyłem tylko ludzi Dunka.

Wskazałem Stelli schody.

Skinęła głową.

Wstałem i pomogłem się jej podnieść.

Myślałem, że się przewróci, ale wzięła głęboki oddech i jakoś znalazła siłę, żeby ustać na nogach. Zarzuciłem sobie jej ramię na barki i poprowadziłem pomostem w dół po schodach aż do dużego pomieszczenia, w którym spotkałem się z Dunkiem dziesięć dni wcześniej – wielkiego pieca numer 7.

W radiu znowu odezwał się mój ojciec.

– Jack. Nie dali mi wyboru. Musiałem im pozwolić na te eksperymenty. To była część umowy. Tylko w ten sposób mogłem zapewnić bezpieczeństwo tobie i twojej matce. Gdybym odmówił, zabiliby ją, mnie też, a ciebie by zabrali. Nie mogłem do tego dopuścić.

Włączyłem nadawanie.

– Więc zamiast tego pozwalałeś, żeby próbowali mnie zabić? Tyle razy? Byłem malutkim dzieckiem! – Coś przyszło mi do głowy i bardzo pożałowałem tej myśli, bo nie chciałem, żeby była prawdziwa. – Boże, oni ci płacili, prawda? Dlatego stać cię na te wszystkie domy. Dlatego nie musiałeś uciekać tak jak inni. Oni wcale cię nie ścigali. Brałeś pieniądze od Charter, prawda?

Ojciec nie odpowiedział. Znowu mnie olśniło.

– Te pieniądze, które dostawałem co miesiąc, były od ciebie, prawda? Dlaczego mi je dawałeś? Z poczucia winy? Czy jakieś pokrętej odpowiedzialności? To miały być jakieś pieprzone alimenty?

Ojciec znowu nie odpowiedział.

A przynajmniej nie od razu.

Milczał przez prawie minutę.

– Wiedziałem, że dzięki tym pieniądzom mogę ci zapewnić lepsze życie. Bezpieczeństwo. Wynająłem Preachera, żeby ci je dostarczał. Nie mogłem ryzykować powrotu do Pittsburgha.

Poprowadziłem Stellę na tyły rozległej, otwartej przestrzeni, w stronę korytarza biegnącego gdzieś w ciemność. Tam skręciliśmy w prawo. Szliśmy tak długo, aż znaleźliśmy pomieszczenie z oknem wychodzącym na teren przed hutą, skąd mogliśmy obserwować, co się dzieje na zewnątrz.

Ludzie w białych strojach stali zaledwie kilka metrów od budynku, wbijając przed siebie puste spojrzenia. Na parterze nie było ludzi Dunka, górne poziomy zapewniały większe bezpieczeństwo.

Nikt nas tu nie znajdzie. O to mi chodziło.

Wyciągnąłem rugera zza paska, gotów użyć go w razie konieczności.

– Gdzie jesteś, Jack? Powinniśmy o tym porozmawiać twarzą w twarz, nie tak. Nagle Stella zgięła się w pół.

Gwałtownie oderwała rękę od mojego ramienia i złapała się za klatkę piersiową, za brzuch. Twarz jej poczerwieniała, powieki zacisnęły się mocno.

Z krótkofalówki, przez słuchawki, wydobył się ogłuszająco głośny trzask, a potem wysoki, przenikliwy pisk, wbijający się w uszy niczym sztylet. Zerwałem słuchawki z głowy i cisnąłem je na ziemię. Nie ja jeden. Zobaczyłem, jak kolejne pary sfruwają z dachu i roztrzaskują się na betonie za oknem.

Kiedy Stella krzyknęła, kiedy przyciągnęła kolana do piersi i wydała z siebie wrzask, znowu rozległ się ten dźwięk. Tak głośny, że usłyszałem go ze słuchawek leżących pod nogami.

Tak jak radio na cmentarzu, kiedy byłem mały.

Jak system audio w mercedesie tuż przed incydentem nad jeziorem.

Przyklęknąłem i objąłem Stellę, mocno ścisnąłem ją w ramionach.

Też zdarła sobie z uszu słuchawki i rzuciła je na bok.

Za oknem rozległa się kanonada i kiedy wyrząłem na zewnątrz, zobaczyłem trzy trupy w bieli.

Nie wiedziałem, czy David coś mówił, kiedy mieliśmy założone słuchawki, ale teraz usłyszałem jego podniesiony głos.

– Strasznie gorące macie te spluwy, co?! – krzyknął David gdzieś z ubranego na biało tłumu. – Trudno musi je być utrzymać w ręku. Taki rozgrzany metal, aż parzy. Jakby przyciskać rękę do gorącej patelni. Aż skwierczy!

Z początku ruger wydał mi się tylko nieco ciepły.

Trochę poluzowałem chwyt, ale nie puściłem. Kiedy i tak zaczęło mnie parzyć, przesunąłem dłoń na kolbie pistoletu. Dzięki temu ruchowi zyskałem kilka sekund. Nie mogłem utrzymać spustu. Delikatnie musnąłem go palcem.

I wtedy to poczułem.

Palące się ciało.

Wiedziałem, że to sztuczka.

Powtarzałem sobie, że to nie jest prawda.

Ale jakieś dziesięć sekund po tym, jak David Pickford wypowiedział te słowa, zorientowałem się, że upuszczam broń na ziemię i pocieram dłońmi o dzinsy.

Z terenu całej huty zaczęły dobiegać odgłosy odrzucanej broni i rozmaite przekleństwa. Do tego okrzyki. Ludzie do siebie wrzeszczeli. Zastanawiałem się, czy ktokolwiek został w słuchawkach. Wtedy Stella znów się wzdrygnęła, usłyszałem trzaski z porzuconych słuchawek i już wiedziałem, jaka jest odpowiedź – niemożliwe, żeby ktokolwiek w nich został, skoro dobiegały z nich takie dźwięki.

Odłączyłem słuchawki od radia. Po chwili usłyszałem Prechera.

– Ma ktoś pojęcie, gdzie on jest?

– Chyba od północy. Stamtąd przyjechał.

Ludzie w bieli znowu się przemieścili.

Kiedy znieruchomieli, okazało się, że przysunęli się co najmniej o kolejny metr do budynku.

– Wspaniale! Wszyscy nareszcie razem! Jak spotkanie po latach jakiejś patologicznej rodziny – stwierdził David. Tym razem jego głos dobiegał od frontu, gdzieś pomiędzy pontiaca a wejścia do mojego budynku. – Cammie, należą się chyba zaległe gratulacje! Widziałem pokój dziewczynki w twoim domu w Carmel! Córeczka, co za wspaniała nowina! Jak jej na imię?

– Darby! – odrzyknęła Cammie gdzieś z góry. Pewnie z dachu, może z piętra niżej. Nie mogła mu nie odpowiedzieć.

Spod płaszcza jednego z mężczyzn w bieli, stojącego jakieś trzy metry od GTO, wyłoniła się lufa strzelby. Wycelował i strzelił z głośnym hukiem. Posypało się szkło z wybitej szyby w oknie.

– Lubią sobie postrzelać, co? Oni wszyscy tak mają! – David promieniał. – Nikomu nic się nie stało?

Z dachu padły trzy szybkie strzały, jeden po drugim. Dwoje ludzi w bieli upadło, na płaszcach szybko rozlewały im się czerwone plamy.

Pozostali znowu się poruszyli. Twarze mieli ukryte pod kapturami.

– Imponujące! – wrzasnął David. – To pewnie Hobson, co? Nieważne, że parzy, trzeba zastrzelić młodego Pickforda, nie? Hej, Dewey, może się trochę przebiegniesz? Schodź tu w podskokach i się przywitaj!

Jestem pewny, że Precher albo ktoś inny próbował go powstrzymać. Oczami wyobraźni widziałem, jak kilkanaście osób łapie Hobsona i stara się go unieruchomić, ale wszystko działo się za szybko.

Dewey Hobson przeokoziółkował w powietrzu i wylądował na samym środku betonowego placu przed wielkim piecem numer 7, a jego upadkowi towarzyszył nieopisanie paskudny odgłos. Prawa noga wygięła mu się pod niemożliwym kątem. W rękę nadal ścisnął strzelbę, owinał kolbę i cyngiel chusteczką.

Tylko jeden z ludzi w bieli obrócił się, żeby na niego spojrzeć.

Pickford.

Naciągnąłem na dłoń rękaw bluzy i porwałem rugera z ziemi, wycelowałem i nacisnąłem spust. Nie mogłem utrzymać broni na tyle długo, żeby strzelić drugi raz.

Chybiłem.

Ludzie w bieli znów się przemieścili i David zniknął w tłumie.

– Czego chcesz?! – wrzasnąłem przez okno.

– Przede wszystkim chciałbym, żebyście przestali do nas strzelać – powiedział David. – Kto to widział, żeby tak traktować gości. Kolejna osoba, która strzeli z tej waszej huty, zapomni, jak się oddycha, a tego bardzo nie chcemy. Śmierć przez uduszenie jest straszna.

– Przestańcie nas zabijać, to my przestaniemy zabijać was! – zaoferowałem.

Gdzieś spomiędzy białego tłumu David odpowiedział krótko:

– Chcę Stellę.

Spojrzałem na kłębek skulony w kącie przy moich stopach. Znowu straciła przytomność, lśniła od potu, zwijała się w jak najciaśniejszą kulkę.

– Nie ma jej tutaj.

– Chodź tutaj, Stello – powiedział David.

Stella drgnęła, ale się nie ruszyła. Nie usłyszała go.

– No chodź, Stello, wychodź z kryjówki! Pobite gary!

Nie ruszała się.

– Zostawiliśmy ją w Dakocie Północnej, po podróży hydroplanem. Była daleko od ciebie. Kazaliśmy jej uciekać. Nie pozwoliliśmy jej powiedzieć dokąd. Wiedzieliśmy, że pojedziesz za resztą z nas! – odkrzyknąłem.

– Ma już pięć dni zaległości, Jack. Nie może uciekać – stwierdził David. – Jest słaba, umiera. Wiesz, że nie jest z nią dobrze. Ale ja mogę jej pomóc. Może wydobrzeć. Nie mamy jednak dużo czasu. Jest z nią już tak źle, że nie może wyjść o własnych siłach? Na pewno w tym tkwi problem. Mógłbym kazać ci ją przynieść, Jack. Mógłbym ci to rozkazać i dobrze wiesz, że nie miałbyś wyboru, ale nie chcę tego robić. Chcę, żebyś przyprowadził ją zupełnie z własnej woli. Założę się, że jest teraz tuż koło ciebie. Okropnie musi boleć patrzenie, jak tak szybko gaśnie na twoich oczach. Taka piękna dziewczyna marnieje jak więdnący kwiat. Jeśli chcesz ocalić jej życie, musisz tylko ją tu przynieść, żebym mógł jej pomóc. Zacznijmy od tego. A kiedy już jej pomogę, wytłumaczę wam, jak

zamierzam pomóc reszcie z was. Robię porządki w interesie, już prawie skończyłem. – Jego głos nagle się rozjaśnił, o ile można tak powiedzieć o głosie. – Och! Prawie zapomniałem! Mam dla ciebie prezent!

Dziesięć metrów ode mnie, w samym środku tłumu ludzi ubranych na biało, David Pickford zdjął z głowy kaptur. Potężna biało-czerwona blizna po oparzeniu, zajmująca lewą stronę jego twarzy, zaślniła w świetle, a on nawet nie próbował jej ukrywać.

Mój wzrok powędrował do pistoletu, rozpaczliwie pragnąłem zabić Pickforda, ale wiedziałem, że wtedy spełni się to, co zapowiedział kilka minut temu – kto odda strzał, zapomni oddychać i udusi się na śmierć. Choć z całego serca pragnąłem strzelić, wiedziałem, że nie mogę, i modliłem się, żeby nikt inny nie wpadł na ten sam pomysł.

Stella się poruszyła. Podniosła ciężkie powieki.

David przecisnął się przez tłum do stojącego z tyłu pontiaca. Skinął porozumiewawczo głową do mężczyzny w bieli przy drzwiach od strony pasażera.

Mężczyzna sięgnął do środka i zwolnił blokadę bagażnika.

Tyłna kłapa podniosła się z cichym kliknięciem i David nachylił się do środka. Jakby mówił do kogoś szeptem.

Wtedy zauważyłem, że tym kimś jest Latrese Oliver.

Zakneblowano ją. Temblak, na którym wcześniej trzymała chorą rękę, zniknął i czarna kończyzna zwisała jej teraz bezwładnie wzdłuż tułowia. Ciemna plama rozlała się już z ręki na szyję i twarz, śmierć powoli się rozprzestrzeniała. David najpierw kazał jej usiąść, a potem wyjść z bagażnika. Z pomocą jeszcze jednej osoby pomógł jej się wygramolić. Sądząc po tym, jak nienaturalnie stała, domyśliłem się, że martwica z ręki dotarła też w dół, do nogi.

– Bo to było tak, Jack. Kiedy byłem mały, dobrzy ludzie z Charter wykorzystywali mnie do likwidowania uczestników Projektu Koziół. Tak nazwali zastrzyk, który podali naszym rodzicom: Koziół. Mam dokumenty, jeśli chciałbyś przejrzeć. Ja przeczytałem wszystkie akta. Każdy skrawek papieru. Kiedy my się urodziliśmy, rodzice byli już niepotrzebni. To na nas im zależało. Stellę też wykorzystywali. Zadbali o to obecna tutaj kobieta. Właściwie wykorzystywali nas oboje. Ciebie zresztą też. Twój ojciec może ci o tym co nieco powiedzieć.

Latrese Oliver łypnęła na niego spode łba. David odpowiedział uśmiechem.

– Przez lata pragnąłem ją zabić, ale tego nie zrobiłem. Zostawiłem ją przy życiu specjalnie dla ciebie, żebyś mógł popatrzeć. Potraktuj to jako gest dobrej woli. Ty, ja, Stella, a teraz też Darby, jesteśmy nową generacją. Musimy się trzymać razem. Latrese stanowi jednak część problemu, miała swój udział w tym bajzlu. Musi odejść. Zrobiłem już porządki w szeregach pracowników wyższego szczebla Charter. Teraz nadszedł czas zamieść ostatnie brudy na szufelkę.

Stella próbowała wstać, ale prawie się przewróciła. Wyciągnąłem rękę i pomogłem jej się podnieść. Gwałtownie nabrała powietrza, kiedy zobaczyła, w jakim stanie znajduje się Oliver.

David potarł skroń kciukiem.

– Nie będę cię oszukiwał, Jack, dorośli muszą zginąć. Nie da się tego obejść. Naprawdę nie chcę, żeby było nas więcej, a oni mogą narobić więcej takich jak my. Na to nie możemy się zgodzić. – Spojrzał w górę, przebiegając wzrokiem po dziesiątkach obserwujących go osób. – Robi się późno, a ja lubię się wysypiać. Chyba już pora jechać z tym koksem, nie sądzisz?

Jedną ręką obejmowałem Stellę w pasie, drugą opierałem się o parapet. Jej płytki oddech był jedynym odgłosem w niewielkim pomieszczeniu.

– Nie wyjdiesz, Jack? Oliver nie wystarczy? Potrzeba ci bardziej apetycznej marchewki? – David pokręcił głową. – Słyszałeś o Penelope Maudlin? Nasz drogi Dewey Hobson na pewno ją kojarzył. – Wskazał brodą na połamane zwłoki Deweya na betonie.

Stella zasłoniła sobie usta dłonią.

– To Dewey?

Przytaknąłem.

– Twój tata, Cammie, Dalton... czy tam Preacher... wszyscy dobrze ją znali, kumpłowali się na studiach. Na długo przed niefortunnym wypadkiem, który spotkał ją w dziewięćdziesiątym drugim, zaszła w ciążę i też miała dzieciaka. Syna, urodził się w tym samym roku co my. Ale była trochę niezrównoważona. Przez większość życia chłopaka wychowywał ojciec. Potem to też poszło się jebać. Można powiedzieć, że trochę z niego kundel: matka dostała zastrzyk, ojciec nie... – David wyciągnął ręce, robiąc pantomimę wagi. – Trudno powiedzieć, co to oznacza w jego przypadku. Z dokumentacji Charter wynika, że ponieważ tylko jeden rodzic brał udział w eksperymencie, chłopak nie miał żadnych szczególnych zdolności. Postawili na nim kreskę. Ale trzeba przyznać, że ma żyłkę do interesów, może to akurat mu się trafiło. Kto wie. Całkiem nieźle go znasz, więc tak się zastanawiam, czy dostrzegłeś w nim kiedyś coś wyjątkowego.

Stella spojrzała na mnie pytająco.

Wzruszyłem ramionami, nie miałem pojęcia, o kim mówi.

David podniósł głowę i wskazał na budynek szerokim gestem, niczym prowadzący teleturniej.

– Czy mogę poprosić do siebie syna Penelope Maudlin?

Minęła prawie minuta, zanim Dunk wynurzył się z czeluści Carrie Furnace i podpierając się na lasce, pokuśtykał przez biały tłum do Davida.

Dunk nigdy nie wspominał o matce.

Przeprowadził się z Chicago do Pittsburgha tylko z ojcem. W szkole nie brakowało dzieciaków z rozbitych rodzin. Uznałem, że jeśli będzie chciał o tym pogadać, to coś powie. Ale nigdy nie poruszył tego tematu. Ani razu.

Teraz sunął przez tłum jak zombi, przy każdym kroku walcząc z własnym ciałem, ale wezwanie Davida było silniejsze niż wolna woła Dunka.

Kiedy dotarł do Davida, ten kazał mu uklęknąć i Dunk wypełnił również ten rozkaz, choć na jego twarzy malowało się napięcie – wyraźnie próbował się opierać.

David zabrał Dunkowi motorolę i włączył nadajnik.

– Edward Thatch, Cammie Brotherton i Jeffery Dalton! Przyjdźcie tu wszyscy, dołączcie do nas. Nie bierzcie ze sobą broni.

Usłyszałem pogłos słów Davida z głośniczka krótkofalówki przy moim pasku. Po tym apelu padł rozkaz, który zmroził mi krew w żyłach.

– Co się tyczy reszty, to jeśli jesteście zaangażowani w nielegalną działalność pana Duncana Bellina, rozejrzyjcie się, znajdźcie współpracownika lub współpracowniczkę i ich zabijcie. A potem kolejną osobę. Ostatni lub ostatnia zdobędzie nagrodę!

Z początku nic się nie działo. Modliłem się, żeby tak zostało. Ale potem usłyszałem pierwszy strzał. Po nim nastąpił kolejny i jeszcze jeden. Ciała spadały z pomostów roboczych i dachu, rozgniatały się na betonie, deszcz ludzi, niektórzy wciąż ściskali broń, inni mieli na uszach słuchawki, które nie mogły ich ochronić przed atakiem osoby stojącej obok.

Żadnych gniewnych okrzyków czy jęków bólu, tylko śmiertelna cisza.

Stella zamknęła oczy i wtuliła twarz w moją pierś.

– O kurczę, zupełnie zapomniałem o tym, co powiedziałem wcześniej, że jak ktoś strzeli, to zapomni oddychać – powiedział David. – Przypuszczam, że to mogło wykończyć dodatkowe parę osób. Bardzo was przepraszam!

Moc Davida była przerażająca. A to, jak świetnie się przy tym bawił, wzbudzało we mnie autentyczną trwogę.

Mój ojciec pierwszy wyszedł na zewnątrz i ruszył w stronę Davida. Preacher i Cammie dołączyli minutę później, razem z Darby, która kurczowo trzymała się maminej ręki, a różową buzię miała zalaną łzami.

David kazał wszystkim dorosłym uklęknąć w jednym szeregu z Dunkiem. Posłusznie wypełnili rozkaz, nie mieli wyjścia. Uśmiechnął się szeroko do Darby, tak że biało-różowa blizna na jego twarzy rozciągnęła się nieprzyjemnie.

Darby skuliła się za mamą.

– Ty pewnie jesteś Darby! – zaszcebiotał David. – Chodź się przywitać z wujkiem Davidem!

Darby nie chciała. Nawet z tej odległości widziałem, że mocniej chwyta się matki, ale ciało odmówiło jej posłuszeństwa – ręce poluzowały uścisk, nogi zaniósły ją w jego stronę.

David wziął ją za rękę.

– Nie przywitasz się?

– Ona nie mówi – powiedziała Cammie. – Nie rób jej nic, proszę. Błagam, Davidzie...

David przekrzywił głowę.

– W ogóle nie mówi?

– Nie.

– Nigdy się nie odezwała?

– Nie.

Zastanowił się chwilę.

– Jaką ma moc?

– Nie wiem, czy w ogóle jakąś ma.

David schylił się do dziewczynki i uśmiechnął.

– Masz jakieś szczególne zdolności, skarbie? Na pewno masz.

Darby odsunęła się od niego, nie mogąc oderwać wzroku od blizny.

David podniósł rękę i pogładził się po poparzonej skórze.

– Nie ma się czego bać. To piękne. Jestem najpiękniejszym człowiekiem, jakiego widziałas.

– Nie wiem, co chcesz nam zrobić, ale błagam, niech ona na to nie patrzy – powiedziała Cammie.

– Ja? – zwrócił się do niej David. – Ja nie zamierzam wam nic zrobić. Jaki to miałoby sens? Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? Co mi obiecałeś? Już czas.

Stella wyslizgnęła się z moich objęć i ruszyła w stronę drzwi.

– Tak mi przykro, Jack. Mój najdroższy Pipie – powiedziała, zatrzymawszy się na chwilę w progu. Potem zniknęła za załomem korytarza i zostałem sam.

Poszedłem za nią.

Wiedziałem, że nie powinienem. Powinienem pozwolić jej odejść, tak jak już wiele razy wcześniej, ale nie potrafiłem. Zostawiłem rugera na podłodze i ruszyłem jej śladem, przez korytarz i szeroko otwartą bramę prosto w morze ludzi w bieli.

Rozstępowali się na jej widok, w rękach wciąż mieli świece. Głowy i twarze skryte pod białymi kapturami. Szliśmy ze Stellą slalomem między zwłokami, tak wieloma zwłokami rozrzuconymi na betonie. Ciemna krew zmarłych silnie kontrastowała z bielą tych, którzy przeżyli.

– No, jesteś! – zawołał David. – Zaczynałem podejrzewać, że już mnie nie kochasz.



Stella poruszała się wolno, a kiedy od Davida i reszty dzieliły ją jakieś trzy metry, znowu prawie się przewróciła. Złapała się za brzuch i nagle wszędzie wokół nas krótkofalówki zaczęły przenikliwie piszczeć i trzeszczeć.

Podbiegłem do niej, próbowałem jej pomóc, ale wyrwała mi się.

– Nie dotykaj mnie teraz.

David nie zrobił ani kroku w jej stronę. Wiedział, że nie powinien teraz znajdować się w zasięgu jej ręki.

Stella stanęła prosto, mimo że kolana miała miękkie i roztrzęsione, i wygładziła sukienkę.

Beton, na którym staliśmy, przez lata skruszyły chwasty, wyrastały ze szczelin w spękany placu. W miejscu, w którym stała Stella, wszystkie rośliny były czarne, zwiędłe, martwe. Otaczał ją krąg śmierci.

Patrzyła na to Latrese Oliver, klęcząca u stóp Davida. Pozostali też. Oliver wyglądała potwornie staro. Przybyło jej chyba ze sto lat, od kiedy byliśmy dziećmi. Piętno śmierci z ramienia rozpełzło się już nie tylko na twarz, lecz także skórę głowy, zostawiając łyse plamy wśród białych włosów. Oko po tej stronie twarzy było mętne od zaćmy. Lewy kącik ust znieruchomiał, jak u osoby po wylewie. A mimo to nadal uśmiechała się do Stelli. Wyciągnęła do niej zdrową rękę.

– Kocham cię, Stello. Wybaczam ci, że mi to zrobiłaś. Wiem, że to nie była twoja wina. Wykończ tego małego gnojka.

David wybuchnął śmiechem.

– Stella nie może zrobić mi nic złego. Prawda, Stello? Nie skrzywdzisz mnie.

– Nigdy bym cię nie skrzywdziła, Davidzie Pickfordzie.

Powiedziała to z tą samą płaską intonacją, z jaką odzywał się Dewey Hobson. „David Pickford jest pięknym człowiekiem”.

I wtedy do mnie dotarło.

Prawdopodobnie zdawałem sobie z tego sprawę już od dawna, ale nie chciałem się do tego przyznać przed samym sobą.

To Stella zadzwoniła do Charter z domu mojego ojca. Nikt inny nie mógł tego zrobić. Musiała działać pod wpływem komendy wydanej dawno temu przez Davida, uśpionej przez cały ten czas.

Zorientowała się, o czym myślę.

– Kazał mi zadzwonić, kiedy wszyscy będą razem. – Nie patrzyła na mnie. Wbijiała wzrok w ziemię. – David ma rację. To naprawdę jedyny sposób, żeby z tym wszystkim skończyć. Charter musi zniknąć, nie może zostać ani ślad po tym programie i zaangażowanych w niego ludziach. Jeśli cokolwiek zostanie, to będzie jak ziarenko chwastu. Odrośnie, może nawet silniejszy niż wcześniej. Już

zawsze będziemy musieli uciekać. Oni wiecznie będą o krok za nami. To się musi skończyć.

– Stello, ci ludzie są naszymi przyjaciółmi, rodziną.

– Twój własny ojciec stał bezczynnie i patrzył, jak próbowali cię zabić. Jak sam już wielokrotnie podkreślałeś, ta kobieta, ci ludzie zmuszali mnie do zabijania. Davida też. Byliśmy dziećmi. Skąd mogliśmy wiedzieć, że to złe?

– Pamiętasz, co ci powiedziałem, Stello? – spytał David łagodnie. – Tamtego dnia w celi? Co wyszeptałem ci do ucha?

Stella ściągnęła rękawiczkę z prawej dłoni i rzuciła ją na ziemię.

– Powiedziałeś mi, że kiedy przyjdzie pora, będę mogła ich wszystkich zabić. – Zdjęła i upuściła drugą rękawiczkę. – Boże, Davidzie, jak długo miałam na to czekać?

– To wszystko wkrótce się skończy. I nareszcie będziemy mogli być razem – powiedział David.

Uśmiechnęła się do niego, a ja poczułem się tak, jakby ktoś wbił mi w serce ostry szpikulec.

– Zawsze tylko o tym marzyłam.

Stella minęła Latrese Oliver, pokuśtykała do Dunka i uklękła przed nim.

– Spierdalaj stąd – warknął.

– To on zabił twoją przyjaciółkę Gerdy, prawda, Jack? I właściciela jadłodajni. Wszystkich ludzi, którzy tam wtedy byli. Dla pieniędzy. Tylko po to, żeby się wzbogacić. Nie ucieszysz się, kiedy umrze? Czyż nie na to właśnie zasługuje? – Wyciągnęła rękę i musnęła palcem brzeg jego koszulki, o milimetry od skóry na szyi. – Ile jeszcze osób straciło przez niego życie od tamtego czasu? Sprzedaje im truciznę. – Obejrzała się na mnie. – Można powiedzieć, Jack, że ty też masz ich krew na rękach. Dlaczego nie pozwoliłeś mu spłonąć w tamtej knajpie?

Dunk tkwił w bezruchu, nie mógł nawet drgnąć. Niewątpliwie zasługa Davida.

– To nie ja – wydusił Dunk, walcząc z zakłębieniem Davida. – To wszystko... Alonzo. Ja bym... nie mógł. Nigdy.

David spojrzał na mnie i dostrzegł niepewność w moich oczach.

– Nie wierzysz mi?

– Nie wiem, w co mam wierzyć.

– Jeśli rozkażę mu powiedzieć ci prawdę, nie będzie miał wyboru. Założę się z tobą, coś w rodzaju dżentelmeńskiej umowy. Każę mu powiedzieć ci prawdę, ale jeśli rzeczywiście był za to odpowiedzialny i właśnie skłamał, to zginie pierwszy. Pozwolę ci nawet go zabić.

– Nikogo nie zabiję.

– Ale chcesz poznać prawdę, czyż nie?

Nie odpowiedziałem.

David wzruszył ramionami.

– Cóż, teraz to ja sam chciałbym ją poznać. Zaciekawileś mnie. – Odwrócił się do Dunka. Odchrząknął teatralnie. – Czy zrobiłeś to, o co oskarżyła cię Stella? Czy odpowiadasz za śmierć tych ludzi?

Tym razem bez wahania wyrzucił z siebie jedno słowo, już niepowstrzymany wcześniejszym rozkazem Davida, żeby milczeć. Unieważniła go nowa komenda.

– Nie – odparł Dunk.

Spojrzał mi w oczy i wiedziałem, że mówi prawdę.

Od początku mówił prawdę.

Wiedziałem, że się myliłem.

– Moi przyjaciele, prawdziwi przyjaciele, to jedyna rodzina, jaką mam – dodał Dunk. – Ci ludzie byli moimi przyjaciółmi. Zrobiłbym wszystko, żeby przywrócić im życie.

Stella znowu zgięła się wpół. Tym razem rzeczywiście upadła. Leżała na ziemi, przyciskając ręce do brzucha. Wydała z siebie straszliwy krzyk, a krótkofalówki zawtórowały jej chórem bólu.

– Musisz coś zjeść, Stello – powiedział David, kiedy minął atak.

Stella pokiwała głową i powoli podniosła się na nogi, o centymetry od Latrese Oliver.

Znowu próbowałem do niej podejść i znowu kazała mi się cofnąć.

– Jak nad jeziorem – wydusiła przez zaciśnięte zęby.

Od dotyku jej rąk nie tylko więdły i marniały chwasty, ale nawet beton pociemniał, popękał, postarzał się. Kiedy w końcu udało jej się wstać, otaczający ją fragment placu wyglądał na kilkanaście, kilkadziesiąt lat starszy niż reszta, niczym starcza plama na skórze.

Oczy Stelli były przekrwione, skóra blada jak śnieg. Wyciągnęła rękę do Latrese Oliver, jej drżące palce zawisły w powietrzu tuż przed zniszczoną twarzą.

Po zachodzie słońca temperatura wyraźnie spadła, więc oddech Oliver zamieniał się w białe obłoczki pary.

– David Pickford jest tu dla ciebie, Stello. Przywiodłam go tutaj specjalnie dla ciebie. Jest w nim tyle zła, pewnie wystarczy, żeby zaspokoić twój apetyt. Ale jeśli nie, to jest też Duncan Bellino. Ci dwaj nasycą twój głód. Nawet sobie nie wyobrażam, jak bardzo musisz cierpieć, pięć dni po terminie. To prawdziwy cud, że jeszcze z nami jesteś. Weź ich, weź także mnie, jeśli musisz. Oddaję ci się dobrowolnie. Umrę z radością, jeśli dzięki temu poświęceniu ty będziesz żyła. Moje życie stanie się częścią twojego, więc w pewnym sensie przeżyję. Weź nas wszystkich, każdego i każdą, weź...

Stella znowu upadła, resztki krwi odpłynęły jej z twarzy. Przewróciła się na ziemię, ale Oliver, zamiast się odsunąć, jeszcze się do niej zbliżyła. Sięgnęła po bezwładne ramię Stelli, wzięła jej dłoń i przycisnęła ją sobie do zdrowego policzka.

– To dla ciebie, Stello! Dla ciebie!

Oliver zaniósł się przerażającym rechotem, kiedy skóra pod palcami Stelli zaczęła robić się czarna i szara, a w końcu tlić, rozgrzana do białości. Po chwili śmiech zmienił się w krzyk, a potem we wrzask, w miarę jak czerń rozlewała się po całym jej ciele, omijając miejsca już wcześniej objęte martwicą, wysysając z niej ostatnią kroplę życia. Jakby spłonęła, ale nie do końca.

Patrzyłem, jak Latrese Oliver umiera, jej ciało pada na ziemię obok Stelli. Stella prawie na nią upadła, oddychała głęboko, każdy haust powietrza był chrapliwszy od poprzedniego. Oparła się o ziemię, żeby odzyskać równowagę, a beton wysychał i kruszył się pod jej dłonią.

– Fantastyczne! – zawołał David. Uśmiechał się tak szeroko, że jego blizna rozciągała się do granic możliwości. – Kto chce być następny? Mamy ochotników?

Stella obróciła głowę i spojrzała na mnie przekrwionymi oczami.

– Za... mało...

Wcześniej beton tylko się starzał, ale teraz dosłownie się rozpadał. Pękał, kruszył się i zmieniał w proszek od dotyku jej palców. W końcu z szarawobiałego proszku został pył.

– Nie... mogę... przestać... – wydusiła Stella.

Wszyscy widzieliśmy powiększający się krąg.

Preacher próbował wstać, ale nie zdołał.

Cammie i mój ojciec też nie mogli się ruszyć.

David cofnął się o krok, z zaciekawieniem przyglądając się betonowi.

– Nie możemy się ruszyć – powiedział ojciec. – David nam zabronił.

– Zwolnij ich, David. Musimy uciekać – powiedziałem, obserwując powiększający się krąg.

– Nikt nie będzie uciekał – odparł David. Spojrzał na nich i pokazał palcem. – Żadne z was. Jesteście jak kamienne posągi.

David zrobił kolejny krok w tył.

Stella łąpczywie łykała powietrze. Zaciśnęła powieki. Buntowniczo pokręciła głową, ale nic to nie dało. Cokolwiek się z nią teraz działo, stawało się coraz intensywniejsze, zamiast spowalniać. Coraz silniejsze.

– Nie... mogę...

Krąg ciągle się poszerzał, trawa i chwasty więdły, beton starzał się o setki lat w ciągu sekundy, umierał.

Kiedy rozszerzająca się plama dotarła do jednego z ludzi w bieli, trzydziestoparolatka, śmierć rozlała się pod jego stopami niczym woda występująca z brzegów. Wytrzeszczył oczy, rozdziawił usta i wrzasnął. Czubki palców, dłonie, wystające z rękawów płaszcza przedramiona zrobiły się czarne, potem szyja. Przewrócił się, zanim czerń dosięgła jego twarzy. Zgodnie z rozkazem Davida nie mógł uciekać. Śmierć go pożarła, a potem bez wahania rozprzestrzeniała się dalej od skulonej Stelli, poszerzając zasięg. Z każdym odebraniem życia przyspieszała, apetyt rósł w miarę jedzenia.

Fala śmierci dotarła do mnie, a chociaż mnie akurat David nie zabronił się ruszać, sparaliżował mnie strach. W bezruchu czekałem na ból. Patrzyłem, jak beton pęka i rozpada się pod moimi stopami, a potem krąg poszerza się dalej.

– Jack! – krzyknął mój ojciec. – Złap mnie za rękę.

Nie od razu zrozumiałem.

– Testy! Twój dar... jest jak... bańka. – Ledwie zdołał to wszystko wydusić, siła kontroli Davida była mocniejsza niż chęć odezwania się przez ojca.

Zdarłem lateksowe rękawiczki, odrzuciłem je na bok i złapałem jego dłoń w chwili, gdy zbliżała się do niego śmierć, ścisnąłem jego palce. Plama śmierci rozlała się pod nim i rozprzestrzeniała się dalej.

Jakimś cudem zdołał wyciągnąć dłoń i złapać Cammie, a ona Dunka. Dunk wziął za rękę Preachera, a on Darby. Krąg poszerzał się wokół nas.

David się obrócił, spojrzął na pole i tory kolejowe. Wyraźnie rozważał, czy uda mu się uciec. Wszyscy jednak znaliśmy prawdę. W miarę jak ciemny żarłoczny cień się powiększał, przyspieszał i nabierał apetytu. Nie było szans go prześcignąć. Mimo to już miał spróbować, kiedy wyciągnęła się do niego mała rączka.

David obiema rękami złapał się Darby i nie puszczał, podczas gdy śmierć przesuwiała się pod nim i dalej, rosnąc tak szybko, że aż dało się usłyszeć, jak pochłania wszystko po drodze. Najpierw tylko trzask, potem hurgot, a w końcu wściekłe grzmienie wyzwolonego tornada.

Dookoła nas upadali ludzie w bieli, przewracali się na ziemię z krzykiem, ich ciała robiły się czarne i umierali, zanim zdążyli uderzyć w ziemię – pięcioro, dziesięcioro, dziesiątki.

Przez cały ten czas Stella tkwiła w centrum. Jej palce ugniatały ziemię, ramiona jej drżały, całym ciałem wstrząsały niekontrolowane drgawki.

Krąg rozprzestrzenił się poza zniszczony beton, pożerał otaczającą trawę i chwasty niczym pożar bez ognia, zostawiając za sobą jałową ziemię. Dotarł do drzew i te zaczęły upadać, jedno po drugim. Strzeliste pnie padały jak kręgle.

Myślałem, że to się nigdy nie skończy, że ta połać śmierci pokryje wszystko, zdawało się to trwać wiecznie. Gdyby ktoś mnie zapytał, stwierdziłbym, że zajęło

to przynajmniej godzinę, może dłużej, ale w rzeczywistości skończyło się w niespełną minutę.

Stella upadła. Osunęła się na ziemię kompletnie wycieńczona.

Drzewa zaspokoiły jej głód. Wreszcie się nasyciła.

Zapadła całkowita cisza, tylko gdzieś z oddali dobiegł gwizd pociągu.

Cały grunt wokół nas był czarny. Potężna, idealnie okrągła plama nicości, a w samym środku wykończona, ledwie żywa Stella, zwinięta w kłębek jak kupka nieszczęścia.

Ludzie w bieli odeszli.

Wszyscy nie żyli.

W odróżnieniu od zwłok znajdujących w przeszłości, jakby spalonych, ale nie do końca, z tych nie zostało nic. Energia, którą eksplodowała Stella, jej głód, jej klątwa wyssały życie z otoczenia do ostatniej kropli. Został tylko czarny pył, nic więcej.

Poczułem na głowie kroplę deszczu, a potem kolejne, bo oto niebo się otworzyło i zaczęło oczyszczać Matkę Ziemię, natychmiast zmywając z niej piętno tego, co się właśnie wydarzyło.

Ojciec wciąż ścisnął moją prawą rękę i oczami wielkimi jak spodki wodził po otaczającej nas pustce, po Stelli, po ziemi pod swoimi kolanami, aż w końcu spojrzął na mnie.

Cammie, Preacher i David toczyli wzrokiem po spustoszonych terenach Carrie Furnace z równie nabożnym zdumieniem, obracając głowy na wszystkie strony.

Preacher pierwszy wybudził się z transu. Puścił dłonie Cammie i Darby i wstał. Wyprostował się i zwrócił w stronę Davida, gotów do ataku.

David cofnął się o krok i otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Wyraźnie go to zaskoczyło. Przymrużył oczy w konsternacji. Jedną ręką złapał się za gardło, druga nadal tkwiła w uścisku Darby.

David poruszył ustami, jakby krzyczał, ale nie wydobyło się z nich nic oprócz zużytego powietrza.

Darby zadarła głowę, mocniej zacisnęła rączkę i uśmiechnęła się szeroko.

Chyba dokładnie w tej samej chwili zorientowaliśmy się z Davidem, co się stało. Spojrzął na swoją dłoń w dłoni Darby, dziewczynki, która nie mogła mówić, a której dar wreszcie został zrozumiany, bo podzieliła się nim z tym miłym panem.

Wyrwał się jej i wycofał w całkowitej ciszy, a Cammie i mój ojciec wstali, bo zaklęcie przestało działać. Próbował zmusić ich, żeby znowu uklękli, bezgłośnie poruszała ustami, ale nic to nie dało.

David Pickford rzucił się do ucieczki.

Patrzyliśmy, jak przebiega przez wąwóz i niknie wśród drzew po drugiej stronie torów. Wszyscy byliśmy zbyt wykończeni, żeby go ścigać.

Ciszę znowu przeszył gwizd pociągu, tym razem znacznie bliżej.

Obróciłem się w samą porę, żeby zobaczyć, jak Stella podnosi się na nogi. Ona też zaczęła się cofać i bezgłośnie wypowiadać jakieś słowa, bo zalewała się łzami. „Przepraszam, Jack. Bardzo mi przykro. Kocham cię, zawsze cię kochałam, pamiętaj o tym”.

Skąd ona wzięła na to siłę?

Pewnie nigdy się nie dowiem.

Popędziła w stronę torów kolejowych.

Pobiegłem za nią, mięśnie nóg wyły z bólu, bo zmuszałem je do wysiłku intensywniejszego niż kiedykolwiek w życiu. Zmniejszyłem dystans, ale Stella i tak pierwsza dopadła do szyn. Stała pochylona, opierając ręce na kolanach i nie próbując ukrywać łez. Całym jej ciałem wstrząsał gwałtowny szloch.

Tamte pierwsze krople deszczu miały charakter rozpoznawczy, ale po nich nastąpiły już bardziej zdecydowane – tłuste, zimne, ciężkie krople, przenikające do szpiku kości.

Znowu rozległ się głośny gwizd. W naszą stronę toczył się pociąg towarowy, ciemność nocy przecinał pojedynczy snop oświetlenia lokomotywy.

Stella stała na środku torów. Odwróciła się do mnie, mokre włosy zasłaniały jej pół twarzy.

– To on, Jack! Boże, błagam, uwierz mi. To wszystko David, rzeczy, które powiedział mi dawno temu. Nie mogłam się powstrzymać. Chciałam ze wszystkich sił, ale nie mogłam, poza tym było ze mną tak źle... jak wtedy nad jeziorem, ale jeszcze gorzej... kiedy już się zaczęło, nie mogłam przestać. Próbowałam, Jack. Uwierz mi, proszę. Musisz wiedzieć, że próbowałam. –

Obejrzała się na teren Carrie Furnace, na szerniałe pola i skruszony beton, na kompleks budynków, świadoma, że nic nie uchroniło się przed jej żarłoczną żądzą, że wysała całe życie. – O mój Boże, zabiłam ich wszystkich, prawda? Wszystkich co do jednego! – Znowu zgięła się wpół.

Przekroczyłem szynę i do niej podszedłem. Położyłem rękę na jej plecach. Powiedziałem, że mój ojciec, Preacher, Cammie i Darby przeżyli. Że David uciekł.

– Nie może już skrzywdzić ciebie, mnie ani nikogo innego. To koniec.

Moje słowa do niej nie dotarły, nie przebiły się przez poczucie winy.

– Nie chciałam, Jack. Naprawdę. Powiedziałam ci, że już nigdy tego nie zrobię, i naprawdę nie chciałam, ale David... – urwała, bo nocną ciszę znów przeciął gwizd pociągu. Blisko.

Stella wstała, spojrzała na pociąg, a potem zwróciła się do mnie.

– Muszę umrzeć, Jack. Dopiero wtedy to będzie koniec. Jestem gorsza niż David, jestem potworem. Potrafię dawać tylko śmierć, sprowadzam ją na wszystko, czego dotknę. Nie mogę z tym dłużej żyć. Nie mogę znowu tego zrobić, ani za rok, ani kiedykolwiek. Byłam gotowa umrzeć, muszę umrzeć. Dzisiaj. Teraz.

Pociąg znowu zagwizdał. Maszynista musiał nas już widzieć, bezpośrednio na swojej drodze.

Gwizd był ogłuszający.

– Kocham cię, Jack. Zawsze będę cię kochać. Wybacz mi, proszę. Nie zapomnij o mnie. Błagam...

Dawno już nie miałem rękawiczek, leżały porzucone gdzieś na ziemi koło mojego ojca i reszty.

Przyciągnąłem Stellę blisko.

Ująłem jej twarz w gołe dłonie.

Pocałowałem ją.

A Stella Nettleton odwzajemniła mój pocałunek.



# Część 6

*Byłaś obecna w każdym wierszu, jaki czytałem.*

Charles Dickens, *Wielkie nadzieje*

8 sierpnia 2010

*Trzydzieści cztery lata*

# 1

– Czytaj.

– No weź

– Czytaj.

– Każesz mi to czytać co rok.

Postukałem palcem w ciemny granit i odchrząknąłem znacząco.

Przewrócił oczami.

– Josephine „Jo” Gargery. Dwunasty marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt sześć do dwudziestego ósmego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt trzy. Siostra, ciocia, przyjaciółka.

Zmarszczył czoło, jak co roku, i spojrzał na mnie.

– Mówiłeś chyba, że miała na drugie imię Laura?

– Tak.

– To dlaczego tu jest napisane „Jo”?

– Wszyscy tak na nią mówili.

– Hm. Ale to imię dla chłopaka.

Uśmiechnąłem się. Rok temu powiedział to samo.

– Była z niej twarda babka.

– I wychowała cię?

– Tak jest, własnoręcznie. Zupełnie sama.

– Po tym, jak twoja mamusia i tatuś umarli?

Pokiwałem głową.

Siedział po turecku na miękkiej trawie. Przesunął się teraz w stronę nagrobka na lewo od Jo.

– To twoja mama?

W wyżłobionych literach zaczął się zbierać mech. Nie zauważyłem tego na początku. Zdrapałem go paznokciem.

– Kaitlyn Gargery Thatch. Szesnasty lutego tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt osiem, ósmy sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt. Kochająca żona, matka i siostra – powiedziałem cicho.

– A to twój tata?

Ten pomnik był czysty, w wazonie stała świeża żółta róża. Skinąłem głową.

– To twój dziadek.

Ten napis przeczytał na głos sam, bez zachęty z mojej strony. Dobry był z niego chłopiec. Kiedy skończył, spojrzął na grób po lewej.

– A kto to jest Abel... Mag...eee...witch?

– Abel Magwitch – poprawiłem go.

– Abel Magwitch. Kto to jest?

– To też mój tata.

– Miałeś dwóch tatusiów?

Zastanowiłem się. Próbowałem mu to wyjaśnić rok temu i kompletnie się zamotałem. Zadawał pytania przez prawie tydzień, zanim w końcu temat umarł. Wtedy miał sześć lat, teraz już siedem. Cała epoka. Tym razem trzymałem się scenariusza, który ułożyłem sobie w głowie podczas jazdy na cmentarz.

– Tatusia miałem tylko jednego, ale miał dwa życia.

– Więc dostał dwa groby?

– Tak. Po jednym za każde życie.

To go wyraźnie ucieszyło.

– Ojej, to koty muszą zajmować strasznie dużo miejsca na cmentarzach zwierząt.

– Na pewno.

Zawsze jest kolejny rok.

Mój ojciec, Edward Thatch, zmarł po raz drugi 20 lipca 2006 roku – cztery lata temu i osiem lat po wydarzeniach w Carrie Furnace. Miał zaledwie czterdzieści osiem lat. Koniec nastąpił szybko, jak to zwykle bywa, ale jego śmierć ciągnęła się prawie całe te osiem lat.

Najpierw zrobił się zapominalski.

Głęboko żałuję tego pierwszego roku, bo wciąż się kłóciliśmy. Ja go pytałem o wypadek samochodowy, w którym zginęła moja matka, oraz o to, co nastąpiło później, a on udzielał mi tylko krótkich, enigmatycznych odpowiedzi, które prowokowały jeszcze więcej pytań. Potem zauważyłem, że nawet te lakoniczne odpowiedzi bywają zmienne. Z początku opowiadał, że przez blisko rok po ucieczce z Pensylwanii ukrywał się w Kalifornii, ale kiedy spytałem go o to po raz kolejny, Kalifornia zmieniła się w Georgię. Pytałem o testy, które robili na mnie w Charter, kiedy byłem mały, a on nie mógł sobie przypomnieć żadnych szczegółów poza tym, co już wiedziałem. Rok później nie pamiętał już nawet tego. Zacząłem się łapać na tym, że wszystko mu przypominam, próbuję go skłonić, żeby pamiętał.

Lekarze zdiagnozowali wczesnego alzheimera.

Myślałem, że symuluje, co skutkowało kolejnymi kłótniami i awanturami. Przekonałem się, że to prawda, dopiero kiedy pewnego dnia zobaczyłem, jak stoi

przed lustrem i próbuje zawiązać krawat. Przyglądałem mu się przez pięć minut – zakładał go sobie na szyję, docierał mniej więcej do połowy węzła, po czym rozwiązywał go i zaczynał od nowa. Kiedy zauważył, że stoję w drzwiach, poprosił, żebym zawołał matkę. Ona zwykle wiąże mu krawat. To było w maju 2000 roku. Miał zaledwie czterdzieści dwa lata. Lekarze zaordynowali całą baterię badań i odkryli silną mutację trzech genów – APP, PSEN1 i PSEN2. Mutacja tylko jednego z nich wywoływała zwykle chorobę Alzheimera o wczesnym początku. Rzadko zdarzały się mutacje w trzech naraz. Domyślaliśmy się z ojcem źródła tych mutacji, ale nie powiedzieliśmy lekarzom o Charter ani o eksperymencie. Bez słowa wzięliśmy ulotki i listę zalecanych lektur, po czym wróciliśmy do domu. Wprowadził się do mojego starego mieszkania przy Brentwood. Cieszyłem się, że ktoś tam mieszka.

Zaczął zwracać się do mnie „Pip”. Z początku sądziłem, że po prostu słyszał, jak Stella tak do mnie mówi, ale potem przypomniały mi się koperty, comiesięczne dostawy gotówki, każda schludnie zaadresowana „Pip”. Pomyślałem o egzemplarzu *Wielkich nadziei*, który zostawił mi w swoim grobie. Zrozumiałem, że te koperty były kolejną wskazówką, miały zwrócić moją uwagę na tę konkretną powieść, kiedy w końcu bym ją znalazł. Siebie postrzegał jako Abła Magwitcha, dobroczyńcę Pipa z książki. Zapytałem go o to kiedyś, ale tylko się uśmiechnął.

Niespełna dwa miesiące po diagnozie ojciec przestał mówić. Tydzień później nie mógł już sam wstać z łóżka. Nie miałem wyboru, musiałem umieścić go w specjalnej placówce, gdzie monitorowano jego stan i zapewniano mu całodobową opiekę. Ostatnie sześć lat życia spędził więc w domu opieki Cloverdale w Monroeville, w stanie Pensylwania. Odwiedzałem go regularnie i zawsze zastawałem w tym samym miejscu: siedział na wózku pod dużym oknem z widokiem na zachodni trawnik i małą sadzawkę.

Pielęgniarki mówiły, że przed śmiercią prawie się nie odzywał w ciągu dnia, ale często zdarzało mu się mamrotać coś przez sen. Często powtarzał imię i nazwisko David Pickford, ale poza tym niewiele mogły zrozumieć. Spytały, czy coś mi to mówi, ale zaprzeczyłem.

Mój ojciec zmarł po raz drugi przy swoim ulubionym oknie. Byłem za to bardzo wdzięczny losowi. Chciałem, żeby pogodził się z tym, co zrobił. Chciałem mu przebaczyć i powiedziałem mu, że to zrobiłem. Okazało się, że znacznie łatwiej przyszło mi przekonać o tym jego niż samego siebie.

Zanim choroba zupełnie nim zawładnęła, ojciec powierzył mi pełnomocnictwo w sprawach finansowych i z pomocą Mattea zdołałem uzupełnić obraz o brakujące elementy układanki. Nie wchodząc w szczegóły, bo to dla mnie bolesny temat, okazało się, że po śmierci mojej matki ojciec zaczął dostawać z Charter dziesięć tysięcy dolarów miesięcznie. Trwało to mniej więcej do

połowy 1996 roku, a więc prawie dwa lata po tym, jak Pickford „zrobił porządki”. Wielu pracownikom zostawił instrukcje, coś w rodzaju autopilota, więc ktoś z księgowości dopilnował wypłacania ojcu comiesięcznej należności.

Jakaś część mnie chciała nienawidzić mojego ojca i pewnie mało kto miałby mi to za złe, ale przez ponad trzydzieści lat na tej planecie nauczyłem się, że życie jest zbyt krótkie i zbyt kruche, żeby pielęgnować w sercu nienawiść. To uczucie wyżera duszę, pali, ale nie spala. Powtarzałem sobie, że robił to, co wydawało mu się wtedy słuszne. Nie należy winić człowieka, który starał się chronić swoich bliskich przy użyciu dostępnych sobie narzędzi, a wyłącznie tych, którzy nie próbują tego robić. Mój ojciec próbował. Każdego miesiąca, kiedy za pośrednictwem Preachera przysyłał mi pieniądze, ryzykował represje ze strony Charter.

Ojciec rozsądnie inwestował środki, więc w chwili śmierci jego majątek wyceniono na blisko sześć milionów dolarów. Przekazałem cały spadek na badania nad chorobą Alzheimera. Nie potrzebowałem tych pieniędzy.

Nie mamy żadnego dowodu, że za śmierć mojego ojca odpowiadał tamten eksperymentalny zastrzyk. Ani u Cammie, ani u Preachera do dziś nie wystąpiły żadne objawy. Podczas każdego spotkania bacznie ich ze Stellą obserwujemy. Darby na pewno też ma ich na oku.

Jesienią 1999 roku, mniej więcej na rok po wydarzeniach w Carrie Furnace, wróciłem na studia. Ale nie na Penn State. Złe wspomnienia były zbyt żywe. Zamiast tego zapisałem się na Carnegie Mellon i zrobiłem dyplom ze sztuk pięknych. Nauczyłem się znowu czerpać przyjemność z malowania i rysowania. Urządziłem kilka niedużych wystaw, głównie dla rodziny i znajomych, ale i tak było to miłe. Jeśli traficie kiedyś do gabinetu lekarskiego czy banku w Pittsburghu i okolicach, przyjrzyjcie się obrazom na ścianach – może wypatrzyicie taki z podpisem „J. Thatch” w prawym dolnym rogu. Albo „Pip”.

W dniu, w którym odebrałem dyplom ukończenia studiów, wśród publiczności siedzieli Dewitt Matteo i Tess. Muszę przyznać, że Matteo pękał z radości i dumy. Stwierdził, że chociaż zgodnie z wolą cioci Jo miałem pójść na Penn State, to nie sprecyzowała, że właśnie tam miałem zrobić dyplom. Uznał, że ten kruczek pozwala mu odmrozić mój fundusz powierniczy i udostępnić środki, które dostałem w spadku. Nikt się nie sprzeciwił, więc wkrótce stałem się bogatym człowiekiem.

Część majątku przeznaczyłem na zakup niewielkiej farmy w pobliżu parku stanowego Moraine. Mieszkamy tam do dziś.

- Możemy już wracać? Jestem głodny.
- Już niedługo, Dalton. Zahaczymy o jeszcze jedno miejsce.
- No dooobra.

Wybrałem imię „Dalton”, bo wiedziałem, jak bardzo wkurzy to jego wujka Preachera. Do dziś nienawidził swojego prawdziwego nazwiska.

Nie widzieliśmy się przez prawie rok. Po wydarzeniach w hucie stali został jeszcze na kilka dni. Aż tu nagle pewnego poranka jego pontiac zniknął z parkingu razem z kierowcą. Żadnego liściku, adresu do korespondencji. Twierdził, że jest nomadą i tkwienie w jednym miejscu nie wchodzi w grę. Wrócił do dawnego zajęcia. Gdyby ktoś zapytał mnie w dzieciństwie, czy mógłbym się zaprzyjaźnić z cynglem, odpowiedziałbym pewnie: „No jasne!”, bo który dzieciak nie chciałby znać prawdziwego zabójcy na zlecenie? Już zawsze będę uważał Preachera za mojego anioła stróża. Skrzydła może mieć nieco przybrudzone, ale ukrywa się pod nimi dobry człowiek. Za każdym razem, gdy w lusterku dostrzegam białego SUV-a, pocieszam się, że gdzieś tam jeździ też czarne GTO, pilnując równowagi we wszechświecie.

– Poskładaj koc, a ja spakuję jedzenie i radio.

– Nie wiem, czemu zawsze je przynosisz – odparł naburmuszony Dalton. – Nigdy nie działa. W przyszłym roku powinniśmy przynieść iPoda.

Uśmiechnąłem się i nic nie odpowiedziałem. Lubiłem ten stary tranzystor.

Kiedy się spakowaliśmy, wziąłem mojego syna za rączkę. Ruszyliśmy na wschód, mijając kilka starych dębów i nieduży staw, do samotnego grobu w cieniu wierzby. Wyjąłem szmatkę z kosza piknikowego i wytarłem biały marmur. Potem wymieniłem kwiaty w wazonie na ostatnią z żółtych róż, które ze sobą przynieśliśmy.

– Kto to jest Gerdy McCowen? – spytał Dalton.

– Ktoś bardzo szczególny.

– Raju, znasz strasznie dużo martwych ludzi.

Zachichotałem mimo woli.

– No, chyba masz rację. Możesz dać mi chwilkę?

– Czy ktoś się pogniewa, jak będę puszczał kaczki na stawie?

– Myślę, że nic się nie stanie.

Kiedy odszedł, choć wciąż pozostawał w zasięgu wzroku, przyklęknąłem przy grobie Gerdy i zamknąłem oczy.

– Czasem sobie myślę, że jesteś przy mnie każdego dnia. Zawsze gdy czuję ciepło słońca albo słyszę czyjś śmiech, myślę o tobie. Byłaś jasnym punktem w jednym z najciemniejszych okresów mojego życia i chyba nie udałoby mi się przez to przejść, gdybym cię nie znał. Przepraszam, że nie odwiedzałem cię przez te pierwsze kilka lat. Teraz już poukładałem sobie wszystko w głowie. Wiem, co jest w życiu ważne. A ty, Gerdy McCowen, na zawsze będziesz jedną z najważniejszych iskierek w moim życiu. – Urwałem na chwilę i obejrzałem się na wzgórze po prawej stronie. – Zajrzałem też do Krendala i Lurline. Zawsze

sobie wyobrażam, że Krendal prowadzi stołówkę w niebie, a kolejka ustawia się już pod drzwiami i skręca za następną chmurę.

Włoski na karku stanęły mi dęba.

Gwałtownie otworzyłem oczy i obróciłem się w miejscu, pewnie trochę szybciej niż powinienem.

Kilka kroków za mną stała detektyw Joy Fogel.

– Przepraszam, że cię przestraszyłam, Jack. Nie chciałam przeszkadzać.

– A pani detektyw ciągle mnie śledzi po tych dwunastu latach. Może już pora dać sobie spokój? – Uśmiechnąłem się. Wiedziałem, że wcale mnie nie śledzi, ale zawsze miło wbić jej szpilę.

– Odwiedzałam przyjaciela, zobaczyłam cię i stwierdziłam, że przyjdę się przywitać.

– Stacka?

Skinęła głową.

Dalton stał nad stawem z kamieniem w rączce, gotów puścić kolejną kaczkę. Przyjrzał się detektywce podejrzliwie.

– Wszystko w porządku, Dalton. To znajoma taty.

– Wygląda jak glina.

– Tak, chyba masz rację.

Obrócił się z powrotem do wody.

Wstałem, otrzepałem kolana dżinsów i podszedłem do Fogel.

Opowiedziała mi o detektywie Terrensie Stacku już wiele lat temu, kiedy powoli zaczął opadać kurz, ale atmosfera nie była jeszcze zupełnie czysta. David i ludzie ubrani na biało zostawili go związanego w jednym z pokoi na piętrze w jego własnym domu. Mógłby tam umrzeć, gdyby nie listonosz. Wiedział, że Stack rzadko opuszczał dom, więc kiedy przez trzy dni nikt nie wyjmował listów ze skrzynki, zapukał, a że drzwi okazały się otwarte, postanowił sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Nic nie było w porządku.

Stack był przywiązany do krzesła i poważnie odwodniony, majaczył coś o swoim zmarłym partnerze Faustynie Brierze. Przeleżał prawie tydzień w szpitalu, zanim doszedł do siebie na tyle, żeby wypuszczono go do domu. Pół roku później zmarł. Fogel znalazła go w jego ulubionym fotelu, siedział z piwem w jednym ręku i bronią w drugim, wyglądając przez okno na ulicę przed domem. Za przyczynę śmierci uznano wylew. Według relacji Fogel tylko czekał, aż śmierć zapuka do drzwi. Nudziło mu się na emeryturze, zwłaszcza po upadku Charter.

Kiedy Fogel znalazła dawną celę Davida w siedzibie Charter, zadzwoniła po posiłki. Sprowadziła też federalnych. Wywrócili budynek na lewą stronę. Wcześniej jednak zdążyła obejrzeć pierwszą kasetę wideo. Tę, na której David



wychodzi ze swojej celi, wchodzi do pokoju obserwacyjnego i mówi coś w rodzaju: „Którym guzikiem włącza się interkom?”. Kiedy mężczyzna z jednym okiem pokazał mu przycisk, powiedział: „Dzień dobry, nazywam się David Pickford. Od tej chwili to ja zarządzam działalnością Charter. Proszę słuchać uważnie...”. Na tej samej taśmie zarejestrowano śmierć obu mężczyzn z tamtego pokoju.

Fogel żałowała, że wezwała federalnych. Wywieźli stamtąd prawie trzy tiry dokumentacji, materiałów audio-wideo i sprzętu, co wystarczyłoby, żeby postawić z tysiąc zarzutów kierownictwu firmy. Chociaż ciężarówki wyjechały z siedziby Charter do oddziału terenowego FBI w Filadelfii, nigdy tam nie dotarły. Kiedy Fogel próbowała zdobyć jakieś informacje o sprawie, okazało się, że żadnej sprawy nie ma. Niecały tydzień później postanowiła osobiście odwiedzić siedzibę Charter i zastała całkowicie wyludniony, wyszorowany do czysta budynek. Co więcej, wszystkie znaki zastąpiono tablicami fikcyjnej firmy Marshal Field and Grain. Ta sama nazwa widniała na nielicznych skrawkach papieru walających się po wyczyszczonych z krwi korytarzach. Cały kompleks wyglądał jak siedziba firmy z artykułami rolniczymi, która upadła wiele lat temu, a budynku jeszcze nie przystosowano do żadnej nowej funkcji.

Gdyby nie to, że przekazałem jej wszystkie dokumenty ukradzione przez mojego ojca z Charter, nie zostałby żaden dowód ich działalności. Kiedy Stack doszedł do siebie, wspólnie poskładali elementy historii i w końcu wiedzieli już wszystko o zastrzyku, o uczestnikach eksperymentu, którym go podano, o ich dzieciach i o tym, jak wykorzystywano albo mordowano wszystkich zaangażowanych w projekt.

Wkrótce potem Fogel zlikwidowała Tablicę Osobliwości. Oficjalnie zaprzestała wszelkich działań w celu rozwiązania tych spraw, a współpracownicy szybko o wszystkim zapomnieli, bo ledwo nadążali z nowymi śledztwami i coraz większym nawałem pracy. Ósmego sierpnia następnego roku wspomniało o tym może parę osób. Rok później już nikt.

Nie powiedziała mi, gdzie schowała wszystkie dokumenty. Wiedziałem tylko, że znajdują się w bezpiecznym miejscu. Gdzieś, gdzie w razie potrzeby będzie miała do nich łatwy dostęp.

- Ależ on urósł! – zaświergotała, patrząc na Daltona.
- Dzieciaki już tak mają – odparłem. – Co słyhać?
- W porządku. – Sięgnęła do kieszeni i wyjęła odznakę. – Awansowałam na porucznika.
- Gratulacje. Bardzo się cieszę. – Nie udało mi się powiedzieć tego tak radosnym tonem, jak zamierzałem. Próbowałem to zrekompensować szerszym uśmiechem, w związku z czym wyglądałem pewnie jak totalny debil.

W rękę miała srebrną piersiówkę. Zauważyła, że na nią patrzę, i oblała się rumieńcem.

– To whisky, wylewam mu trochę na grób. Trochę staroświeckie, wiem, ale Stack był ze starej szkoły. A wręcz starożytnej. – Zawahała się, po czym podsunęła mi piersiówkę. – Chcesz łyka?

Pokręciłem głową.

– Nie tykam tego od dwunastu lat.

– Naprawdę? – spytała wyraźnie zaskoczona. – To wspaniale, brawo!

Fogel schowała whisky do kieszeni i wskazała głową na główną bramę.

– Muszę się zbierać. Miło było cię zobaczyć. Powinniśmy się kiedyś spotkać. Umówmy się na jakąś kolację czy coś.

– To dobry pomysł. – Ale wiedziałem, że nigdy się nie umówimy.

Patrzyłem, jak odchodzi, znika za górką. Potem zwróciłem się do Daltona.

– Idziemy, młody.

Puścił ostatnią kaczkę i wziął mnie za rękę.

Wspięliśmy się na wzgórze w tylnej części cmentarza, mijając mauzolea. Kiedy zobaczyliśmy tamtą ławeczkę, mój wzrok natychmiast powędrował do siedzącej na niej dziewczynki o długich kasztanowych włosach i przepięknych ciemnych oczach, z książką na kolanach. Kiedy mnie zauważyła, oczy jej się zaświeciły.

– Tata!

Zeskoczyła z ławki, podbiegła i przytuliła się do moich nóg.

Jej matka, siedząca na drugim końcu ławki, też na mnie spojrzała.

Uśmiechnęła się.

Jakimś sposobem Stella z każdym dniem stawała się coraz piękniejsza, a moje serce zawsze tak samo drżało na jej widok.

Ona też czytała książkę. Zamknęła ją teraz i pokazała mi okładkę.

– Jakie to jest świetne!

Książka nosiła tytuł *Błysk w oku diabła*. Autorką była Darby Brotherton.

Darby nie nauczyła się mówić, ale odnalazła swój własny głos. W wieku zaledwie dwudziestu lat wydała już drugi bestseller. Cammie dzwoniła w zeszłym tygodniu, żeby się pochwalić.

Stella podeszła, jej biała sukienka powiewała od podmuchów letniego wietrzyku. Pogoda była idealna, nie mógłbym sobie wymarzyć lepszej.

Zmierziła włosy Daltona i pocałowała mnie, a kiedy nasze usta się zetknęły, poczułem, jakby przeszedł mnie prąd.

– Dobrze się bawiliście, chłopcy?

– Miło było wszystkich odwiedzić. A wy?

Przyklękła i pogłaskała naszą córkę po policzku.

– Clara po raz setny przeczytała *Pajęczynę Szarloty*, po czym postanowiła poszukać słów we wszystkich pajęczynach na mauzoleach.

Uśmiechnąłem się do Clary.

– I co znalazłaś?

– Pająki z Pittsburgha są głupie. Nie umieją pisać.

U żadnego z naszych dzieci nie ujawniła się żadna szczególna moc, dar ani klątwa, nic nietypowego jak na sześciolatkę czy siedmiolatka, ale muszę przyznać, że każdego dnia bacznie ich obserwowaliśmy. Chyba oboje wiedzieliśmy, że w końcu to nastąpi, prawdopodobnie już wkrótce, a my chcieliśmy być na to gotowi, czymkolwiek by to było.

Wziąłem Stellę za rękę i splotłem palce z jej palcami. Nie nosiła przy nas rękawiczek. Nie musiała.

Tamta noc.

Pocałunek.

Nadjeżdżający pociąg.

Kiedy nasze wargi się złączyły, myślałem, że umrę. Spodziewałem się, że spotka mnie taki sam los jak Signorellego i wszystkich innych, którzy doświadczyli dotyku i pocałunku Stelli. Zakładałem, że nawet nie poczuję uderzenia pociągu, bo natychmiast umrę. A jednak nie umarłem. W ogóle nie poczułem bólu.

Mój dar, moje przekleństwo, moja przypadłość, skutki zastrzyku... Dunk nazwał mnie kiedyś nieśmiertelnym. Czy była to kwestia szczęścia, czy jakiejś dziwnej mutacji DNA w następstwie zastrzyku, który przyjęli mojej rodzice – tak czy siak, tkwiło w tym ziarno prawdy. Powinienem był zginąć już wiele razy, same próby Charter powinny wystarczyć, żeby pozbawić mnie życia, a tymczasem żyłem i miałem się dobrze. Przypuszczałem, że któregoś dnia umrę. Nikt nie może żyć wiecznie, ale nie miałem pojęcia, jak ta moja przypadłość ma się do ostatecznych praw natury obowiązujących wszystkie żywe istoty.

Przekonaliśmy się również, że mój dar ma także ciekawe skutki uboczne. Potrafiłem zaspokoić głód Stelli – wystarczyło, że mnie dotknęła. W pewnym sensie mogłem dzielić się moją nieśmiertelnością. Kiedy przyszedł 8 sierpnia 1999 roku, u Stelli nie pojawiły się żadne objawy dawnej choroby. Dzień minął jak każdy inny, podobnie w kolejnych latach.

Gdybyśmy byli baterią, jedno z nas byłoby plusem, drugie minusem, a wzajemnie byśmy się neutralizowali. Uzupełnialiśmy się.

Nie kłamałem, mówiąc Fogel, że od dwunastu lat się nie napiłem. W towarzystwie Stelli nigdy nie pragnąłem alkoholu. A że staliśmy się praktycznie nierozłączni, to już nigdy nie poczułem tej potrzeby.

Pobraliśmy się 8 sierpnia 2000 roku. Ta data była niezwykle ważna dla nas obojga. Nigdy nie braliśmy pod uwagę innego dnia, to musiał być 8 sierpnia. Dzięki temu data ta stała się dla nas świętem.

– O czym myślisz? – spytała Stella, osłaniając oczy przed wyjątkowo jasnym jak na Pittsburgh słońcem.

– O tobie – odparłem. – O tym, jak bardzo cię kocham.

Stella uśmiechnęła się i znów mnie pocałowała.

– Ja też cię kocham, Pip.

– Faj – skrzywił się Dalton.

Clara zachichotała.

– Nie spóźnisz się? – spytała Stella.

Zerknąłem na zegarek. Prawie siedemnasta.

– Szlag. – Ruszyłem w dół wzgórza. – Widzimy się w Mineo's o siódmej? – zawołałem i zacząłem biec.

– Pozdrów go od nas! – zawołała Stella.

## 2

Stanowy Zakład Karny, miejscowym znany jako Więzienie Zachodnie, to placówka penitencjarna o średnim stopniu zabezpieczenia podlegająca Departamentowi Więziennictwa stanu Pensylwania. Zajmuje teren ponad ośmiu hektarów na brzegu rzeki Ohio i leży około ośmiu kilometrów za miastem. Ja dotarłem tam w rekordowym czasie dziewiętnastu minut.

Nie udało mi się odzyskać starego jeepa, porzuconego na parkingu przy szpitalu w Minden, ale w zeszłym roku kupiłem nowiutkiego wranglera. Jeszcze w samochodzie opróżniłem kieszenie i zostawiłem na fotelu pasażera wszystko z wyjątkiem prawa jazdy. Wiedziałem z doświadczenia, że kontrola bezpieczeństwa idzie znacznie szybciej, kiedy nie ma się zbędnego bagażu. Wyjąłem też pasek ze spodni.

Przeszedłem przez parking i zdążyłem ustawić się w kolejce mniej więcej minutę przed tym, jak strażnicy zamknęli drzwi. To oznaczało, że do końca odwiedzin zostało jakieś dwadzieścia minut.

Po przejściu przez kontrolę ruszyłem za zieloną linią na podłodze do sali, czy raczej korytarza, odwiedzin. Na ścianie po lewej wisały automaty telefoniczne, wzdłuż prawej stały nieduże boksy. Usiadłem w przedostatnim i czekałem.

Dunk wkuśtykał jakąś minutę później, wspierając się na plastikowej lasce. Wyginała się nieco pod jego ciężarem. Metal i drewno można wykorzystać jako broń, więc dopuszczalne były tylko laski plastikowe. Dunk łamał co najmniej jedną tygodniowo, ale władze więzienia dysponowały chyba nieskończonymi zapasami. Dziś akurat miał różową.

Sięgnąłem po słuchawkę i przyłożyłem ją do ucha, starając się nie myśleć o tym, jakie paskudztwa mogą się znajdować na jej powierzchni.

Dunk opadł na krzesło po drugiej stronie grubej szyby i też wziął słuchawkę.

– Możesz mi przypomnieć, dlaczego właściwie oddałem się w ręce policji?

– Bo w głębi serca jesteś dobrym chłopakiem, któregoś dnia stąd wyjdiesz, w pełni zresocjalizowany, otworzysz nad rzeką budkę z tacosami i odbijesz się od dna.

– Nie wiem, czy można się odbić na marzy ze sprzedaży tacosów.

Przy wsparciu Dewitta Mattea Dunk oddał się w ręce władz 13 sierpnia 1998 roku, około godziny po tym, jak dobiegły końca straszne wydarzenia tamtej nocy. Swoją drogą, ja akurat próbowałem mu to wyperswadować. Nie dlatego, żebym uważał, że to nie było słuszne. Uważałem jednak, że nie powinien podejmować tak ważkiej decyzji w takim stanie umysłu. Na terenie Carrie Furnace nie znaleźliśmy nikogo żywego. Prawie wszyscy jego ludzie zginęli w wyniku ostatniego rozkazu Davida. Nielicznych, którzy przeżyli, wykończyła Stella. Dunk był w głębokim szoku. Został zupełnie sam. Powiedział mi, że już od jakiegoś czasu współpracował z FBI, żeby dorwać Rufusa Stana. Nie miałem pojęcia. Stano był jednym z nielicznych postawionych wyżej niż Dunk, więc w oczach władz stanowił jeszcze bardziej apetyczny kęsek niż boss Duncan Bellino. Z uwagi na współpracę dostał krótszy wyrok. Zostały mu jeszcze trzy lata, ale za miesiąc będzie mógł się starać o zwolnienie warunkowe.

– Pozdrowienia od Stelli i dzieciaków.

– Dzięki, pozdrów ich!

Po lewej stronie na szczęce Dunka rozlewał się paskudny siniak. Kiedy go o to zapytałem, wzruszył ramionami.

– Chciałem wczoraj oglądać *Teorię wielkiego podrywu*. Byłem w mniejszości. Zdarza się.

– Za miesiąc możesz dostać warunkowe, stary. Lepiej się nie wychylaj.

Do sali zajrzał strażnik.

– Pięć minut!

– Szlag! Sorry, stary, spóźniłem się.

Dunk wzruszył ramionami.

– Za miesiąc warunkowe. – Przełożył słuchawkę do drugiego ucha. – A właśnie, w zeszłym tygodniu miałem dziwnego gościa.

– Kogo?

– Willy’ego Trudeau.

– Willy’ego?

Dunk skinął głową.

– Powiedział, że ma dla mnie robotę, jak stąd wyjdę.

– Jaką robotę?

– Nie powiedział.

– Uważaj na tego gościa. Nigdy mu nie ufałem.

– Dobrze, mamó.

Chciałem o coś zapytać Dunka, unikałem tego tematu przez ponad dekadę. Wczoraj wieczorem Stella znowu zaczęła o tym mówić, stwierdziła, że musimy znać odpowiedź, jeśli Dunk ma mieć kontakt z naszymi dziećmi.

– Mogę cię o coś spytać?

– Mam z kim iść na dyskotekę, a zresztą ty już masz zajebistą dziewczynę.  
– Mówię poważnie.  
– Ja też.  
– Pickford powiedział, że twoją matką była Penelope Maudlin. Jedna z osób, które brały udział w badaniu razem z naszymi rodzicami. Nigdy o niej nie mówisz.  
– Bo nie ma o czym gadać.  
– Pamiętasz ją?  
Dunk zacisnął usta i spuścił wzrok.  
– Nie.  
– W ogóle?  
Pokręcił głową.  
– Zawsze byłem sam z ojcem. Dopóki nie pokazałeś mi tamtego starego albumu, nie widziałem nawet jej zdjęcia. Stary nie trzymał takich rzeczy. Domyślałem się, że ciągle go to boli, więc nie poruszałem tematu.  
– Minuta! – zawołał strażnik.  
Nachyliłem się bliżej do szyby i zniżyłem głos.  
– Ona dostała zastrzyk, ale twój ojciec nie.  
Dunk rozparł się w krześle, szczerząc się od ucha do ucha.  
– I zastanawiasz się, czy ja też coś potrafię? Jak ty, Stella, Darby czy Pickford?  
– Pytam tylko dlatego, że jeśli to coś niebezpiecznego, to chcielibyśmy wiedzieć, jeśli masz mieć kontakt z dziećmi. – Zabrzmiało to źle, więc próbowałem się poprawić. – Nie boimy się, że zrobisz im coś złego. Wiemy, że nigdy byś tego nie zrobił. Chodzi tylko o to, że jeśli masz jakąś moc, to chcielibyśmy wiedzieć jaką.  
– Nieśmiertelny Jack Thatch i jego wierny pomocnik Dunk. – Uśmiechnął się złośliwie. – Idealny materiał na komiks.  
– Masz jakąś moc?  
– Czas minął! – krzyknął strażnik. – Przerwać wszystkie rozmowy i wychodzić lewą stroną. Życzymy miłego wieczoru.  
– Dunk? – powiedziałem w słuchawkę.  
Nie przestając się uśmiechać, Dunk się rozłączył.  
Podniósł się z krzesła, balansując zwalistym ciałem na głupiej różowej laseczce.  
Przechyliłem głowę i zmarszczyłem brwi. W końcu też odłożyłem słuchawkę.  
Dunk szeroko otworzył oczy i jeszcze szerzej się uśmiechnął. Podniósł wyprostowany palec wskazujący.  
Zobaczyłem, jak dotyka słuchawki po swojej stronie szyby, tylko lekko ją musnął.

Wszystkie automaty za moimi plecami rozdzwoniły się w tym samym momencie.

Obejrzałem się.

Jeden ze strażników odebrał telefon, powiedział: „Halo?”, wzruszył ramionami i odłożył. Telefon nie przestawał dzwonić.

Kiedy obejrzałem się z powrotem na Dunka, mignął mi już tylko kawałek jego pomarańczowego kombinezonu – wyszedł z sali odwiedzin i zniknął w korytarzu prowadzącym do celi, a metalowe drzwi zamknęły się za nim ciężko.



8 sierpnia 2020

*Czterdzieści cztery lata*

# 1

Mały chłopiec wyglądał zza oparcia ławki w boksie w ulubionej restauracji swoich rodziców, w ich ulubionym nadmorskim miasteczku w Kalifornii. Wiercił się i kręcił, aż matka w końcu się poddała i pozwoliła mu stanąć na ławce i zajrzeć do sąsiedniego boksu, a konkretnie popatrzeć na siedzącego tam mężczyznę.

– Co się panu stało w buzię? – spytał chłopiec.

Bardzo nieuprzejme. Nie zadaje się takich pytań nieznanym. Zwłaszcza jeśli samemu ma się całą twarz upačkaną resztkami makaronu z serem.

Mężczyzna podniósł wzrok znad menu. Zdecydował, że zamówi rybę dnia, i na jego twarzy zagościł uśmiech. Zdawało się, że nawet taka zwykła rzecz musi sprawiać mu ból – porana bliznami skóra rozciągnęła się nieprzyjemnie. Jeśli jednak rzeczywiście było to dla niego bolesne, nie dał po sobie nic poznać.

Mężczyzna wskazał na poranioną stronę twarzy i wzruszył ramionami. Potem zaczął składać dłonie w całą serię skomplikowanych gestów, odpowiadając chłopcu w amerykańskim języku migowym.

Chłopiec przygryzł dolną wargę i się nachmurzył.

Nie rozumiał.

Ach, ta niewykształcona młodzież.

W dzisiejszych czasach dzieci interesowały się tylko gramami wideo, mediami społecznościowymi i serwisami streamingowymi. Gdzie te czasy, kiedy po prostu otwierało się książkę, żeby dowiedzieć się czegoś nowego, kształcić się, poszerzać horyzonty, rozwijać się dzięki stymulacji intelektualnej. Być może gdyby za edukację dostawało się punkty i bonusy, młode pokolenie sięgnęłoby po książkę z zakurzonego regału. Gdyby mogli bez trudu przejść na kolejny poziom dzięki kodom ściągniętym z internetu, to może by się zainteresowali.

Mężczyzna podniósł wyprostowany palec. Wygrzebał smartfona z kieszeni wiatrówki wiszącej na oparciu pustego krzesła obok.

Otworzył aplikację, wpisał coś i zbliżył telefon do upačkanej głowy bachora, po czym włączył odtwarzanie.

Głos brzmiący zupełnie jak ludzki odczytał tekst z niemal idealną intonacją, praktycznie nie do odróżnienia od żywego człowieka.

– Jestem pięknym człowiekiem.

Chłopiec zastanowił się chwilę, po czym pokiwał głową.

Dn. 08.08.2020  
Pacjenci „D” i „C”

Nagranie audio/wideo.  
RESTART SYSTEMU

ZESPÓŁ OBSERWACYJNY CHARTER - 412

# Od autora

Musiałem napisać tę książkę. Kiedy skończyłem serię o Zabójcy Czwartej Małpy, ponurą i mroczną, potrzebowałem czegoś lżejszego, żeby przeczyścić sobie trudno dostępne zakamarki mózgu. Dobrze się bawiłem przy pisaniu serii 4MK, ale zdarzały się chwile, kiedy odsuwałem od siebie komputer i mówiłem: „Ja pierdołę, czy ja naprawdę miałem coś takiego w głowie?”.

Nie należę do osób, które lubią rozmawiać o procesie pisania, ale tutaj jestem wśród swoich, prawda? W literackim świecie jestem znany jako wielki improwizator. Nie tworzę szkicu, konspektu powieści. W *Jak pisać* Stephen King zauważył, że jeśli sam nie wie, dokąd zmierza historia, to czytelnik też na pewno się tego nie domyśli, a ja podpisuję się pod tym stwierdzeniem obiema rękami. W szkicach nie ma nic złego. Wielu z najwybitniejszych autorów na świecie opiera się na szczegółowych konspektach. Świetnie, tak trzymać. Ale ja chyba nigdy się na to nie zdecyduję. Niniejsza książka zaczęła się od tytułu i otwierającego powieść krótkiego tekstu 22-letniego Jacka – dowiadujemy się o Stelli i dostajemy pierwszy przeblysłk wydarzeń, które dopiero mają nastąpić. Potem już tylko próbowałem nadażyć za opowieścią Jacka o jego niesamowitym życiu i zaludniających je postaciach.

Jack miał do opowiedzenia wielką historię.

Zauważyliście, że niektóre książki są wielkie?

Niekoniecznie pod względem objętości (choć to moja najdłuższa dotychczas powieść), ale zakresu. Opowieść może sprawiać wrażenie wielkiej. W moich poprzednich książkach akcja toczyła się w krótkim czasie, obejmowała dni, godziny... Mam w szufladzie nowelę, której fabuła mieści się w jednej minucie. Wiedziałem jednak, że aby uczciwie opowiedzieć historię Jacka i Stelli, będę potrzebował całych dekad. Okazało się to wyzwaniem, ale sprawiło mi też wiele frajdy. Miałem szansę zagłębić się w rozwój postaci znacznie bardziej niż dotychczas, zbliżyć się do każdej osoby występującej na tych kartkach, przyglądać się, jak dojrzewa, a czasem trzymać za rękę w chwili śmierci.

Nie ukrywam: płakałem po Jo. Płakałem po Gerdy.

Wydaje mi się, że niektóre z tych łez spłynęły na kartkę i zostawiły ślad.

Marzyłem o jeszcze jednym burgerze w Krendal's i część tej tęsknoty wraca do mnie za każdym razem, kiedy przejeżdżam Brownsville Road przez Brentwood w Pensylwanii i mijam miejsce, w którym w świecie Jacka stała ta jadłodajnia.

A właśnie, póki pamiętam...

Jeśli mieszkacie w Pittsburghu i okolicach, zauważyliście pewnie, że dość swobodnie podchodzę do topografii miasta i umiejscowienia rozmaitych ulic, budynków i lokali. Uspokajam, że nie wynika to z nieznamomości planu miasta (choć układ ulic w Pittsburghu bywa skomplikowany); mieszkałem z rodziną w Brentwood, Carnegie i samym Pittsburghu, więc chciałem po prostu nawiązać do wszystkich tych wspaniałych miejsc. Nie byłoby to możliwe bez wprowadzenia pewnych zmian, drobnych, ale zdolnych doprowadzić nawigację samochodową do przegrzania. O ile niektóre miejsca istnieją tylko w mojej wyobraźni, o tyle inne są jak najbardziej realne i można je odwiedzić – do moich ulubionych należy stara huta stali Carrie Blast Furnaces.

Nigdzie w Pittsburghu nie dostaniecie lepszej pizzy niż w Mineo's.

Nigdzie.

Jeśli potrzebujecie łopaty, kilofa i porządnej latarki, żeby wyposażyć zestaw do nocnych wykopków, z całego serca polecam wizytę w sklepie z artykułami przemysłowymi Keener's. Jeśli wam się uda, może zastaniecie za kasą samego Harolda Keenera <sup>4</sup>. Jeśli nie, na pewno będzie tam jego syn.

*Wielkie nadzieje* Charlesa Dickensa stanowiły oczywiście źródło inspiracji do napisania tej książki. Pierwszy raz przeczytałem tę powieść w wieku dziewięciu lat. Jak większość książek w tamtych czasach, kupiłem ją na wyprzedaży garażowej za dwadzieścia pięć centów, po długich targach. To było wydanie w twardej oprawie, potwornie zaczytane, ze szczegółową mapą Wielkiej Brytanii na wewnętrznej stronie okładki. Jezu, ale się wtedy zabijałem w Estelli. Pani Havisham też zrobiła na mnie duże wrażenie, razem z małym Pipem. Ta opowieść zapadła mi w pamięć na długie lata, prawdopodobnie dlatego, że przeczytałem ją w wieku, kiedy łatwo ulegamy wpływom. Często sięgam po klasyczną powieść po kilku współczesnych książkach z rzędu. Znane lektury są dla mnie jak ulubione potrawy, smaki dzieciństwa, a do *Wielkich nadziei* wracam najczęściej. Jeśli jeszcze nie czytaliście tego dzieła, polecam spróbować. Przekonacie się, że to historia, która nie ma sobie równych.

Mam nadzieję, że zostawiłem Jacka, Stellę, Daltona i małą Clarę w bezpiecznym miejscu. Cammie, Prechera i Darby też. Nawet Dunka – miejmy nadzieję, że

wyszedł na prostą. Często trudno mi się pożegnać z ukochanymi ludźmi, z którymi spędziłem dużo czasu. Zżera mnie ciekawość, zastanawiam się, dokąd poszli, kiedy się rozstaliśmy. Może pewnego dnia ich o to zapytam. Kto wie? Może zechcą mi o tym opowiedzieć.

jd  
Pittsburgh, Pensylwania

# Przypisy końcowe

1. Fragmenty Wielkich nadziei Charlesa Dickensa w przekładzie Karoliny Beylin. [\[wróć\]](#)
2. Peter Benchley, Szczęki, tłum. Tomasz Kaźmierczak, Poznań 2019. [\[wróć\]](#)
3. W amerykańskim systemie edukacji roczniki studentów określa się datą planowanego ukończenia nauki (jeśli więc studia trwają 4 lata, to rocznik 1979 zaczyna w roku 1975) (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
4. Niestety, to już nieaktualne – Harold Keener zmarł 8 stycznia 2020 roku (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)